DHBJ
No 1391
Kas. P-K.

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI.

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI

OPOWIADANE DEOTYMIE

przez

ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.

1391

D.1333

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.
—
1884.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Февраля 1884 года.

W Drukarni Stanisława Niemiery,—Włodzimierska Nr 2 lit. A.

DEOTYMIE,

(JADWIDZE ŁUSZCZEWSKIÉJ.)

Siłą tylko Twéj woli i Twego natchnienia,
Mogłem z grobów przyjaciół zebrać te Wspomnienia.
Przyjmże je, ku ich chwale, jak pomnik ostatni
Czci méj dla Cię serdecznéj i przyjaźni bratniéj.

A. E. Odyniec.

884(091)"1822/1863":929
Odyniec A.E.
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku CZYTELNIA DLA DOROSŁYCH
26040
KOMPUTER
821.162.1(091)"18":828] Odyniec A.E.
Miejska Biblioteka Publiczna w Białymstoku
333
14035
74 r.

ZAMIAST PRZEDMOWY

LIST DO REDAKTORKI KRONIKI RODZINNÉJ.

1880 Stycznia 1.

Jak niegdyś przed dwunastu laty, podając do pisma Pani piérwszy mój „List z Podróży," tak i dziś czuję się w obowiązku poprzedzić kilku słowami nowy ten szereg „Wspomnień z Przeszłości", który znów na żądanie Pani do *Kroniki Rodzinnéj* przesyłam. Cel ich wprawdzie sam tytuł już wykazuje, ale naturę i granice przedmiotu, powód chyba może wyjaśnić. Otóż powodem tym był najprzód wiersz Deotymy do mnie, umieszczony w *Bibliotece Warszawskiéj*, a wzywający mię, w imię ogółu, do napisania życia Mickiewicza. Odpowiedziałem, co czułem, że byłby to zamiar nad moje siły; i z téj to odpowiedzi dopiéro wyniknął piérwszy pomysł, plan i program niniejszych opowiadań. Pozwolisz więc Pani, że przytoczę tu najprzód ową moję:

„Odpowiedź Deotymie."

Jest słowo-potęga, co z danym rozkazem,
I siłę spełnienia dać umie zarazem:
Tém dla mnie jest twe, Deotymo!
Lecz słońce, choć samo wciąż gore jak latem,
Nie zawsze jednako panuje nad światem:
Ach! przemódz nie może nad zimą.

I dość w niéj dla ziemi niebieskiéj dobroci,
Że mgły jéj rozproszy, że chmury ozłoci,
Że mrok jéj rozjaśni jak tęcza.
O! wieszczko natchniona! siostrzyczko ty droga!
To wszystko, przez ciebie zesłane od Boga,
Brat tobie nad grobem zawdzięcza.

Lecz darmo! nie ludziom z naturą pospołu
Chcieć myślą i sercem odkwitać z popiołu,
Jak młodość odzyskać na lice.
A czyżby i zapał sam starczył—by kara
Nie spadła na śmiałka, co skrzydłem Ikara
Nad siłby swych sięgnął granice?

Kto z ludzi dopatrzył, drogami jakiemi
Natchnienie na wieszcza zstępuje na ziemi,
Lub gieniusz gwiazdą nań spada?
Kto z ludzi obliczył wpływ pieśni, jak słońca,
Gdy wszedłszy jak ono, ożywcza, świecąca,
Nad światem dusz gore i włada?

O! córko natchnienia! któż nad cię na świecie
Tajemnic tych mógłby być świadom? A przecie,
Rzecz prawdę!—czy znasz ty je sama?
A jeśliż ich w sobie dociekasz daremnie,
O! pomyśl, czy możesz wymagać odemnie
Dziejów natchnień i pieśni Adama?

I cóż ztąd, żem świadek jéj świtu i wschodu,
Jak niebios zjawiskiem, współ z rzeszą narodu,
Zachwycał się, cieszył, lub dumiał?
Ach! jednéj jam chyba nie próżen zasługi,
(Co przez cię i dla cię poczuwam raz drugi),
Żem wielbić i kochać go umiał.

A jeśliż jak w ziemi od słońca promieni,
Z tych uczuć, podobne do drogich kamieni
Wspomnienia się w duszy złożyły:
Zamierzchłe mgłą czasu, owiane żałobą,
Na głosby twój chyba wstać mogły przed tobą,
Jak duch wywołany z mogiły.

Boś ty jest najmłodsza z téj wielkiéj plejady
Gwiazd pieśni ojczystéj, co za nim szła w ślady,
Pod barwą i godłem tèm samém.
A jako cykl przezeń zaczęty—Ty kończysz,
Tak w życiu i sercu téż mojém się łączysz
Jak siostra rodzona z Adamem.

Bo jako On niegdyś, u dni mych rozwicia,
Dał piérwszy mi poczuć poezyą życia,
Przez wyższość i przyjaźń swą bratnią:
Tak dzisiaj u kresu, po długich lat próbie,
Przez ciebie ja znowu odczuwam i w tobie
Tęż samą pociechę—ostatnią.

Więc jako bezsilny już wojak, co krzyże
I kule z ran swoich na jedną nić niże,
By je na ołtarzu zawiesić:
Gdy żądasz—obaczę—czy g'woli twéj chęci,
Jak iskier w popiele, nie zdołam w pamięci
Dawnych wspomnień odgarnąć i wskrzesić.

A gdybyś z nich może, jak z żywych postaci,
Poznając chór zgasłych śpiewaków, twych braci,
I duch ich poznała wyraźniéj:
Jak lampa przed zgonem, tą myślą bym ożył,
Że płacąc dług serca, i jam téż wam złożył
Hołd, wart ich i twojéj przyjaźni.

Ostatnia strofa wiersza zawiera i wyraża zarazem cały właściwy program i cel niniejszych opowiadań. Chcę opowiedzieć przyjaciółce-poetce, niektóre szczegóły i wspomnienia o przyjaciołach-

poetach, towarzyszach życia i pracy, w przewrótowéj epoce poezyi naszéj, i do poezyi tylko wyłącznie i jedynie odnoszące się. Że zaś na brak podobnych wspomnień z epok przeszłych, słyszymy utyskiwania powszechne: zdawałoby się, że chcący brak ten choć w części wedle sił i możności zapełnić, nie powinienby się obawiać zarzutu samochwalstwa czy samolubstwa, a tém mniéj ściągnienia przez to na siebie czyjéjś nienawiści i obelg. Nauczony jednakże smutném doświadczeniem, czuję się zmuszonym niejako zabezpieczyć się przeciw nim z góry, powtarzając raz jeszcze wyraźnie, że nie są to ani historyczne, ani literackie studya; ani dokładne biografie pojedyńczych osób; ani krytyczne sądy i rozbiory ich pism, działalności lub wpływu; ale wprost własne moje osobiste wspomnienia, z przyjacielskich lub towarzyskich z nimi stosunków, na tle zwykłego codziennego życia; z których przyszły historyk lub malarz epoki, będzie mógł chyba może skorzystać o tyle, o ile opisujący jaką kampanię strategik, z opowiadań prostego żołnierza, który sam miał w niéj udział i bohaterów jéj na własne oczy oglądał.

Doświadczenie zaś, o którém napomknąłem wyżéj, przyszło mi z powodu moich „*Listów z Podróży*," znajomych czytelnikom *Kroniki Rodzinnéj*,

jako w niéj najprzód w ciągu wielu lat ogłaszanych. Jeden z grona upatentowanych gazeciarskich krytyków i recenzentów warszawskich, pan Piotr Chmielowski, nie znalazłszy w tych listach, czego ja bynajmniéj pisać nie myślałem, to jest, jak się wyraził: ani *„wspaniałego obrazu społecznego rozwoju ludów, stojących na czele oświaty;"* ani *„uwag nad wytworami rolnictwa, przemysłu, handlu; nad skarbami wiedzy i sztuki; ani nad ich ogólném cywilizacyjném znaczeniem,"* i t. d.; nie znalazłszy nic z tego wszystkiego, zmieszał autora, jak to mówią, z błotem, i to w tonie, jakiego dotąd przykładu w piśmiennéj u nas krytyce nie było, i nikt pewnie w przyzwoitém towarzystwie nie słyszał. To téż sprawdziło się przysłowie, które mówi: „W zbytku trucizny bywa antidotum." Zamach stał się przemachem, i uchybił celu. Mnie samego nie dotknął, nie obraził nawet, a wywołał cały szereg protestacyj: już to ze strony pojedyńczych osób, znanych chlubnie tak w piśmiennictwie jak i w społeczeństwie naszém; już ze strony najpoważniejszych organów prassy, tak w Warszawie, jak i gdzieindziéj. Jedno z tych pism scharakteryzowało dobitnie ton owéj recenzyi, mówiąc: *„Na każdéj karcie zniewaga; w każdym zarzucie cynizm;"* a oraz odgadło i wyświeciło jéj powód, dodając daléj: *„W autorze Listów chciał krytyk uderzyć na*

tę świetną tradycyą związku serc i duchów, otaczającą kolebkę romantyzmu; chciał poniżyć i skalać to, co było najpiękniejszą chwilą w rozwoju duchowym kilku pokoleń," (*N. 263 Gazety Polskiéj, z d. 22 Listopada, 1878 r.*). Że zaś ta chwila właśnie stanowi przedmiot opowiadań niniejszych, łatwo przewidzieć, że taż sama przeciw niéj pozytywna niechęć, nie zaniedba objawić się podobnież, jak się z powodu *„Listów"* objawiła. Za całą więc odpowiedź, tak za przeszłość jak i na przyszłość, pozwalam tu sobie przytoczyć wyjątek z prawideł, będących niegdyś obowiązującém prawem dla uczestników właśnie owéj chwili w Wilnie, i które dla nich w dalszym ciągu życia obowiązującemi być nigdy nie przestały.

„Jeżeli kto naruszy twoję łagodność, znieś cierpliwie i bądź spokojny. Jeśli cię dotkliwiéj obrazi, przebacz mu. Jeśli natrętnik daléj się uniesie, ulituj się jeszcze nad jego nierozsądkiem, przebacz mu jeszcze, i proś go jeszcze aby się upamiętał, i nie używaj nigdy gwałtownego odporu, chyba w przypadku napaści i niebezpieczeństwa."

Że zaś napaść w tym razie niebezpieczeństwem, Bogu dzięki, nie grozi: odporu więc nie używałem i używać nie będę.

Te zaś słów kilka zwracam wyłącznie do czytelników dobréj wiary, pod których sąd rzecz samą oddaję.

A. E. Odyniec.

Post scriptum.

(1 Maja 1884 r.).

Dla czytelników téjże kategoryi, to jest, nie przesądzających, ani posądzających z góry autora, na mocy własnych swoich kombinacyj lub domysłów krytycznych; ale radych jednakże mieć niejaką rękojmię prawdziwości tego, co pisze: — pozwalam sobie, przy osobném wydaniu niniejszych „Wspomnień z Przeszłości," poprzedzić je przytoczeniem wyjątku z listu do mnie przyjaciela mojego, Ignacego Domeyki, który ze wszystkich dziś jeszcze żyjących na świecie, (choć na drugiéj jego półkuli), jako uczestnik i świadek wszystkich właśnie tych chwil i zdarzeń, które przedmiot niniejszych „Wspomnień" stanowią, jest niewątpliwie najwłaściwszym sędzią, o ile się w nich istotna, owoczesna prawda odbija. Oto są te jego słowa:

„Santjago 24 Lipca 1883 r.

Drogi mój Edwardzie!

„Z wielką rozkoszą odebrałem twój list majowy, który przyniósł mi nasze Zielone Świątki, tak zawsze piękne, tak urocze! Tém piękniejsze dziś dla mnie ich przypomnienie, kiedy od dwóch miesięcy mamy tu słotę

i chłód, a słońce zaledwie raz na tydzień, na krótki czas się pokaże. Ręce krzepną w pisaniu, choć część mego ogrodu, magnolie, ficus i palmy, tak zielone, jak były latem; tylko jabłonie i inne z naszych sadów przybylce, stoją obnażone, jakby z tęsknoty za krajem, a górujący nad niemi dąb, zdaje się je pocieszać, choć i sam nie lepiéj wygląda, z poschłym liściem, i poczerniały. Nie wesoła to pora; wieczorami więc przy kominie, czytam waszą „*Kronikę*," „*Czas*," lub stare dzieje naszego narodu. A i Adam tuż przy mnie, i ty, i Bohdan, i Stefan, i Zygmunt; a na przemian i Kochanowskich, i Górnickiego, i Karpińskiego, i Krasickiego z mojéj biblioteczki do siebie zapraszam. Nie dziw tedy, że w tak dobrém towarzystwie i północ mnie często przy gasnącém ognisku zdybie.

„Owóż nie jedną godzinę, czytając w *Kronice* twoje „Wspomnienia z Przeszłości," mile przemarzyłem, i chciwie wyglądałem dalszego ich ciągu. Czyż tylko pojmie je tak dzisiejsza młodzież, jak ja dziś stary je pojmuję? Wierny jest w nich i wydatny, chociaż nie tak jaskrawy, jakby tego sobie może życzyli tegocześni noweliści, koloryt owego czasu. Osoby i czyny, jak je widzieliśmy; pogoda i spokój w sercu, chociaż umysł zagrzany.... Wiara i Miłość wzajemna, budziły i utrzymywały Nadzieję.

„Rzecz to prawie do niepojęcia, co się dzieje z pamięcią na starość. Nie wiem, czy i ty tego doświadczasz? To, co się niedawno, od trzech, od dziesięciu czy dwudziestu lat stało; na co patrzałem, co słyszałem; co mię dziś jeszcze zasmuci, czy zaboli; złe, czy dobre; łatwiéj się jakoś i prędzéj zapomina, niż to, co się bardzo dawno działo. I kiedy myślę o naszych przed

50 laty czasach, to cała prawie półwiekowa przeszłość od naszego rozstania się, tak mi się wydaje pustą, momentalną, jak gdyby pięćdziesiątfuntowa bomba, z Krupowego działa wyrzucona, przeleciała przed oczyma mojemi; i tylko widzę ludzi i ziemię z owych czasów, jakby dziś na jawie, i tak żywo, wyraźnie, że gdybym był malarzem, odmalowałbym najdokładniéj postacie, rysy każdego człowieka, i obrazy nie jednéj wioseczki; nie zapominam imion, nawet wielu dziecinnych wypadków, które sam nie wiém, jak mi zostały w pamięci.

„To też, kochany mój druhu, z owéj przyczyny nikt może, z większą ode mnie pewnością, nie może powiedzieć i zaręczyć, że twoje „Wspomnienia z Przeszłości“ są wierne, wskrzeszające ludzi i wypadki, po prostu, jak były. Musi być i dla ciebie miło pisać te wspomnienia, kiedy dla mnie czytać je tak przyjemnie.“

Twój Żegota.

Miejska Biblioteka Publiczna w Białymstoku

I.

Do ósmego roku życia, nie wiém czy jakie wiersze czytałem: chyba tylko „*Kolędę dla małych dziatek*“ o różczce, którą „Duch Święty dziateczki bić radzi,“ będącą integralną częścią ówczesnego elementarza, na którym, w piątym roku życia i w ciągu pięciu tygodni, matka moja nauczyła mnie czytać, na niespodziankę dla ojca, który na ten czas właśnie z domu na sejmiki wyjechał. Odtąd czytałem chętnie i skwapliwie co mi tylko wpadło pod rękę, najczęściéj nie rozumiejąc co czytam. Ojciec miał tylko xiążki prawne lub historyczne; matka same pobożne; między temi Żywoty Świętych, do których zaglądałem najczęściéj. Ale choć nie wiedziałem co to jest poezya, piérwsze moje dzieciństwo, jak teraz przypominam i widzę, było ciągle samą poezyą. Przez lat trzy byłem jedynakiem; przyszedłem zaś na świat po dwóch siostrach, które przed urodzeniem się mojém pomarły. Łatwo więc pojąć jak musiałem być pieszczony i psuty, i to nie przez samych tylko rodziców. Szesnasto-letnia siostra, z piérwszego małżeństwa mego ojca, kochała mnie passyami; z nią

zaś razem mieszkała czasowo u nas, osierocona po rodzicach, młodsza nieco od niéj sąsiadka, Małgosia Kuncewiczówna, śliczna jak Aniół, a od wszystkich rybek i ptasząt weselszego humoru panienka. I ona także kochała mię jak siostra, ale ja ją więcéj od siostry. I rzecz dziwna, że wszystko co ma z nią związek, najlepiéj z tego czasu dzieciństwa mego pamiętam.

Otóż obie te panienki były zwłaszcza rozmiłowane w słuchaniu bajek; a opowiadała im je również rozmiłowana i niezmordowana w ich ciągłém opowiadaniu, wyprawna panna mojéj matki, niegdyś jéj piastunka w dzieciństwie, a potém zarządzająca całym naszym domem, panna Kornelia Ręczyńska. Umiała ona doskonale na pamięć całe „*Tysiąc nocy i jedna*," i „*Tysiąc dni i jeden*," i mnóstwo najrozmaitszych czarodziejskich i romansowych powieści, jak np. „*O pięknéj Meluzynie*," i całą Historyą Świętą, i niezliczone cudowne legendy z Żywotów Świętych, i nakoniec wszystkie baśnie ludowe. Umiejętność tę winna była namiętnemu czytaniu xiążek, których dostarczał jéj zwłaszcza starający się o jéj rękę pan Jan Zabłocki, odziedziczywszy po stryju-proboszczu ogromny zbiór dzieł tego rodzaju. A że sam był wielki próżniak i niczém prócz czytania zająć się nie chciał: zjednawszy więc tym sposobem serce niemniéj gorliwéj literatki, ożenił się z nią i osiadł przy niéj u nas na łaskawym chlebie, zamieszkując na folwarku alkierzyk, tuż obok izby drugiego rezydenta, pana Franciszka Ejdziatowicza, byłego porucznika wojsk polskich, przyjaciela mojego ojca, który kłócąc się wiecznie z sąsiadem o nieład i nieporządek w jego xiążkach, wziął je wszystkie nakoniec pod straż swą i opiekę, i mnie czasem sto-

sowne do czytania wybierał. Otóż w długie wieczory i ranki zimowe, pani Zabłocka zgromadzała zwykle w swoim pokoju wszystkie pokojowe i folwarczne dziewczęta, a także i wszystkie dzieci i małych pastuszków z folwarku, z któremi odmówiwszy najprzód wspólny pacierz, zasadzała je do prząśnicy lub do darcia pierza, a sama, z pończoszką w ręku, rozpoczynała swoje opowiadania panienkom, przy których i ja zawsze byłem nieodstępny, siedząc zwykle u stóp Małgosi, i drąc pierze wraz z pastuszkami. Odbywało się to zazwyczaj przy świetle kominka, lub łuczywa zatkniętego w kominie, a sam ten rodzaj oświetlenia musiał się wiele przyczyniać do podniesienia wrażeń słuchaczy. Bo pamiętam, że nieraz taki mnie strach albo żal ogarniał, słuchając o nieszczęściach lub o niebezpieczeństwach jakiéjś heroiny, że drżąc cały albo szlochając, tuliłem się w objęcia Małgosi, która mnie pocieszała i koiła tém zapewnieniem: że to jest wszystko bajka tylko, nie prawda. Mimo to, tak byłem zamiłowany w tych wieczorach i rankach, że codzień o to były spory z matką, która mnie chciała wcześniéj zapędzić do łóżka, albo z którego rano uciekałem.

Skutkiem tedy opowiadań tych i tych wrażeń, imaginacya moja od dzieciństwa tak nawykła do bujania samopas w sferze fantazyi i marzeń, że gdy się zbliżył wreście czas porządniejszéj nauki, rodzice ze mną rady dać nie mogli. Przy jednéj tylko Małgosi miałem cierpliwość pisać na woskowanym papierze, bo ona mnie tego uczyła; ale gdy sam ojciec np. chciał mnie uczyć początków gramatyki łacińskiéj i arytmetyki aby mnie przygotować do piérwszéj klassy w szkołach; ja tak dalece uwagi skupić nigdy nie mogłem, że za-

miast słuchać co mówi, wtedy owszem najczęściéj marzyłem o sylfach, gieniuszach, i zaklętych królewnach, których uosobieniem była dla mnie Małgosia; albo téż w białych znakach liczbowych na czarnéj tablicy, szukałem lub dorabiałem w myśli podobieństwa do różnych przedmiotów; podobnie jak w ruchomych obłokach na niebie; co było zwłaszcza moją szczególniejszą rozrywką, tak, że mogłem całe godziny leżeć na wznak na trawie, nieruchomie wpatrując się w obłoki. Ojciec, który mnie bardzo kochał i pieścił, a wreście z natury łagodny, nie miał siły sprobować grozy. Postanowił więc oddać mię z domu do guwernera w sąsiedztwie. A skłaniało go jeszcze do tego, że dom nasz był zazwyczaj tak gwarny, iżby w nim ani dosyć spokojności dla nauki, ani cichego ustronia dla nauczyciela nie było. Sąsiedztwo nasze było niezmiernie liczne, blizkie i wesołe. Złożone z właścicieli miernéj fortuny, ale opływających wtedy w dostatki, z powodu nadzwyczajnych urodzajów i nadzwyczajnych cen na zboże, w skutek potrzebowania jego za granicę, gdzie wojny Napoleońskie o rolnictwie myśleć nie dozwalały; sąsiedztwo to, połączone nawzajem węzłami pokrewieństwa lub ścisłéj przyjaźni, bawiło się, jak to mówią, na zabój, zjeżdżając się prawie codziennie w tym lub owym domu, i niestety! dodać potrzeba — grając najczęściéj w karty, i to w gry azardowne, jak stos, faraon, i t. p.

Dom rodziców moich, częściéj niż inne, bywał właśnie miejscem tych zebrań; raz dla tego, że ojciec mój był najstarszy wiekiem w sąsiedztwie, a powtóre że u nas mieszkała Małgosia. Oprócz bowiem rzadkiéj urody i zalet charakteru, była ona dziedziczką

wcale znacznego posagu, co wszystko przywabiało licznych konkurentów. Zbierano się więc, grano, tańczono, śpiewano, słowem bawiono się—nie wystawnie, ale serdecznie i wesoło. I gdy dziś sobie przypominam te czasy; te gwary, śmiechy, żarty, i figle panieńskie; te stoły zasypane holenderskiém złotem i srebrem; te szeregowe kawalkaty mężczyzn, z moim ojcem na białym koniu na czele; te zimowe kuligi z dzwonkami, przy pochodniach lub pękach łuczywa; kiedy to wszystko przypomnę, a porównam z czasem obecnym: przez porównanie możnaby powiedzieć, że się Arabia Obfita przemieniła w piaszczystą Saharę. We mnie wszakże te ciągłe zjazdy i zabawy, na których byłem zawsze obecny, do czczych marzeń o niebieskich migdałach, dodały jeszcze dwa wcale niepożądane, realne, ziemskie uczucia: namiętną chętkę do kart, i zazdrość względem Małgosi. Czy i to może, jeżeli dostrzegał, skłaniało mego ojca do wydalenia mię na czas jakiś z domu, ja nie wiém; ale to wiém, że gdy się dowiedziałem o tém, oświadczyłem i postanowiłem stanowczo, że się piérwéj pójdę utopić, niż dobrowolnie miałbym przystać na to. Wątpię, czy ten mój opór miałby jaki skutek. Ale gdy wnet potém Małgosia zrobiła nakoniec wybór, i wyszła za mąż, za bardzo zacnego i miłego człowieka, p. Marcellego Wojewódzkiego, powietnika i przyjaciela naszego; dom stał mi się tak smutnym po jéj z niego wyjeździe, że sam wreście prosiłem ojca, aby ów projekt względem mnie przyśpieszył.

Tak więc tedy, ledwie w zaczętym ósmym roku mego żywota, a z wiosną roku 1811, wyjechałem z rodzicielskiego domu na naukę—do najbliższych sąsiadów przyjaciół, o pół mili tylko od niego. To téż zamiast

formalnéj nauki, spotkała mię tam najprzód nowa miłość, a potém nowa pokusa—do wierszy.

Skład tego domu był arcy-poetyczny. Gospodarzem był p. Krzysztof Skrzydlewski, były oficer artylleryi polskiéj, towarzysz i przyjaciel bliski Jakóba Jasińskiego, o którym zawsze czule opowiadać lubił; ożeniony, z dziedziczką tego majątku, Honoratą z Januszewiczów, pełną cnót i niewypowiedzianéj dobroci, chrzestną niegdyś matką mojéj matki, a mnie kochającą jak babka. Przy niéj mieszkała osiemdziesięcioletnia jéj matka, całkiem bogobojności i modlitwom oddana, i siedemnastoletnia synowica, córka brata, Regina, ładna, smukła, czarnooka greczynka, ale jak słowik ze skowronkiem różniąca się całkiem z Małgosią. O ile tamta, żywa i wesoła, żyła tylko śpiewając i bujając swobodnie w błękitach pogodnéj myśli; o tyle ta, marząca i melancholijna, szukała tylko cienia i samotności jak słowik, do którego i z głosu miała podobieństwo. Przy samym też panu domu mieszkał niemniéj sędziwy od matki żony ojciec, dawny konfederat Barski, i hodował się rówiennik mój, syn brata, Tadeusz, z którymeśmy się czule kochali, i przeto razem mieliśmy się uczyć. Mistrzem naszym i przewodnikiem był żyjący dziś jeszcze, gdy to piszę, p. Adam Baranowicz, uczeń szkoły Boruńskiéj, który skończywszy w niéj szóstą klassę, dla zebrania sobie funduszu na koszt piérwszéj podróży do uniwersytetu do Wilna, przyjął na rok nauczycielstwo domowe.

Było mi tam dobrze jak w raju. Dom rodzicielski widać było jak na dłoni; mimo to wszyscy domownicy tameczni starali mi się osładzać tęsknotę oddalenia; a wzgląd ten zwłaszcza zjednał mi szczególniejszą czułość panny Reginy, jako saméj od rodziców dalekiéj, a dla któréj ja téż nawzajem najżywsze przywiązanie powziąłem. Że zaś prosiła mię przytém ażebym pilnie się uczył: zatém pan guwerner w tym względzie nie miał mi nic do zarzucenia. Nauka owszem przychodziła mi łatwo, zwłaszcza uczenie się na pamięć; uwagi tylko przy arytmetyce nigdy skupić nie mogłem. Rodzice przyjeżdżali często, a co sobotę i przed każdém świętem przysyłali po mnie: w pogodne zaś dni letnie nad wieczór, panna Regina brała mnie z sobą na spacer do gaiku, na połowie drogi od mego rodzinnego domu, gdzie się z siostrą moją schodziła.

Tak upływał początek mego naukowego zawodu; gdy dnia jednego, (a było to w Maju), położywszy się już spać zauważyłem, że pan guwerner, zamiast się także położyć, zasiada owszem do pisania, ale co weźmie pióro, to znów je położy; co napisze jakie słowo, to zmaże; aż nakoniec zerwawszy się z krzesła, zaczął chodzić wkrąg po pokoju, gadając coś sam do siebie, i ruszając na powietrzu palcami, jakby coś na nich rachował. Zaciekawiło mię bardzo, co to znaczy? Przyczaiłem się więc jak mogłem, żeby jego uwagi nie zwrócić, a sam śledziłem go ciągle oczyma—aż wreście sen je zamknął, nim on to swoje chodzenie zakończył. Nie wiém więc jak długo trwało; ale obudziwszy się nazajutrz obaczyłem, że ubrany, jakby się nie kładł, siedzi znów przy stoliku, i z pokreślonego strasznie arkusza przepisuje coś na pocztowym złotobrzeżnym papierze, który wtenczas był drogą rzadkością. Udałem zatém znowu że śpię, i patrzałem. On skończył, odczytał sobie wpół-głośno, uśmiechając się i machając ręką, (widać że bardzo był kontent), scho-

wał papiér do szufladki—i wyszedł. Zerwałem się na równe nogi, i bez skrupułu wysunąłem szufladkę, aby wiedzieć, co on to pisał? Mój Boże! mógłżem przewidzieć, że to jest chwila stanowcza w mém życiu, która mu cały przyszły kierunek ma nadać!

Były to wiersze; powinszowanie nadchodzących imienin pannie Zofii Korejwiance, pięknéj także sąsiadce naszéj, a razem i oświadczenie serdecznych affektów. Nie treść ich, ale sama miara i rymy, tak jakieś czarodziejskie sprawiły na mnie wrażenie, że bosy i w pół nagi, jak byłem, zacząłem klaszcząc w ręce skakać po pokoju, powtarzając je sobie na pamięć. Jakem się ich nauczył, sam nie wiém; ale jakoś przyszło to samo. Nie miałem nic pilniejszego jak powtórzyć je pannie Reginie, od któréj o nich dowiedzieli się drudzy. Pan guwerner jednakże tak był kontent z mego uwielbienia, że nie tylko mi niedyskretną ciekawość przebaczył, lecz tak mię owszem od téj chwili pokochał, że miłość ta, przez całe życie niezmienna, jest dziś, jak mi sam w listach swoich powtarza, ostatnią pociechą dziewięćdziesięcioletniego już blizko starca, a którą ja mu nawzajem ze szczerą wdzięcznością odpłacam. Odtąd téż stałem się powiernikiem wszystkich jego dawniejszych i nowych utworów poetyckich, zazwyczaj treści miłośnéj, i na wzór ich, sam zaraz ułożyłem wiersz takiż do panny Reginy, który tak się widać nawzajem Mistrzowi mojemu podobał, że mię sam odtąd formalnie, nie tyle do uczenia się pensy, co do pisania dalszych wierszy zachęcał, ucząc mię przytém ich miary, średniówek i dobierania rymów. Nie przestając wszakże na wzorach swoich, dał mi zarazem w ręce Kochanowskiego, Krasickiego, Karpińskiego i Kniaźnina, których w dawnych wydaniach posiadał, i sam przy ich czytaniu dopomagał mi do zrozumienia tego, co sam rozumiał i wiedział. Nieraz bowiem zdarzały się wiersze, jak np. ten Krasickiego, w Satyrze p. t. *Marnotrawstwo*.

„Przynoszą trzy Vandyki i cztery Rubense,“

które dla obu nas pozostały zagadką. Zresztą nie szło mi wcale o ścisłość rozumienia. Sam dźwięk rymów i muzyczna harmonia miary wierszowéj tyle dla mnie miały uroku, a wiersze same przez się tak jakoś lgnęły w pamięci: że nie ucząc się umiałem ich kopami, a powtarzanie ich samemu sobie, czy to w słowach, czy tylko w myśli, stało mi się prawie nałogiem. Że zaś kończyło się zazwyczaj memi własnemi dodatkami, w tym samym tonie i miarach, (chociaż wcale bez związku z ich treścią), przyzwyczaiłem się powoli wszystkie moje najpospolitsze myśli układać w rymy i miary wierszowe. Aż nakoniec, bez najmniejszego wyobrażenia o prawidłach i prawach kompozycyi, ale wprost tylko przez naśladownictwo formy, zacząłem sam składać wiersze. Mówię *składać*, bo składałem je tylko w myśli, nie umiejąc sam jeszcze na papierze napisać. Dyktowałem je więc zazwyczaj coraz bardziéj kochanéj pannie Reginie, a i składałem je téż najłatwiéj siedząc przy niéj na ławeczce przed gankiem, i wpatrując się z nią razem w gwiazdy, albo w ówczesną kometę, a najczęściéj w jasne jéj oczy. Tym sposobem, po przeczytaniu „*Myszeidy*“ Krasickiego, zacząłem zaraz w myśli układać „*Pigmeidę*,“ to jest wojnę Pigmejów z żórawiami, o czém nie wiém już zkąd wiedziałem. Chcąc zaś przytém wiersze przenieść na papiér, tak się gorliwie wziąłem do nauki pisania, że w bardzo krótkim przeciągu czasu, na liniowanym przez

pannę Reginę papierze, mogłem już sam jako tako kompozycye moje nabazgrać. Stało się to téż jedyną pracą moją i nauką z ochoty; bo wszystkiego innego uczyłem się tylko z obowiązku, i to może najwięcéj dla przypodobania się pannie Reginie, która mię zachęcała do tego, i przed dobrém wydaniem wszystkich lekcyj bawić się ze mną nie chciała.

Tak przeszło lato, jesień i zima z r. 1811 na 1812, a poetycka sława moja w tym czasie rozniosła się szeroko po całéj parafii, jeżeli nawet nie po za jéj granice. Szerzył ją mianowicie sam p. Skrzydlewski, który może przez pamięć przyjaciela swojego Jasińskiego, był, chociaż nie literatem, ale niezmiernym lubownikiem wierszy, i musiał moje uważać za dobre, kiedy je przepisane przez pannę Reginę woził z sobą i czytywał w sąsiedztwie. Wiedziałem o tém od panny Reginy, a zaś wpływ i skutek téj sławy czułem zwłaszcza z wielką radością w obejściu się ze mną sąsiednich panienek, które wcale inaczéj niż mego kolegę Tadeuszka, albo jak mnie samego przedtém, traktowały mię i obsypywały względami, za co ja znowu przez wdzięczność pisałem wiersze na pochwałę każdéj. Ojciec mój nie rad był z tego, i owszem bojąc się, widać, jako człowiek rozumny, ażeby te pochwały i względy nie zawróciły mi głowy, powtarzał mi ciągle, pamiętam, że wiersze są tylko zabawką a nie nauką; że pieszczoty są tylko grzecznością dla dziecka, a więcéj jeszcze dla jego rodziców; ale że potrzeba się uczyć rzeczy poważnych, aby mieć chleb, szacunek i życzliwość ludzi. Dopiéro gdy raz xiądz Prefekt i Professor wymowy z Borun, X. Martynian Komar, poważny i poważany powszechnie człowiek i kapłan, będąc wraz

z rodzicami mojemi na obiedzie u państwa Skrzydlewskich, pokazane mu wiersze moje pochwalił i do dalszego postępu w nich zachęcił: ojciec mój także przestał je lekceważyć, przynajmniéj w rozmowie ze mną; chociaż nigdy nie odstąpił od tego, że nauka rzeczy poważnych, jak do życia tak i do wierszy nawet, jest najprzód nieodbicie potrzebną. Matka zaś ciesząc się bezwarunkowo obecném mojém powodzeniem i sławą, podwajała mi tylko dowody czułości i przywiązania.

Tym sposobem poezya, od samego początku, stała się dla mnie źródłem nowych tylko uroków i rozkoszy życia. A nie powiém, żeby i w dalszym jego ciągu gorycz jaka wypłynąć z niéj miała. Owszem, wszystkie najmilsze i najszczęśliwsze chwile, wypadki i stosunki, z niéj to lub przez nią wzięły zwykle początek; licząc w to i ten słodki i braterski stosunek z tobą, moja najdroższa siostrzyczko! który jakby gwiazdzistą klamrą cykl podobnych dawniejszych zamyka, a żal po nich i tęsknotę osładza; tak, że je na twój rozkaz wznawiając w pamięci, czuję w sercu jakby ostatnią pociechę Ossyana, gdy już nad brzegiem grobu, osamotniony i ślepy, o dniach swojéj szczęśliwéj młodości i o jéj bohaterskich towarzyszach, przed ukochaną Malwiną wspominał i opowiadał.

Ale że celem tych wspomnień mają być same tylko wrażenia i stosunki, pośrednio lub bezpośrednio z poezyą związek mające: pomijam więc milczeniem cały peryod wejścia i pobytu u nas Francuzów w r. 1812, podczas którego wszystkich myśli i serca zwróciły się ku czemu innemu, a i dziecinna Muza moja śród szczęku oręża zamilkła. Wprawdzie i na dziecinną duszę wrażenia te potężny wpływ miały; ale

czyżbym je dzisiaj mógł dokładnie przypomnieć albo obliczyć? chociaż niektóre chwile i wypadki tak żywo i tak jasno stoją mi przed oczyma, jak gdyby się wczoraj zdarzyły. Tak np. pamiętam wrażenie przy widzeniu piérwszego ułana, jakiegoś Andrzejewskiego z 9-go półku, który wziąwszy mię na siodło, galopował ze mną po dziedzińcu, i różne sztuki chorągiewką wyrabiał. Ale téż niemniéj wyraźnie, niestety, pamiętam i późniejsze rabunki maroderów francuzkich; i niebezpieczeństwo życia ojca, kiedy go jeden z nich chciał po pijanemu zastrzelić, aż go zaledwie obronili drudzy; i kilkotygodniowe potém tułanie się po lasach, wraz z wielu sąsiadkami i dziećmi, w liczbie których była też i Reginka. Matka moja była w tym czasie chorą; ona więc wraz z siostrą moją, i z czułością siostry, czuwała mianowicie nade mną. Ja zaś, w przewidywaniu ciągłém napaści, i przemyśliwając wzajem o jéj obronie, tak nakoniec znienawidziłem Francuzów, że nawet po francuzku uczyć się nie chciałem. Dostaliśmy się wreście do miasteczka Holszan, gdzie mieszcząc się na poddaszu w starym zamku niegdyś xiążąt Litewskich, żyliśmy literalnie suchym chlebem i wodą, kiedy mleka w miasteczku zabrakło; aż nakoniec, dostawszy załogę, w połowie Sierpnia wróciliśmy do domu.

Załogą tą był żołnierz Kozłowski, z Legii Nadwiślańskiéj, który odbył kampanię Hiszpańską, a polubiwszy mię bardzo, opowiadaniami swojemi o niéj, i śpiewaniem mi piosnek żołnierskich, wpłynął niezmiernie na imaginacyą moję i uśpioną wenę rozbudził. Dotąd nie mogę widzieć żytnich mędlów na polu, albo smukłéj brzozy płaczącéj, z rozwieszonemi gałęźmi do

ziemi, żebym wnet nie przypomniał Hiszpanów, w krótkich czarnych płaszczach, albo pięknych czarnookich Hiszpanek, otulonych w długie mantylle, do których je przyrównywał Kozłowski. Gdy zaś ten razu jednego— dowiedziawszy się, że Francuzi w Borunach rabują kościół i miasteczko, i że jeden z nich dla igraszki zastrzelił staruszka kowala—poleciał tam oklep na koniu, z karabinem w ręku, na pomoc tamecznemu załodze, koledze swemu, i zebrawszy z nim razem mieszczan, nie tylko maroderów wypędził, lecz nadto, wymierzając sprawiedliwość doraźną, sam, z karabina także, zabójcę trupem położył; ja tak byłem uniesiony tém i ucieszony, że na cześć tego bohaterskiego czynu ułożyłem dla niego piosenkę, na wzór tych, które mi śpiewał, a z któréj on nawzajem tak był uradowany, że nie tylko jéj się sam na pamięć nauczył, ale mi obiecywał, że półk cały śpiewać ją będzie. Pamiętam dotąd dwie ostatnie strofy, i przytoczę je tutaj dla osobliwości.

Dobrze tak, Francuzie, tobie,
Dobrze tobie tak!
Nie będzie stał na twym grobie
Święty krzyża znak.
Ciało twoje jak pies zgnije,
Ty synu czartowski!
A ja wołam: niechaj żyje
Bohater Kozłowski!

Wiersze te, pamiętam dobrze, układałem płacząc rzewnie, nie tyle z żalu, co ze złości i z nienawiści Francuzów. Nienawiść ta tak się stała panującą we mnie, że dopiéro podczas rejterady, gdy nieraz byłem świadkiem strasznego losu jeńców, uczucie to niena-

wiści ustąpiło miejsca niemniéj głębokiéj litości, i zwróciło się samo w odmiennym kierunku.

We Wrześniu, szkoły w Borunach zostały otwarte jak zwykle, i ja w nich, razem z Tadeuszkiem Skrzydlewskim, i pod zwierzchnictwem tegoż p. Adama Baranowicza, rozpocząłem zawód studenta klassy piérwszéj. Niedługo to jednak trwało; bo wnet zbliżająca się znów groza wojny rozproszyła uczniów, których rodzice, jak mnie moi, napowrót do domów zabrali. Wrzesień więc następnego, 1813 roku, był właściwie początkiem moich nauk szkolnych. A że wpływ ich gra ważną rolę tak w dziejach poetycznego kształcenia się mojego, jak i poetycznych stosunków na przyszłość, które są głównym przedmiotem tych wspomnień: przeto i obszerniejszą wzmiankę temu nowemu peryodowi mego życia (1813—1820) zamierzam w tém miejscu poświęcić. Wprzód jednak chcę dodać słów parę o losie tych dwóch piastunek-stróżek piérwszych moich poetyckich wrażeń i marzeń, o których wyżéj wspomniałem.

Charakter i usposobienie ich obu, były jak gdyby przepowiednią przyszłego ich losu. Panna Regina, uboga i sierota bez matki, ulegając zwłaszcza wpływowi ojca i braci, (bo opiekunowie jéj, państwo Skrzydlewscy, zupełną jéj zostawiali swobodę), poszła za mąż za jednego z sąsiadów, dziedzica porządnéj wioski, ale który właśnie dla tego, że miał być jéj dziedzicem, w szkołach uczyć się nie chciał, i skończył je na klassie czwartéj; osiadłszy zaś niby na gospodarstwie, hulał tylko, polował, pił i grał w karty; aż nakoniec zakochał się śmiertelnie w pannie Reginie. Doradzcy jéj sądzili, że go wpływ jéj poskromi i upamięta; ale sama ona tylko, niestety, stała się smutną ofiarą

głupstwa, brutalstwa, i dziwactw istnego półwaryata, który w lat kilka wtrącił ją do grobu. Małgosia zaś, sama majętna, poszła za głosem serca, i wybrawszy człowieka, który właśnie natenczas zawód pracy chlubnie zaczynał, dożyła z nim najszczęśliwiéj *złotego wesela*; i dziś jeszcze, kiedy to piszę, chociaż już wdowa po nim, żyje w poojcowskim majątku, na łonie licznéj i zacnéj rodziny, otoczona szacunkiem i życzliwością powszechną, i zachowując sama, w osiemdziesiątym przeszło roku życia, całą świeżość umysłu, a pokój i pogodę serca.

II.

Czasy szkolne.

„Czas leci niewstrzymany!—Ludzie, co niedawno
Na kolanach dzieciństwo nasze piastowali,
I lub dziejami przodków, lub baśnią zabawną
Duch w nas wieszczy i miłość kraju zapalali,
Gdzież są? Znikli ze świata! Zmarli, lub zgrzybiali,
Z myślą znużoną, z sercem wpół skrzepłém już w łonie,
Jako szczątki rozbicia nad brzegami fali,
Czekają, zda się—rychło, jak morze w swe tonie,
Wieczność ich coraz bliższa zajmie, i pochłonie!

Ale czas, jak pojedyńczych ludzi, porywa też i pochłania zarówno instytucye ludzkie i zwyczaje; a do tych pochłoniętych nazawsze, należą już dawne szkoły Litewskie, i panujący w nich ogólnie obyczaj. Szkoły te, osnute na zasadzie prawideł przez Warszawską Komissyą Edukacyjną ułożonych, zajęły miejsce szkół Jezuickich, po skasowaniu Zakonu; a te z nich, które przeszły pod zarząd duchowieństwa innych zakonów, w niczém, ani pod względem wykładu nauk, ani pod względem sposobu prowadzenia, nie różniły

się zgoła od świeckich; chyba, że kapłański charakter nauczycieli, jak powadze ich i posłuszeństwu uczniów, tak nawet saméj nauce, świętość religijnego obowiązku nadawał. To też szkoły duchowne dostarczały zazwyczaj uniwersytetowi w Wilnie kontyngens najpilniejszych i najmoralniejszych uczniów; i sam ów czysty, wzniosły, estetyczny kierunek i nastrój duchowy, który się w tym uniwersytecie rozwinął, i z którego następnie nowa nasza poezya wykwitła, winien był swój początek uczniom szkół tego rodzaju. Piękny i wierny ich co do ducha wizerunek masz, siostrzyczko, w „*Obrazach Litewskich*“ Chodźki, p. t. *Boruny;* i o tych też to właśnie Borunach, ja po prostu i prozaicznie mam zamiar dodać tu kilka rysów, któreby, jako komentarz, uzupełnić mogły wyobrażenie o tym wiejskim, małym, cichym zakątku, w którym wszakże, jak słońce w kropli, odbijał się wiernie zarazem cały charakter i obyczaj ówczesnych szkół Litewskich i studenckiego w nich życia młodzieży.

Otóż wyobraź sobie, siostrzyczko, wieś, zwaną miasteczkiem dla tego, że ma duży i piękny kościół murowany i otoczony murem; zegarową wieżę, kapliczkę na środku rynku, i dwupiętrowy klasztór, ale zresztą zabudowaną prostemi drewnianemi domami, w liczbie najwięcéj 25—30, licząc w to szkołę, dwie karczmy zajezdne w rynku, i dwie tuż za miasteczkiem, oraz stary w pół pusty dom w środku, rodzaj ratusza, zwany *Kaffenhauzem*, ale w którym jak rady miejskiéj, tak i kawy nigdy nie było, a mieszkał tylko stary Niemiec z żoną, przedającą studentom kołacze, obwarzanki i mleko, póki jagód i owoców nie było. Wszy-

stkie te domy, należące do mieszczan, nieróżniących się niczém od włościan, a raczéj od zaściankowéj szlachty własną ręką uprawiającéj rolę, zabudowane były częścią w rynku naprzeciw kościoła, częścią wzdłuż trzech tak zwanych ulic, ale rzeczywiście wzdłuż trzech dróg najzwyczajniejszych, z wybojami i kolejami, piaszczystych i błotnistych po deszczu, rozchodzących się na trzy strony z miasteczka, ale przez które wpoprzek nawet ścieżki brukowanéj nie było. Struktura ich ogólna, z małemi wyjątkami, była taka: Dziedziniec, oddzielony od rynku nizkim parkanem lub płotem. Z dziedzińca wejście do sieni, z niéj zaś na prawo i na lewo do dwóch osobnych mieszkań, złożonych każde z dwóch izb, nie więcéj, a rozdzielonych pomiędzy sobą jak sienią, tak równą jéj co do rozciągłości kuchnią czy piekarnią, do któréj się wprost z sieni wchodziło. Ta część domu była zawsze mieszkaniem gospodyni, utrzymującéj studentów, czy była nią sama właścicielka, czy tylko dzierżawczyni domu; a w takim razie właściciele mieścili się w oddzielnéj od domu chałupie.—Otóż te dwa apartamenta w każdym domu służyły za pomieszczenie dla uczniów, a mieściło się w nich tylu, ile łóżek mogło stanąć wkrąg ściany. Niekiedy obie połowy miały nad sobą jednego tylko *guwernera*, niekiedy w każdéj panował osobny. Grono uczniów, pod jednym guwernerem będących, nosiło ogólną nazwę *stancyi* tego a tego. Stancye więc, jak kraje, były większe i mniejsze, ale nigdy nie mogły ogarniać dwóch domów; panowanie nawet nad obiedwiema połowami jednego, było tylko udziałem samych li guwernerów *emerytów*, to jest takich, co sami skończywszy już szkoły, obowiązek w nich nauczycielski

spełniali. Wszyscy jednak guwernerowie w ogólności stanowili właściwie patrycyat szkolny, który sam bezpośrednio stykał się już ze sferą i władzą rządzącą, to jest z professorami i prefektem. Prefekt był, jeśli nie Dyktatorem, to przynajmniéj Konsulem téj całéj Rzeczypospolitéj studenckiéj; gdyż xiądz *Superior*, zarządzający całym klasztorem, częścią jego kościelną i majątkową, dla studentów był tylko jakby mytem, który sam nigdy z Olimpu ku nim nie schodził i bezpośrednio do nich się nie mięszał.

Na takiém to tle miejscowości i śród tych hierarchicznych towarzyskich warunków, rozwijało się i upływało rok rocznie życie około dwóchset młodzieży, najwięcéj synów szlacheckich właścicieli ziemskich, z Oszmiańskiego i sąsiednich powiatów, od 9—18 lat wieku. Nie tylko zaś jako sam wychowaniec Boruński, ale z bestronną śmiałością dodać tu mogę i muszę, że mało było szkół innych, któreby tylu swoimi uczniami sprawiedliwiéj poszczycić się mogły. Wielu używających słusznéj wziętości na wyższych potém obywatelskich urzędach, tak w powiatach swych i w guberniach, jak i w Królestwie Polskiém, tu wzięło swe wychowanie; jak np. znany chlubnie jako gubernator Płocki a potém Lubelski, w r. 1862, p. *Stanisław Mackiewicz*. A są téż i imiona, które ztąd na horyzont literacki wybłysły. Do tych ostatnich należą np. między innymi: *Antoni Wyrwicz*, professor matematyki w uniw. Wileńskim; *Wincenty Karczewski*, adjunkt professora astronomii w tymże uniwersytecie; Antoni *Odrowąż Kamiński*, autor uznanych za elementarne: jeografii i arytmetyki, i nakoniec Leonard i Ignacy *Chodźkowie*. O tym ostatnim będę mówił kiedyś obszerniéj w dalszym

ciągu tych moich wspomnień; ale tu potrąciwszy o imię Leonarda, nie sądzę by być miało zboczeniem od głównego ich celu, gdy też i o nim, nawiasowym sposobem, kilka drobnych szczegółów dołączę; a to tém bardziéj, że i wpływ literacki, jaki miał na mnie, na tę właśnie mniéj więcéj epokę przypada. Nie był on już moim kolegą szkolnym, ale był krewnym po matce, i przeto będąc w szkołach, gdy ja byłem dzieckiem, często pomniejsze święta w domu naszym, jako bliższym Borun, przebywał. Byliśmy z nim zawsze w najlepszéj komitywie; ale raz pokłóciwszy się o coś przy układaniu ziarn bobu w szeregi lecących żórawi: ja, mając w ręku blaszaną półkwaterkę z bobem, tak mocno uderzyłem go nią między oczy, że się oblał cały krwią z nosa. Zamiast jednak oddać wet za wet, albo skarżyć mię przed rodzicami, on tak owszem wspaniałomyślnie postąpił, że widząc żal mój i skruchę, nie tylko porywczość przebaczył, lecz nawet winę niby przypadku przyjął całkowicie na siebie; aż ja potém ruszony skruchą sam się do niéj dobrowolnie przyznałem. Odtąd stosunek nasz z mojéj strony przybrał charakter serdecznego przywiązania, którego on nie odrzucał, a które potém z laty zamieniło się we wzajemną przyjaźń. W roku jeszcze 1830, gdy go po raz ostatni widziałem w Paryżu, pokazywał mi biały znaczek pomiędzy oczyma, ślad uderzenia owéj półkwaterki, który często mu, jak powiadał, robił miłe wrażenie, przypomnieniem czasów dzieciństwa. Wpływ zaś jego literacki na mnie był zwłaszcza tego rodzaju, że mając prześliczny charakter, przepisywał sam sobie mnóstwo różnych wierszy, i tych mi do czytania udzielał. Tym sposobem, będąc już w szkołach, czytałem po raz piérwszy „*Nurka*“ Szyllera, w przekładzie J. N. Kamińskiego, i czytanie to sprawiło na mnie zwłaszcza ten skutek, że zaraz nazajutrz, sam z własnéj ochoty postanowiłem i zacząłem się uczyć po niemiecku, co nie wchodziło koniecznie w program nauk szkolnych. Inną jeszcze anegdotę o xiążce, przywiezionéj mi przez Leonarda Chodźkę do Borun, do późniejszéj narracyi zostawiam.

We wrześniu 1813 r., jak już wyżéj wspomniałem, rozpocząłem na nowo zawód studenta — nie pod dyrekcyą już pana Baranowicza, który do Wilna na uniwersytet pojechał, ale p. Bonifacego Brodowskiego, który także emeryt Boruński, w roku przeszłym zaciągnął się był do wojska, i odbywszy całą kampanię 1812 roku znowu tu na guwernerkę powrócił. Nie miał on poetycznych usposobień swojego poprzednika, (przez co i moje nie budzone usnęły), ale był to człowiek energiczny i zdolny, czego najlepszym dowodem była dalsza jego karyera. Odbywszy uniwersytet w Wilnie, został nauczycielem matematyki w gimnazyum tameczném, i umarł jako Dyrektor tegoż gimnazyum. W Borunach już miał on opinię najlepszego pedagoga; był naczelnikiem, i nawet sam gospodarzem najlepszéj stancyi w miasteczku, i miał pod sobą grono najwybrańszych uczniów. I on, i wszyscy koledzy byli dla mnie dobrzy. Tadeusz Skrzydlewski był razem; przez sień zaś naprzeciwko mieszkali, pod guwernerem Hajką, trzej Laskowiczowie z Lidzkiego, z których najmłodszy Karol, mój rówiennik, ze wzrostu i ciemnéj cery bardzo nawet do mnie podobny, (tak, że nas obu „*czarnuszkami*“ zwano), stał się najbliższym moim przyjacielem. Mimo to, oddalenie od domu, (o lekką milę tylko), i towarzystwo samych tylko chłopców, bez żadnéj dla pociechy

Małgosi albo Reginki, taką we mnie z początku obudziły tęsknotę, że całą moją ulgą w niéj było, iść pod dzwonnicę na wzgórku, zkąd mogłem widzieć dach i drzewa domowe, i płakać tam patrząc na nie. Aż dnia jednego nakoniec, nie opowiedziawszy się nikomu, choć czułem że to nie dobrze, wziąłem czapeczkę i kijek, i piechotą ruszyłem do domu. Widok malca idącego samopas drogą, zwracał uwagę przejeżdżających, którzy mnie w téj podróży spotkali. Ale wykłamałem się jakoś przed każdym, kto mnie o jéj powód zagadnął, i bez szwanku stanąłem w domu; gdzie téż w ślad za mną przybiegł konny posłaniec, w pogoń przez p. Brodowskiego posłany.

„I ja tu!“ zawołałem do pani Zabłockiéj, która widząc mnie wchodzącego aż się przeżegnała z przestrachu. Wykrzyknik ten stanął mi potém, jak to mówią, kością w gardle, gdy mi nim w szkołach wytykano oczy; chociaż gdybym był wiedział wtedy, że Karpiński podobnież kiedyś postąpił, gotów byłbym się raczéj chlubić z tego, nie wstydzić. Rodzice nie mieli serca skarcić mnie zbyt surowo za ten dowód przywiązania ku nim. Uraczywszy więc kawą po drodze, ojciec sam jak delinkwenta odwiózł mnie napowrót do szkoły—wprost do celi xiędza prefekta. Poezya i tu mi posłużyła. Prefektem był ten sam x. Martynian Komar, który przed dwóma laty na obiedzie u pp. Skrzydlewskich wiersze moje czytał i chwalił; a że był przytém przyjacielem rodziców, więc się rzecz jakoś załatwiła gładko. Oświadczył mi jednak surowo, że tylko przez pamięć tych moich wierszy, ten raz mi jedyny przebacza. Ale potém kiedyś mi mówił, że patrząc na moję minę w téj chwili, tak czuł razem i śmiech i litość, że chciałby był

mię raczéj uścisnąć, niż karać. Gorzéj było z p. Brodowskim, który nie uważając na obecność ojca, tak się był groźnie koło mnie zawinął, że zaledwie instancya ojca i obietnica przezeń uczyniona za mnie, że już tego więcéj nie będzie, uwolniły mnie od zapowiedzianéj pokuty. Była to naturalnie, jak teraz widzę, pedagogiczna komedya z jego strony, dla ustalenia swojéj powagi nade mną; ale téż miała ten zbawienny skutek, że odtąd byłem zawsze jednym z najposłuszniejszych i napotulniejszych uczniów; przez co także nawzajem większą od innych łaskę i przychylność jego zjednałem. To właśnie obudziło w niektórych kolegach pewien rodzaj zawiści ku mnie, i aby mi dokuczyć, przezwali mnie *dezerterem*, z powodu téj mojéj ucieczki. Gdy zaś wkrótce, w skutek skarg moich o to, p. Brodowski w swojéj stancyi, a professorowie w klassie, zakazali surowo używania tego przezwiska: koledzy, z przyczyny tego właśnie zakazu, nadali mi inne: *Benjaminka*, które już przy mnie na zawsze zostało. Bo chociaż pierwiastkowém jego źródłem było nie co innego, jak ironiczny przytyk do niezasłużonéj łaski guwernera i professorów: ale o tém się zapomniało z czasem; a zaś łaska ta coraz wzrastając, tak stała się wreście widoczną, że mnie istotnie wyróżniała od innych. Przyczyniło się wiele do tego, że byłem, obok z Karolkiem, najmłodszym i najmniejszym z całéj klassy; lecz że Karolek, zimniejszy z natury, był przytém trochę dumny i hardy, i przypodobać się bardzo nie starał: ztąd nie dziw, że nazwa Benjaminka do mnie jednego stosować się dała.

Ale nie chwaląc się, powiedzieć téż muszę, że od razu stanąłem w rzędzie celujących; nie żebym się

pilnością odznaczał, ale że uczenie się przychodziło mi jakoś łatwo, a miałem już nie złe początki, przez pana Baranowicza wszczepione. Przytém ani wiersze, ani Reginka, nie odrywały mnie od obowiązkowéj nauki; gdyż nie zachęcany przez nikogo do wierszy, całkiem o nich byłem zapomniał; a Reginka poszedłszy za mąż przestała téż być celem mych myśli. Nie przeszkadzało to przecież moim ulubionym marzeniom o niebieskich migdałach, ze świata *Tysiąca Nocy*, które były mi zawsze najmilszém zajęciem; ale gdy przyszła pora uczenia się zadanéj lekcyi, pakowałem się do jakiéjś ogromnéj beczki czy kadzi, na dziedzińcu stojącéj, aby nic około siebie nie widzieć, i tam przeczytawszy ją—to jest lekcyą—parę razy głośno, dla echa od ścian beczki, które mię bawiło, wyłaziłem z niéj—to jest z beczki—całą pensę umiejąc na pamięć. Byłem więc jednym z celujących w klassie; drugim zaś, nie po mnie, (bo żaden z nas nie był piérwszym), ale obok mnie, był starszy o lat parę ode mnie, a różniący się usposobieniem jak niebo od ziemi, kolega i powietnik, Hieronim Umiastowski. Był to ideał pilności, porządku, akuratności we wszystkiém. Wszystko co zrobił, było dobrze; co powiedział, było rozsądnie. W moralném też postępowaniu i obejściu się z kolegami, nie było w nim nic do zarzucenia. Ale we wszystkiém co robił, widział tylko to, co robi; mówił o tém tylko, co było, lub co go otaczało; a w postępowaniu z drugimi, nigdy ani w czułości, ani w gniewie, z granic umiarkowania nie wyszedł. Był to uosobiony praktyczny rozsądek, ale mu brakowało wszelkiego polotu imaginacyi. Na tém to polegała głównie wybitna między nami różnica, uwydatniająca się coraz bardziéj w klassach wyższych, któ-

reśmy ciągle przechodzili razem, piastując w nich naprzemian najwyższe godności.

Tu jest miejsce powiedzieć słowo o hierarchii między studentami; nie żeby to być miało w koniecznym związku z przedmiotem i celem tych wspomnień; ale jak dziś np. w starych pamiętnikach z ciekawością czytamy najdrobniejsze szczegóły z przeszłości, która już w mgle czasów zamierzchła: tak może i niniejsze za lat kilkadziesiąt podobnegoż interesu nabędą. A w każdym razie, dla ciebie saméj siostrzyczko! może to być niemniéj ciekawém, jak przypatrywać się np. przez chwilę ruchom pszczół w ulu, lub mrówek w mrówisku.

Szkoła Boruńska, jak każda powiatowa, była o sześciu klassach, i miała sześciu professorów głównych. Prefekt, jeżeli nie był także professorem, był siódmym, i ogólnym zwierzchnikiem ich wszystkich. Bywali téż niekiedy i osobni nauczyciele języków: rossyjskiego, francuzkiego i niemieckiego, z których dwa tylko piérwsze były obowiązujące. Dwie klassy piérwsze zwały się *niższemi*, cztery następne *wyższemi*. Uczniowie piérwszych, pod pogardliwém mianem *minimusów*, nie śmieli nawet wzdychać do równości, która już panowała między ostatniemi, i osobne towarzystwo składali. Dwaj ich professorowie nosili nazwę: Łaciny i Arytmetyki; czterej zaś klass wyższych: Wymowy, Historyi, Fizyki i Matematyki. Wszystkie te przedmioty wykładały się codzień we wszystkich po kolei klassach.

Porządek życia szkolnego był taki: O wpół do siódméj rano dzwoniono na mszę studencką, do której jednemu z professorów studenci na ochotnika służyli; guwernerowie zaś i szóstoklassiści, w ławkach litanię

do N. Panny po łacinie śpiewali. O siódméj krótkie śniadanie, a o w pół do ósmej *primum*, to jest piérwsze dzwonienie do szkoły, po którém w pół godziny następowało *secundum*, to jest hasło zajęcia miejsc w klassach i przyjścia professorów. Lekcye trwały do dziesiątéj, którą ogłaszał dzwonek, dzwoniący na *finem*. Po południu, prócz wtorku i czwartku, lekcye w klassach zajmowały czas od 2-ej do 4-ej, a lekcye językowe do piątéj, po czém już reszta dnia służyła na naukę w domu, i na zabawę (rekreacyą) po niéj. Dziedziniec szkolny, w czasie pomiędzy *primum* i *secundum*, równie rano jak po południu, tworzył obraz bez porównania tłumniejszy, ruchawszy, i gwarliwszy, niżli wieczorna nawet zabawa na rynku, w któréj wszystkie stancye razem, brały, lub mogły brać udział. W tym to albowiem czasie odbywała się na tym dziedzińcu jakby ogólna głośna naukowa spowiedź jednych przed drugimi, to jest recytowanie lekcyi przed *Audytorami*, którzy zdanie swe o ich umieniu, przekazywali *Imperatorom*, dla zapisania w *erracie*.

Do wszystkich tych wyrazów potrzebny jest już dzisiaj komentarz. Otóż, ponieważ sam professor nie miałby nigdy dość czasu na wykład, gdyby mu przyszło codzień zapytywać każdego z uczniów, czy i jak umie lekcyą poprzednią: wybierał więc zdolniejszych i pilniejszych do zastępowania go w tym obowiązku. Wybrani ci nosili u nas tytuł *Audytorów*, (w innych, a zwłaszcza świeckich szkołach, zwano ich *Dekuryonami*). Każdy z nich miał powierzonych sobie kilku, najwięcéj sześciu kolegów, których musiał codziennie, pomiędzy *primum* a *secundum*, z przeszłéj lekcyi wysłuchać, i zdanie swe, jak ją umieli, do wiadomości professora

podać. Za środek ku temu służyła tak zwana *errata*. Była to lista imienna wszystkich uczniów klassy, spisana rzędem na arkuszu papieru, a mająca przed każdém imieniem szereg kratek, w których się zapisywało codzienne zdanie audytorów. Zdanie to miało sześć stopni, a wyrażało się w ten sposób: *SC* proste, oznaczało że umie *(scit)*; *SC* z podkreśleniem, czyli, jak mówiono „na saneczkach", wyrażało wątpliwość *(sub dubio)*; *ER* znaczyło, że się w recytowaniu mylał, *(errando)*; *NB*, że umie nie dobrze *(non bene)*; *NR*, że przed audytorem nie recytował *(non recitavit)*; *NS*, nakoniec, że całkiem nie umie *(nescit)*. Professor, spójrzawszy w erratę, zapytywał sam tych lub owych, ażeby zdanie o nich zapisane sprawdzić; a wtenczas biada audytorom, którzyby przez pobłażanie lub niechęć, fałszywe złożyli świadectwo. Sami też oni nie byli wolni od audytorskiéj kontroli, tylko że audytorem nad nimi był już sam najwyższy dygnitarz klassy, *Imperator*, (w innych szkołach *Centuryonem* zwany), którego już tylko professor, który go sam mianował, miał prawo zapytywać i sądzić. Głównym atoli atrybutem jego władzy, było utrzymywanie i zapisywanie erraty. Siedział więc na katedrze professorskiéj pomiędzy *primum* i *secundum*, i mając na professorskim stoliku rozłożoną przed sobą ową erratę, wpisywał w nią zdania audytorów o innych, a swoje o audytorach. Łatwo pojąć, jak taka godność i powaga wpływała na dziecinne umysły; tém bardziéj, że kto raz już był nią obleczony, chociaż ją sprawować poprzestał, zachował zawsze pewne przywileje, które go wynosiły nad innych, np. że już nie miał nad sobą nigdy audytora. Gdy było kilku równie dobrze uczących się w klassie, wszyscy oni z kolei dostępo-

wali tego zaszczytu. Kresem zaś ich władzy w tym razie było zazwyczaj zapełnienie ostatnich kratek erraty; gdyż utworzenie nowéj natenczas, professor, jak monarcha utworzenie nowego gabinetu, nowemu zwykł następcy poruczał. Wszystko to wszakże miało tylko miejsce w trzech piérwszych klassach; w następnych liczono już na dojrzalszy rozsądek i pilność samychże uczniów, i już ani audytorów, ani erraty nie było.

Otóż wracając do siebie: W piérwszych zaraz tygodniach pobytu w klassie piérwszéj, jednocześnie i ja, i Umiastowski, dostąpiliśmy zaszczytu audytorstwa, i nic nigdy w dalszém mém życiu nie upoiło tak mojéj próżności i nie podniosło rozumienia o sobie. Nie wiém co czuł Umiastowski, bo on się z uczuciami swemi nie wywnętrzał; ale to wiém i pamiętam, że spełniał swój obowiązek ze ścisłością i sprawiedliwością wzorową, kiedy ja za spełnianie mojego, często, niestety, śród klassy na kolanach pokutować musiałem. Professorowie bowiem, dla tém większego zawstydzenia nieuków, najwyższych wzrostem i najstarszych wiekiem, będących już, jak mówiono, pod wąsem: mnie, jako najmłodszego i najmniejszego wzrostem, na ich właśnie audytora wybrali. Kiedy więc przyszło do recytowania lekcyi, ci panowie, dla skaptowania moich względów, wprowadzili w obyczaj, wsadzać mnie na swoje ramiona, i trzymając za nogi nosić tak po dziedzińcu szkolnym, podczas gdy z nich każdy z kolei lekcyą mi swoję wydawał. Jazda ta tak mi była do gustu, że odpłacając się za nią nawzajem, zapisywałem ich często lepiéj, niż istotnie zasługiwali; i ztąd powód owéj pokuty, o któréj wyżéj wspomniałem. Nie szkodziło mi to widać jednakże w ogólnéj opinii professorów, bo nie tylko że mnie z nich żaden o tę jazdę „*na osłach*“ nie upomniał,

ale owszem, sami niejako upoważniali mię do niéj, wzmiankując nieraz o tém w żartobliwy sposób, wtenczas nawet, gdy z jéj powodu klęczeć mi za pokutę kazali. Było i to zapewne skutkiem owéj łaski, która mi nazwę Benjaminka zjednała. A i w samych też moich penitentach, których spowiedzi słuchałem, miałem zawsze najgorliwszych obrońców, przeciw innym silniejszym kolegom, z którymi nieraz czasem przychodziło do kłótni, a niekiedy nawet do bójki. Przeciwnie penitenci Umiastowskiego bali się go, ale nie lubili, i kto wié czy nie byliby radzi, żeby go kto kiedy wyczubił; tylko że on sam nigdy nie zasłużył na to. Professorowie zaś, lubo go nigdy nie pieścili tak jawnie, nie mogli przecież nie uznać jego rzeczywistéj zasługi, i często go owszem głośno za przykład dla drugich stawiali; zaszczyt, którego ja, niestety, nie dostąpiłem nigdy. We wszystkiém bowiem inném szliśmy krok w krok tuż obok siebie: i gdy on na początku drugiego kwartału został *Imperatorem* z Arytmetyki, mnie tegoż dnia professor Łaciny także Imperatorem mianował. I odtąd we wszystkich trzech klassach, i to prawie we wszystkich przedmiotach, Imperatorska korona przechodziła tak ciągłą koleją z niego na mnie, a ze mnie na niego, jakbyśmy byli z sobą Getą i Karakallą. Nie wyrodziło to wprawdzie między nami ich zazdrości i nienawiści, ale też nie posłużyło bynajmniéj do spojenia ściśléj węzłami braterskiéj przyjaźni, która mnie przecież z wielu innymi kolegami łączyła. Natury nasze różniły się z sobą, a więc i serca zbliżyć się nie mogły. W miarę zaś dojrzewania w lata i postępowania do klass wyższych, staliśmy się bezwiednie i mimowolnie, jakby dwóma oddzielnemi punktami, około których sprzeczne dwa pier-

wiastki, poetyczny i realny, kupić się i krystalizowa zaczęły. Nastąpiło to zaś dopiéro w czwartym rok i w klassie czwartéj: i o tém właśnie mówić teraz będę

W ciągu dwóch lat i dwóch klass piérwszych, ni pamiętam, żebym wiersze jakie napisał. Wzmiank o nich w nauce nie było, a podniety postronnéj ni miałem. Czytanie jednak xiążek, a zwłaszcza litera ckiéj, powieściowéj treści, było mi zawsze ulubioną roz rywką, i podsycało marzenia, które były najulubień szą. Ono téż stało się głównym węzłem stosunku który mię coraz ściśléj z niektórymi kolegami jedno czył, aż się nakoniec w stałą przyjaźń na całe życi zamienił.

W klassie trzeciéj dopiéro zaczynała się mowa o literaturze i poezyi, łacińskiéj i polskiéj. Uczono się na pamięć wierszy w obu językach, a na ćwiczenie, kazano z łacińskiego tłómaczyć na polskie jakąkolwiek z *ód* Horacyusza, którą sam professor wybierał. Tu od razu znaczenie i wziętość moja u kolegów stanęły bardzo wysoko. Nie tylko bowiem piérwsze moje tego rodzaju ćwiczenie lepsze było od wszystkich innych — coby jeszcze nie wiele znaczyło; ale tak się samemu professorowi podobało, że je wszystkim swoim kolegom i panom guwernerom za osobliwość, jako dzieło jedenastoletniego malca, pokazywał. W skutek tego koledzy zaczęli do mnie udawać się po radę, a niektórzy i prosić, abym za nich ćwiczenie zwierszował. Próbowałem zatém i tego: niekiedy wprost dla przyjaźni, niekiedy dla obwarzanków; i bywało, że po dwa i trzy razy tę samą rzecz układałem inaczéj, w odmienne miary i rymy, a zawsze te moje elukubracye brały piérwszeństwo przed innemi. Cieszyło

to mię niezmiernie, ale się z tém nie wydawałem. Jeden tylko Umiastowski nie dał mi nigdy téj pociechy, abym w czémkolwiek mógł mieć górę nad nim. Przy piérwszém bowiem zadaniu wierszowanego ćwiczenia, poszedł do professora i oświadczył, że ponieważ wierszy pisać nigdy nie myśli, i zdolności do nich nie czuje, przeto o uwolnienie siebie od tych ćwiczeń uprasza, aby się przez nie nie narazić na śmieszność. Professor nie mógł odmówić słusznéj prośbie takiego ucznia, i *Hieronimus*, jak go nazywano, nigdy poważnéj myśli swojéj i palców, dorabianiem końcówek i liczeniem syllab nie skalał. Byłem więc na tém polu bez współzawodnika; bo starszy i sławniejszy już w szkołach poeta, był wtenczas uczniem klassy piątéj, i dopiéro w skutek zapewne téj kiełkującéj sławy mojéj, raczył z swéj wysokości zejść niżéj o dwa szczeble i zbliżyć się ku mnie. A powodem do tego były nie te przekłady moje z łacińskiego, ale oryginalny *quasi* epigramat, który, jak to się często i na wielkim literackim świecie wydarza, nie istotną wartością swoją, ale raczéj okolicznościowym skandalem, najszerzéj imię moje rozgłosił.

Jednym z kolegów moich w klassie trzeciéj, był syn blizkiego sąsiada, Stefan Snadzki, krępy, barczysty, silny i nadzwyczaj gniewliwy, i z tych wszystkich powodów nazwany *indykiem*. Był on jednym z tych, za których parę razy wierszowałem ćwiczenia — gwoli obwarzankom; miał już rok piętnasty, i był zakochany w sąsiadce. Po jednym więc kiermaszu w Borunach, kupiwszy dla niéj jakiś prezent, prosił mnie o stosowne wiersze przy posłaniu, obiecując za *honoraryum* nie już zwyczajne tylko obwarzanki, ale nawet cukierki. Poznałem z tego, jak mu o to idzie, i właśnie

skutkiem tego licho mię pokusiło do żartu. Napisawszy więc niby żądane wiersze, złożyłem papiér w formie listu i przypieczętowałem opłatkiem, aby go nie mógł łatwo od razu otworzyć; a gdy już przedzwoniono *secundum*, wcisnąłem mu go w rękę, i sam pobiegłem zająć swoje miejsce. Na papierze tym był dwuwiersz taki:

„Tej, która serce moje dziedziczy,
„Posyłam w darze mój nos indyczy."

Dusząc się od śmiechu spoglądałem z pod oka jakie to zrobi na nim wrażenie, i wtenczas się dopiéro spostrzegłem, na jakie niebezpieczeństwo sam się naraziłem. Snadzki zaczerwienił się cały rzeczywiście jak indyk, i nie tylko iskrzącém okiem, ale i ściśnionemi pięściami zaczął mi wygrażać zdaleka. Zląkłem się, ale zarazem i poczułem swą winę. A więc co było robić? Najwłaściwszym sposobem przebłagania gniewu zdało mi się rzeczywiste napisanie wierszy, jakich żądał, a strach dla mnie takim był bodźcem, że podczas wykładu professora, którego, ma się rozumieć, nie słyszałem, wiersze były już ułożone w myśli, i szło tylko jakim sposobem piérwszy zapęd gniewu jego uśmierzyć. Przyszli mi na myśl ponitenci moi, i zacząłem im dawać różne znaki, aby zaraz przy wyjściu zbliżyli się do mnie. Snadzki patrzał ciągle na mnie i groził. Gdy więc nakoniec zadzwoniono *finem* i professor ruszył się z katederki, ja tuląc się jak można było najbliżéj do jego boku, uprzedziłem Snadzkiego do drzwi klassy, a tam już zawołałem na moich obrońców, aby mnie przeciw niemu bronili. Zaczęła się więc jakby gra w *Gęsiora*. Snadzki rzucał się ku mnie jak furyat, ale wyżsi i silniejsi od niego odpychali go i nie dozwalali przystępu; ja zaś tym czasem z poza ich szeregu wołałem błagalnie do niego: „Panie Stefanie! Nie gniewaj się! daruj! mam już zrobione co chciałeś, i najszczerzéj ciebie przepraszam!" Słysząc to drudzy koledzy, wdali się także w tę sprawę, i hamując zapędy Snadzkiego, zaczęli się pytać o powód. On sam tak był nie rozważny, że im te nieszczęsne wiersze pokazał, które się zaraz po wszystkich stancyach rozbiegły. Koledzy przyznali słuszność Snadzkiemu, ale też razem wstawili się za mną, aby na mojém przeproszeniu poprzestał. Uległ;—a nowe wiersze, które mu zaraz przepisałem na czysto, dokonały przejednania i zgody. Odtąd wszakże postanowiłem najmocniéj nikogo nigdy więcéj w ten sposób nie obrażać.

Ale trzebaż, że właśnie ten mój zły postępek—może w skutek szczeréj potém skruchy—przyniósł mi najlepsze owoce: uwolnił mię raz od słusznéj kary za winę, sławę moję poetycką między kolegami rozszerzył, a co najwięcéj, zjednał mi piérwszego przyjaciela poetę, który potém, dziwnym zbiegiem okoliczności, był piérwszym moim introduktorem do grona uniwersyteckich poetów w Wilnie.

Przyjacielem tym był Antoni Frejent, którego imię, a nawet zarys charakteru, uwiecznione są w poezyi Adama. Był to rzeczywiście charakter mający swoje cechy wybitne, i jednający dlań wszędzie serca wszystkich, którzy go znali. Żywy, żartobliwy, dowcipny, ale bez najmniejszego cienia złośliwości, samą ciągłą wesołością humoru i jowialnością konceptów, grona koleżeńskie ożywiał. Dostąpił przeto zaszczytu, że go sami guwernerowie-emeryci do towarzystwa swego przyj-

mowali, a nawet professorowie lubili. Wiekiem także zbliżał się więcéj do nich, bo o lat cztery starszym był ode mnie. Ale piérwszy mój guwerner Brodowski, był w nieporozumieniu z guwernerem Frejenta, i przeto stancye nasze żadnéj z sobą styczności nie miały. Dopiéro, gdy po wyjeździe pana Brodowskiego na uniwersytet do Wilna, ja, zacząwszy od klassy drugiéj, przeszedłem pod zwierzchictwo pana Ignacego Jasiukowicza, miałem częściéj sposobność widywać Frejenta, który mi się bardzo podobał, ale który natenczas, jako na „*minimusa*," żadnéj na mnie nie zwracał uwagi.

Pan Ignacy Jasiukowicz, od piérwszéj klassy uczeń szkół Boruńskich, a potém w nich guwerner—emeryt, był téż człowiekiem zdolnym, pracowitym i zacnym; i tym swoim osobistym zaletom winien był w dalszém życiu świetną stosunkowo karyerę, którą sam sobie o własnych siłach wyrobił. Otrzymawszy w uniwersytecie Wileńskim stopień Magistra obojga praw, udał się do Petersburga, gdzie znalazł miejsce w Ministerstwie Sprawiedliwości, a postępując coraz wyżéj w hierarhii urzędniczéj, został nakoniec mianowany Prezesem Izby Cywilnéj, to jest Sądu Appellacyjnego w Kownie, i w podeszłym już wieku umarł na tym urzędzie, zostawiając po sobie chlubną i życzliwą pamięć. Ja mu wiele dobrego winienem, tak w szkołach jak i w uniwersytecie, pod względem zdrowych rad i przestróg, których mi nigdy udzielać życzliwie nie przestał. A lubo z jego to zwłaszcza porady, ojciec kazał mi chodzić na wydział prawny, a nie na czysto literacki, jak chciałem, (co było dla mnie istną stratą czasu), on wszakże, znając mnie dobrze od dzieciństwa, miał w tém jedynie dobro moje na celu. Chciał ująć myśli

moje w karby ściślejszéj nauki, i zwrócić mnie ku czemuś pożyteczniejszemu, niż było, zdaniem jego, pisanie wierszyków, i uganianie się za sławą literacką. Cel jego w tém się nie udał, a do osiągnienia mojego, być może, iż mi wiele przeszkodził. Ale w tém złéj woli nie było. Ja zaś złożywszy w tych słowach hołd wdzięczności dla jego pamięci, wracam do opowiadania mojego.

Otóż tedy, będąc już pod Jasiukiewiczem, częściéj widywałem Frejenta, ale on miał mnie za nic i nie zważał na mnie. Aż oto zaraz po téj historyi ze Snadzkim, wchodzi do nas, i śmiejąc się woła: „Gdzież jest ten wasz Benjaminek? Przychodzę powinszować, że go nie zadziobał zły indyk!". Taki wstęp i tuż za nim przyjacielski uścisk, od razu serce moje podbiły; czas i okoliczności dokonały reszty. W końcu szkolnego roku byliśmy już przyjaciółmi. A że właśnie w rok potém ojciec Frejenta umarł, i on nie miał gdzie wakacyj przepędzać, rodzice przeto moi zaprosili go na nie do siebie.

Ale jakież to były stosunki i okoliczności, które nas w szkołach między sobą zbliżyły? Między piętnastoletnim a jedenastoletnim chłopcem trudna jest osobista zażyłość. Trzeba chyba jakiegoś szczególnego ogniwa, któreby ich wzajem złączyło. Ogniwem tém między nami było wspólne czytanie xiążek i poezya.

Mówiłem już, że wspólny gust do czytania połączył mię był bliżéj z kilku kolegami. Było ich mianowicie czterech: Karol Laskowicz, Jerzy i Syxtus Jasiewiczowie, i Jan Tórczyński. Wszyscy synowie właścicieli ziemskich, wszyscy téż, oprócz Jerzego, byliśmy rówiennicy i koledzy w téj saméj klassie. Jerzy

o rok starszy od brata, wyprzedzał nas o jedną klassę. Xiążki czerpaliśmy z dwóch źródeł: ja z xięgozbioru p. Zabłockiego, Jasiewiczowie zaś z bardzo porządnie utrzymanéj i dość licznéj biblioteki krewnego swego, p. Zakrzewskiego, który mieszkał w sąsiedztwie, i był razem ich opiekunem. Każdą xiążkę czytaliśmy każdy z kolei, a następnie rozmowa o niéj była dla nas najmilszą zabawą. W tym celu, kiedy inni na rynku wieczorne rekreacye spędzali, grając zwykle w piłkę lub śnieżki; my czas ten obracaliśmy na to, aby zejść się gdzie w kącie, i „*gadać.*“ A przedmiotem tych gadań nie była nigdy literacka wartość lub krytyka xiążki, a tém mniéj sąd o autorze; ale wprost sama jéj treść, mianowicie kiedy nią była powieść o ludziach, w jakiéjkolwiek formie. Rozmawialiśmy więc tak o *Gonzalwie z Korduby*, *o Numie Pompiliuszu*, *o Hersylii*, *Moraimie*, i tym podobnych bohaterach i bohaterkach czytanych romansów, jak np. w kółku Umiastowskiego rozmawiano o znajomych powietnikach i powietniczkach. A że ówczesna stancya nasza, t. j. moja i Laskowicza, była lepsza i obszerniejsza od innych, więc téż i te zebrania odbywały się najczęściéj u nas; tém bardziéj, że zawsze przytém były także i wety. Składały je zazwyczaj surowa marchew i rzepa, które, gdy już jabłek zabrakło, najłatwiéj było przysłać dla mnie z domu, jako najbliższego od Borun. Każdy przeto przychodził ze swoim nożykiem, i gdy myśl połykała niebieskie migdały, skrobał sobie nim marchew albo obierał rzepę, których magazyn znajdował się pod łóżkiem.— Rozkoszne to były pogadanki; a stały się jeszcze milszemi, kiedy i Frejent nasze gronko pomnożył i wesołością je swoją ożywił.

Najpamiętniejszym wszakże dla mnie z czasu tych czytań wypadkiem, było piérwsze czytanie najprzód *Eneidy*, a potem *Iliady*, w przekładzie Dmóchowskiego. O exystencyi Eneidy dowiedzieliśmy się po raz piérwszy w klassie trzeciéj, gdy przy końcu piérwszego kwartału professor do Wirgiliusza przystąpił, i wybrał do tłómaczenia pieśń drugą. Żeby zaś nas lepiej zachęcić, odczytał z katederki w klassie tłómaczenie jéj przez Dmóchowskiego, które miał sam nie w xiążce, ale przepisane. Głowa moja zapaliła się jak Troja, gdy ten obraz zniszczenia jéj posłyszałem; a dowiedziawszy się, że cała xiążka jest o tém, nie miałem dnia i nocy spokojnéj, aż ojciec mój, pojechawszy do Wilna, kupił mi ją i przywiózł na kolędę. Czytałem więc ją raz piérwszy sam jeden, będąc w domu na świętach Bożego Narodzenia; a lubo mnóstwa rzeczy zrozumieć i skombinować nie mogłem, całość zawróciła mi głowę. Rozmiłowałem się zwłaszcza w Trojanach, i to wcale nie w Eneaszu, któremu owszem nie mogłem darować, że biedną Dydonę opuścił, a ziemię cudzą chciał zabrać; ale z powodu Nizusa i Euryala, których opis śmierci czytając, tak głośno zacząłem szlochać, że matka z przerażeniem wbiegła do pokoju, myśląc że mi się złego co stało. Euryal mianowicie był mi ideałem, w który ciągle wcielałem sam siebie, Frejenta wyobrażając w Nizusie. Wyjazd z domu osłodzony był mi nadzieją, że będziemy to razem czytali. Jakoż przez całą resztę zimy żyliśmy tylko i oddychali Eneidą, i właśnie z tego powodu dowiedzieliśmy się o Illadzie, to jest, że exystuje na świecie; gdyż jéj nikt, ani z guwernerów, ani z professorów, w oczy nie widział. Nabycie zatém Iliady stało się gorączkowém marzeniem

nas wszystkich. Ale niestety! Iliada, podług xięgarskiego katalogu, kosztowała całe sześć rubli, a cała nasza złożona gotówka nie wynosiła i połowy tego. Szczęściem, Tadeusz Skrzydlewski powiedział o tym naszym kłopocie swemu stryjowi. Bawiąc więc na Zapustach w domu, pojechałem raz z rodzicami do państwa Skrzydlewskich, gdzie była gra w faraona. Pan Skrzydlewski poniterując dał mi do wyciągnienia kartę, na którą gdy sporo coś wygrał, uniesiony hojnością dał mi rubla na Iliadę. Idąc za tym przykładem drudzy, ojciec mój i sąsiedzi, dawali mi też do wyciągania karty, a że jakoś wyciągałem szczęśliwie, cały fundusz na Iliadę zebrał się w mojéj kieszeni. Nazajutrz zdarzyła się okazya do Wilna—i przeto, jak z Bożego Narodzenia Eneidę, tak z Zapust Iliadę uszczęśliwionym kolegom przywiozłem. Czytaliśmy ją wszyscy razem, i w skutek tego wyrodził się między nami podział na Trojanów i Greków; nie dowolny, ale wynikający ze skłonności ku jednym lub drugim, tak, jak sama ta różność w skłonnościach, była może wynikiem różnicy charakterów naszych. Ja i Tórczyński byliśmy za Trojanami; Karolek, Jerzy i Syxtus stronę Greków trzymali. Jeden Frejent pozostał neutralnym. Nie brał on już tak po dziecinnemu do serca, jak my, tego co czytał; ale szczery jednakże miał udział w rozprawach, jakie się z tego powodu między nami toczyły. Roztrząsaliśmy i sądziliśmy najściśléj, każdy podług siebie, i prawa Greków do napaści na Troję, i niewinność biednych Trojanów; miłość Parysa i krzywdę Menelaja; i nakoniec osobistości każdego z bohaterów, postępki ich i uczucia. Tym sposobem, bezwiednie, i bez żadnéj pretensyi ku temu, brnęliśmy nieraz w najgłębszą kazuistykę polityczną, moralną, i nawet religijną, zastanawiając się np. nad tém: Czy Priam i Trojanie winni czy niewinni, że on nie chciał, a oni go nie zmusili, aby oddał Grekom Helenę, a Parysa sam jako ojciec ukarał? Czy Achilles winien albo nie winien, że Bryzeidy nie chciał oddać ojcu, a sam przez gniew swój i zaciętość uporu, stał się przyczyną tylu klęsk swych ziomków? Albo, czy taki wpływ bogów, jak w Iliadzie, nie odbierał wszelkiéj zasługi ludziom, i nie uwalniał ich przez to samo od wszelkiéj odpowiedzialności? i o ile te pogańskie pojęcia o stosunku Nieba z ziemią zgadzały się lub różniły z chrześcijańskiemi, i z poczuciem każdego z nas?

Mądre te i tym podobne rozprawy, toczone na seryo między kilkonastoletnimi malcami, ale w czterech ścianach zamknięte, nie ściągały jeszcze na nas śmieszności, w którą, w oczach realniejszych kolegów, podały nas nakoniec zabawy, dowolnie przez nas samych, na zasadzie téjże Eneidy, a zwłaszcza Iliady, urządzane. Gdy bowiem rynek dla innych był tylko, w zimie czy latem, polem zwyczajnych gier i gonitew studenckich; dla nas, po przeczytaniu tego poematu, stał się placem bitew pod Troją, a ślad strumyka, wzbierającego po deszczu, ale wysychającego w pogodę, przybrał znaczenie i nazwę *Simoisu*, tak, że stojących po dwóch jego stronach, rodzielał już przez to samo na dwa przeciwne obozy. My sami, oprócz Frejenta, który, dla starszeństwa wieku i klassy, nie uczestniczył już jawnie w tych farsach: my sami, ma się rozumieć, zajmowaliśmy stanowiska wodzów, ale rekrutowaliśmy każdy swój oddział, już to z podwładnych naszemu audytorstwu, już ze współmieszkańców stancyi, już na-

koniec z postronnych dobrowolnych ochotników, których każdy usiłował zwerbować. Zabawa zależała na tém, aby czy to śnieżkami, czy piłkami, jeden oddział nie dał drugiemu Simoisu przekroczyć.

Ale była jeszcze i druga, spokojnisjeza już w sobie, chociaż dla przeciwników naszych śmieszniejsza jeszcze zabawa, która się dla nas samych stała tak ulubioną, że się prawie zamieniła w namiętność, i zajmowała nam zwykle wiosenne i letnie wieczory.

Między stancyą Tórczyńskiego a wieżą kościelną był placyk prostokątny, długi na jakie 30 kroków, który wyłącznie do téj stancyi należał. Tam więc, za pozwoleniem jéj guwernera, urządziliśmy sobie szczególnego rodzaju kręgielnię. Nie była to albowiem zwyczajna gra w kręgle, ale znów wojna Greków z Trojanami, lub Trojan Eneasza z Latynami Turnusa. W tym celu przysposobiliśmy każdy sobie po jakie kilkadziesiąt kręgli, mniejszych i większych. Dla mnie, wyrabiał je syn naszego ekonoma, nadzwyczaj zręczny do siekierki; inni używali do tego mieszczan Boruńskich. A były téż między temi i kręgle kupne, toczone. Słowem, była to rzeczywiście armia kręgielna. A nie dosyć na tém. Każdy miał za punkt honoru przyozdobić jak najpiękniéj swój oddział. Obijaliśmy więc kręgle blachą, jak zbroją; oklejaliśmy złotym i srebrnym papierem, a nad główkami przyprawialiśmy kity z jaskrawych piór gołębich, kaczych lub kogucich, mających znaczenie szyszaków. Każdy kręgiel miał swoje imię, Trojanina czy Greka, a każdy z nas przynosił je z sobą co wieczór, i szykował w osobne szeregi. Za pociski służyły małe kulki drewniane, lub piłki. Czyj oddział piérwszy poległ do szczętu, ten uznawał się za zwyciężonego. Klęska nie

była bez smutku, jak zwycięztwo bez szczeréj radości. Śmiano się z nas, żartowano z początku, przezwano *kręgielnikami*, ale na tém i koniec. Starszyzna nic przeciw temu nie miała. Owszem, niektórzy z guwernerów, a niekiedy i sami professorowie, przypatrując się téj naszéj zabawie, stawali sami po téj albo owéj stronie, probując trafności swoich pocisków. Dla nas zaś, przez całe dwa lata, w trzeciéj i czwartéj klassie, zabawa ta była najmilszą.

Ale czy takie zajęcie imaginacyi czém inném, nie szkodziło nauce klassycznéj? Nie wiém, coby na to pytanie odpowiedział pedagog; ale się na nas to nie pokazało. Wszyscy byliśmy zawsze celującymi w klassie; a i to zda się warte jest dodania, że w dalszém życiu, wszyscy ci wyśmiewani bliżsi moi koledzy, (z których już żaden nie żyje), zajmowali każdy w swoim zakresie miejsca mniéj więcéj wydatne, i pozostawili po sobie ślad i chlubne wspomnienie; podczas kiedy rozsądni realiści, z wodzem swoim Umiastowskim na czele, chociaż zarówno celowali w szkołach, żaden z nich potém na świecie, z bogatszych czy uboższych, nad miarę stanu swego nie przerósł, i kręgu swego działania i wpływu nad zakres parafii swojéj nie rozszerzył. Wnioski ztąd zostawiam pedagogom; a sam do mojéj narracyi powracam. Gdy zaś w niéj, przy tych wspomnieniach o wybrykach dzieciństwa, wpadam może w zwyczajną przywarę starości, że rozwlekłości ograniczyć nie umiem: proszę o pobłażanie, najprzód ciebie, siostrzyczko, a potém i tych wszystkich, którzy to może czytać kiedy będą. Bo wszakże nie pod innym warunkiem wziąłem się do spisywania tych wspomnień, jak że mi wolno będzie nie trzymać się systematycznéj

ścisłości porządku, a pisać tylko, jakbym mówił ustnie; nie zrzekając się prawa wyboczeń i epizodów, jeśli mi się jakie na myśl nawiną.

Tak np. wspomniałem wyżéj, że epigramat mój „o nosie indyczym“ uwolnił mię raz od ciężkiéj, a zasłużonéj kary. Byłem bardzo skory do gniewu, i raz cisnąwszy kamieniem na kolegę, zraniłem go w twarz i okrwawiłem. Poszedł do prefekta na skargę, i ja jako delinkwent otrzymałem przez kalefaktora rozkaz, ażebym się także tam stawił. Wezwanie takie znaczyło, że już dekret był zapadł, i na egzekucyą tylko wołano. Szedłem więc jak na ścięcie—kalefaktor jak kat stał w progu. Szczęściem, że jeszcze prefekta nie było, i za chwilę dopiéro miał wrócić. Czekałem więc sam w celi;—a jakie było to oczekiwanie, tego i największemu nieprzyjacielowi nie życzę. Wtém widzę na płóciennéj okiennicy u okna jakiś napis z przeciwnéj strony. Przybliżam się, zaglądam—o! dziwy! widzę przepisany mój epigramat własną ręką xiędza prefekta! Otucha wstąpiła we mnie; a ta tak mi dodała wymowy w exkuzowaniu się z mego przestępstwa, że prefekt, z razu groźny jak Jowisz w Iliadzie, skończył na tém, że z uśmiechem szczypiąc mię za twarz palcami, kazał tylko iść kolegę przeprosić. Okoliczność ta jest mi pamiętną, bo miała wpływ na poskromienie porywczości mojéj, z któréj najskuteczniéj jednakże uleczył mię jeden starszy kolega. Obraziłem go dotkliwém słowem; za co on, popędziwszy za mną, porwał i cisnął mię w zaspę śniegu, na dziedzińcu będącą, tak, że utonąłem w niéj jak kamień w wodzie. Ale nim się z niéj wygrzebałem, miałem czas zastanowić się sam nad sobą, nad postępkiem i porywczością moją. Przeprosiłem więc natychmiast kolegę; a zaś ilekroć odtąd czułem zapał gniewu, zaraz mi go wspomnienie o tym śniegu studziło.

Ale chcę tu jeszcze przytoczyć jedną anegdotę, odnoszącą się do czytelnictwa naszego, a dającą wyobrażenie o usposobieniu umysłowém czytelników, o któréj także napomknąłem wyżéj. Leonard Chodźko, przejeżdżając przez Boruny do domu, przywiózł mi z Wilna jako gościniec, tylko co wyszłą tam z druku „*Złotą Wolność*,“ sztukę dramatyczną, „przez hr. Wincentego Kiszkę-Zgierskiego z Ciechanowca, *ex libera parte*.“ Szumny ten tytuł sztuki i autora, a przytém bardzo ozdobne, jak na owe czasy, wydanie, zaimponowały mi z góry. Zabrałem się do czytania tego drogiego skarbu, wybrawszy sobie ciche i samotne miejsce na polu pomiędzy żytem. Ale czytam raz, i nie rozumiem. Czytam powtóre, i skutek ten samy. Nakoniec trzecie, również nadaremne czytanie, wprawiło mię w formalną rozpacz nad tępą moją głową i nieuctwem. Daję więc xiążkę Karolkowi, i pytam potém, jak mu się podoba? Odpowiada, że nic nie rozumie. Pocieszyło to mię trochę; ale puszczamy xiążkę w kurs dalszy. Od wszystkich, nie wyjmując Frejenta, odpowiedź zawsze jedna i ta sama; tylko że Frejent mówi śmiejąc się: „*non capisco*.“ Ruszamy więc z tym zaklętym skarbem do professora Wymowy, którym nie był już xiądz Martynian Komar, powołany na superiora do innego klasztoru, ale daleko młodszy i mniéj uczony od niego X. Lewkowicz. Kazał nam przyjść za dni parę, i kiedyśmy przyszli, powiada: „Widzicie, moi kochani! są tu różne allegorye, alluzye, fantazye, których wy błazny jeszcze nie możecie zrozumieć.“ Nie powiedział czy

sam zrozumiał; ale nie zrozumiał, niestety! że to jest takie głupstwo nad głupstwami, jakie nie wiém, czy kiedy drukowane było. Nie prędko potém sami przekonaliśmy się o tém. Wtenczas zaś byliśmy wszyscy upokorzeni straszliwie w oczach własnych; ale nikt głębiéj i dotkliwiéj nade mnie. Bo wszyscy oni byli tylko gorliwymi czytelnikami dla tego, że ich to samych bawiło i zajmowało; ale żaden z nich nie chciał, ani myślał, aby sam miał być kiedyś autorem. Frejent nawet, piszący wiersze, pisał je wprost jakby dla żartu lub tylko dla zabawy drugich, bez najmniejszego cienia pretensyi, aby zostać drukowanym poetą. We mnie zaś ta pretensya wtedy już zaczynała kiełkować; a rozwinęła się na dobre podczas tych wakacyj właśnie, które Frejent, wraz ze mną, w domu moich rodziców przepędził. Nie on wszakże do tego był mi głównym powodem, ale raczéj dwa nowe stosunki, z których jeden jemu zwłaszcza zawdzięczam.

Z obrazu *Borun*, przez Chodźkę, pamiętasz może, siostrzyczko, że między Borunami a Giejstunami, to jest domem moich rodziców, leży wieś zwana *Zahorze*, gdzie stary polski szlachcic, p. szambelan Bujnicki, przyjmował gościnnie majówki studenckie, które nieraz aż do Giejstun sięgały. Bywało tak i za moich czasów, i zapewne nie było bez wpływu, jak na względy i łaskę professorów dla mnie, tak i na moje w obec kolegów stanowisko. Otóż majątek ten Zahorze, który dzierżawił tylko pan Bujnicki, kupił od właściciela jego, p. Jana Chodźki, autora „Pana Jana ze Świsłoczy," professor medycyny w uniwersytecie Wileńskim, p. Ferdynand Spitznagel, dawny ojca mego znajomy, i raz piérwszy w tym roku na wakacye tam z rodziną przy-

jechał. Rodzina ta, prócz żony, składała się z trzech synów, i córki w kolebce. Z najstarszym z nich, Ludwikiem, najbliższa wkrótce związała mnie przyjaźń. W dalszym ciągu tych moich wspomnień, nieraz mi przyjdzie może mówić jeszcze o nim; bo był to jeden z tego rodzaju ludzi, z jakich wyrastają dla świata albo wielcy ludzie i gieniusze, albo wielcy awanturnicy; najczęściéj zaś, jak kwiat zbyt wysilony, giną przed wydaniem owocu. Tu mówię o nim takim, jakim był w tym czasie. Wiekiem był młodszy odemnie o lat parę, ale co naukowém rozwinięciem, to mię nieskończenie przewyższał. Eneidę czytał już sam po łacinie, a Iliadę z ojcem po grecku. Po francuzku mówił jak po polsku, a po niemiecku czytał i rozumiał, ale mówić nie cierpiał i nigdy nie mówił. Wszystkie zioła i kwiaty, równie jak wszystkie muszle, robaczki i motyle, na które ustawnie polował, znał i umiał nazywać po łacinie; o innych zaś naukach przyrodzonych miał wyobrażenia ogólne, jasne i szerokie. A że namiętnie lubił czytać xiążki, a miał kto ich wyborem kierował: więc zamiast samych tylko bajek i romansów, jak ja i moi Boruńscy koledzy, miał w pamięci tysiące historycznych faktów, mianowicie z historyi starożytnéj, przeczytawszy już całego Plutarcha. Wszystko to zawdzięczał on ojcu, który od piérwszego dzieciństwa, postrzegłszy w nim nadzwyczajne zdolności i pamięć, nie przestawał ich rozwijać i kształcić— za nadto; bo zbyt wzmagając siły umysłowe, nie zwracał dosyć uwagi, czy niemi rozum dziecinny jak należy kierować potrafi. To téż pomimo téj całéj swojéj uczoności, był on w gruncie większém dzieckiem

ode mnie. Wszystko co umiał, służyło mu tylko na to, iż można było powiedzieć o nim z Walter-Skotem:

„Z xiążek to tylko wyczerpnął, co drażni
Gorączkę myśli i szał wyobraźni.“—

A wyobraźnia ta tak się w nim rozbujała, że już ja względem niego byłem takim rozsądnym realistą, jak względem mnie np. Umiastowski; tylko, że punkt wyjścia naszego, i cel, i natura umysłu, były tego samego rodzaju. Ale moja wyobraźnia przy jego, była to jak jaskółka przy orle; szybowała tylko po nad ziemią i tuliła się do mieszkań ludzkich; podczas gdy fantazya jego rwała się wciąż i leciała w przestrzeń nieskończoną — i przez to samo gubiła się w czczości. To mi dzisiaj tłómaczy tę psychiczną zagadkę, jakim sposobem ta właśnie wyższość jego nademną we wszystkiém, dała mi wyższość nad nim w stosunku naszym realnym, i to nawet do tego stopnia, że stał się istnym niewolnikiem moim. Nie żebym ja tę niewolę chciał lub starał się jemu narzucić, ale że się on sam jéj gwałtem i prawie z namiętnością poddawał. Był to w nim symptom i dowód kochania; a niestety! kochać inaczéj nie umiał. To *niestety* ściąga się do jego przyszłości, a nie do naszego stosunku naówczas; bo ten był dla nas obu źródłem niewyczerpanych rozkoszy, a żadnemu z nas szkody nie przyniósł. Dla mnie owszem, oprócz niezmiernego rozszerzenia horyzontu ówczesnych moich wyobrażeń i myśli, a raczéj marzeń, wyrodził on w dalszém życiu niezmierny także realny i moralny pożytek.

Rodzice jego pokochali mię jak czwartego syna, i przez ciąg cały pobytu mego w uniwersytecie, dom ich był jakby rodzicielskim dla mnie. Dom ten zamożny, urządzony na wsi na sposób miejski, różnił się od wszystkich naszych domów szlacheckich, jakie dotąd widywałem w sąsiedztwie. Nie było i to bez wpływu na imaginacyę moję; a zaś guwerner dwóch starszych braci, uczeń uniwersytetu, p. Kazimierz Kukiel, człowiek światły, rozsądny i zacny, przyczynił się niemało do nadania jéj pewniejszego kierunku, czego właśnie z uczniami swymi nie umiał, czy nie mógł dokazać. Być może nawet, że chcąc jak rykoszetem wpływać na nich przeze mnie, tak się mną gorliwie zajmował.

Gdy więc uszczęśliwiony z towarzystwa Frejenta w domu, opływałem w potoku nowych wrażeń w Zahorzu, Frejent tymczasem zawiązywał stosunek inny, który wkrótce oddziałał i na mnie. Sąsiadem naszym o miedzę z drugiéj strony, był p. Józef Karczewski, poważny i wzięty obywatel i prawnik, który właśnie w tym czasie kierował prawnemi interessami tak zwanéj „Massy Radziwiłłowskiéj,“ broniąc ich, jako adwokat, przed sądem ustanowionéj dla niéj osobnéj komissyi w Wilnie. Nie mogąc sam opuścić miasta, dwóch synów, chodzących tam do szkół, przysłał wraz z guwernerem na wieś, na wakacye do matki. Guwernerem tym był p. Teodor Łoziński, uczeń uniwersytetu, który ważną potém odgrywał rolę w dziejach rozwoju nowego kierunku i życia pomiędzy uniwersytecką młodzieżą. Starszy Karczewski (Juljan), mój rówiennik, został potém niepospolitym malarzem rodzajowym; doskonalił się w Rzymie, i młodo tam umarł. Brat młodszy wprzód go jeszcze poprzedził do grobu. Oprócz sąsiedzkiéj znajomości od dzieciństwa, nie wiązały mię z nimi żadne bliższe stosunki; ale Łoziński niezmiernie podobał sobie Frejenta. Obaj wkrótce tak się zbliżyli,

jak ja z Ludwikiem Spitznaglem. Codzień prawie schodzili się na pół drogi w lasku, i usiadłszy tam w cieniu na trawie, nieskończone prowadzili rozmowy. Rozmowom tym i ja często bywałem obecny, i nie małą z nich odniosłem korzyść. Łoziński był namiętnym zwłaszcza lubownikiem teatru, na który stale w Wilnie uczęszczał, i treść sztuk, które widział, z wielkim talentem opowiadał, i opowiadać lubił; a że miał zawsze we mnie niemniéj chętnego słuchacza, więc téż powziął i dla mnie stosowną do różnicy wieku przychylność. Opowiadania te jego wielki wpływ na mnie wywarły. Z nich to dowiedziałem się po raz piérwszy o *Hamlecie*, *Makbecie*, *Otellu*, *Królu Learze*, *Inezie de Castro*, i t. d., które to wszystkie sztuki przedstawiane już były wtedy na scenie Wileńskiéj. O teatrze miałem już sam wyobrażenie, będąc na nim po razy kilka za bytności z ojcem moim w Wilnie. A zresztą i w Borunach także co roku, po odbytym egzaminie publicznym, starsi uczniowie, dla zabawy matek i siostrzyczek, na ten obchód przybyłych, przedstawiali w stodole widowiska teatralne, złożone zwykle z komedyi Bohomolca, a w których i ja czasem brałem czynny współudział. Teraz więc w myśli i wyobraźni mojéj otwarły się na raz dwie perspektywy. W jednéj widziałem tylko same treści i bohaterów tych sztuk; w drugiéj zaczęła mi się ukazywać jak we mgle promienista chwała autorska. Co to za szczęście napisać taką sztukę, którą przedstawiają w teatrze! na którą tyle ludzi gromadzi się razem, tyle rąk bije brawo, tyle pięknych panienek płacze, i może pragnie poznać jéj autora!.. Chęć do autorstwa obudziła się we mnie stanowczo. A był to téż jeden z tych punktów, na

którym niby podobni, różniliśmy się jednak całkiem z Ludwikiem. I on téż pisał wiersze, i on pragnął sławy u świata. Ale autorstwo dla niego było rzeczą podrzędną. Ostatnim celem jego żądzy chwały, było, wyjść kiedyś samemu na bohatera jakiéjś epopei; wyzwolić jaką ziemię świętą, jak Goffred; odkryć jaki świat nowy, a przynajmniéj nowe drogi po świecie, jak Kolumb albo Vasco de Gama. Bo od niego to po raz piérwszy dowiedziałem się o „*Jerozolimie Wyzwolonéj*“ Tassa, i o „*Luiziadzie*“ Kamoensa, których tłómaczenia po polsku wkrótce potém przysłał mi z Wilna. Panienki nie tylko nie grały żadnéj roli w jego wyobraźni, ale ich owszem specyalnie nie cierpiał. A że sam miał cerę panieńską, więc kładł się nieraz na największym skwarze słonecznym i polewał sobie twarz wodą, aby się mógł opalić i poczernieć, i przez to lepiéj na bohatera, a chociażby tylko na korsarza wyglądać. Ale wszystkie te górne i olbrzymie marzenia nie przeszkadzały mu wcale być dzieckiem i smakować w zabawach dziecinnych. Moje np. pancerne i pierzaste kręgle tak mu się podobały, że musiałem na jego prośbę przewieźć je do Zahorza, gdzie po całych godzinach graliśmy w nie, a raczéj w Iliadę; i te wspólne upodobania, więcéj może niż same rozmowy, przyczyniały się do tego stosunku, jaki się między nami zawiązał. Dosyć, że ten stosunek, i w ogólności całe te wakacye, miały ważny wpływ na mnie pod tym zwłaszcza względem, że z rozszerzeniem zakresu chęci moich i marzeń, poczułem sam potrzebę nauki, i o ile zdolności i wrodzone, niestety, lenistwo pozwalało, zabrałem się do niéj gorliwie, nie przestając na

lekcyach szkolnych. Najwięcéj wszakże na tém zyskała moja francuzczyzna. Od samego początku klassy piérwszéj, brałem ciągle lekcye prywatne od professorów tego języka, a w roku trzecim ojciec przyjął do mnie Francuza, jednego z pozostalców po roku 1812. Był to człowiek prosty, ale czytać i pisać umiał, i przywiązał się szczerze tak do mnie, jak i do wszystkich moich kolegów. Korzystaliśmy więc nieco z jego rozmowy, aleśmy się nie starali korzystać. Teraz dopiéro zrozumiałem ważność tego języka, i nie poprzestając na konwersacyi i lekcyach, wziąłem się do czytania sam z dykcyonarzem i wypisywaniem wokabuł, których potém uczyłem się na pamięć. Przy końcu klassy czwartéj czytałem już wiersze francuzkie, a Kornel, Rasyn, Boileau i Delill, najbardziéj mi się podobali. Zacząłem téż uczyć się i po niemiecku, po przeczytaniu *Nurka*, ale w tém umiejętność moja postąpiła nie wiele, bo sam professor nie wiele co umiał.

Ale tęskno mi już do wyjścia ze szkół; a nadewszystko mam skrupuł trzymać cię tak długo, siostrzyczko, między żakami, którzy jeszcze i w klassie czwartéj przedłużali ten sam rodzaj życia i zabaw, o których już wyżéj mówiłem. Imaginacya grała w tém zawsze główną rolę. Piérwsza lepsza powiastka, skoro nas nieco żywiéj zajęła, stawała się dla nas treścią jakby pewnego rodzaju dramatu, któryśmy, w roli jéj bohaterów, między sobą odegrywali. Ja raz przypłaciłem to drogo. Po przeczytaniu „*Gonzalwa z Korduby*,“ Floryana, we czterech obok, jak czteréj hiszpańscy rycerze, galopowaliśmy (każdy na swoich nogach), na pomoc pięknéj Zoraidzie. Stos jéj gorzał nam w oczach, a każdy z nas w téj chwili, jak centaur,

czuł w sobie razem człowieka i konia. W tém rumak mój pode mną zwinął się na chropawym gruncie, a ja tak stłukłem i prawie złamałem rękę, że przez kilka miesięcy władać nią zgoła nie mogłem, a dobrze już nigdy nie mogę.

W piątéj i szóstéj klassie dopiéro, myśli i wyobrażenia nasze, zaczęły, jak jedwabniki z kokonów, wykluwać się na świat rzeczywisty i zwracać się ku czemu innemu; nie ku poważnym jeszcze celom lub obowiązkom życia, ale tylko ku nowym przedmiotom zajęcia i upodobania. Cześć dla Muz pozostała zawsze niezmienną; ale i inne bóstwa i bóstewka Olimpu zaczęły się téż dopominać o swoje. Mnie zwłaszcza pociągnęła Dyanna; stałem się zapalonym myśliwym, ale to tylko w marzeniu; bo oprócz wakacyi w domu, czasu w szkołach na praktykę nie było. Dłuższe tylko dni i wieczory wiosenne mogliśmy mieć do rozporządzenia, i ja te obracałem na polowanie na słomki. Wspominam tu o tém dla tego, iż sądzę, że parę szczegółów w tym przedmiocie może uzupełnić niejako obraz ówczesnego życia szkolnego, a nawet i stosunku uczniów z nauczycielami.

Kiedy już byłem w klassie piątéj, przyjechał na professora wymowy, młody xiądz Butrymowicz, miły, dobry, wesoły, a przytém zapamiętały myśliwy. Zaszczycał i on mnie swoją łaską, a ja go pokochałem serdecznie. Że zaś wszelka zabawa z fuzyjką była wyraźnie wzbronioną dla uczniów, a surowy xiądz matematyk i prefekt, ściśle tego zakazu przestrzegał: wieczorne więc moje wyprawy na słomki, były zawsze połączone z obawą i niebezpieczeństwem odkrycia; tém bardziéj, że niefortunnym przypadkiem, sam na się

pod tym względem uwagę i podejrzenie ściągnąłem. Razu jednego, przy wykładzie w klassie algebry, któréj nigdy pojąć dobrze nie mogłem, ja, niby z wielką uwagą wlepiwszy oczy w tablicę, widziałem rzeczywiście na niéj, nie zrównania, które pisał professor, ale wyraźnie przeciągające słomki, i tak dalece dałem się unieść marzeniu, że strzelając niby do jednéj, mimowolnie wymówiłem: *puf!* — Śmiech powstał między kolegami, a professor odwróciwszy się z gniewem od tablicy, oprócz dotkliwego skarcenia za nieuwagę i nieuszanowanie szkoły, dał mi jeszcze wyraźnie do zrozumienia, że się domyśla źródła tego wykrzykniku, i ostrzegł mię w sposób wielce znaczący, ażeby się ten domysł nie sprawdził. Znalazłem się więc jak między młotem i kowadłem. Zakaz podniecał owszem we mnie Endymionowe zapały; ale téż kalefaktor i dwaj stróże szkolni stali mi ciągle w myśli jak psy Akteona. Uciekłem się więc pod opiekę kochanego *Xiędza Wymowy*, i nie zostałem omylony w nadziei. Pozwolił złożyć u siebie w depozyt moję fuzyjkę, i kazał swemu chłopcu nieść ją codzień za sobą na umówione miejsce, gdzie już ja z próżnemi rękami, niby na prosty spacer wędrowałem. Za toż nim się przeciąg słomek rozpoczął, kazał mi deklamować sobie różne wiersze, które sam passyami lubił, a które ja kopami umiałem na pamięć. Zacząłem téż nawet na cześć jego pisać wielkie poema, p. t. „*Myślistwo*“ na wzór „*Ogrodów*“ Delilla, i układałem je w myśli, czatując na słomki. Tym sposobem czas polowania nie był dla mnie pod względem poezyi czasem straconym; owszem, wtedy najlepiéj roiły mi się wiersze;—których zresztą siedząc przy stoliku z piórem w ręku, nigdy ani przedtém, ani potém, pisać jakoś nie mogłem. Poezya téż ze swojéj strony dopomogła mi najwięcéj do zadośćuczynienia Nemrodowym gustom.

Znanym i szanowanym powszechnie, nie tylko w swoim, Oszmiańskim powiecie, ale i w całéj prowincyi naszéj obywatelem, był sąsiad nasz o trzy mile, pan Jerzy Soroka; człowiek, o którym możnaby powiedzieć, że skupiał w sobie, pod wszelkiemi względami, typowe rysy dawnego polskiego szlachcica i obywatela ziemskiego. Był on rodem z Czerwonéj Rusi, i rozpoczął swój zawód na dworze xięcia Generała Ziem Podolskich, którego stał się wkrótce piérwszym ulubieńcem. To właśnie wplątało go w kłótnię z niejakim Szwykowskim, który podobneż łaski posiadał u saméj xiężny. Z kłótni przyszło do pojedynku na szable, i Szwykowski poległ na placu. Soroka dosiadł konia, i oparł się aż w Turecczyznie. Rok przeszło bawił w Konstantynopolu, i dopiéro za wyjednaniem dlań przez xięcia żelaznego listu od króla, powrócił znowu do kraju. Nie do Galicyi już wszakże, ale do Litwy, gdzie ożenił się z dziedziczką majątku, w którym mieszkał w powiecie oszmiańskim, sprawując w nim zarazem wysoki urząd Prezesa Sądu-Ziemskiego, a potém Podkomorzego, z wyboru obywateli. Był to w całém znaczeniu dawny Rzymski Cenzor, z surowym nastrojem Katona, nie tylko dla oszmiańskiéj palestry, ale i dla wszystkich tamecznych urzędników, a nawet dla całego powiatu. Bali się go téż wszyscy jak ognia; bo każdemu lubił wypalić *verba veritatis*, kręcąc wąsa i zaczynając od „*Mos Dobrodzieju!*“ co było zawsze jako grzmot przed burzą; a nikt mu się nie śmiał sprzeciwić. Sam atletycznéj, wspaniałéj postawy, nosił się

strojno po polsku, zawsze przy karabeli, i z głową podgoloną wysoko. Jeździł nie inaczéj jak konno, i nawet dalsze podróże w ten sposób z luzakiem odbywał. Przytém lubił żyć gościnnie i dworno, i trzymał formalne myślistwo: ogary, charty, wyżły, i kilku strzelców, z których jeden, zwany *Jaroszkiem*, choć miał już lat 70, tak był sławny w całym powiecie, że go miano za czarownika. Żadne łowy, żadna obława na dziesięć mil dookoła nie obyły się bez pana Soroki, który na nie, z całą swą psiarnią i myślistwem, sam konno, z dubeltówką przez plecy, przyjeżdżał. Otóż, na jednéj takiéj obławie na wilki, ja także postawiony w linii strzelców, choć się nie doczekałem wilka, ale nudząc się na przesmyku, ułożyłem dytyramb na cześć pana Soroki, który w wieczór, przy obiedzie myśliwskim, patetycznie wydeklamowałem. Starzec tak był przez to ujęty, że zaraz nazajutrz przysłał mi w podarunku śliczną małą fuzyjkę, i nadto dwie sfory gończych ze strzelcem, abym z niemi, póki zechcę, polował. Ta niezwyczajna łaskawość ze strony pana Soroki, zjednała mi rozgłos w powiecie, a we mnie samym podwoiła zarazem ochotę do polowania i zapał do poezyi.

Mówiłaś mi kiedyś, siostrzyczko! że z ciekawością w dzieciństwie czytałaś moję „*Izorę*“. Może więc będziesz ciekawa wiedzieć jéj *genezę*, z któréj téż lepiéj może, niżbym sam mógł powiedzieć, stopień ówczesnéj mądrości mojéj wyrozumiesz.—Przez dwa lata polując na ptaszki, nigdy jeszcze nie ubiłem zająca; a zaś wzdychałem do tego, jak giermek do złotéj ostrogi. Nakoniec, d. 20 Sierpnia 1819 r. (datę dotąd pamiętam), polując właśnie z psami pana Soroki,

w przeciągu jednéj szczęśliwéj godziny, ubiłem nie jednego, ale aż dwóch szaraków. Radość moja nie miała granic. Nie pozwoliłem strzelcowi dźwigać tych trofeów, które tak mi oberwały ramiona, że przez tydzień rąk podnieść nie mogłem. A że dnia tego wieczorem, czytając dzieło Segura p. t. „*Les Femmes*,“ znalazłem w niém ową historyę o Izorze, która mi się podobała niezmiernie: więc dla upamiętnienia dnia tak wielkiego tryumfu, ślubowałem najmocniéj sam sobie, że z niéj kiedyś napiszę dramat; co téż w lat ośm dopiéro potém, uskuteczniłem w Warszawie. Planowanie albowiem dramatów, na wzór francuzkich, było naówczas głównym przedmiotem moich myśli, a zaś dla wprawy w dyalog tłómaczyłem „*Esterę*“ Rasyna. Jedno i drugie oddawałem pod sąd Frejenta, który i te jeszcze wakacye w domu moich rodziców przepędzał. Towarzyszył mi i on czasem do lasu, ale zazwyczaj bez strzelby. Zbierał tylko orzechy i grzyby, a w kieszeni miał zawsze ulubiony swój flecik, na którym, zwłaszcza spotykanym dziewczętom albo małym pastuszkom, różne wiejskie melodye wygrywał. Nie wiedział on co z sobą począć; aż wreście ośmielony przez Łozińskiego, który mu ofiarował mieszkanie u siebie, puścił się w imię Boże do Wilna, i tam, podobnie jak w Borunach, stał się wnet ulubieńcem kolegów, a przyjacielem wszystkich wierszopisów, z którymi mnie téż pierwszy, jak już wyżéj napomknąłem, zapoznał. Był to dzień nazbyt ważny i pamiętny dla mnie, abym tu szerzéj o nim nie wspomniał.

Było to na Zielone Świątki w r. 1820. I nie mogę tu pominąć milczeniem szczególniejszéj, a rzeczywiście dziwnéj w życiu mojém okoliczności, to jest,

że wszystkie moje najważniejsze, najmilsze znajomości, z których wyniknęły najbliższe i najbardziéj wpływowe stosunki, że wszystkie prawie przypadają na uroczystość Zesłania Ducha Świętego.

Otóż w roku 1820, kiedy jeszcze kończyłem szóstą klassę w Borunach, ojciec mój, korzystając z feryj świątecznych, wziął mnie z sobą na dni kilka do Wilna, gdzie się chciałem z Frejentem i z Ludwikiem Spitznaglem obaczyć. Frejent ucieszył się tém bardziéj, że właśnie w Poniedziałek świąteczny miała być wielka koleżeńska majówka, na którą mnie zaprowadzić obiecał. Ranku tego nie zapomnę nigdy. O wschodzie słońca byliśmy już na Popławach z Frejentem i Łozińskim. Przed nizkim domkiem drewnianym, noszącym szumną nazwę *Jeruzalem*, dziewczęta nakrywały długie wązkie stoły, zastawiając je dzbanami słodkiego i garnkami kwaśnego mleka, które miało stanowić śniadanie dla przeszło stu bliżéj z sobą połączonych kolegów, którzy sami koszt na nie złożyli. Jakoż różnemi drogami, po kilku, zaczęli wnet przybywać goście; wszystko rzeskie, wesołe chłopaki, do których serce mi lgnęło, i którzy obu moich przewodników z respektem i życzliwością witali. Ci wszakże nie uznawali potrzeby, aby mię rekomendować tym wszystkim. Patrzyliśmy więc tylko zdaleka, ja na nich, a oni na mnie. Wtém jeden z nich przybiegł i woła: „Arcy, Arcy idzie!!!“—Łoziński i Frejent ruszyli się na spotkanie i mnie iść z sobą kazali. Na czele licznego grona szedł dwudziestokilkoletni młodzieniec, z kruczym, w pierścienie wijącym się włosem; z czarném, prawdziwie promienistém okiem; a w którego uśmiechu i twarzy tchnął taki wyraz uprzejméj dobroci, że odrazu chwytał za serce. Obok niego szedł niższy wzrostem, choć

nieco starszy wiekiem, w którego fizyognomii także malowała się dobroć, tylko że nie tak wesoła i żywa, nie tak promieniejąca na zewnątrz, jakby uśmiech rzewnéj czułości. Obaj oni, widoczném było, że wiodą rej między wszystkimi. Byli to Tomasz Zan i Jan Czeczot. Frejent z jowialnym uśmiechem salutował ich po wojskowemu, i wziąwszy mnie za rękę, gdy się zatrzymali, przemówił żartobliwym tonem: „Oto jest ten mój Benjaminek, o którym mówiłem. Niechże go Arcy bierze teraz w opiekę.“—I Arcy wyciągnął ku mnie rękę z takim uśmiechem i spójrzeniem, że pewnobym ją pocałował jak xiędza prefekta, gdybym się spektatorów nie wstydził. Czeczot zaś, podając mi także rękę, zapytał najprzód z uśmiechem:—„A czy Benjaminek lubi się uczyć? bo my tu takich tylko jak Benjaminków pieścimy.“ — Nie śmiałem odpowiedzieć na to, ma się rozumieć; ale sam Arcy odpowiedział za mnie twierdząco, na mocy tego, co wié od Frejenta, i co sam, jak się wyraził, „czyta z mojéj twarzy.“ I to rzekłszy wziął mnie za rękę, i szedł daléj rozmawiając ze mną. Gdy zaś na zapytanie: „czém chcę być na świecie?“ odpowiedziałem z całą szczerością jak na spowiedzi: „poetą;“ zaczął się śmiać serdecznie z naiwności mojéj; a Czeczot, lubo także z wielką życzliwością, zapytał znowu poważnie, czy wiém co trzeba umieć, żeby być poetą? i czy u nas w Borunach, wszyscy co piszą wiersze, nie są tacy próżniacy i wiercipięty jak Frejent?“ Apostrofowany w ten sposób odciął się zaraz wesołym konceptem, a potém mnie z kolei prezentował innym. Od téj to chwili zaczęła się piérwsza znajomość, a potém szczera, wzajemna, dotąd przez więcéj niż pół wieku niezmiennie trwająca przy-

jaźń, z żyjącymi dziś jeszcze: *) Józefem Kowalewskim, Janem Wiernikowskim, Adamem Suzinem i Ignacym Domejką, którego ojciec z moim żyli téż niegdyś w najściślejszéj przyjaźni, kolegując jako mecenasi przy głównym trybunale Litewskim. On piérwszy zaczął mi mówić o tém: ale i ja to już piérwéj od ojca mojego wiedziałem. Tegoż dnia jeszcze wieczorem przyszedł do naszego mieszkania, i obiecał ojcu mojemu, że się mną opiekować będzie za przyjazdem moim do Wilna.

Po odbytém śniadaniu w Jeruzalem, cała już gromada razem zapuściła się w prześliczne dąbrowy Popławskie, i zaczęła się prawdziwa studencka majówka. Grano w *metę*, w *palanta*, w *zająca*,—rychtyk jak u nas w Borunach; bo téż i większa część obecnych składała się z piérwszoletnich uczniów, o niewiele starszych może ode mnie. Ja jednak razem z Frejentem trzymałem się ciągle przy starszych i poważniejszych, nie mogąc się jakoś całkiem ośmielić. Czeczot siadłszy na jakimś pniu ściętego drzewa, kazał mi deklamować jakie moje wiersze. Arcy i drudzy słuchali ich stojąc. Byłem jak w gorączce, a deklamowałem najprzód „*dumę* o Ludgardzie," napisaną na wzór Niemcewicza, a natchnioną przez takąż dumę Karpińskiego; tylko że treścią mojéj była już zgryzota, a potém śmierć samego Przemysława, który umierał, widząc przed sobą cień niewinnie zabitéj przez siebie żony. Dumę tę moi koledzy Boruńscy uważali za moje arcydzieło; a i tu Czeczot kręcił nieraz głową słuchając, a Arcy, gdy skończyłem, pocałował mię w czoło. Było to dla mnie jakby namaszczenie. Następnie, gdy chciano abym co jeszcze w innym rodzaju powiedział, deklamowałem

*) *Pisano w r. 1874. (A. P.)*

pojedynek Almanzora z Larą, zrymowany z tłomaczenia polskiego prozą „*Gonzalwa z Korduby*," Floryana. Słuchacze moi, jak dziś widzę, nie byli zbyt wybredni i surowi, kiedy w rok potém, gdy także w drugi dzień Zielonych Świątek, na tychże samych Popławach, i na takiéjże saméj majówce, czy uczcie koleżeńskiéj, poznałem raz piérwszy Adama Mickiewicza, Czeczot kazał mi najprzód wyrecytować przed nim obie te same ramoty. Tymczasem, na téj to właśnie piérwszéj majówce, posłyszałem téż poraz piérwszy imię jego i dowiedziałem się, że był najpiérwszym między kolegami poetą. Było to z racyi piosnek: „*Hej użyjmy żywota!*" „*Gdy radością oczy błysną*" i „*Czterech toastów*," które chórem, pod przewodnictwem Zana, po kolei potém śpiewano.

Wróciłem jak w pół obłąkany do ojca, tak byłem upojony tém wszystkiém, co w tym dniu widziałem i czułem; i dobrze że Frejent był ze mną, który ojcu mojemu przyczynę tego stanu mego wyjaśnił; a zaś przyjście Ignacego Domejki uspokoiło go do reszty, że przecież głowy całkiem tu nie stracę. Frejent dał mi także do przeczytania i pozwolił przepisać parę ballad Zana: *Nerynę i Twardowskiego*; przyczém raz piérwszy w życiu posłyszałem wyraz *ballada*; a za powrótem do Borun, czytaniem ich i opowiadaniem o tém co widziałem, zapalałem z kolei głowy bliższych kolegów, którzy wszyscy, wraz ze mną, na rok przyszły wybierali się na uniwesytet do Wilna.

Ale nim opuszczę Boruny:—ponieważ głównym celem tych moich opowiadań są właśnie znajomości i stosunki moje z poetami;—muszę tu jeszcze wspomnieć o dwóch spotkaniach, pomijając milczeniem trze-

cie, lubo najważniejsze dla mnie, z Ignacym Chodźką, któremu w dalszym ciągu osobne, obszerniejsze wspomnienie poświęcę.

Te zaś spotkania z dwóma poetami wymagają krótkiego wstępu, który znów swoją drogą ujść może za jeden z ogólnych rysów ówczesnego życia szkolnego w Litwie.

Najstraszniejszém dla uczniów wszystkich szkół powiatowo-wiejskich zjawiskiem i widziadłem, był *Wizytator*, mianowany i wybierany corocznie przez Radę uniwersytecką w Wilnie, który wszystkie te szkoły objeżdżał, oglądał, egzaminował, i potém składał o nich sprawozdanie téjże Radzie. Wizytatorów bywało po kilku niekiedy na raz, z których każdy oddzielną część prowincyi miał zwiedzać. Wybierano ich już to z pomiędzy professorów uniwersytetu, już to z pomiędzy znakomitszych a światłych obywateli, jak np. Adam hr. Chreptowicz, Jan Chodźko, i nakoniec ostatni, Twardowski, który potém został rektorem uniwersytetu, a po którym właśnie uniwersytet uległ radykalnéj przemianie. Często téż Prowincyałowie zakonów miewali polecony sobie obowiązek wizytatorów, zwłaszcza szkół, przez zakon ich utrzymywanych, i łączyli go wtedy zarazem z prowincyalską wizytą klasztorów, którą téż co rok odbywali. Ale ktokolwiek godność tę sprawował, zawsze ona w oczach studentów oblekała go w jasność i grozę komety, któréj czas przyjścia obliczano troskliwie, a samo przyjście witano z przestrachem, z jakim gmin zabobonny wita zwykle zjawienie się gwiazdy z ogonem. A jako nieraz podobno i sami mocarze świata drżeli przed tą rózgą wyroków, którą Niebo ziemi groziło: tak i sami professorowie nie byli bez pewnéj obawy, jakie zdanie o szkołach ich i o nich samych, pan lub xiądz Wizytator poweźmie, i do uniwersytetu przedstawi. Czém zaś u komety jest ogon, który jéj cechę i część integralną stanowi, i najwięcéj jéj grozy przyczynia: tém przy każdym wizytatorze bywał zwykle jego sekretarz. Wybierał go sam wizytator, a wybierał, ma się rozumieć, takiego, któryby umiał i egzaminami kierować, i zdanie o nich sprawiedliwe wydać, i w zaimponowaniu naukowością professorom samego wizytatora zastąpić. Owóż takim wizytatorem do Borun, gdy byłem w klassie trzeciéj, przyjechał p. professor astronomii Reszka, o którym w satyrycznych jasełkach, przedstawiających cały uniwersytet, które kiedyś po Wilnie krążyły, było powiedziano:

„Oto pan Reszka,
Co na dole mieszka!
Patrzy na gwiazdy,
A wié co i każdy.“—

Wiersze te, znane wszędzie po szkołach, ujmowały nieco powagi samemu panu wizytatorowi; ale za toż tém większą trwogę budził jego sekretarz, znany również z dowcipu i złośliwości satyryk i epigramatyk, naśladowca Juwenalisa, pan Ignacy Legatowicz. Nasz professor wymowy drżał przed nim; ja zaś byłem niezmiernie ciekawy widzieć poetę, którego drukowane już wiersze w Dzienniku i Tygodniku Wileńskim czytałem. Jemu także zapewne musiano powiedzieć coś o mnie; bo ledwo wszedł do klassy, na piérwszym egzaminie z wymowy, szepnął coś professorowi do ucha, a ten kazał mi wystąpić z ławki, i zaprezento-

wał mię jemu. Legatowicz popatrzył na mnie bystro; a że ja z ciekawością także patrzałem na niego: więc musiało mu się to chyba podobać; bo wziął mię za rękę, i poprowadziwszy do krzesła samego pana wizytatora, przedstawił mię jemu imiennie. Pan Reszka powiedział mi na to, że jest dawnym przyjacielem mojego ojca, i że dziś jeszcze z Borun do niego pojedzie; jeśli się zaś ja na tym piérwszym egzaminie popiszę, to go z sobą na następny przywiezie. Popisać się z wymowy nie sztuka! Ale ten następny egzamin miał być właśnie z matematyki, będącéj zawsze dla mnie kamieniem obrazy, i przeto ta obietnica zgoła mnie nie ucieszyła.

Czy to postrzegł, czy zgadł Legatowicz, nie wiém; ale przy końcu egzaminu znowu podszedł ku mnie do ławki i pyta:—„A matematykę czy umiész?“—Odpowiedziałem jak było: że staram się, ale mi trudno przychodzi. On uśmiéchnął się i mówi zcicha: „A *centum bovum* czy umiész? To przecież taka piękna figura!“—Zrozumiałem co to ma znaczyć, i zaraz przyszedłszy do stancyi przerepetowałem ją razy kilka; a gdy mi Legatowicz nazajutrz kazał ją na egzaminie dowodzić, popisałem się jak można najlepiéj, w obecności ojca mojego. Postępek ten Legatowicza taką we mnie obudził wdzięczność, że czułem się prawdziwie szczęśliwym, kiedy we trzydzieści kilka lat potém, zdarzyła mi się sposobność *de facto* mu ją okazać, starając się, wedle możności, osłodzić mu nie jedną chwilę tęsknoty, gdy pozbawiony wzroku i osamotniony, potrzebował przyjacielskiéj pociechy. Ówczesny zaś mój popis z matematyki liczę zawsze w pamięci do rzędu korzyści, jakich mnóstwo w ciągu życia mojego poezyi i poetom zawdzięczam.

Zetknięcie się z drugim poetą było nieco podobnego rodzaju, tylko że był nim sam już Wizytator, w osobie X. Jana Kantego Chodaniego, Prałata kapituły wileńskiéj, Professora prawa kanonicznego i Dziekana wydziału prawnego w uniwersytecie wileńskim, który był przytém tłómaczem wielu poezyj, a między innemi *Henryady* Woltera, którą raz piérwszy już wtedy w jego tłómaczeniu czytałem. Wizyta xiędza Chodaniego przypadła na ostatni rok pobytu mego w szkołach Boruńskich, a że przyjechał przed samym egzaminem publicznym, odbywszy więc najprzód swoje, i ten obecnością swoją zaszczycił.

We wszystkich szkołach egzamin publiczny, kończący każdy rok szkolny, w dzień ŚŚ. Piotra i Pawła, d. 29 Czerwca, był zarazem kulminacyjnym punktem jego i koroną. W Borunach odbywał się on już nie w klassach, ale w kościele, zamienionym natenczas na salę popisu, po odbytém nabożeństwie ranném. Cały kościół napełniała publiczność, złożona przeważnie z matek, przybyłych z córkami po synów; z całego poblizkiego sąsiedztwa, i z dygnitarzy powiatowych z Oszmiany. Tą razą wszystkie te gwiazdy gasły przy blasku chwały Prałata-Wizytatora, który w kanonicznéj purpurze, w doktorskim birecie na głowie, siedział jakby na tronie, w krześle na estradzie stojącém, mając obok po obu stronach oszmiańskiego powiatowego Marszałka, oraz Superiora Boruńskiego klasztoru. Wszystkie klassy z kolei szykowały się przed tym tryumwiratem, a celujący tylko mieli ten przywilej, że byli dopuszczeni do popisywania się publicznie, z odpowiedziami na pytania, albo z deklamacyą wierszy, reprezentując w ten sposób postęp całéj klassy.

Głównymi atoli bohaterami fety byli uczniowie kończący szóstą klassę i szkoły, i oni to właściwie honory jéj gościom czynili. W tym roku, 1820, było nas takich siedmiu;—siedmiu tylko z trzydziestu kilku, którzy wraz z nami piérwszą klassę zaczęli, ale albo w pół drogi przerwali naukę i poszli w świat z klass niższych, albo w tyle za nami zostali. Plejadę tę, oprócz mnie, składali trzej najbliżsi przyjaciele i współczytelnicy moi, o których już wyżéj mówiłem: Laskowicz Karol, Jasiewicz Syxtus, Tórczyński Jan, i przechylający się i lgnący ku nam Michał Antoniewicz. Z przeciwnego obozu realistów, był tylko sam Hieronim Umiastowski, z bratem Hilarym, ale i ci do uniwersytetu nie poszli. Że zaś z oszmiańskiego powiatu ja tylko jeden w tym roku do niego przybyłem, Frejent wymyślił koncept, który potém przeszedł prawie w przysłowie: że powiat oszmiański przez reprezentanta tylko chodzi na uniwersytet. Na tym wszakże egzaminie ostatnim reprezentowaliśmy go wspólnie z Umiastowskim: on pokazując zwłaszcza publiczności różne sztuki elektro-magnetyczne z fizyki, ja zaś deklamując wiersze, cudze i swoje. Że zaś deklamacyą cudzych stanowił właśnie wyjątek z *Henryady*, tłómaczenia samego Jubilata festynu: on téż z wielką łaskawością nawzajem pochwalił głośno mój przekład początku IX xięgi Eneidy, który mi potém w przyszłości większy jeszcze zjednać miał tryumf. Ale tą razą nie koniec był na tém.

Podług przyjętego zwyczaju, rozpoczynały i kończyły egzamin dwie mowy, wypowiedziane przez uczniów kończących szkoły, z mównicy, w środku kościoła wzniesionéj, a kobiercami okrytéj. Do jednéj z nich miał niezaprzeczone prawo Umiastowski; ale że się on nigdy

w literackie kompozycye nie wdawał: więc go zastąpił, przy otwarciu egzaminu, Laskowicz, a na mnie, przy zamknięciu, ostatnia, pożegnalna mowa przypadła. Obie napisaliśmy sami; professor niewiele poprawił. Ja zaś nie pokazując nawet professorowi, dodałem na końcu w mojéj takie czułe i patetyczne pożegnanie professorów, szkoły i kolegów, że go sam na mównicy dokończyć nie mogłem, i ślamazarném rozchlipaniem się na niéj, więcéj może, niżbym mógł słowy, poruszyłem słuchającą publiczność, która mnie za to oklaskami okryła. Na tém się skończył peryod mój szkolny;— a ja tu kończę go na tém, że cię, droga siostrzyczko, za rozwlekłe a nudne może szczegóły jego przepraszam. Ale wznawiając je na twój rozkaz w pamięci, nieraz mi, (mówiąc słowy poety):

„Zdało się, że dzieciniałem,
Że na *rynku Borúńskim* z braćmi igrałem *miłemi*.“

A że dziś oni wszyscy już w mogiłach:—nie wiń mię, że tém wspomnienieniem imion ich i wspólnéj przeszłości, chciałem złożyć im razem hołd wdzięcznéj pamięci.

A nawet, nie przestając na tém, chcę tu jeszcze, na mocy zastrzeżonego prawa dygressyi, podać o jednym z nich obszerniejszą nieco wiadomość, nie z pobudek osobistéj tylko przyjaźni, ale dla szczególniejszéj jego osobistości własnéj, stawiącéj go na tak odrębnym i wydatnym piedestale, że każdy poeta w duszy, a nawet każdy czujący i myślący człowiek, może nań nie tylko z ciekawością, lecz może nawet i nie bez pewnego pożytku, jako na interessujący model popatrzéć.

Jest nim wspominany nieraz powyżéj kolega i współczytelnik, Syxtus Jasiewicz. Od dzieciństwa górującą w nim władzą duszy była nadzwyczaj żywa, bujna i lotna wyobraźnia. Mimo zaś wrażliwego i tkliwego serca, a nawet, że w corocznych teatralnych przedstawieniach studenckich, on, jako najstosowniejszy z urody, grał zazwyczaj role panieńskie; mimo to, sentymentalna romantyczność w nim samym podrzędne tylko zajmowała miejsce. Heroizm i religijny ascetyzm stały zawsze na piérwszym planie, podsycane zwłaszcza czytaniem *Iliady*, *Jerozolimy Wyzwolonéj*, i Żywotów Świętych. Będąc już w uniwersytecie Wileńskim, gdy rewolucya Grecka wybuchła, przez czas jakiś nosił się na seryo z tą myślą, iżby się jakoś przedostać do Greków, i za wolność Hellady walczyć z niewiernymi. Gdy zaś w r. 1828 przyszło do wojny Rossyjsko-Tureckiéj, on, wbrew wszelkim odradzaniom przyjaciół, opuścił nagle Wileńską palestrę, i dognawszy już wojsko za Prutem, zaciągnął się jako ochotnik do piérwszego spotkanego półku huzarów. Myśl, że rzecz idzie o wyzwolenie Chrześcian-Słowian z pod pogańskiego jarzma Muzułmanów, natchnęła go takim zapałem i poświęceniem dawnych Krzyżowców, iż wkrótce, za odznaczenie się zwłaszcza w pojedyńczych harcach z Turkami, na które wciąż jako ochotnik wyjeżdżał, zwrócił na się uwagę całego półku; otrzymał krzyż św. Jerzego, i został mianowany oficerem. Epidemiczna febra mołdawska przerwała dalszy zawód wojskowy. Powrócił zatém do kraju i do zawodu prawnika, mając w nim przedewszystkiém na celu, ażeby być obrońcą uciśnionych i słabych. W tym téż a nie innym widoku, po ówczesnych wypadkach krajowych,

na żądanie współobywateli Wiłkomirskiego powiatu, przyjął ofiarowany sobie urząd powiatowego naczelnika policyi ziemskiéj, i sprawował go przez lat kilka w ten sposób, iż stał się rzeczywiście stróżem publicznego porządku i bezpieczeństwa, opiekunem ubogich, a postrachem wszelkiego rodzaju złoczyńców. Sława jego rozniosła sięszeroko, tak, że obywatele gubernii Kowieńskiéj, zebrani na wybory, powołali go i wybrali jednomyślnie na ważny i zaszczytny urząd członka apellacyjnéj izby sądowéj w Kownie. Tym sposobem zewnętrzna pomyślność światowa stanęła dlań na równi z wewnętrznem szczęściem domowém, którego, jako mąż ukochanéj i najlepszéj żony, i jako ojciec prześlicznéj, nad wiek swój rozwiniętéj, a jedynéj córki, kosztował.

A i samo to jego małżeństwo było wprost jakby wynikiem właściwego mu usposobienia i nastroju ducha. Za pobytu jeszcze w uniwersytecie, znał w domu p. Marszałka gubernialnego, Marcinkiewicza-Żaby, wychowującą się w nim wraz z córką gospodarza, daleką powinowatą, ale ubogą sierotę, Maryą Grewinównę, któréj wysokie moralne i umysłowe przymioty oceniał, ale myśl o miłości nigdy mu ani do głowy nie przyszła. Tymczasem przyszedłszy raz niespodzianie, zastał ją samą w pokoju, modlącą się i rzewnie płaczącą. Powodem łez było oświadczenie się o jéj rękę jednego z sąsiadów wiejskich, za którym przemawiały wszystkie względy światowe, ale który jéj serca nie zjednał. Wzruszony litośném współczuciem, i wprost z chwilowego natchnienia, zapytał: czyby go nie wolała raczéj niż tamtego? — i w kwartał potém byli już po ślubie. Szczęśliwszego nad ich małżeństwa rzadko kiedy zdarzyło mi się być świadkiem. Przerwała je

po latach kilku przedwczesna śmierć jéj saméj. Zniósł ją z rezygnacyą chrześcijańską; ale gdy po kilku miesiącach, ośmioletnia téż jedynaczka pośpieszyła połączyć się z matką: rezygnacya przeszła—nie w rozpacz, ale w exaltacyą ascetyczną. Myśl o wieczności owładła go całkiem. Złożył urząd, zerwał ze światem, i udał się do Warszawy, chcąc wstąpić do zakonu XX. Kapucynów, których w Litwie już wtenczas nie było. Formalności, wymagane przez prawo, stanęły na przeszkodzie przyjęciu. On wszakże, przez samą już intencyą swoję uważając się za związanego ślubem zakonnym, przywdział strój tercyarski, przez pół pustelniczy, i korzystając z ofiarowanéj mu gościnności przez przyjaciela swojego, Stanisława hr. Kossakowskiego, osiadł w dobrach jego Wojtkuszkach, prowadząc żywot iście pustelniczy, poświęcony wyłącznie usłudze biednych, a mianowicie włościan okolicznych. Korzystając z tego usposobienia hr. Kossakowski, jako światły i wyrozumiały przyjaciel, skłonił go powoli do tego, iż się zajął obowiązkowém czuwaniem nad losem tychże włościan, i uregulowaniem stosunków ich ze dworem, w obszernych dobrach hrabiego; bez żadnego, mu się rozumieć, wynagrodzenia za to dla siebie. Zajęcie to złagodziło powoli piérwsze porywy żalu i wyobraźni; i gdy powierzonego mu obowiązku, z zobopolném zadowolnieniem stron obu dokonał, przybył nakoniec do Wilna, i licząc już około 50 lat wieku, wszedł jako uczeń do dyecezalnego Seminaryum tamecznego. Przykład jego i wpływ na współkolegów okazał się o tyle korzystnym, iż ówczesny biskup Wileński, późniejszy Metropolita, Żyliński, przyśpieszywszy dlań termin wyświęcenia (w r. 1855), mianował

go jednocześnie Inspektorem uczniów tegóż Seminaryum, który to urząd przez lat dziesięć sprawował. Do piérwszéj mszy prymicyjnéj, którą miał w Ostréj Bramie, służyli mu dwaj szkolni koledzy i przyjaciele: Karol Laskowicz, naówczas już Rzeczywisty Radzca Stanu, urzędnik w Ministerstwie Oświecenia, umyślnie na ten obrzęd przybyły do Wilna, i ja, ich obu rówiennik. Wiersz mój do jubilata, z okoliczności téj napisany, jako i drugi poprzedni, znajdą czytelnicy w przypisach. O dalszym zaś losie jego samego to chyba mogę powiedzieć, że w skutek zmiany w dyecezalnym zarządzie, wysłany na ubogie probóstwo wiejskie w Świrze, a przedtém już osłabiony na zdrowiu, nocną w czas słotny podróżą do chorego, sam sobie zgon niespodziany przyśpieszył.

III.

Czasy Uniwersyteckie.

Pobyt mój w uniwersytecie Wileńskim przypadł, szczęśliwém dla mnie wydarzeniem, na najświetniejszy okres jego rozwoju (1820—1823). Gorliwość obywatelska zdolnych professorów, zbiegła się z gorliwością i zapałem uczniów; których nastrój duchowy i obyczajowość, śmiało można powiedzieć, że ani przedtém, ani potém, nie miały sobie równych w żadnym uniwersytecie Europy. Było to zwłaszcza dziełem koleżeńskich i przyjacielskich stowarzyszeń, pod przewodnictwem Zana i Czeczota. Wiész o nich skądinąd, siostrzyczko; powtarzać tu więc tego nie będę. Wpływ ich wszakże na umysł, serce, i na całe życie moje był taki, że nawet, podług programmu, mówiąc tylko o sobie i o przyjaciołach-poetach, właściwie o nich mówić raczéj będę.

Wspomniałem już, że z woli ojca, wbrew mojéj, miałem chodzić na wydział prawny; a więc chciałem przynajmniéj, jako wolny słuchacz, mieć wstęp na lekcye literatury polskiéj i łacińskiéj, (Borowskiego Leona i Groddka Ernesta), należące do wydziału filo-

logicznego; i w tym celu trzeba się było zapisać do *album* u dziekanów obu tych wydziałów. Tu jednak, zda się, że Febus i Temida ostrzegali mię wspólnie i wskazywali mi właściwą drogę. Piérwszy pociągał, druga odpychała. Nie usłuchałem, a raczéj nie mogłem usłuchać, choć chciałem; i bodaj, że wyszedłem na tém jak ów ptak w przysłowiu, co to chciał usiąść na dwóch drzewach razem.

Dziekanami obu pomienionych wydziałów byli naówczas poeci, t. j. piszący wiersze: prawnego, xiądz Jan Kanty Chodani, Prałat Kapituły Wileńskiéj, tłómacz *Henryady* Woltera; literackiego, xiądz Filip Neryusz Golański, autor dzieła „O wymowie i poezyi," i także członek téjże kapituły. Mówiłem już, że piérwszy z nich, będąc w tym roku (1820) wizytatorem szkół, na egzaminie publicznym w Borunach, raczył być bardzo łaskawym i uprzejmym dla mnie, kiedy deklamowałem przed nim ustęp z Henryady, tłómaczenia jego, i własne wiersze moje czytałem. Nie wątpiłem więc że mię pozna, a zatém, że i przyjmie stosownie; i wszedłem nie tylko śmiało, ale nawet pewny tryumfu, w obec kilkunastu nieznajomych przyszłych kolegów, którzy także zapisać się przyszli. Tymczasem stało się przeciwnie. Xiądz Prałat, z miną Baszy, (barczysty, dobréj tuszy, rumiany), siedział przy stole biurowym nad album, i biorąc z rąk podających patenta szkolne, przeglądał je, mierzył wyniosłym wzrokiem właścicieli, czasem zadał jakie pytanie, i w końcu imię wpisywał do xięgi. Gdy przyszła kolej na mnie, zbliżyłem się z uśmiechem, i mało brakowało, żebym się nie przypomniał dawnéj znajomości. Wyraz ten mojéj twarzy musiał się nie podobać widocznie xiędzu Prałatowi, gdyż zmro-

ził go odrazu groźnym marsem i wzrokiem surowym, i nie wiém czy z intencyą, czy bez niéj, ale odprawił mię zimniéj niż innych—nie zaprzeczywszy wszakże zapisania do album. Jest to chwila pamiętna mi w życiu. Dziś może gotówbym przyznać, że x. Prałat miał w gruncie racyą, chociażby nawet mię poznał, karcąc w ten sposób zbyteczne zaufanie, czyli, jak mógł przypuszczać, zarozumiałość młokosa, które z twarzy mojéj wyczytał. Z drugiéj téż strony uznaję, (to jest teraz), że moja to wygórowana pretensya, nic więcéj, uczyniła mi tak boleśnym jéj zawód. Ale co wtedy, to wyszedłem tak dotknięty, upokorzony i rozjątrzony głęboko, że dwa najgorsze uczucia, gniew i pycha, jakby z natchnienia kusiciela, obudziły się we mnie zarazem. „Poczekaj! będę ja lepszym poetą od ciebie!“ — pomyślałem, jakby grożąc mu pięścią. Szczęściem, że w téjże chwili rozżalone serce lepszą nieco myśl mi natchnęło. Ślubowałem Bogu i sobie, że jeśli kiedy będę na urzędzie, nigdy moim podwładnym nie sprawię takiéj goryczy, jakiéj sam dzisiaj doznałem.

Zadziwisz się może, siostrzyczko! że tak szczegółowo dotychczas to drobne wydarzenie pamiętam. Ale dla mnie nie było ono drobném. Było to piérwsze moje niejako bezpośrednie zetknięcie się ze światem, (miałem zaledwie lat 16 skończonych), i kto wié, jakiby kolor mógł paść tłem na białą kartę myśli i uczuć moich, gdyby szereg wrażeń następnych był długo téj natury, co piérwsze. Bogu dzięki, że tak nie było; ale to piérwsze spotkanie ze znajomym dziekanem, odjęło mi wszelką odwagę iść samemu do nieznajomego. Uciekłem się więc pod opiekę professora Spitznagla,

który sam był dziekanem wydziału medycznego, a ten wydelegował od siebie pana Kazimierza Kukiela, guwernera swych synów, aby był przewodnikiem moim do x. dziekana Golańskiego i polecił mię jego uprzejmości. Sądzę jednak, że i bez téj rekomendacyi, sama wrodzona łagodność i dobroć, malująca się wyraźnie na jego sędziwéj twarzy, zapewniłaby mi łaskawe przyjęcie. Był to już wówczas staruszek, lat około 80 może mający, nizkiego wzrostu, schylony, łysy, z długim białym włosem po skroniach i z tyłu głowy, ale młody znać sercem, w spójrzeniu i uprzejmym uśmiechu, którym nas wchodzących przywitał. Gdy mu zaś p. Kukiel powiedział, że jestem synem sąsiadów i przyjaciół państwa Spitznaglów, a nadto dodał od siebie, że piszę wiersze: twarz staruszka przybrała wyraz prawdziwie ojcowski, i chociaż tonem wesołego żartu ostrzegał mię niby o niebezpieczeństwach manii wierszowania, cytując między innemi wiersz ze *Sztuki Rymotwórczéj* Dmochowskiego:

„Że w sztuce niebezpiecznéj odlewania wierszy,
„Musi ten być ostatni, kto nie będzie piérwszy;“

widać było jednak wyraźnie, że chciał mię raczéj zachęcać niż zrażać, skoro tylko, jak się wyraził, czuję w sobie Bożą iskrę talentu, i bylebym zawsze tylko ten talent ku czci i chwale Bożéj, a ku pożytkowi bliźnich obracał. Kiedy zaś w dalszéj z tego względu rozmowie, do której sam mię ośmielił, kazawszy usiąść przy sobie, dałem mu do poznania, że dzieło jego „*O Wymowie*“ czytałem, i gdy wewnętrzne uczucie wdzięczności odbiło się téż może na twarzy i w słowach moich: wizyta, któréj tak się lękałem, skończyła

się nareście na tém, że dobrotliwy staruszek nie tylko mi żądanego pozwolenia nie odmówił, lecz nadto, żegnającego go po synowsku, sam téż prawdziwie jak ojciec uścisnął, i jak kapłan pobłogosławił. Było więc czém się pocieszyć po wczorajszéj dekonfiturze; i dziś jeszcze, po sześćdziesięciu już prawie latach od téj chwili, miło mi jest oddać w tych słowach hołd należnéj czci i wdzięczności, jego iście świętéj pamięci.

Tym sposobem zaraz nazajutrz zasiadłem już jako uczeń w sali lekcyjnéj wydziału literackiego, najprzód na lekcyi łacińskiéj literatury Groddka, o godzinie 2-giéj po południu, a następnego dnia o godzinie 5-téj, na lekcyi literatury polskiéj Borowskiego.

Na tę to ostatnią zwłaszcza gotowałem się jak nowo-zaciężny żołnierz na piérwszą bitwę, któréj zarówno pragnie, jak boi się razem. Byłem już przedtém raz na niéj, pod opieką Frejenta, bawiąc z ojcem w Wilnie na wiosnę, i trzebaż że właśnie trafiłem na dzień przeznaczony w tygodniu, (sobotę), na odczytywanie i roztrząsanie publiczne przez professora ćwiczeń uczniów, przed tygodniem złożonych, i zwykle przez nich w tym celu co tydzień, w sobotę także, na katedrze professora składanych. Nie był to obowiązek konieczny, lecz otwarta dla wszystkich droga, ażeby mogli w ten sposób względem prac swoich, wierszem czy prozą, zdania professora zasięgnąć i o niém się nawzajem dowiedzieć. To, co wtedy słyszałem, stało się dla mnie jakby głównym przedmiotem marzeń moich i nadziei na przyszłość; to jest, wzbudziło nadzwyczajną ochotę, aby téż kiedyś zaszczytu podobnego roztrząsania dostąpić, ale przytém i nadzwyczajną obawę, jak mi się ta straszna próba powiedzie. Borowski bowiem, jako publiczny krytyk z obowiązku, nie odznaczał się wcale łagodną pobłażliwością; słynął owszem jako nazbyt surowy, acz sprawiedliwy, i co gorsza, nie szczędził nawet dowcipu i ironii, przez co nieraz, (jak sam byłem świadkiem naówczas), śmiech ogólny w słuchaczach obudzał. Prawda, że nie wymieniał wtedy nazwiska autora; i nie wymieniał go nawet nigdy przy zwyczajném roztrząsaniu ćwiczeń, chyba że które z nich w oczach jego zasługiwało na tak wysoką pochwałę, że jako największy jéj dowód, po odczytaniu go w całości publicznie, głośno w końcu i podpis autora przeczytał. Ale zaszczyt to był tak rzadki, że stanowił epokę w kursie, i tradycyą z roku na rok w pamięci uczniów przechodził. Łatwo pojąć, że o podobnym ani nawet marzyć nie śmiałem. Całe moje życzenie ograniczało się na tém, aby nie doznać wstydu i upokorzenia, choćbym je tylko miał odczuć sam w sobie. Postanowiłem jednak spróbować szczęścia co najprędzéj, i zaraz w piérwszą sobotę, poleciwszy się najprzód, na nieszporach w Ostréj Bramie, Wspomożycielce słabych a Ucieczce grzesznych, złożyłem na katedrze, przed przyjściem professora, w stosie innych i moję ramotę. Był to przekład początku IX xięgi *Eneidy*, obejmujący co najmniéj część jéj czwartą, przed rokiem już napisany w Borunach. Wybrałem go téż właśnie na początek dla tego, że miał za sobą zdanie tamecznego professora wymowy i kolegów, a co największa, pochwałę z ust samego X. Wizytatora—chociaż to potém wyszło mi tak na złe.

Tydzień przeszedł niepostrzeżenie w oczekiwaniu przyszłéj strasznéj soboty. Zacząłem téż ją od wysłuchania *primaryi* w Ostréj Bramie, i na kwadrans

przed 5-tą zasiadłem miejsce moje w ławce, jak delinkwent przed trybunałem. Na katedrze leżał już stos ćwiczeń przeszło-sobotnich, przez bedela wprzód zapewne przysłanych, a obok niego szykował się nowy, do którego ja także najnowszy już mój utwór dodałem.

Tymczasem w stosie poprzednim śledziłem pilnie okiem rękopismu mojego, i odkryłem go łatwo po zielonym papierze, na którym był napisany. Leżał prawie w połowie stosu, który się składał z kilkunastu ćwiczeń. Professor wszedł i zasiadł na katedrze z twarzą surową jak Minos, a serce we mnie aż mdlało ze strachu. Sąd też o piérwszych ćwiczeniach, które leżały przed mojém, nie przyczynił się wcale do ośmielenia mię i uspokojenia. Każdego wprawdzie odczytywał tytuł, ale o jedném tylko prozą wyraził się nieco obszerniéj, wykazując niektóre zalety, ale więcéj jeszcze usterków, tak w układzie treści, jak w stylu. Wszystkie inne po kilku słowach odkładał obojętnie na stronę, co znaczyło, że niewarte rozbioru. Przyszła kolej nakoniec i na papiér zielony; ale jakże się przeraziłem, gdy go professor, nie czytając nawet tytułu, położył także na boku, tylko że nie razem z tamtemi; nie wiedziałem co to ma znaczyć, i ze drżeniem czekałem końca. Wszystkie następne ćwiczenia były już pisane wierszem. Professor w ogólności był dla nich łaskawszy. Z każdego prawie odczytał po kilka strof, albo wierszy, i robiąc nad niemi uwagi, chwaląc lub ganiąc, resztę ich treści swemi słowy domawiał. Nakoniec przejrzawszy ostatnie, wziął znów w rękę papiér zielony. Struchlałem. Professor przeczytał tytuł, i zaczął czytać zwolna wiersz po wierszu, żadnych uwag nie czyniąc nad niemi. Z tonu atoli głosu mogłem odgadywać wyraźnie, że wskazywał usterki, lub szczególniejsze zalety wyrażenia; i tych ostatnich intonacyi, zdało mi się, że było więcéj niż piérwszych. Czekałem więc rychło przestanie; ale on nie przestał bynajmniéj, aż wszystko do końca przeczytał. Cała sala słuchała ciekawie, ja sam nie wiedziałem co myśleć. Wywiódł mię wnet z téj niepewności, najprzód ogólną pochwałą, a potém podnoszeniem kilku miejsc lub wierszy pojedyńczych, które musiał miéć pozakreślane, bo je znajdował łatwo i powtórnie odczytał. Przyszła w prawdzie kolej i na usterki, ale tych było w porównaniu niewiele, i całość wyszła z próby zwycięzko. Professor tak dalece posunął swoję łaskawość, że mówiąc o tłómaczeniu *Eneidy* przez Dmóchowskiego, który właśnie tych xiąg ostatnich nié miał już czasu dokończyć, radził bezimiennemu autorowi ćwiczenia, ażeby on przedsięwziął tę pracę; gdyż sądząc z obecnéj próby, wywiązałby się może lepiéj z zadania, niżeli owoczesny kontynuator przekładu Dmóchowskiego," (x. Jakubowski jeżeli się nie mylę), który już po jego śmierci te xięgi ostatnie przełożył. Nie ochłonąłem jeszcze z podziwienia, gdy na ukoronowanie dzieła, professor moje nazwisko, z obudwóma imionami wymienił.

Czytałem gdzieś, że piérwsze wrażenie wielkiéj radości, podobne jest do uczucia boleści. Prawdy tego doświadczyłem wtedy na sobie. Zaćmiło mi się w oczach, zadzwoniło w uszach, i mało brakowało, żem się nie rozpłakał. Pamiętam to jakby wczora, bo jest to jedna z chwil najważniejszych w mém życiu, i która też może na nie wpływ najważniejszy i stanowczy wywarła.

Ośmieliwszy się wreście spójrzeć w koło siebie, spotkałem wszystkich oczy obrócone na mnie; bo z jednéj strony Frejent, z drugiéj Oleś Chodźko, powstawszy, palcami mnie wskazywali drugim. Panienka chyba, która kiedy na balu czuła się celem głównym wszystkich spójrzeń, będzie mogła zrozumieć i uwierzy, gdy powiém, że ta piérwsza oznaka, i jużciż symptomat sławy, nie tylko mię nie ożywił, ale owszem przygniótł do reszty. Przy wyjściu dopiéro z sali, gdy Oleś Chodźko publicznie uścisnął mię i ucałował, a Frejent, tryumfujący widocznie, przedstawił mię kilku starszym, którzy mię bardzo uprzejmie i życzliwie przyjęli: zrozumiałem, co za odmiana stała się raptem w położeniu mojém, i jak innym wychodzę, niż wszedłem do sali. Jak zaś szybko ta piérwsza sława moja rozeszła się pomiędzy kolegami i po za obręb literackiego nawet wydziału, miałem nie daléj jak w przyszły poniedziałek nader wymówny i nadzwyczaj miły mi dowód, a który ujść téż może za jeden z charakterystycznych rysów ówczesnego stanu i nastroju stosunków koleżeńskiego życia pomiędzy uniwersytecką młodzieżą.

Ojciec umieścił mię w Wilnie, nie pod władzą albo dozorem, ale wprost pod koleżeńską opieką starszego wiekiem ode mnie, pana Antoniego Odrowąża Kamińskiego, niegdyś ucznia, a potém guwernera emeryta w szkołach Boruńskich, a który, od trzech już lat będąc w uniwersytecie, używał tam ogólnego szacunku i sposobił się na nauczyciela w gimnazyum, w przedmiocie nauk fizyczno-matematycznych; tymczasem zaś wykładał u siebie w domu prywatne korrepetycye dla uczniów tegóż wydziału, co stanowiło sposób jego utrzymania. Uczniowie ci więc codzień,

o 6-téj godzinie rano, schodzili się zwykle do niego, i już przez to, że mi spać nie dawali, nie byli dla mnie zbyt miłymi gośćmi. Ale gorzéj, że jeden z nich, Herkulian Abramowicz, istny Herkules ze wzrostu i siły, powziął jakąś szczególną, nie wiém czy sympatyą czy antipatyą ku mnie, tak, że całując niby i pieszcząc, porywał mię gwałtem z łóżka, i obwinąwszy kołdrą, nosił po pokoju jak dziecko. Nie podobało mi się to strasznie, ale że się nie mogłem obronić, czułem iżbym się naraził na śmieszność, gdybym się próżno chciał szamotać i gniewać. Udawałem więc, że biorę to za dobrą monetę, to jest za wesoły żart przyjacielski, ale w gruncie duszy postanowiłem, że jeśli to tak dłużéj trwać będzie, napiszę do ojca prosząc, ażeby mi pozwolił wybrać sobie inne mieszkanie. Tymczasem w rzeczony poniedziałek, Herkulian przyszedłszy jak zwykle, siada przy mnie bardzo przyzwoicie na łóżku, i całując mię w czoło, powiada:—„Wybacz, Edwardku, jeśli może naprzykrzałem się tobie. Nie wiedziałem, że ty taki poeta. Więcéj już tego nie będzie; ale zostańmy zawsze dobrymi przyjaciółmi!“— Wyznaję, że mi to oświadczenie sprawiło większą może radość, niż sam tryumf w sali; bo uwolniło mię od prześladowania, i zjednało życzliwość kolegi, z którym odtąd, do końca jego życia, istotnie w dobrych zawsze byliśmy stosunkach.

Ale mówiąc już o tych piérwszych moich poetyckich tryumfach, nie mogę téż zamilczéć i o następnéj sobocie, tém bardziéj, że od niéj to właśnie rozpoczęło się moje prawdziwe ćwiczenie się w „sztuce odlewania wierszy,“ pod przewodnictwem i bezpośrednim kierunkiem Borowskiego, któremu, wyznaję z wdzięcznością,

że pod względem formy zewnętrznéj, najwięcéj, jeżeli nie wszystko zawdzięczam.

Otóż następnéj soboty, przyszedł z kolei pod rozbiór professora wiersz mój pod tytułem „Wiosna,“ zawierający przeszło dwieście wierszy, a będący wiernem naśladowaniem maniery i tonu Delilla, którego byłem wielkim wielbicielem, wraz z całą literacką publicznością naszą ówczesną. Pamiętam dotąd parę wierszy z niego, które tu jako próbkę przytaczam:

„Wiosno! posłanko Nieba! co tchem Archanioła
Budzisz z martwych naturę i ziemię! Któż zdoła
Dary twoje policzyć, piękność wyobrazić?
Ach! czuć je tylko można, ale nie wyrazić.“

Wiersze te były, jeżeli nie ostatnie, to przynajmniéj blizkie już końca; gdyż po nich to professor, odczytawszy wprzód głośno, nie *per extenso*, ale wyjątkami wiersz cały, powtórnie imię moje wymienił, i dodał: „Proszę autora, aby sam przyszedł do mnie do domu po odebranie swego rękopismu.“

Stawiłem się więc zaraz nazajutrz, po mszy, o południu, a przyjęcie jakiego doznałem, zawsze dotąd przypominam z wdzięcznością. Borowski zdawał się być zadziwiony, znajdując mię tak młodym, i że przybywam ze szkół Bazyliańskich, Boruńskich; wnosił bowiem, nie wiém dla czego, że muszę być z Winnicy albo ze Świsłoczy, gdzie rzeczywiście literatura polska i łacińska wykładały się podobno najlepiéj. Rozpytywał mię więc szczegółowo o nauczycielu moim w Borunach, i na jakich się wzorach mianowicie kształciłem; przyczém sam zalecił mi zwłaszcza wczytywanie się w Kochanowskich i Trembeckiego, dla przejęcia

się siłą, jasnością i jędrnością języka i stylu. Nakoniec, po godzinnéj przeszło rozmowie, darował mi exemplarz „*Przemian*“ Owidyusza, tłómaczenia Żebrowskiego, które sam świeżo był wydał, i tonem życzliwości ojcowskiéj powiedział przy pożegnaniu: „Nie podawaj mi już swoich robót razem tam ze wszystkimi, ale jak co napiszesz, to sam przynieś do mnie;“— i wskazał mi przytém godzinę, o któréj mogę to czynić. Wyszedłem upojony radością i wdzięcznością, która się wzmogła tém bardziéj, kiedy się dowiedziałem od starszych kolegów, że Borowski zazwyczaj nie był tak przystępny, i że tylko wyjątkowym sposobem przygarniał tak niektórych, gdy w nich wyższe upatrywał zdolności. Połechtana więc przez to moja miłość własna stała się dla mnie, obok serca, nowém ogniwem przywiązania, które szczerze ku niemu powziąłem, a które on widać oceniał, kiedy wkrótce coraz to częściéj kazał mi przychodzić do siebie, i prócz roztrząsania wraz ze mną każdéj nowéj mojéj roboty, (na co nieraz z największą cierpliwością po parę godzin czasu poświęcał), zaczął mię używać do przepisywania na czysto z brulionu własnych prac swoich, a zwłaszcza przekładu wprost z hiszpańskiego Don-Kiszota, nad czém już od lat wielu pracował. Samo to przepisywanie było już dla mnie niepospolitą nauką i szkołą; mogłem albowiem widzieć z brulionu, jak on surowo i ściśle sam siebie sądził i poprawiał, i jak przez te poprawki styl zyskiwał na jasności i wdzięku. Wprawdzie mógłbym tu dodać, jako odwrotną stronę medalu, że ta nazbyt pedancka chęć doskonałości nie zawsze pożądany wydawała skutek; tak, że

nieraz mnie nawet przepisującemu poprawka zdawała się być gorszą od tego, co było piérwéj, i zdarzało się nawet niekiedy, że gdy się ośmieliłem zwrócić na to uwagę autora, on sam uprzedni wyraz albo wyrażenie przywrócił.

Z téj tak wybrednéj surowości względem samego siebie, łatwo można wnioskować, jakim krytykiem był Borowski dla drugich, a mianowicie dla uczniów, dopełniając przez to zarazem obowiązku nauczycielskiego sumienia. Nie zadawał on sobie wprawdzie téj pracy względem wszystkich zwyczajnych ćwiczeń, na katedrze w sali składanych; ale kiedy już komu kazał z niemi prywatnie przychodzić do siebie, to ten ktoś musiał mieć mocne nerwy i niezłomną do autorstwa ochotę, aby wytrzymać i nie dać się odstraszyć przez torturalne próby, czyli raczéj męki, na jakie go brał zwykle professor. Nie uniknęli ich prozaiści, ale najbiedniejszemi ofiarami byli mianowicie poeci. Dowiedziałem się późniéj o tém od innych, a zwłaszcza od Adama, ale kiedy to już sam najprzód z własnego doświadczenia odczułem. Wytłómaczyłem był jakąś odę, czy raczéj dytyramb, z Jana Baptysty Rousseau. Tytułu już dziś nawet nie pamiętam; ale była tam rozmaitość miar wiersza, była harmonia naśladowcza, jedném słowem obszerne pole do popisu, i byłem najprzekonańszy że mi się to dobrze udało. Przyniosłem to więc na piérwsze posiedzenie krytyczne, i nigdy nie zapomnę téj chwili. Professor kazał mi najprzód odczytać to głośno, i wysłuchał cierpliwie do końca, żadnéj zgoła nie czyniąc uwagi. Że zaś z tonu tego czytania mógł wnosić, iż byłem zadowolony sam z siebie, sądzę, że chciał mi dać od razu nauczkę, abym tak

bardzo nie ufał sam sobie. Nigdy już bowiem potém, w ciągu lat kilku, nie okazał się ani tak srogim, ani nawet tak wymagającym jak wtedy. Zamknął najprzód drzwi na dwa spusty, wydobył z szafy oryginał, kazał mi usiąść obok, i zasiadł sam z powagą, jak sędzia na trybunale. Zaczęła się prawdziwa anatomiczna sekcya martwego ciała. Każdy wiersz pojedyńczo, jak żyłka po żyłce, wyciągał się i ulegał oglądaniu, w porównaniu z oryginałem; przyczém nie tylko każde wyrażenie lub wyraz, ale każdy przyimek lub zaimek, sam nawet zbieg brzmienia głosek, dostarczał krytykowi wątku, tak do oceny właściwości ich użycia, jak i co do ogólnych uwag w tym przedmiocie. Nie mogę wprawdzie powiedzieć, ażeby wszystkie one wypadły na moję niekorzyść; ale ogólny wszakże rezultat był ten, że to, co mi się zdało mojém arcydziełem, zmalało z przekonania w oczach moich własnych, do rozmiarów studenckiego ćwiczenia. I w tém też to mianowicie była główna pedagogiczna zasługa i doskonałość krytycznéj metody Borowskiego, że z pedancką na pozór drobiazgowością rozbierając szczegóły, umiał z nich zawsze wyprowadzić i wrazić w ucznia zasady ogólne, które sam on już potém w potrzebie mógł do wszystkich prac swoich stosować. I wtedy też to chyba dopiéro mógł ocenić z należytą wdzięcznością tę zmudną i zapewne uciążliwą pracę, którą wszakże professor dobrowolnie sam sobie zadawał, aby w ten sposób, oprócz obowiązku płatnego, spełniać zarazem i obywatelski względem przyszłéj literatury ojczystéj. Wszyscy uczniowie Borowskiego, zaczynając od Mickiewicza, którzy potém w zawodzie autorskim wytrwali, przypisywali mu zgodnie tę zwłaszcza ścisłość

i jasność wyrażeń i stylu, zarówno w prozie jak w wierszach, jaką się cała szkoła wileńska odznacza;—ale też i okupili ją wszyscy podobném do mojego męczeństwem. Gdyby to który z późniejszych romantyków, nie-litewskich zwłaszcza, musiał przechodzić za młodu przez podobne próby: wyniknęłoby ztąd niezawodnie jedno z dwojga: alboby on pisać poprzestał, alboby go ludzie rozumieli.

Wyjątkowa ta opieka i łaska, takiego jak Borowski professora, miała jeszcze i ten realny dla mnie w życiu koleżeńskiém pożytek, że podnosząc mię niejako nad zwykły poziom piérwszoletnich) uczniów *(minimusów* uniwersyteckich), zjednała mi pewien rodzaj powagi pomiędzy rówiennikami, zwłaszcza pomiędzy piszącymi wiersze, a ułatwiła przystęp do starszych. Frejent, lub Oleś Chodźko, pośredniczyli zazwyczaj w zabieraniu tych nowych moich znajomości; gdyż jak Frejent niegdyś w Borunach, tak Oleś był piérwszym moim przyjacielem-poetą w Wilnie.

Niedawno jeszcze, siostrzyczko, oglądałaś, pamiętam, z ciekawością fotografię jego, którą mi przysłał w siedemdziesiątą piątą rocznicę swoich urodzin, jako professor Literatury Słowiańskiéj w Kollegium Francuzkiém w Paryżu, z poważną białą brodą, jakby wschodniego mędrca, którą sobie w Persyi zapuścił. Ale wtedy był to wysmukły, kształtny, z delikatną panieńską cerą, i ładny jak panienka młodzieńczyk; i śmiało mógłby teraz powtórzyć o sobie słowa Mazeppy, w poemacie Byrona, gdy ten dawną swą młodość przypomina mówiąc:

„I na czole,
„Nim je zorały losu nawałnice,

„Była moc duszy; i oczy sokole
„Umiały ogniem sypać na dziewice."

A ja jeszcze dodam od siebie, że wcale nie oszczędzały tych iskier.

Ojciec jego, Jan, stał właśnie podówczas na najwyższym szczeblu znaczenia, wpływu i obywatelskiéj powagi w Litwie, jako Prokurator Massy Radziwiłłowskiéj, Prezes Wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności, zasłużony urzędnik, (przez wiele lat z wyboru obywateli piastujący ważny urząd Prezesa Sądu Apellacyjnego w Mińsku), i nakoniec jako Wielki Mistrz najgłówniejszéj naówczas w Litwie, za dozwoleniem rządu istniejącéj, Loży Masońskiéj. Słynął też przytém niemniéj jako literat, autor i poeta. Wybierany był powielekroć przez Uniwersytet wizytatorem szkół; napisał znakomite dzieło p. t. „*Pan Jan ze Świsłoczy*," (treści obywatelsko-ludowéj), i oprócz drukowanych powieści obyczajowych prozą, był autorem dwóch czy trzech tragedyi historycznych wierszem, (w guście francuzkim), które lubo nie drukowane, krążyły jednak w rękopismach i wysoko były cenione. Prócz zaś wszystkich tych zalet i zasług, był to najprzyjemniejszy człowiek w towarzystwie, odznaczający się zarówno polorem wyższego świata, jak estetyczném wykształceniem i gustem, który też czynnie od młodu, nie tylko w miastach gdzie z kolei przebywał, ale nawet i po wsiach w całéj prowincyi rozszerzał. Działo się to zaś mianowicie za pośrednictwem teatrów amatorskich, które on, tak w możniejszych domach prywatnych, jako też po różnych mniejszych miasteczkach, gdzie się liczniejsza publiczność w pewnych porach roku zbierała, z niezmordowaną gorliwością urządzał, i sam w nich

najdoskonalszym był aktorem. W chwili, o któréj tu mowa, był on już w wieku podeszłym, a stale mieszkając w Wilnie, dla obowiązków urzędu, nie przestał jednak być w niém duszą towarzystw, dyrektorem zabaw publicznych i amatorskich teatrów, co rok podczas Ś-to Jerskich kontraktów, na dochód Domu Dobroczynności urządzanych.

Ale wracając do Olesia. Dawna przyjacielska zażyłość rodziców jego z domem pp. Spitznaglów, a następnie koleżeństwo w szkołach i poezya, od dzieciństwa już ścisłym węzłem przyjaźni połączyły go były nawzajem z przyjacielem moim Ludwikiem. Ztąd też za przybyciem mojém do Wilna, znalazłem się od razu w tym ich z sobą stosunku jak trzeci; ale wnet pomiędzy mną a Olesiem okazał się pewny punkt zjednoczenia, który pomiędzy nami a Ludwikiem nie istniał. Punktem tym była sentymentalność sercowa, czyli, jak już ją śmiało nazwać tu mogę, *romantyczna;* gdyż z jéj to właśnie powodu, piérwszy raz może od Olesia posłyszałem ten wyraz: *romantyczność*. Uczucie to samo przez się znane mi już było zaprawdę, tak z romansów, które czytałem, jak po części i z doświadczenia własnego, znając tyle siostrzyczek Boruńskich kolegów; ale Oleś, jako wychowaniec miasta i poetycznego domu swego ojca, a zwłaszcza jako ulubiony uczeń Tomasza Zana, pod którego opieką i przewodnictwem mieszkał właśnie wtedy osobno, wraz z dwóma starszymi braćmi; Oleś znał je teoretycznie, i to podług teoryi, któréj tenże Zan, jako „*Arcy*“ Promienistych, był twórcą i krzewicielem między całą uniwersytecką młodzieżą.

Podług tedy téj jego teoryi: Piękność, Czułość, Niewinność, trzy najpiękniejsze „*promionki*“ duszy

ludzkiéj, świadczące o jéj Boskim początku, a utrzymane w całéj swojéj czystości, tworzą około każdéj jakby rodzaj atmosfery, czyli aureoli świetlanéj, która w zetknięciu się z drugą podobnąż, (mianowicie w stosunku duszy męzkiéj z niewieścią, jak dwóch różnych elektryczności), zlewa się wzajem w jedną wspólną tęczę, która i dla serc obu świat ten opromienia, i jak mitologiczna Irys, obie dusze powołuje ku Niebu, ku ostatecznemu celowi życia ludzkiego na ziemi. Tęcza ta—jest to Przyjaźń lub Miłość—ale miłość czysto duchowa; *platoniczna*, jak się zwała naówczas, nim ją potém na *romantyczną* przechrzczono.

Teorya ta od razu trafiła mi do serca i do przekonania, a kazuistyczne stosowanie jéj do praktyki, (ma się rozumieć w myślach tylko i wyobraźni), stało się odtąd niewyczerpaném źródłém i ulubionym tematem rozmów naszych z Olesiem, a wkrótce i z wielu innymi, których za pośrednictwem jego poznawałem. Byli to pospolicie szkolni jego koledzy, rówiennicy nasi i poeci, którzy téż cześć Amora ze czcią Muz nierozdzielnie łączyli, chociaż nie wszyscy może wraz z nami, o względy i łaskę u niego, nie przez matkę, (Wenus), ale przez żonę, (Psychę), starać się raczéj zamierzali. Ludwik w tych pogadankach naszych nigdy chętnie nie brał udziału, a wciąż heroicznemi marzeniami zajęty, jątrzył się owszem i oburzał na nas, że częściéj o bohaterkach niż o bohaterach mówimy, i przez to, zwykłym skutkiem ducha przekory, nieraz nam jak oliwy do ognia dolewał. Wyrodziły się ztąd coraz częstsze i coraz upodobańsze konferencye koleżeńskie, nakształt Boruńskich, tylko że zwyczajném ich polem była nie już wiejska studencka izdebka, ale albo cienista

altana u stóp Góry Zamkowéj, w ogrodzie pp. Spitznaglów, albo dach płaski na lodowni w ich domu, nad samym prawie spadem wód szumnéj Wilenki, z upustów tak zwanego Królewskiego Młyna. Sama już ta zmiana sceny była jak gdyby piérwszym widomym symbolem przejścia myśli i wyobrażeń naszych— a przynajmniéj moich—od klassycyzmu, do *romantyczności*. Jak albowiem w Borunach *Iliada* i *Eneida*, tak tu już poemata Byrona i Walter-Skota, weszły jak nowe gwiazdy na horyzont myśli, marzeń i wyobraźni mojéj. O imionach ich nawet nie słyszałem był jeszcze w Borunach. Oleś piérwszy zaczął mi mówić o nich, i piérwszy z biblioteki ojcowskiéj pożyczał mi tom po tomie dzieła Byrona, w tłómaczeniu francuzkiém prozą, które ja nieraz, niestety, na lekcyi nawet Prawa Rzymskiego, ukradkiem pod ławką czytywałem.

Nie zbywało mi jednak w tymże czasie i na podnietach do poważniejszego myślenia. Frejent, nie poprzestając na zarekomendowaniu mię starszym w sali lekcyjnéj, powiedział mi, iż jest potrzeba, abym się im bliżéj dał poznać, i sam obiecał być mym przewodnikiem. Wiedziałem już, że nie jest w obyczaju studenckim oddawać sobie wzajem ceremonialne wizyty; domyśliłem się więc, że musi być w tém cel inny. i zdałem się całkiem na niego. Zaczął najpiérwéj od Zana i Czeczota, których już na wiosennéj majówce poznałem. Wiadomo ci zkądinąd, siostrzyczko, o przeważnym wpływie obu tych ludzi na ówczesną uczącą się młodzież, a przez to na całe pokolenie, jeśli nawet nie na pokolenia następne. Ale ciekawy bardzo jestem, czemuby go przypisał nowomodny dzisiejszy

historyk-pozytywista, odrzucający w ludziach duszę i natchnienie, a nad nimi Opatrzność i Łaskę? Co do mnie, uważam go za najpiękniejszy owoc połączenia historycznych tradycyi ducha, z plemiennym temperamentem i charakterem miejscowym, to jest ducha miłości i ofiary, z prostotą i pokorą serca. A nie wahałbym się téż dodać, że na oba te ostatnie uczucia, albo raczéj przymioty, największy wpływ miały szkoły duchowne, w których sam już kapłański stan nauczycieli, zarówno nauce jak władzy, nadawał w oczach uczniów religijny, ojcowski charakter, i usposabiał ich przez to samo do wzajemnéj pomiedzy sobą, jakby rodzinnéj, braterskiéj miłości. Usposobienie to, teorya Zana zamieniała w główną zasadę i powinność życia, ukazując w niém z jednéj strony tradycyjną spuściznę przeszłości, z drugiéj, jedyną rękojmię szczęśliwszego losu na przyszłość.—Ale nie tu jest miejsce mówić o tém szerzéj. Poezya i stosunki moje z poetami, to cel wyłączny i program niniejszych opowiadań; i muszę to przypominać i powtarzać sobie co chwila, ażeby na dygressye nie zbaczać.

Ale i pod tym względem, to jest, uważani jako poeci, Zan i Czeczot trzymali wówczas piérwszeństwo pomiędzy uniwersytecką młodzieżą; i w nich to, a mianowicie w Zanie, było jakby piérwotne źródło tego nowego ducha i kierunku, który się potém przez Adama, i pod nazwą *Romantyczności*, w poezyi naszéj rozwinął. Nikt, ani oni sami, nie wiedzieli natenczas o tém; i dopiéro w wiele lat późniéj, sam Adam przyznał im i wyświecił piérwszy tę ich zasługę, mówiąc ze mną o wpływie ich na niego w piérwszych latach pobytu w uniwersytecie. Rozmowę tę powtórzyłem

Chodźce Ignacemu w jednym liście z podróży, pisanym do niego, a on to piérwszy drukiem w swoich „*Dwóch Konwersacyach*“ ogłosił. Pan Juljan Bartoszewicz wziął to ztamtąd dosłównie, i nie wymieniając źródła zkąd bierze, w swojéj „*Historyi Literatury*“ powtórzył. Odtąd w ślad za nim powtarzają drudzy; a więc i ja tu raz jeszcze, dla ciągu niniejszego opowiadania, powtórzę.

Zastęp poetów, to jest piszących wiersze, jak ich nazywano powszechnie, był w owym czasie bardzo liczny w Litwie. Śmiało możnaby twierdzić, że nie było szkoły, któraby nie wydała jakiego laureata. Tylko, że jak ochota do pisania wierszy nie zawsze łączyć się zwykła z ochotą do nauki i pracy, tak téż i większa połowa tych samorodnych synów Apollina, usypiała na wieki na swych laurach szkolnych, lub co najwięcéj, słynęła jeszcze czas jakiś w granicach swego powiatu, śpiewając przy gitarze czułostki panienkom, albo rubaszne piosenki przy kielichu z palestrą, stanowiącą naówczas ognisko intelligencyi po wszystkich powiatowych stolicach. Ci zaś, co ze szkół udawszy się na uniwersytet do Wilna, aspirowali do szerszych na tém polu sukcessów, szli zwykle ślepo drogą panującéj mody, tłómacząc lub naśladując poetów francuzkich. Sam Adam nie stanowił wyjątku. W Nowogródku wierszował z prozy polskiéj, (tłómaczenia Staszica), ustępy z „*Numy Pompiliusza*“ Floryana; a w piérwszych dwóch latach pobytu w uniwersytecie, pracował zwłaszcza, pod wpływem Borowskiego, nad wykształceniem stylu w guście Trembeckiego, już to przerabiając na jego sposób niektóre bajki Lafontena, już marząc o napisaniu, a nawet zacząwszy już pisać wielkie epos heroi-komiczne, p. t. „*Kartofla*,“ którego

część bohaterską stanowić miało odkrycie Ameryki, a część potoczną, gospodarstwo kartoflane w Litwie. Nimby zaś sam na drodze własnego myślenia, zwłaszcza przy studyowaniu poetów greckich, doszedł może do zmiany pojęć swych i wyobrażeń: pan Tomasz mu bezwiednie pracę tę ułatwił, i ostateczny jéj rezultat przyśpieszył. A oto jak się rzecz miała:

Zan także od dzieciństwa pisał wiersze w szkołach; a lubo za przybyciem do Wilna oddał się naukom ścisłym i gorliwie się niemi zajmował, nie zaniechał wszakże poezyi; tylko, że nie szukając z niéj sławy autorskiéj, nie dbał téż o przepisy i wzory xiążkowe, a będąc sam jakby uosobieniem serafickiéj miłości ludzi i świata, poezyą obrał za środek do wyrażania tych uczuć i natchnień swojego serca. Pisał więc co niemiara wierszy; najprzód do rozmaitych panienek i panieneczek, którym na wszystkich pensyach w Wilnie rozmaite przedmioty wykładał, a w każdéj z nich, zaczynając od *Feli* i *Weli*, (królowéj jego myśli i jéj przyjaciółki: Felicyi Micewiczówny i Eweliny Zborowskiéj), w każdéj jakiś szczególny „promionek“ doskonałości upatrywał i kochał; następnie zaś opisując dla zabawy bliższych przyjaciół-kolegów różne swoje dzienne przygody, albo serdeczne wrażenia, które im odczytywał zwykle na zebraniach wieczornych, obok poważnych rozpraw i dysput naukowych. Adam z początku nie wiele do nich przywiązywał wagi, nie widząc w nich ani sztuki, ani wypracowania. Aż nakoniec razu jednego pan Tomasz napisał elegię na odjazd jednéj ze swoich pięknych przyjaciółek i uczennic, z którą przez cały rok, w niedziele i święta, spotykał się na obiadach u wspólnych

przyjaciół, gdzie już resztę dnia zwykle przepędzali razem. Treścią téj elegii było zwłaszcza wspomnienie różnych gier i zabaw towarzyskich, w tonie raczéj wesołym niż tkliwym, ale jednak tak delikatnie wydającym rzewne i głębsze uczucie: że Adam, który, (według własnych słów jego), „nie sądził, aby w potocznych szczegółach rzeczywistego życia mogło być tyle skarbów poezyi;“ raz piérwszy zwrócił myśl i uwagę, nie tylko już na szukanie „prawdy w poezyi, ale i poezyi w prawdzie,“ to jest, w szczegółach rzeczywistego, codziennego życia. A że właśnie natenczas, chodząc już na wydział filologiczny, (bo rok piérwszy był na matematyczno-fizycznym), uczył się i zaczynał czytać po grecku i po niemiecku; więc i we wszystkich arcydziełach w obu tych językach zaczął szukać i dopatrywać tego pierwiastku; aż nakoniec doszedł do przekonania, że jemu to one właśnie i wielkość swą i nieśmiertelność są winne. Homer i Goethe mianowicie stali się ulubionymi jego pod tym względem mistrzami. Elegię zaś pana Tomasza tak ciągle nosił przy sobie, że mu się aż zszargała w kieszeni. Następnie razem z Czeczotem, gorliwym zbieraczem i naśladowcą piosnek gminnych, zaczęli w nich szukać wskazówek uczuć, pojęć, zwyczajów i obyczajów rodzinnych; co wszystko owoczesna poezya xiążkowa całkiem w sobie była zatarła.

Takie były piérwsze początki kierunku romantycznego w Wilnie. Żadne cudze pisane teorye nie wpływały na ten piérwszy zwrót jego, chociaż go późniéj rozjaśniły i wzmogły. W chwili, o któréj tu mowa, był on już zakreślony wyraźnie, ale jeszcze nie zapanował powszechnie. Nastąpiło to wkrótce

samo przez się, pod wpływem poezyi Adama, bez żadnéj polemicznéj walki, i bez niczyjego szczególnego w tym względzie apostolstwa.

Ani Zan, ani Czeczot, naprzykład, mówiąc o poezyi ze mną, jako proklamowanym już przez Borowskiego terminatorem cechu, nie mówili o niéj zgoła jako o sztuce, ale najwięcéj o moralnych obowiązkach poety, tak pod względem kształcenia jak i używania talentu. Inni starsi, jak Jeżowski, Kowalewski, Malewski, i t. d., którym z kolei przedstawiany byłem, powtarzali słowo w słowo to samo, albo mnie brali widocznie na egzamin, co ja sam w tym przedmiocie myślałem. Przewodnikiem zaś moim do tych innych starszych, był nie już Frejent, ale Ignacy Domeyko, który od piérwszéj chwili przybycia mego do Wilna, pamiętny obietnicy danéj ojcu mojemu, otoczył mnie protekcyjną, jak brat starszy, opieką, i zapoznawszy najprzód ze swoimi braćmi, wtajemniczał powoli w dalsze ze starszymi stosunki. Wkrótce atoli pod tym względem przewodnictwa i opieki nade mną, główne i najwybitniejsze stanowisko zajął Czeczot, i to tak dalece, że nie tylko sam się poczułem wybranym ulubieńcem jego, jak był nim Oleś dla pana Tomasza; ale i między kolegami, u których Czeczot od dawna miał już przydomek *Mentora*, nadana mi została nazwa *Telemaka*, która, jak nazwa *Beniaminka* w Borunach, zastąpiła z czasem ogólnie familijne moje nazwisko.

Była to dla mnie okoliczność tak ważna, tak obfita w następstwa, tak szczęśliwa i niespodziana, że nie mogę zamilczeć szczególniejszéj przyczyny, która mi to szczęście zjednała. A poczuwam się w tém nawet do pewnego rodzaju obowiązku, gdyż sam w najgłębszém

przekonaniu własném, mam to za bezpośrednie zrządzenie Opatrzności, i to w skutek wysłuchanéj modlitwy. Dla ciebie saméj, siostrzyczko, i dla serc takich jak twoje, nie będzie to zapewne ani rzeczą dziwną, ani nową; że zaś, jak łatwo przewidzieć, poda może temat do szyderstw pseudo-mądrym i niby modnym doktorom tak zwanéj filozofii dzisiejszéj: pragnę owszem oświadczyć przy téj sposobności, że nawet same proste obelgi z ich strony, jakie nieraz mnie już spotkały, nie za krzywdę lub obrazę dla siebie, ale raczéj za zaszczyt uważam.

Otóż, jak niegdyś w piérwszych dniach pobytu w szkołach, tak tém bardziéj w nowém nieznaném mieście, trapiła mnie z początku niewypowiedziana tęsknota po domu i rodzicach, któréj wstydziłem się przed ludźmi, ale w sobie pokonać nie umiałem. W dzień zwłaszcza imienin matki, (15 Października), będący razem dniem urodzin ojca, na który zawsze ze szkół przyjeżdżałem do domu, a teraz po raz piérwszy przepędzałem go daleko od nich, tak się czułem osierocony i smutnym, iż właśnie z tego powodu, biorąc to za złe jakieś przeczucie, rady w końcu dać sobie nie mogłem. Korzystając więc z xiężycowéj nocy, gdy już wszystko w mieście ucichło, poszedłem do Ostréj Bramy, a czując się zupełnie samotnym, popuściłem cugle żalowi. W téj chwili właśnie Czeczot—(jak mi to sam we cztery lata późniéj, przed ostatniém rozstaniem w Wilnie, opowiedział)—wracając od Malewskich, przechodził przez Ostrą Bramę, a poznawszy mnie przy świetle xiężyca, lubo mi nie przerywał modlitwy, powziął dla mnie ów życzliwy affekt, któremu, kto wié, czy może nie najwięcéj zawdzięczam przyszły

mój stosunek z Adamem, którego Czeczot piérwszym był pośrednikiem; a niewątpliwie musiało to wpłynąć na skrócenie czasu méj próby, na którą właśnie naówczas wystawiony byłem bezwiednie.

W kilka zaraz bowiem dni potém, Czeczot wezwawszy mnie przez Frejenta do siebie, oświadczył mi, w swoim zwyczajnym mentorsko-żartobliwym tonie: że ponieważ Beniaminek zdaje się być dobrym chłopcem; więc żeby się w złém jakiém towarzystwie nie zepsuł, a owszem coraz bardziéj rozwijał się w dobrém; na zaręczenie Domeyki i Frejenta, a po bliższém poznaniu przez innych, zostaje przyjętym do grona tak zwanych „Miłośników Cnoty," (Filaretów), to jest do grona wybrańszych kolegów, połączonych pomiędzy sobą węzłami przyjaźni braterskiéj, a mających za cel wspólny i jedyny, dopomać sobie nawzajem w kształceniu się naukowém i moralném, ażeby stać się kiedyś użytecznymi członkami społeczeństwa, i na szacunek i miłość bliźnich za życia, a po śmierci na zbawienie duszy zasłużyć. W tym celu mają oni ułożone osobne prawidła, potwierdzone przez władzę uniwersytecką, a tyczące się wyłącznie moralnego postępowania członków towarzystwa; gdyż wszelkie inne, a zwłaszcza polityczne ideje i cele, stanowczo przez nie usunięte zostają. Zobowiązanie się „pod słowem uczciwego człowieka," do ścisłego i sumiennego przestrzegania owych prawideł, które dał mi do przeczytania, było jedynym warunkiem, wymaganym od nowo wchodzących.

Uczyniwszy mu zadość ochoczo, i podziękowawszy serdecznie, d. 1 Listopada, to jest w dzień Wszystkich Świętych 1820 r., zostałem rzeczywiście przyjęty

do grona, o którém, możnaby twierdzić z pewnością, że Mickiewicz pamiętał w duszy, pisząc:

„Świętym jest na ziemi,
„Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.“

Dzień ów mojego przyjęcia ważnym był nie tylko dla mnie, ale i dla całego *Błękitnego Grona*, (tak się nazywało literackie), jako dzień piérwszego zebrania w nowym roku szkolnym; a co w dziejach rozwoju Romantyzmu w Wilnie, to słusznieby go można nazwać epokalnym. Frejent zalecił mi go zacząć od odbycia spowiedzi, jak niegdyś młodzi giermkowie w dzień przyjęcia złotéj ostrogi; przyczém on sam właściwie służył mi za *kuma*. Nad wieczorem przyszedł po mnie z Domeyką, i oba zaprowadzili mię do tegoż samego domu, w którym mieszkał Czeczot, tylko że nie wprost do jego mieszkania, ale do innéj celi na tymże korytarzu. Cały ten dom albowiem był niegdyś klasztorem seminarzystów, a wtedy służył już tylko za mieszkanie wielu uczniom uniwersyteckim, zajmującym pojedyńcze cele. Czeczot zajmował aż dwie, połączone z sobą, i właśnie stanowiące niegdyś mieszkanie X. Rejensa, którego obowiązek niejako Czeczot, nie *de jure* ale *de facto*, nad wszystkimi młodszymi współlokatorami swymi wykonywał. Cały ten dom ogromny, trzypiętrowy, (licząc po wileńsku), stał tuż obok katedralnéj dzwonnicy. Zwalono go następnie dla zrobienia placu.

W celi, do któréj wszedłem, czekał już jakiś młodzieniec, starszy wiekiem ode mnie, bardzo znaczącéj i rozumnéj twarzy, którego zdaleka tylko na lekcyi Groddka widywałem; a siedział tam w piérwszéj ławce pomiędzy najstarszymi. Był to Mikołaj Malinowski,

znany późniéj chlubnie jako historyk, a wtedy świeżo przybyły z Winnicy. Był w towarzystwie znajomych mi już przedtém: Jana Wiernikowskiego i Felixa Kułakowskiego, poetów, a przytém należących do rzędu najbieglejszych naówczas filologów. Ci więc zaznajomili nas między sobą, jako mających wspólnie obrzęd piérwszego wejścia i przyjęcia odprawić.

Obrzęd to był niezmiernie prosty, równie jak lokal, w którym się odbywał. Piérwsza cela Czeczota, uprzątnięta z łóżek, ostawiona była dokoła przy ścianach prostemi drewnianemi ławkami, stołkami, lub kuferkami, na których zasiadali obecni. Dwa tylko porządniejsze krzesełka stały tuż przed stolikiem, wznoszącym się w środku izby, na małém podniesieniu, przy którym, także na krześle, siedział Przewodnik grona, Józef Kowalewski, sławny późniéj na cały świat oryentalista, rektor uniwersytetu Kazańskiego, a nakoniec dziekan filologicznego wydziału w Szkole Głównéj i w uniwersytecie warszawskim. Stolik ten okryty był kusym, wytartym dywanikiem, a całe oświetlenie składały cztery na nim świece łojowe po rogach. Żadna jednak najwspanialsza sala balowa nie sprawiła już nigdy na mnie podobnego wrażenia. Weszliśmy razem z Malinowskim, w towarzystwie naszych introduktorów, i kazano nam usiąść na owych dwóch próżnych krzesełkach, za któremi owi nasi kumowie pozostali stojący, podczas całéj krótkiéj przemowy, którą nas powitał przewodnik. Treść jéj była po prostu powtórzeniem prawideł, ze szczególnym wszakże naciskiem na to, że cel stowarzyszenia nie ma mieć nic wspólnego z polityką, i że celem stowarzyszonych ma być,

nie rozprawianie o ustroju społeczeństwa, ale wprost kształcenie się własne na pożytecznych kiedyś jego członków. Wyrazy uprzejmości braterskiéj i podanie nam ręki przez przewodnika zakończyły obrzęd przyjęcia; poczém wszyscy obecni ruszyli się z miejsc swoich, i otoczywszy nas do okoła, witali i zapraszali wesoło do zajęcia obok nich miejsca przy ścianie. „*Poet's Corner*," (kąt poetów), jak się Frejent wyraził, (robiąc alluzyą do tak zwanego miejsca w katedrze westminsterskiéj w Londynie), był właśnie na kuferkach pod piecem, gdzie ujrzałem od razu wszystkich znajomych mi już z sal lekcyjnych kolegów, i sam między Olesiem i Frejentem zasiadłem. Malinowski, jako filolog, zabrał miejsce przy najznakomitszych, jakimi wówczas, prócz Kowalewskiego, byli: Józef Jeżowski i Jan Sobolewski.

O! gdybym ci mógł przedstawić, siostrzyczko, jak sam zda się widzę przed sobą, na tych dwóch kuferkach pod piecem, szereg rzezkich, młodych chłopaków, od 16 do 20 lat wieku, ożywionych wzruszeniem chwili, szeptających lub figlujących nawzajem: miałabyś przed oczyma cały młodszy ówczesny nasz Parnas uniwersytecko-wileński; bo Zan i Czeczot, jako dygnitarze i starsi, nie siedzieli już przy nas pod piecem. Nikt zeń wprawdzie pegazem nie wyleciał bardzo wysoko. Niektórzy nawet zgaśli przed zabłyskiem; innym burza zwichnęła skrzydła; innym, jak mnie naprzykład, brakło sił do wyższego polotu. Ale co do zamiłowania i poczucia poezyi; co do zapału i odwagi, a nawet co do żądzy i nadziei chwały: to zdrój Kastalski wrzał w nich wtedy i tryskał jak szprudel w Karlsbadzie. I trzebaż, że ten dzień właśnie

mojego przyjęcia, jak dla mnie, tak i dla wszystkich, był jakby zwrótnikowym punktem od klassycznéj poezyi francuzkiéj, ku nowo otwierającym się sferom z imienia ledwo jeszcze znanéj *Romantyczności*. A stało się to w ten sposób.

Po kilku minutach przerwy, głos dzwonka przewodnika uciszył wesołe gwary, i zgromadzenie wróciło do poważnego nastroju. Zdano sprawę z posiedzeń gron innych, które się już były otwarły, to jest mniéj więcéj z treści rozpraw lub ćwiczeń na nich czytanych. Poczém Jeżowski, usiadłszy przy stoliku niżéj przewodnika, odczytał niezbyt długą, ale wielce treściwą rozprawę o pożytkach, a więc i o potrzebie znajomości starożytnych języków, ażeby módz korzystać ze skarbów myśli, wiedzy i doświadczenia, zawartych w literaturze greckiéj i łacińskiéj. Dla aspirantów zaś do parnaskich laurów, mówca potrzebę tę uważał za tém konieczniejszą, że w poezyi zewnętrzna piękność formy i języka stanowi integralną część jéj uroku i siły działania, i że często sama treść rzeczy, choćby najwierniéj nawet powtórzona w przekładzie, tak nie może dać pod tym względem wyobrażenia o oryginale, jak owoc lub nasiona rośliny o kwiecie, z którego się wywiązały. Dla ułatwienia więc kolegom nauki rzeczonych języków, on, Jeżowski, i przewodnik Kowalewski, obowiązują się w ciągu całego szkolnego roku miewać dla nich bezpłatnie, po dwa razy w tygodniu, korrepetycye lekcyi Groddka, piérwszy greckiéj, drugi łacińskiéj literatury. Nadto jeden i drugi, dla użytku szkół wydziałowych, obiecują wydać, z ułożonemi przez siebie komentarzami, piérwszy, wybór *ód* Horacyusza; drugi, wybrane także *Metamorfozy* Owidyusza. Oświad-

czenie to i ofiarę przyjęto z zapałem wdzięczności. Malinowski zaś powstawszy z miejsca dodał, że i on téż pragnie mieć udział w tak szlachetném i piękném przedsięwzięciu, i jako uczeń professora Jagiełły w Winnicy, poczuwa się na siłach do skomentowania w tenże sposób całéj Eneidy Wirgiliusza. Szumna ta a niespodziewana zapowiedź nowego i nieznajomego kolegi, zwróciła nań uwagę ogólną, i od razu go z pod korca na świecznik opinii wyniosła. Niestety, dodać tu tylko potrzeba, że gdy Jeżowski i Kowalewski rzeczywiście i sumiennie we wszystkiém obietnice swoje spełnili, zamiar Malinowskiego, przez lat kilka pozostając zawsze tylko zamiarem, zgoła w końcu nie przyszedł do skutku. A stało się tak samo i późniéj z różnemi jego projektami w przedmiocie prac historycznych. Nie szczędził on trudu i pracy gdy szło o nabywanie skarbów nauki i wiedzy, i rzadko kto zebrał ich tyle. Ale gdy przyszło do zużytkowania ich, zwłaszcza na większą skalę, na jaką zwykle zamiary swoje rozciągał: zawsze mu, nie wiém czy siły, czy tylko wytrwałości zabrakło.

W dalszym ciągu rozprawy swojéj, Jeżowski mówiąc o ubóstwie literatury naszéj w przekłady z autorów greckich, wezwał w końcu uzdolnionych kolegów, aby dla dobra téjże literatury, niedostatek ten starali się zapełnić. On sam na początek oświadczył, iż się zajmie przekładem niektórych dzieł Platona. Kowalewski, który już miał przygotowany do druku przekład traktatu Longina „*O Górności*,“ obowiązał się do przekładu historyi Herodota; Kułakowski zaś i Wiernikowski, jako poeci, wybrali sobie do tłómaczenia wierszem: piérwszy, komedye Arystofanesa, drugi,

ody Pindara. Nieprzewidziane, a niezależne od woli ich okoliczności, nie dozwoliły im spełnić tego zamiaru, przynajmniéj w całéj jego obszerności. Wyszły tylko na widok publiczny: wspomniany wyżéj traktat Longina, i niektóre Ody Pindara. Ale co gorsza, to że dokonane już i przygotowane do druku prace, jak np. historya Herodota i trzy komedye Arystofanesa, wytłómaczone wzorowo przez Kowalewskiego i Kułakowskiego, zaginęły bez śladu, w skutek nagłéj śmierci tego ostatniego, któremu i Kowalewski, przed wyjazdem swoim do Chin, poruczył do wydania w Petersburgu przekład swój Herodota. Zawsze jednak sam już ten zamiar świadczy, jak nieświadome prawdy, jeżeli nie umyślnie ją fałszujące, były sądy niektórych pseudo-krytyków warszawskich, obwiniające szkołę wileńską, z któréj właściwie wyszła Romantyczność, o lekceważenie i poniewierkę starożytnéj literatury klassycznéj. Śmiało owszem można powiedzieć, że żaden inny uniwersytet polski nie wydał ani tylu, ani takich jéj czcicieli i znawców. W najpiérwszym zaś ich rzędzie naówczas stał także i Adam Mickiewicz. I trzebaż, że właśnie na tém samém posiedzeniu, o którém tu mowa, jak gdyby symbolicznym zbiegiem okoliczności, po oddaniu tak wymównego hołdu prawdziwemu klassycyzmowi, wyszła raz piérwszy na jaw prawdziwa Romantyczność, dotąd znana tylko z imienia. Do owego dnia bowiem, prócz kilku piosnek, śpiewanych na majówkach Promienistych, nikt z młodszych nie znał innych poezyi Mickiewicza; a i ci nawet ze starszych, najbliżsi przyjaciele jego, którym on za czasów koleżeństwa dawne swoje utwory czytywał, nie znali właśnie najnowszych, które pisał będąc już

w Kownie. Owóż skoro Jeżowski skończył czytać swoję rozprawę, a wspomniani wyżéj koledzy, wywołane przez nią oświadczenia swoje złożyli: miejsce jego przy stoliku zajął Czeczot, trzymając w ręku kilka ćwiartek listu. Był to list odebrany świeżo od Mickiewicza z Kowna, zawierający kilka nowych jego poezyi, z pozwoleniem przeczytania ich na posiedzeniu. Było ich mianowicie trzy: „*Kurhanek Marylli*," „*Świteź*" i „*Świtezianka.*" Czeczot odczytał je z uczuciem, tak, że nawet czytając *Kurhanek*, musiał przerwać na chwilę czytanie, aby własne wzruszenie pokonać.

Ale jak ci, siostrzyczko, opisać wzruszenie, które ogarnęło słuchaczy, po przeczytaniu zwłaszcza nakoniec Świtezianki? Po sześćdziesięciu latach, dziś jeszcze, czuję je zda się i pamiętam jak wczora. Bez przesady i literalnie powiadam, że bicia serc słychać było; taka cisza i takie wrażenie zapanowało między obecnymi. Na pewno możnaby ręczyć, że każdy dzielił zachwyt bohatera ballady, gdy przed nim „po nad srebrzyste Świtezi tonie, dziewicza piękność (Świtezianki) wytrysła," i że się każdy przeniewierzył od razu uwielbianemu dotąd ideałowi poezyi klassyczno-francuzkiéj, jak on swojéj „dziewczynie z pod lasku."

Co do mnie, raz jeden tylko jeszcze w życiu doznałem podobnego wrażenia poezyi; to jest, że jakby jakiś świat nowy otworzył się nagle przede mną, a przytém i osobistość autora błysła mi jak meteor na tle wyobraźni—nim za łaskawém zrządzeniem Opatrzności, w jednym i drugim razie, osobistość ta przemieniła się dla mnie za czasem nie tylko w stałą, ale i w przewodniczą gwiazdę, tak u wschodu, jak i u zachodu życia. Ponieważ zaś zastrzegłem sobie z góry

możność robienia wszelkich dygressyi: więc przenoszę się myślą o trzydzieści kilka lat późniéj, i opowiem tobie, siostrzyczko, o tém drugiém mojém wrażeniu.

Było to w roku 1853, w miesiącu Styczniu. Przyszedłem jako gość zaproszony na obiad do państwa Balińskich w Wilnie. W salonie nie było nikogo. Damy jeszcze się ubierały, pan Michał jeszcze z miasta nie wrócił. Na stoliku leżały gazety, między innemi *Warszawska*. Rzuciwszy okiem obojętnie, postrzegłem w odcinku wiersze. Wziąłem więc numer do ręki—machinalnie, bez ciekawości nawet; bo jużciż poezya w gazecie nie mogła jéj tak bardzo obudzać. Zaciekawił mię wszakże sam tytuł, chociaż wcale nie w kierunku współczucia. „*Snycerstwo*," (co za szczególny przedmiot do poezyi!) „*Improwizacya*," (taka jakaś długa!...) Ściskając więc ramionami i z ironicznym uśmiechem na ustach, zabrałem się jednak do czytania. Ale jak opowiedzieć wrażenie, które mną zaraz od początku owładło?... Gdyby ktoś w noc Świętojańską, znalazłszy kwiat bajecznéj paproci, mógł zajrzeć nagle w głąb ziemi, i ujrzał tam od razu zaklęte jéj skarby, szychty metalów i drogich kamieni, połyskujące kolorami tęczy: tenby chyba posłużyć mógł mi za przedmiot poetycznego ze mną porównania w téj chwili. Ale któż jest ta Deotyma? ta cudotwórna improwizatorka? to fenomenalne zjawisko? Imię jéj tylko wspomniane we wstępie, z odwołaniem się do poprzedniego numeru, w którym widać jest mowa o niéj. Ale trzebaż nieszczęścia, że właśnie ten numer poprzedni odesłany już był współprenumeratorowi na wieś, i co najgorsza, niestety, że tu nikt w nim feljetonu nie czytał. Pożałowali wszyscy, przeczytawszy wiersze; ale nie było

innéj rady, jak chyba odbyć pielgrzymkę po cukierniach, prenumerujących tęż samą gazetę, ażeby zaspokoić ciekawość. Pielgrzymka ta zajęła mi całe popołudnie, i Jazon nie mógł uradować się więcéj, gdy cel wyprawy swojéj, złote runo obaczył, niż ja dostawszy wreście ów pożądany numer, a raczéj dwa poprzednie numera, z których raz piérwszy wtedy dowiedziałem się kto jest Deotyma, i o jéj prawdziwém nazwisku. A więc była to młodziutka panienka, córka dawnego przyjaciela i kolegi, z którym w ciągu lat czterech, co niedziela, z rzadkim wyjątkiem, obiadowałem zwykle u rodziców pana Joachima (Lelewela), gdzie się w tym dniu cała rodzina u patryarchalnego ich stołu zbierała! Cóż więc za dziw, że pod wpływem tych wrażeń, cała noc przeszła mi niepostrzeżenie na pisaniu listu do niego i piérwszego do ciebie wiersza, siostrzyczko, który, jak wiész, stał się piérwszém ogniwem najprzód trzyletniéj przeszło, ciągłéj korrespondencyi, a następnie braterskiéj przyjaźni, która mi właśnie pozwala tytułować cię tak poufale „siostrzyczką.“

Wprawdzie młody i nieznajomy poeta, jakim natenczas był dla mnie Mickiewicz, nie mógł mieć w oczach moich tego uroku, co natchniona, choć nieznajoma także, panienka-poetka; zapanował wszakże podobnież nad moją wyobraźnią naówczas, zwłaszcza, gdy zacząwszy dopytywać się o nim, ze wszystkiego co usłyszałem, wcielałem weń coraz bardziéj ideał prawdziwego poety. A trzeba ci téż wiedzieć, siostrzyczko, że od piérwszych lat mego dzieciństwa, chęć poznania, a przynajmniéj choćby widzenia sławnych poetów, grała przeważną rolę w wyobraźni mojéj. Gdyby nie

obłożna moja choroba w r. 1817, podczas odwiedzin Niemcewicza w Wilnie, uprosiłbym niewątpliwie ojca, aby mię tam zawiózł natenczas; tak mię exaltowały opisy jego przyjęcia, które w „Kuryerze Litewskim“ czytałem. Później najgorętszym celem pragnień moich i marzeń była podróż w Kobryńskie, do osiemdziesięcio-letniego już naówczas Karpińskiego, w którą obiecywał zabrać mnie z sobą jeden z professorów Boruńskich, bliski krewny żony jego siostrzeńca, którzy oboje razem z nim mieszkali. Później jeszcze Antoni Gorecki, którego bajki i wiersze drukowały się właśnie wtedy w „Dzienniku“ i „Tygodniku Wileńskim,“ a bardziéj jeszcze w rękopismach po szkołach krążyły, stał się był głównym bohaterem mych marzeń; zwłaszcza gdy przeczytawszy „*Zdobycie Somossiery*,“ nie mogłem się utulić we łzach z zachwycenia, ale razem i z rozpaczy nad sobą, że pewno nic podobnego nigdy nie potrafię napisać. Ale wszystkie te ideały zbladły niejako przy tém, co o autorze „Świtezianki“ słyszałem. Młody, piękny, szlachetny, bogobojny, uczony, a przytém zakochany, a więc admirator płci pięknéj, i najbliższy od serca przyjaciel Czeczota, którego ja téż już wtenczas całém sercem kochałem! Choć więc nie był panienką, powtarzam, zawładnął tak wyłącznie wyobraźnią moją, jak potém rzeczywista poetka-panienka. Ale wiele jeszcze czasu ubiegło, nim go nakoniec osobiście poznałem. Nim więc przyjdzie z kolei do tego, muszę ci tu tymczasem opowiedzieć, siostrzyczko, cały skład ówczesnego Parnasu w Wilnie.

Piérwszą officyalną pod tym względem powagą był jużciż Leon Borowski, ale tylko jako professor, jako najlepszy znawca i sędzia poezyi. Właściwie

poetą-laureatem w opinii uczono-literackiéj w Wilnie był natenczas Ignacy Szydłowski, professor literatury polskiéj w gimnazyum tameczném. Była to wierna kopia słynnych ówczesnych poetów warszawskich, na ten sam krój i miarę co oni. Tłómaczył gładko poezye francuzkie, i na tém polu, pod względem formy wiersza i czystości języka, nikomu z nich nie ustępował piérwszeństwa. Że zaś więcéj może miał od nich siły wrodzonego talentu, świadczyły o tém zwłaszcza oryginalne jego liryczne poezye, ogłaszane w „Wiadomościach Brukowych," któremi, jako piérwszy *witajnik*, pod imieniem bożka *Gulbi*, witał z urzędu każdego nowo wchodzącego członka do towarzystwa tak zwanych „*Szubrawców*." Miejsce drugiego w niém witajnika zajmował obok niego późniejszy nasz historyk, Michał Baliński, pod imieniem bożka *Auszlawisa;* ale wyborne jego „madrygały," (tak tytułował zwykle swoje powitania), pisane w jowialnym stylu *à la* Baka, nie rościły bynajmniéj pretensyi do poetycko-literackiéj wartości; podczas gdy „ody" Szydłowskiego, (ten tytuł miały powitania jego), a przynajmniéj większa ich połowa, pod względem werwy, dowcipu i sztuki, słusznie może być policzona do najprzedniejszych arcydzieł lirycznéj poezyi naszéj. Tym też to „odom" Szydłowski zawdzięczał zwłaszcza szerszy rozgłos i poetycką wziętość swego imienia po za obrębem uczono-literackich koteryj miejskich. U tych ostatnich dodawała mu jeszcze blasku jawna protekcya obu Śniadeckich. Jędrzej, jako bożek *Sotwaros*, to jest prezes towarzystwa *Szubrawców*, cenił w nim i protegował zwłaszcza talent i humor swego witajnika; Jan, uważał go za szermierza wyobrażeń klassycznych. Obaj lubili jego towarzystwo;

gdyż przy niepospolitym sarkastycznym dowcipie, który rzeczywiście posiadał, miał on téż dosyć sprytu i taktu dworaka, aby się umieć podobać, gdy zechciał. W ogólności, w dowcipie i charakterze jego, było wiele podobieństwa z warszawskim Ludwikiem Osińskim; tylko że oprócz Śniadeckich, nie nadskakiwał tak bardzo możniejszym; może dla tego, że ich w Wilnie właściwie nie było; ani się téż ubiegał o względy salonów, przenosząc nad nie demokratyczne towarzystwa, zwłaszcza przy dobrém winie i porterze. To téż nawet w domu Śniadeckich nie miał on miru i sympatyi u płci pięknéj; a co z naszą ówczesną młodzieżą uniwersytecką, to się wcale w stosunki nie wdawał. Był owszem niegdyś jawnym przeciwnikiem Promienistych, a potém nieprzejednanym wrogiem romantyczności; aż sam wreście, pod koniec życia, tłómaczył parę poematów Byrona, z prozaicznych przekładów francuzkich. Ja z Szydłowskim, prócz prostej znajomości i spotykania się tu i ówdzie w towarzystwach, żadnych bliższych stosunków nie miałem, i nigdy téż nie starałem się o nie.

Drugim z rzędu, i tuż obok niego, słynął jako poeta Stanisław Rosołowski, hołdujący również wyłącznie wzorom literatury francuzkiej, i tłómaczący z niéj z prawdziwym talentem, a z większym nawet może niż Szydłowski zapałem, różne poezye liryczne: Jana Chrzciciela Rousseau, Lebruna, Lamartina i innych. Ale co w charakterze i temperamencie, to różnił się on całkiem z Szydłowskim. Z professyi medyk i doktor medycyny, w duszy był on rzeczywiście poetą. Myśliciel i entuzyasta, bujał ochoczo w sferach oderwanych filozoficznych wyobrażeń i fantazyi poetycznéj;

a co myślał i czuł rzeczywiście, to zawsze szczerze i otwarcie, z całą mocą przekonania, i aż ze zbytnim może nieraz zapałem wyrażał. Wyrachowana zimna obojętność i sarkastyczny dowcip, owe wybitne cechy Szydłowskiego, były dlań najzupełniéj obcemi. Ztąd też zwykłych światowych towarzystw nie lubił, a rad szukał stosunków z kolegami i uniwersytecką młodzieżą, najczęściéj aby staczać zażarte dysputy, w których mianowicie smakował. Psychiczna idealność w medycynie, a żarliwa obrona klassycyzmu i piorunowanie na romantyczność w poezyi, były zwykle przedmiotem tych dysput. Miał on przytém prawdziwie rycerską szlachetność, to jest, czy zwyciężony, czy zwycięzca w szrankach, zawsze w końcu uprzejmie rękę adwersarzowi swojemu podawał, i nigdy osobistości swojéj z przedmiotem dysputy nie mięszał. W talent swój juźciż wierzył, ale go i w drugich oceniał. Słowem, był to człowiek prawy i zacny, i można go było szacować i lubić, chociażby w razie danym będąc z nim wręcz przeciwnego zdania. Poznałem się z nim szczególnym sposobem u Adama, o czém może w dalszym ciągu opowiém, i przez lat wiele, aż do śmierci jego, żyłem z nim zawsze w przyjacielskich stosunkach.

Owóż ci dwaj, Szydłowski i Rosołowski, byli w r. 1820 koryfeuszami poezyi w Wilnie. Utwory ich co miesiąc, jeżeli nie co tydzień, ukazywały się jedne po drugich w „Dzienniku,“ „Tygodniku,“ albo w „Wiadomościach Brukowych.“ Redaktorowie wprawdzie nie płacili im za nie; ale już przecież nie uważali za łaskę, że je przyjmować i drukować raczą; jak się to działo zazwyczaj względem innych aspirantów do sławy.

Po za obrębem wszakże murów uniwersytetu i miasta, popularniejszém od nich obu pomiędzy obywatelstwem wiejskiém i płcią piękną, a zwłaszcza między palestrą i szkolną młodzieżą, było imię Antoniego Goreckiego. Bajki jego i dumki historyczne, drukowane najczęściéj po pismach warszawskich, pod redakcyą młodych redaktorów: Kicińskiego, Grzymały i Brykczyńskiego, rozchodziły się w kopiach lotem błyskawicy po szkołach, dworach i powiatowych miasteczkach, budząc przez to w Szydłowskim, jak to było wiadomo powszechnie, zawiść i niechęć ku ich autorowi. I rzecz dziwna, jak wyznawcy ówczesnéj szkoły francuzkiéj, nie porozumiewając się nawet z sobą, zgodni byli wszędzie w uczuciach względem budzącéj się do życia poezyi narodowéj, do któréj piérwszych zwiastunów należał niewątpliwie Gorecki. Około bowiem tegoż czasu miał on zaszczyt ściągnąć na siebie nienawiść i obelgi ze strony Sanhendrynu uprzywilejowanych, rodowitych krytyków i literatów warszawskich, których organem, niestety, w tym razie, nie wstydził się być generał Morawski. Wiersz jego, a raczéj obrzydliwy paszkwil, który w tym celu napisał, nie doszedł szczęściem do Wilna, a przynajmniéj do wiedzy naszéj, to jest uniwersyteckiéj młodzieży. Był on bowiem w takiéj sprzeczności z nastrojem naszych uczuć i myśli, że choćby nie zaraził nas może swoim złym przykładem, ani osłabił czci dla Goreckiego; aleby nam zamącił niewątpliwie idealne wyobrażenia, które nas łudziły zdaleka, o tych sławnych poetach, o tych mądrych krytykach warszawskich, dla których żywiąc sami uczucia czci i miłości, nie wątpiliśmy, że i oni nawzajem, z ojcowskiém lub braterskiém uczuciem,

muszą spoglądać ku nam, ku młodszym, zdążającym w ich ślady na pole wspólnéj pracy w winnicy literatury ojczystéj. Smutném więc pod tym względem rozczarowaniem dla nas stałby się był niechybnie ów wiersz Morawskiego, tak jak niém stały się później szydercze epigramata Osińskiego, po wyjściu już i z powodu „Dziadów," i jak właśnie podobnaż sarkastyczna zawiść w Szydłowskim najbardziéj nas ku niemu zrażała.

Ale oprócz tych trzech, wyżéj wspomnianych, pojawiały się téż ciągle na kartach obu dzienników wileńskich utwory poetów niższego chóru, najczęściéj mieszkających i gospodarujących na wsi. Świadczyły one, jeśli nie o talencie autorów, to zawsze o rozpowszechnioném szeroko zamiłowaniu w poezyi, po za obrębem sfer czysto literackich, i to pomiędzy ludźmi poważnymi, ojcami rodzin, gospodarzami lub urzędnikami; tak jak np. w siódmym dziesiątku stulecia, podobnyż fenomen objawia się dziś szczególniéj między panienkami. (I tak np.—mówiąc *inter parenthesim*,— w jednym roku 1878, miałem zaszczyt otrzymać powierzone mi do przeczytania poezye aż 27-miu młodych panienek, po większéj części całkiem mi nieznajomych, a mieszkających po wsiach, na przestrzeni pomiędzy morzem Baltyckiém a Czarném). Otóż podobnie wtedy rzecz miała się z mężczyznami. Wielu z tych dilettantów-poetów wiejskich, wyszło z czasem na rzeczywistych i znakomitych pisarzy, jak np. wspomniany już tu wyżej Jan Chodźko, Kazimierz Bujnicki, i nakoniec Ignacy Chodźko, autor „Obrazów Litewskich." Inni, nie pożądając drukowanéj sławy, wywierali jednakże, każdy w swéj okolicy, wpływ prawdziwie cywilizacyjny. W rzędzie takich odznaczali się mianowicie: w powiecie Trockim, Adam Strawiński; w Wilejskim, Józef Rahoza; w Słuckim, Karol Czarnocki, krewny czy téż tylko imiennik słynnego etnografa i zbieracza pieśni ludowych, pod pseudonimem „Zoryana Chodakowskiego." Wszyscy oni, słynni zarówno prawością charakteru, jak wykształceniem, rozumem, i obywatelską zasługą: w modnych naówczas przekładach z francuzkiego lub w pisaniu własnych wierszyków, szukali tylko rozrywki w poważnych gospodarskich lub urzędniczych zajęciach; jakkolwiek ta sama rozrywka przyczyniała się niewątpliwie do podniesienia ich znaczenia i wpływu. Imiona ich żyją dotąd ze czcią w pamięci wnuków albo prawnuków dawnych sąsiadów ich i współobywateli; a i ja wspominając tu o nich, wypłacam dług osobistéj wdzięczności, za doznaną od nich uprzejmość i przyjaźń. Nie zbywało atoli i na odwrótnéj stronie medalu, to jest, na pretensyach i śmiesznościach wielu, którzy nie przestając na publikacyach w pismach peryodycznych, drukowali osobno, kosztem własnym, płody swéj Muzy, tłómaczone z francuzkiego lub oryginalne, których dziś tytuły i imiona autorów, bibliograf już chyba jaki pamięci ludzkiéj przypomni. Ale ogólny ten gust i zwrót myśli do poezyi, był to jak ranny szczebiot ptastwa, zapowiadający bliski wschód słońca.

W historyi literatury wszystkich krajów, a nawet w ogólnéj historyi rozwoju umysłu ludzkiego, jak np. w odkryciach i wynalazkach, ponawia się prawie zawsze ten sam fenomen; to jest, że przed zjawieniem się gieniuszu, zjawia się najprzód mnóstwo drobnych talentów, a przynajmniéj prac i usiłowań, w tymże

samym kierunku. Porównaćby je można do owych próbnych baloników, które zręczny aeronauta zwykł puszczać przed wzniesieniem się samego balonu, aby już najprzód w tę stronę myśl i oczy widzów pociągnąć. Aeronautą w tym razie możnaby nazwać: „Duch czasu.“ Mówiąc zaś o poezyi wyłącznie: Gdy już Muzy wyprowadzają i zaczynają siodłać Pegaza, aby się na nim po świecie jaki syn Apollina przejechał: biedny skrzydlacz podziela zwykle los ziemskiego rumaka, to jest, że oprócz jeźdźca, przysiadają też na nim roje much i bąków, które albo jeździec szpicrutą, albo on sam ogonem musi ciągle opędzać. (Krytyka jest ogonem Pegaza. Szpicrutą w ręku jeźdźca są takie naprzykład artykuły, jak Byrona lub Mickiewicza: o krytykach i recenzentach Szkockich i Warszawskich). O balonikach napomknąłem wyżéj; teraz słówko o *muchach* i *bąkach*.

Bąkami nazywam drukowanych; muchami, nie mających téj pretensyi wierszokletów, których też wtenczas pełno było na Litwie. Byli to albo po prostu maniacy, albo też z głupia franty, próżniacy, włóczący się ze swemi wierszami, jak dziady z ewangeliczką, (tylko że nie piechotą), po szlacheckich dworkach na wsi, i wyzyskujący, jak oni, gościnność i upodobanie w wierszach gospodarzy. Bardowie tego rodzaju byli tak pospolici we wszystkich prawie okolicach kraju, iż dziwić się prawie potrzeba, że o nich autor „*Pana Tadeusza*“ nie wspomniał; pod twórczym zaś ołówkiem illustratora „*Pamiętników Kwestarza*“ Chodźki, (Andriollego), bard taki byłby doskonałym odpowiednikiem (*pendant*), wizerunku samego kwestarza, gdy jak on, powożąc się sam w kałamaszce, z psem zazwyczaj zamiast baranów, jechał od bramy do bramy, wrzekomo jakby

w gościnę, a w gruncie rzeczy po jałmużnę w kształcie ofiary dla poezyi. W samém Wilnie, jako mistrz tego rodzaju, słynął przez długie lata poeta Szurłowski, którego imię i pamięć żyje dotąd w tradycyi miejscowéj. Oprócz bowiem własnych konceptów, służył on chętnie za parawan innym, którzy nieraz z po za plec jego satyryczne strzały puszczali, a on sam nigdy ich imion, jak sekretu spowiedzi, nie wydał. Tak np. około r. 1815 zjawiła się była w Wilnie *Szenekatrynka*, przedstawiająca postacie, a raczéj karykatury, wszystkich ówczesnych professorów uniwersytetu, z dodaniem do każdego sarkastycznych wierszy, mających być jakoby utworem Szurłowskiego, i które on przyjął za swoje. Szopka ta przez dni parę krążyła ukradkiem po mieście, i kiedy ją nakoniec policya skonfiskowała, Szurłowski, lubo badany, nie zdradził tajemnicy rysownika ani autora wierszy; stańczykowski zaś charakter jego samego, zasłonił go od dalszéj odpowiedzialności. Zresztą nie było też w tych karykaturach i wierszach nic potwarczego ani paszkwilarnego; niektóre zakrawały nawet na komplement; właściwe zaś satyryczne przycinki tyczyły się prawie wyłącznie professorów niższego rzędu. Przylgnęły one do nich, jak muszki do twarzy; tak, że do dziś dnia jeszcze każdy wspominający ich imiona w Wilnie, pewno razem i wiersze o nich Szurłowskiego przypomni. Dla zabawy twojéj, siostrzyczko, przytoczę tu z nich niektóre, zapamiętane z opowiadań naocznych świadków.

Szereg cieniów w Szenekatrince rozpoczynali obaj Śniadeccy: Jan, naówczas jeszcze rektor uniwersytetu, i Jędrzej, professor chemii i doktor medycyny. Wiersze o nich były następujące:

„Oto pan Jan Śniadecki,
Nieprzyjaciel niemiecki!
Chce, żeby i Polacy
Brali się też do pracy.“

„Oto pan Jędrzej, jego brat!
Wié, z czego powstał świat,
A kiedy kogo leczy,
Od śmierci zabezpieczy.“

O x. Stanisławie Jundzille, professorze zoologii i botaniki, był następujący czterowiersz:

„Oto xiądz professor Jundziłł,
Co swych uczniów nigdy nie znudził!—
Kwiatów strzeże jak smok zazdrośnie,
A słyszy jak trawa rośnie.“

O professorze Bojanusie, który wykładał weterynaryą po łacinie, powiedziano:

„Oto professor Bojanus,
Vir doctus et humanus,
Uczy jak leczyć zwierzęta,
Ale i o ludziach pamięta.“

W tém więc wszystkiém jest raczéj pochwała niż przytyk, tylko że wypowiedziana w pół żartem. A i same właściwe przytyki nie grzeszyły gburowatością. Np. o professorze astronomii, Ignacym Reszce, powiedziane było:

„Oto pan Reszka,
Co na dole mieszka,
Patrzy na gwiazdy,
A wié co i każdy.“

Gorzéj nieco wyszedł professor ekonomii politycznéj, Jan Znosko, odznaczający się szczególniejszą krótkością wzroku:

„Oto professor Znosko,
Ślepi nad każdą zgłoską,
Lekcye czyta z xiążki,
A ekonomizuje pieniążki.“

Najgorzéj zaś podobno x. prałat Chodani:

„Oto prałat Chodani,
Nadął się nakształt bani;
Wytłómaczył Woltera,
I nos w górę zadziera.“

Inne czterowiersze, albo dystychy, miały mniéj więcéj podobnyż charakter, albo były całkiem bezbarwne, jak np.:

„Oto professor Rustem,
Co maluje z gustem.“

albo: „Oto professor Frank,
Co damom niesie dank.“ i t. d.

Zawsze jednakże te jasełka rozgłosiły może najszerzéj imię Szurłowskiego po Litwie, a mianowicie po szkołach. Ja go już w Wilnie nie zastałem przy życiu; zastępujący zaś niejako miejsce jego Kryształewicz, żyjący także z jałmużny, i to prawie wyłącznie studenckiéj, był to po prostu pół waryat, idyota, o którym dłużéj mówić nie warto.

Ale bąkiem nad bąkami w owym czasie w Wilnie, był głośny na całą Litwę: Wincenty hrabia Kiszka-Zgierski z Ciechanowca, *ex libera parte*, jak się sam podpisywał na tytule dzieł swoich. A dzieł tych było sporo, wierszem i prozą, ale wszystkie w formie dramatycznéj. Były tam tragedye historyczne, jak np. „*Jan Karol Chodkiewicz*,“ i fantazye allegoryczne, jak sławna „*Złota Wolność*,“ któréj ani istoty, ani allegoryi nikt nigdy zrozumieć nie mógł; a co niegdyś mnie i moich Borúńskich kolegów do rozpaczy właśnie przy-

wiodło. Dzieła te wydawał on sam własnym nakładem, z wielkim, jak na owe czasy, typograficznym przepychem, i rozdawał je *gratis* każdemu, kto zechciał. Brakło w nich nie tylko talentu, ale nawet zdrowego sensu. To téż autor był pośmiewiskiem dla wszystkich. Wiedział on o tém dobrze; ale co dziwna, to że przez to właśnie utwierdzał się w przekonaniu, iż większego nadeń poety na całym świecie nie było, i że mianowicie dla tego, gmin go pojąć i ocenić nie umie. Gardził więc, jak się wyrażał, sądami gminu, i gdzieindziéj szukał pola swéj chwały. Półwaryat na punkcie poezyi, posiadał niepospolity spryt w życiu praktyczném. Przez lat wiele był sekretarzem Wileńskiego Konsystorza, i jako urzędnik, obowiązek swój spełniał należycie; nie zapominając przytém jednakże o własnych materyalnych korzyściach. Najobfitszém ich źródłem dla niego były mianowicie sprawy rozwodowe, które z wielką zręcznością prowadzić i forytować umiał. Ale wszystek czerpany z nich dochód obracał na publikacye dzieł swoich i na staranie się o sławę, jaką za godną jedynie gieniuszu swego uważał. Niewiadomo jakim sposobem porobił sobie stosunki przy dworach panujących, po wszystkich stolicach Europy, i za ich pośrednictwem przesyłał samymże panującym exemplarze dzieł swoich, w najwspanialszéj bogatéj oprawie. Bogactwo to oprawy i hrabiowski tytuł autora, przy protekcyi pośredników; a zwłaszcza, że dzieł tych jego nikt tam czytać i ocenić nie mógł; sprawiły to, iż rzeczywiście od kilku monarchów otrzymał nawzajem podarki, albo dziękczynne listy, z ich własnoręcznym podpisem. Podarki te i listy leżały, każdy na osobnym stoliku, pod ogro-

mnym dzwonem szklannym, i należały do ozdób wspaniałego apartamentu, który zajmował w pałacu niegdyś Suszków, tak zwanym *Zajkowskim*, na Antokolu. W rzędzie tych listów, był téż i list jakiéjś pani, może protegowanéj rozwódki, nazywający go „Homerem Północnym,“ i na który on mianowicie lubił zwracać uwagę swych gości. Pisano o tém szeroko w „Wiadomościach Brukowych.“ Tymczasem, ku największemu podziwieniu wszystkich, spadł nań raptem, jak gwiazda z firmamentu, rzymski order Złotéj Ostrogi. Próżno sobie łamano głowę, jak i przez kogo mógł on go wyjednać. Dopiéro za bytności naszéj z Adamem w Rzymie, dowiedzieliśmy się o tém przypadkiem, i nie mogliśmy nie podziwiać prawdziwie dyplomatycznéj zręczności, z jaką ten istny półgłówek umiał poruszyć i wyprowadzić w pole osoby wpływowe, które mu w tém dopomogły, i które on téż w końcu oszukał. Ale w czasie, o którym tu mowa, upojony sam swoją wielkością, zaszczycony względnością głów koronowanych, i niedbający o opinię gminu, mógłby sobie spoczywać rozkosznie na urojonych swych laurach, gdyby go z tego Olimpijskiego spokoju, jak „szczekacz Erebowy potrójnym hałasem,“ to jest wierszem, prozą i żywém słowem, nie budził właśnie dowcip Szydłowskiego. Ten bowiém oprócz „Wiadomości Brukowych,“ w których go prawie co tydzień kamienował, wymyślał nań rozmaite koncepta lub farsy, które były zabawą miasta. I tak np. na jednéj z maskarad, ktoś przebrany za rzeźnika, wtykał gwałtem każdemu *kiszki*, nadziane tytułami dzieł jego, i zalecał je dowcipnemi epigrammatami. Pomysł ten i epigrammata przypisywano powszechnie Szydłowskiemu. Rozdrażniony więc do żywego laureat,

wystąpił nakoniec z odwetem. Na jednym uroczystym obchodzie w Domu Dobroczynności śpiewana była kantata, układu Szydłowskiego, którą potém *Kuryer Litewski* ogłosił. Zgierski zatém napisał rodzaj parodyi i kazał ją wydrukować na ogromnym arkuszu, illustrowanym po rogach wizerunkiem czterech głów oślich, z rozdziawioną paszczęką, i z podpisem pod każdą: „*Śpiewy, Ziewy.*“ Plakat ten kazał porozlepiać w nocy po rogach ulic, nakształt teatralnych afiszów, i omal za to nie poszedł do kozy.

„Takie były zabawy, spory w one lata“ w poetyckim świecie wileńskim, i dla tego też tu o nich wspominam. Co zaś do osobistych moich stosunków z laureatem: zaczęły się one od tego, iż mając powierzony sobie interes do Konsystorza, załatwiłem go bardzo pomyślnie, dzięki publicznéj pochwale Borowskiego, o któréj pan sekretarz już wiedział, i nawet protekcyonalnym tonem mistrza, zachęcał mnie, jako młodszego, do dalszych na téj drodze postępów. Następnie, pomimo ogłoszenia nawet moich „*Strachów,*“ które jużciż nie były bez pewnéj alluzyi do niego, nie przestał nigdy witać się ze mną uprzejmie na ulicy. Nakoniec, w kilka lat późniéj, kiedy zastępowałem czasowo redaktora „*Dziejów Dobroczynności,*“ (dziennika wydawanego przez lat kilka w Wilnie), a on miał w nim do umieszczenia artykuł swój o kilku ciągach, w przedmiocie prawa kanonicznego: wyprawił dla mnie świetny muzykalny wieczór, który go musiał pewnie z tysiąc złotych kosztować. Oprócz bowiem kwartetu na skrzypcach, złożonego z najlepszych wówczas kościelnych i teatralnych artystów, grała na nim na arfie jakaś przejezdna wirtuozka czeska,

a oprócz mnie i Leona Rogalskiego, ówczesnego sekretarza redakcyi, jedynym uczestnikiem biesiady był sąsiad jego przez ścianę, X. Lavoisier, Francuz, tłómacz na język francuzki *Zofijówki* Trembeckiego, wcielony typ staro-francuzkiego Labusia, noszący się na wpół po świecku, z zaplecionym harcapem na plecach, i pomimo sędziwego już wieku, ruchliwy, ożywiony, pełen konceptów i komplementów w rozmowie. Gospodarz zaprosił go jedynie dla mnie, gdyż byłem ciekawy go poznać, a nigdzie indziéj spotkać nie miałem zręczności. Tym sposobem stosunek mój z kawalerem Złotéj Ostrogi w Wilnie był choć nie blizki, ale zawsze na dobréj stopie; w moich zaś „*Listach z Podróży*“ opowiedziałem scenę jego odwiedzin i rozmowę z Adamem w Petersburgu, któréj tu powtarzać nie będę, ale która najwierniéj uwydatnia postać i dobroduszną zarozumiałość tego oryginała bez kopii. Przepraszam—gdyż właśnie przychodzi mi na myśl figura, która, jeśli nie za kopią, to przynajmniéj za tak dobraną z nim parę i za odpowiednik jego ujść może, że niepodobna nie wspomnieć też o niéj.

Była to pani Tekla z Borzymowskich Wróblewska, autorka wielu tragedyj, jak np. „*Panthea, królowa Suzy,*“ „*Mustafa i Zeangir,*“ „*Narymund, W. Xiążę Litewski,* i w. i. Drukowała je wszystkie swoim kosztem, podobnie jak Zgierski, i ceniła je też podobno nie mniéj jak on swoje. Przyznać im wszakże potrzeba, nie mówiąc o ich literakiéj wartości, że nie grzeszyły przynajmniéj bezsensem i niezrozumiałością. I jest to może właściwość wspólna wszystkim utworom kobiécym. Mnie przynajmniéj nie zdarzyło się jeszcze ani razu nie zrozumieć wierszy poetek. Ach!

a ileż to razy, i mnie, i zapewne każdemu, przyszło łamać sobie głowę napróżno, przy czytaniu zwłaszcza młodych poetów-romantyków, aby dójść lub choć odgadnąć, „co chciał powiedzieć przez to, co powiedział.“

Ale za toż pod względem osobistéj excentryczności, pani Tekla z Borzymowskich była jakby rodzoną siostrą pana Wincentego z Ciechanowca. Nie znałem jéj osobiście, gdyż mieszkała i gospodarowała na wsi, w gubernii Mińskiéj; ale kolega nasz podpiecowy, pan Ludwik Paprocki, krewny jéj i dobry znajomy, nieraz całe Błękitne Grono ubawił opowiadaniami o niéj. Była już w wieku podeszłym, wdowa, i dzierżawiła dość znaczny majątek; ale zdawszy gospodarstwo na siostrę, zajmowała się sama wyłącznie poezyą, praktykując ją téż w życiu codziennem. Wielbicielka zwłaszcza poezyi i historyi greckiéj, pozowała téż sama na Safonę. Ubierała się z grecka po spartańsku, to jest na wpół po męzku, mając zawsze na skroniach rodzaj metalowego hełmu, czy raczéj dyademu. W ogrodzie miała altanę, na wzór greckiéj świątyni, bez ścian, na kolumnach; gdzie w lecie, jak Sybilla na trójnogu, zasiadała zwykle w krześle na podwyższeniu stojącém, i przypatrywała się zabawom wiejskiéj młodzieży, które sama dla niéj co święto, na wzór greckich igrzysk urządzała, i sama na nich rozdawała nagrody. Tu także zaproszeni sąsiedzi mieli sposobność słyszeć własne jéj utwory, przed ich odesłaniem do druku. Że zaś była przytém gościnna, uprzejma i miłosierna, dom jéj był uczęszczany ochoczo, a ona sama lubiona i szanowana powszechnie. Sława nawet drukowanéj poetki mogła istotnie imponować słuchaczom. Ale inaczéj rzecz się miała z Borowskim, który z obowiązku cenzora, musiał najpiérwéj zawsze czytać jéj ramoty. Nie wiém bowiém, czy jest wiadomo ogólnie, że cenzura w Wilnie naówczas należała i zależała wprost od uniwersytetu. Cenzorami byli professorowie, wybierani przez Radę, każdy dla dzieł w jego przedmiocie. Borowski, jako cenzor dzieł treści literackiéj, najbardziéj był udręczony przez te elukubracye wiejskich diletantów, które mu ze wszech stron nadsyłano. Rad téż wecował na nich swój *szubrawski* dowcip, pisując o nich często do „*Wiadomości Brukowych*,“ których czynnym był współpracownikiem. Obok bowiem surowéj powagi krytyka i professora, posiadał on rzeczywiście niepospolity sarkastyczny humor, czego między innemi dowodem jest druga przedmowa do dzieł X. Baki, których był właśnie wydawcą, wespół z Rajmundem Korsakiem, autorem przedmowy piérwszéj. Otóż razu jednego pewien *bąk* wołyński, możny właściciel i hrabia, przysłał mu do cenzury, ale razem i pod krytykę, cztery tomy poezyj swoich, które zamierzał drukować w Wilnie, z wizerunkiem swoim na czele. Prosił więc Borowskiego w liście o wybór jakiego wiersza z dzieł jego, któryby mógł figurować stosownie, jako podpis pod portretem autora. Borowski odsyłając rękopism, za odpowiedź na to żądanie, wskazał mu tylko stronicę i wiersz na niéj. A był to ostatni wiersz następującéj strofy, w odzie „do skowronka:

„Śpiewaj radośnie,
Ciesz się naturą;
Po krótkiéj wiośnie,
Idź spać banduro!“

Koncept ten nie pozostał widać bez skutku, gdyż poezye rzeczone nie wyszły. Ja zaś nie mogę zda się właściwiéj, jak tym wierszem, skończyć tego ustępu o pegazowych *bąkach;* bo o *muchach* mówić nie warto.

No, a teraz, siostrzyczko, proszę raz jeszcze ze mną na posiedzenie *Błękitnego Grona*, abym ci przedstawił od razu cały *Poet's Corner* pod piecem, gdzie na dwóch kuferkach, wraz ze mną, zasiadali dwa razy w miesiąc, wszyscy młodzi bracia po lutni. Szereg jest tutaj wszystkiém, a nie pojedyńcze imiona. Część ich większa, gdy je tu wymienię, będzie miała chyba znaczenie owych nazwisk na pogrzebowych klepsydrach, które to tylko mówią czytelnikom, że nikt przedtém nie słyszał o nich. Ale jeżeli poezya, jak mówi Byron, jest niczém inném, jak „tworzeniem, z wyższych poczuć dobrego lub złego:

(*„For what is poesy, but to create*
From everfeeling good or ill?“)

to grono to, śmiało można powiedzieć, było jakby ogniskiem poezyi żywéj, na podobieństwo elektrycznego stosu Volty, w którym każdy pojedyńczy krążek, przez samo zetknięcie się z drugiemi, siłę prądu ogólnego pomnaża. A i prąd ten był tylko ku wyższemu poczuciu dobrego; ku miłości cnoty i piękna; ku wierze w Prawdę, w Sprawiedliwość, w Opatrzność. Ci, którzy śladu tych uczuć nie wyrazili i nie zostawili w swych pismach, wyrażali je i wrażali w siebie nawzajem przez koleżeńskie braterskie stosunki i wzajemną życzliwość braterską. A iluż to z nich i w ciągu całego dalszego życia szerzyło je w koło siebie, w sferach rodzinnych i obywatelskich! Ztąd téż poszło, że nikt

tak bardzo nie rwał się do druku, poprzestając na uznaniu i współczuciu przyjaciół-kolegów, które lada udatniejszy wierszyk obudzał, krążąc nawet po za obrębem Błękitnego Grona. A stosowało się to zwłaszcza do tak zwanych *jambów*, to jest ulotnych, żartobliwych fraszek, które były nadzwyczaj w modzie, i na wszystkich koleżeńskich zebraniach stanowiły główny przedmiot zabawy, przybierając nawet niekiedy formę dramatycznego dyalogu. Luźna ich i swobodna forma, bez żadnéj pretensyi do artyzmu, owszem naśladująca chętnie ton i styl xiędza Baki, służyła jednak nieraz za pokrywkę i myśli głębszéj, i wyższemu celowi, na podobieństwo np. sławnych dzisiejszych humoresków p. Artura Bartelsa. Nie mogły one może mierzyć się jeszcze z temi ostatniemi, tak pod względem artyzmu, jak i doniosłości satyry; ale rzecz dziwna, jak tło i koloryt były prawie też same; jowialność i humor bez żółci; dowcip bez pretensyi; prostota bez trywialności. Znać, że były to płody tego samego gruntu i tych samych soków rodzimych, różne wcale od tych pokrzyw i ostów, przeszczepionych z obczyzny, co się tak bujnie rozrastają gdzieindziéj, a których sam kwiat nawet—kole tylko, nie pachnie. Koryfeuszami tego rodzaju byli zwłaszcza Frejent Antoni i Kułakowski Felix. Piérwszy, bez żadnéj pretensyi literackiéj, przestawał wprost na zabawieniu kolegów. Drugi, jako tłómacz komedyi Arystofanesa, rad owszem metodę jego do obszerniejszych kompozycyi stosował, choć téż o artystyczném wykończeniu nie myślał. Zbiór ich wszakże, gdyby się był dochował, mógłby dziś być bardzo ciekawym obrazem ówczesnych tendencyj, wyobrażeń, a nawet i pojedyńczych osobistości pomiędzy

uczącą się koleżeńską młodzieżą, którą on zwykle za przedmiot dowcipnych tych fars swoich obierał. Napis na ówczesnéj kurtynie w teatrze Wileńskim: „*ridendo dicere verum*,“ mógłby ujść za ogólny epigraf ich wszystkich. Pamiętam np. treść jednéj, z któréj można mniéj więcéj powziąć wyobrażenie o tonie i sposobie pisania innych. Muza Klio, uosobiona w postaci pani Morawskiéj, właścicielki i dyrektorki ówczesnego teatru w Wilnie, przybywa do tego miasta, aby aktorów na Parnas werbować. Ochotników zjawia się mnóstwo, a zwłaszcza cały zastęp z pod pieca. Ale układy rozbijają się o warunki. Jeden nie chce poprzestać na źródle Kastalskiém, woląc szukać natchnienia w porterze, ponczu i winie. Drugi nie chce się uczyć jeździć na Pegazie w rajtszuli, gdzieby go nikt nie widział, gdyż nie wątpi, że i bez tego świat swemi harcami zadziwi. Trzeci, choć adoruje szczerze Muzy-Niebianki, nie może się rozstać z ziemskiemi kapłankami Talii i Melpomeny, i dla nich wyrzeka się Parnasu i laurów. Ostatni wreście, lubo wié, że *Aurora est Musis amica*, nie może się zdecydować na codzienne spotykanie jéj wraz z niemi. I tu jest alluzya wprost do Mickiewicza, (jak poprzednie były do innych), który, jako kandydat do stanu nauczycielskiego, mieszkał niegdyś pod jednym dachem z Kułakowskim, a nigdy wstawać rano nie lubił. Klio wszakże z nim jednym zawiera umowę, uciekając się do podstępu. Pozwala mu spać ile zechce, ale obowiązuje kontraktem, aby co wieczór odczytywał wiersze, które z Wilna przyjdą na Parnas, dla zdania z nich sprawy Febowi. Poeta nie przeczuwa, ale Muza jest pewną, że zaśnie wnet przy tém czytaniu, a nie

marząc po całych nocach, będzie mógł wstawać w porę na spotkanie Aurory.

Taka była treść jednego z dłuższych dyalogów, odczytanego, a raczéj odegranego na majówce Błękitnego Grona, przez samegoż autora, który przytém w najwyższym stopniu komiczny talent aktorski posiadał. Inne grona zapraszały téż zwykle Kułakowskiego, aby ich także biesiady *jambami* swojemi okrasił. Ztąd powstawały inne podobneż dyalogi, dotyczące prawników, medyków, filozofów, to jest uczniów fizyczno-matematycznego wydziału. Zbiór ich kompletny prawie istniał w Wilnie do roku 1840, w ręku jednego z kolegów, (Stan. B. Górskiego), który je bardzo starannie zbierał i spisywał; i w owym roku dopiéro zbyt przezorna i troskliwa o niego żona, z płonnéj trwogi w piec je wrzuciła. Zdaje się, że jakiś szczególniejszy fatalizm zawziął się na zniszczenie wszelkich śladów talentu i pracy Kułakowskiego. Wzorowy przekład trzech komedyi Arystofanesa zaginął, jak już wspomniałem wyżéj, w skutek nagłéj śmierci jego samego. Śmierć zaś ta nastąpiła w ślad po przyjacielskim wieczorku, w domu dawnego kolegi, Franciszka Malewskiego, na którym Kułakowski, na przypomnienie dawnych dobrych czasów Wileńskich, improwizował jeszcze po raz ostatni *jamby;* podobnie jak gdzieindziéj Frejent, na godzinę przed chwalebną śmiercią, improwizował téż z konia, wpół żartobliwe wpół rzewne pożegnanie kolegów, śpiewając je na nutę „Filona.“—Niechże przynajmniéj choć w tych krótkich słowach wzmianka jakaś o ich obu zostanie, jak żal po nich w pamięci piszącego pozostał.

A jednak nie można powiedzieć, aby te nic na pozór nieznaczące fraszki, Rejowskie owe „*figliki*,“ czy „*wybryki dobrego humoru*,“ jak je potém nazwał Syrokomla, nie miały pewnego wpływu na rozwój poezyi prawdziwéj. Z nich to wynikły najprzód improwizacye Mickiewicza, które późniéj, pod wpływem innych okoliczności, przybrały nieraz charakter proroczego natchnienia. A im téż to i sam Syrokomla winien był piérwsze objawy, jeśli nie piérwsze nawet poczucie w samym sobie poetycznego talentu.—Widzę, że znowu będzie dygressya! Ale wybacz, siostrzyczko, że się wstrzymać od niéj nie mogę; tém bardziéj, że uważam ją owszem za ciekawy szczegół przedmiotu, o którym opowiadam wyłącznie.

Jedynym spadkobiercą jambicznego talentu po Frejencie i Kułakowskim w Wilnie, był młodszy od nich wiekiem, lecz téż z nimi współczesny Michał Kątkowski. Nie przeto żeby i inni nie próbowali sił swoich w tymże rodzaju, lecz że on go wyłącznie i lepiéj od innych uprawiał. Że zaś ten szczególniejszy zwrót do humorystyki, łączył się w nim z niemniéj szczególną powagą umysłu i surowością poglądu na cele i obowiązki życia: *jamby* pod piórem jego straciły swój pierwotny karykaturalny charakter farsy, a przybrały ton jowialny dowcipnego żartu, bez cienia złośliwości lub goryczy, którym on sobie i drugim, nietylko wtedy naukowe prace studenckie, ale i w dalszym ciągu życia, twarde niekiedy próby losu, lub poważne a pożyteczne zajęcia w zawodzie obywatelskim osładzał. Właściwa poezya w ogólności nie była nigdy dlań celem, ani nawet głównym przedmiotem. Lubował się nią tylko w wolnych chwilach spoczynku,

jak np. oracz kwiatami, kiedy rękę od pługa odejmie. W późniejszym dopiéro już wieku, gdy osiadł sam na własném gospodarstwie wiejskiém, w blizkiém sąsiedztwie autora „Obrazów Litewskich,“ ten ostatni zachęcił go do gorliwszéj na tém polu pracy. Wprawdzie przerwało ją wkrótce pisanie poważnego, fachowego dzieła, o stosowaniu do rolnictwa zasad rachunkowości handlowéj, p. t. „*Rachunek Podwójny dla Gospodarzy*,“ i wnet potém zajęcie się wzorowém urządzeniem, podług tychże zasad, gospodarstwa i administracyi w dobrach hr. Branickich na Ukrainie, przewyższających obszarem nie jedno królestwo niemieckie. Zawsze jednak pozostał z tego czasu obszerniejszy poetyczny utwór, humoreska w trzech częściach, p. t. „*Dyrektor Ambrożewicz*,“ wydana w Wilnie w r. 1853. Utwór ten, godzien stać, zdaniem mojém, obok najlepszych u nas w tym rodzaju, z powodu nader szczupłéj liczby exemplarzy druku, nie doszedł dotąd do szerszéj świadomości publicznéj, na jaką ze wszech miar zasługuje, i domaga się przeto powtórnego wydania. Ale w chwili, o któréj tu chcę mówić, Kątkowski był głównym kontrolerem w zarządzie ogromnych dóbr xięcia Wittgensteina, (po Radziwiłłowskich), przebywającym naówczas w Nieświeżu (1838—1840 r.) Kontroler trzymający w ręku *nervus rerum*, i któremu z ufnością powierzano miliony, łatwo pojąć, jaką być musiał powagą w zarządzie i jaki wpływ mógł wywierać na pracującą w nim i kształcącą się młodzież. Tymczasem, wierny swemu upodobaniu, toczył rymową żartobliwą walkę z dzierżawcą dóbr sąsiednich, przyjacielem swoim. *Jamby* ich, jak wzajemne pociski, krzyżujące się nieustannie, krążyły w kopiach po oko-

licy i w biurach samegoż zarządu. Nagle pomiędzy nimi dwóma, ozwał się jakiś głos trzeci, głos nieznajomy nikomu i nie wiedzieć zkąd pochodzący, ale który wszakże od razu zwrócił na się uwagę wszystkich. Po długiém poszukiwaniu, traf nakoniec odkrył autora. Był nim p. Ludwik Kondratowicz, młody syn jednego z dzierżawców, zaledwo wyszły ze szkół, i umieszczony jako aplikant w kancellaryi głównego zarządu. Wrodzona skromna nieśmiałość, jaką się mianowicie odznaczał, długo trzymała go w cieniu, nawet w oczach własnych kolegów. Dopiéro protekcya i następnie przyjaźń Kątkowskiego, zjednane mu przez owe *jamby*, wyprowadziły go na widownię, i co najważniejsza, obudziły w nim samym poczucie siły i śmielsze zaufanie we własnym talencie. Rzecz niewątpliwa, że talent téj mocy doszedłby był do tegoż i na innéj drodze, ale ja mówię o téj, którą doszedł. Wiém zaś o tém z ust samego Syrokomli, który téż dla Kątkowskiego czułą zawsze zachował wdzięczność, i wyraził ją sam w wierszu do niego, który się w zbiorze dzieł jego znajduje. *)

*) Wiersz ten, p. t. „*Ambrożewicz w Załuczu*," napisany z powodu otrzymania od Kątkowskiego wspomnianéj powyżéj xiążki, drukowany był w tomie III *Gawędy*, a późniéj w tomie VI poezyj Kondratowicza. Wzmiankując o kilku piszących, a w téj liczbie o „gospodarzu *Muły*," t. j. Kątkowskim, Kondratowicz tak się daléj odzywa:

„ . . . . . Ej, Ambrożewiczu!
Czy nie widzisz na mojém radośném obliczu,
Jak na imię tych ludzi serce mi kołata?
Oni—każdy z uczuciem przyjaciela, brata,
Mnie młodemu podali swą prawicę godną,
Przycisnęli do piersi—dalibóg, nie chłodno!
Cóż za dziw, że ich kocham; że chcę wiedzieć pilnie,
Co się tam dzieje w Mule, w Dziewietni, i w Wilnie?
Gadaj mi! niech się do nich myśl moja przeniesie!
Czy wiész, że z twym Homerem, mądry Ulissesie, **)
Znamy się już od dawna, jak dwa łyse konie?
On mi kiedyś dał przykład, jak grać na bardonie...
. . . . . Jego rym nie lada
Był dla mnie pięknym wzorem, jak się pieśń układa;
On mi piérwszy ukazał przybytek niebieski.—
Wdzięczność mu, wdzięczność za to, do grobowéj deski!..."

Byron powiedział wielką prawdę, wkładając ją w usta Danta, że:

„Wielu jest poetami, może piérwsi z chóru,
Co nigdy natchnień swoich nie zwierzyli pióru."

(Many are poets, who had never penned
Their inspirations—and perhaps the best).

Takim poetą w *Gronie Błękitném* był przed innymi Adolf Januszkiewicz. Idealniejszego nadeń człowieka rzadko można spotkać na świecie, zwłaszcza pod względem poetycznego nastroju pojęć i uczuć mo-

**) Nazwa Ulissesa stosuje się tu do *Ambrożewicza*, a więc nazwa Howera do autora piszącego o nim.

Z własnego zaś wiersza mojego „*Do Michała Kątkowskiego*," umieszczonego w zbiorze moich ramot, pozwalam tu sobie przytoczyć charakterystykę niejako jego osobistości:

„Nie wszystko wszystkim, Panie Michale!
Nie do wszystkiego wszyscy, jako ty,

ralnych, oraz harmonii ich między sobą i z codzienną praktyką życia. Jednego chyba z młodszych moich przyjaciół mógłbym stawić w tém obok niego. A był nim Bronisław Zaleski. Nie był on już naszym uniwersyteckim kolegą, ale był wychowańcem jednego z naszych kolegów, Dominika Chodźki, a więc i wychowańcem téjże szkoły ducha. Ale że o lat wiele późniejszy, nie miał on już téj tak wybitnéj poetycznéj barwy, którą się nawet między kolegami Adolf Januszkiewicz odznaczał. Tylko że ta poetyczność u niego nie stosowała się wcale, a przynajmniéj nie stosowała się wyłącznie, do sztuki pisania wierszy, ale raczéj do sposobu pojmowania i wykonywania moralnych obowiązków człowieka: religijnych, społe-

---

Co jak stos Volty wszelkie metale,
Amalgamujesz różne przymioty.

Znać, że cię darząc hojna natura
Wszystkoć *Rachunkiem* dała *Podwójnym*:
W myśli i we krwi żywość Mazura,
Obok z Litwina sercem spokojném.

Wzór kassyerów, mistrz kontrolerów,
Maxym mądrości zbieracz poważny,
Galant z damami, *bon vivant* z nami,
Pod ogniem armat żołnierz odważny,

I oto nagle sławny gospodarz!
W domu, w apteczce, sam jak kobieta;
W gorzelni chemik, na polu włodarz,
A przy tém wszystkiém—autor, poeta!

I dziwy dziwów! w tece, w szkatule,
Plon w równéj mierze rośnie ci razem,
I gdy Fortunę gonisz na *Mule*,
Po laur Parnasu śmigasz Pegazem i t. d.

(P. A.)

cznych i obywatelskich. Jedynym celem poezyi, podług niego, było podnosić i rozjaśniać pojęcie tych obowiązków i wzmagać siłę do ich wypełnienia. Pod tym względem miał on szczególne podobieństwo ze Stefanem Garczyńskim, z którym go potém w Rzymie braterska złączyła przyjaźń. Punkt wyjścia był u nich odmienny, ale się spotykali u celu. A raczéj sam ten punkt wyjścia zwał się tylko u nich inaczéj. W czém jeden (Adolf) widział korne posłuszeństwo prawom i przykazaniom Boskim, drugi czynił toż samo dla tego, że mu w tém własny czysty rozum prawdę i dobro wskazywał. Po wyjściu piérwszych dwóch tomów poezyj Słowackiego, Garczyński w wierszu ulotnym do jednego z przyjaciół w Dreznie powiedział:

„Cnota i Prawda tylko wieńce chwały wiją.
Nie dość jest być Korsarzem, Arabem lub Żmiją;
Człowiekiem być potrzeba, człowiekiem jedynie.
Nie sama gładkość mowy do serc dzisiaj kluczem.
Będziem i poetami, skoro się nauczym
Czuć prawdę, pisać prawdę, i stwierdzać ją w czynie.“

Adolf téż tego zwłaszcza, i owszem tego jedynie od poezyi wymagał; i kiedy inni *błękitni* koledzy uganiali za ognikami, albo na wzór ich sami szmermle tylko puszczali: on ciągle ich spójrzenia usiłował zwracać ku gwiazdom, a zamiast poziomych szmermelów, żądał przynajmniéj choćby rac gwiazdzistych. Jak jednak i pod tym względem był pobłażliwym i wyrozumiałym dla drugich, ja może mógłbym służyć za najlepszy dowód.

Od piérwszéj chwili poznania zakochałem się w nim formalnie, (był téż piękny jak Antinous), i niedługo na wzajemność czekałem. A że właśnie w tymże

czasie, nie wiém zkąd i za co, powziął ku mnie podobnyż affekt inny kolega i rowiennik, Justyn Ciecierski, który ja także wzajemnością płaciłem: powstał ztąd między nami odrębny jakiś stosunek we *trio*, którego kierownikiem był właściwie Adolf. Przedmiotem konferencyj naszych była zwykle kazuistyka uczuć moralnych, jak np. w rozmowach z Olesiem podobnaż dyssekcya uczuć sentymentalnych, lub téż form i odcieni poezyi, jako sztuki. I na tych téż to punktach mianowicie Adolf musiał się uzbrajać w cierpliwość, aby ze mną nie zachodzić w dysputy. Mówił zawsze *swoje* jak pleban, ale i chochlikowi mówić *swoje* pozwalał. Ciecierski był zazwyczaj pośrednikiem godzącym. Z natury cichy, łagodny, nieśmiały, w samych już nawet rysach i melancholijnym wyrazie pięknéj swéj twarzy, nosił zda się cechę uczuć dziewiczych i przepowiednię przedwczesnego zgonu. Gdyby mu Bóg żyć dłużéj pozwolił, byłby zeń może tkliwy, rzewny poeta, jak np. Karpiński lub Lenartowicz, — bo w tym kierunku zwykle sił swoich próbował; niezawodnie zaś wzorowo cnotliwy człowiek i pożyteczny kraju obywatel. Mając w perspektywie przed sobą dziedzictwo znacznéj fortuny, za główny swój obowiązek uważał nauczyć się dobrego jéj używania, i to nie tylko dla samego siebie. Adolf istotnie pod tym względem mógł być dlań najdoskonalszym mistrzem. Ze mną łączyła go mianowicie wspólna a poetyczna cześć i uwielbienie dla całéj płci pięknéj w ogólności; a i to może tylko dla tego, że sobie wtedy jeszcze żadnéj *jednéj* nie wybrał, a szukał jéj ustawicznie w krajach marzeń i wyobraźni. Gdyby wybór był już nastąpił, przeszedłby może całkiem na stronę Adolfa,

który urok i świętość miłości widział głównie w jéj przewodnictwie, jako Anioła zesłanego ludziom przez Opatrzność, ażeby ich w koło najświętszych, rodzinnych obowiązków wprowadzić; i zaledwo przez wysiłek pobłażliwości dla drugich, pozwalał im i bez tego celu niekiedy, ale zawsze tylko zdaleka, i to bardzo ostrożnie, lubować się urokiem anielskiego oblicza. On sam, nawet w drodze do tego celu, to jest będąc już zaręczonym, wyrzekł się potém dobrowolnie téj największéj dla siebie i jedynéj pociechy życia, gdy w zamian za nią mógł tylko dać udział we własnéj niedoli. Sam ten fakt byłby już dostatecznym do potwierdzenia tego, co o nim w ogólności powiedziałem wyżéj. A cóż dopiéro gdybym tu mógł wymienić cały szereg faktów poprzednich, które go w tę niedolę wtrąciły? Szczęściem nie będą one stracone dla wiedzy i przykładu potomnych. W opisie jego życia, wydanym w r. 1861 w Berlinie, ujrzą oni tę wzniosłą i szlachetną postać, godną być przedmiotem poezyi, a o któréj najbliższy z lat ostatnich przyjaciel, przez czas długi wspólnik niodoli, a sam znakomity poeta, autor „*Kirgiza*," opowiedział. Przytaczam tu własne jego słowa:

„Rzadko może zdarzy się spotkać drugiego człowieka, w którymby, oprócz powierzchowności w całém znaczeniu pięknéj, tyle się jednocześnie moralnych przymiotów łączyło. Czysta wiara, miłość rodzinnéj ziemi, wielostronnie ukształcony umysł, hart duszy, szlachetny i prawy charakter, na który nawet zawiść targnąć się nie śmiała, niezmordowana pracowitość, ścisłość w wypełnianiu każdego przyjętego na się obowiązku, a obok tego swobodny humor, porywy poetyczne, i ta łatwość pożycia, która mimowolnie wszy-

stkich serca ku niemu garnęła. Liczne te i wielkie przymioty w tak doskonałéj harmonii łączyły się w osobie Adolfa, że stanowiły jakąś wzniosłą i odrębną postać na tle dzisiejszego społeczeństwa.“

Cóż dodać do słów takich? To jedno chyba jeszcze, że i sama śmierć jego była jakby koroną męczeńskiego żywota. Zaledwo powrócony na łono rodziny, po 25-cioletniém oddaleniu, musiał ją wnet pożegnać na wieki, i to oblawszy wprzód łzami najżywszego żalu przedwczesny zgon młodziutkiéj córki swego brata, która była dlań aniołem pociechy, a zachorzawszy nagle, o jeden go dzień tylko poprzedziła do grobu. Wszystko to zniósł on z tak świętym pokojem, z tak pokorném poddaniem się woli Bożéj, że mówiąc o tém w mowie pogrzebowéj słynny naówczas w Litwie kaznodzieja, x. Wiktor Malewicz, sprawiedliwie powiedział o nim: „Chrystus z całą pełnością błogosławieństw położył się na duszę jego.“ Ja zaś na wezwanie brata jego i matki napisałem dlań następujący nagrobek, wyryty na grobowym pomniku, na wiejskim cmentarzu w Dziahylnie, rodzinnym jego majątku w gubernii Mińskiéj:

„Z ducha, serca i myśli, z cnót, ofiar i czynów,
Bóg nie miał sług wierniejszych, kraj godniejszych synów.
Obywatel z wyznawcy niezachwianą siłą.
Przechodniu! nie zań tylko nad jego mogiłą,
Lecz módl się i za siebie: by przezeń uprosić,
Tak żyć, wierzyć i kochać, tak cierpieć i znosić.“

Smutna to rzecz bardzo, siostrzyczko, opowiadać na starość wspomnienia swojéj młodości. Na najweselsze zaraz pada cień mogiły, najmilsze nieraz zakończą się łzami. Pamięć wskrzesza i widzi co było, ale serce wnet czuje, że tego już nié ma, i co najgorsza, wié, co się z tém stało. Przyczyna, że tak mało mamy pamiętników osobistych, kto wié, czy nie leży w tém właśnie, iż serce zwykle nad pamięcią przemaga, i odejmuje ochotę do dalszego wywoływania wspomnień, które wznawiają w niém tylko nie pociechę, lecz boleść. Ja zawsze w takich razach powtarzam sobie wiersz znakomitego poety, Żukowskiego:

„O miłych współwędrowcach, co ci przed oczyma,
Idąc obok, przykładem cnót swoich świecili,
Nie mów z żalem: „Już ich nié ma!“
Ale z wdzięcznością, że byli.

I z tego to mianowicie uczucia wdzięczności, radbym pamiątkę o nich młodszemu pokoleniu przekazać. Powracam więc do *Błękitnego Grona*.

W chwili mego wejścia do niego, laureatami w opinii kolegów, byli Tomasz Zan i Jan Czeczot. O piérwszym, jako poecie, wspominałem już wyżéj. Drugi, zajęty obowiązkową pracą biurową w tak zwanéj Komissyi Radziwiłłowskiéj, trudnił się przedewszystkiém zbieraniem i tłómaczeniem rusińskich piosnek ludowych, i sam oryginalnie pisał tylko piosnki. Treścią ich były zazwyczaj albo uczucia moralne, zgodne z dążeniem i duchem filareckim, albo sercowe, poświęcone wyłącznie ku czci pięknéj Zosi Malewskiéj, młodszéj córki rektora uniwersytetu, dla któréj uwielbienie poety miało wiele podobieństwa z uczuciem niegdyś Kniaźnina dla córki xiążęcych swych protektorów, i wiernie téż w nim jak w tamtym, w pośród różnych prób losu, aż do końca życia przetrwało.

Naśladowcą jego, jako zbieracz i tłómacz piosnek litewsko-żmudzkich, był Emeryk Staniewicz, o lat parę starszy ode mnie. Tkliwość ich i rzewna łagodność odbijać się zdawały w jego charakterze, kontrastując niby na pozór z wysoką, męzką postawą, i nie rugując bynajmniéj pogodnéj swobody umysłu, która go zwłaszcza ścisłym węzłem przyjaźni łączyła z jowialnym Michałem Kątkowskim, a połączona z uprzejmą otwartością dla wszystkich, wszystkich mu téż serca jednała. Mój z nim stosunek, zawsze bardzo dobry, spoił się zwłaszcza i przeszedł w serdeczną przyjaźń podczas kilkomiesięcznego sąsiedztwa tuż obok w celach karmelitańskiego przy Ostréj Bramie klasztoru, gdyśmy w nich potém wspólnie mimowolną rekollekcyą odbywali. Liczę go zawsze do najmilszych wspomnień z owych lat piérwszéj młodości.

Nad wszystkimi wszakże młodszymi, poetyckim umysłem i talentem górował niezaprzeczenie Oleś Chodźko, nim w parę lat późniéj przybyli do grona wprowadzeni przez niego i przeze mnie, Ludwik Spitznagel i Józef Massalski. O piérwszym wspominałem już obszerniéj powyżéj i gdzieindziéj; tu więc powtórzę chyba to jedno, że był to nie tylko talent, ale może gieniusz w zarodzie, który nim się w pełni rozwinął, spłonął sam w ogniach własnych swych uczuć, czy raczéj może tylko wyobraźni, nad którą zapanować nie umiał. Massalskiemu téż dalsze okoliczności życia zwichnęły polot, nie tak bujnéj, jak raczéj dziwnie lotnéj, lekkiéj, i że się tak wyrażę sylficznéj, czy motyléj fantazyi, która go téż sama dobrowolnie do tych smutnych okoliczności przywiodła. Powiém o tém, co się da powiedzieć, poniżéj. Ale z piérwszych poetyckich

prac jego, bajki zwłaszcza w guście Lafontena, pod względem wdzięku narracyi i stylu, ze wszystkich naszych pisarzy w tym rodzaju stoją może najbliżéj obok Krasickiego, i tak się mają do swojego wzoru, jak np. bajki Mickiewicza do bajek Trembeckiego, których on styl i ton naśladował.

Ale wracając do Olesia Chodźki;—znajoma jest powszechnie improwizacya o nim Mickiewicza, gdy porównywając go w niéj do kolibra o tęczowych piórach, przepowiadał mu za czasem siłę lotu i tryumf orła. Jakoż piérwszy zbiór jego poezyj, wydany w Petersburgu w r. 1830, nie zadał bynajmniéj kłamu téj przyjacielskiéj chlubnéj przepowiedni. A dla czego sam autor ziścić jéj w pełni nie usiłował, czy nie chciał? to samby on już chyba wytłómaczyć zdołał; gdyż głos jego dotychczas, Bogu dzięki, nie zamarł, i owszem w chwili obecnej, (1882), z katedry w Kollegium Fracuzkiém *(Collège de France)* w Paryżu, odsłania cudzoziemcom piękności literatury Słowiańskiéj, spełniając niejako w ten sposób ową wieszczą przepowiednię Adama, którego miejsce właśnie na rzeczonéj katedrze zajmuje. W czasie, o którym tu mowa, on jeden, jako wybrany uczeń i szczególny ulubieniec Tomasza Zana, występował od razu w roli *romantyka*, podczas gdy wszyscy starsi, a nawet rówiennicy jego, długo wprzód to w Rzymskich togach, to we Francuzkich haftowanych frakach chodzili. Między innemi ballada jego p. t. *Maliny*, podała piérwszy pomysł Słowackiemu do napisania swojéj *Balladyny*.

Naczelnikami zastępu *togatów* byli wspominani już niejednokrotnie wyżéj, tłómacze poetów greckich: Felix Kułakowski i Jan Wiernikowski. Tuż po nich

szedł Jan Zahorski, również jak oni kandydat do stanu nauczycielskiego i niemniéj téż gruntownie uczony filolog. We dwa zaś lata późniéj przybył do nich Juljan Korsak, jako *wzorowy* tłómacz ód Horacyusza, jak go nie wahał się nazwać sam Borowski, gdy piérwsze podane sobie ody, na lekcyi publicznie, z wymienieniem nazwiska tłómacza, odczytał. Mimo to Korsak był piérwszy, który z obozu klassyków przeszedł stanowczo na stronę romantyków, a w dalszym ciągu poetycznego swego zawodu, oprócz kilku znakomitych utworów oryginalnych; jak np. „*Oda do Gieniuszu*," „*Kamoens w szpitalu*," i t. d.; oprócz wcale udatnych tłómaczeń poematów Byron'a: „*Lara*," „*Więzień Chilonu*," „*Oblężenie Koryntu*," „*Parisina;*" tragedyi Szekspira „*Romeo i Julia*," i tragedyi Göthe'go „*Ifigenia w Taurydzie*," uwiecznił zwłaszcza swe imię w literaturze ojczystéj, rymowanym przekładem „*Boskiéj Komedyi*" Danta, o którym mówiąc kiedyś Borowski, wyraził się: „że pachnie Dantem." Przykład jego w przeniewierzeniu się klassycyzmowi naśladował w późniejszych latach Wiernikowski, gdy po wydrukowaniu w Wilnie w r. 1824 wzorowego przekładu kilku ód Pindara, oddawszy się nauce wschodnich języków w Kazaniu, zajął się był przekładem perskiego poety Hafiza, a następnie, nauczywszy się po szwedzku, wytłómaczył z Tegnera dwa najsławniejsze poemata jego: „*Axel*" i „*Fritiof's Saga.*" Oba te tłómaczenia, ogłoszone drukiem, tłómaczowi zasłużoną sławę przyniosły. Jeden tylko Zahorski, do końca pobytu swego w uniwersytecie, nie dał się niczém oderwać od czci Muzy starożytnéj, a mianowicie Rzymskiéj, i często nawet *stylusem* Juwenalisa z widmami romantycznych ballad

wojował, w najprzyjaźniejszéj wszakże komitywie sam zawsze z romantykami zostając. Tłómacz *Listów i Satyr* Horacyusza, sam na wzór ich pisał własne. Nie było w nich wiele talentu, ale wiersz i język poprawny; tylko że wykształcony zwłaszcza na Trembeckim, odznaczał się i grzeszył napuszystością, która, we własnéj zwłaszcza deklamacyi jego, dochodziła do tego stopnia, że może nie miałby sobie pod tym względem równego, gdyby nie exystował w Warszawie pan Józef Dyonizy Minasowicz, którego pewno, siostrzyczko, pamiętasz, a więc i wiész z doświadczenia, jak trudno było słuchając wstrzymać się niekiedy od śmiechu. Że zaś prawidło: *nonum prematur in annum* było dla Zahorskiego prawem kardynalném: ztąd poszło, że nic nigdy nie ogłosił drukiem; a co po śmierci jego stało się z rękopismami, ja nie wiém.

Do naśladowników francuzkich, a raczéj ówczesnych poetów warszawskich, liczyli się bez wyjątku mniéj więcéj wszyscy inni składacze rymów. Silniejsi brali się do przekładów tragedyi, słabsi poprzestawali na liryzmie. Jeden z piérwszych, Xawery Turski, wytłómaczył między innemi „*Mitrydata*" Rasyna; lecz pomimo, że przekład ten, zdaniem znawców, nie ustępował w wartości słynnym wówczas przekładom warszawskim, tłómacz, przeszedłszy wkrótce na stronę romantyków, nie chciał ogłaszać go drukiem, i zajął się przekładem „*Zbójców*" Szyllera, przeznaczając tę sztukę na benefis ślicznéj i wielce znakomitéj artystki, panny Izabelli Górskiéj, która nawet obok pani Ledóchowskiéj, goszczącéj wtedy czasowo w Wilnie wraz z p. Werowskim, była ulubienicą publiczności ówczesnéj. Tryumf ten wszakże romantyczności na

scenie nie doszedł rzeczywiście do skutku, napotkawszy stanowczy opór ze strony klassycznéj dyrekcyi teatru, i piękny przekład *Zbójców*, zaległ na zawsze w tece obok *Mitrydata*. W kilku ledwo drobniejszych utworach, drukowanych w ówczesnych dziennikach wileńskich, zostały jedyne ślady wyższego talentu tłómacza, który go całkiem potém dobrowolnie zaniechał, a dziś jeszcze w okolicy swojéj jest wzorem postępowego gospodarza i zacnego obywatela.

Podobnyż los mniéj więcéj był udziałem i wszystkich innych czcicieli Muz, kolegów i rowienników moich, którzy im wtedy gorliwie w *Gronie Błękitném* służyli. Imiona więc ich przynajmniéj chcę tu na pamiątkę wymienić, nie powtarzając wspominanych już wyżéj. Byli nimi: Tadeusz Żebrowski, Dominik Orlicki, Stefan Marciejewski, Jan Jankowski, i Ludwik Paprocki. O Jankowskim, smutnéj pamięci, przyjdzie mi może wspomnieć jeszcze poniżéj. Paprocki zaś, późniejszy urzędnik i nakoniec członek Rady Stanu w Królestwie Polskiém, żyjący do dziś dnia jeszcze (* i otoczony szacunkiem powszechnym, był natenczas w *Gronie Błękitném* jako główne pośrednie ogniwo pomiędzy poezyą a muzyką. Muzyka bowiem, równie jak wszystkie inne sztuki piękne, otwierała téż swoim adeptom wstęp do literackiego grona. Rzeźbiarzy w niém tylko nie było. Malarstwo reprezentował jeden tylko Walenty Wańkowicz; ale co ołtarz Euterpy, to miał zawsze liczny zastęp czcicieli. Na czele wszakże ich wszystkich stali: Ludwik Paprocki, Jan Jundziłł, i xiądz

*) Pisano to było w r. 1881. Umarł w r. 1882.

Petrulewicz, jako skrzypkowie, i Henryk Romer, jako wiolonczelista. Temu ostatniemu sławny Romberg, za bytności swéj w Wilnie, rokował świetną artystyczną przyszłość, gdyby jego położenie społeczne nie otwierało raczéj przed nim pola innéj, obywatelskiéj zasługi. Ale wszystkie te piękne nadzieje przecięła śmierć zbyt wczesna, z przypadku utonięcia w kąpieli. Paprocki zaś, x. Petrulewicz i Jundziłł byli zawsze do końca głównymi czynnikami koleżeńskich zabaw, których muzyka, obok poezyi, stanowiła część integralną. Do urządzanych przez nich na ten cel kwartetów wchodzili téż dwaj nienależący do grona, ale duchem z niém spokrewnieni, artyści katedralnéj i teatralnéj muzyki, pp. Borowski, piérwszy skrzypek, i Karszmidt, wiolonczelista. Chór śpiewaków, pod przewodnictwem trzech braci Zanów, obdarzonych prześlicznym głosem, składał się, zwłaszcza w polu otwartém, ze wszystkich, którzy tylko, jak np. ja i Ignacy Domejko, za wyraźnych *turbatorów* jego uznani i uważani nie byli.

Ale wspomniawszy o zabawach, czuję się niejako w obowiązku powiedzieć téż tu o nich słów kilka.

Zabawa, podług filareckiéj teoryi pana Tomasza, powinna była być, obok nauki, drugiém źródłem kształcenia umysłu, serca i ducha, byleby, ma się rozumieć, charakterem swym odpowiadała celowi. Ztąd téż obok posiedzeń poświęconych wyłącznie nauce, wszystkie grona od czasu do czasu urządzały u siebie wieczorne koleżeńskie zebrania, najczęściéj z powodu imienin przewodników, w obszerniejszych prywatnych mieszkaniach swych członków. Na wszystkich wszakże, jak niegdyś minstrele, nieodzownymi gośćmi byli poeci i muzycy *błękitni*. Poezya bowiem, to jest deklama-

cya albo *jamby*, i muzyka, składały zwykle cały program zabawy, nie wyłączając przytém swobodnéj rozmowy, albo nawet i gier studenckich, jak np. w *ciuciubabkę* w zimie, lub latem na majówkach w *zająca*. Koszt na te uczty zbierał się z drobnych dobrowolnych składek; traktament odpowiadał prostocie programu. Z niektórych piosnek filareckich, jak np. z owéj Adama:

„Hej, użyjmy żywota,
Wszak żyjem tylko raz.
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

„Hejże do niéj wesoło!
Niechaj obiega w koło.
Chwytaj i do ust chyl
Zwiastunkę dobrych chwil!“—

Z piosnki téj i niektórych innych, mylnieby ktoś może mógł wnosić, że kielichy i gorące napoje były źródłem albo podnietą ożywienia i wesołości tych biesiad. Rzecz owszem miała się wręcz przeciwnie. Wino, poncz, piwo, nie mówiąc już o spirytualiach, były wyraźnie wykluczone z programu. Mléko, herbata z ciastem, lepszém nieco od prostych bułek, krajanki chleba z sérem i owoce, składały cały zasób posiłków i łakoci. Jeden jedyny toast na cześć bohatera fety, spełniał się jeśli nie mlékiem, to małym kieliszkiem Kowieńskiego miodu; i dla jednego tylko Adama, kiedy bywał obecnym, wyjątkowym sposobem butelkę porteru stawiono. On téż jeden miał wyłączny przywilej palenia fajki, od któréj, na zebraniach, z postanowienia wstrzymywali się drudzy. Cygar i papierosów nie znano wtedy jeszcze, a przynajmniéj w Wilnie. Ztąd téż prawdziwie obrzędową piosnką, przy wznoszeniu toastu, była następująca Czeczota:

„Bodaj to złote wieki,
Kiedy miodem i mlekiem,
Słodkie płynęły rzeki,
A człek był słodkim człekiem!

„Serce słodkie jak z miodu,
Dusza jak mleko biała,
Czarnych zbrodni zarodu,
Ni gorzkich trosk nie znała!

„Tak my kiedyś wzdychali
Za złotemi wiekami,
Pókiśmy nie zostali
Braćmi Filaretami.

„Dzisiaj dla nas wiek złoty
Błysnął w braterskiém gronie,
Gdzie czystym ogniem cnoty
Serce każdego płonie.

„Słodka przyjaźń i zgoda
Pokrzepia wiek nasz młody;
Myśli, uczuć swoboda,
To złotych wieków miody.

„Tyś nam wskrzesił te wieki,
Dając nam niegdyś mleko;
Odtąd nam życia rzeki
Mlekiem i miodem cieką.

„Przyjmże od nas to mleko,
Godło wieku złotego,
Niech mlekiem, miodem cieką
Zdroje życia twojego!“

Piosnka ta napisana wyłącznie dla Zana, zmieniała się w ostatnich dwóch strofach, stosownie do so-

lenizantów, na cześć których toast wznoszono; zawsze jednak była przy tém konieczną, jak „*God save the king*“ na publicznych ucztach angielskich.

Ale oprócz tych zebrań gron pojedyńczych, albo ogólnych wiosennych majówek za miastem, jedną wspólną doroczną biesiadą w mieście był obchód imienin Tomasza Zana, 21 Grudnia. Dniem przed tém, jako przed feryami Bożego Narodzenia, lekcye w uniwersytecie były już zamknięte, a ci co nawet mieli wyjeżdżać do domów na święta, wstrzymywali zwykle swój wyjazd, aby piérwéj złożyć życzenia ukochanemu solenizantowi. Była to piérwsza biesiada, na któréj byłem obecnym, po przyjęciu mojém do grona w roku 1820. Odbywała się ona we wspaniałych salonach pałacu Jenerała Paca, który stał naówczas pustkami, a burgrabia, przyjaciel jednego z naszych kolegów, Onufrego Pietraszkiewicza, otworzył nam je na ten dzień do użycia. Spodziewano się przybycia Mickiewicza z Kowna, ale stan jego zdrowia i zbyt silne mrozy nie dozwoliły mu spełnić zamiaru. Zawód był tém dotkliwszy dla wszystkich, że właśnie dla zrobienia jemu przyjemności, i w skutek własnéj jego rady, Grono Błękitne wystąpiło po raz piérwszy z reprezentacyą studenckiéj krotofili wierszem, napisanéj przedparą laty przez samegoż soleniżanta, p. t. „*Piérożki Gryczane.*“ Mickiewicz cenił ją bardzo, jako wierny obraz z natury obyczajów i usposobień studenckich. Powtórzono ją téż przed nim w roku następnym, gdy Mickiewicz za urlopem dla zdrowia cały ten rok szkolny w Wilnie przepędził. Ale zamiast opisywać po szczególe obie te fety, pozwalam sobie, siostrzyczko, przytoczyć tu raczéj, jako ogólny ich obraz i wspo-

mnienie, choćby tylko początek własnego mego wiersza do Tomasza Zana, napisanego w r. 1852, gdyśmy w gronie zaledwo kilku dawnych kolegów, obchodzili dzień jego imienin, po powrócie już jego do Wilna.

„Panie Tomaszu! lat temu trzydzieście,
Dzień twych imienin—co to za wesele!
Boże mój! pomnę—co za ruch po mieście,
Bo co dom w mieście, to w nim przyjaciele!

Wilią Frejent cały dzień już lata,
On, co nam piérwszy każdą wieść ogłasza.
„Panowie! jutro mleko i herbata!
Czeczot funduje, i wszystkich zaprasza.“—

Z wszystkich okienek, gdzie tylko poeci,
Jak wróble w gniazdach, siedzą na poddaszu,
Całą noc świéczka nieutarta świeci,
Wszędzie się piszą wiersze o Tomaszu.

Jeżowski czapkę nasunął na uszy—
On jutro mówcą w imieniu zebranych.
U Łozińskiego gwar, hałas, aż głuszy—
Próba na jutro „*Piérożków Gryczanych.*“

U nas, przed piecem zamyślony Adam,
Puszcza z ust dymu coraz gęstsze wianki.
Ja téż cichutko w myśli rym układam,
Licząc z Czeczotem pożyczone szklanki.

Dwie głowy cukru *białowąs* Onufry
Przyniósł, i tłucze;—a niezmordowany
Brat Piotr szykuje stołki, ławki, kufry,
By było na czém siadać koło ściany.

I o północy już wszystko skończono.
Lecz gdzie tam zasnąć!—gdy już przed świtaniem,
Do przewodników ma się każde grono
Zebrać, i razem iść z powinszowaniem!

Jakoż i idziem.—O! któż powylicza
Te siedm gron wszystkie, siedm barw jednéj tęczy,
Co jak przyszłości zorza tajemnicza
Opromieniała nasz ranek młodzieńczy?

Tyś był nam wszystkim jak ów Sokrat grecki,
Co próżno pragnął gromadki jak nasza,
Bo w każdéj myśli, piersi Filareckiéj
Tchnęła najczystsza miłość dla Tomasza.

W tobie nią każdy, jak w wspólném ognisku,
Serce do pieśni, do czynów zapalał,
Udzielał drugim w braterskim uścisku,
Strzegąc nawzajem, by nikt jéj nie skalał.

I nieskalana téż była w tém gronie,
Jak były czyste te łzy rozrzewnienia,
Jak był promienny pokój na twém czole,
Gdy ci Jeżowski niósł wszystkich życzenia.

Któż im nie wtórzył najszczerszą nadzieją,
Kto śmiał nie wierzyć w ich prorocze wróżby,
Któremi Adam, i drudzy koleją,
W ślad twój budzili do ojczystéj służby?

I nieskażone téż było wesele,
Żywe jak miłość, spokojne jak cnota,
Z którém się w wieczór młodzi przyjaciele
Zbiegli, wpół skacząc, na bal do Czeczota.

Gwar, jamby, pieśni—przy miodzie i mleku,
Sto serc ognistych, kochających wzajem...
O! ty nasz młody, ty nasz złoty wieku,
Coś z nas i przez nas miał wzejść po nad krajem!... i t. d.

Ale nie same tylko towarzyskie zebrania uniwersyteckich kolegów nosiły ten poetyczno-duchowy, czyli, że go tak nazwę, filarecki charakter. Zaczynał on właśnie w tym czasie wnikać coraz wyraźniéj i szerzéj w pojedyńcze kółka światowe, w domach zwłaszcza,

gdzie były i rej wiodły panienki. I nie było to wprost naśladownictwem, lecz raczéj skutkiem téjże saméj przyczyny. Przyczyną tą był wspólny wpływ Zana. Wprawdzie poprzedzające nas pokolenie odznaczało się już w ogólności na Litwie wielką światową ogładą, upodobaniem w estetycznych zabawach, szarmanteryą ze strony mężczyzn, a sentymentalnością ze strony płci pięknéj. Ale była to szarmanterya czysto salonowa: dworna, zalotna, rycerska nawet, jeśli ją tak nazwać, któréj głównym wzorem i szkołą był w Warszawie dom xięcia Józefa *pod Blachą*. Sentymentalność zaś damska, była wiernem odbiciem kolorytu i tonu słynnych i modnych wówczas romansów pani *Cottin*, pani de *Genlis* i t. p. Mówię to, ma się rozumieć, o wyższych i wykształceńszych warstwach społeczeństwa; ale wpływ ich sięgał i niżéj, i z Wilna, jak z głównego ogniska, rozchodził się po innych miastach i miasteczkach, gdzie były zwłaszcza palestra i szkoły, które go dalszą koleją po dworkach szlacheckich krzewiły. Poważniejszego, duchowego niejako pierwiastku, ani w owéj szarmanteryi, ani w owéj sentymentalności nie było. Był to już wykwit czysto filarecki, choć on sam niewątpliwie tamtym piérwszy swój początek zawdzięczał. Domieszką w téj amalgamie był osobisty charakter pana Tomasza, poetyczno-religijny nastrój jego umysłu, i nakoniec same okoliczności, które go jednocześnie od razu z męzką i żeńską uczącą się młodzieżą zbliżyły. W pierwszym zaraz roku przybycia ze szkół do Wilna (1815), zmuszony własną pracą zarabiać na utrzymanie swoje, obok kilku korrepetycyi studenckich, otrzymał, za protekcyą bibliotekarza uniwersyteckiego Kontryma, posadę przy-

chodniego nauczyciela matematyki i fizyki przy jednym z piérwszych pensyonów panieńskich w Wilnie (Pani Dejbel). Tkliwy, delikatny, łagodny i kochającego serca z natury, gdy właśnie przez te przymioty jednał sobie ogólną życzliwość kolegów, cóż za dziw, że i wrażliwsze serduszka uczennic tém łacniéj jeszcze pociągnąć się dały? Sława jego nauczycielska takiego z czasem nabrała rozgłosu, że literalnie wszystkie, ile ich było w Wilnie, przełożone pensyi, ubiegały się jako o zaszczyt, aby Zana do grona swych nauczycieli zaliczyć. Gdy więc wszystkim sam zadość uczynić nie mógł, rekomendował w miejscu swojém najzdolniejszych kolegów, i tym sposobem, po pewnym przeciągu czasu, nauczycielami we wszystkich żeńskich naukowych zakładach, zostali wyłącznie sami najzaufańsi przyjaciele jego. O ile zaś to nauczycielstwo panieńskie oddziaływało wzajem na nauczyciela, na upoetyzowanie zwłaszcza i uduchownienie teoryi jego o *promionkach*, którą on, jak już wspomniałem wyżéj, pomiędzy koleżeńską młodzieżą upowszechniał: o tém z własnych domysłów rozszerzać się nie będę. Faktem jest tylko, że imię jednéj z tych uczennic, *Feli*, (Felicya), którą obrał za damę swych myśli i wierszy, stało się pomiędzy Filaretami jak gdyby generyczną nazwą ideału cnót, zalet i wdzięków niewieścich z jednéj, a czci i uwielbienia dla nich z drugiéj strony. W piosnce filareckiéj Adama, zaczynającéj się od słów: „*Héj, użyjmy żywota!*“ ostatnia strofka, mówiąca o starości, kończyła się temi słowy:

„Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń.
To oko zamknie Feli,
To, Filareta dłoń.“

I przeto każdy z wyznawców teoryi *promionkowéj*, mógł powtórzyć mniéj więcéj względem siebie o *Feli*, co Zygmunt Krasiński o *Beatrice*, mówiąc:

„I ja téż miałem Beatrice moję!“

Że zaś w przeciągu lat pięciu (1815—1820), wiele z tego rodzaju *Feli* czy *Beatrici* przeszło z ławek pensyonarskich na taneczne posadzki i fotele wileńskich salonów, i pomagało matkom w robieniu honorów domu: nie dziw, że najpożądańszymi dla nich gośćmi, byli młodzi przyjaciele pana Tomasza, z którymi je i wspólność wyobrażeń i wspomnień, i wspólność przywiązania dla wspólnego mistrza łączyła; a następnie, że ton i koloryt wzajemnego ich między sobą stosunku, musiał też oddziaływać i na innych gości. Piérwszém i głównem ogniskiem podobnego wpływu, był w czasie, o którym tu mowa, dom samegoż rektora uniwersytetu, p. Szymona Malewskiego. Wprawdzie ani on sam, ani żona jego: uprzejma, dobra, zacna gospodyni, nie mieli w tém najmniejszego udziału; ale syn ich jedyny, Franciszek, kolega i najbliższy przyjaciel Mickiewicza, Zana, Jeżowskiego, Czeczota i innych, jak z jednéj strony ściągał ich do siebie, tak z drugiéj, przez wpływ na siostry, nastrajał je niejako do harmonii z nimi. Z dwóch tych sióstr starsza, Marya, cicha, skromna, nie myśląca o sobie, poprzestająca ochoczo na podrzędném stanowisku Marty, sama owszem ku młodszéj Zosi prąd uwielbień gości swoich zwracała. Ta zaś ostatnia, piękna, żywa, dowcipna, z niepospolitym talentem muzycznym i uroczym głosem w śpiewaniu, łączyła jeszcze mnóztwo fantazyi i fantazyek rozpieszczonego dziecka, które choćby właściwie przy-

szło może nazwać cieniami, miały one wszakże swój powab, tak, że możnaby było powtórzyć o nich z poetą (Moorem):

„Że nieraz wątpić trzeba, czy te cienie
Nie milsze dla nas, niż same promienie.“

Nie zrażały też one przyjaciół jéj brata, a dla Czeczota owszem miały urok czarów, któremi bajeczne wróżki oplątywały nieraz swoich wielbicieli, uczuć ich nigdy same na seryo nie dzieląc. Ja wprawdzie tych tak wielkich czarodziejskich wpływów, o których ciągle słyszałem, nie doznałem bynajmniéj na sobie; ale to może dla tego, że nim Mentor mój, Czeczot, ziścił nareście swoję obietnicę, że mnie, jeśli na to zasłużę, przed oblicznośc ideału swego wprowadzi: własne moje ideały w tym względzie w inne już całkiem wcieliły się kształty. Że zaś właśnie ta okoliczność wywarła wpływ stanowczy i największy może na dalszy kierunek i rozwój poetycznego mego pod tym względem żywota: więc uważam też za właściwe, obszerniéj nieco powiedzieć tu o tém.

A oprócz tego jeszcze, siostrzyczko, mam i inny powód ku temu, i to powód tyczący się przedewszystkiém ciebie saméj, to jest, chęć usprawiedliwienia się niejako przed tobą. W nekrologu moim za życia, który przed laty kilku raczyłaś napisać i umieściłaś w kalendarzu Ungra, podajesz do wiadomości powszechnéj—nie umiém dobrze odgadnąć, czy jako pochwałę, czy jako zarzut:—gorącą moję cześć i uwielbienie dla całéj płci pięknéj w ogólności. Nie wypieram się ja tego bynajmniéj, ale wszakże idzie mi o to, ażebym nie był brany za jakiegoś ślepego, bezmyślnego motyla,

którego wymaganiom lada ziółko wystarcza, a który między niém a choćby nawet różą, różnicy dostrzedz i poczuć nie umie. Tak nie jest. Że zaś w ciągu trzech ćwierci wieku mego życia, los szczęśliwy dawał mi wszędzie spotykać w płci pięknéj okazy cnót najmilszych i najwyższych w ludzkości: od miłosierdzia i litości, do heroizmu w poświęceniu; że mnie ustrzegł od doświadczenia na samym sobie tych jakoby wad i usterków, o które ją w wierszach i w prozie ród męzki od wieków obwinia; przypisuję to, prócz Łaski Bożéj, temu zwłaszcza piérwszemu stosunkowi mojemu, o którym tu mówić zamierzam, a który przez kilkoletnie trwanie w czasach piérwszéj mojéj młodości, wytworzył snać w duszy mojéj taki jakiś kamerton uczucia, że kierując się nim w wyborze dalszych, nigdy się, Bogu dzięki, nie zawiodłem w nadziejach.

Od przybycia mego do Wilna, poprzestając na towarzystwie kolegów, w domu tylko pp. Spitznaglów, w którym byłem jak w rodzicielskim, widywałem czasem zdaleka światowe towarzystwo wileńskie. Że zaś to składało się zazwyczaj z poważnych professorów narodowości niemieckiéj, którzy się w nim z całą rodziną raz w tydzień na bostona lub wista zbierali; ja, jako młody i nieśmiały student, żadnego w niém właściwie nie brałem udziału, i przy wieczerzy tylko w gronie gości siedziałem. Tak było do imienin saméj pani domu, w dzień N. P. Maryi Gromnicznéj, (2 Lutego 1821 r.) W dniu tym po nabożeństwie z kościoła przyszedłem też z powinszowaniem, i przy wstępie do przedpokoju usłyszałem hałas i tertes w pokoju dziecinnym, do którego też wszedłem najpiérwéj. Ujrzałem tam jakiegoś malca idącego w za-

pasy z młodszym bratem Ludwika, do których on i brat najmłodszy okrzykami zachęcali szermierzy. Malec ten nieznajomy zwrócił moję uwagę przez szczególniejszy jakiś wyraz fizyognomii, a zwłaszcza przez duże, czarne, pałające oczy, które téż utkwił we mnie gdy wszedłem, i kiedy moje wejście położyło koniec zabawie. Był to Julek Słowacki, o którym często wspominał mi Ludwik, zwąc go zawsze przyjacielem swoim, choć sam był starszym od niego o lat parę. Julek miał natenczas lat jedenaście. Ubrany był w czarnym axamitnym kaftaniku do stanu, przepasany lakierowanym paskiem z błyszczącemi stalowemi klamrami. Szeroko odłożony kołnierz od koszuli odsłaniał cienką białą szyję, na którą z tyłu i z boków spływały długie, czarne, utrefione włosy. Mam go dotąd żywo w pamięci, bo się téż w nią wraził od razu. Ludwik zapoznał nas między sobą; poczém on znowu wrócił do przerwanych zapasów, a ja do salonu poszedłem.

W salonie, na kanapie przed stolikiem, siedziały jakieś dwie panie: starsza i młodsza; cztery zaś krzesła około stolika zajęte były przez solenizantkę i trzy jakieś młode panienki, odwrócone plecami do wejścia, których twarzy widzieć przeto nie mogłem. Gdy złożyłem powinszowanie, pani domu zaprezentowała mnie swoim gościom jako „swego czwartego syna," ale nie powiedziała nawzajem komu byłem prezentowany. Zaledwo jednak wymówiła moje nazwisko, starsza dama zapytała z żywością, czy nie byłem owym poetą, którego wiersze pochwalił Borowski? Skłoniłem się, zarumieniłem, a gdym ujrzał, że oczy wszystkich zwróciły się ku mnie, dziś jeszcze pamiętam wrażenie, ja-

kiego podówczas doznałem. Cóż dopiero kiedy się dowiedziałem, że młodsza dama i jedna z panienek są córkami Jędrzeja Śniadeckiego; że dama ta, (pani Balińska), jest tą samą Zosią, do któréj stryj Jan Śniadecki, list o „*Malwinie*" napisał; że drugą damą starszą jest pani professorowa Becu, a dwie drugie panienki jéj pasierzbicami, o których rozumie i wdziękach cuda już w Borunach słyszałem; najmłodszy bowiem brat nieboszczki ich matki, Alexander Pilar, był moim szkolnym kolegą i dobrym zawsze przyjacielem. Wszystko to razem wzięte tak mnie jakoś ogarnęło od razu, że nie tylko słowa przemówić, ale nawet przez długą chwilę myśli zebrać nie mogłem. Ale trzebaż prawdziwie szczęścia, że to, co mogłoby zdać się, a nawet co rzeczywiście było dowodem mojéj głupoty; to właśnie, to jest nieśmiałość moja i zakłopotanie, poczytane mi zostały za skromność, i jak się o tém dowiedziałem późniéj, przyczyniły się owszem do obudzenia ku mnie piérwszego uczucia życzliwości. Musiałem ją był wszakże poczuć instynktowo, gdyż w następnéj zaraz rozmowie ze starszemi paniami w któréj panienki nie brały udziału, z osłupienia przeszedłem raptem jakby w stan extazy, jakiéj dotychczas może nie doznałem w życiu. Wprawdzie zawsze towarzystwo panienek, i w ogólności niewieście, miało na mnie wpływ ożywczy w rozmowie; ale jakież to były panienki lub niewiasty, które znałem i z któremi przestawałem dotychczas? Były to albo krewne, albo znane mi od dzieciństwa wiejskie sąsiadki, albo nakoniec matki i siostrzyczki szkolnych kolegów, które dla odwiedzenia ich czasem przyjeżdżały do Borun. Były jużciż pomiędzy niemi poważne i zacne obywatelki,

i wcale nieszpetne twarzyczki; ale na tém i koniec ich zalet. Na umysłowym poziomie stały one bez porównania niżéj od tych moich Boruńskich kolegów, z którymi się razem Homera i Wirgiliusza czytało. Dla nich były to rzeczy obce, a chyba tylko zręczne komplementa, lub czułostki wyczytane z romansów, do gustu panieneczek trafiały. Tu dopiéro piérwszy raz w życiu, gdy się rozmowa wprost od poezyi zaczęła, uczułem po nad sobą jakby siłę wyższą, która mnie nagle porwała i nad własny mój poziom podniosła. Nie wiedziałem ja wtedy, a możebym nawet i nie pojął gdyby mi kto chciał wytłómaczyć, w czém było źródło tego magicznego uroku, który mnie tak niespodzianie ogarnął. Nie wiedziałem, że stoję w obec dwóch dusz najpoetyczniejszych, nad które wyższych w tym względzie w ówczesném społeczeństwie wileńskiém nie było; w obec dwóch najświatlejszych i najlotniejszych umysłów, w sferze najtkliwszych uczuć i pojęć najszlachetniejszych, opromienionych wdziękiem przyrodzonéj dobroci i estetycznych form wyższego świata. Osobiste odcienia charakteru, czy raczéj temperamentu, nie szkodziły bynajmniéj wspólności ich zasad, a ta wspólność łączyła je nawzajem węzłem najściślejszéj przyjaźni, pomimo kilkoletniéj różnicy ich wieku. Uroda, właściwie mówiąc, nie grała tu żadnéj roli. Nie rysy, lecz wyraz twarzy nadawał im obu ten powab, który serca ku nim pociągał. Za toż pełnym blaskiem urody jaśniała starsza panna Becu, (Alexandra), ze wspaniałą postawą Pallady łącząca wdzięk typowéj polskiéj piękności, błękitno-okiéj, pogodnéj, łagodnéj; podczas gdy młodsza jéj siostra, (Hersylia), i młodsza siostra pani Balińskiéj, (Ludwika Śniadecka), odznaczały się przeciwnie typem raczéj wschodnim, na wzór jakiéjś Greczynki czy Arabki. Tu wszakże muszę nadmienić, że ani rodzaj urody, ani rodzaj intelligencyi panny Ludwiki, wprawdzie rozwiniętéj szeroko i silnéj, lecz nastrojonéj na ton Byroniczny, nigdy do mego współczucia i upodobania nie trafiał; a nawet, że i wszyscy dzielący mniéj więcéj usposobienie moje, podobnegoż doznawali wrażenia. W chwili wszakże o któréj tu mowa, chwili mi na zawsze pamiętnéj, ja zajęty rozmową pań starszych, nie miałem nawet czasu do obserwowania panienek; a ta moja studencka naiwność i zachwyt, w braku wszelkiéj innéj zasługi, zjednały mi ze strony moich interlokutorek, jak to już napomknąłem wyżéj, najprzód wzgląd i życzliwość, a w dalszym ciągu stosunku macierzyńską prawdziwie i siostrzaną opiekę; która zmieniona w końcu we wzajemną przyjaźń, jak była zawsze dla mnie chlubą i pociechą, przez większą część mojego, a do końca ich życia, tak i dziś jeszcze świętą ich pamięć czcią, uwielbieniem i najczulszą wdzięcznością we wspomnieniach mych opromienia.

Nigdybym jednak sam przez się nie ośmielił się wtedy kontynuować téj znajomości, którą mi traf niespodziany nadarzył, gdyby pani Becu przy wyjściu, gdym im jako syn domu do odziewania się w przedpokoju pomagał, nie zaproponowała mi piérwsza, abym je odprowadził do domu. Pani Balińska z siostrą powozem odjechały do siebie; ja reszcie dam towarzyszyłem piechotą, Julka przytém trzymając za rękę. Trotoarów jeszcze w Wilnie nie było, a ruch sanek na ulicy był wielki. Czuwałem więc troskliwie nad malcem, a i to mi téż może nieco piérwsze względy

matki zjednało. Zaprosiła mnie bym wstąpił do nich, bo chciałem pożegnać u progu. I tu dopiéro zaczął się właściwie piérwszy stosunek mój z panienkami, gdy pani B. wyszła na chwilę, a ja sam z niemi pozostałem w salonie. Przez drogę ochłonąłem już był z piérwszego wrażenia i wróciłem do równowagi. Rozmowa o ich wuju, a moim koledze, postawiła nas jakoś na równym poziomie; widok ślicznych panienek, jak zwykle, ożywiał mię i zachwycał; tak, że od razu jakoś weszliśmy w dobrą komitywę. Dalszy stosunek mój z niemi przechodził też same prawie koleje co z matką. Z początku bawił je pewnie wyrostek, nie obyty ze światem, ale wielbiciel i entuzyasta. A wreście może i tytuł poety nie był téż w tém bez pewnego znaczenia. Dosyć, że wkrótce obie zajęły się niejako kształceniem mnie pod względem światowym. Panna Hersylia oduczała od komplementów, odgadując i kończąc je za mnie; albo téż naśladując żartem ton mojego głosu, dawała mi zlekka poczuć niewłaściwość uniesień w rozmowie, do których w towarzystwach koleżeńskich nawykłem. Panna Alexandra ze swojéj strony zwracała szczególniéj baczność na moje ułożenie i znajdowanie się w salonie, a nawet i na toaletę. Raz naprzykład ułożyła mi sama włosy przed zwierciadłem, twierdząc, że mi tak najlepiéj do twarzy; i odtąd je całe życie tak noszę. Wspominam te drobiazgi dla tego, że charakteryzują one najlepiéj ten właśnie rodzaj stosunku, jaki się najprzód między nami zawiązał; ale i on téż z biegiem czasu zamienił się z obu stron w prawdziwą braterską przyjaźń, dotrwał wiernie do śmierci ich obu, i pamięć ich czyni mi świętą. Nie myślę opowiadać szczegółów tych przemian, które były zarazem szczeblami wewnętrznego kształcenia się mojego, na które i one, wraz z matką, wpływ największy i stanowczy w piérwszéj mojéj młodości wywarły. Wspomnę jednakże nieco o składzie ich domu, nie tyle ze względu na siebie, co raczéj ze względu na Julka, z którego wyrósł z czasem Juljusz Słowacki—a co już przez to samo do programu tych moich opowiadań należy.

Sam pan Becu, professor patologii w uniwersytecie Wileńskim, człowiek gładki, światowiec i dworak z natury, żył chętniéj w wyższém towarzystwie światowém, niż w gronie professorskich kolegów; z wyjątkiem wszakże domu obu Śniadeckich, z którymi ścisła łączyła go przyjaźń. Dom téż jego nastrojony był raczéj na elegancki ton wyższego świata. Córkom dał wychowanie umysłowe świetne, a że sam wielki znawca i lubownik muzyki, talent do niéj i głos śliczny z natury, w obiedwóch do artyzmu prawie rozwinął. W obejściu z młodzieżą, która u nich bywała, a któréj wybór żonie wyłącznie zostawiał, był on zawsze tylko obojętnie grzecznym, i wieczorami, gdy nikogo ze starszych nie było, rzadko bardzo, a raczéj prawie nigdy, do salonu na herbatę nie wchodził, przepędzając je zwykle w gabinecie swoim tuż obok, na czytaniu gazet lub xiążek, albo téż na pisaniu listów. Czasem tylko, gdy córki śpiewały czy grały, przychodził w okularach do progu, zatrzymywał się we drzwiach i słuchał; niekiedy pochwalił lub zganił, i znowu powracał do siebie. W ogólności był dla nich dobrym i troskliwym ojcem, i one go passyami kochały. Nie widziałem jednakże nigdy, aby czy to córki, czy Julka, kiedykolwiek po ojcowsku popieścił. Względem żony

był również uprzejmy i grzeczny, ale zawsze tylko w granicach przyzwoitości salonowéj. Na mnie zdawał się być dość łaskaw, a córki mi mówiły, że był nim w istocie, i że nie miał nic przeciw temu, iż stałem się powoli codziennym prawie ich gościem.

Tu przychodzi mi na myśl jedno wspomnienie, które, jakkolwiek drobne, może uwydatnić niejako charakter tego stosunku, i dla tego śmiem je przytoczyć. Obie panienki, jak już powiedziałem, grały i śpiewały prześlicznie, ja zaś admirując je zawsze *in petto*, pozwalałem sobie niekiedy głośno téż sąd mój i uwielbienie jakby tonem znawcy wyrażać. Panienki wiedziały dobrze, że nie miałem do tego prawa; ale chciały wszakże doświadczyć, czy choć ton fałszywy przynajmniéj poczuć i rozróżnić potrafię—i uknuły plan mego zawstydzenia. Powiódłby się niewątpliwie, niestety, gdyby nie litość saméj pani Becu, która mię o nim ostrzegła, i wymyśliła sposób zniweczenia jego. W dniu więc téj próby, gdy już panienki do fortepianu odeszły, dała mi w rękę jeden koniec sznurka, który sama trzymała za drugi. Każde jego targnięcie miało mię ostrzedz o fałszywym tonie, który miał być brany umyślnie. Za piérwszym razem zatém, wykrzyknąłem „A!!!“—za drugim, jeszcze głośniéj; za trzecim zaś czy za którymś, wykrzyknik mój znalazł wtór niespodziewany, który podstęp ukarał za mnie. Sam pan Becu, rażony widać tego rodzaju muzyką, wybiegł nagle ze swego gabinetu, w szlafroku i w pantoflach, z xiążką w ręku i w okularach na nosie, i zjawiwszy się w progu salonu, zawołał wpół z podziwem, wpół z gniewem: „Co wam się stało? Po jakiemu wy gracie?“—Panienki się skonfundowały, nie śmiejąc wy-

jawić prawdy; a ja jużciż tryumfowałem;—aż dopiéro sam dobrowolnie, przy wyjściu, powód tego tryumfu odkryłem.

A miałem téż prawdziwe szczęście zjednać żywą i uprzejmą życzliwość dwóch innych osób w tym domu, które w nim, w braku obcych gości, codzień zwykłe wieczorne towarzystwo składały. Byli to: brat saméj pani, Teofil Januszewski, i ówczesny guwerner Julka, p. Hipolit Błotnicki. Piérwszy mieszkał osobno w mieście, jako amator poświęcał się malarstwu, i zakochany był w pannie Hersylii, z którą się téż nakoniec w lat kilka potém ożenił. Był to człowiek niezmiernie miły i dobry, z usposobienia podobny do siostry: pełen prostoty, otwarty, łagodny; przejmujący się łatwo i żywo każdém piękném, szlachetném uczuciem, i lubiący zarazem zastanawiać się nad niém psychicznie; co często było powodem do żywych rozpraw czy dysput, w których wszyscy braliśmy udział. Pan Hipolit Błotnicki, uczony literat, tłómacz z oryginału sławnéj powieści Goldszmidta „*Vicaire of Wakefield*,“ odznaczał się spokojem i rozwagą w rozmowie, a zdania jego zawsze wyważone i ściśle określone, w przedmiotach zwłaszcza naukowych, były zwykle wyrocznią i nauką dla wszystkich. A i on téż, jako prawdziwy Mentor, zdawał się mieć w nich zawsze na względzie obecność swojego ucznia, Julka, który ten tylko czas przy herbacie w salonie z matką i siostrami przebywał, i zaraz po niéj do pokoju swego odchodził. Nie ma zda się potrzeby mówić, jak tego rodzaju rozmowy musiały i mogły wpływać na umysły młodych słuchaczy. Julek natenczas jeszcze nie brał w nich udziału, ale z jego błyszczących oczu, z wyrazistéj i ruchliwéj twarzyczki

znać było, jak wszystko co słyszy, rozważa, i czy to w myśli swojéj potwierdza, czy przeczy. W ogólności póki był pod opieką p. Błotnickiego, nie zauważyłem w nim nigdy owego pierwiastku pychy, który potém coraz to częściéj na jaw wychodzić zaczynał, wyrażając się już to głośnym sarkazmem, już ironicznym tylko uśmiechem na ustach. Bolało to zawsze matkę, tém bardziéj, że nigdy cienia nawet ironii i pychy w sercu jéj i usposobieniu nie było. Miało to być w nim podobno, jak mówiono, spuścizną po charakterze ojca, tak jak niezawodnie po matce wziął on nerwową wrażliwość, bujną imaginacyą, i w ogólności usposobienie poetyczne—z wyjątkiem wszakże kochającego jéj serca i zapominania o sobie.

Brak ten już od dzieciństwa czuć w nim zawsze było, przy najszlachetniejszych zresztą uczuciach i zdolnościach nad lata. Osobisty mój z nim stosunek był zawsze na najlepszéj stopie. Widziałem w nim i lubiłem syna jego matki, chociaż wprost dla niego samego nigdy wielkiéj sympatyi nie czułem, podobnie jak do panny Ludwiki Śniadeckiéj; on zaś w przestawaniu z obojętnymi nie dopuszczał się nigdy nic takiego, coby ich dotknąć lub zniechęcić mogło. Przywilej ten zachowywał on wyłącznie dla tych, z którymi albo żyć musiał w blizkich obowiązkowych stosunkach, albo o których wiedział, że go mocno i serdecznie kochali. I nie można téż wcale powiedzieć, żeby on ich wzajem nie kochał; tylko że zawsze kochał po swojemu. W ogólności był w nim jakiś osobliwszy pierwiastek, może nawet niezależny od woli, który wybitną cechę temperamentu jego stanowił. Zdawałoby się że nie mógł znieść długo jednostajnego, spokojnego, choćby

najmilszego stosunku; tak go lubił sam dobrowolnie, bez żadnéj ku temu przyczyny i bez żadnego w tém celu zamącać. Celem chyba było może dla niego, ale i to chyba bezwiednie, że poczuwszy się wreście do winy, (co zwykle następowało, gdy już widział, że dobrze dokuczył), stawał się lepszym w sobie i tkliwszym dla tych samych, w których udręczaniu przed chwilą zdawał się znajdować przyjemność. Bywało tak nieraz i z matką, która w nim tylko i dla niego żyła; ale ja to widziałem najczęściéj w stosunku jego z przybranemi siostrami, z kochającym go szczerze Ludwikiem Spitznaglem, i nakoniec z Józefem Massalskim, który przy nim w r. 1822 miejsce pana Błotnickiego zastąpił. Obie panienki kochały matkę jego jak własną, bo i ona była téż dla nich jak prawdziwa matka rodzona. Julka przetoż pieściły także, jak własnego młodszego braciszka, a i on niemniéj szczerze przywiązanym był do nich. A przecież, ileż to razy widziałem je zalane łzami, gdy im Julek do żywego dokuczył, pewny, że się nie poskarżą przed matką, ażeby jéj przez to nie zmartwić. Zwyczajnym w takich razach pośrednikiem lub sędzią pomiędzy nimi bywał wujaszek jego p. Teofil, który znał go także na wylot i umiał z nim sobie poradzić; ale co biedny Massalski to formalnie nieraz w głowę zachodził. Nazywał go téż żartem „*mon petit diablotin*," a na seryo, mówiąc z przyjaciółmi, przyrównywał go do owego karła w poemacie Waltera Skotta „*The lay of the last Minstrell*" (Pieśń Ostatniego Minstrela), który znajdował rozkosz w dokuczaniu drugim. W Listach moich z Podróży, przytoczyłem o nim jedno zdarzenie, które, acz

drobne na pozór, może jednak dostarczyć niejako klucza do rozwiązania téj dziwnéj rzeczywiście zagadki jego charakteru. Powtórzę tu je więc dla tych, którzy tamtego opowiadania nie znają.

Na początku 1829 r., mając zapowiedziany przyjazd Julka do Warszawy, wynalazłem dlań mieszkanie *gratis* u przyjaciela i dawnego mego kolegi, Tadeusza Hrehorowicza, u którego już przedtém pomieszczałem w tenże sposób Korsaka, gdy do mnie w odwiedziny przyjeżdżał. Gość i gospodarz żyli z sobą w najlepszéj komitymie, choć piérwszy lubił nieraz przekomarzać się drugiemu, z powodu czułostkowéj jego sentymentalności. Na wiosnę, gdy już róże kwitnąć zaczynały, Hrehorowicz wraca do domu trzymając jedną z nich w ręku, i od progu do Julka, który coś czytał leżąc na kanapie, woła z uniesieniem radośném: „Patrz, Julku, jaką śliczną mam różę!“ Na te słowa leżący zrywa się z kanapy; wyrwał mu z ręki różę, potargał, i rzucił na ziemię.

Dla człowieka mniéj łagodnego niż nim był Hrehorowicz, fakt taki stałby się łatwo sprawiedliwym powodem obrazy. Ale on się tylko zadziwił, i odezwał się ze wzruszeniem: „Julku! za co ty mi sprawiłeś tę przykrość?“—Julek jakby się opamiętał w téj chwili; rzucił mu się na szyję, zaczął go całować i ściskać, sam przytém mając łzy w oczach. Przyczyny jednak faktu nie wyjaśnił, i pewnie sam przed sobą nie umiałby z niego zdać sprawy. Był to jak gdyby instynktowy popęd owego jakiegoś pierwiastku, który się w nim od dzieciństwa objawiał, a i w dalszych stosunkach z ludźmi zawsze jakąś rolę odegrał. Ale skoro ów paroxyzm przeminął, był to znów miły, żywy,

wesoły i dowcipny chłopczyk, z którym nawet już wtedy można było z przyjemnością pogadać, dopóki go znów jakaś mucha nie ukłóła. W oderwanych także uczuciach i wyobrażeniach moralnych, był on zawsze czystym, prawym, szlachetnym, a mianowicie nigdy pospolitym. Wobec jednéj tylko panny Ludwiki Śniadeckiéj, którą adorował od dziecka, był zawsze jednostajnie słodkim i uległym; może iż czuł w niéj właśnie ten sam pierwiastek co w sobie, którego bał się podrażnić; czyli, jak mówi przysłowie, że trafiła kosa na kamień. A jednak i ta sama panna Ludwika, która zawsze brała jego obronę, gdy się jéj raz formalnie jak dojrzały kawaler, jadąc obok niéj konno, oświadczył, musiała przyznać przed siostrą, że pycha w nim była nad lata.

W takim to domu i w takiém otoczeniu przebywszy jak gość codzienny kilka lat najpiérwszéj młodości, i świadom zbawiennych wpływów, jakie ztąd na mnie pod każdym względem spłynęły: nie dziw, że i przez całe życie i nad grobem z taką je czcią i wdzięcznością wspominam. Wdzięczność wszakże, właściwie mówiąc, należy się najwięcéj saméj pani domu. Macierzyńska jéj dla mnie dobroć, i ośmielona przez to ufność moja ku niéj, uczyniły ją powiernicą wszystkich moich wyobrażeń, wrażeń i nawet marzeń, a światło jéj i doświadczenie były mi we wszystkiém i zawsze skuteczną przestrogą lub radą. A rozciągało się to nawet i do wierszy, które jéj, przed poznaniem Adama, najpiérwéj zwykle czytałem. W oddaleniu już nawet, gdy się z Wilna do Warszawy na stały pobyt przeniosłem, troskliwa jéj opieka nie przestała czuwać nade mną. W listach zdawałem jéj

sprawę ze wszystkich moich nowych zajęć i stosunków, a nawzajem, dzięki jéj listom, byłem zawsze jak obecny w jéj gronie. Niektóre z nich miewały niekiedy po kilka pół arkuszy objętości, będąc pisane nie od razu, ale sposobem dyaryuszowym, nim się sposobność przesłania takich foliałów znalazła. Nie wszystko téż było pióra jéj saméj. Przypisywały się panienki, kiedy im przyszła ochota; a i wspólni dobrzy znajomi, gdy do niéj przychodzili z wizytą, wzywani nieraz byli do przypisków. Część znaczną owych listów odzyskałem dziwnym jakimś i dotąd mi niewiadomym sposobem. Przed laty trzydziestu odesłano mi je z wielu innemi z Warszawy do Wilna; ale kto odesłał? nic nie wiém. Zapewne przywłaszczyciel innych, jak np. listów Mickiewicza, pisanych podczas jego pobytu w Rossyi, i xiążek, które ja przed wyjazdem z Warszawy za granicę w r. 1829, zostawiłem u Waleryana Krasińskiego, a on wyjeżdżając z kolei, nie wiém u kogo zostawił. Skarb ten atoli dziś dla mnie jest skarbem prawdziwie zaklętym. Ile razy chcę je odczytać, tyle zaraz i takich spotykam w nich wspomnień, że się oczom zaćmiewają litery; a i w téj nawet chwili gdy to piszę, liter suchém okiem nie widzę.

„*Nessun maggior dolore, che ricordarsi*
Del tempo felice“—powiedział Dante. Ale jakżeby smutne było życie człowieka, gdyby spójrzawszy w nie wstecz z po nad grobu, nie miał o czém przypomnieć z żalem!

Ostatni raz po rozstaniu się w Wilnie w r. 1826, widziałem panią Becu w Marienbadzie, gdzieśmy ją odwiedzili z Adamem, w podróży z Karlsbadu do Weimaru, (1829).

Ale żebyś się nie dziwiła, siostrzyczko, że wspomniawszy tu jednocześnie i na równi z nią o pani Balińskiéj, dalszą mowę o téj ostatniéj do późniejszych opowiadań odkładam: czuję się w obowiązku powiedzieć, że właściwa przyjaźń moja z panią Balińską, będąca zawsze dla mnie zaszczytem i chlubą, a świętością po niedawnym jéj zgonie, zaczęła się dopiero we dwadzieścia lat późniéj, gdyśmy z nią sami już prawie w Wilnie z dawnego niegdyś otoczenia naszego zostali. W czasie, o którym tu mowa, towarzystwo jéj tylko dla mnie było zawsze nadzwyczaj miłém i uroczém, co zresztą czuli ci wszyscy, którzy z niego mogli korzystać. Ignacy Domejko powiadał o jéj rozmowie, „że jest to eter, zdolny nawet ocucić z letargu.“ Gdy zaś wspólny przyjaciel, Puttkamer, chciał go z panną Ludwiką poswatać, on po piérwszéj wizycie w tym celu, podziękował mu za tę łaskę. Ale pani Balińska, nowozaślubiona naówczas, nie mieszkała w mieście, lecz w majątku mężowskim pod Wilnem, (Jaszuny), zkąd często, lecz jak gość tylko, przyjeżdżała do domu rodziców. Ja téż wtedy bywałem w nim tylko jako *satelles* rodziny państwa Bekich. Śniadeccy byli zbyt wysoko dla mnie, abym śmiał ich sam przez się odwiedzać; do odwiedzań zaś panny Ludwiki wcale mię nie brała ochota. Nie pisząc tu jéj biografii, nie mam potrzeby tłómaczyć się: dla czego? Być może, iż właśnie dla tego, co w niéj może najwięcéj podobało się Julkowi; co w nich może było wspólnego, a co dla mnie i w Julku nie było powabném: zimna egoistyczna pycha i ciągłe Byroniczne pozowanie na effekt. Nie zastanawiałem się wtedy nad tém, bo mnie to nie obchodziło bynajmniéj. Towarzystwo przyjaciół kolegów

i dom pani Becu wystarczały mi zupełnie do szczęścia. Wzdychałem tylko jeszcze do poznania Adama, a i to miało nastąpić niebawem.

Na drugi dzień Zielonych Świątek, (w Maju 1821), gotowała się wielka filarecka feta. Wszyscy chcieli okazać dowód czci, miłości i wdzięczności dla Tego, który wszystkich w jedność połączył. Za godło tego hołdu uchwalono pierścień złoty z napisem: „Przyjaźń zasłudze," a wręczycielem jego w imieniu wszystkich miał być właśnie Adam, który na dzień ten zapowiedział swój przyjazd. Wszyscy przeto z bijącém sercem oczekiwaliśmy Zesłania Ducha Świętego. Dla mnie jeszcze i z innych względów dzień ten był uroczystszym niż kiedy. W sobotę przyjechali moi rodzice, raz piérwszy od pobytu mojego w Wilnie, aby ze mną święta przepędzić. Na piérwszy dzień panie Becu wybierały się do spowiedzi. Naśladowałem ich przykład, i kommunię świętą przyjęliśmy razem. Po nabożeństwie byłem u Czeczota, i chociaż więcéj może posłyszałem przestróg i napomnień niż nawet u konfessyonału: obiecał jednakże w końcu, że mnie sam jutro Adamowi przedstawi.

W dniu tym, o godzinie 9 rano, wszystkie grona zebrały się w kościele Świętego Jana na mszę, którą celebrował X. Lwowicz. Muzycy nasi, z pomocą Borowskiego i Karszmidta, i z chórem, z naszych śpiewaków i z uczennic Zana złożonym, wykonali muzykę mszalną. O czwartéj po południu wszyscy już mieli się zebrać w miejscu wskazaném za miastem. My *błękitni* szliśmy gromadnie, a Frejent nam przygrywał na flecie. Miejsce to było za Markuciami w górach, gdzie się odbyła niegdyś piérwsza majówka *Promienistych*. Podłużny, prostokątny, śliczny gaik brzozowy

śród pola, stanowił salon zebrania. Nieopodal niższe zarośle służyły mu za bufet i miały podobieństwo koczowiska Cyganów. W okrąg wielkiego ogniska, gdzie się nastawiały samowary, stały konie przywiązane do wozów, które przywiozły z miasta naczynia i wiktuały. Obok dzbanów blaszanych z mlekiem słodkiém i czarnych wysokich garnków z kwaśnem, piętrzyły się stosy mis glinianych i łyżek drewnianych, dostarczonych, również jak mleko, z poblizkich wsi okolicznych. Wyznaczeni gospodarze, z tytułem stolników, zajmowali się wyłącznie materyalną częścią biesiady; atoli część jéj duchowa była główną dla wszystkich. O czwartéj, jak było zalecono, wszyscy już byli na miejscu, i tylko na Adama czekano. Wiedziano, że wyjechawszy z Kowna najraniéj, nie mógł przyjechać piérwéj jak o czwartéj. Malewski oczekiwał na poczcie, aby go prosto ztamtąd przywieźć na miejsce zebrania. Starsi wyszli na jego spotkanie, i mnie Czeczot kazał iść z sobą. Ujrzeliśmy wnet drążki pędzące czwałem, i Malewski powiewał białą chustką w powietrzu, na znak że wiezie pożądanego gościa. Płaskowzgórze od strony miasta kończyło się stromą pochyłością; droga okrążała ją kołem. Drążki zatrzymały się u stóp pochyłości, i obaj przybyli, bez drogi, wspinali się prosto pod górę, gdzieśmy stali czekając na nich. Pamiętam tę chwilę tak żywo, jakbym dziś ją miał przed oczyma. Adam machał czapką w powietrzu, na znak powitania; ale choć już był blizko, i chociaż wzrok wytężałem, twarzy jego z góry dojrzéć nie mogłem. Czeczot przyjął go piérwszy w objęcia, i długo ściskali się nawzajem. Z kolei dawni znajomi witali go niemniéj serdecznie. Ja najmłodszy i nieznajomy stałem na

stronie i byłem ostatni, którego mu Czeczot przedstawił. Rzucił na mnie wzrok przenikliwy, ale wnet uśmiéchnąwszy się łagodnie, zwrócił się do Czeczota i spytał: „Czy to jest Beniaminek-Telemak?“ a gdy Czeczot śmiejąc się potwierdził, podał mi uprzejmie rękę, i także z uśmiechem zapytał: „A Mentor czy zawsze tak gdérze?“ Nie odpowiedziałem ani słowa, tak byłem strasznie zmieszany i tak mnie wzrok jego przeniknął.

Są rzeczy, droga siostrzyczko, które tak się nie kwalifikują do prozy, jak niektóre inne do poezyi. Do takich należy wrażenie, które na mnie widok jego uczynił, i w ogólności każde żywsze uczucie serca, czy się zwać będzie miłością, czy przyjaźnią. W obu razach mówić o niém przed obcymi na zimno, niepodobna; gorzéj jeszcze, chcieć je w słowach malować; a zaś może najgorzéj, gdy przedmiot tego uczucia stoi tak wysoko, że mówiąc choćby tylko o uwielbieniu dla niego, jeszcze się można spotkać z posądzeniem, że się to czyni dla chluby swéj własnéj. Ze wszystkich tedy tych względów, siostrzyczko, odstępuję w tym razie od metody, którą zachowywałem dotąd w opowiadaniach niniejszych, mówiąc szerzéj o początku i rozwijaniu się stosunków z innymi moimi przyjaciółmi. Że jednak i w tym razie trzeba przecięż coś o tém powiedzieć, wolę posłużyć się wyjątkiem z własnego mojego wiersza, który niegdyś z okoliczności czasowéj, i w tym przedmiocie wyłącznie, napisałem przed 50 laty w Dreznie, do wspólnego przyjaciela naszego, Antoniego Goreckiego, a który to wiersz, z różnych powodów, po śmierci mojéj dopiéro w całości chyba kiedyś ogłoszony będzie. Tytuł jego jest: „*Mój Płaszcz*,“

a wyjątki, które zamierzam przytoczyć, obejmują w streszczeniu peryod stosunku od piérwszéj chwili poznania do wyjazdu Adama z Wilna w r. 1824. Oto jest sam początek i wyjątki:

Śmieją się z płaszcza mojego i ze mnie,
Czemu jaskrawéj barwy nie pociemnię,
Czemu go skroić nie dam po nowemu?
Czemu?—bo nie chcę;—tak mówię każdemu.
Lecz ty przyjaciel, poeta!—ty zwłaszcza
Coś pisał wiersze do swojego płaszcza,
I gdy się moim z hiszpańska obwinę,
Znajdujesz we mnie „poetycką minę;“
Ty chcesz znać jego tajemne zalety.
Powiém—lecz słuchaj uczuciem poety,
Patrz z jego wiarą!—przed któréj oczyma,
Proch ziemi świętéj, z biednych szat pielgrzyma,
Przed blaskiem słońca otrząśniony, zdoła
Promienistego przybrać kształt anioła.

Wiész ty ten dywan czarnoxięzkiéj mocy,
Co w snach rozkosznych, długich, wschodnich nocy,
Młodą myśl naszą, jak maleńkie dziecię
Kołysząc, nosił po nieznanym świecie?

Wiész ty to w baśniach urocze zwierciadło,
Co gdy je serca uczucie zagadło,
Wnet w niém, jak z góry, w otchłaniach przezroczy
Luba się postać jawiła przed oczy?

Owóż ten płaszcz mój dla mojego serca,
Mam moc zwierciadła tego i kobierca.
Kiedy nań patrzę, zda się, że obleka
Kształt najmilszego mi w życiu człowieka;
Kiedy go wdzieję, myśl moja ulata
Po różnych stronach zwiedzonego świata!...

Cóż to? poeto! Wzrok twój nie dowierza?
Spytaj więc myślą młodego rycerza,
Gdy przywdział dawną bohatera zbroję;
Spytaj kochanka, gdy przez ramię swoje,
Daleki, szarfę kochanki przewiesi.
Spytaj!—odpowiedź niewiarę zawstydzi—
Czy się duch w obu płomieniem nie wskrzesi,
Czy ten kochanki, ten bitwy nie widzi?

Lecz płaszcz mój? spytasz.—Równe ma zalety.
Krył on pierś niegdyś wielkiego poety,
Pierś gorejącą jak krzak na Synai,
W którym się Bóstwo objawia i tai.

W nim on, współpielgrzym w poetyckiéj ziemi,
Szedł, czuł i myślał przed oczyma memi.
Cziłem go nieraz jak ów płaszcz proroka,
Gdym drżał przed słowem natchnioném z wysoka.
Aż on sam wreście, przed smutném rozstaniem,
Z ostatniém słowem i pocałowaniem,
W uścisku bratnim okrył nim me ramie...

Zgadłeś!—w twych oczach lśni myśl o Adamie.—
O! ty go kochasz!—

Pomnę ja dzień owy,
Gdy go od swoich brano na rozstanie.
Czekały straże, wóz już stał gotowy,
On ze mną poszedł na twe pożegnanie.—
Wtedy żal piérwszy dumne serce przemógł,
Widział łzy nasze—i swych ukryć nie mógł.
A chęć ofiary twéj wonczas, i słowa,
Jak skarb on dotąd wdzięcznie w duszy chowa.

Ty znasz tę duszę, ten jéj niepojęty
Urok, co zda się tajemnemi pęty,
Ciągnie jak przepaść;—znasz to smutne oko,
Co gdy się w tobie zaduma głęboko,

Tonie w twéj duszy jak perła śród fali,
Albo się nad nią jak meteor pali,
Aż zadrżeć musisz, abyś śród jéj ciemnic
Sam jakich strasznych nie dójrzał tajemnic;
A w nim—jak gdybyś czuł ducha przez ciało!

Ach! ty wiész, jak go me serce kochało,
Czém on był dla mnie!—

I nie traf to zdarzył.
Dzieckiem ja w myślach miałem objawienie,
Czarny, wysoki człowiek mi się marzył,
I patrzał we mnie;—czułem to spójrzenie.
Gdym co źle zrobił, czułem, że on wiedział,
I gdym się łzami pokuty zalewał,
Nie śmiałem mówić—nigdym nie powiedział,
Że się mój czarny człowiek we mnie gniewał.
Lecz gdym się we dnie modlił, uczył, czytał,
On—ta nadzieja była mi podnietą—
Przychodził we snach, i mówił gdym spytał:
„Módl się, ucz, kochaj! możesz być poetą.“
Sen mara! wiém to;—lecz w Bogu opieka!
A biada duszy, jeśli zwątpi sama!—
Szukałem w życiu mojego człowieka—
Wierzysz?—ten człowiek miał oczy Adama!
Może błąd?—może!—nie żądam odkrycia,
Straszno jest zgłębiać tajemnice życia.
Dość, że sam wierzę;—bo i cóżby znaczył
Ten święty przestrach, kiedym go zobaczył?
Blask jego sławy był jeszcze przed wschodem,
Wietrzno mi jeszcze było w sercu młodém;
Tłum nas był razem na biesiadzie bratniéj—
On przybył z Kowna, i przyszedł ostatni.

Pomnę tę chwilę piérwszego poznania.
Był to dzień Ducha Świętego Zesłania.
Pomnę, jak wiarą dziecinną przejęty,
W kościele zrana, w pokorze i skrusze,
Śmiałem się modlić, aby jak Duch Święty,
Ogień natchnienia zstąpił na mą duszę.

Byłżem wysłuchan?—Zuchwałe poczucie!
Lecz gdym go ujrzał—z pod posępnych powiek
W piérwszym wnet na mnie oka jego rzucie,
Ranna modlitwa i mój senny człowiek
Na myśl mi przyszły;—mimowolne drżenie,
Jak dreszcz gorączki po członkach mi przeszło;
Spuściłem oczy—a jego spójrzenie
Jak smug mgły zimnéj w pierś mą zda się weszło.
Przemówił—słowa nie rzekłem wzajemnie.
Gwar wszystkich myśli nagle umilkł we mnie,
Jak głos skowronków przypadłych do ziemi,
Kiedy cień orła przelata nad niemi.

Długo tak było;—młodzi rowiennicy
Śmiejąc się, z mego żartowali sromu.
Jam nieraz chodził po jego ulicy,
I patrząc w okna, nie śmiał wejść do domu.
Lecz on mnie odgadł:—wszędzie piérwszy witał,
Nigdy nie spotkał, by o coś nie spytał.
Mówili drudzy—jam choć się nie chlubił,
Ja sam téż czułem, że i on mnie lubił,
Że mnie ośmielał;—aż przyszła godzina,
Co nowe pasmo dni moich zaczyna.

Szóstego Marca—o! któż nie pamięta
Choćby jednego swoich wspomnień święta?—
Przyszedłem zmierzchem—sam jeden był w domu.
(Czas to był właśnie kiedy pisał *Dziady*,
Lecz dotąd znane nie były nikomu).
Przyszedłem—dumał posępny i blady.
Blask tylko z pieca twarz jego oświecał,
Gdy sam nie myśląc ognisko rozniecał.
Chciałem się cofnąć—lecz skinął, by zostać.
Nigdy twarz świętszym nie tchnęła wyrazem.
W cieniach przed ogniem, wiotka jego postać
W oczach mi duchów ćmiła się obrazem.
Patrzałem długo, nim spójrzał wzajemnie.
Zbliżył się—ręką rozgarnął mi włosy.
„Nie prawdaż? smutno będzie ci beze mnie?“—

Rzekł, a te słowa, jak łzy zimnéj rosy,
W serce mi wpadły—bo zgadłem co znaczą.
„Nie wielu po mnie tak jak ty zapłaczą,
„Wiém.“—Słuchać daléj nie miałem już siły.
Jam go tak kochał!—łzy mi się rzuciły,
I on mnie długo całował ze łzami.

Dziwna w méj duszy nastała odmiana.
Wszelka nierówność znikła między nami.
Z nim tylko odtąd, do zmroku od rana,
Z nim byłem tylko szczęśliwym, swobodnym,
Natchnienie pieśni wzmogła żądza chwały,
Nie by mu zrównać, lecz by go być godnym,
A jego rady lot mój kierowały.

W szesnastym roku, życie jak u wschodu,
Dusza przed światem, jak lękliwe dziecię,
Co już na progu, we drzwiach do ogrodu,
Wejść jeszcze nie śmie—a tam wszystko w kwiecie!...

On jak brat starszy wsparł mię swoją dłonią,
Wiódł mnie, i kwiaty wskazywał przede mną;
A gdym się przy nim upajał ich wonią,
On patrząc na mnie, uśmiéchał się ze mną.
Uśmiech był smutny;—wiedział on, zbyt wcześnie,
Co się stać musi z kwiatami i życiem,
Lecz szczęśliwszego nie budził mię we śnie.
Z nim kwiat mi żaden nie zwiądł przed rozwiciem.
Z nim młodość moja, pogodna i wdzięczna,
Przeszła jak jedna noc młodomiesięczna,
Com z nim w Kowieńskiéj przepędził dolinie.
Niebiosa w gwiazdach, w kwiatach smug był cały,
Zdrój szumiał w głębi, słowik brzmiał w gęstwinie,
Wszystko mniéj piękne, cienie zakrywały;
Ja, choć iść było nad przepaścią ciemną,
Szedłem nie myśląc—bo On szedł przede mną...

A teraz wracam, siostrzyczko, do chwili, na któréj to opowiadanie przerwałem—do biesiady w gaju brzozowym. Pan Tomasz, równie jak Czeczot, długo ściskali się z Adamem, śród koła otaczających kolegów. Nastąpiło wręczenie pierścienia. Adam przemówił z natchnienia, ale prozą, wymieniając nie szereg zasług, ale naturę wpływu Zana na braci, i spodziewane ztąd na przyszłość owoce. Zaszczyt wyboru siebie na oddawcę pierścienia przypisał jedynie temu, iż wszystkim wiadomo o tém, jak on go szczerze i serdecznie kocha. Po piérwszych chwilach ogólnego wzruszenia, Kułakowski wystąpił z wieńcem z liści dębowych, i chcąc go niby włożyć na skronie jubilata, obyczajem trefnisia przy tryumfalnych niegdyś obchodach w Rzymie, w wesołym żartobliwym jambie wyliczył cały szereg wad jego: zbyteczną pobłażliwość i słabość dla drugich; niepoznanie wartości własnéj; i t. p. Ofiarował zaś wieniec w tym celu, aby jak Cezar łysinę, pokrył nim słuszny wstyd za nie. Jamb ten dał hasło wesołości ogólnéj, manifestującéj się w różny sposób, przy odgłosie choralnych pieśni i akompaniamencie fletu Frejenta, który w końcu zagłuszyły słowiki, gdyśmy już w nocy przez lasy po xiężycu wracali do miasta.

Nie mam zda się potrzeby dodawać, że dla mnie—a i nie tylko dla mnie, lecz i dla wszystkich młodszych błękitnych kolegów, którzy go dotąd tylko z poezyi znali,—Adam był jakby słońcem biesiady, ku któremu grawitowali wszyscy. Przedstawiono mu téż ich po kolei, a mnie Czeczot kazał przed nim powtórzyć téż wiersze, które rok temu raz piérwszy, w tém samém prawie miejscu, przed nim samym deklamowałem. Były to wszystko jeszcze elukubracye

Boruńskie, i jużciż jako takie nie zostały osądzone surowo. Adam owszem rozpytywał mnie czego się uczę, i mianowicie zachęcał do uczenia się po łacinie, kiedy już nie mogę po grecku, i do wczytywania się w Kochanowskich i Trembeckiego, aby na nich styl i język wykształcić.—Zresztą przez cały ten czas pobytu jego w Wilnie, (który trwał tylko do Niedzieli), chociaż go widywałem codziennie, nie przypominam sobie nic takiego, coby zasługiwało na szczególną wzmiankę. Ogólne tylko wrażenie pozostało takie, iż ujęty jego dobrocią, pokochałem go osobiście, serdecznie, i że odtąd w marzeniach i myślach moich, stał się on dla mnie prawdziwie człowiekiem przeznaczenia, jakim w istocie na całe życie pozostał.

To téż gdy po wakacyach we Wrześniu przybyłem na powrót do Wilna, a on już mieszkał z Czeczotem, mając całoroczny urlop dla zdrowia: nie dziw, że korzystając z przywilejów Telemaka, a z łaski i względów Mentora, starałem się być jak najczęstszym ich gościem, a nieraz i nocleżnikiemn na wązkiéj i twardéj kanapce, aż zamieszkałem całkiem w celi tuż obok, z kolegą Ptaszyńskim, i nastąpił nakoniec ów szósty dzień Marca, o którym w wierszu jest mowa.

Szczęśliwszego ode mnie w całym tym roku szkolnym, trudnoby może było znaleźć wtedy na świecie. Śród tylu, takich, i tak kochanych, nie było ani jednego człowieka, któregobym nie lubił, o którymby myśl lub wspomnienie było chmurką na błękicie mych marzeń; a zaś z dawniéj ukochanych od dziecka, ani jeden był jeszcze nie ubył. Na domiar wreście czary tych upojeń, przyszła z kolei i poezya, i piérwszy świt sławy autorskiéj.

Po kilku piérwszych podskokach Pegaza, połechtanego bodźcem Borowskiego, i po usłyszeniu piérwszych poezyi Adama, Muza moja tak się jakoś była zalękła; tak czuła się upokorzoną przez same te nawet pochwały, które jéj odznaczenie Borowskiego zjednało; że zamiast piąć się na publiczną estradę, cofnęła się owszem i zamilkła. Postrzegłem w sobie tyle niedostatków, że postanowiłem je najprzód zapełnić; a chociaż może większa część dobrych chęci w tym względzie odpadła do kategoryi owych, któremi, według przysłowia, „piekło brukowane;“ zawsze przecięż gorliwsze uczenie się po niemiecku i piérwsze syllabizowanie po angielsku, obok czytania i lekcyi uniwersyteckich, nie zostawiały czasu na pisanie wierszy, zwłaszcza, że jużciż każdą wolną chwilę wolałem raczéj poświęcić na czerpanie poezyi żywéj: w towarzystwie kolegów, lub w domu państwa Bekich. Ale z przyjazdem Adama powróciła dawna pokusa. Pisało się więc to i owo; ale mimo *laudesów* za szczegóły, całość żadna jego sądu nie przeszła. Tymczasem między xiążkami professora Spitznagla znalazł się jakiś stary exemplarz poezyi niemieckich Bürgera, który mi Ludwik darował. Zabrałem się do czytania ich z dykcyonarzem, choć jest to dziwnie zły przewodnik poetycznych wrażeń pomiędzy xiążką a czytelnikiem. Mimo to „*Dziki Myśliwiec*“ (der wilde Jäger), tak mi się niewymównie od samego początku podobał, że nie mając już cierpliwości zaglądać do dykcyonarza, przeczytałem go jednym tchem aż do końca, i chociaż ledwo piąte przez dziesiąte zrozumiałem, zerwałem się do tłómaczenia początku. Alić zaledwo wytłómaczyłem strof parę, z których sam byłem nadzwyczajnie kontent; nie wiém, czy

ze wzruszenia, czy ze zbytniego natężenia myśli, dość, że mnie porwał nagle gwałtowny ból zęba. Była już godzina dziesiąta wieczorem. Kilkanaście strof już zrozumianych tak mnie gwałtem do przekładu nęciły; tak czułem, że w téj chwili miałbym siłę po temu; że nie namyślając się długo, skoczyłem do felczera, który mieszkał w pobliżu, aby mi natychmiast ząb wyrwał. Nim się przybrał do operacyi, już strofa trzecia złożyła się w myśli; a że się operacya udala: radość z pozbycia się bólu wyraźnie widać dodała mi weny, tak, że gdy północ biła z wieży Święto-Jańskiéj, już wszystkie zrozumiane wprzód strofy były gotowe w przekładzie, i zawsze z zadowoleniem tłómacza. Nie chciałem więc ustać w pół drogi; ale co począć ze strofą następną, którą już ledwo przez pół rozumiałem? Trzeba więc było znowu wziąć się do dykcyonarza. A była to istna męka Tantala. Zaledwo więc zrozumiałem tę strofę, wytłómaczyłem ją wnet piérwéj, nim się wziąłem do zrozumienia następnéj. I w tén sposób, strofa po strofie, przed końcem nocy byłem już prawie u końca. Reszta już widać sama złożyła się we śnie; bo gdy się obudziłem nazajutrz, tak ją zda się miałem w pamięci, że bez żadnego prawie wysilenia myśli napisałem ostatnich strof parę, jakbym je tylko przepisywał na czysto. Cała więc ta robota mogłaby literalnie nazwać się, jak to mówią: „od bolenia zębów.“ A przecież jest to kamień węgielny mego autorstwa, ha! i kto wié, siostrzyczko, czy nie symbol jego? Ale gdy go po oszlifowaniu na prędce, tegoż dnia po południu Adamowi przyniosłem: on, wysłuchawszy bez przerwy do końca, powstał z żywością z miejsca, i ują-

wszy mnie za ramiona, z widocznem ukontentowaniem zawołał: „Teraz to już ja sam podam to do druku;“—bo dotychczas zawsze mi drukowanie odradzał, i dla tego téż wszystko, co było napisane przedtém, spaliłem.

W Kwietniu 1822 „*Myśliwiec*“ wyjechał na świat w *Dzienniku Wileńskim*, w ktorym miesiącem już piérwéj wynurzyła się była „*Świteziánka*,“ która piérwsza w literaturze polskiéj inaugurowała tytuł: *ballady*, i na tęczowe tonie romantyzmu, jak kochanka na fale Świtezi, czytelników wabić zaczęła. Utwór zatém Bürgera podobał się także; i gdy ze świąt Wielkanocnych powróciłem do Wilna, Adam piérwszy powitał mnie wieścią, że trąbka zaklętego Myśliwca imię moje szeroko rozgłasza. Przekonałem się o tém sam przez się z ust każdego ze spotkanych moich kolegów, i co większa, z ustek panieńskich; gdy zaś we dwa tygodnie późniéj przedrukowano go w „*Bibliotece Polskiéj*“ w Warszawie, Pegaz mój kopnął z kopyta, i „hop, hop, hop!“ jak rumak w balladzie, zaczął hasać, jak nigdy dotąd [1]).

[1]) To „*hop*“ jest tu umyślnie dla tego, aby mieć przez to assumpt do opowiedzenia ci choć w przypisku, siostrzyczko, drobnostki wprawdzie, ale poetyckiéj, a przytém wykazującéj jasno, w jaki sposób wpływ piszących współcześnie, nieraz bezwiednie oddziaływa nawzajem. Na początku 1824 r. medytując rad nie rad w Karmelickiéj celi, w bardzo smutnym i przygniecionym humorze, dostałem numer „*Biblioteki Polskiéj*“ Dmóchowskiego, z dumką Bohdana Zaleskiego „*O Hetmanie Kosińskim.*“ Wpływ jéj na mnie był czarodziejski. Zapomniałem o celi i klauzurze, i jakbym wskoczył na koń po za siodłem Hetmana, cwałowałem z nim

Wszystkie prawie te elukubracye ówczesne weszły potém w zbiór moich ramot. Gdy zaś jedną z nich, „*Strachy*,“ raz piérwszy głośno przed Adamem czytałem, a siedzący w drugim pokoju Jeżowski, (który mieszkał téż u Czeczota), parsknął od śmiechu słuchając: Adam zawsze powtarzał potém, że nikomu nie zazdrości tyle co mnie tryumfu poezyi, żem Jeżowskiego wierszami rozruszał.

Ale i poetyczna działalność samego Adama nie była

zda się po stepie. Nauczywszy się więc dumki na pamięć, posłałem ją wnet Adamowi, a potém i do innych konwentów, gdzie wszędzie również ożywcze wywołała wrażenie; ja zaś tegoż jeszcze wieczoru, na zebraniu kolegów-sąsiadów, przeczytałem wesołą piosnkę na tęż nutę, która się dotąd tu i ówdzie powtarza. Za poznaniem się więc z Bohdanem w Warszawie, w roku następnym, podziękowałem mu za ten obrok duchowéj pociechy, którym nas wszystkich wtedy tak cudownie pokrzepił. On śmiejąc się odpowiedział mi na to iż powinienbym raczéj najpiérwéj samemu sobie dziękować A oto jest słowo zagadki. Bohdan w téjże „*Bibliotece Polskiéj*“ wyczytawszy kiedyś raz piérwszy ów mój przekład „*Myśliwca*,“ tak był porwany kompozycyą Bürgera, że nie mógł wybić sobie między innemi z pamięci tych wierszy:

„I hop, hop, hop, rumak skory
Hasa, leci, śród trąb wrzawy,
Z dolin w doły, z gór na góry,“ i t. d.—

aż nakoniec, żeby się ich pozbyć z myśli, wsadził na owego rumaka swojego Hetmana w dumce, zacząwszy ją od wykrzyknika:

„Hop, hop, cwałem, koniu wrony!“

P. A.

też w tym czasie bezczynną. Napisał wiersz do Lelewela, z okoliczności otwarcia przezeń kursu Historyi Powszechnéj w uniwersytecie Wileńskim; wykończał czwartą część *Dziadów*, i przygotowywał inne materyały do zamierzonego wydania dwóch piérwszych tomów swoich poezyi. Wydaniem tém wyłącznie zajmował się Czeczot, a mnie przybrał za adjutanta. Z polecenia więc jego udałem się do Zawadzkiego, proponując mu nabycie rękopismu na wieczność, za opłatą stu dukatów pieniędzmi i 50 exemplarzy w naturze. Zawadzki wziął rzecz do namysłu; ale po tygodniu, i po naradzeniu się zapewne z Szydłowskim, odmówił. Notabene, rękopism tomu piérwszego miał w ręku do rozpatrzenia. Natenczas postanowiono ogłosić prenumeratę, (rubla za exemplarz), która przyniosła we dwójnasób tyle, co od Zawadzkiego żądano, i własność dzieła przy autorze została.

Najcięższą i najprzykrzejszą dla niego pracą było przepisywanie rękopismu, i to nie wprost jeszcze do druku, ale dla Czeczota i dla mnie, którzy dopiéro z tego przepisywaliśmy na czysto. To też mawiał: „że z wierszami jak z dziećmi; najtrudniéj jest myć je i czesać.“ Kiedy więc przyszło z kolei do przepisywania *Grażyny*, którą przytém miał jeszcze i poprawiać, najął sobie od Kwietnia, na ostatni kwartał przed wakacyą, osobną stancyjkę, na Bernardyńskim zaułku, do któréj i ja się z nim dla kompanii przeniosłem. Był to dla mnie kwartał najrozkoszniejszy w całym tym roku szkolnym. Gdybym zaś miał pisać pamiętnik, a nie li tylko moje osobiste i poezyi tylko tyczące się wspomnienia, wiele byłoby do powiedzenia o świetności Wilna w ciągu téj zimy. Dla uniwersytetu atoli, a zatém i dla uczniów jego, najważniejszym

wypadkiem było przybycie Xięcia Kuratora, (Adama Czartoryskiego). Imie jego było zawsze we czci ogólnéj, a do tych jego odwiedzin wiązało się wiele świetnych nadziei, tak ogólnych, jak i pojedyńczych osób. Między innemi, Adam i Jeżowski mieli być wysłani za granicę kosztem uniwersytetu. Przedstawiono ich obu Xięciu, a ojcowskie przyjęcie, jakiego doznali, wywarło ożywiający wpływ na całą młodzież. Nieszczęśliwe okoliczności następne zniweczyły te piękne nadzieje; ale wtedy cieszyliśmy się niemi wszyscy serdecznie.

Tu przychodzi mi na myśl wspomnienie, kwalifikujące się jużciż do poetyckich, bo odnoszące się do poety, a które jakkolwiek drobne, może przecięż posłużyć za wskazówkę różnicy w uczuciach i usposobieniu pomiędzy literacką młodzieżą ówczesną w Wilnie, a gdzieindziéj; o czém ja sam przez siebie przekonałem się dopiéro poźniéj, stawszy się mieszkańcem Warszawy.

W orszaku xięcia Kuratora był też poeta, Karol z Kalinówki (Sieńkiewicz), który chociaż wychowaniec Krzemieńca, uchodził w oczach naszych za warszawskiego poetę; bo i przybył z Xięciem z Warszawy, i wiedzieliśmy, że właśnie w Warszawie drukuje się jego przekład poematu Waltera-Skotta: „*Pani Jeziora.*“ W owym czasie, gdy tłómaczenia składały główny, jeśli nie cały zasób poezyi naszéj, przekład poematu większych rozmiarów, sławnego naówczas autora, dokonany wprost z angielskiego oryginału, chociaż prozą tylko a nie wierszem, dawał już tłómaczowi patent na sławnego poetę, za jakiego Sieńkiewicz uchodził w Warszawie, i w aureoli téj sławy przyjechał do nas do Wilna. Nie dziw więc, że chcie-

liśmy obaczyć go choć zdaleka, nie mniéj może jak samego xięcia Kuratora. Adam poznał się z nim będąc u xięcia, i zaraz po piérwszém widzeniu, obiecał mnie i Olesiowi, że nas zaprowadzi do niego. Cieszyliśmy się na to serdecznie. Tymczasem Adam, po osobnéj wizycie u niego, ani słowa już więcéj nie wspominał nam o tém. Dziwiło to nas i martwiło, aleśmy się upominać nie śmieli. Alić razu jednego, idąc z nim razem ulicą, widzimy, że jakiś pan nieznajomy, elegancko ubrany, idzie na przeciw nas bokiem, ale ujrzawszy Adama, zwraca się prosto ku niemu. Adam zawołał na nas prędko i stanowczo: „Idźcie sobie, i nie oglądajcie się!“ Poszliśmy więc, ale nie mając za sobą żadnéj Eurydyki, ani się bojąc losu żony Lota, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, obejrzeliśmy się owszem ciekawie. Adam stał i rozmawiał z tym panem. Dowiedzieliśmy się późniéj od niego, że to był właśnie Karol z Kalinówki; ale że nam i przy tém nic o wizycie do niego nie wspomniał, musieliśmy się wyrzec nadziei poznania „warszawskiego, sławnego poety.“ O przyczynie nie wiedzieliśmy zgoła. W wiele dopiéro lat późniéj, Adam powiedział mi ją w podróży, z powodu mowy o poetach i literatach warszawskich. Przyczyną zaś było to: że gdy mu Adam, za bytnością u niego, zapowiedział prezentacyą dwóch swoich młodych przyjaciół, piszących wiersze: on to przyjął tak obojętnie, i tak *du haut de sa grandeur;* że Adam uczuł się tém dotknięty, i chociaż potém Sieńkiewicz sam dopominał się o nas, uparł się i postawił na swojém, że już nas nie zaprowadził do niego. Nie mówił zaś nam wtedy nic o tém dla tego, żeby nie wzbudzać w nas niemiłego uczucia, którego widać sam na

sobie doświadczył. Dodać tu wszakże winienem, że gdy w lat kilka potém, razem z Juljanem Korsakiem, byłem przez parę tygodni gościem w Puławach, u Xiężny Jenerałowéj Ziem Podolskich, Sieńkiewicz, który tam był bibliotekarzem, tak się okazał uprzejmym i życzliwym dla nas, że mi na zawsze miłe pozostawił wspomnienie.

Wspomniawszy nawiasowo imię Juljana Korsaka, przychodzę właśnie do czasu, w którym znajomość jego i przyjaźń była dla mnie najważniejszym wypadkiem. Liczę ją do najdroższych skarbów i wspomnień mego życia. Stosunek jego ze mną, miał wiele podobieństwa do mojego z Adamem. Nikt drugi tak mnie nie kochał; ale i ja téż dla nikogo drugiego nie byłem takim, jak się on sam wyrażał, „człowiekiem przeznaczenia.“ Ufam, że mię nikt przecięż nie posądzi o takie głupstwo, iżbym to mówił dla jakiéjś przechwałki. Nie wynikło to bowiem ani z woli mojéj, ani z żadnéj jakiéjbądźkolwiek wyższości; ale tak widać zrządziła Opatrzność. Sądzę nawet, że każdy człowiek w swém życiu miał kogoś takiego dla siebie, i był sam takim dla kogoś. A były w tém i okoliczności przechodzące za obręb racyonalnych przyczyn. Wykaże to opowiadanie dalsze. Ja przytoczę tu tylko słowa Kochanowskiego:

„A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, i nie zdoła nigdy *w to* ugodzić.“

Kalendarzowy rok 1822 był dla mnie w drugiéj swojéj połowie równie boleśnym i żałobnym, jak w piérwszéj szczęśliwym i uroczym. Podczas wakacyi straciłem matkę, i przebyłem sam niebezpieczną gorącz-

kę. W skutek tego, w późnéj ledwo jesieni mogłem przybyć z powrótem do Wilna, dla słuchania trzeciego kursu *utriusque Juris;* chociaż Bogiem a prawdą, z dwóch piérwszych nie zbyt wiele odniosłem korzyści. Zamieszkałem wprost u Czeczota, zastępując miejsce Adama, który już był od Września do Kowna na obowiązek powrócił. Do smutnych wspomnień przywiezionych z domu, widok opustoszałych po nim kątów, dodał taką dozę tęsknoty, że pomimo usiłowań i pracy, poskromić jéj w sobie nie mogłem. Całą moją pociechą był dom pani Becu, gdzie téż najprzód poznałem Korsaka.

Przed przyjazdem jeszcze do Wilna, wiedziałem już z listów przyjaciół, że się znaleźli dwaj nowi poeci, których imiona Borowski publicznie na lekcyi wymienił. Byli to: Juljan Korsak, jako tłómacz ód Horacyusza, i Józef Massalski, jako bajkopis. Byłem więc ciekawy ich poznać, i zaraz piérwszego dnia po przybyciu poznałem się z Massalskim, który od początku roku szkolnego, po odjeździe pana Błotnickiego z orszakiem xięcia Kuratora, miejsce jego przy Julku zastąpił. Starszy może o lat parę ode mnie, żywy, wesoły, dowcipny, a przytém ładny chłopiec, w całém słowa tego znaczeniu, przypadł mi on od razu do serca; chociaż stosunek z nim, zawsze najmilszy i najlepszy, nigdy tonu głębszego uczucia ani duchowéj amalgamy nie przybrał. Wstępowałem więc zwykle do niego, idąc do pani Becu wieczorem, aby razem zejść na herbatę. Raz wchodząc, widzę kogoś w mundurze uniwersyteckim, (co było rzeczą wcale niezwyczajną), który, gdym wchodził, słyszałem, że coś deklamował z zapałem. Massalski swoim zwyczajem zaśmiał się

serdecznie i głośno, i wskazując na mnie zawołał: „Otóż i *lupus in fabula!*“—i następnie zwracając się ku mnie, przedstawił mi go jako Juljana Korsaka. Podobał on mi się od razu z dziwnie dobrodusznego wyrazu twarzy, i gdy go witałem serdecznie, on tak jakoś nieśmiało i z takim jakby respektem zdawał się podawać mi rękę, że to na mnie zrobiło wrażenie. Podwoiłem więc moję uprzejmość, a on tak przez nią zdał się być ujęty, że przy pożegnaniu, wychodząc, pocałował mnie bardzo czule, nie w twarz, ale w ramię. Była to dla mnie rzecz zupełnie nowa, i nie powiém, żeby mnie téż nie ujęła nawzajem. Pokazało się, że gdym wchodził, on deklamował właśnie wyjątki z nowo-drukowanego tłómaczenia mego ballady Bürgera, p. t. „Wierność,“ nad któréj miarą zwłaszcza się unosił. A i to także, wyznaję, pociągnęło mnie wielce ku niemu. Miara ta bowiem, a raczéj kombinacya jéj w strofie, (wiersza 12-sto-zgłoskowego z 9-cio-zgłoskowym), jest czysto moim wytworem. Nie przejąłem jéj od nikogo, a szukając nawet potém umyślnie, nie znalazłem jéj w nikim przede mną; natchnął mi ją zaś szum wiatru w lesie, gdzie właśnie zaczynałem tę balladę tłómaczyć.

Nazajutrz, ledwo wstałem, Korsak przyszedł do mnie; — i stosunek rozpoczął się na dobre, trzymany zawsze w tymże tonie z obustron. Trwało to już z parę tygodni, gdy dnia jednego, w końcu Listopada, wieczorem, kiedy on właśnie był u mnie, otrzymałem sztafetę z domu z wiadomością, że ojciec mój zachorował nagle, i chce, żebym zaraz przyjechał. Nie było więc chwili do stracenia; a że biuro pocztowe było już zamknięte i *podorożnéj* wziąć nie można było: trzeba się było udać do furmana żyda, który téż w parę

godzin potém zajechał po mnie wązką, drabiastą, płócienną, to jest zwykłą żydowską budką, słomą tylko wewnątrz wysłaną. Było już po dziesiątéj w nocy. Noc ciemna choć oko wykól; wiatr, chłód, słota, jak zwykle w Listopadzie; a w perspektywie całonocna, bezsenna, siedmiomilowa podróż do Oszmiany, gdzie konie z domu miały czekać na mnie. Korsak, który był ciągle ze mną przy szukaniu i najęciu furmana, dopomógł mi wdrapać się do budki, ale zamiast się ze mną pożegnać, widzę, że i on także winduje się do niéj. Wiedziałem, że mieszka po drodze; sądziłem więc, że chce tylko dojechać do siebie. Ale on mi oświadcza stanowczo, że w takiéj nocy i w takiém usposobieniu, jak moje, nie może mnie puszczać samego. Odbyliśmy więc razem tę podróż; a cóż za dziw, że się stała zawiązkiem przyjaźni, któréj w uczuciu mojém śmierć nawet jego zgasić nie zdołała?

Ale że napomknąłem wyżéj o prowidencyonalném zrządzeniu i sam śmiałem się nazwać człowiekiem przeznaczenia dla niego: korzystam tu z prawa dygressyi, które z góry sobie w tych opowiadaniach zastrzegłem, aby ci opowiedzieć, siostrzyczko, odnoszące się ku temu zdarzenie, które dla mnie samego jest zawsze bardzo ważną i ciekawą zagadką w życiu, a któréj rozwiązać nie umiem.

W piętnaście lat od czasu, na którym opowiadanie przerywam, t. j. w roku 1837, powróciwszy z zagranicy do domu na wieś, wybrałem się wraz z żoną do domu jéj brata, gdzie zebrana cała rodzina oczekiwała naszego przybycia. Liczne grono wyszło na nasze spotkanie na ganek. Łatwo pojąć, że w takiéj chwili o niczém i o nikim innym myśleć nie mogłem, jakoż i nie myślałem bynajmniéj.

Tymczasem w gronie spotykających postrzegam jakąś śliczną, nieznajomą panienkę, i w téjże chwili głos jakiś—nie myśl moja, ale głos; głos we mnie, ale cudzy i wyraźny, jakbym go słyszał przez ucho — mówi do mnie sposobem szeptu: „To żona dla Juljana.“ Nie umiem wypowiedzieć, jak mnie ten głos przeraził i zmięszał. Słowa nie byłem w stanie przemówić. Szczęściem przypisano to memu wzruszeniu, i nikt na to nie zwrócił uwagi. Panienką tą była szesnastoletnia córka gospodarzy, Józia, którą pozostawiłem siedmioletniém dzieckiem. Ochłonąwszy z piérwszego wrażenia, i bynajmniéj nie mówiąc o głosie, słowa tylko przezeń słyszane, lecz jako wynik własnego mojego pomysłu, powtórzyłem memu szwagrowi Ignacemu Chodźce. „Gdzie tam!“ — była stanowczo przecząca odpowiedź. Ubodło to mnie jakoś, i nie umiejąc poskromić żywości, zawołałem również stanowczo: „Otóż tak będzie!“—Chodźko parsknął od śmiechu, i odezwał się zwykłym swoim konceptowym tonem: „Cóż to? czy to ty włócząc się po świecie, wyszedłeś na proroka, czy tak zgłupiałeś?“ Zacząłem się śmiać również, i wszystko w żart obróciłem. Ale wiara w głos pozostała. Dotąd od jednego tylko Adama słyszałem, że doświadczył coś podobnego, i że wszystko, co mu w ten sposób przepowiedzianém było, ziściło się zawsze co do joty, chociaż na razie żadnéj rękojmi prawdopodobieństwa nie miało. Za powrótem zatém do domu, gdy mnie Korsak zaraz potém odwiedził, nie miałem nic pilniejszego, jak opowiedzieć mu wszystko, jak było. Wysłuchał, ale za odpowiedź oznajmił, że już jest zaręczony z kim innym, i że właśnie mówić miał o tém. Zamilkłem więc powtórnie—ale wiara w głos nie ustała.

W kilka miesięcy potém, gdy już mieszkałem w Wilnie, Korsak przyjechał tam umyślnie, po przyjacielskie moje błogosławieństwo, wybierając się właśnie na ślub do swojéj bogdanki, o kilkadziesiąt mil od swego domu. Dałem mu krzyżyk serdecznie; a jednak wiara w głos, chociaż tajona, nie przestała trwać uporczywie we mnie, opierając się wszelkim argumentom rozumu. Jedyny jéj wówczas powiernik, mieszkający obecnie w Warszawie i znajomy ci, siostrzyczko, przyjaciel mój, pan Benedykt Turski, może ci prawdę słów moich potwierdzić. Tymczasem nie upłynął miesiąc, gdy zamiast wiadomości o ślubie, odbieram doniesienie o zerwaniu zaręczyn, i to wcale nie z woli, ani ze strony Korsaka. Pisze więc, że przepowiednia moja jest dla niego jedyną pociechą; gdyż doznany boleśny zawód przypisuje nie intrygom złych ludzi, lecz niezbadanym wyrokom Opatrzności, któréj się przeto z ufnością powierza. Jakoż zaraz na przyszłą wiosnę pojechaliśmy z nim razem do Chodźki, mieszkającego o pół mili tylko od domu rodziców Józi, a dwutygodniowa gościna u niego, przedłużona tak z mojéj wyłącznie przyczyny, miała nakoniec ten skutek, iż po usunięciu (także wyłącznie przeze mnie), niektórych przeszkód ze strony matki Juljana, w rok potém sprowadziłem go ze ślubnego kobierca, jako uszczęśliwionego małżonka kochającéj żony, i przez lat kilkanaście, aż do śmierci jego, miałem pociechę oglądać niezachmurzone nigdy niczém ich pożycie.

Ale jest jeszcze i druga ważna okoliczność, że pominę mnóstwo drobniejszych, w któréj niemniéj może dziwnym sposobem objawił się tajemniczy wpływ jakiś na jego przeznaczenie przeze mnie. Nie mogę mówić o niéj bardzo szczegółowo, ale muszę jednak

powiedzieć; bo fakta tego rodzaju, wiém najprzód, że interessują ciebie, siostrzyczko; a potém, że dla myślących ludzi dobréj wiary, mogą téż mieć swój ogólny interes; jakkolwiek pozytywno-filozoficzna mądrość dzisiejsza, może je chcieć śmiesznością obrzucać.

W r. 1841, jedna z wileńskich dam wielkiego świata, dała mi do wpisania swój sztambuch, w którym znalazłem wiersze Juljana, wielce a wielce niedorzeczne, ze względu na okoliczności czasowe, ale wpisane w nim od lat już dziesięciu. Raziły mnie one od razu; ale ani mi na myśl nie przyszło, aby chcieć lub módz coś na to poradzić. Tymczasem w, przeddzień oddania sztambucha, budzi mnie w nocy ze snu, nie głos żaden tą razą, ale taki jakiś dziwny niepokój, taka myśl mimowolna i tak nieprzeparta, że po daremnych usiłowaniach ażeby ją zwalczyć, zapalam nakonie świécę, i palę na niéj wiersz ten ze sztambucha wydarty. Łatwo pojąć, jak taki samowolny i ze wszech miar niegrzeczny postępek obraził sprawiedliwie właścicielkę sztambucha. Napisała téż do mnie list ostry, wypowiadając mi dom swój i przyjaźń. Ale nie upłynęło tygodnia, kiedy taż sama pani zjawiła się u mnie, i ze łzami wdzięczności dziękowała mi jak dobroczyńcy za zniszczenie nieszczęśliwych tych wierszy. Sztambuch albowiem, najdziwniejszym przypadkiem, wpadł w ręce, dla których nigdy przeznaczonym nie był. Było to więc rzeczywiście dobrodziejstwem dla niéj, ale sto razy większém dla autora, który uniknął przez to nieochybnéj zguby.

A i w przedmiocie nawet poezyi, ja to piérwszy niejako, bezwiednie i mimowolnie, skierowałem go i popchnąłem do pracy, która mu w literaturze naszéj

niepożytą zasługę i sławę przyniosła. Wracając z zagranicy, przywiozłem dlań, jako gościniec, niemiecki przekład Streckfussa, „*Bozkiéj Komedyi*“ Danta. Po włosku on wtedy jeszcze nie umiał; ale ten przekład tak mu się podobał, że z niego większą część „*Piekła*“ przetłómaczył zaraz na polskie. Z tłómaczeniem tém przyjechał do mnie do Wilna; ale gdy przy wspólném czytaniu, z zaglądaniem do oryginału włoskiego, przekład z przekładu nie okazał się odpowiednim celowi: on tak już był rozmiłowany w treści poematu, że spaliwszy te piérwsze próby swego tłómaczenia, zabrał się do nauki języka włoskiego, i w ciągu lat dwunastu ciągłéj, sumiennéj pracy, dokonał wreście olbrzymiego swojego przedsięwzięcia, jakiém był przekład wierszem rymowym całéj *Komedyi Bozkiéj*, który, rozporządzeniem ostatniéj swéj woli, mnie w rękopiśmie do wydania przekazał. Wydałem go w Warszawie u S. Orgelbranda, w r. 1858.

A teraz wracam znowu do przerwanego ciągu narracyi, do r. 1822.

Za powrótem moim do Wilna, gdy ojciec mój przyszedł do zdrowia, Korsak był u mnie ciągle tak codziennym gościem, jak ja w tém samém miejscu niegdyś u Adama. Pomagał mi w robieniu korrekty druku poezyi jego, które właśnie były pod prassą, a którą ja prowadziłem wyłącznie, sam jéj nauczywszy się piérwéj od dyrektora drukarni p. Zawadzkiego. Wprowadziłem go do *Błękitnego Grona*, do domu pani Becu, i w ogólności wszędzie, gdzie sam częściéj bywałem. Opieka ta i przyjaźń dla niego, zjednały mi serdeczną przychylność jego zacnych rodziców, a i samo to uczucie ich dla mnie, wyszło znowuż na

korzyść dla niego, w ten sposób, iż ojciec pozwalając mu odwiedzać mnie co rok przez trzy lata w Warszawie, otworzył mu przez to nieco więcéj pola do poznania świata i ludzi, i do zabrania kilku bliższych osobistych stosunków z poetami, mieszkającymi w Warszawie, jako to: z Brodzińskim, Zaleskim i Witwickim, którzy go wszyscy szczerze polubili.

Ale i moje własne towarzysko-światowe stosunki w Wilnie zaczęły właśnie w tym czasie przybierać szersze rozmiary, i to nie z etykiety wcale lub rachuby, ale wprost za wskazówką zdarzeń. Z własnego zaś mojego doświadczenia mam to najmocniejsze przekonanie, że we wszystkich okolicznościach życia, taka tylko przewodnia jest i najlogiczniejszą, i najbezpieczniejszą.

Jak ja Adama do domu pani Becu, tak on mnie wprowadził nawzajem do domu przyjaciółki swojéj, pani Wojskiéj Zaleskiéj, rodzonéj siostry Tadeusza Matuszewicza, żony najbliższego niegdyś przyjaciela Kościuszki, który sąsiadując z nim lat kilka na wsi, po powrócie swym z Ameryki i przed wejściem nanowo do krajowéj służby wojskowéj, był téż i żony jego przyjacielem serdecznym. Była to już sędziwa matrona, ale tak pełna jeszcze życia, rozumu, uczucia i wdzięku, a nadewszystko takiéj jakiéjś tajemniczo-uroczéj słodyczy w obejściu, że urokowi temu nikt się oprzeć nie mógł. W całym ciągu dalszego mego życia, jedną tylko spotkałem osobę, którąbym mógł z nią może pod tym względem porównać; a jest nią znajoma i tobie, siostrzyczko, i jeszcze Bogu dzięki między nami żyjąca, pani hr. Przemysławowa Potocka, z domu xiężniczka Sapieżanka. Przy pani Wojskiéj natenczas

mieszkała młoda jéj krewna, wnuczka w hierarchicznym porządku, ale nie rodzona: panna Flora Laskarys, ostatni szczep po kądzieli historycznéj rodziny sławnych niegdyś cesarzów greckich, a któréj dziad stryjecznorodzony był znakomitym kardynałem w Rzymie. O niéj w tych moich wspomnieniach zamierzałem obszerniéj opowiedzieć gdzieindziéj, gdy właśnie doznawałem jéj wpływu w najważniejszéj epoce mojego życia. Ale tymczasem zaszła okoliczność, która mnie zmusza niejako przerwać znowu ciąg opowiadania i poświęcić tu jéj osobny epizod; tém bardziéj, że dotycze on raczéj nie mnie, lecz Adama. Okolicznością zaś tą jest, że właśnie wyszła niedawno z druku, interessująca zresztą i z talentem napisana xiążeczka, p. t. „*Niewieście Ideały Poetów Polskich,*“ przez p. Walerego Przyborowskiego. Otóż w xiążeczce téj jest ustęp p. t. „*Cezarynia,*“ ściągający się wyłącznie do panny Flory Laskarys, a napisany całkiem z ustnych moich opowiadań autorowi o niéj. Nié mam więc bynajmniéj mu za złe, że z nich w ten sposób, zwłaszcza, że tak dobrze skorzystał; ale ponieważ on sam nie wymienił wyraźnie źródła, z którego czerpał: czuję się w obowiązku uczynić to za niego, ażeby z czasem jeszcze nie doczekać zarzutu, że ja to względem niego plagiat popełniam.

Otóż w xiążeczce téj jest bardzo dobrze zredagowana, podług ustnych moich opowiadań, charakterystyka panny Flory, i dla tego ją ztamtąd dosłównie tu przytaczam: „Była to osoba niezwykłych przymiotów umysłu, pełna dowcipu „wesoło-pieprzykowatego,“ jak mówi dobrze znający ją pisarz; (tu autor nie wymienił kto taki, a tylko to określenie rodzaju dowcipu

cudzysłowem oznaczył); cięta, ale nie złośliwa; rozumna, przytomna, i nadzwyczaj oryginalna w swoich poglądach, tak, że o danym przedmiocie mogło sto osób wygłaszać swój sąd, a żadna z nich nie dójrzała téj strony, którą dostrzegła panna Flora.“—To wszystko jest istotną prawdą, równie jak i to, że Adam lubił bardzo jéj towarzystwo i był jéj szczerym przyjacielem. Że zaś przez żart nazywał ją „*Cezarynią,*“ ona nawzajem mianowała nas swymi paziami: jego starszym, mnie młodszym;—i nazwa ta w dalszym między nami stosunku pozostała na całe życie. Ale dopiéro w czasie podróży naszéj, gdyśmy na cmentarzu Bolońskim, *Campo Santo*, znaleźli grób Matuszewicza, brata pani Wojskiéj Zaleskiéj, Adam opowiedział mi, że niegdyś, w piérwszym roku przybycia swego do Wilna, chodząc po cmentarzu „*na Rossie,*“ i ujrzawszy na jednéj z katakumb napis imienia: *Laskarys*, poczuł w sobie jakąś myśl dziwną, (nie głos jednakże), że przeznaczona dlań żona będzie nosiła to imię. Gdy więc następnie poznał pannę Florę, córkę właśnie owéj spoczywającéj na Rossie, miał się z nią ciągle na wielkiéj baczności, aby przyjaźń nie zamieniła się w miłość. Gdy go zaś zapytałem żartem: „A co wiész, czy w końcu *fatum* nie postawi na swojém?“ zaśmiał się i odpowiedział słowami Kniaźnina:

„A któż kiedy dójrzy okiem,
Co ma być jego wyrokiem?“

Otóż w przypisku do owego miejsca w „Listach moich z Podróży,“ napomknąłem, że w parę lat pó-

źniéj, dziwny zbieg okoliczności tak był uczynił możliwém ziszczenie się téj przepowiedni, że prawie dziwić się trzeba, że się nie ziściła istotnie. Okoliczności te, jako odnoszące się wprost do mnie samego, opowiedziałem poufnie panu W. Przyborowskiemu; a że on je, nie pokazawszy mi nawet piérwéj swego rękopismu, publicznie drukiem ogłosił: powtarzam, iż się czuję w obowiązku, opowiedzieć tu téż o nich jak było.

Za pobytu naszego w Dreznie w r. 1832, Adam istotnie był w takiém usposobieniu, iżby się był gotów ożenić jak Jacek w „*Panu Tadeuszu*," „z piérwszą, którąby spotkał," odpowiednią ku temu osobą. Tymczasem moja narzeczona w Litwie, za zgodą swojéj rodziny, skłoniła się ku temu, aby przyjechać do mnie i wziąść ślub za granicą. Szło więc o znalezienie towarzyszki, którąby mogła zaopiekować się nią w podróży. Uwiadomiona o tém panna Flora, ofiarowała sama przyjacielską swą pomoc, ale tylko nie daléj, jak do Krantz, pod Królewcem, dokąd się właśnie dla użycia kąpieli morskich wybierała. Dla mnie i w tém była trudność niemała, ażeby w owym czasie dostać się z Drezna do Pruss Wschodnich. Napisałem więc do panny Flory, czyby dla dokończenia dzieła swojéj dobroci, nie mogła swéj podróży aż do Drezna przedłużyć? Adam dowiedziawszy się o tém, powiadał żartem, że w takim razie sam natychmiast z Drezna „uciecze." Pewny jestem jednakże, iżby nie uciekł; a nawet sądząc z troskliwości, z jaką czekał na odpowiedź panny Flory do mnie, z pewnością prawie śmiem twierdzić, że myśl o przepowiedni cmentarnéj głęboko nurtowała mu w duszy. Odetchnął więc, jak się wyrażał, gdy otrzymana nakoniec odpowiedź doniosła, że pisząca uczynić tego

nie może. A jednak, gdyśmy w Królewcu powrócili od ślubu z kościoła, powiedziała mi z żalem, i jak gdyby tonem wyrzutu: „Czemuś pan nie nalegał, żeby to było w Dreznie?"—*Notabene*, panna Flora nie wiedziała nic nigdy o owéj przepowiedni Adama; i ja potém sam sobie wyrzucałem w duszy, żem jéj o tém wyraźnie w owym moim liście nie wspomniał. Ale mógłżem brać wtedy na swoję odpowiedzialność, co mogło i powinno było jedynie być dziełem Opatrzności, jeśli w tém była istotna jéj wola?

A teraz wracam znowu do przerwanéj narracyi, to jest do wieczorów u pani Wojskiéj Zaleskiéj, gdzieśmy nieraz urocze przepędzali chwile. Pani Wojska tak była łaskawą na mnie, iż raczyła żądać koniecznie, abym się dał zaprezentować najbliższéj jéj przyjaciółce od serca, będącéj w tymże wieku co ona, pani Wojskiéj Goreckiéj, matce poety, która od lat już kilkunastu pozbawiona władzy w nogach, przyjmowała jednak uprzejmie w swym domu całe towarzystwo Wileńskie, a mianowicie uczącą się młodzież płci obojéj. Był to najzupełniejszy konstrast z panią Zaleską. Istna Spartanka z umysłu, serca i ducha; jak tamta pociągała słodyczą, tak ta imponowała powagą; a zbytnią może nawet niekiedy surowość, łagodziła tylko tak czystą i tak namiętną miłością prawdy i kraju, że każdy, choćby nawet niesłusznie ostrego jéj sądu doświadczył, znosił go i korzył się przed nim, przez cześć dla źródła, z którego pochodził. Lubiła się otaczać młodzieżą, ale trzymała ją w takiéj karności, że dom jéj był istotnie jakby szkołą dla niéj. To téż obie te panie takie zajmują miejsce we wspomnieniach mojéj piérwszéj młodości, że choć

wzdłuż dalszéj drogi mego życia, grona postaci niewieścich, jak anioły albo amorki, stoją wszędzie i zawsze po stronach: dwie te przedstawicielki dawnych polskich matron, zawsze w mojéj pamięci i w sercu cześć najżywszą i wdzięczność wzbudzają. Obok zaś nich stawię tylko dwie drugie, którym już w innéj epoce życia, nie mniejsze pod względem moralnym, a większe nawet może w życiu praktyczném, dobrodziejstwa zawdzięczam. Były niemi: pani Ewa z Koszutskich Dobrzycka, matka damy dworu Saskiego, Salomei, będącéj dla mnie potém opatrznościową opiekunką w Dreznie, i pani Wojewodzina Poznańska, Justyna z hr. Dzieduszyckich Działyńska, matka pani Klaudyny Potockiéj. Nie wiém, czy mi Bóg dozwoli, siostrzyczko, dociągnąć opowiadania moje aż do owéj epoki, w któréj mógłbym mówić o nich obszerniéj. Niech więc, na wszelki wypadek, choć w tych słowach przynajmniéj zostanie ślad czci mojéj i wdzięczności dla nich.

Ale trzebaż prawdziwie nieszczęścia, że ja to sam niejako, i to przy uczestnictwie saméjże pani Zaleskiéj, stałem się jakby piérwszą—jeżeli nie przyczyną, to przynajmniéj pobudką przyczyny przyśpieszenia śmierci pani Goreckiéj. Jakkolwiek więc nie należy to właściwie do moich osobistych wspomnień, opowiém tu jednakże ten wypadek, dla tego, aby inaczéj może w niepamięci nie zginął. Za dygressyą nie przepraszam już nawet, bo to z góry raz na zawsze zastrzegłem.

W rok po moim wyjeździe z Wilna do Warszawy, zrobiono tam od botanicznego ogrodu do szczytu góry Trzech-Krzyzkiéj, i na stroméj jéj pochyłości,

spacerową drogę w gzygzak dla pieszych, zkąd na każdym jéj skręcie były nowe i śliczne widoki. Panna Flora opowiadała mi o nich w Warszawie; a żeśmy się oboje wybierali na lato w gościnę do Wilna, oświadczyła, że chce koniecznie sama być piérwszą przewodniczką moją po téj drodze. Tymczasem, gdy przyszedłem upomnieć się o to; osoba, która miała towarzyszyć nam w téj wyprawie, zachorowała nagle, i projekt miał się skończyć na niczém. Ale nie mogła znieść tego owa nieporównana dobroć pani Wojskiéj Zaleskiéj, o któréj wyżéj mówiłem. Sama więc zaproponowała pójść z nami, i pomimo lat swych podeszłych, przechadzkę tę z przyjemnością odbyła. Uniesiona zaś rzeczywistą pięknością owych widoków, z takim o nich zapałem opowiadała u pani Goreckiéj, że i w niéj zbudziła się ochota, ażeby je także obaczyć. Pozbawioną władzy w nogach, w ręcznym tylko, lekkim i wązkim wózku, wywożono ją niekiedy na spacer. Kazała więc wieźć się na górę. Młodzi krewni ofiarowali się do pociągu; i czy to ich niewprawa, czy traf nieszczęśliwy tak zdarzył: dość, że się wózek przechylił, a siedząca w nim spadłszy z wysoka, obie nogi bezwładne złamała. Śmierć nastąpiła w dni kilka, z powszechnym żalem całéj społeczności Wileńskiéj.

W jéj to domu raz piérwszy, na początku 1823 roku, obaczyłem i poznałem się z jéj synem, Antonim Goreckim, który wróciwszy z zagranicy, świeżo był się ożenił z piękną i wielce zacną panną Weroniką Ejdziatowiczówną. Wspominałem już wyżéj, jakie na mnie wrażenie sprawiały niegdyś poezye jego, i jak gorąco pragnąłem poznać ich autora. Uprzejma jego dobroć, choć o lat wiele starszym był ode mnie, ośmie-

liła mnie prędko do bliższéj z nim zażyłości, na którą on chętnie zezwalał. Zażyłość ta w krótkim czasie z obu stron zamieniła się we wzajemną przyjaźń, a piérwszém jéj może ogniwem było wspólne uwielbienie i przyjaźń dla Adama. Stan przytém zdrowia jego, bardzo wówczas osłabiony i chwiejny, przy osobliwszéj zwłaszcza pieszczotliwości pacyenta, uspasabiał go więcéj może niż kiedy do tkliwych uczuć w duszy, i do ich objawów na zewnątrz. Wypadło to na moję korzyść tak dalece, że już w kilka tygodni po poznaniu, nieraz oparłszy głowę na mojém ramieniu, kazał mi głaskać siebie po twarzy i „pożałować biednego Antosia;“ albo téż—co już było największym dowodem łaski—dzielił się ze mną kompotem, albo gotowanemi śliwkami, które mu zamiast herbaty podawano wieczorem. Był to człowiek nadzwyczaj miękkiéj, wrażliwéj natury; ale przytém tak pełen dobroci, szczerości i prostoty, graniczącéj niekiedy z dziecinną prawie naiwnością, że niepodobna było poznawszy go bliżéj, nie przywiązać się serdecznie do niego. A przytém, skoro go ten paroxyzm chorobliwéj pieszczotliwości opuścił, był to znowu poeta w całém tego słowa znaczeniu: czujący, kochający, unoszący się nad wszystkiém co dobre, piękne, szlachetne, a pobłażliwy i przebaczający usterki, byle nie ze złéj woli wynikłe. Nienawiść jedną miał tylko, któréj celu tu wymieniać nie będę; a zaś miłość, téj nienawiści przeciwna, górowała w nim po nad wszelkiém inném uczuciem. W przystępach dobrego humoru, nie zbywało mu wszakże na ostrym epigramatycznym dowcipie, który się często w wierszach jego objawiał. Uczucie religijne głębokie, chociaż może nie zawsze

w karbach ścisłéj ortodoxyi zawarte, nie dawało mu nigdy trwać długo w upadku, (jeśli jak wszystkim śmiertelnym, upaść mu się niekiedy zdarzyło); lecz rzucało go zaraz na kolana skruchy, aby wnet znowu z nadzieją mógł myślą wzlatać ku Niebu. Zresztą wszystkie te powszednie upadki, pochodziły w nim tylko albo z nadmiaru czułości serca, albo z braku hartu w pokusie, która go do gry w karty ciągnęła. To téż nigdy z nich dla nikogo, chyba tylko dla niego samego, nie wyszła żadna krzywda albo szkoda. Charakterystykę tę, wierną, jak mi się zdaje, kreślę nie podług wspomnień z tego tylko czasu, o którym tu opowiadam: lecz z całéj summy wspomnień mego z nim stosunku, który się nigdy między nami nie zachwiał ani zachmurzył, a wznawiał się w różnych czasach i miejscach, jak np. w Warszawie i w Dreznie, a przez korrespondencyą utrzymywał się nawet w oddaleniu. Co do dzieł jego pisanych, ogólne współczucie narodu przyznało mu od razu tytuł narodowego poety, którego jak nie zdołała wydrzeć mu z początku szydercza zawiść ówczesnych koryfeuszów poezyi Warszawskiéj, tak mu go nie odmówi zapewne sprawiedliwa zawsze potomność. Wprawdzie ścisła krytyka literacka nie wszystkim może jego utworom przyzna równą i jednaką wartość; zawsze przecież większą połowę do najcenniejszych pereł poezyi naszéj niewątpliwie zaliczy. Nieraz jeszcze zapewne przyjdzie mi wspomnieć o nim w dalszym ciągu tych opowiadań ale tu wiąże się z nim jeszcze wspomnienie o Rosołowskim, którego często bardzo spotykałem w tym czasie u niego, a o którego piérwszém poznaniu, pamiętam, że opowiedzieć obiecałem wyżéj.

Adam, za bytności swéj w Wilnie, był przez parę dni słaby i nie wstawał z łóżka. Raz przychodząc do niego, słyszę czyjś głos podniesiony z zapałem, i wszedłszy widzę jakiegoś pana, który siedzi przy nim na łóżku, i wylicza imiona poetów, którzy byli zarazem doktorami medycyny. Gdy skończył, ja robię zarzut, że nie wspomniał imienia Stanisława Rosołowkiego. Tu ten pan zrywa się z łóżka, i rozstawiwszy ręce, z ujmującą serdecznością wykrzyka: „A! mości dobrodzieju! submittuję się sam *in persona*, i wdzięczen jestem panu, że o mojém imieniu pamiętasz.“—Znajomość więc zawiązała się prędko, a w ślad za nią i żarliwa dysputa o romantyczności, w któréj Adam nie brał udziału, a tylko śmiał się patrząc na nasze zacietrzewienie się wzajemne. Zapał ten wszakże w dyspucie nie tylko nie rozerwał, ale owszem spoił, jak w ogniu, piéwsze ogniwo znajomości naszéj, która w dalszym ciągu stosunku hartowała się coraz w podobnychże dysputach, w których jeden drugiego ani pokonał nigdy, ani przekonał. W skutek tego napisałem raz wierszyk do niego, którego początek pamiętam i przytaczam:

„W podwójnym splendorze,
Poeto, doktorze,
Witaj, Stanisławie!
I chociaż raz przecie,
Poeta, poecie,
Daj ucha łaskawie!

Bo z tobą chcić prozą
Rozprawiać, rzecz próżna!
Z uporem, jak z kozą,
Dójść ładu nie można.

Dość wspomnićć poetę,
Jak tylko nie antyk,
Lecz Niemiec—choć Goethe,
Czy Anglik romantyk:
Wnet jakby upusty
Otworzył we młynie,—
Oczyma'ć i usty
Gniew bucha i płynie.
I radzisz i życzysz,
I łajesz i krzyczysz,
I krzyczysz i łajesz,
I mówić nie dajesz!
Attendez! mój panie! i t. d.

Wierszyk ten przeczytałem mu po raz piérwszy u Borowskiego, będąc razem na herbacie z Adamem, gdzie téż i Rosołowski rad zawsze na przyjacielskie pogadanki przychodził. Prosiłem, żeby pozwolił wydrukować go *w Tygodniku*; ale oparł się temu, mówiąc: „Na co to obcy ludzie wiedzieć mają, jak my gadamy!“—Sam wszakże przyjął go bez rankoru i odpisał mi w tymże tonie; ale odpowiedzi téj nie pamiętam.

Podobneż dysputy, tylko że już nie ze mną, ale zwykle z Onacewiczem, w przedmiotach filozoficznych, staczał on na tygodniowych wieczorkach u Lelewela, który był jedynym z professorów bezżennych, co je zaprowadził u siebie. Prócz młodszych professorów, przyjaciół gospodarza, bywali na nich i wybrańsi jego uczniowie, których on z koleżeńską uprzejmością traktował. Ja, niestety, z tego powodu nie miałbym wcale prawa należeć do ich grona, ale Adam wprowadził mnie *gratis*. Pan Joachim zaś był tak dobry i łaskaw, że wybrał mnie z czasem na Ganimeda, to jest, polecił mi robienie herbaty. Zdarzyło się więc razu jedne-

go, że zasłuchany w jakiéjś narracyi Onacewicza, zapomniałem zakręcić kranu w samowarze, i potop gorącéj wody wszystkich gości z miejsc swych poruszył. Adam chciał mnie reprymandować, ale gospodarz wziął moję obronę, i przy urzędzie podczaszego zostawił. Za przybyciem zaś mojém do Warszawy, pan Joachim miał mnie głównie w swojéj opiece, i dom czcigodnych jego sędziwych rodziców, stał się dla mnie jakby rodzinnym. Tam to w ciągu lat czterech, co niedziela, z rzadkim wyjątkiem, obiadowałem zwykle z całą ich rodziną, i bardzo często z kochanym ojcem twoim, siostrzyczko! co mi téż posłużyło za assumpt do piérwszego odezwania się do was z Wilna, gdy już piérwsze improwizacye twoje, myśli moje i serce z uwielbieniem zwróciły ku tobie.

Ale nie same tylko poważne matrony, i nie sami uczeni mężowie, zajmowali je w czasie, o którym tu mowa, to jest w początkach roku 1823. Był to owszem czas właśnie, w którym piérwszy raz w życiu, jeśli nie jako uczestnik, to przynajmniéj jako spektator, wszedłem w bawiący się świat wielki. Pan prezydent Chodźko, ojciec Olesia, który, za wpływem jego, raczył mnie swą łaską zaszczycać, dał mi *gratis* gościnny bilet na wszystkie co tygodniowe *Kasyna*, których on sam był dyrektorem, a które właśnie w tym roku doszły do kulminacyjnego punktu swojéj świetności. Pod wpływem nowych tych wrażeń, napisałem wiersz o nich, p. t. „*Kasyno*“, nastrojony na model i na ton „*Zofiówki,*“ i wydałem go w osobnéj broszurce bezimiennie. Nie wytrzymał on własnéj mojéj krytyki późniejszéj, i opuściłem go przeto w ostatnich wydaniach mych ramot. Wtedy wszakże sam przedmiot

obudził ciekawość, i nim czcionki rozebrano w drukarni, już trzeba było drugie tyle exemplarzy odbijać, a i te się wkrótce rozeszły. Dochód z tego, po odtrąceniu kosztów druku, przeznaczyłem na rzecz Domu Dobroczynności Wileńskiéj, na któréj korzyść szedł i dochód z Kasyna, a któréj téż prezesem był tenże pan Jan Chodźko, uprzejmy mój biletodawca. Poszedł więc przez to w górę barometr mojéj sławy autorskiéj, gdyż anonim nie utrzymał się długo. Ale jakkolwiek moja miłość własna była przez to zadowoloną, tém bardziéj, że i Borowski i Adam wiersz ten pochwalili: większa jeszcze zkąd inąd przyszła mi pociecha.

W trzech szczegółowych opisach piękności, które w wierszu na piérwszym planie figurowały, poznawano, albo się domyślano przedmiotu, który im służył za model. O piérwszym, który mówił:

„Patrzcie tę, co jak narcyz w wonnym kwiatów lesie,
Nad wszystkie dorodniejszy, śnieżne czoło niesie!
Co mam w niéj najprzód wielbić, nie zgadnę zdumiony,
Wdzięk córki Oceanu, czy postać Junony?“ i t. d.

O tym piérwszym nie było żadnéj wątpliwości, że się do panny Alexandry Becu stosował. Ale chociaż ja i drugi *in petto* do siostry jéj stosowałem: ogólnikowe wyrażenia, jak np:

„Ta znowu, jak sarneczka w napowietrznym biegu,
Wiośniane róże kwitną na muślinnym śniegu,
I niewinność dziecinną, i wdzięki dziewicze
Zarazem uśmiechnione maluje oblicze;“ i t. d.

zastosować się mogły łatwo i do dziesięciu innych. Przetoż gdy domyślano się różnie, ja, drapując się w dyplomatyczném milczeniu, nie przeczyłem, ani nie

stwierdzałem żadnego domysłu. Najważniejszym atoli dla mnie samego był ustęp, który brzmiał:

„A toż, czy mnie sen mami, czy urok ułudy
Poetyckiemi oko rozłakamia cudy?
Niebieskich godna chorów, a ziemska dziewica,
I oczy zadumiewa, i serce zachwyca!...
Twarzyczka jéj, jak ranna u wschodu jutrzenka,
Jako pogodne niebo, błękitna sukienka.
Ani tu złoto błyska, co człek ziemi kradnie,
Ni łzy jutrzenki w morzu skamieniałe na dnie,
Sama skromność!“ — i t. d.

Ustęp ten ściągał się do znajoméj mi tylko z widzenia na témże Kasyno, ale która istotnie była najpiękniejszą. Chociaż zatém i o nim różniły się domysły, dla mnie dość było na tém, że się w nim ona sama odgadła. Była to panna Zofia Chłopicka, późniejsza „Zofia z Brzozówki.“ Od niéj téż saméj, zaraz po wydaniu wiersza, wyszedł piérwszy krok do znajomości. Chciała mnie wybrać do figury w mazurze, chociaż widziała dobrze, że byłem w żałobie. Nie mogłem więc przyjąć zaszczytu; ale podziękowałem zań po skończonym tańcu. I ztąd zaczęła się znajomość. Wymówiwszy się zbytniém znużeniem, w następnym nie wzięła udziału; a więc i była sposobność do przedłużenia rozmowy. Znużenie to ponawiało się również i na następnych kasynowych wieczorach; a że przytém mówiło się téż nieraz o projektach na inne dni tygodnia: zdarzało się przetoż niekiedy spotkać się i gdzie indziej—przypadkiem. Do bywania w domu jéj ciotki, u któréj przez karnawał mieszkała, będącéj żoną wyższego urzędnika z ramienia rządu, studentowi brakło pretextu. Ucieszyłem się więc niepomału, kie-

dy się dowiedziałem, że oboje na wiosnę wybieramy się w jedną drogę, do Kowna; ona do rodziców i siostry, mieszkającéj ztamtąd o milę, a ja dla odwiedzenia Adama. Podróż ta przedtém jeszcze od saméj jesieni była głównym przedmiotem mych marzeń. Nie mogłem przecięż przedsięwziąć jéj wcześniéj, jak w Maju; nie z powodu lekcyj uniwersyteckich, od których łatwiéj jakoś dałbym się oderwać; ale że właśnie na Święto-Jerskie kontrakta, w końcu Kwietnia, gotował się wielki amatorski teatr, a przy nim żywe ruchome obrazy, w których, organizujący to wszystko na dochód Dobroczynności, prezes jéj p. Jan Chodźko, mnie téż ważny udział przeznaczył.

Pomysł żywych obrazów ruchomych był rzeczą zupełnie nową, a ułożeniem i wykonaniem jego zajmował się sam professor malarstwa, Rustem. Miały one przedstawiać trzy sceny z „*Jerozolimy Wyzwolonéj*“ Tassa, do których wchodzą: Erminia, Klorynda i Armida. Erminią była piękna hrabianka Kamilla Tyszkiewiczówna; Kloryndą, panna Alexandra Becu; Armidą, panna Zofia. Ja miałem reprezentować Tassa, który siedząc na przodzie sceny, miał odczytywać głośno, jakby samemu sobie, owe trzy sceny, (ma się rozumieć w tłómaczeniu polskiém Piotra Kochanowskiego), a podczas tego czytania, osoby w obrazach będące miały zmieniać stosownie pozy. Zmiany te wymagały prób długich, a te próby dla wszystkich współuczestników, a przynajmniéj dla reprezentanta autora, były bardzo rozkoszném zajęciem. Reprezentacya téż udała się świetnie; tak, że na ogólne żądanie publiczności, postanowiono ją powtórzyć w dni parę. I tu właśnie zaszła okoliczność, będąca piérwszym począ-

tkiem przyjaźni mojéj z Ignacym Chodźką, późniejszym autorem „*Obrazów Litewskich*,“ która doprowadziła nas w końcu do braterstwa, i przez to wpływ stanowczy na dalsze przeznaczenie życia mego wywarła.

Piérwsza wprawdzie znajomość nasza nastąpiła daleko piérwéj, kiedy ja miałem ledwo lat czternaście, a on już był dwudziestocztero-letnim młodzieńcem. Spotkaliśmy się raz piérwszy w domu wspólnego powinowatego naszego, gdy właśnie w nim ugaszczano biskupa Kundzicza, który dla udzielania sakramentu bierzmowania do tamecznéj parafii (Wojstomskiéj) przyjechał. Lecz wtedy był on dla mnie tak wysokim ideałem, że ledwo śmiałem zbliżyć się do niego. Słynął już bowiem w swojéj okolicy, jako drukowany poeta, i jako jeden z najdowcipniejszych *szubrawców*, to jest współpracowników sławnych ówczesnych „*Wiadomości Brukowych*,“ i jako taki między sąsiadami, a zwłaszcza sąsiadkami, respekt i podziw obudzał. Że zaś był wtedy dla mnie bardzo grzeczny i uprzejmy, wielce mnie przez to zobowiązał ku sobie. Gdy więc za bytności już mojéj w Wilnie, gdzie on często ze wsi przyjeżdżał, spotykałem się z nim w domu jego stryja, ojca Olesia, albo téż u Tomasza Zana, gdzie Oleś wtedy z dwóma braćmi mieszkał: stosunek nasz stawał się coraz bliższym, ale się wcale jeszcze nie mógł nazwać przyjaźnią. Dysputowaliśmy tylko zażarcie o klassyczności i romantyczności, któréj on wtedy jeszcze był zaciętym wrogiem; albo téż lubowaliśmy się razem z Olesiem miłém nadzwyczaj jego towarzystwem, pełném dowcipu i jowialności; chociaż tak nam niekiedy konceptami swojemi dokuczył, przekomarzając się zwłaszcza umyślnie platonicznéj naszéj sentymentalności: że raz w zimie wieczorem uciekliśmy od niego bez czapek, które on, dla zatrzymania nas gwałtem, pochował.

Na téj stopie staliśmy nawzajem aż do reprezentacyi owych żywych obrazów. Gdyby on mieszkał był w mieście, albo gdyby wcześniéj przyjechał, stryjby mu niewątpliwie przede mną rolę Tassa powierzył; znany już bowiem był przedtém jako wyborny aktor amatorskich teatrów. Ale on przybył dopiéro w dzień ostatniéj próby, na którą przyszedł prosto wysiadłszy z powozu. Ja byłem już w kostiumie Tassa, śród rycerzy, rycerek i czarodziejek; i instynktowo jakoś poczułem, że on radby był być na mojém miejscu. Wtedy za nic na świecie nie ustąpiłbym go był nikomu. Ale gdy po reprezentacyi piérwszéj miała nastąpić druga, a ja syt już byłem oklasków; przyszła mi myśl szczęśliwa, którą dotąd za natchnioną uważam, aby mu w niéj miejsca mego ustąpić. Ofiarę tę przyjął ochoczo, i tak widać był przez nią ujęty, że zobowiązał mnie koniecznie, abym go na wsi podczas wakacyi odwiedził. Obiecałem, i dotrzymałem słowa; ale mógłżem przewidzieć wtedy, że właśnie owa obiecana wizyta ma otworzyć przede mną inną wcale drogę przeznaczeń, niż była ta, o któréj marzyłem, wybierając się właśnie do Kowna? Armida wyjechała tam zaraz nazajutrz po ostatniém przedstawieniu obrazów. Ja umyślnie opóźniłem o dni kilka mój wyjazd, aby miała czas piérwéj rozgościć się w domu.

Podorożna pocztowa do Kowna leżała właśnie na stoliku u mnie, gdy przyszedł z pożegnaniem p. Alexander Wereszczyński, bardzo miły i zacny obywatel z Podola, wielki amator poezyi, który przebywszy

czas niejaki w Wilnie, nazajutrz już miał z niego wyjechać. Postrzegłszy *podorożnę* do Kowna, oświadczył mi, że i on właśnie tąż drogą udaje się do Petersburga, i przeto zaproponował, abym jako jego towarzysz, podróż tę w wygodnym powozie razem z nim bez kosztu odprawił. Było mi to bardzo na rękę, a zwłaszcza zdało się pomyślną wróżbą, że się wszystko tak dobrze samo przez się składa.

Dnia więc 3-go Maja 1823 r., wyruszyłem piérwszy raz w życiu w podróż sam przez się, pocztą, i wprost dla przyjemności serca. Myśl ta, w połączeniu z celem podróży, trzymała mię w radośném upojeniu przez drogę; i tegoż dnia nad wieczorem stanęliśmy w Kownie. Pobiegłem wprost do mieszkania Adama, i spotkałem go właśnie na wschodach, gdy już na spacer wychodził. Nie wracając przeto do siebie, sam poszedł ze mną do Wereszczyńskiego, kazawszy iść z sobą chłopcu, po zabranie ztamtąd mych rzeczy. Wereszczyński tak był uszczęśliwiony z wizyty Adama, iż ugaszczając nas hojnie, cały wieczór zatrzymał u siebie, i o północy sam daléj pojechał. Adam wracając do domu, zaczął dopiéro troskać się po drodze gdzie i jak mię do snu ułoży; gdyż mu to przedtém zgoła na myśl nie przyszło. Alić zaledwo chłopiec wykrzesił ognia i zapalił świécę, widzimy, że na kanapie, z przystawionemi krzesłami, posłana jest już pościel, nie tylko porządna, ale nawet aż elegancka. Zadziwiony gospodarz pyta: zkąd się wzięła? i dowiadujemy się od chłopca, że ją przysłała pani Kowalska, dowiedziawszy się także od niego: „że jakiś pan do pana z Wilna przyjechał. — „Pani Kowalska! to moja Opatrzność!“ zawołał Adam; i zaczął mi opowiadać o niéj i o jéj

domu, o którym zresztą i w Wilnie nieraz wspominał, a z którym miał mię nazajutrz zapoznać.

Nie z tych tylko wszakże ówczesnych, ani nawet z wielu późniejszych własnych jego wspomnień i opowiadań, ale i z tego wszystkiego, co słyszałem zkądinąd, i na co sam własnemi oczyma potém przez lat dwadzieścia kilka patrzałem, muszę tu, a nawet czuję się w obowiązku, opowiedzieć o niéj i o jéj domu, co, o ile wiém, dotychczas powiedzianém nigdzie nie było, a co przecięż w życiu Adama stanowi ustęp niezmiernie wpływowy i ważny, któremu on, jak sam nieraz powiadał, życie może nawet zawdzięczał.

Wiadomo z „*Dziadów*,“ w jakiém usposobieniu serca i umysłu Adam przybył i znajdował się w Kownie, w piérwszych czasach po zerwaniu stosunku z Maryllą. Otóż, że zrozpaczony Gustaw na poetyckich tylko marzeniach o samobójstwie poprzestał, i w poezyi tylko je wykonał: najwidomszém w tym razie narzędziem Opatrzności była właśnie pani Karolina z Wagnerów Kowalska. Ale *Honni soit qui mal'y pense!* Nie była to albowiem żadna jakaś nowa miłostka, coby świadczyła tylko o płochéj wrażliwości serca poety-marzyciela; ale był to wpływ niewieściéj duszy i przyjaźni niewieściéj; duszy, łączącéj czystość z twardością kryształu, i przyjaźni, która, oprócz swych świętych własnych obowiązków, innych granic w poświęceniu nie znała, a którą poeta-Filaret pojąć, ocenić i uszanować umiał. Piękniejszéj od niéj kobiéty trudnoby można było wyobrazić, ale trudniéjby może jeszcze znaleźć taki hart duszy i charakteru w kobiécie. Nie była ona wcale ani uczoną, ani literatką,

ale miała ten zdrowy rozum, co rzeczywistą wartość jak w xiążkach, tak w rzeczach i ludziach oceniał, a razem i tę przenikliwość niewieścią, co w ludziach zwłaszcza tę wartość instynktem jakby odgadywać umiała. W tém był początek przyjaźni jéj dla Adama, i w tém wpływ téj przyjaźni na niego. Bez tego, w otoczeniu ludzi obcych i zimnych; w małém, cichém miasteczku, jakiém było naówczas Kowno; w oddaleniu od wszystkich swoich, i z taką boleścią w duszy, jaka go w owym czasie dotknęła; trudno może byłoby wymagać, aby się mógł był oprzeć rozpaczy. Opatrzność wprawdzie przyszła mu w końcu w pomoc i innym cudownym sposobem, gdy zagrożony utonięciem w Niemnie, w kąpieli, przypomniał sobie, w chwili największego niebezpieczeństwa, jak go niegdyś w dzieciństwie modlitwa matki cudem prawie uratowała z przypadku, i gdy poleciwszy się wtedy z wiarą opiece Najświętszéj Panny, sam także jakby cudem ocalał; bo nie wiedział i nie pamiętał, jak się znalazł na brzegu. Chwila ta w duszy jego stała się jakby chwilą przełomu i zwycięztwa nad uczuciem rozpaczy; ale możeby nie doczekał téj chwili, gdyby go nie wspiérała przedtém uprzejmość i przyjaźń, jakich w domu państwa Kowalskich doznawał. Wiém o tém z własnych Adama i z cudzych opowiadań, a znając sam działające osoby, pojmuję najdoskonaléj, jak się to stać mogło, i stało. Sam pan Kowalski, (naówczas wzięty bardzo i szanowany powszechnie lekarz powiatowy w Kownie), człowiek dobry, zacny, serdeczny, ale tak przytém wrażliwy i tak dający się unosić piérwszemu chwilowemu wzruszeniu, iż czując sam w sobie tę wadę, a uznając właśnie w swéj żonie cnoty wręcz téj

wadzie przeciwne: zimną krew i niezachwianą stałość charakteru; uważał ją za ideał doskonałości, i dobrowolnie stosując się do niéj, jak się ona we wszystkiém stosowała do niego, z całą czułością i wylaniem serca był téż zazwyczaj i dla tych, których ona za godnych swéj przyjaźni uznała. A że oprócz téj chwilowéj drażliwości temperamentu, posiadał on wszystkie zalety rozumnego i prawego człowieka, a nadewszystko prostotę i szczerość w obejściu, które Adam cenił najwięcéj; ztąd poszło, że go wzajem polubił serdecznie i w towarzystwie jego podobał. Sama pani zaś, od piérwszych chwil poznania Adama, przejęła się instynktowo dla niego jakby jakimś rodzajem czci, nie tylko przyjaźni, i z całą energią niezłomnego swojego charakteru, a razem i z delikatnością niewieścią, zajęła się codziennem, cochwilowém osładzaniem mu tęsknego pobytu w Kownie. Adam sam ani się domyślał mnóstwa rzeczy, których wpływu wszakże doznawał. Ja o wielu dowiedziałem się potém przypadkowo od osób, które na to zbliska patrzały. Naprzykład. Dowiedziała się, że Adam lubi muzykę. Córki jéj były jeszcze w dzieciństwie; ale się zdarzyła sposobność nabycia doskonałego instrumentu. Nabyto go więc na zapas. Sama pani Kowalska nie grała, ale miała znajome, które grały prześlicznie, a dobrego instrumentu nie miały. Pozwolono więc korzystać im ze swego, ale pod warunkiem jednakże, że będą przychodziły w pewnych oznaczonych godzinach. A godziny to były właśnie, w których Adam zwykle przychodził. Miał więc codzień muzykę, którą lubił, nie domyślając się bynajmniéj, że była li tylko dla niego. Wszystkie nowe xiążki niemieckie, w przedmiotach

mogących interessować Adama, sprowadzano regularnie z Królewca—dla siebie; ale pożyczano ich Adamowi. W tenże sposób, prenumerowano ważniejsze zagraniczne dzienniki, na co niemałych kosztów trzeba było. A cóż dopiéro mówić o innych, drobnych na pozór, ale ciągłych i codziennych przyjemnostkach, które przecięż działają na smutną duszę człowieka, jak krople eteru w omdleniu! W ważniejszych zaś okolicznościach życia, jak np. podczas pobytu Adama w Bazyliańskim klasztorze w Wilnie, żadne kraty ani niebezpieczeństwa nie były dla niéj zaporą, aby się dostać do niego i przynieść mu potrzebną wiadomość. Jakoż we trzydzieści lat potém, w przeddzień już prawie swéj śmierci, a w ostatniéj ze mną rozmowie o Adamie wyrzekła: „iż był on dla niéj w życiu najwyższym ideałem człowieka, którego duchem krzepiła się sama;"—i poleciła mi, abym to mu powiedział, jeśli go jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Podczas zaś pobytu jego w Kownie, powtarzam, była ona dla niego istotnie Opatrznością, jak ją sam nazwał w pół żartem, z powodu owéj dla mnie przysłanéj pościeli. *)

Mało z niéj wszakże korzystałem piérwszéj téj nocy, bośmy ją najprzód do białego dnia przegadali, a zaś potém, gdyśmy ledwo usnęli, dzwonek szkolny na korytarzu w gmachu gimnazyalnym, będącym kiedyś Kollegium Jezuickiém, zbudził nas na mszę studencką. Adam po niéj zaznajomił mnie z prefektem

*) Nie twierdzę, ale tylko zwracam uwagę, że postać i charakter „*Grażyny*" w wielu rysach zdają się przypominać wzór żywy, który autor mógł mieć na myśli, malując bohaterkę swego poematu. (P. A.)

i kolegami, którzy téż byli na niéj z obowiązku obecni. Prefekt, pan Dobrowolski, najszanowniejszy człowiek, i po ojcowsku lubiący Adama, od piérwszéj zaraz chwili poznania okazał się téż nader uprzejmym i dla jego gościa. Ofiarował mi osobny pokoik w swojém mieszkaniu, sądząc, że u Adama za ciasno. Gdy jednak ten oświadczył, że się pomieścimy; ja téż wolałem pozostać u niego. Mieszkanie jego w murach szkolnych, w rynku, składało się z jednéj izby, z wązkim przedpokoikiem, w którym spał chłopak służący, który téż chodził do szkół i był w piérwszéj klassie.

Ale wspomniawszy już o szanownym panu Dobrowolskim, muszę tu opowiedzieć o nim to wszystko, co mam do powiedzenia. Gdyż najprzód gra on istotnie ważną rolę względem Adama, w czasie pobytu jego w Kownie; a powtóre, że we wspomnieniach p. Leona Potockiego, które niegdyś czytałem, kreślonych całkiem dowolnie z imaginacyi autora, stosunek jego z Adamem wystawiony jest zupełnie w fałszywém świetle, a mianowicie, że Adam jakoby przed nim deklamował z zapałem wyjątki z „Dziadów." Otóż najprzód śmiem twierdzić na pewno, że Adam nigdy przed nikim—chyba może przed jednym tylko Czeczotem lub Zanem—nie deklamował, i nie mógł deklamować wyjątków z *Dziadów*; tak to się nie zgadzało z całą jego naturą, iżby miał kogokolwiek do tajemnicy sercowych uczuć swoich przypuszczać. A powtóre, że cały nastrój stosunku jego z Dobrowolskim, wcale się do podobnych konfidencyi nie nadawał. Dobrowolski był starszym od niego o lat najmniéj trzydzieści, a jako zwierzchnik, ujęty osobistością Adama, powziął ku niemu, jak już wyżéj rzekłem, affekt praw-

dziwie ojcowski, który jużciż przykładał się niemało do osłodzenia mu pobytu w Kownie. Byćby więc mogło—chociaż nie wiém czy było—że Adam na jego żądanie mógł mu czytać niektóre inne poezye swoje; ale że nie *Dziady*, to pewno. Prawdą jest wszakże, bo sam to po razy kilka słyszałem, że p. Dobrowolski znając niepraktyczność Adama w życiu codziennem, lubił żartować z niéj po przyjacielsku, a przypisując to zwłaszcza poezyi, na poezyą téż (równie żartem) wygadywał dziwosy. Ale trzebaż, że tenże sam jéj niby antagonista, we dwadzieścia kilka lat późniéj, przyjechał z Kowna umyślnie do Wilna, aby pokazać mi spory sextern własnych poezyi swoich, których pisaniem osładzał sobie tęsknotę starości i bezczynność emerytury. Były to, w kształcie listów do ucznia, rozprawy pedagogiczno-moralne. Treść świadczyła o znajomości rzeczy; forma, o zupełnéj nieświadomości techniki wierszowania. To téż usłuchał rady przyjacielskiéj, i pracę tę w tece zostawił; obwiniając przez żart Adama, że on to go manią wierszy zaraził. Ale w czasie, o którym tu mowa, szanowny prefekt nie tylko sam o poezyi nie marzył, ale owszem żarty z niéj i z poetów miał za ulubiony temat jowialnéj, przyjacielskiéj rozmowy w obec Adama, w domu państwa Kowalskich, gdzie się z nim codzień prawie spotykałem.

Ale mówiąc o domu pp. Kowalskich, nie mogę téż pominąć milczeniem dwóch podrzędniejszych wprawdzie, ale zawsze dość wpływowych czynników, które go miłym Adamowi czyniły. Piérwszym były dwie małe, piękne jak aniołki dziewczynki, sześcioletnia i pięcioletnia Olesia i Kamcia, które go tak serdecznie kochały, i tak już były z nim spoufalone, że skoro wszedł, nie odstępowały prawie od niego, pieszcząc się z nim lub rozmawiając. A któż nie wié, co jest za urok w pieszczotach i rozmowach dziecinnych? Adam zawsze wspominał je czule, a między innemi ich powiedzenie: że mają dwóch tylko „*przyjacielów*, pana Mickiewicza i *Bauzera*.“ Była to nazwa ogromnego buldoga, faworyta całéj rodziny, i zwykle stróża dzieci na przechadzkach, który téż strzegł je pilniéj może i gorliwiéj od nianiek.

Ale trudniéj ci może przyjdzie zrozumieć, siostrzyczko, gdy powiém, jaki był drugi węzeł, który go téż do domu tego przywiązywał. Oto była nim matka samego pana Kowalskiego, siedemdziesięcio-letnia już naówczas staruszka, a będąca najdoskonalszym typem prostodusznéj, szczeréj, a przytém i po swojemu rozumnéj, wiejskiéj szlachcianki Litewskiéj. Ona téż passyami kochała Adama, ale miłość ta zwłaszcza wyrażała się w niéj przez to, że ze zbytku troskliwości o niego, zawsze mu miała coś do zarzucenia: czy to ze względu zdrowia, czy ubrania, czy nakoniec humoru i postępowania. Czyniła zaś to z zupełną swobodą i otwartością, gdyż ani syn, ani synowa, widząc że to owszem bawi Adama, żadnéj w tém jéj nie stawili przeszkody. Sam Adam lubił wyraźnie wywoływać te oburzenia, przekomarzając się jéj na każdym kroku; co mianowicie zdarzało się przy kartach, przy grze w *kixaka*, stanowiącéj zwyczajną zabawę wieczorną, jeżeli muzyki nie było. Grano nie na pieniądze, ale wprost tylko na boby; a mimo to staruszka taką ważność przywiązywała do gry, jakby w niéj o dukaty chodziło. Adam zaś umyślnie, na

przekor, wciąż albo się mylał lub kręcił. Ztąd sprzeczki, reprymandy i kłótnie bez końca; z których często można się było istotnie naśmiać do rozpuku. I to wszystko widocznie bawiło Adama.

Taki był skład i obraz domu pp. Kowalskich, do którego mnie Adam nazajutrz, zaraz po odbyciu lekcyi swojéj, wprowadził. Piękność pani Kowalskiéj oczarowała mnie tak od razu, jak uprzejmość obojga ujęła za serce. Postać, rysy, spójrzenie, uśmiéch, mogłyby służyć za model rzeźbiarzowi i malarzowi, tém bardziéj, że sama nawet jéj toaleta zdawała się naśladować raczéj artystyczne draperye greckie, niż wzory modnych żurnalów. W świecie albowiem nie bywała prawie, a w domu ubierała się podług swego gustu. W ogólności sąd obcych i świata nie zdawał się mieć dla niéj znaczenia; ale za toż czuwała pilnie, aby sąd tych, o których dbała, nic w niéj istotnie do zarzucenia nie znalazł. Był to charakter, powtarzam, dziwnéj energii i siły; samoistny i nieugięty; ale przytém tak pełen wdzięku, godności i naturalności w obejściu, że w niczém swoją oryginalnością nie raził. (Miała natenczas lat 28). To wszystko, co tu mowię, jest owocem trzydziestoletniego mojego z tym domem stosunku w Wilnie, gdzie p. Kowalski potém, i aż do końca życia, był naczelnym lekarzem głównego wojennego szpitalu. *)

*) W roku 1859, Towarzystwo Lekarskie Wileńskie obchodziło uroczyście 50-cioletni jubileusz doktoratu p. Józefa Kowalskiego, jako swojego członka. Przytaczam tu wiersz mój do niego, czytany na tym obchodzie:

A teraz wracam znowu do przerwanego toku narracyi, nim znowu może od niéj za lada okolicznością odbiegnę. Powtarzam bowiem po raz nie wiém

---

To mi mistrz w każdym zawodzie,
Co w swéj biegłości dowodzie,
Sam staje w parze z zasługą!
Mistrz-wieszcz, co serca porywa;
Mistrz-wódz, co bitwy wygrywa;
Mistrz-lekarz, co żyje długo.

Ale czyż tylko jedynie
Przypisać twéj medycynie,
Że ci Bóg wieku przedłużył?
Czyż On bez skutku odtrąca
Modły serc wdzięcznych tysiąca,
Na któreś żyjąc zasłużył?

Lecz mamże głosić te dzieła,
Gdy dusza, co je natchnęła,
Tak skromnie tai je sama?
Nie!—głos mój tylko tu wyzna,
Co tobie winna ojczyzna.—
Tyś nam zachował Adama!

Gdy boleść go i tęsknota,
Za młodéj wiosny żywota,
Przywiodły przed śmierci wrota,
Bóg przez cię wrócił go światu.
Tyś drogę śmierci zagrodził,
Przyjaźnią tęskność osłodził,
Dom swój otworzył jak bratu.

I nie sto razy słyszałem,
Jak z wdzięcznym serca zapałem,
Wspominał o was ze łzami.—
I niech to dawne wspomnienie,
Święte i lube nam cienie
Złączy dziś z tobą, i z nami.

(P. A.)

który, że się wcale nie czuję obowiązanym do przestrzegania ścisłego ładu i porządku, bylebym samą treść rzeczy wypowiedział—jak umiem.

Otóż zaraz w tym piérwszym dniu znajomości zostaliśmy zaproszeni na obiad do państwa Kowalskich, razem z szanownym panem Dobrowolskim, który był także przyjacielem ich domu. Po obiedzie zaś sama pani zaproponowała przejażdżkę do ulubionéj doliny Adama, którą raz piérwszy sama pokazać mi chciała. Cztery konie ogromne, czarne, ogniste, zaprzężone w lejc do lekkiego powoziku, przeniosły nas lotem ptaka do młynu, przy początku doliny, któréj ciąg dalszy zwiedziliśmy piechotą. Jest to, a raczéj był wtedy, smug niezbyt szeroki, pomiędzy pasmem lekkich wzgórz z obu stron, porosłych na pochyłościach gajem drzew liściastych, a przerznięty w głębi strumieniem, który ocieniony po brzegach poziomemi krzakami wierzby czy łozy, płynął z szumem środkiem zielonéj i kwiecistéj łąki. Trudnoby jużciż było powtórzyć z Littaworem w Grażynie, że „jest to dolina najpiękniejsza w świecie;“ lecz jako miejsce samotnéj przechadzki, była ona rzeczywiście rozkoszną, tém bardziéj, że świeżość i balsamiczna wonność powietrza usposabiały przechodniów do rozkosznych marzeń. Droga wązka szła dołem nad brzegiem strumienia, albo się nad nim wspinała na wzgórze, aby znowu zejść na dolinę. W połowie drogi ogromny kamień, ocieniony kilku drzewami, służył za miłe miejsce odpoczynku. Przechadzka więc była przyjemną; lecz mi ją zatruwała niekiedy myśl o tych czarnych, ognistych rumakach, które po długiém staniu przy młynie, zechcą pewnie tém chyżéj powracać do domu. Szanowny prefekt, z którym o tém mówiłem, miał téż coś podobnego na sercu. Wprawdzie sam pan Kowalski, zapalony amator koni i sławny Automedon, który sam siedział z furmanem na koźle, zaręczał za ich spokojność i nasze bezpieczeństwo. Z mojéj strony atoli było to jakby wieszcze przeczucie przygody, która w dwa lata późniéj, w tém samém miejscu, i z powodu tychże samych koni, omal nie pozbawiła życia pana Kowalskiego, a tylko „moje tchórzostwo,“ (jak on moję przezorność nazywał), uratowało wtedy mnie samego i damy od nieuchronnéj może śmierci lub kalectwa. Opowiém o tém w swoim czasie, z kolei. Ale tą razą podróż odbyła się, Bogu dzięki, bez szwanku; a gdyśmy wrócili do miasta, zastaliśmy już w domu państwa Kowalskich liczne dość grono gości, złożone z professorów i urzędników powiatowych, którzy byli zaproszeni na wieczór, a których *starsza pani* przyjmowała tymczasem. W liczbie ich były trzy panny marszałkówny Siwickie, nie młode już i nie piękne, ale bardzo uczone, pobożne, i przytém biegłe muzyczki. One to właśnie przychodziły codzień do pp. Kowalskich, aby grać na ich instrumencie, i bezwiednie bawić Adama. Wszystkie one były dla niego z wielkim respektem i życzliwością, i Adam lubił często opowiadać o nich, jak każda jego u nich wizyta stawiła je w krytycznem nader położeniu, jakby pomiędzy młotem a kowadłem. Miały bowiem starego faworyta mopsa, który tak z czasem opanował affekt ich wszystkich, że z faworyta stał się panem domu, to jest, że się w nim wszystko stosowało do niego. Otóż ten mops, nie wiedzieć dla czego, powziął szczególną jakąś niechęć do Adama, i nie tylko za wej-

ściem jego szczekając, skomląc, wyjąc, krył się pod kanapę, ale i z pod kanapy nawet, skoro Adam usiadł w pobliżu, chciał go milczkiem kąsać za nogi. Rzecz naturalna, że panie były przez to w ustawicznym kłopocie; gdyż bojąc się obrazy gościa, nie miały wszakże siły skarcić faworyta, aby téż przez to na się obrazy jego nie ściągnąć. Ale trzebaż, że czego mops nie dokazał, ja omal nie stałem się najniewinniéj przyczyną zachwiania tego przyjaznego stosunku. A oto jak się rzecz miała. Ku końcowi już mego pobytu w Kownie, wszystkie te trzy panie, w towarzystwie kilku dam innych, wybierały się na pieszą pielgrzymkę do Wędziagoły, do słynącego tam cudami obrazu Pana Jezusa. Była więc o tém mowa na wieczorze u państwa Kowalskich, i ja wpół żartem zacząłem się wpraszać, aby mnie téż do swego grona przyjęły. Adam z tego powodu, za powrótem do domu, w przystępie dobrego humoru, napisał do mnie żartobliwy wierszyk, dając mi w nim przestrogi i rady, jak się mam w téj pielgrzymce względem współ-pielgrzymek zachować. Nie było w nim nic sarkastycznego, ale sama prosta wesołość. Jedna strofa np. którą dotąd pamiętam, tak brzmiała:

„A gdy dochodząc usiądą przy drodze,
Aby wdziać białe pończoszki:
Pamiętaj, chłopcze, o mojéj przestrodze,
Nie patrzeć wtedy na nóżki.“

Mimo to, starsza zwłaszcza panna marszałkówna tak się uczuła obrażoną przez to, że ktoś pobożną pielgrzymkę śmiał obrać za przedmiot do żartu: iż zaledwo pośrednictwu pani Kowalskiéj udało się gniew jéj rozbroić.

Ale nie to był wszakże najważniejszy epizod tego mego pobytu w Kownie. Najważniejszy istotnie, o którym mam mówić, jest mi zawsze w moich wspomnieniach najbardziéj przekonywającym dowodem, delikatnéj w gruncie dobroci i pobłażliwéj wyrozumiałości Adama, które się w nim nie zawsze objawiały z pozoru.

Niełatwo mi téż jakoś przychodziło zacząć z nim mówić o moich projektach wizyty w okolicach Kowna, a cóż dopiéro prosić, aby mi w niéj towarzyszył i zaprezentował mnie w nieznajomym domu. Odkładałem to więc z dnia na dzień. Tymczasem na trzeci czy na czwarty dzień po przyjeździe, powróciwszy już późno z przechadzki, nie poszliśmy jak zwykle do państwa Kowalskich, ale piliśmy herbatę w domu. Adam był wcale wesół i rozmówny, i kazał mi czytać sobie nowe moje wiersze, które z sobą w tym celu przywiozłem. Był między niemi przekład długiéj ballady Bürgera, niezmiernie romantycznéj i krwawéj, p. t. „*Lenardo i Blandina.*“ Był on potém drukowany w „Dzienniku Wileńskim,“ ale go nawet w późniejszym zbiorze ramot mych nie umieściłem. Adam tłómaczenie pochwalił, ale treści ballady nie podobał, uważając ją za przesadzoną. Rozbudził się w nim wszakże poetycki element, i chciał mi odczytać nawzajem najnowszy swój przekład z Byrona: „*Pożegnanie Childe-Harolda.*“ Zaczął czytać całkiem spokojnie; ale gdy przyszło do rozmowy z paziem i z giermkiem, w głosie już znać było wzruszenie, które z każdą strofą wzrastało. Odstawił fajkę, którą piérwéj palił czytając, a przy deklamacyi strofy:

„Teraz po świecie goniąc szerokim,
Tak pędzę życie tułacze;

Czegóż mam płakać? za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze?“

głos jego zaczął się zmieniać, jakby nabrzmiewał łzami; aż nakoniec zbladł nagle, i upadł na ziemię. Przeraziło to mię okropnie. Porwałem karafkę z wodą, i oblałem mu skronie i piersi. Mdłość ta nie trwała dłużéj nad jakie pięć minut. Powstał, ale czując się widać osłabionym, położył się ubrany na łóżku. Widocznie nie rad był z siebie, że się dał tak opanować wzruszeniu, i piérwsze słowa, które przemówił, były: „Proszę cię, daj mi słowo, że nie będziesz o tém rozpowiadał nikomu!“—Ukląkłem przy nim u łożka, i żeby go rozerwać, zacząłem umyślnie mówić o czém inném, a mianowicie o Kasynie i o teatrze amatorskim w Wilnie. Przyszło więc i do Armidy, i nakoniec do prośby, aby mię w domu jéj siostry, pani Maurycowéj Prozorowéj, przedstawił. Dotąd słuchał spokojnie i zdawał się interessować opowiadaniem; ale zaledwo wymieniłem prośbę, — jak gdyby go coś ukłóło; podniósł się, usiadł na łóżku, i stanowczo, omal że nie opryskliwie, powiedział: „Nie, ja tego nie zrobię. Możesz sobie jechać sam, kiedy zechcesz.“—Przykro mi się zrobiło niewypowiedzianie. Powstałem także, a on z twarzy mojéj i z oczu musiał widać wyczytać wrażenie słów swoich. Powstał zatém na nogi, zaczął znów nakładać fajkę, a jakby usprawiedliwiając się z odmowy, powiedział mi otwarcie, że domu pana Chłopickiego nie lubi, i że nigdy w nim w Kownie nie bywał. Nie miałem co na to odpowiedzieć; on zaś wyraźnie chcąc mię załagodzić, zmienił ton, i stosując rzecz wprost już tylko do mnie, zaczął mię najprzód gładzić po swojemu, a potém po Mentorsku ostrzegać,

abym się nie „zadurzał“ napróżno; bo to do niczego nie doprowadzi, a może zatruć mi życie. Zaspokoiłem go co do tego punktu; ale przytém zrobiłem uwagę, że sama przecież prosta grzeczność kazała być z wizytą, kiedy przyrzekłem. Adam zmiękniał widocznie, i przeszedł w ton żartobliwy. Skończyło się na tém, że obiecał, iż mię sam zawiezie do Romań; gdyż ani przeciw panu Maurycemu, ani przeciwko żonie jego i jéj siostrze nic nie ma do zarzucenia. Szło więc już tylko o to, w jaki sposób miała się odbyć wizyta. Adam miał swoję własną klaczkę jezdną, która stała na stajni u państwa Kowalskich; lecz że się była zatarła od siodła, od tygodnia już jéj nie używał. Stanęło tedy na tém, iż skoro się okaże, że będzie mogła znieść siodło nazajutrz, pojedziemy konno, aby oglądać niby prześliczny smug nad brzegiem Niewiaży, między Czerwonym Dworem a Romaniami, i po drodze wstąpimy do Romań. Koń drugi miał być z czwórki pana Kowalskiego. Nie bardzo mi się to podobało. Onegdajsza przejażdżka do doliny, nie zostawiła mi dobrego wyobrażenia o łagodności temperamentu owych czarnych rumaków. Ale Adam, który już nieraz jednego z nich dosiadał, obiecał, że i teraz weźmie go dla siebie, a mnie klaczki swojéj ustąpi. Projekt ten przyszedł nazajutrz do skutku; i po obiedzie u państwa Kowalskich, korzystając z prześlicznego wieczoru, puściliśmy się na tę literalnie *romantyczną* wyprawę do *Romań*. Była to także dla mnie wielka nowość w życiu, a Adam tak był dobry i względny, że mi niczém a niczém uroczych jéj wrażeń nie mącił. Podróż nie trwała godziny. Wchodząc na wschody, usłyszeliśmy głos fortepianu. Adam zatrzymał się, i słu-

chał—i przyznał, że gra była mistrzowska. Grającą była Armida, sama jedna w salonie. Nie dziw więc, że się zażenowała widocznie. Adam przypomniał się jako dawny znajomy, który ją dzieckiem widywał; gdy zaś wyszła, aby siostrze gości oznajmić, (gdyż samego pana w domu nie było), nie mógł nie przyznać także, że ma istotnie podobieństwo z Armidą. Wszystko więc dotąd szło dobrze; ale gdy pani domu weszła w towarzystwie swéj matki, on, zamiast mię przedstawić po prostu, wymieniając moje nazwisko, wymienił je z dodaniem tytułu „Marszałkowicza,“— chociaż mój ojciec właściwie był tylko wice-marszałkiem Oszmiańskiego powiatu. Nie umiem wypowiedzieć jak mię ta niespodziana rekommendacya zmięszała. Zrozumiałem od razu co znaczy, i jaki mi stosunek zakréśla. Chociaż więc wnet wspaniałomyślnie wziął na siebie całą rozmowę z panią domu i z matką, rozprawiając szeroko o pięknéj pogodzie i o pięknéj dolinie Romańskiéj; nieszczęsny „*Marszałkowicz*“ stał, jak strach na wróble w pszenicy, w rozmowie mojéj z Armidą, i gwałtem ją zda się przede mną w „pannę Majorównę“ przemieniał. To téż pomimo bardzo grzecznych zaproszeń pani domu, nie zostaliśmy nawet na herbacie, ale po zimno-ceremonialnéj wizycie, zabraliśmy się do odwrótu. Wymawiałem jużciż Adamowi że mię tak skonfundował fatalnie; ale on trwał uporczywie przy swojém, że owszem bardzo mądrze i właściwie postąpił. Na szczęście, pani Kowalska, gdyśmy do nich na herbatę wrócili i gdy sprawa wytoczyła się przed nią, stanęła po mojéj stronie; a że pani P. przy pożegnaniu raczyła mi oświadczyć uprzejmie, że chwilowego wstąpienia mimojazdem za wizytę właściwie nie uważa: protektorka moja uznała przeto za konieczne, abym sam jeden odwiedziny powtórzył. Adam więc dał za wygrane, i na trzeci dzień potém znowu mi swéj klaczki pożyczył. Tą razą wszystko udało się lepiéj. Pojechałem wcześniéj niż piérwéj; był więc czas do spaceru z damami w dolinie; a że noc była miesięczna i ciepła, przed północą zaledwo powróciłem do Kowna.

Ale nie na tém koniec protekcyi pani Kowalskiéj. Miałem wrócić do Wilna przed 15 Maja, ale że p. Kowalski wybierał się tam także 16-go, wstrzymałem się, aby jechać z nim razem. Że zaś d. 15 przypadały imieniny nie tylko panny Zofii, ale i jéj matki: pani Kowalska uznała za właściwe, aby i mąż jéj także powinszował dawnéj znajoméj, i co większa, nakłoniła jakoś Adama, że zgodził się nam towarzyszyć. Tym sposobem, najniespodziewaniéj raz jeszcze byłem w Romaniach, wigilią imienin; tą razą już powozem państwa Kowalskich.

Ale nie tylko sama pani Kowalska zaszczyciła mię tak swoją dobrocią; miałem téż szczęście zjednać łaskę u starszéj pani, i to tak dalece, że gdy grałem w kixa zazwyczaj z całą powagą i namaszczeniem, a Adam zawsze kręcił po swojemu: wołała nieraz z największym zapałem: „Jak wasan nie masz wstydu i sumienia dawać taki zły przykład młodszemu, kiedy sam powinienbyś uczyć się od niego.“ — Wykrzykniki tego rodzaju niezmiernie zawsze bawiły Adama, i nie było prawie wieczoru, żeby sam piérwszy nie zaproponował gry w kixa. Staruszka nieraz wzdragała się niby, żądając najprzód jego obietnicy, że będzie grał „uczciwie;“ ale jednakże zawsze kończyło się na tém, żeśmy zasiadali do stolika, i że się kłótnie wznawiały

co chwila. Gra trwała zwykle do godziny 10; poczém sam p. Kowalski pędzał wszystkich do snu, a my z Adamem, korzystając z xiężycowych nocy, szliśmy jeszcze niekiedy na spacer za miasto, i raz w Sobotę gdy nazajutrz lekcyi nie było, za białego dnia już dopiéro powróciliśmy do domu z doliny.

Tymczasem w listach odbieranych z Wilna zaczęły nas dochodzić złe wieści, o zaszłych w gimnazyum Wileńskiém pomiędzy studentami klassy 3-éj wypadkach, w skutek których dyrektor gimnazyum, i ówczesny rektor uniwersytetu, Twardowski, pociągnięci zostali do odpowiedzialności. Adam był tém zasmucony głęboko, i jak gdyby w wieszczém jasnowidzeniu przepowiadał dalsze następstwa, potępiając surowo niewczesne wyskoki głów niedojrzałych, psujące nieraz dzieła poczciwéj a rozumnéj pracy.

Jakoż za powrótem do Wilna, dowiedziałem się zaraz od Czeczota, że posiedzenia gron naszych zostały zawieszone do nieograniczonego czasu, i że tylko u nas, co wtorek, mieli zbierać się sami piszący wiersze, aby je sobie odczytywać nawzajem, bez żadnych zresztą formalności zewnętrznych. Kilka zaledwo było takich wtorków, a trzebaż, że one to właśnie stały się początkiem biedy. Ale nie tu jest miejsce mówić o tém szerzéj. Wolę więc przejść do innego przedmiotu.

Za powrótem także znalazłem miłą bardzo niespodziankę dla siebie, to jest formalne zaproszenie od państwa Puttkamerów, abym do nich razem z Czeczotem na Zielone Świątki przyjechał. Oboje byli mi nieznajomi, ale oboje napisali list taki serdeczny, że choćbym sam nawet wprzód nie miał, onby mi natchął ochotę do zrobienia

téj znajomości. Ale Marylla oddawna była dla mnie przedmiotem ciekawości; i gdy w Kwietniu 1822 r. była z mężem na parę tygodni w Wilnie, i wiedziałem, że Adam i Czeczot u nich bywali: nieraz szukałem sposobu, aby ją choć zdaleka obaczyć; nie śmiejąc, ma się rozumieć, prosić żadnego z nich, aby mię do jéj domu wprowadził, ani nawet wspominać im o tém. Ale trzebaż, że właśnie to moje owoczesne krążenie około domu gdzie mieszkała, było jakby piérwszém ogniwem znajomości, a potém i przyjaźni naszéj. W przypisku bowiem swoim do listu męża, o którym mówię, pisała: że już mię zna z widzenia, i że przeto chce poznać bliżéj „Telemaka, którego taki nawet surowy mentor jak Czeczot, Beniaminkiem swoim nazywa.“ To mi wytłómaczyło dopiéro, dla czego mnie i Adam przy piérwszém spotkaniu tak nazwał; to jest, że mię tak zwykle Czeczot przed swoimi przyjaciółmi nazywał. List samego pana Wawrzyńca pisany był z poważniejszą grzecznością, ale i on téż niemniéj na ton koleżeński zakrawał. Ujęło to mię za serce, tém bardziéj, że dotąd przeciwko niemu miałem zawsze niejakie uprzedzenie z *Dziadów*, wyobrażając go sobie, (jak może i niejeden z czytelników ich wyobrażał), jakimś dumnym, bogatym arystokratą, który tylko przez „złoto i świecącą bańkę honorów,“ serce „wietrznéj istoty“ ku sobie pociągnął. Czeczot wprawdzie mówił mi zawsze, że jest to najzacniejszy, najmilszy człowiek, i że całe postępowanie jego względem Adama było nacechowane zawsze najwyższą szlachetnością, którą sam Adam najzupełniéj uznawał. Nigdy wszakże, nie poznawszy sam osobiście, nie mógłbym na cudzą wiarę przypuścić, aby ów „wydzierca

Marylli“, był rzeczywiście tak wysoce idealnym, i nawet, że się tak wyrażę, tak poetycznym pod każdym względem człowiekiem. Nim więc przystąpię do opowiadania własnych mych o nim wspomnień, chcę podać tu nasamprzód krótki jego życiorys, podług najwierniejszéj prawdy skreślony, aby fakta, lepiéj niż wszelkie słowa, dały poznać go takim, jakim był w istocie—jako człowiek, i jako obywatel.

Wawrzyniec Puttkamer, syn Alexandra, Szambelana b. Dworu polskiego, i Karoliny ze Stryjeńskich, urodził się w r. 1794, w dziedzicznéj wsi Bolciennikach, w powiecie Lidzkim. Tytuł hrabiowski przysługiwał od wieków rodzinie jego na Pomorzu, zkąd szczep jéj przeniósł się do Polski, i został potwierdzony przez heroldyą krajową. Mimo to p. Wawrzyniec, idąc za przykładem dziada i ojca, nie tylko go sam nie używał, lecz nawet użycia jego względem siebie nie znosił, przestając, jak się wyrażał, na godności polskiego szlachcica; a i tę ostatnią zakładał tylko na szlachetności uczucia i postępowania. Osierocony wcześnie po matce, wychowany był głównie przez dziada, Generała b. wojsk Litewskich (Wawrzyńca), człowieka głębokiéj wiary i nieugiętych zasad charakteru. Przymioty te odziedziczył po nim. Odbywszy szkoły w Słucku, pod szczególną opieką znakomitego ich wówczas rektora, Wannowskiego, w roku 1809 wstąpił do uniwersytetu Wileńskiego, na oddział fizyczno-matematyczny, i otrzymawszy stopień kandydata, w r. 1812, zaciągnął się wnet jako ochotnik, i to w stopniu prostego żołnierza, do półku ułanów Wincentego hr. Krasińskiego, składającego, jak wiadomo, część gwardyi Napoleona, i odbył w nim całą

kampanię tego roku. Podczas rejterady, wstąpił na dni parę do domu, i zapadł na epidemiczną gorączkę. Ale zaledwo powrócił do zdrowia, pomimo osłabienia i grożących zkąd inąd niebezpieczeństw, przedarł się sam jeden do Warszawy i połączył się tam ze swoim półkiem. Odbył z nim dalsze kampanie 1813—14 r., w stopniu porucznika, i dopiéro za powrótem wojsk polskich do kraju, on téż na łono rodziny powrócił. Ojciec wydzielił mu majętność Unichów, w powiecie Nowogródzkim, w sąsiedztwie Tuhanowicz, majętności pp. Wereszczaków, gdzie się poznał i zaręczył z córką domu Maryllą, przed poznaniem się jéj jeszcze z Adamem. Od Zana i Czeczota, jako naocznych świadków, wiém, jak wysoce szlachetne i prawe było całe jego postępowanie, gdy postrzegł nową skłonność swojéj narzeczonéj. Przez wzgląd nie na siebie, lecz na nią, nie tylko zaręczyn nie zerwał, ale po przyjacielsku rozmówił się z Adamem, i dopiéro gdy ten dobrowolnie się usunął, zawarł z nią śluby małżeńskie, dnia 2 Lutego 1821 roku. A cóż dopiéro mówić o téj bezprzykładnéj może względności i delikatności w postępowaniu po ślubie, na które ja sam już zblizka przez lat cztery patrzałem, i w skutek których to właśnie, owa czysto braterska przyjaźń, jaka zawsze i ciągle między nimi istniała, zamieniła się w końcu ze strony żony w cześć dla niego i miłość serdeczną, i bez zmiany już taką aż do śmierci obojga dotrwała.

Tu mam jeszcze za obowiązek opowiedzieć o dalszym ich stosunku z Adamem, tém bardziéj, że najwierutniejsze kłamstwo w tym względzie, nie wiém przez kogo najpiérwéj ukute, ale ogłoszone najprzód w „Gazecie Polskiéj,“ wychodzącéj w Warszawie w roku

1860, lubo zaprzeczone zaraz przeze mnie z upoważnienia saméjże Marylli, dotąd echem krąży po świecie, jak zresztą i wiele innych, również fałszywych baśni o Adamie: jak np. o przypadkowém jakoby poznaniu się jego z Puszkinem w Odessie, a z Zygmuntem Krasińskim przy fortepianie w Genewie; o złotém piórze, ofiarowaném mu jakoby przez Göthego; i t. p.

Otóż piérwsze widzenie się Adama z Maryllą, po jéj zamążpójściu, nastąpiło w Kwietniu 1822 roku, w Wilnie, gdy tam z mężem przez tygodni parę bawiła. Adam bywał u nich dość często, ale zawsze tylko w towarzystwie Zana albo Czeczota. Samemu p. Wawrzyńcowi ofiarował exemplarz nowowyszłych poezyi swoich z napisem; który to exemplarz jest dotąd w posiadaniu jego syna. Następnie, na Zielone Świątki tegoż roku, pojechał do nich na wieś do Bolciennik, nie z Łozińskim, jak głosiła Gazeta Polska, ale z żyjącym dziś jeszcze Kazimierzem Piaseckim; i nie w celu wyzwania męża na pojedynek, ale dla przepędzenia dwóch dni świąt w przyjacielskiéj wiejskiéj gościnie. Ostatnie zaś widzenie się było w Wilnie, w piérwszych dniach Lipca 1824 r., gdy przybyli oboje ze wsi na dni parę, dla pożegnania się z Zanem, Czeczotem i Adamem Suzinem, przed wyjazdem ich do Orenburga.

A teraz wracam do przerwanego życiorysu pana Wawrzyńca, aby uzupełnić go rysem działalności jego obywatelskiéj.

W r. 1818, na gubernialnych sejmikach w Grodnie, młody Puttkamer pierwszy wniósł i popierał gorliwie wniosek oswobodzenia włościan z poddaństwa; jak to na mocy pozwolenia rządu czynili właśnie obywatele gubernii Nadbaltyckich. Okrzyknięto go za to „demagogiem.“ — Jako członek i dożywotni kurator Ewangelicko-Reformowanego Synodu w Wilnie, projektował oczynszowanie włościan w dobrach do tegoż synodu należących; ale został przegłosowany przez większość. Sam więc przynajmniéj u siebie umniejszył dobrowolnie i określił inwentarzem dni robocze i inne powinności włościan; i zyskał za to w powiecie patent na „ideologa.“—Gdy zaś w r. 1845, będąc Marszałkiem szlachty powiatu Lidzkiego, przy wprowadzaniu z urzędu nakazanych naówczas inwentarzy rządowych, ściśle w nich obustronnéj sprawiedliwości przestrzegał: nadano mu szyderczą nazwę „Marszałka chłopów,“ z któréj on owszem sprawiedliwie był dumny.

Gorliwy niemniéj o materyalną pomyślność kraju, dokładał wszelkich usiłowań, aby się do rozwoju zwłaszcza przemysłu miejscowego przyłożyć. Wyjednał pozwolenie u rządu na założenie w Wilnie cukrowni przez akcye; ale akcyonaryuszów zabrakło. Próbował więc założyć ją sam u siebie, podobnie jak fabrykę sukna i garbarnię; ale wszystkie te przedsięwzięcia, z powodu niedostatku obrótowych kapitałów, upadły. Fabryka atoli papieru, którą na ostatku założył, trwała korzystnie przez lat wiele, dopóki zastosowanie do niéj machin parowych nie postawiło go w niemożności wytrzymania konkurrencyi z innemi, którym na sprowadzenie tych machin starczyło. Stan bowiem zamożnego niegdyś za dziada majątku, po śmierci jego, i w skutek długiéj choroby ojca, doszedł był do wielkiego rozstroju. Gdy więc ojciec nakoniec zdał zarząd na niego, on, podzieliwszy się nim równo z jedyną siostrą, przez całe życie łamać się musiał z trudnościami finansowemi;

mając przytém stale za godło maxymę przejętą od dziada: „Niech raczéj wszyscy mnie krzywdzą, bylem ja nie skrzywdził nikogo.“ Maxymy téj święcie dopełniał, a wsparty niezachwianą wiarą w Opatrzność, umiał utrzymać zawsze nie tylko spokój i pogodę umysłu, ale nawet tak miły i swobodny humor, że nim wszystkich serca zniewalał. Natura téż uposażyła go hojnie, dając mu piękne męzkie rysy i postawę, i głos dziwnie harmonijny do śpiewu. Głos ten był w nim jakby symbolicznym wyrazem wewnętrznego nastroju ducha, estetyczno-poetyckiego, który go na każdym kroku życia, a nawet, rzecby można, w chwili śmierci odznaczał. Rażony paraliżem w Wilnie, właśnie gdy ledwo ze wsi przybywszy wybierał się na wieczór do mnie, stracił od razu mowę i przytomność, i po kilkodniowych cierpieniach, odzyskał je dopiéro na godzinę przed śmiercią, ale tylko na tyle czasu, że mógł zanócić jednę strofę przedśmiertnego psalmu, który dziad jego śpiewał téż konając. Umarł w Wilnie 30 stycznia 1850 r. Strata jego obudziła współczucie w całém obywatelskiém społeczeństwie Litewskiém. Tomasz Zan, który go piérwszy wraz ze mną zaraz po skonaniu nawiedził, płacząc rzewnie powiedział o nim: „Nie było w sercu jego zdrady!“ — Nad grobem jego, na Ewangelickim cmentarzu Wileńskim, wyryty jest na pomniku ułożony przeze mnie napis:

Przechodniu, stój! bo stoisz nad męża mogiłą,
Co żyjąc stał na czasu swego wysokości;
Serce jego dla Prawdy i dla Cnoty biło.
A całe życie jego pasmem ofiar było,
Służąc Ludzkości w Bogu, a Bogu w Ludzkości.

Smutna to rzecz, i nawet nielogiczna na pozór, przytaczać najprzód nagrobek człowieka, a potém zaczynać mówić o piérwszém jego poznaniu. A jednak jest to zwyczajna kolej myśli moich przy pisaniu tych opowiadań. Gdy chcę wskrzesić w pamięci jakiś okres czasu, przebiegam najprzód myślą osoby, z któremi razem w nim żyłem; i pokazuje się, niestety! najczęściéj, że z nich sam jeden już tylko pozostaję na świecie. Stają mi więc najpiérwéj przed oczyma ich groby, i dopiéro zmówiwszy nad niemi *Anioł Pański*, i otrząsłszy myśl, jak kwiat z rosy, muszę i mogę zacząć przypominać, jakimi i czém byli za życia, sami w sobie, i dla mnie. Ale nawet względem siebie samego, ileż to nieraz potrzeba czasu, nim jak owi Gerwazy i Protazy w *„Panu Tadeuszu“*, człowiek sam w wyobraźni własnéj zdoła dójrzeć samego siebie, jakim był w owéj przeszłości.

Otóż ja w téj chwili „oglądam sam siebie“, jak w Sobotę przed Zielonemi Świątkami, w r. 1823, zwijam się już od rana po mieście, aby się z przyjaciółmi pożegnać, i jak przed samym już wyjazdem, idziemy o zachodzie słońca z Massalskim wykąpać się raz jeszcze w Wilii, gdzieśmy od wielu dni codzień o wschodzie wyprawiali studenckie *regaty*, pryskając się nawzajem dopóty, aż ten lub ów drugiemu ust i oczu wodą nie zalał. Wspominam tu ten szczegół dla tego, iż może być ciekawym rysem w psychicznéj charakterystyce Massalskiego, o którym przyjdzie mi wnet wspomnieć zkądinąd; a z którym wtedy śmiejąc się i figlując w kąpieli, mógłżem przewidzieć, że go już nigdy więcéj w życiu nie zobaczę, i że właśnie z jego powodu, chociaż pewnie nie z jego złéj woli, i ja, i to-

warzysz podróży mojéj, Czeczot, rozpoczniemy piérwsi szereg wypadków, które miały wpłynąć stanowczo na los nasz i wszystkich przyjaciół naszych.

Po całonocnéj podróży, z krótkim tylko popasem w Jaszunach, o wschodzie słońca w Niedzielę, zajechaliśmy przed dom w Bolciennikach: obszerny, murowany, ale bez piętra. Wszyscy, ma się rozumieć, spali; ale stary poczciwy Dominik, który spał w ganku, oczekując na nas, zaprowadził nas do przygotowanego dla nas pokoju, gdzieśmy wnet tak twardo zasnęli, że tenże sam nasz przewodnik zmuszonym był budzić nas, mówiąc, że musimy się śpieszyć z ubraniem, aby się na mszę do Bieniakoń nie spóźnić. Jakoż ledwośmy się ubrali, a on znowu przyniósł nam kawę:—otwierają się drzwi, i wchodzą oboje gospodarstwo, gotowi już jak wsiadać i jechać do kościoła. Weszli trzymając się pod ręce; a ta chwila piérwszego widzenia stała się dla mnie, względem ich obojga, jakby kamertonem uczucia, które rozwijając się i potęgując w ciągu wieloletniego dalszego stosunku, zawsze jednak mniéj więcéj zachowało ten sam ton i koloryt, w piérwszéj chwili od razu powzięty. Sprzeczny on był najzupełniéj z oczekiwaniem, to jest, z wyobrażeniem, jakie się już oddawna było we mnie złożyło, a którego świeże nawet opowiadania Czeczota, (bośmy w drodze o tém najczęściej mówili), zmienić jakoś nie mogły. Sam on przedstawiał mi się zawsze jako poważny ziemski obywatel, z pozorem i grzecznością pańską. Ona zaś—heroina! ofiara! wyobrażała mi się nie inaczéj, jak posępna, blada, milcząca, jak statua rezygnacyi na grobie. Aż oto jawi się para! On, dorodny, piękny młodzieniec; z włosem blond, wijącym się w pier-

ścienie; a z takim filareckim wyrazem w oczach i w twarzy, że aż serce drgnęło ku niemu. A ona—w białéj sukience po szyję; przepasana wpół paskiem czarnym; włosy ucięte krótko, ale jednak spadające na szyję, z pod okrągłego słomianego kapelusika; z twarzyczką białą, rumianą, uśmiechniętą figlarnie; zdała mi się być typem miluchnéj pensyonareczki. Uśmieszek ten figlarny był wyraźnie przewodnikiem ułożonego już w myśli powitania, które w wesołym i poufałym tonie, lubo zwrócone głównie do Mentora, dało się jednak zastosować i do Telemaka, jak mnie zaraz od początku nazwała. Piérwsza rozmowa też ze mną zaczęła się od powtórzenia prawie słów listu, to jest, że była ciekawa mnie poznać, i że raz, za wskazaniem Tomasza Zana, widziała mnie chodzącego przed domem, w którym w Wilnie mieszkała. Powiedziałem zatém nawzajem, dla czego tam tak często chodziłem: — i znajomość od razu zaczęła się w najlepsze. Nimeśmy zaś we czworo w powozie dojechali na mszę do Bieniakoń, byłem już tak z obojgiem jak Czeczot, który ich znał od lat wielu. (Puttkamer był wyznania ewangelicko-reformowanego, ale to mu nie przeszkadzało wcale bywać z żoną i modlić się w katolickim kościele). Ale co mnie zadziwiło najwięcéj, to że zaraz w piérwszych rozmowach, które były o poezyi, imię Adama tak często i tak swobodnie i naturalnie było wspominane przez oboje, jak gdyby „*Dziadów*“ nie było na świecie. Następnie była téż mowa i o świeżéj mojéj bytności w Kownie, (o czém od Czeczota wiedziano), i sama pani ciekawie, chociaż bez wyraźnego nacisku, rozpytywała mnie zwłaszcza o pani Kowalskiéj, o któréj znać już przedtém od kogoś słyszała. Zrozumiałem, że Adam

nie przestał interessować w myśli saméj pani, ale że się to działo za wiedzą i zgodą małżonka, który sam o nim ze szczerém uwielbieniem jako o poecie, a z szacunkiem i życzliwością jako o człowieku wspominał. Przekonałem się zaś najdowodniéj w dalszym ciągu mego z nimi stosunku, że był to skutek albo wyraźnéj niegdyś między nimi umowy, albo przynajmniéj szczerego i otwartego porozumienia się nawzajem w tym względzie. To téż bywały chwile, że pozowała wyraźnie, i to w obec męża, jeśli nie wprost na ofiarę, to przynajmniéj na heroinę, która z siebie ofiarę poniosła. Wynik zaś tego wszystkiego w przekonaniu mojém był taki: że to poetyczne idealizowanie saméj siebie, we własnych swoich marzeniach i myślach, wynagradzało jéj dostatecznie rzeczywistą stratę kochanka, aż nawet całkiem w końcu miejsce jego zajęło; mąż zaś, wyrozumiewając doskonale ten stan eterycznego rozmarzenia wyobraźni, z rozmysłu i postanowienia pozwalał jéj bujać swobodnie i wyczerpywać się do końca; ażby znużona wreście i nasycona wymarzoną chwałą heroiny, sama przez się wróciła na poziom rzeczywistego życia. Jakoż mądre te przewidywania psychiczne ziściły się z czasem co do joty. A że człowiek, który to umiał przewidzieć, musiał być i był istotnie niepospolitym człowiekiem: nie dziw, że zaspokojona w wyobraźni swéj co do siebie, sercem zwróciła się w końcu i przywiązała ku temu, który jéj tak rozumnie i szlachetnie do osiągnięcia tego uspokojenia dopomógł.

Dalsza historya małżeńskiego ich stosunku jest taka: Apoteozując się wciąż w myślach własnych, jako przedmiot uczuć wielkiego poety, jako źródło piérwszych jego natchnień i chwały; nowa Laura czy Beatricze; w życiu

realném była ona zawsze przykładną towarzyszką i najszczerszą przyjaciółką dla męża; aż nakoniec wspólna rodzicielska miłość ku dzieciom, zjednoczyła ich i pomiędzy sobą wspólnością uczuć i myśli; tak, że pożycie ich odtąd, aż do końca życia, stawiło obraz szczęśliwego stadła. Ale co w piérwszych latach, o których tu właśnie mowa, to cała zasługa utrzymania i kierowania stosunkiem przypada na takt, rozum, i szlachetną wyrozumiałość męża.

Dla gości wszakże dom ich już i wtedy był dziwnie miłym, a zwłaszcza dziwnie poetycznym przybytkiem. Wszystko tu zda się tchnęło i było przesiąkłe poezyą, zacząwszy od saméj pani, aż do najdrobniejszych szczegółów codziennego życia. W niczém nie było światowego przepychu ni zbytku; ale bez przesady możnaby powiedzieć, że we wszystkiém był przepych i zbytek poetyczny, to jest, że wszystko miało raczéj na celu estetyczne wrażenie i przyjemność, niżeli realną potrzebę lub materyalny pożytek. Samo nawet właściwe gospodarstwo żeńskie, domowe, którém się sama owszem chętnie zajmowała, miało charakter więcéj sielankowy, niż ściśle ekonomiczny. Zaglądała np. do obory, stajni i folwarku; ale to nie gwoli nabiału, lub dozoru pańskiego oka. Krowy na zawołanie do rąk jéj przychodziły same; konie w stajni, a zwłaszcza ulubiona jezdna „Huryska,“ oglądały się ku niéj gdy weszła; bo zwykle miała w chustce sól lub cukier dla jednych i dla drugich. Na głos jéj po obiedzie z ganku, wszelkie ptastwo ze wszystkich stron dziedzińca biegło z krzykiem i skupiało się koło niéj; bo mu z kosza sypała ziarno, lub okruchy zebrane ze stołu. Z twarzy sług widać było ochoczą

uprzejmość, z jaką każdy był gotów na rozkazy pani; bo pani nie wymagała tylko biernego posłuszeństwa, lecz była sama w domu jak *starsza panienka*, co na wieś na wakacyę przybywszy, i sama bawi się wszystkiém i każdemu radaby zrobić przyjemność. Rzeczywisty niewieści zarząd domu był wyłącznym udziałem staréj pani *Gryndzowéj*, to jest dawnéj piastunki samego pana, która go wychowała od dziecka osieroconego po matce, i któréj on kiedyś chłopięciem życie nawzajem ocalił, ugasiwszy, z narażeniem się własném, zajętą już płomieniem odzież jéj od komina, przy którym przędąc usnęła. Stosunek jéj z młodą panią mógłby ujść i był istotnie najpiękniejszym dowodem charakteru i temperamentu téj ostatniéj, która go tak ułożyć i utrzymać umiała, iż nie ubliżając bynajmniéj powadze swéj, jako pani domu, a uwzględniając zasługi i nawyknienia staruszki, zostawiła ją przy zarządzie domem wychowańca, który téż ze swojéj strony okazywał dla niéj szacunek i affekt serdeczny, jakby dla starszéj krewnéj, a nie sługi. Ale trudniejszy stokroć był stosunek i obowiązek synowéj względem mężowskiego ojca, który od lat już wielu popadłszy w rodzaj melancholii, po stracie żony i w skutek klęsk krajowych, na starość był już prawie zdziecinniał, i mieszkał stale przy synu. Był to staruszek dziwnie cichy, słodki, łagodny, modlący się już tylko, lub niekiedy piszący wiersze (treny), których wszakże nie czytał nikomu. O wszystko prosił pokornie, i za wszystko czule dziękował. Postępowanie względem niego Marylli było istotnie godne uwielbienia. Staruszek całém sercem przywiązał się do niéj; a ona, z poświęceniem najlepszéj córki, starała się we wszystkiém

i zawsze dolę jego i tęsknotę osładzać. Czyniła zaś to wszystko głównie przez chęć przypodobania się mężowi, wywdzięczając się mu przez to niejako za swobodę, którą on sercu i myślom jéj zostawiał. Chęć ta przypodobania się jak bratu, okazywała się w niéj również i w innych szczegółach domowego pożycia. Mąż naprzykład był przedewszystkiém troskliwy o los i dobro swych włościan. Dopomagała mu więc w tém najgorliwiéj, opiekując się sama dziećmi i chorymi we wsi, albo téż, dla pracujących w lecie podczas skwarów, przyrządzając i posyłając na pole beczki z kwasem lub wodą octową. Towarzyszyła mu téż chętnie w odwiedzaniu chałup wieśniaczych, a nawet często i na polowaniu z chartami, które on lubił namiętnie, a ona była tylko śmiałą amazonką. Same nawet psy jego myśliwe, których było stosunkowo za wiele, a w których ona sama wcale upodobania nie miała, były dla niéj przedmiotem troskliwéj opieki, wiedząc, że się to podoba mężowi. W ten téż sposób daje się najlepiéj, a nawet jedynie, pojąć i wytłómaczyć ów szczególniejszy stosunek, który ich łączył w piérwszych latach pożycia. Nie miał on w niéj właściwie żony, ale miał czułą siostrę i dobrą przyjaciółkę, która o jego przyjemnościach myślała, i z którą mógł o wszystkiém z ufnością i z przyjemnością pomówić. A zresztą i sama bytność w domu młodéj, nadobnéj, miłéj panieneczki, nie mogła jużciż nie mieć dlań pewnego uroku, tém bardziéj, że miał zawsze w perspektywie przed sobą, że prędzéj późniéj miłość jéj pozyska.

I tu właśnie jest miejsce, jak sądzę, powiedzieć jeszcze słów kilka o osobistości Marylli. Śmiało można być pewnym, że ludzie będą przez wieki myśleli

i wspominali o niéj, jak dziś myślą i wspominają np. o Orszulce Kochanowskiego. A któż dziś nie radby wiedzieć, jak wyglądało za życia to „*Kochanie Ojcowskie?*“

Otóż ja, jako świadek naoczny, powiadam: że nie znałem drugiéj osoby, coby się tak kwalifikowała, jak ona, na przedmiot *poetycznego kochania*, i to zwłaszcza ze strony poety-studenta, i adepta „*promionkowéj*“ teoryi miłości. Nie mogła ona nazwać się piękną, we właściwém tego słowa znaczeniu: ale miała ten wdzięk i powab, który stanowi istotę i główny urok piękności. Kibić kształtna, wzrost średni, twarz pogodna i miła, oczy niebieskie, spójrzenie wyraziste i czułe, uśmiech naiwny i figlarny zarazem—wierny obraz umysłowego i uczuciowego nastroju jéj ducha. Oczytana, exaltowana, marząca więcéj niż myśląca, nigdy ona nie wyszła sama w sobie na jasno z tęczowéj mgły swéj wyobraźni; ale sama ta mgła właśnie sprawiała, że téż i dla oczu patrzących nie wydała się nigdy zwyczajną, pospolitą istotą; i dosyć było spójrzeć przez pryzmat miłości, aby w niéj dójrzeć nie ziemskie, Ossyanowsko-obłoczne zjawisko. Gustaw spójrzał—i mamy *Dziady*.

Ale wracając do realnéj prozy. Przez te trzy dni pobytu w Bolciennikach, wyczerpaliśmy wszystkie wiejskie rozkosze. Chodziliśmy i jeździli konno na spacery, około zboża, do wsi, i do lasu. Obiadowaliśmy pod gołém niebem w ogrodzie, a podwieczorkowaliśmy wesoło w gaju, choć tam to właśnie znajdował się ogromny płaski kamień, z krzyżem przez nią samą wykutym, położony jako nagrobek: Przeszłości i Nadziei. Jeździliśmy wieczorem na słomki, i strzelaliśmy

do jaskółek nad stawem; przyczém *błękitny* nasz kolega, p. Xawery Turski, który téż swoją drogą jako gość przyjechał, rehabilitował świetnie strzelecką sławę poetów, z których się pod tym względem natrząsała Marylla. Zabawę między czterema ścianami składały, oprócz rozmowy: muzyka, deklamacya, lub śpiewy samego pana Lorensa, (bo go tak nazywała Marylla, a i my wszyscy przyjęliśmy tę nazwę). O głosie jego wspominałem już wyżéj, że był dziwnie harmonijny i wdzięczny. Śpiewał zwłaszcza z upodobaniem francuzkie piosnki żołnierskie, albo nasze własne ludowe. Z tych ostatnich utkwiła mi zwłaszcza w pamięci jedna rusińska, i to nie tylko ze swojéj melodyi, chociaż bardzo wdzięcznéj, i na temat któréj Marylla ułożyła téż bardzo wdzięczne waryacye na fortepian. Była bowiem niepospolitą na owe czasy muzyczką; i choć nie zadziwiała mechaniczną ruchliwością palców, ale gra jéj przemawiała do serca. Piosnka zaś, o któréj wspomniałem, była następująca:

„*Da czerez moj dwor,*
Da czerez moj dwor,
Da ciaciera lacieła.
Nie dau mnie Boh,
Nie dau mnie Boh,
Kaho ja chacieła.“

Słowa te w ustach męża Marylli, śpiewane przy akompaniamencie jéj saméj, mogłyby ujść za najwymówniejszy komentarz ówczesnego ich między sobą stosunku. Dla mnie zaś ta piérwsza, trzydniowa gościna w Bolciennikach, stała sie początkiem najszczerszéj, serdecznéj przyjaźni, która jak już z jednéj strony dotrwała, tak z drugiéj trwa aż do śmierci.

Ale smutny był powrót do Wilna. Wprost z powozu poszedłem do państwa Becu i zastałem dom cały w zamieszaniu i przerażeniu. Massalki, który jeszcze w sobotę tak wesoło rozstał się ze mną; który przez całą niedzielę był w zwykłym swoim, to jest prawie płocho wesołym humorze; nazajutrz, ni ztąd ni z owąd, słowa nie rzekłszy nikomu, udał się sam dobrowolnie do miejscowéj władzy, żądając, aby go ta od siebie odesłała pod strażą do Warszawy, gdzie on dopiéro samemu Wielkiemu Xięciu powód tego swego kroku wypowié. Poczytano go z razu za waryata; ale gdy uporczywie obstawał przy swojém, a innych oznak obłąkania nie było: uczyniono zadość jego żądaniu, i właśnie w dniu naszego powrótu, wysłano go istotnie do Warszawy, wraz z opieczętowanemi papierami, które w mieszkaniu jego znaleziono. Po dwóch tygodniach dopiéro doszła nas ztamtąd wiadomość, że Massalski stawiony przed W. Xięciem oświadczył, iż pragnąc wejść oddawna do wojska polskiego, pod rozkazami Jego Wysokości, chwycił się tego sposobu, aby bez kosztu dostać się do Warszawy i mieć przytém sposobność przedstawienia się osobiście. Piérwszy zaś pomysł i pochop ku temu powziąć miał, jak sam wyznał, z pamiętników jakiegoś Francuza, który niegdyś podobnymże fortelem bezpłatną podróż do Paryża i posłuchanie sobie u króla wyjednał. W skutek tego, rozkazano go przyjąć do wojska, ale w stopniu prostego żołnierza. Po latach kilku dopiéro, dosłużywszy się rangi oficerskiéj, otrzymał nakoniec dymissyę. i zająwszy się interessami możnéj rodziny pp. Dolskich na Podolu, ożenił się tamże, i umarł otoczony szacunkiem i życzliwością przyjaciół, których wszędzie umiał sobie pozyskać. Przed nikim wszakże i nigdy, jak mi powiadano, nie mówił o tym swoim osobliwszym postępku, i istotna jego pobudka została tajemnicą między nim a Bogiem. Ale pomiędzy jego papierami znalazł się jakiś listek od Jana Jankowskiego, który był piérwszą przyczyną zabrania téż jego papierów, i następnie aresztowania jego samego. Nastąpiło to wszakże nie piérwéj, jak w jesieni tegoż roku 1823. Zamiast więc dalszych skutków, jakie ztąd wynikły, wolę wrócić tymczasem do opowiadania o sobie, o tém ostatniém lecie wesołéj i niczém jeszcze niezachmurzonéj młodości.

Cała druga połowa Czerwca poświęcona była, jak zwykle, examinom uniwersyteckim. Moje, nad wszelkie spodziewanie własne, udały się jakoś pomyślnie:— w skutek zapewne cudownéj opieki, któréj się w Ostréj Bramie najprzód poleciłem. Professor prawa Rzymskiego, Capelli, którego się obawiałem najbardziéj, chociaż na radzie professorskiéj oświadczył, (ale to w pół żartem), że miałem być jakoby „*le plus volage de toute l'université*“, (Capelli mówił zawsze po francuzku), nie przeciwił się jednak udzieleniu mi naukowego stopnia z „obojga praw“;—chociaż ja, Bogiem a prawdą, ani jednego dobrze nie umiałem. Wynagradzając więc za to sam siebie, pojechałem znowuż do Kowna, na publiczny examin tameczny; mając po nim razem z Adamem powrócić zaraz do Wilna.

Examin ten, a raczéj popis publiczny, jak we wszystkich ówczesnych szkołach Litewskich, odbył się bardzo uroczyście i świetnie, w dzień ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła, w obec licznie zebranéj publiczności. Adam, jako professor „Wymowy“, kierujący deklamacyą uczniów,

brał w nim zwłaszcza przeważny udział, wespół z professorem „Fizyki," który doświadczeniami fizycznemi kierował. W gronie widzów, ma się rozumieć, były téż i damy z Romań. Pani Kowalska tak była dobrą, że zajęła umyślnie miejsce obok z niemi, i mnie umieściła przy sobie. Ale ja przedtém już, i to właśnie w jéj domu, znalazłem był niespodziewaną nowość, która rozrywała moję uwagę. Była nią córka rodzonéj jéj siostry, szesnastoletnia panna Józefa, a raczéj Józia S., przybyła z Wilna do ciotki, aby jechać z nią razem na lato do kąpieli morskich w Krantz, pod Królewcem, dokąd téż w końcu Lipca miał się udać i Adam. Nie mogła ona wprawdzie iść w porównanie z olśniewającą pięknością Armidy; ale miała téż piękność swojego rodzaju, która ją dziwnie uroczą czyniła. Był to wdzięk rozkwitającéj różyczki, a razem i duszyczki niewinnéj, budzącéj się właśnie do życia; i wdzięk myśli, co wpół jeszcze dziecinna, przeczuwa już w marzeniu świat wyższy, świat uczucia i ideału, i tęskni doń z nadzieją i z wiarą. Słowem była to dziwnie poetyczna istotka. Ujrzawszy ją raz piérwszy w kapelusiku pasterskim, kiedyśmy ją wraz z ciotką na przechadzce spotkali, nadałem jéj od razu nazwę *„berżerki,"* która tak widać zdała się stosowną, iż już na zawsze pozostała przy niéj, w gronie rodziny i bliższych przyjaciół. Adam zwłaszcza miał dla niéj affekt prawdziwie ojcowski, i kiedyśmy z téj piérwszéj wspólnéj przechadzki wrócili, zapytał mnie najprzód na seryo: czy mi się podoba? i w ślad zatém bez ogródki oświadczył, iż jest to jego ulubioném marzeniem, aby mnie z nią kiedyś poswatać. Nic nie mogło być daléj ode mnie, jak naówczas myśl o małżeństwie; a jednakże to powiedzenie Adama nie musiało pozostać bez pewnego wpływu; gdyż sam nie wiém jakim sposobem, ale dawny urok Armidy znacznie jakoś we mnie osłabnął. Nie zaniedbałem przecież być z wizytą w Romaniach; tylko, że gdy wróciłem i zdawałem z niéj sprawę Adamowi, on widocznie był rad z jéj wrażenia, i tém bardziéj *berżerkę* wychwalał.

Za powrótem z nim razem do Wilna, gdzie on z Czeczotem i ze mną zamieszkał, przeciągnąłem jeszcze do połowy Lipca wyjazd mój na wakacye do domu, i rozstaliśmy się z nadzieją, że on znowu na przyszły rok szkolny albo urlop dla zdrowia otrzyma, lub za granicę wysłany zostanie. Ale wszystko się obróciło inaczéj!... Ja wszakże przedtém miałem jeszcze porę spełnić mój wakacyjny projekt odwiedzenia Chodźki w Dziewiętni. Odwiedziny te w życiu i przeznaczeniu mojém stanowią jedną z najważniejszych epok. Na nich się skończył właściwie okres uniwersytecki, i pod ich zwłaszcza wpływem rozpoczął się nowy.

IV.

Od lat już wielu znane są ci, siostrzyczko, „*Dwie Konwersacye z Przeszłości,*“ przez autora „*Obrazów i Podań Litewskich*“ (Ignacego Chodźkę). Część ich druga, jak wiadomo, poświęcona jest wyłącznie wspomnieniom i opowiadaniu stosunków autora ze mną i ze wspólnym przyjacielem naszym, Juljanem Korsakiem. Opowiadanie to, ujęte w karby i trzymane w tonie kompozycyi literackiéj, lubo na szczeréj prawdzie psychicznéj, i nawet faktycznéj, oparte, nie trzyma się wszakże jéj ściśle pod względem chronologicznego porządku, przenosząc mianowicie zaraz na początek, co dopiéro po latach kilku i kilkunastu było skutkiem tych piérwszych moich, nie wspólnych, ale pojedyńczych odwiedzin. Uprzedzam przeto, że w niniejszém opowiadaniu mojém, nie krępuje mię wcale wzgląd na owe poprzednie; dla chcących zaś porównywać jedno z drugiém, moje niech tylko służy za komentarz.

Od lat sześciu nie byłem w tych stronach. Ostatni zaś mój pobyt, podczas którego, jak już wyżéj wspomniałem, raz piérwszy spotkałem się z Chodźką, był mi zawsze niemniéj pamiętny z powodu uroczystego

obrzędu Bierzmowania, do którego w parafialnym kościele Wojstomskim i ja także przystępowałem. Jako gościa postawiono mię na czele szeregu chłopców. Naprzeciw stały dziewczynki, a na ich czele, dwie panieneczki z sąsiedztwa, jedenasto i dziesięcioletnie: Ludwika i Zofia Mackiewiczówny. Wspominając o tym świętym obrzędzie, zawsze jakoś pamiętałem i o nich. Miłą mi więc była wiadomość, że o pół mili tylko od Dziewiętni mieszkają, i zaraz nazajutrz uprzejmy mój gospodarz zawiózł mię do „Ruskiego Sioła,“ (tak się zwała wieś ich rodzinna). W „*Dwóch Konwersacyach*“ jest wiernie skreślony obraz i tego staroświeckiego domu, i młodych a gościnnych jego naówczas gospodarzy, i moich współbierzmowanek. Powtarzać go więc tutaj nie będę, a tylko korzystam ze sposobności, aby hołd czci i przyjaźni serdecznéj złożyć pamięci trzeciéj, starszéj ich siostry, (z poprzedniego małżeństwa ojca), Anieli, dla któréj ta cześć właśnie i przyjaźń, od piérwszéj chwili poznania powzięte, stały się piérwszém ogniwem, które los mój z tym domem w przyszłości złączyło. Autor „*Konwersacyi*“ nie wspomniał o niéj z osobna, gdyż musiałby ją chyba na piérwszym planie postawić. Była ona o lat parę starszą ode mnie, a obok niepospolitéj urody, wykształceniem umysłu i serca godną była stać w piérwszym rzędzie tych typowych postaci niewieścich, a właściwiéj mówiąc panieńskich, które w owéj epoce właśnie nie rzadko dawały się spotykać po szlacheckich dworkach Litewskich, a których obraz w poezyi naszéj uwidomił się i uwiecznił w Marylli. Generyczne niejako podobieństwo ich między sobą, było najniezawodniéj skutkiem podobnegoż sposobu wychowania, a może i czytelnictwa

tych samych prawie dzieł literatury francuzkiéj, które były naówczas w powszechnym obiegu i modzie. Ogólną zaś, a wybitną różnicę od wychowanek miasta, stanowił przeważny zwrót ich myśli do idealnych krain wyobraźni, zastępującéj im brak codziennych, rzeczywistych wrażeń. Panna Aniela nadto miała tę wyższość nad wielu innemi, że przez blizkie spowinowacenie, (przez bratowę), i stosunki z domem xiążąt Ogińskich, przejęła rzeczywiście ton wyższych światowych towarzystw, a korzystając z biblioteki xięcia Michała w Zalesiu, czytała więcéj dzieł treści poważnéj, a mianowicie filozoficzno i religijno-moralnych, w których podobała najbardziéj. Osobistą zaś jéj właściwością było przedewszystkiém to, że nie przestając na wiedzy, wszystko, co w xiążkach za dobre lub za piękne uznała, stosowała zaraz do siebie, i starała się urzeczywistnić w praktyce własnego życia, bez względu na interes i rachuby światowe, a często wbrew jednemu i drugim. Ztąd poszło, że trudna w wyborze, a wciąż czyimś cudzym losem zajęta, nie dała się nakłonić sama do wejścia w związki małżeńskie, ale przez całe życie i aż do końca była zawsze tylko pomocą lub opieką rodziny, a szczęściem i chlubą przyjaciół. W chwili, o któréj tu mowa, złączona ścisłą przyjaźnią z młodą, rozumną, i wysoce wykształconą bratową, (Teklą z Łopacińskich, rodzoną siostrzenicą xięcia Michała Ogińskiego), była wespół z nią opiekunką dwóch sióstr młodszych, moich współbierzmowanek, i wychowującéj się z niemi razem stryjecznéj siostry Kazimiry. Obie one z urody mogłyby się mierzyć z Armidą; ale że jedna z nich, starsza, była już wybranym przedmiotem uczuć mojego gospodarza, druga zaś, choć dopiéro

w dziewięć lat późniéj, stała się, z woli Opatrzności, towarzyszką mojego życia: rozszerzać się o nich dłużéj nie będę, z obawy oracyi *pro domo sua;* a wracam do właściwego programu niniejszych opowiadań, do dalszych osobisto-literackich stosunków moich z autorem „*Obrazów Litewskich.*“

Kawalerskie gospodarstwo jego w Dziewiętni, za czasu tych piérwszych moich odwiedzin, miało nie jeden rys podobieństwa z gospodarstwem żeńskiém Marylli w Boleiennikach. Tu i tam, poezya, nie ekonomia, we wszystkiém. Ogród obchodził go więcéj, niż rola; *lamus*, gdzie miał literacką pracownię, i tak zwany *Helikon* [1]), gdzie marzył, więcéj niż spichrz albo stodoła. Na tym ostatnim, podczas bytności mojéj, wyprawił on rzeczywiście podwieczorek dla swoich nadobnych sąsiadek, które z bratową i z bratem przybyć nań raczyły, i niewątpliwie ta feta zbliżyła znacznie cel sercowych pragnień jego i westchnień. Następna już bowiem moja wizyta z Korsakiem, w r. 1825, opóźniona tak długo tą razą z przyczyn, jak się to mówi, „niezależnych ode mnie,“ zastała już w Dziewiętni młodą

---

[1]) „W jednéj części ogrodu, znalazły się cztery ogromne brzozy, z jednego pnia rozrosłe; wśród nich zatém, wysoko nad ziemią, osnowano z brzozowych także, korą pokrytych, belek, bezpieczną galeryą, ogrodzoną i wymoszczoną, a przypartą do brzóz tak, że się razem z niemi od wiatru kołysała, i razem z niemi wzrosłą być się zdawała. Wschodki podobnież brzozowe, ślimakiem kręcone, bezpiecznie na nią wiodły, a tam stolik i ławeczki dla kilku osób wygodnie służyły. Na frontowéj zaś baryerze, z białych brzozowych prątków splecionéj, wielkie litery, ze mchu zielonego ułożone, wyrażały szyld poetycki: *Helikon.*
(Dwie Konwersacye).

panią domu, która ład i porządek zaprowadziła we wszystkiém, a przy któréj i młodsza siostra jéj zamieszkała. Odtąd już regularnie co lato, przyjeżdżając z Warszawy do ojca, bawiłem tam po całych tygodniach w uprzejméj, przyjacielskiéj gościnie, lub byłem uczestnikiem familijnych wizyt młodéj pary, oddawanych, wraz z siostrą, daleko mieszkającym krewnym. Jedna właśnie z tych wizyt stała się jakby zwrótnikowym punktem w literackim zawodzie Ignacego Chodźki, i zasiała w nim piérwsze ziarno przyszłych „*Obrazów i Podań Litewskich.*“

Pojechaliśmy do sędziwéj jego ciotki, dziedziczki właśnie naówczas owego „*Domku Dziadka,*“ w którym się on sam urodził i wychował, i od którego opisania potém szereg owych *Obrazów* rozpoczął. (Nazwisko jego *Zabłoczyzna,* w powiecie Wilejskim). Mąż ciotki, p. Kaczanowski, osiemdziesięcioletni już starzec, za młodu towarzysz broni i osobisty przyjaciel Pułaskich, w konfederacyi Barskiéj, następnie przez całe życie plenipotent różnych wielkich panów i w różnych częściach kraju, miał w pamięci niezliczoną moc faktów, przygód i anegdot, których albo był sam uczestnikiem i świadkiem, albo o których kiedyś zasłyszał od drugich. Opowiadał zaś to wszystko tak żywo, tak barwnie i obrazowo, żeśmy po całych dniach, a nieraz i w nocy, słuchali go ciekawie z otwartemi usty, aż do zniecierpliwienia niekiedy i gniewu towarzyszek naszych podróży. Podobnego talentu opowiadania mógłby mu pozazdrościć największy powieściopisarz, jakich natenczas u nas wcale jeszcze nie było. Zastanowiło to uwagę Chodźki, który dotąd pisując tylko ulotne wierszyki lub pełne dowcipu i werwy artykuły do „*Wia-*

domości Brukowych,“ za cel wszakże poważniejszéj swéj pracy literackiéj zakładał sobie jedynie napisanie kiedyś dzieła filozoficzno-moralnéj treści, na wzór „*Principes Philosofiques*“ Weissa, które to dzieło natenczas było powszechnie znane i ulubione na Litwie. Poczuliśmy raz piérwszy sami przez siebie, co jest za urok w tradycyjnych obrazach przeszłości i obyczajowości rodzinnéj. Gdy więc mając wydawać noworocznik *Melitele* na r. 1829, wezwałem do współudziału Chodźkę: doradziłem mu téż zarazem, aby zamiast filozoficznéj rozprawy *à la Weiss*, którą chciał mię obdarzyć, spróbował raczéj powtórzyć jedno z owych opowiadań p. Kaczanowskiego. Usłuchał, i napisał powiastkę: „*Poddany,*“ która się podobała powszechnie. Adam najprzód ustnie przeze mnie w Petersburgu, a potém sam własnoręcznym listem z Rzymu, zachęcał i naglił autora, aby i nadal w tym kierunku talent swój rozwijał. I to był piérwszy powód i piérwszy bodziec, który myśl jego kierując powoli, zwrócił ją nakoniec stanowczo ku obrazowaniu własnéj naszéj, duchowo-obyczajowéj przeszłości, i to wyłącznie w sferze wiejsko-obywatelskiéj, którą znał sam przez siebie, czuł ją w duchu i prawdzie, i kochał. I toć jest, co stanowi ten urok, który tak zawsze po polsku z pism jego do serc polskich przemawia, i takie w nich budzi współczucie.

I niech mi wolno będzie przy téj sposobności, dla ulżenia własnemu sercu, wypowiedzieć choć raz otwarcie cały ten wstręt i obrzydzenie, jakiém przejmują mię zwykle te pseudo-humorystyczne koncepta, lub karykaturalne obrazki, na tle wiejskiego życia ziemian naszych, które lada zatemperowane, a nieutemperowane

piórka, gwazdają po xiążkach lub felietonach, dla popisu ze swym niby dowcipem, albo jakby dla pozowania na cywilizacyjną wyższość nad nimi. Czytając tego rodzaju elukubracye, zawsze zdaje mi się, że widzę fanfarona próżniaka, ubranego elegancko na kredyt, stojącego na trotoarze z cygarem w zębach i z rękami w próżnych kieszeniach, wyśmiewającego starodawny strój gospodarza ze wsi, który owoc swéj znojnéj i poczciwéj pracy przywiózł na pokarm i na odzież miastu, lub szydzącego z przechodniéj kompanii pielgrzymów, którzy śladem pobożnych ojców, idą hołd złożyć cudownéj swojéj Królowéj, którą szyderca i jemu podobni napróżno zdetronizowaćby chcieli. Nie ma wprawdzie i być nie może malarza, któryby się nie posługiwał cieniami, dla wydania jasnych punktów obrazu; lecz chcieć malować same tylko cienie, jest to chyba malować ciemność, by na tle jéj błyszczeć samemu, i to chyba połyskiem ognika, który sam błędny, obłąkuje drugich. Nie to był cel i nie taka metoda autora „*Obrazów Litewskich;*“ a gdy to świadczy dobrze o jego rozumie i sercu, toć z drugiéj strony mogłoby może posłużyć za niemniéj pochlebne świadectwo o ówczesnym składzie i stanie społeczeństwa obywatelskiego na Litwie, które mu za model służyło.

Starszyzna, pamiętająca żywo niedawno minioną przeszłość, odbijała jeszcze w sobie widomie, jak chmury światło po zachodzie słońca, dawną powagę i godność swego stanu; zapomniawszy, bodaj z potrzeby, zbytniéj może wesołości i buty. Młodzież zaś, któréj część znaczna przeszła już była przez uniwersytet Wileński, lub brała udział w kampaniach wojennych, w piérwszych dziesiątkach bieżącego stulecia, wzięła już była sobie

za zadanie, aby stać się mędrszą po szkodzie, i łączyła się wzajem w dążeniach ku temu; *notabene*, bez cienia modnéj właśnie gdzieindziéj w owym czasie „*tężyzny*,“ lub późniejszéj „*cyganeryi.*“ Nie mówię jużciż tego w ogólności o wszystkich, ale śmiało stosuję do wszystkich, którzy już rej naówczas prowadzili w powiatach, a spotykali się z sobą nawzajem, już to na gubernialnych wyborach, już na prowincyonalnych kontraktach. A dodać trzeba jeszcze do tego rys jeden, drobny może na pozór, ale ogólny i wielce charakterystyczny, to jest, że między rówiennymi wiekiem, koleżeństwo to, czy szkolne, czy obozowe, wyrobiło téż było nawzajem w obejściu koleżeńską otwartość i poufałość, przemieniające się już łatwo we wzajemną życzliwość i przyjaźń. Otóż Chodźko, należąc z wieku do tego właśnie pokolenia, przy osobistych swych zwłaszcza przymiotach: wrodzonym jowialnym humorze, żartobliwym a nie złośliwym dowcipie, bystrym i wykształconym umyśle, a przytém poetyckim talencie, bez przesady można powiedzieć, iż w obrębie przynajmniéj gubernii swojéj, był on jakby środkowém ogniwem, które podobnych jemu w kółko bliższéj zażyłości łączyło. Tu mi przychodzi na myśl anegdota, którą jako przykład opowiem.

W końcu Kwietnia 1825 roku, Chodźko jechał do Wilna, swemi końmi, jak zwykle, na Śto-Jerskie kontrakta, na które się, jak dziś jeszcze w Kijowie, z całéj prowincyi zjeżdżano. Na ostatnim popasie przed miastem, napędził go jadący pocztą, kolega i przyjaciel Józef Rahoza, i dla skrócenia mu nudy popasu, namówił go z sobą na pocztową bryczkę, zostawiwszy natomiast swego służącego, aby tenże w powozie

Chodźki, zdążył potém za nimi. Tymczasem w ciągu drogi nadszedł deszcz ulewny, który nie tylko zmoczył ich do nitki, ale i całkiem błotem od stóp do głów obryzgał. W tak opłakanym stroju Chodźko zajechał wprost do mnie, który stale wtedy w Wilnie mieszkałem, i zastał mię wychodzącego właśnie na plac Ratuszowy, gdzie się cała kontraktowa publiczność codzień o téj porze zbierała. Śliczna wiosenna pogoda, po przejściu chwilowéj ulewy, tém liczniejsze rokowała zebranie. Żal było Chodźce, że iść na nie nie mógł, to jest, że iść nie wypadało w tak Dyogenesowym kostiumie. Zostałbym przeto chętnie dla kompanii jego, ale w nim samym nakoniec chęć serdeczna nad względami światowéj etykiety przemogła. Otarłszy się więc nieco z błota, postanowił—jak się wyraził—pójść ze mną na „wypróbowanie swoich przyjaciół,“ którzy z nim i w tym stroju nie będą się wstydzili przywitać. Frazes ten, powtórzony przez niego piérwszemu ze znajomych, którego spotkał na placu, rozbiegł się wnet jak echem po całém zgromadzeniu, i w pół godziny Chodźko był już jakby punktem środkowym, do którego się wszyscy z kolei z serdeczném powitaniem garnęli; a ta właśnie szczególna jego toaleta, zdawało się, że owszem we wszystkich życzliwość ku niemu podniosła. Nie tylko więc nie dano mu pójść się przebrać, gdy już rzeczy prawdopodobnie nadeszły, lecz musiał w liczném gronie, wprost z placu, iść na wieczerzę do restauracyi Titiusa, gdzie znowu na cześć jego nowa popłynęła ulewa, i próbujący serca swoich przyjaciół, musiał, w skutek ich uprzejmości, przejść sam przez próbę mocy głowy swojéj.

„Takie były zwyczaje, serca, w one lata
Śród cichych stron litewskich.“

A wspominam tu o nich tém chętniéj, że już ten dawny nastrój obyczaju i ducha, znika nawet w pamięci nowego pokolenia, jak płowiejący piérwotny dagerotyp—i gdybyż tylko, jako on, od słońca!—i że się przekonałem w dalszym ciągu życia, jak podobny stan, a raczéj nastrój serc i umysłów, nie jest wcale zwyczajném, pospolitém zjawiskiem. Obyczaj nawet pod tym względem dałby się może przyrównać do wiary, w któréj prostota graniczy z doskonałością, a zaś po wyjściu z prostoty, przez doskonałość już tylko wrócić do niéj można. A przecież trudno nie dodać ze smutkiem, choćby tylko dla przestrogi nowych pokoleń, jak podobny stan rzeczy za Niemnem, był, nie to mało cenionym, ale zgoła, rzec można, niewiadomym nad Wisłą, a przynajmniéj w saméj Warszawie, gdzie przecież w tym samym czasie, z drobiazgową szczegółowością, śledzono każdy symptom rozwoju obywatelskiego życia we Francyi, i uczono się prawie na pamięć frazesów, powiedzianych w Izbie Deputowanych w Paryżu, które modny naówczas „*Journal des Debats*“ ogłaszał. A możnaby powiedzieć toż samo i co do ówczesnego uniwersytetu w Wilnie; gdzie przez cały ciąg najświetniejszego jego rozkwitu, nikt nigdy, ani z literatów, ani z podróżników Warszawskich, nie zajrzał choćby na chwilę, choćby tylko przez prostą ciekawość, czém téż jest i jak wygląda w istocie, to gniazdo nowego zwrótu w poezyi naszéj, o wartości przecież którego tak głośne i tak zawzięte toczyły się spory.

„Taka była przesądów owoczesnych władza.“

Ale wracam do głównego przedmiotu, to jest do literackich kompozycyi Chodźki. Wspólną cechą ich wszystkich jest prawda realna, lecz dopatrzona ze strony dodatniéj, oraz miłość, z téj zwłaszcza strony na przedmiot swój patrząca, a rozciągająca się i do czytelników. Pod tym względem jest to ten sam ton i koloryt, co w „*Panu Tadeuszu*,“—rodzimy, nie naśladowany; i wszystkie „*Obrazy Litewskie*“ Chodźki, mogłyby ujść za rapsody téj saméj, tak skromnéj i tak prostéj w wyborze przedmiotu, a tak żywéj i ożywiającéj, epopei ducha narodowego.

Do powrótu mojego z zagranicy, był tylko napisany i wydrukowany (w noworoczniku Wileńskim), „*Domek mojego Dziadka*“ i „*Samowar*,“ które mi autor przysłał był do Drezna. Za piérwszą po powrócie moją bytnością w Dziewiętni, odczytawszy z nim wspólnie wieczorem „*Domek*,“ tak byłem nim żywo przejęty, że w nocy przyszła mi, a raczéj przyśniła się myśl, i opisawszy tak pięknie cnotliwe i bogobojne życie, powinienby i śmierć podobnąż tego samego człowieka opisać. Myśl ta tak mię opanowała, że nie czekając poranku, wywołałem Chodźkę z sypialni, by mu ją wnet zakomunikować. A że noc była xiężycowa i ciepła, więc przechodziliśmy ją aż do świtu w ogrodzie, a pomysł mój tak trafił do jego przekonania, że gdyśmy się nazajutrz zeszli na dzień dobry, początek „*Śmierci mojego Dziadka*“ ułożony już był w myśli autora. Owa zaś wspólna nocna narada tak się nam obu jakoś podobała, że nie czekając na senne natchnienia, zacząłem mu poddawać różne inne przedmioty, tak, że mię nazwał w końcu swoim „liwerantem pomysłów.“ Nie wiele z nich, ma się rozumieć, przydało mu się rzeczywiście, ale o każdym

była zwykle miła pogadanka, i toć jest, co stanowiło przyjemność tego rodzaju stosunku. Prócz tego miał on jeszcze jakby pewien rodzaj przesądu, że przedmiot, czy przez kogo innego, czy niespodzianie przez jakąś okoliczność wskazany, wzbudzał w nim żywszy interes, niż gdyby go był sam w sobie pierwiastkowo wymyślił; tak jak mnie samemu, naprzykład, zdawało się przez długie lata, że papier z przyjacielskiego daru, skuteczniéj jakoś wpływał na wenę piszącego, niż kupiony po prostu za własne trzy grosze. Rozumni ludzie dzisiejsi śmiać się będą z tego, wiém o tém; ale ja właśnie mówię to dla tego, że się téj śmieszności nie lękam; a może znajdą się i tacy, którzy czując coś nakształt tego, w tym lub owym względzie, pocieszą się w przekonaniu własném, że nie oni jedni tak głupi, i że może tego rodzaju przesąd tkwi gdzieś głębiéj w ludzkiéj naturze i sięga jéj magnetycznych tajemnic. Zresztą te moje pomysły nie tyczyły się bynajmniéj ani formy, ani toku kompozycyi, a tylko w ogólności wskazywały na przedmiot. Tym sposobem, między innemi, powstały „*Boruny*“ i „*Pamiętniki Kwestarza*,“ tylko że te ostatnie, w myśli i pod piórem autora, przybrały całkiem odmienny od mojego pomysłu obrót i charakter. Ja radziłem notatki kwestarza, który podwakroć zwiedzał te same domy, raz podczas trwania wielkiéj komety w r. 1811—1812, a drugi raz we dwadzieścia lat potém. Autor dopiéro w części drugiéj, napisanéj o wiele lat późniéj, do téj piérwotnéj myśli mojéj nawrócił—choć się już w niéj sam na piérwotną siłę swoję nie zdobył.

Dla bliższego scharakteryzowania natury tego przyjacielsko-literackiego stosunku mojego z Chodźką,

opowiém ci tu jeszcze, siostrzyczko, drobną anegdotę, o dopisku moim do „*Brzegów Wilii*,“ o czém sam autor w przypisku tamże wspomina. Pisał on je w Wilnie, bawiąc tam z rodziną przez zimę w r. 1842. Raz przyszedłszy do nich rano w niedzielę, nie zastałem nikogo w domu; na stoliku zaś Chodźki leżał tylko co napisany w nocy ustęp o budowie kościoła w Żodziszkach, kończący się opowiadaniem, jak djabeł, chcący téj budowie przeszkadzać, przenosił codzień w nocy na drugi brzeg rzeki przygotowane do niéj kamienie, i raz nie dostrzegłszy w ciemności siedzącego pod jednym z nich Jezuickiego braciszka, objął zarazem kamień—„*i cap za Jezuitę.*“ Na tych słowach kończył się rękopism. Przyszła mi więc myśl pusta przedłużyć żartem ten obraz, i sam śmiejąc się do rozpuku, dopisałem całą scenę borykania się porwanego braciszka z djabłem, który zahaczywszy pazurem o święconą pod habitem drócianną katenę, i nie mogąc go z niéj wydostać, a przytém, przez niemniéj przestraszonego braciszka ciągłemi eksorcyzmami smagany, musiał się zobowiązać nakoniec, że nadal budowniczym przeszkadzać nie będzie. Dopisek ten nie był bynajmniéj w planie dalszym samego autora, wszakże tak go zabawił, iż zostawił go na pamiątkę, powód tylko wymieniwszy w przypisku.

Ale wszystko to było o wiele lat już późniéj od owéj piérwszéj mojéj wizyty w Dziewietni, o któréj tu mówić zacząłem, a na któréj się w życiu mojém, jak już wyżéj rzekłem, kończy piérwszy peryod szczęśliwéj i niczém dotąd prawie niezachmurzonéj młodości. Ale tu właśnie mógłbym zastosować do siebie

słowa Byrona, w wierszu pod tytułem: „*Sen*“ (*The Dream*).

„*A change came o' er the spirit of my dream.*“

Które Adam wytłómaczył po polsku:

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.“

A do czego jeszcze w tym razie możnaby było dodać: *i przeznaczenia.*

Napomknąłem już wyżéj, że znaleziony w papierach Massalskiego list Jankowskiego, pisany do niego, spowodował zabranie téż papierów tego ostatniego, i nakoniec aresztowanie jego samego. Jankowski, jeden w całém Gronie Błękitném, odznaczał się istotnie, nie zapałem, lecz zapaleństwem; t. j. w słowach przesadą uczucia, z którego sam szukał swéj chluby, i chciał przez to wywyższać się nad innych. Przyszło do tego, iż mu zabroniono formalnie czytać na posiedzeniach swoje wiersze, któreby wprzód nie przeszły przez cenzurę przewodnika, i nie przeciwiły się wyraźnym, zasadniczym prawidłom Towarzystwa: aby nauki i moralnéj pracy nad sobą, zgoła z polityką nie mieszać. Oburzał się na to Jankowski, i po swojemu pisał sam dla siebie. Nie dziw więc, że po zabraniu pism jego, treść ich stała się obwinieniem autora. Że zaś w owym liście jego do Massalskiego, była właśnie mowa o wierszach i o czytaniu ich na literackich wtorkowych zebraniach u Czeczota, z którym i ja razem mieszkałem: poszło ztąd, iż dla bliższego wyjaśnienia rzeczy, Czeczota powołano do tłómaczenia się w Wilnie, a po mnie na wieś przysłano. Było to na początku października (1823 r.), w kilka tygodni po powrócie moim od Chodźki. Ojciec mój był chory

obłożnie; wyjazd więc nagły z domu, w nocy, i podróż w słotę jesienną, były arcy-niewesołe; a piérwszy promyk pociechy w tym stanie, jak zawsze i we wszystkich najważniejszych okolicznościach życia, poezyi i płci pięknéj zawdzięczam.

Towarzyszący mi oficer policyjny pozwolił mi pomodlić się chwilę w Ostréj-Bramie, poczém zawiózł mię wprost do mieszkania p. sowietnika gubernialnego rządu, Ławrynowicza, który miał poruczone sobie rozpatrzenie całéj téj sprawy; że zaś właśnie spał po obiedzie, kazano mi czekać w salonie. Na stole leżało kilka zeszytów „Dziennika Wileńskiego," a że jeden był rozłożony—zajrzałem, i, o! dziwo! rozłożony na mojéj balladzie „Myśliwiec." W innych zeszytach widać było powtykane zakładki, i z coraz rosnącém podziwieniem ujrzałem, że oznaczały właśnie miejsca, gdzie były drukowane inne moje ramoty. Sam nie wiedziałem co myśléć, i najprzód przyszło mi do głowy, że szukano w nich może jakiegoś *corpus delicti*, o coby mię można było obwinić. Nagle otworzyły się drzwi boczne, i jakaś młodziuteńka śliczna panieneczka, wbiegła szybko, i jakby zadziwiona widokiem gościa, popatrzała na mnie przez chwilę, zarumieniła się, udygnęła, i znikła. Była to panna Laura, najstarsza córka gospodarza. Ona to, jak dowiedziałem się późniéj, powybierała właśnie te numera przeszłorocznego „Dziennika" i dała je do przeczytania ojcu, który był także lubownikiem wierszy, przed oczekiwaném mojém przybyciem. Podziw więc i jakby przestrach na widok niby niespodziewanego gościa, był tylko panieńskiém udaniem. Po chwili weszła matka—ale z takim wyrazem twarzy i z takiém współczuciem w spójrzeniu,

że nim słowo mogła przemówić, sam już jéj widok dla mnie był jak zabłysk słońca śród burzy. Od oficera wiedziała, że zostawiłem ojca chorego obłożnie, a że sam byłem jeszcze w żałobie po matce, to wszystko tak ją widać wzruszyło, że piérwéj płakać, niż mówić zaczęła; co znów taką mię wzajem przejęło wdzięcznością, że słowa jeszcze nie wyrzekłszy oboje, witaliśmy się jak najlepsi znajomi, i ja raptem sam w sobie poczułem się nie więźniem, lecz gościem. „Bądź pan spokojny!—było piérwsze jéj słowo—mąż mój mówi, że to jest bagatela, i że będzie się tylko trzeba wytłómaczyć." Poczém w dalszéj rozmowie objaśniła mię o co rzecz idzie, i tyle mi okazała życzliwości serdecznéj, że chwila ta przez całe życie jest dla mnie zawsze miłém i rozrzewniającém wspomnieniem.

Tu także mam za obowiązek sumienia powiedzieć słów parę o jéj mężu, a mianowicie, że nie był on bynajmniéj takim w gruncie duszy, za jakiego go potém, z powodu właśnie dalszego ciągu téj sprawy, obwołała chwilowo opinia publiczna. Serce w nim było dobre, nawet miękkie; temperament tylko nieznośny: porywczy i opryskliwy w piérwszéj chwili wrażenia, nad którém sam zapanować nie umiał. Ale był on takim samym i w domu, w obejściu z żoną i z dziećmi, które przecież kochał namiętnie. Tylko, że żona i dzieci, (a mianowicie córki), znając jego naturę, umiały go nie tylko ugłaskać, ale nim nawet podług woli swojéj kierować; podczas gdy nieświadomi i obcy, złe tylko, ma się rozumieć, odnosili wrażenia, a z pozorów sądząc o gruncie, brali go za okrutnika i wroga. A przecież, w istocie rzeczy, nie był on ani jednym, ani drugim; a chociaż dbały o stanowisko swoje, jawnie się z przeciwnemi

uczuciami nie zdradzał, to pewna, że sam nigdy nie chciał szkodzić nikomu, a nawet, że o ile mógł bez narażenia się własnego, rad był owszem dopomódz w potrzebie. Miałem późniéj nieraz sposobność poznać go pod tym względem bliżéj, i przekonać się o tém sam przez siebie; i to wszystko co o nim tu mówię, jest szczerém i sumiennem świadectwem, chociaż na jego poparcie nie czas tu ani miejsce pojedyńcze szczegóły przytaczać. Powziąłem ztąd wszakże naukę, jak mylny jest sąd ludzki z pozorów, i jak słusznie powiada „Żeglarz“ u Adama:

„Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być—lecz we mnie.“

Chociaż i sam Adam, niestety, nie jest wolny od zarzutu w tym względzie, za swój nazbyt doraźny, a co gorsza, niesprawiedliwy sąd, o nieszczęsnéj ofierze piorunu, wydany jakby tylko dla poetyckiego effektu.

Ale wracając do chwili, o któréj mowa: Po dosyć długiém jeszcze oczekiwaniu mojém w salonie, wszedł nakoniec sam pan Ł. w szlafroku i na wpół boso, bo tylko w pończochach, z twarzą jakby jeszcze zaspaną: ale uprzedzony widać przez żonę, był dla mnie od piérwszéj chwili nie tylko grzecznym, ale prawie nawet uprzejmym. Zaczął od rozmowy o wierszach, które świeżo czytał w „Dzienniku,“ i jakby *à propos* dopiéro zapytał mię o naturę literackich wtorkowych zebrań u Czeczota. Opowiedziałem wszystko jak było w istocie, i on sam wysłuchawszy uznał, że przyjacielskie zbierania się kolegów, dla wzajemnego sobie czytania prac swoich, nie miały nic w sobie zdrożnego, byleby prace same zdrożnemi nie były. Pozwolił mi więc wysłać zaraz sztafetę do ojca, z obietnicą, że sam wkrótce

powrócę; i ponieważ zaczynało już zmierzchać, odłożył do podania światła odpowiedź moję na urzędowe pytania, które miały mi być podane na piśmie, a tymczasem pozwolił, a nawet raczéj zaprosił, abym poszedł do jego żony i dzieci. Oprócz widzianej już panny Laury, była młodsza jéj siostra, dwóch braci, piérwszoletnich uczniów uniwersytetu, i młody ich kolega, który mieszkał u nich, znakomity potém obywatel na Żmudzi, pan Adolf Przeciszewski. Wszyscy przyjęli mię tak serdecznie, że nim podano herbatę, byliśmy już przyjaciółmi nawzajem. Po herbacie wysłano mię znów samego do salonu, abym odpisał na urzędowe pytania. Leżały przygotowane na stoliku, gdzie téż w stosie innych papierów, ujrzałem jakby umyślnie wysunięty arkusz, w którym od razu rękę Czeczota poznałem. Były to odpowiedzi jego na też same pytania. Ułatwiło to mi moje zadanie, po ukończeniu którego, czekałem aż mię gdzieindziéj przewiozą. Tymczasem zaproszono mię znów na wieczerzę, a że byłem widocznie znużony, sama pani zaproponowała uprzejmie, abym się zaraz udał na spoczynek. „Ale dokąd?“ pytałem wielkiemi oczyma—nie słowy. Panna Laura z wesołym uśmiechem oświadczyła, iż chce być sama „moją Aryadną“—i wraz z siostrą i kawalerami, zaprowadzili mię wszyscy na górę, na drugie piętro na tych samych wschodach, gdzie wakowały właśnie dwa pokoje, przeznaczone na kwaterunek oficerski, a które, jakby w gościnie, przygotowane już dla siebie znalazłem. A nie mogło to przecież dziać się inaczéj, jak za poprzedniém zezwoleniem ojca, chociaż on sam na pozór wcale się do tego nie mieszał. Nazajutrz zaproszono mię znowu na dół, na herbatę rano, i za-

trzymano dzień cały; sam zaś pan Ł. wróciwszy z sessyi urzędowéj, oświadczył mi przy obiedzie, iż będę mógł niezwłócznie powrócić do ojca, skoro tylko, dla zakończenia sprawy, Jankowski na ostateczne jeszcze zapytania odpowié. Trwało to tak przez trzy dni. Czwartego nakoniec rano, Jankowski przybył pod strażą i został, jak ja przedtém, zamknięty w tymże salonie. Widzieć go nie było można, ale ponieważ pisał bardzo długo, bo prawie do zachodu słońca, pozwolono mi posłać mu ciastek z cukierni i pół butelki wina. Mógłżem przewidzieć wtedy co on pisze?—Dowiedziałem się o tém późniéj, ale skutki poczułem zaraz.

Nie już zebrania wtorkowe, których natura wyjaśnioną została, ale własne tylko jego ramoty poczytane mu były za winę, za którą sam już tylko miał być odpowiedzialnym. Zląkł się zatém o siebie, i wolał poświęcić drugich, myśląc, że się sam przez to ocali. Z zapaleńca przedziergnął się w delatora, i co gorsza, w kłamliwego potwarcę. Wyjawiając sam dobrowolnie przeszłe istnienie Filaretów, ich wpływowi przypisał to właśnie, co w nim oni najsurowiéj karcili. Zwyczajna kolej wszystkich zapaleńców przez pychę, skoro sami w niebezpieczeństwo popadną; tysiączne potwierdzenie téj odwiecznéj prawdy:

„...że o mocy swojéj,
Kto w niéj zbyt ufa, w próbie nie dostoi.“

Nazajutrz, zamiast jak zwykle wezwać mię rano na herbatę na dół, przyniesiono mi ją na górę, i w ślad za tém pocieszycielka i opiekunka moja, panna Laura, wbiegła z bratem zalana łzami, z wiadomością, że musiało zajść coś bardzo złego, bo ojciec

jest w najokropniejszym humorze, piorunuje na Jankowskiego, i chciał mnie kazać zaraz przeprowadzić gdzieindziéj. Trafne widać wstawienie się żony i córek sprawiło, że miał jakoby powiedzieć nakoniec: „A no, to niechby chyba zachorował!“—Zachorowałem zatém, i chorobie téj winien byłem, że nie tylko przez kilka jeszcze tygodni pozostałem na miejscu; (chociaż w całkiem odmiennych warunkach, mając już straż w przedpokoju i rzadko bardzo kiedy, i to ledwo na chwilę, protektorkę moję widując); ale że i w połowie Grudnia dopiéro, powołano mnie nakoniec do indagacyi, kiedy już cała sprawa zkądinąd dostatecznie rozjaśnioną została.

W klasztorze XX. Karmelitów, przy Ostréj Bramie, dokąd mię w Listopadzie wreście przeniesiono, zastałem już kilkunastu (16 jeśli się nie mylę) kolegów, a między nimi z Błękitnego Grona: Emeryka Staniewicza i Jana Zahorskiego, poetów. Z piérwszym mieszkaliśmy w celach tuż obok, mając piec wspólny z ogniem z jego strony, i tak cienką ściankę za piecem, że mogliśmy codzień wieczorem odmawiać wspólnie litanię do N. Panny, podczas gdy ją w Ostréj Bramie śpiewano. Młodość, wiara, nadzieja, i sąsiedztwo dobrych przyjaciół, były taką osłodą dla wszystkich, że każdy potém czas téj wspólnéj rekollekcyi z rzewną przyjemnością wspominał; a i co do wewnętrznego, tak moralnego jak i umysłowego wykształcenia, była ona—dla mnie przynajmniéj—ważną w młodém życiu epoką. Mieliśmy czas wejść w siebie i zastanowić się nad sobą; a że przytém można było mieć xiążki, ja w ciągu tych kilku miesięcy przeczytałem zapewne więcéj, niż w ciągu kilku lat poprzednich, i to samych arcydzieł literatury euro-

pejskiéj, których nam uprzejmy p. Moritz, xięgarz, z dobrze zaopatrzonéj czytelni swojéj dostarczał. Muza także nie próżnowała, i większa część weszłych potém w skład piérwszego wydania moich ramot, wtenczas właśnie napisaną została. Wenę tę rozbudziła we mnie zwłaszcza dumka Bohdana Zaleskiego, „O Hetmanie Kosińskim," którą w „Bibliotece Polskiéj," wydawanéj przez Dmóchowskiego znalazłem, i tegoż dnia po jéj przeczytaniu napisałem na tęż miarę piosenkę, która się dotąd tu i ówdzie powtarza, zaczynającą się od słów:

Precz, precz od nas smutek wszelki,
Zapal fajki, staw butelki,
Niech wesoły,
Z przyjacioły,
Słodko płynie czas! i t. d.

Piosenka ta, stosowana do okoliczności, a zawierająca toasty na cześć Zana, Czeczota i Adama, stała się wkrótce jakby obrzędową, i śpiewana zwykle chóralnie, z różnemi dodatkami i waryantami, rozweselała nam wspólne skromne biesiady, po zamknięciu furty klasztornéj.

Około połowy Lutego, 1824 roku, cele klasztorne, zajęte przez świeckich gości, zaczęły się powoli opróżniać, aż i mnie wreście, przy końcu miesiąca, pozwolono wziąć na porękę, którą dać za mną raczył p. gubernialny Marszałek, Marcinkiewicz-Żaba, przedtém już wielce na mnie łaskaw, i w którego domu bywałem. Adam jeszcze do końca Marca, czy do piérwszych dni Kwietnia, (bo dat z pewnością przypomnieć nie umiem), pozostawał u Bazylianów. Widywałem go wszakże

codzień zdaleka, spacerując o pewnych godzinach po bulwarku za Ostrą Bramą, naprzeciw okien klasztornych; aż wreście dnia jednego powiedział mi pan Ławrynowicz, że i on téż nazajutrz ma stać się panem swéj woli. Piérwszy zatém spotkałem go w bramie rządowego gmachu, przy ulicy Ś-to Jańskiéj, gdy już sam jeden swobodnie z komissyi na ulicę wychodził. Wstąpiliśmy najprzód na chwilę do kościoła Ś. Jana, i poszliśmy wprost ztamtąd na obiad do pani Macewiczowéj, gdzie już siostra jéj, pani Kowalska z Kowna, od dni kilku na dzień ten czekała. Wszyscy witali go z rozrzewnieniem; on był wesół i żartobliwy. Mieszkanie miał mieć w domu pani M., (gdzie była Zielona Apteka), lecz że w téj chwili właśnie było ono jeszcze zajęte, ja go tymczasem zaprosiłem do swego, w domu Ważyńskich, za Ratuszowym placem, dokąd pani M. pościel i niektóre sprzęty przysłała. Mieszkaliśmy tam razem czas jakiś, aż mi pozwolono nakoniec pojechać na wieś do ojca, a on przeniósł się na stały pobyt do domu pani M., i jako gościa do siebie Jeżowskiego zaprosił.

Za powrótem ze wsi do Wilna, zastałem już wiadomy częściowy wyrok w sprawie naszéj, to jest, że Zan, Czeczot i Adam Suzin, mieli jechać do Orenburga. Los innych był jeszcze nie pewny. Adam tylko przepowiadał stanowczo, iż miał być podobnym do tamtych. A było to, jak dowiedzieliśmy się późniéj, w skutek tajemniczéj jakiéjś przepowiedni, którą on sam w sobie, w kształcie jak gdyby wewnętrznego głosu, wpół drzémiąc kiedyś u Bazylianów posłyszał. Nie chciano mu wszakże wierzyć, zwąc go owszem „ptakiem złéj wróżby". Tymczasem zaś trzéj wyżéj

wspomniani mieszkali wszyscy razem w klasztorze Bazylianów, gdzie ich wolno było odwiedzać, za poprzedniém jednakże pozwoleniem władzy, które łatwo było otrzymać. Tu się zaczęła epoka improwizacyi, stanowiących odtąd rys ważny w poetyckiém dalszém życiu Adama.

Wspomniałem już nieraz wyżéj, że wszystkie koleżeńskie zabawy Filaretów, okraszane były zazwyczaj tak zwanemi *jambami*, to jest deklamacyą napisanych, lub improwizacyą żartobliwych wierszy; w czém celowali zwłaszcza Kułakowski i Frejent, ale brali téż udział i inni. Ale to były tylko wprost wesołe żarty, w których Adam wielce podobał, ale sam się do nich nie mieszał. U Bazylianów dopiéro, dla rozweselenia kolegów, zaczął i on podobno naśladować niekiedy ich przykład, ale także tylko dla żartu, przy akompaniamencie fletu Frejenta. Z opowiadania wiém, że razu jednego Frejent, przekomarzając się poecie, zaczął przyśpieszać *tempo*, w nadziei iż śpiewaka zmitręży, i że ten téż ciągle zmieniając i skracając miarę wierszową, a treść dalszą do grajka stosując, bez tchu już prawie nareście, zwycięzką improwizacyą swoją zakończył jednosyllabowym wierszem: „Dość!“—Ale to wszystko było tylko igraszką dobrego humoru. Piérwsza dopiéro improwizacya na seryo, wyniknęła z następującego powodu.

Było nas kilkunastu wieczorem w celi Tomasza Zana, gdzie téż przyszli Suzin i Czeczot. Ten ostatni zanucił przy gitarze świeżo ułożoną przez siebie pożegnalną piosnkę, w ludowym dyalekcie rusińskim, o odlocie dzikich gęsi na południe i o wyjeździe na północ, z nadzieją i bez nadziei powrótu; która tak wszystkich wzruszyła do głębi, że płacz ogólny stał się

wtórem pieśni, a śpiewak przedmiotem uścisków. Adam nagle zawołał na Frejenta, aby zagrał nutę „*Filona*,“ którą zawsze lubił najbardziéj; stanął w środku, i zaczął improwizować balladę. Treść i forma pełne prostoty. Poeta opowiadał z początku, a raczéj nucił, spokojnie; ale twarz jego przeobraziła się nagle; głos nabrał dziwnéj rozciągłości i mocy, przy śpiewie strof ostatnich; a to przemienienie twarzy i głosu, tak dziwnie i tak głęboko podziałało na wszystkich, iż przez pięć minut może trwało ogólne milczenie, aż nakoniec wrażenie podziwu, wybuchło, nie oklaskami, ale rozrzewnieniem ogólném. A i on sam w téj chwili podobnym był do owego grajka w „Panu Tadeuszu,“ który „jakby sam swojéj dziwił się piosence,“ i którego tak cudnie potém sportretował poeta.

Od téj chwili improwizacye weszły, rzec można, na porządek dzienny, przy wszystkich dalszych koleżeńskich zebraniach, które właśnie w tym czasie, od Maja do Lipca, bywały tak tu, jak i gdzieindziéj. To *gdzieindziéj* atoli stosuje się prawie wyłącznie do mieszkania adwokata-rejenta, Stanisława Golickiego, w drugim domu marszałka Żaby, przy zaułku Ś. Kazimierza, które było obszerne, i do którego mię gospodarz, po moim powrócie ze wsi, jako gościa na współlokatora zaprosił. Piérwszą inauguracyą tych zebrań u niego, był obchód imienin gospodarza, (dnia 8 Maja), któregośmy wszyscy lubili, tak dla jego bystrego dowcipu, jak i dla uprzejmości serdecznéj. Na imieninach tych, ja przy toaście wydeklamowałem żartobliwy wiersz do solenizanta, będący parafrazą ody Horacyusza: „*Aequam memento rebus in arduis servare mentem*,“ i zawierający

alluzye do różnych własnych jego sentencyi i wyrażeń *). Przytaczam go tu w przypisku, aby dać wyobrażenie o tonie, jaki w towarzystwie panował, a którym właśnie rozweselony Adam, sam dobrowolnie z długą improwizacyą wystąpił. Była to druga z rzędu, po owéj klasztornéj, tylko że w tonie całkiem odmiennym, jowialno-dowcipnym, o powołaniu prawników, porównywając je w żartobliwy sposób z powołaniem lekarzy i poetów, i charakteryzując pobieżnie wszystkich sławniejszych adwokatów i doktorów wileńskich, i nakoniec kollegów, braci w Apollinie. Dostało się przytém

*) „Nie bądź k..m, Stachu, nie nadymaj pyska,
Gdy ci Fortuna złotym wozem błyska,
Lub gdy jéj furman, Los, biczem cię chłośnie,
Nie becz żałośnie!

Wszystko na świecie tfu przeciw wieczności!
A więc na djabła trud, zabiegi, przymus?
Jedno, czyś jasny blaskiem wielmożności,
Czyś „Humillimus.“

Bo śmierć brat za brat pachołkiem czy z panem,
Łap za kark ręką, i abszyt kolanem.
Człowiek fajt w górę! potém na kształt piłki,
Pęc na mogiłki.

Coż ci po pełnych ankarach lub skrzyni?
Gdy cię wielebni chwycą Bernardyni,
Wnet je twéj niby żałujący śmierci,
Dziedzic przewierci.

„Dziś mnie, a jutro!..“—lecz dziś jeszcze nasze,
A dzisiaj właśnie dzień twojego święta,
Więc, przyjaciele! brzęk czasza o czaszę!
Zdrowie Rejenta!“

każdemu po sporém ziarenku pieprzu, które poeta wszakże tak umiał ozłocić, że nikomu z obecnych nie sprawiło goryczy, a zaś improwizatorski jego talent w oczach wszystkich wysoko podniosło. On sam widać poczuł go w sobie, gdyż chętnie i coraz częściéj sam z siebie, bez próśb i nacisku, dalsze odtąd próby ponawiał, nie mówiąc, ale nócąc, zawsze prawie na nutę *Filona*. Najogólniejszą cechą własnego jego przytém usposobienia było, że zaczynał zwykle powoli, zimno, i jakby wahająco; ale się stopniowo ożywiał, i jeśli przedmiot był po temu, to się zapalał i unosił; a wtedy głos i twarz jego przybierały taki szczególny ton, wyraz i charakter, że już więcéj może niż same słowa na wrażenie słuchaczów, w magnetyczny sposób działały. Nigdy jednakże pod tym względem nie był on już takim w Wilnie, jak za piérwszéj improwizacyi u Zana, i jakim musiał być zapewne w Odessie, Moskwie, Petersburgu i nakoniec w Paryżu, na wigilii u Januszkiewicza, gdzie wszędzie, jak wiadomo, wzbudzał takie podziwienie i zapał, że już to prawie z cudotwórczością graniczy. A trzebaż jeszcze i na to pamiętać, że wiele z tych improwizacyi wypowiedzianych było prozą, i to po francuzku, a więc pozbawionych całego zewnętrznego uroku formy, jakim jest harmonia miary i rymu.—I cóż więc stanowiło ten ich urok tak nieprzeparty? Nikt zapewne nad ciebie, siostrzyczko, nie mógłby odpowiedzieć lepiéj na to zapytanie. Ty, coś sama, ledwo wyszła z dzieciństwa, sprawiała podobneż uroki; o któréj wieszcz nasz, prawdziwie natchniony, Zygmunt Krasiński powiedział: „*to nie dziewczę, ale przez dziewczę mówi!*;“ ty jedna chyba mogłabyś nam objaśnić, „*co mówiło przez niego?* gdy-

byś sama nie była już powiedziała gdzie indziéj, że natchnienie, co samo tylko „wszystkie tajemnice rozjaśnia, jest oraz najgłębszą z tajemnic“ i że:

„Najcięższa z zasłon kryje tę prawicę,
Co wszystkie inne rozsuwa zasłony.
Ach! ten więc byłby najwyżéj natchniony,
Ktoby natchnienia pojął tajemnicę!“

Ze wszystkich atoli ówczesnych improwizacyi Adama w Wilnie, jedna już chyba ballada „*Basza*,“ (albo *Reregat*), któréj część piérwsza improwizowana była na wieczorze u Golickiego, a druga wyśpiewana na ostatniém, pożegnalném zebraniu kolegów, przypomniała nieco wpływ i wrażenie owéj piérwszéj improwizacyi w klasztorze. Nikomu z razu nie przyszło do głowy ażeby je spisywać, i przetoż wszystkie prawie w niepamięci zginęły; gdy zaś wreście chciano to czynić, on stanowczo oparł się temu, mówiąc, że mu to wenę odbiera. Zręcznemu tylko podstępowi jednego z kolegów, (uczonego botanika, Stanisława Górskiego), i przy pomocy pamięci innych, udało się ponotować „Baszę;“ a zaś ja, przez przyjaźń dla Olesia Chodźki, spamiętałem apostrofę do niego. Stanowiła ona część długiéj improwizacyi do wszystkich innych kolegów po lutni, w któréj hojnie na wszystkie strony szumnemi dla zachęty przepowiedniami szafował. I toć jest, co mi zabrania innych z niéj wyjątków przytoczyć. Za ogłoszenie zaś téj apostrofy do Olesia, Adam zburczał mię strasznie potém w jednym ze swych listów, (ogłoszonych niedawno w „Kronice Rodzinnéj“). W ogólności najzwyczajniejszą formą ówczesnych improwizacyi jego, były apostrofy do pojedyńczych osób, między innemi do Adama Suzina, która także spisaną została. Wszyscy téż inni składający rymy i umiejący powtórzyć nótę „Filona,“ próbowali z kolei improwizacyjnych sił swoich, ale wszystkie te próby płonnym kwiatem bez owocu opadły. Ja zaś, ponieważ w całém życiu mojém, na równi z jednym tylko Ignacym Domeyką, nie mogłem nigdy powtórzyć ani jednéj nóty, choćby nawet o „kotku na płotku,“ musiałem rad nie rad siedzieć jak on cicho i mrugać tylko ku nócącym kolegom, a zaczepiony zaś niekiedy przez nich, odpowiadałem krótkim chyba rymem mówionym, naprędce wprzód ułożonym w pamięci.

Koleżeńskie tego rodzaju zbierania się i zabawy, bez oznaczenia dnia, ale jak wypadło, trwały, jak już powiedziałem, do Lipca, to jest do czasu wyjazdu Zana, Czeczota i Suzina, którzy wszyscy trzéj wyjechali razem, i których wszyscy pozostający pożegnali téż razem w Ostréj Bramie, gdzie się im pozwolono pomodlić na drogę. Ja zaraz potém wyjechałem na wieś do ojca, i wróciłem do Wilna dopiéro w początkach Września, po otrzymaniu strasznéj wiadomości o ciosie, który dotknął dom pp. Becu, to jest o śmierci jego samego od uderzenia piorunu, i o zranieniu w twarz panny Hersylii szkłem od roztrzaskanego okna, przy którém właśnie w salonie w chwili uderzenia siedziała.

Adam wywdzięczając się za gościnę u mnie, zaprosił mię na mieszkanie do siebie, w domu pani Macewiczowéj. Składało się z dwóch pokojów. Pierwszy zajmował Jeżowski, my we dwóch mieściliśmy się w drugim. Na gościach kolegach nie brakło, ale nastrój ogólny był smutny, różny całkiem od tego, jaki panował przed Lipcem. Tam była jakby wesołość wio-

sny, po wydobyciu się z pęt zimy; tu jak mglista, posępna jesień, zagrożona znów blizką zimą. Przepowiednie Adama, wbrew oczekiwaniom ogólnym, z każdym dniem nabierały prawdopodobieństwa; aż przyszła wreście wiadomość stanowcza, iż on sam i kilkunastu innych kolegów, którzy byli już w naukowéj służbie publicznéj, albo się do niéj na koszcie uniwersyteckim kształcili, miało otrzymać posady w innych guberniach cesarstwa. Domeyko Ignacy, Kozakiewicz Stanisław, i Piasecki Kazimierz, zostali internowani na wsi. Reszta młodszych otrzymała amnestyą ogólną, z warunkiem tylko zwrótu kosztów procesu. Termin wyjazdu dla mających wyjechać nie był jeszcze oznaczony stanowczo, zalecono jednakże wszystkim, aby się mieli w pogotowiu do drogi. Oczekiwanie tego rodzaju nie usposabiało jużciż nikogo do wesołego humoru; dla mnie zaś dom pani Becu, okryty żałobą, jeszcze bardziéj tęsknotę pomnażał. Najlepsze i najpamiętniejsze mi z téj epoki chwile przepędzaliśmy zwykle w domu pani Macewiczowéj, gdzie jako najbliżsi sąsiedzi byliśmy nie już gośćmi, ale domowymi, i jeżeli nie codzień, to przynajmniéj kilka razy w tygodniu, kończyliśmy tam nasze wieczory. Berżerka grała prześlicznie, Adam lubił jéj słuchać, a zwłaszcza lubił ją samą; miał téż szczególne upodobanie w grze w kixa z panią Kowalską, matką, która wtedy w Wilnie mieszkała. A i myśl o swatowstwie nie odstępowała go także. Że zaś i ciotka, młoda pani Kowalska z Kowna, zdawała się jéj sprzyjać widocznie: nie dziw, że i ja w końcu zacząłem brać ją żywiéj do serca. Ale wszystko to było jeszcze w bardzo dalekiéj perspektywie. Tymczasem kix ten, o którym wspomniałem, a w którym ja i Berżerka dopełnialiśmy kompletu, stanowił zwykłą rozrywkę owych naszych wieczorów, nie obywając się nigdy bez kosterskich figlów Adama, a ztąd i kłótni ze starą panią Kowalską, które go zawsze w dobry humor wprawiały. Otóż dnia 22 Października (1824), kix ten był prawie weselszy, i trwał dłużéj niż kiedy. Wyszliśmy około północy, i zaraz z dziedzińca zadziwił nas widok światła we wszystkich oknach naszego mieszkania. Wnieśliśmy, że Jeżowski ma gości; ale nie przewidzieliśmy jakich. Był nim pan kapitan kwartalny, Krukowski, który czekał właśnie na Adama, aby i jemu osobiście, jak przedtém już Jeżowskiemu, udzielić dla podpisu rozporządzenie władzy, ażeby pojutrze rano gotów był do wyjazdu w podróż do stolicy cesarstwa. Wiadomomość tę udzieloną grzecznie, Adam przyjął spokojnie, podpisał—i zostaliśmy sami.

Cały ten wieczór, a raczéj noc tę całą, pamiętam zawsze jak wczora. O śnie nie było już mowy. Ale za dowód hartu duszy Adama i usposobienia jego w téj chwili, może posłużyć następujący szczegół. Chodźko Ignacy, za ostatnią przed kilku tygodniami bytnością swą w Wilnie, prosił i zobowiązał Adama, ażeby do albumu narzeczonéj już jego, Ludwiki Mackiewiczówny, wpisał co przed wyjazdem na pamiątkę, i to album w tym celu w ręku mojém zostawił. Przypominałem o tém nieraz Adamowi, ale on zawsze odkładał na potém. W téj chwili album zgoła nie przyszło mi na myśl; ale on sam, nałożywszy fajkę i okrywszy się płaszczem, wyszedł do drugiego pokoju, i po półgodzinném staniu przy piecu, podczas gdyśmy rozmawiali z Jeżowskim, powrócił mówiąc do mnie, aże-

bym dał mu to album. Usiadł w drugim pokoju, i wpisał w nie ów powszechnie znajomy dziś wiersz:

„Nieznajoméj, dalekiéj, nieznany, daleki“ i t. d.

Nie pozwolił jednakże odczytać go wtedy przy sobie, i reszta nocy zeszła na spokojnéj rozmowie o wyborze, o różnych interesach lub poleceniach do spełnienia przed lub po wyjeździe. Zasnęliśmy dopiéro gdy już rozedniało—nie rozbierając się.

Nazajutrz ruch gorączkowy panował w całém naszém koleżeńskiém gronie. Termin wyjazdu był ogólny dla wszystkich, tylko że w kilkogodzinnych odstępach, aby koni na stacyach nie zbrakło. Wyjeżdżający zatém załatwiali każdy swe interesa, a mający pozostać dopomagali im do wyboru. Pomocnikiem Adama w tym względzie był zwłaszcza Maryan Piasecki, ten sam, który go potém w r. 1829 z Petersburga w podróż za granicę wyprawiał. Przeznaczonym zaś towarzyszem podróży, to jest mającym jechać na téj saméj bryczce pocztowéj, był Jan Sobolewski, b. professor gimnazyum w Krożach. Adam we dnie oddawał wizyty pożegnalne. Ja byłem z nim tylko razem u pani Becu, u pani Wojskiéj Zaleskiéj, i u Goreckiego. Wszędzie żegnany ze łzami zachował sam posągową spokojność. Raz tylko, kiedy Gorecki zanosząc się od płaczu i zwoławszy wszystkie czworo swoich dziatek, kazał im uklęknąć przed nim, i prosił go, aby je pobłogosławił: raz ten tylko wzruszenie przemogło, i łzy nie mogące się ukryć, popłynęły cicho po bladéj i drgającéj twarzy. Mógłże przewidzieć on wtedy, że w małym, kilkoletnim zaledwo Tadziu, błogosławił przyszłego swojego

zięcia; któremu w rzeczywistéj chwili ślubu z najmilszą jego piérworodną Marysią, z tamtego już chyba świata duch jego błogosławił powtórnie.

„Dziwnie się jakoś plecie
Na tym tu Bożym świecie,“

kiedy przeszłość niekiedy z przyszłością zestawim.

Za toż wieczorem u pani Macewiczowéj, on sam był nie tylko spokojny, ale nawet żartobliwy z Berżerką i ze starą panią Kowalską, gromiąc owszem surowo, albo starając się zawstydzić, mnie, Olesia, i Juljana Korsaka, którzy byliśmy razem, że zły przykład dajemy damom.

Ostatnia noc pobytu w Wilnie przeznaczoną była na ostatnie zebranie i pożegnanie się kolegów, odjeżdżających z pozostającymi. Była to istna niegdyś chrześciańska *Agape*. Odbyła się w mieszkaniu Tomasza Massalskiego, w głębi dziedzińca posępnego domu, tuż prawie przy Ostréj Bramie. Postanowiono wszakże z góry, aby sama nie była posępną. Pieśni, *jamby*, i mleko, przypominały wszystkim najweselsze czasy. Kułakowski wyprawiał pocieszne dyalogi, i nakoniec sam Adam, na ogólne prośby, improwizował, przy flecie Frejenta, drugą część znanéj dzisiaj powszechnie ballady „*Basza*,“ którą Stanisław Górski ponotował z gruba ołówkiem, stojąc za plecyma śpiewaka, a drudzy dopełnili pamięcią. Dzwonek na *primaryą* w Ostréj Bramie położył koniec biesiadzie, i każdy rad był zapewne doznane przytém wrażenie połączyć niejako razem i zakończyć modlitwą w tém miejscu. Adam słuchał mszy na galeryi, klęcząc z twarzą ukrytą w dłoniach. Twarz potém była blada, ale najzupełniéj

spokojna. Wracając, tonem pedagoga mówił do nas idących razem o obowiązku człowieka, poddania się wyrokom Opatrzności, która nigdy nie opuszcza nikogo, kto w niéj z wiarą ufność położy. Stosował to mianowicie do mnie, który nie mając wtedy żadnych pewnych projektów na przyszłość, prosiłem go, aby przy sposobności, starał się znaleźć dla mnie jakie miejsce w stolicy, gdzie sam, jak pragnął, spodziewał się pozostać. Miałem zwłaszcza na myśli Instytut wschodnich języków, w którym był już Ludwik Spitznagel, a Oleś Chodźko tamże się wybierał. Pocieszaliśmy się przetoż nadzieją, że się znów gdzieś razem zbierzemy. I gdy już siedział z Sobolewskim na bryczce, pożegnawszy się ze wsystkimi, którzy stali dokoła, sądzę że nie bez intencyi ostatnie jeszcze słowa zwrócił wspólnie do Berżerki i do mnie, ujmując razem ją i mnie za rękę, i mówiąc: „No, no! dosyć już tego! Obaczymy się jeszcze pewno; tu, czy tam—ale się obaczymy. Bywajcie zdrowi, i niech was Bóg błogosławi!“— Dźwięk pocztowego dzwonka oznaczył ruszenie się koni. Był on dla nas jak dzwon pogrzebowy. Kilku z nas: Oleś, Korsak, Frejent i Domeyko Ignacy, szliśmy jeszcze za bryczką przez ulicę Niemiecką, i dopiéro przed Pohulanką, zdjęciem czapek i powiewając chustkami, pożegnaliśmy się wzajem zdaleka ze znikającymi za górą.

Ułożoném było już przedtém, że miałem zamieszkać z Korsakiem; po zabranie więc tylko rzeczy wstąpiłem z nim razem do domu. Ale widok opustoszałych kątów tak straszne i niespodziane zrobił na mnie wrażenie, że nie tylko sam zostać dłużéj, ale nawet o własnéj sile zejść ze wschodów nie mogłem;

a co gorsza, że wszędzie, gdzie bądź poszedłem, czułem ciągle tęż samą okropność pustkowia. Nie wiém jakby to długo trwało; bo nim się oswoiłem z tym stanem, Puttkamer, na dni parę przybyły do Wilna, namówił mię i zabrał z sobą do Bolciennik. Jakkolwiek zaś zmiana miejsca i wiejskie powietrze nie musiały pozostać bez wpływu, sądzę wszakże, że towarzystwo samych gospodarzy było dla mnie najskuteczniejszém lekarstwem. Jak w Wilnie wszędzie tylko nieobecność, tak tutaj, obok Marylli, czułem zda się jak gdyby ciągłą obecność Adama, a widok jéj swobodnie objawianego żalu, nauczył mię hamować mój własny. Nie wyszło mi to jednak na dobre; bo gdy pod wpływem tych wrażeń, napisałem o nich potém do niego, on zamiast odpowiedzi, jakiéj się spodziewałem, po kilku piérwszych listach z drogi, z Petersburga i z Odessy dość regularnie pisanych, zamilkł nagle, i dopiéro w kilka miesięcy potém, w liście z Moskwy, po przybyciu już tam z Odessy, w Lutym 1826 pisanym, dał mi jawnie do zrozumienia, że właśnie ów mój list był przyczyną, że sam tak długo nie pisał [1]). Zrozumiałem przyczynę przyczyny, i odtąd już w dalszych listach nie wspominałem więcéj o Marylli.

Tymczasem wiadomości o wszystkich innych miłych mu osobach były zawsze najpożądańsze dla niego, i sam się nawet o nie dopominał. Pamiętam między innemi list jeden, w którym mi dziękował serdecznie za szczegóły o pani Kowalskiéj, zawarte w liście moim pisanym do niego z Kowna, przy posłaniu mu ballady

[1]) Ob. *Przypisy*.

mojéj „*Rusałki*," napisanéj tam z jéj właśnie powodu, i które on zawsze „kochanemi" nazywał [1]). Powód ten był następujący:

Od początku 1825 roku, mieszkałem znów stale w Wilnie, w jednym domu i tuż obok z Korsakiem, trudniąc się zwłaszcza wydawnictwem ramot moich, we dwóch tomikach, na które za bytności jeszcze Adama ogłosiłem był prenumeratę, a któréj powodzenie przewyższyło wszelkie moje nadzieje, jak o tém świadczyły listy abonentów, podług ówczesnego zwyczaju, w obu tomach drukowane na czele. Około połowy Czerwca, p. Kajetan Krassowski, ówczesny dyrektor gimnazyum, mianowany wizytatorem szkół gubernii Wileńskiéj i wielce dla mnie uprzejmy, zaproponował mi wspólną podróż do Kowna, od którego miał zacząć wizytę szkół na Żmudzi [2]). Przystałem na to tém chętniéj, że i Berżerka właśnie w tym czasie udała się tam na lato do ciotki. Zmrok już był, gdy przybywszy do Kowna, poszedłem wprost do państwa Kowalskich. Sama pani siedziała przy oknie w salonie. Niewyraźny okrzyk podziwu powitał mię najprzód gdy wszedłem, a wzruszenie było przytém tak silne, że choć już przystąpiłem bliżéj, przez chwilę ani wstać z miejsca, ani słowa przemówić nie mogła. Pokazało się, że na piérwszy rzut oka zdaleka, z postaci i z ubrania wzięła mię za niespodziewanego Adama, o którym prawdopodobnie marzyła może w téj chwili. Były ztąd potém śmiechy, ale i łzy razem;

[1]) Obacz Dzieła A. Mickiewicza. T. VIII. wyd. 1880. str. 143.
[2]) Żmudź należała wtedy do gubernii Wileńskiéj.

a z téj to właśnie pomyłki powstał piérwszy pomysł ballady. Do kwiatów zaś z doliny, o których w niéj mowa, wiąże się także wspomnienie zdarzenia, o którém napomknąłem już wyżéj, i obszerniéj opowiedzieć przyrzekłem.

Po kwiaty te, w celu ich posłania, pojechaliśmy znów do doliny temi samemi czterema ognistemi końmi, które mię niegdyś przejmowały trwogą, i któremi znów sam pan Kowalski obok z furmanem powoził. W powozie była sama pani Kowalska, jedna z panien marszałkówien Siwickich, i ja z Berżerką na przedzie. Dojechaliśmy szczęśliwie, i od młyna piechotą doszliśmy aż do końca doliny, nazbierawszy kwiatów po drodze. Ale wtém nadeszła chmura i spadł deszcz dość obfity, trwający może przez kwadrans. Schroniliśmy się do jakiéjś chatki, ale powrót piechotą po błocie nie rokował miłéj przechadzki. Posłano więc gospodarza chatki, aby konie z pod młyna sprowadził. Przyszły, i myśmy wsiedli do powozu; ale dojeżdżając do wzgórza, przez które droga szła brzegiem nad szumiącym w dole strumieniem, ja zacząłem doradzać damom, aby je przejść raczéj piechotą. Oburzył się nasz Automedon na to moje—jak je nazwał—tchórzostwo; ale mimo to, rada moja trafiła do przekonania, i damy razem ze mną wysiadły. Rozgniewany tém p. Kowalski, i aby nas zawstydzić, ruszył śmiało klasnąwszy z bicza. Ale grunt był ślizki po deszczu, tylne koło osunęło się z drogi, i powóz z obu dyszlowemi końmi runął z góry do wody; lejcowe tylko, chociaż również spadły, zatrzymały się jakoś nad brzegiem. Chwila była przerażająca. Szczęściem, że ani sam p. Kowalski, ani furman, prócz lekkiego stłucze-

nia i zimnéj kąpieli, żadnego zresztą nie ponieśli szwanku. Ale powóz był połamany, i dwa konie pokaleczone, a my prostym wozem młynarskim musieliśmy powracać do miasta. Pan Kowalski chciał nas przekonać, że właśnie nasze wyjście z powozu, uczyniwszy go nazbyt lekkim, były przyczyną katastrofy; ale damy myślały inaczéj, i to moje tak zwane „tchórzostwo,“ poczytały za Opatrzne natchnienie. Adam, w liście swym o tém, podzielał toż zdanie, i wróżył mi nagrodę w saméjże Berezerce za uratowanie może jéj życia. Ale to widać nie było sądzono; i tylko przyjaźń wzajemna pozostała niezmienną do grobu.

Podróż ta do Kowna, jak przed dwoma laty tak i teraz, była dla mnie wstępem do innych, które w ciągu tegoż lata w różne strony Litwy, jak gdyby na pożegnanie, odbyłem, a z których w myśli i pamięci mojéj złożył się i pozostał na całe życie tak uroczy i prawie z ideałem graniczący obraz wiejskiego obywatelskiego życia, iż pozwalam tu sobie szczegółowiéj nieco o nim napomknąć. Dla przyszłych może kiedyś czytelników tych wspomnień, będzie to mogło posłużyć za ciekawą miarę porównania z chwilą obecną.

Na dzień św. Jana (24 Czerwca), poręczyciel mój, p. marszałek gubernialny, Marcinkiewicz Żaba, zabrał mię z sobą z Wilna do majątku swojego Giełwan, w powiecie Wiłkomirskim, gdzie już cała jego rodzina udała się była przedtém na lato, i miała tam w dniu tym właśnie imieniny jego obchodzić. Najpiérwsi obywatele z sąsiedztwa, i nawet z pogranicznych powiatów, zjechali się wraz z rodzinami, aby złożyć życzenia sędziwemu, zasłużonemu i kochanemu powszechnie solenizantowi. Własny dom jego, oprócz

dorastającéj jedynaczki, Alinki, składało grono czterech, rówiennych jéj lub nieco starszych kuzynek, pobierających w nim wspólne wychowanie, pod przewodnictwem światłéj i doświadczonéj mistrzyni, panny Kotowskiéj, z Królestwa, rodzonéj siostry naczelnika powiatu w Białéj Podlaskiéj, którego długoletnie obywatelskie zasługi chlubnie pamiętne tam dotąd. Od lat dwóch byłem już znajomy w tym domu, wraz z inną uniwersytecką młodzieżą, którą uprzejmy gospodarz, w niedziele zwłaszcza i w święta, zwykł był i lubił po ojcowsku przyjmować; od czasu zaś, gdy na prośbę mojego ojca wziął mię był na swoję porękę, stałem się jeśli nie codziennym, to przynajmniéj jednym z najczęstszych gości, a legenda moja „*Jałmużna*,“ poświęcona Alince, posłużyła mi za węzeł bliższego, przyjacielskiego, tak z nią samą, jak i z całém jéj gronem stosunku. Otóż dzień ten imienin ojca, w „rozkosznych Giełwanach,“ który doskonale pamiętam, mógłby ujść za streszczenie, w kierunku dodatnim, wszystkich główniejszych rysów ówczesnego nastroju i obywatelskiego życia na Litwie. Rozpoczęła go Msza św., odprawiona przez kapelana i przyjaciela domu, x. Lubeckiego, o dziewiątym już wtedy krzyżyku, a święcie bogobojnego staruszka, na któréj, oprócz rodziny i domowników, znajdowały się téż deputacye ze wsi okolicznych, należących do solenizanta, z samych najstarszych gospodarzy złożone. O południu zaczęli zjeżdżać się goście. Najpoważniejszymi z nich byli: Jenerał hr. Kossakowski, z Lukoń, b. adjutant cesarza Napoleona, i 80cio-letni podkomorzy Kozakowski, z Kuran, typ staropolskiéj cnoty, obyczaju, i nawet fizyognomii i urody, którą, równie jak eleganckim polskim strojem,

w całéj prowincyi się odznaczał. Obaj oni, obok gospodarza i w towarzystwie innych mężczyzn, udali się przed obiadem na folwark, gdzie téż dla deputatów wiejskich urządzona była biesiada, i razem z nimi, miodem zdrowie solenizanta spełnili. Po obiedzie we dworze, całe grono gości wyszło użyć pogody letniéj na dziedzińcu, gdzie młodzież popisywała się przed damami, już to strzelaniem do wyrzucanych w górę jaj lub pomarańczy, już harcami, w krąg klombu, na koniach, które na pokaz w tym celu wyprowadzano kolejno ze stajni. Wieczorem był fajerwerk fabryki domowéj, i nakoniec tańce przy fortepianie przeciągnęły się do wschodu słońca. A nie obeszło się także bez muzyki i śpiewu panienek, oraz kilkakrotnych deklamacyi wierszy, które jeszcze natenczas nie same tylko damy, ale i starsi panowie lubili.

Wróciliśmy do Wilna na dzień świętego Piotra (29 Czerwca), gdyż p. gubernialny marszałek musiał z obowiązku urzędu brać udział w uroczystym obrzędzie zamknięcia uniwersytetu, który się w dniu tym co roku, w auli uniwersyteckiéj odbywał. W tym roku nie był on może tak wesołym jak dawniéj; nic wszakże jeszcze na zewnętrznéj powadze i pozornéj świetności nie stracił. Purpurowe togi professorów, i srebrne berło rektorskie, w uroczystym pochodzie na węzgłowiu przed nim niesione, i następnie przed krzesłem jego na stoliku złożone, nie przestały być jeszcze godłami dawnego znaczenia i władzy, téj odwiecznéj „Alma Mater“ Litewskiéj.

Nazajutrz po świętym Pietrze, razem z sąsiadem moim, Juljanem Korsakiem, pojechaliśmy do rodziców jego w Słonimskie, po drodze wstąpiwszy najprzód na

noc do Bolciennik, a potém namówiwszy na towarzysza dalszéj podróży Ignacego Domeykę, dzisiejszego rektora uniwersytetu w Santiago, w Chili, a który wtedy, jako internowany na wsi, gospodarzył po literacku w Zapolu, pod Lidą, i razem z nami pojechał do stryja, w blizkiém sąsiedztwie od domu Korsaków. Tu nowi ludzie, nowe stosunki i okoliczności, a przecież nastrój życia i obyczaj ten samy. Wszędzie taż sama patryarchalna cześć i miłość dla starszych, zasłużeńszych sąsiadów; wszędzie ta sama przyjacielska zażyłość i poufałość między młodszymi, i nakoniec, wszędzie podobnież miłe, na jednaki ton wychowane, i poetycznie zwłaszcza nastrojone panienki. A sąsiedztwo było tu liczne, z samych prawie zamożniejszych domów złożone. Stolicą jego był Zdzięcioł, parafialne miasteczko, własność i rezydencya znakomitéj rodziny Sołtanów, któréj głową naówczas był sędziwy, a ogólną czcią otoczony, b. Marszałek W. X. Litewskiego; rzeczywistym zaś gospodarzem Zdzięcioła, młody syn jego Adam, nowo ożeniony ze śliczną, uroczą blondynką, ostatnią z domu Pociejów. Co niedziela i święto, bywający w kościele sąsiedzi zapraszani byli zazwyczaj, wraz z poważnym i światłym proboszczem, na obiad do pałacu, gdzie się już do nocy bawiono. Towarzystwo sędziwego marszałka składali mianowicie rówienni mu prawie: p. Ignacy Domeyko, (stryj kolegi naszego Ignacego), z Żyburtowczyzny, niegdyś sławny mecenas Trybunału W. X. L., i pan Jan Korsak, były szambelan dworu Stanisława Augusta, brat poety Rajmunda, i ojciec Juljana, ze Strzały. Rówiennikami młodego Adama byli między innymi: Izydor, i brat jego, Mikulscy, z Wiązowca, bezżenni, i no-

wo ożeniony Adam Strawiński, z Nakryszek, którego matka, sędziwa i poważna matrona, xiężniczka Czetwertyńska z domu, mieszkała w osobnym majątku Mirowczyznie, gdzie téż uprzejmie częstych przyjmowała gości. „Strzała“ Korsaków, położona jakby we środku, ze wszystkiemi temi domami była w przyjacielskich stosunkach, a serdeczna uprzejmość gospodarzy, a zwłaszcza gospodyni, Ordzianki z domu, młodéj jeszcze stosunkowo i bardzo wykształconéj osoby, dom téż ich czyniła nawzajem celem częstych odwiedzin sąsiadów. Że zaś oprócz rodziców i syna, były w nim jeszcze dwie córki: śliczna panna Emilia i dorastająca Kostusia; najbardziéj przeto zestosunkowanym ze Strzałą, a i najbliższym co do odległości, był dom pani Maryi Dmóchowskiéj, (Nahorodowicze), wdowy, matki czterech dorosłych, słynnych z urody córek, i trzech synów. Sama pani, typ dawnych naszych staropolskich gospodyń wiejskich, rządna, rozumna, pobożna, była przytém dziwnie wesoła, i odznaczała się biegłością w heraldyce familijnéj. Od piérwszéj więc chwili poznania, wynalazła gdzieś w jakiémś pokoleniu węzeł powinowactwa ze mną, zkąd wyniknęła nazwa, a następnie i przywileje „kuzynka.“ Najstarszy z synów, Wincenty, wykształcił się potém na znakomitego malarza; w chwili zaś, o któréj tu mowa, był znakomitym przewodnikiem tańców, które wprost z natchnienia wesołości, po parę razy w tydzień, odbywały się zazwyczaj w Strzale, przy fortepianowéj muzyce pani domu, a na które i dzisiejszy rektor w Santiago, regularnie przyjeżdżał konno. Trzebaż mówić, że wśród takich stosunków i otoczenia, w wirze ciągłych, codziennych, oddawanych lub przyjmowanych wizyt, dwutygodniowy pobyt

mój w Strzale przeszedł mi jak uroczy „sen nocy letniéj,“ tak, że niepodobna było przypuszczać, abym kiedy coś równie miłego, a cóż dopiéro milszego jeszcze, mógł doznać. A jednak i to się stało.

We dwa tygodnie po powrócie moim do domu na wsi, odwiedził mię téż nawzajem Korsak, któremu i moja rodzina, i całe nasze liczne sąsiedztwo, starały się, wedle możności, odpłacić niejako gościnność, któréj ja w domu jego doznałem. Wigilią zaś św. Ignacego (30 Lipca), pojechaliśmy z nim razem do Dziewiętni, na imieniny gospodarza, (Chodźki), które już młoda jego żona uroczyście obchodziła w tym roku. A że w parę dni potém przypadały imieniny panny Anieli (2 Sierpnia), które téż niemniéj solennie brat jéj w „Ruskiém Siole“ obchodził: więc i tam całotygodniowy nasz pobyt był ciągle jakby dniem świątecznym. W dniu nakoniec, gdy Korsak wybrał się z powrótem do domu, ja bez trudności dałem się namówić do odbycia, jako gość przybrany, wraz z młodą parą i jéj siostrą, piérwszéj familijnéj wizyty, o mil kilkanaście, do czterech rodzonych wujów saméj pani, pp. Bohdanowiczów, mieszkających w powiecie Wilejskim, o mil parę jedni od drugich: w Stajkach, w Manujłach, w Zaborzu i w Obodowcach. Wszyscy czteréj zamożni, i zasłużeni dygnitarze z wyborów obywatelskich, prowadzili dom na wyższą skalę, a ogólna wszystkich rodzina liczyła ni mniéj ni więcéj, jak czternaście miłych, ładnych, starannie wychowanych lub wychowujących się kuzynek, mniéj więcéj rówieniczek moich towarzyszek podróży, i dziewięciu w różnym wieku kuzynów, którzy właśnie w tym czasie na wakacyach w domu bawili. Przybycie młodéj pary do

domu najprzód najstarszego z wujów, do Stajek, dało hasło całemu temu pokrewnemu gronu do spotykania jéj i gromadzenia się koło niéj, w coraz przemieniającym się składzie, tak tam, jak i podczas następnych kolejowych wizyt; tém bardziéj, że uprzejma gościnność gospodarzy starała się naprzemian łączyć wszystkich w jedno, dla uprzyjemnienia i urozmaicenia swym gościom pobytu każdy w swym domu. Były więc i dożynki (żyta), i polowania, i rybołóstwa, i wyprawy w orzechy lub w grzyby, nie mówiąc już o domowych spacerach i tańcach wieczornych, przy muzyce fortepianu. A działo się to wszystko najwięcéj gwoli samego Chodźki, i jako nowego członka rodziny, i jako znanego już powszechnie literata, „szubrawca“ i poety. Że zaś i piérwszy tomik moich ramot, wyszły w świat w początkach Czerwca, poprzedził już był moje osobiste przybycie: stał on mi się téż wielką pomocą do prędkiego i przyjaznego stosunku z całém tém gronem młodzieży; co zwłaszcza było miłém i pożądaném dla mnie, z powodu oddziaływania jużciż i na własne towarzystwo podróżne. A dodaćże jeszcze do tego, dwudziesty drugi rok życia i nowość wszystkich tych wrażeń: a nie zadziwisz się, ufam, siostrzyczko, że dotąd cały ten peryod życia liczę w pamięci do najmilszych wspomnień, które mi nieraz, jak polarna zorza, rozjaśniają mrok nocy zimowéj.

A nie koniec jeszcze i na tém. W powrócie Chodźko wstąpił z żoną po drodze do dwóch dobrych swoich przyjaciół: pp. Józefa Rahozy, w Serweczu, i Wincentego Lewkowicza, którzy obaj kawalerowie, gospodarzyli na wsi nie daleko siebie, i obaj, dla uczczenia tych przyjacielskich i damskich odwiedzin, sprosili

każdy całe swoje sąsiedztwo, co nam także z tydzień czasu zabrało. Miałem więc o czém rozmyślać powróciwszy nareście w końcu Sierpnia do domu, i całą już resztę jesieni poświęcając wyłącznie ku czci i służbie Dyanny, już to w orszaku czcigodnego sąsiada naszego, p. Soroki, już sam na własną rękę, z psami jego u siebie polując. Aż jakby na uwieńczenie tego wyjątkowego cyklu ciągłych zabaw, pan Lorens (Puttkamer), w połowie Września, przysłał do mnie umyślnego posłańca, aby mię téż na polowanie do Bolciennik zaprosić.

W „Listach moich z Podróży“ opowiedziałem pocieszną scenę mojego tam przybycia, gdy wchodząc do pokoju trafiłem właśnie na opowiadanie o wrzekoméj śmierci mojéj, z ręki mordercy, którém przybyły wprost z Wilna sąsiad ich staruszek, oboje gospodarstwo uraczał; zwymyślawszy wprzód mnie samego na popasie w karczmie, kiedy po wysłuchaniu cierpliwie całéj téj długiéj powieści, sam się mu jako żywy zaprezentowałem, a on to za niewczesny żart „młokosa“ poczytał. Drobna ta na pozór okoliczność, przez współczucie okazane z ich strony, a przez wdzięczność z mojéj, spoiła jużciż tém ściśléj węzły wzajemnego stosunku; myśliwska zaś ta gościna u nich, stanowi tak skończony i wydatny obrazek obywatelskiego naówczas życia i obyczaju w Litwie, że chociaż w skromnych ramach szlacheckiego dworku, mógłby ujść za miniaturową kopię dawnych łowów pańskich, w zamku Bialskim lub Worończańskim.

Kilkunastu dobrych przyjaciół, bliższych i dalszych sąsiadów, zjechało się w gościnę do p. Lorensa,

aby popolować razem dni kilka, w kniejach własnych i okolicznych. O polowaniu „z naganką,“ będącém dziś w powszechném użyciu, nie słyszano wtedy nawet na Litwie. Polowanie było wojną, nie rzezią. Każdy przeto myśliwy przyprowadził psy swoje. Zebrało się w ten sposób ze dwadzieścia sfór gończych i około dziesiątka smyczów. Dojeżdżacze codzień o świcie wychodzili z gończyma do oznaczonych kniei, dokąd my strzelcy bryczkami, lub kto chciał, konno, dojeżdżaliśmy o wschodzie słońca, i trąbki grały uwerturę łowów. Udały się, czy nie udały, jak wypadło; ale o południu zazwyczaj sama pani przyjeżdżała powozem, albo po amazońsku konno, z taborem wiozącym śniadanie, które odgrzewało się w lesie, przy nanieconém ognisku. Towarzyszką jéj w obu razach, w ciągu całego tego zebrania, była krewna, sąsiadka i przyjaciółka, panna baronówna Weronika Osten-Sacken, (z Gojcieniszek), z urody, humoru i ułożenia, jak dwie krople wody podobna do obrazu *Dyanny Vernon*, w powieści Walter-Skotta p. t. „*Rob Roy*,“ tém bardziéj, że jak ona, przy amazonce, zielony kapelusik nosiła. Admiratorem jéj był p. Adam Rymsza, sąsiad i wojskowy kolega pana Lorensa, który téż, za protekcyą jego, w lat parę z nią się ożenił; w chwili zaś, o któréj tu mowa, assystował jéj wiernie na łowach. Była albowiem tak śmiałą, a raczéj tak zuchwałą amazonką, że nikt inny nie miał ochoty towarzyszyć jéj w ściganiu za chartami, z któremi już zwykle po południu dla zabawy dam polowano. O zmroku wracało się do domu, gdzie już płonęły kominki i stoły nakryte czekały. A cóż dopiéro mówić o wesołych gwarach i swarach przy tych stołach i tych kominkach! Kłótnie bowiem

„Assesora z Rejentem, o Kusego i Sokoła“ w „Panu Tadeuszu,“ ponawiały się tu co chwila, z powodu tego lub owego ogara czy charta, a mianowicie każdego szaraka czy lisa, który uszedł od chartów i strzałów myśliwskich. Pojednawczą powagą, nakształt „pana Wojskiego,“ bywał zwykle w tych razach Żegota, (Ignacy Domeyko), nie z wieku ani ze sławy myśliwskiéj, ale wprost z wesołego humoru i prawdziwie staropolskiego dowcipu, który jak niegdyś w gronach Filareckich, tak i tu czynił go duszą przyjacielsko-myśliwskich rozmów, a bezstronnym rozjemcą sporów.

A jednakże ta wesołość ówczesna, nie była już taką samą jak niegdyś. Na dnie serca była zawsze myśl o tych, którzy już jéj z nami nie dzielą. Po wyjeździe Zana i Czeczota, Domeyko, i jako krewny, i jako przyjaciel, był już jedynym powiernikiem dawnych wspomnień i uczuć Marylli, a razem i serdecznym druhem jéj męża. To téż po za obrębem myśliwskiego gwaru, przedmiotem rozmów poufnych byli zawsze *Oni*. I jeśli Adam, który właśnie w tym czasie podróżował w Krymie, wjechawszy na stepy Akermańskie, nie dosłyszał w ich ciszy, chociaż nadsłuchiwał, wołania za sobą z Litwy: w tém już wina jego własna nie czyja, że pisać o tém do siebie zabronił.

A i drugim téż czarnym punktem na tle myśli naszych, była wspólna z nim niepewność przyszłości. Co do mnie, czas już było pomyśleć o obraniu jakiegoś zawodu, ażeby przestać być ciężarem ojcu. Literatura, we właściwém znaczeniu, nie rokowała powszedniego chleba. Wprawdzie prenumerata na piérwsze dwa tomiki moich ramot, zapewniła mi była na czas nie-

zależność; ale czas ten nie mógł trwać długo. Życzeniem ojca było, abym wszedł do palestry w Wilnie; ja zaś czekałem ciągle na skutek obietnicy Adama, że mi gdzieś blizko siebie jakieś miejsce może wynajdzie. Ale były to gruszki na wierzbie, a tymczasem troska trapiła. Położenie Żegoty pod tym względem było wprawdzie odmienne, ale w gruncie rzeczy podobne. Mógł on nie troszczyć się o chleb powszechni, ale przymusowe gospodarstwo w Zapolu nie odpowiadało bynajmniéj ani upodobaniom, ani aspiracyom jego; a tymczasem trudno było przewidzieć, jak się z tego parafialnego zakątka na szerszy świat Boży wydostać. „Ale *qui scit* co za górą?“—jak powiadał Ignacy Chodźko. Mógłże on nawet w marzeniach najbardziéj rozbujałéj wyobraźni przypuścić, a cóż dopiéro przewidzieć, że kiedyś w antypodach, między dwóma oceanami, będzie uczył potomków Korteza, jak szukać złota po Kordylierach, i stanie się ich przewodnikiem do wyższéj Europejskiéj oświaty, któréj system w Rzeczypospolitéj Chilijskiéj sam na wzór Wileńskiego uniwersytetu urządził, i dotąd nim od lat piętnastu, jako rektor uniwersytetu w stolicy Santiago, i jako prezes Najwyższéj Rady Wychowania, kieruje. A i mnie téż, na nizkim poziomie, niespodziewana drobna okoliczność popchnęła wnet w inne strony i na inne drogi, niż były te, o których marzyłem.

W połowie Października powróciwszy do Wilna, zajmowałem się wydawnictwem drugiego tomiku moich ramot, i śpieszyłem z drukiem jak mogłem, aby w dzień Św. Salomei, (17 Listopada), ofiarować go na wiązanie solenizantce, pani Becu, jako zawierający wiersz do niéj, na dzień ten właśnie napisany. I trzebaż, że

w dniu tym właśnie, ona sama stała się jakby narzędziem Opatrzności, która mię przez nią na te nowe drogi zwróciła.

Osłabiona po ciężkiéj chorobie, nie mogła jeszcze sama być w kościele w dzień swych imienin. Ja więc, z panienkami i z Julkiem poszliśmy do Ostréj Bramy aby mszy intencyonalnéj wysłuchać. Wracając, przed samym ich domem, spotkałem na ulicy krewnego mojego i sąsiada, p. Teodora Wańkowicza, którego syn, mój rówiennik, był w szkole podchorążych w Warszawie, a złożony ciężką chorobą, pisał do ojca prosząc, aby tam do niego przyjechał. Pan W., który tylko co przybył do Wilna starać się o paszport dla siebie, zaproponował mi wspólną podróż, mając jechać swojemi końmi i tylko na parę tygodni. Odmówiłem wręcz bez namysłu, i z tém do solenizantki przyszedłem. Ale tu i ona sama, i panienki, tak stanowczo zganiły tę moję odmowę, i tak przekonywająco nakoniec słuszności swéj nagany dowiodły: że wprost od nich udałem się do p. Wańkowicza, aby razem z nim wspólne starania o paszport dla siebie rozpocząć. Następnie, pojechawszy z nim razem na wieś do ojca, gdy i ten również zdanie pani Becu podzielał: d. 1 Grudnia 1825 roku, wyruszyliśmy z nim razem do Warszawy—swemi końmi i tylko na parę tygodni. Ale „*qui scit* co za górą?“

Tu znowu ciśnie mi się pod pióro, ów cytowany już wyżéj wiersz Byrona, w przekładzie Adama:

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia“—
(Bo jak snem mnie samemu są dziś te wspomnienia).

Ale nim ci opowiém, siostrzyczko, i jeżeli kiedy opowiém, szczegóły téj nowéj epoki *snu-życia*, śród nowych ludzi i okoliczności: chcę tu opowiedzieć tymczasem, w sposób oderwany, o kilku nowych przyjaciołach-poetach, z którymi łączące mię uczucia, zachowały zwłaszcza charakter i nastrój Filarecki. Takimi byli: Kazimierz Brodziński, Stefan Witnicki, i Józef Bohdan Zaleski w Warszawie; a Stefan Garczyński i Wincenty Pol, w Rzymie i w Dreznie.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

I.

Drobna na pozór okoliczność, zbliżyła mnie od razu z Brodzińskim, i nadała koloryt i ton stosunkowi.

Po wyjściu w Warszawie zbioru poezyi jego we dwóch tomach, zdarzyło się, że piérwszy ich egzemplarz w Wilnie, miałem ja. Przywiózł mi go, jako gościniec, sąsiad wracający z Warszawy. Czytałem je więc i deklamowałem na pamięć na wszystkie strony, gdzie się tylko i komu zdarzyło. Raz na wieczorném zebraniu w domu państwa Balińskich, (zięcia i córki Jędrzeja Śniadeckiego), występując z podobnąż deklamacyą, zacząłem recytować wiersz: „*Matka i Dziecię*,“ którego jedna strofka zwłaszcza, jak wtedy, tak i dziś jeszcze, czyni na mnie szczególniejsze wrażenie. To téż wszyscy moi bliżsi znajomi, ze słuchania już tylko wiersz ten umieli na pamięć. Panna Hersylia Becu, jedna z najwyższych moich ideałów ówczesnych, i która, jako szczera nawzajem przyjaciółka moja, oddawna wzięła sobie za zadanie, oduczyć mię od prawienia komplementów, podchwytując i kończąc je za mnie; w téj chwili, dopomagając pannie Ludwice Śniadeckiéj w nalewaniu herbaty — machinalnie, i z przy-

zwyczajenia, zaledwo wymówiłem dwa początkowe wiersze:

„Mamo, do czego te dzwony,
Tak smutnie xięża śpiewają?

przerwała mi i chciała dokończyć strofę, która brzmi:

Nie bój się, mój ulubiony!
Ktoś umarł, grzebać go mają."

Ale zaledwo wymówiła wiersz trzeci i wyraz *„mój ulubiony!"* spostrzegła się i nagle zamilkła. Śmiech powstał w towarzystwie, a sędziwy pan Jan Śniadecki, który szczególniéj pannę Hersylię lubił, odezwał się z jowialnym przekąsem: „Czy to acanna z natchnienia serca tak improwizujesz." Słowa te podwoiły ogólną wesołość i zapłonienie panny Hersylii, a mnie to jakoś tak było przyjemnie, że po chwili zbliżywszy się do niéj, zrobiłem formalne *votum*, że jeśli kiedy poznam Brodzińskiego, zaraz najprzód podziękuję mu za to.

Otóż przybywszy raz piérwszy do Warszawy, w Grudniu 1825 roku, i mając być na obiedzie u Jenerała Krasińskiego, na którym wiedziałem, że jako piérwszy okaz romantyków z Wilna, miałem być zaprezentowany od razu całemu gronu klassyków i literatów warszawskich: oddając więc im wszystkim poprzednie wizyty, pod przewodnictwem i opieką pana Joachima, przyjechaliśmy téż z kolei i do *Kazimierza z Królówki*. Przyjął jużciż uprzejmie i grzecznie, ale tak sobie dosyć obojętnie. Alić zaledwie—przeprosiwszy go najprzód, ma się rozumieć—uiściłem się rzeczywiście z owego mojego *votum:* Brodziński ożywił

się widocznie, zaczął śmiać się i rozmawiać bardzo życzliwie — nie o wierszach lub xiążkach, ale téż o panienkach; a mianowicie, iż jednéj z nich z za Buga zawdzięcza, że wierszy całkiem pisać nie przestał. Postanowił już bowiem był to uczynić, ale spotkawszy ją gdzieś na wieczorze, tyle w niéj znalazł współczucia dla poprzednich prac swoich, (a może i dla samego autora), że tegoż dnia, za powrótem do domu, po rocznéj prawie przerwie, nowe wiersze napisał. Skończył to opowiadanie twierdzeniem: „że tylko dla panienek warto pisać wiersze."—Nie wiedziałem, że był już wtenczas zaręczony, a przynajmniéj zakochany w przyszłéj swojéj żonie. Zniechęcenie zaś to chwilowe do poezyi, pochodziło znizkąd inąd, jak z nieżyczliwości krytyki, która piérwsze jego utwory, jeśli nie w prassie, któréj wtedy jakby nie było, to w ówczesnéj warszawskiéj publiczności spotkała. Z rzeczy bowiem jutrzejszego obiadu u Jenerała, na który był zaproszony, ale na którym być nie miał, wypowiedział otwarcie przyczynę: dla czego? Przeciwko uprzejmości samego Jenerała nie miał on nigdy nic do zarzucenia, i bywał niegdyś często na obiadach u niego; ale dowiedziawszy się potém, że Osiński, siadając do stołu, nieraz zamiast *benedicite* deklamuje parodjując różne jego wiersze, a obecni tylko się śmieją—dalszego bywania zaprzestał. I nie było to skutkiem obrażonéj miłości własnéj, ale tylko, jak się wyraził: „że to jest rzecz niemiła, czuć się między nieżyczliwymi."—Tym razem jednak, przy końcu mojéj wizyty i na gorącą prośbę moję, obiecał, że na jutrzejszym obiedzie będzie, (jakoż i był w istocie). Przypisałem to widocznéj dobroci jego dla mnie, i serdecznie byłem mu wdzięczny; ale ani mi

na myśl nie przyszło, czém sobie na tę dobroć potrafiłem zasłużyć. Dopiéro w rok może potém, poznawszy się bliżéj z Witwickim, dowiedziałem się od niego, o czém mu sam Brodziński powiadał, że przyczyną tą było nie co innego, jak owo moje opowiadanie o pannie Hersylii, z czego Brodziński wyciągnął ten wniosek, „że nie byłem literatem z professyi.“—Z tego zaś łatwiéj jeszcze wywnioskować można, jak ci officyalni *literaci z professyi*, tak jemu, jak i wszystkim zkąd inąd przybyłym, do żywego dojedli w Warszawie.

W dalszym ciągu trzymiesięcznego tą razą pobytu mego w Warszawie, korzystając z danego mi pozwolenia, najmniéj raz w tydzień bywałem u Brodzińskiego,—i nawet za pośrednictwem jego zrobiłem kilka miłych znajomości z professorami uniwersytetu, których albo u niego spotkałem, albo do których domu on sam mię wprowadził. Nadewszystko zawdzięczam mu znajomość z domem państwa Bentkowskich, i z przyjaciółką jego, panią Katarzyną Lewocką, któréj ja téż dobroci i przyjaźni najmilsze moje wspomnienia z owéj epoki życia mego winienem.

Przybywszy w roku następnym na stałe zamieszkanie do Warszawy, znalazłem już Brodzińskiego ożenionym. Przedstawił mię swojéj żonie jako „wielkiego przyjaciela panienek.“ Protestowałem przeciw téj wyłączności, mówiąc: iż radbym téż zasługiwać na przyjaźń żon moich przyjaciół, o ile na to zazdrość mężów pozwoli. Pozwolenie, ma się rozumieć, zostało udzielone łaskawie; i rzeczywiście od téj piérwszéj chwili poznania, powziąłem téż dla pani Wiktoryi najszczerszą przyjaźń i uszanowanie, na które ona ze wszech względów najsłuszniéj zasługiwała. Rzadko

zdarzyło mi się widzieć tak dobrze dobraną parę, nie tylko pod względem łagodności i słodyczy charakteru, ale nawet wyrazu twarzy. Widocznie była to żona „*od Boga przeznaczona*,“ za jaką on sam ją uważał; i chociaż nieraz potém spotkałem się z sądami drugich, że mu nie odpowiada naukowém wykształceniem umysłu; ja sam przecież, jako bliższy świadek szczęśliwego pożycia ich w domu, utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że *Przeznaczenie Boże* nie podług tego widać kamertonu układa harmonię małżeństw.—Do cech zaś wspólnych im obojgu, zaliczyćby jeszcze można i pewnego rodzaju nieśmiałość—wynik równie skromności jak temperamentu. Oto np. drobny jéj rysek w nim samym.

Razu jednego państwo Bentkowscy, zaproszeni przez dyrektora Obserwatoryum dla widzenia pierścienia Saturna, zaprosili sami od siebie liczne grono swoich znajomych, którzy wraz z niemi, w piękny wieczór letni, mieli iść najprzód spacerem do Botanicznego Ogrodu, i tam czekać na godzinę obserwacyi. Mężczyźni, przy wyjściu z bramy, podawali rękę damom. Brodziński zbliżył się do mnie i rzekł: „Proszę cię, podaj rękę mojéj żonie.“—Nie trzeba było mówić mi tego dwa razy, ale spytałem wszakże: zkąd ta łaska? A on z tym swoim łagodnym, dobrodusznym uśmiechem, który był charakterystycznym rysem jego fizyognomii; odpowiedział: „Przyznam ci się, że mi wstyd jakoś iść przez ulicę pod rękę z kobiétą.“—„No, to weźże przynajmniéj moję laseczkę—odpowiedziałem żartując—kiedy już tak do niéj nawykłeś.“—Zrozumiał alluzyę do swojéj piosenki:

Chłopcy się żenią,
A ja nie.
Lata się mienią,
Biada mnie!
Każdy ze swoją
Żoneczką,
Ja tylko z moją
Laseczką.“

i śmiejąc się wesoło, przyprowadził mię do swojéj żony, powiedział jéj o zamianie, i powierzył ją mojéj opiece.—W domowém wszakże obejściu był dla niéj zawsze bardzo czuły i pełen względności. Raz np., w rok może po urodzeniu jedynéj ich córeczki, Karusi, którą równie kochali i pieścili oboje: przyszedłem do niego nad wieczór, kiedy żony w domu nie było. Dzień był skwarny, i tak mi się strasznie pić chciało, że uprzejmy gospodarz chciał mię koniecznie uczęstować piwem owsianém. Że zaś nie było posłać kogo po nie, a sklepik był niedaleko, a Karusia spała spokojnie—Brodziński wydelegował mamkę. Alić zaledwo ta wyszła, Karusia zaczęła się ruszać. Zaniepokojony tém ojciec przystąpił sam do kolebki, i kołysząc ją zaczął nócić półgłosem. Ale właśnie to nieszczęsne nócenie rozbudziło gorzéj dziecinę, która poczuwszy nieobecność mamki, otworzyła senne oczęta—a wtém na biedę i ja się zbliżyłem. Widok obcego człowieka przestraszył ją czy rozdrażnił tém bardziéj; dość, że zaczęła krzyczeć w niebogłosy. Ojciec w przestrachu porwał ją na ręce, i nosił po pokoju skacząc i śpiewając; ja biegałem tuż obok, klaszcząc w dłonie i pokazując zegarek;—ale wszystko to było bez skutku. Karusia krzyczała tak mocno, że płacz prawie do konwulsyi dochodził. Niepokój ojca przeszedł wszelkie granice.

Z przerażeniem spoglądał ku drzwiom, i nakoniec odezwał się do mnie: „Oto będzie piękna historya, jeśli żona, broń Boże, nadejdzie.“—Nie lękał się on wszakże żony, ale tylko przykrego wrażenia dla niéj, a jużciż pewno i słusznego wyrzutu za nieoględne odesłanie mamki. Szczęściem mamka wróciła przed żoną, Karusia się uspokoiła, i ja przy nalewaniu piwa mogłem zadeklamować tryumfalnie z Kniaźnina:

„Usnęło słabe nieboże,
Dosyć się, dosyć spłakało,
Po płaczu lepiéj téż może
Będzie nam spało.“

I trzebaż, że właśnie przypomnienie téj sceny podało temat i rzuciło niejako swój kolor na ostatnią, wigilią śmierci, rozmowę jego ze mną, która była jakby łabędzim śpiewem téj pięknéj, czystéj, niewinnéj duszy śpiewaka „*Wiesława*,“ która mu jak ten poemat, tak i wszystkie inne prace jego natchnęła. Ale na to będzie miejsce poniżéj.

Przez piérwsze dwa lata pobytu mego w Warszawie, stosunek mój z Brodzińskim był ciągle na téjże stopie, to jest, uprzejméj dobroci ze strony jego, a serdecznego przywiązania i wdzięczności z mojéj. Na stopę przyjacielskiéj równości, podniosła go dopiéro następna okoliczność:

Razu jednego przyszedł do mnie o niezwykłéj godzinie rannéj, i wyczytałem z twarzy że był czémś zakłopotany. Z razu nie śmiałem pytać o przyczynę; ale gdy wnet i ze słów jego odgadłem, że ma do mnie jakiś interes, i że w nim jest powód kłopotu: prosiłem, aby mi wszystko powiedział otwarcie. Rzecz szła

o to, ażeby w grzeczny i spokojny sposób skłonić mię do zaprzestania bywać w jednym domu, którego on był przyjacielem, i do którego sam mnie kiedyś wprowadził. Przyjmowano mię w nim nader uprzejmie; ja byłem wdzięczny serdecznie, i jużciż nie taiłem oznak téj wdzięczności. Otóż uprzejmość ta i ta wdzięczność, nie podobały się widać komuś trzeciemu; chociaż Brodziński mówił sam od siebie, w kształcie życzliwéj, przyjacielskiéj rady. Widoczném było jednak, że się lękał, ażebym tego nie wziął za obrazę, lub aby to nie było zbyt trudną dla mnie ofiarą. Kiedy więc zamiast tego, uznałem owszem słuszność jego uwag, a on sam przekonał się dowodnie, że we wszystkiém tém z mojéj strony ani cienia złéj intencyi nie było: tak zdał się być tém ujęty, a nawet wzruszony, że powstawszy z miejsca, zaczął mię najprzód ściskać i całować, a potém wypowiedział jak gdyby oświadczenie swoich uczuć dla mnie. Od téj chwili, jakby mi dziesięć lat wieku przybyło, przestałem czuć się młodszym w towarzystwie jego; on zaś ze swojéj strony stał się ze mną daleko poufalszym i otwartszym niż przedtém; mówił częściéj o sobie, a nawet i o drugich, i w wielu okolicznościach późniejszych udzielał mi rad i przestróg braterskich. Ściągało się to mianowicie do zbyt szorstkiego niekiedy występowania mojego przeciw jednemu z ówczesnych koryfeuszów klassycyzmu w Warszawie, którego choć on sam także nie lubił, ale jako dojrzalszy wiekiem i rozumem ode mnie, umiejąc lepiéj panować nad sobą, po mnie także równéj względności i umiarkowania wymagał. Oto np. scenka w tym rodzaju.

Brodziński mieszkał na dole, w pawilonie Kazimirowskiego pałacu, gdzie się mieścił naówczas uniwersytet. Raz chodząc z nim po pokoju i machinalnie spoglądając przez okno, postrzegamy, że przechodzi mimo Witwicki. Brodziński poskoczył ku oknu; ale nim dobiegł i zapukał w szybę, Witwicki już był przeszedł i pukania tego nie słyszał. Tymczasem zaś tuż za Witwickim, szedł niewidziany przez nas, właśnie ów koryfeusz klassyczny, który, usłyszawszy brzęk szyby i widząc stojącego w oknie Brodzińskiego, pozdrowił go kapeluszem i zawrócił się ku drzwiom. „Otożeśmy się złapali!“—odezwał się do mnie Brodziński. „Ale na miłość Pana Boga, proszę cię, bądź grzeczny, i nie wszczynaj z nim dysput. Zrobiłbyś mi największą przykrość.“—Obiecałem, i dotrzymałem. On zaś na wstępie przeprosiwszy gościa za to mimowolne *qui pro quo*, wywiązał się jak najgrzeczniéj z roli gościnnego gospodarza, wiodąc dyskurs o dziennych sprawach uniwersyteckich. Dopiéro, gdy gość był już za drzwiami, Brodziński podniósł ręce do góry, i odetchnąwszy z głębi piersi, zawołał: „Ach!!! Po każdéj takiéj rozmowie czuję się jak zdjęty z tortury.“

Od téj także epoki zaczął się między nami zwyczaj czytywania sobie niekiedy nowo-napisanych wierszy, ku czemu mnie, jako młodszego, Brodziński najprzód przykładem swoim ośmielił. Delikatność jego w udzielaniu uwag dochodziła prawie do nieśmiałości; łatwość zaś w ich przyjmowaniu była najlepszym dowodem, nie powierzchownéj tylko, ale szczeréj wewnętrznéj skromności. Między innemi czytał mi, w miarę jak pisał, przekład, a raczéj parafrazę xiąg Hioba, o któréj mówił mi potém w Dreznie, że ją całkiem

przygotowaną do druku, wyjeżdżając, w Warszawie zostawił;—a która przecież musiała gdzieś zaginąć, wraz z wielu innemi rękopismami, bo nigdzie dotąd, ile wiém, w całości drukowaną nie była. Przy tém czytaniu wymagał koniecznie, ażeby nie przepuszczać żadnego wyrażenia, ani nawet żadnego wyrazu, przeciw któremu miałbym co do zarzucenia. Gdy zaś zarzut uznał za słuszny, z uśmiéchem zwykle powtarzał: „No, to dobrze! ale jakże to zrobić?“ I myśleliśmy wtedy wspólnie nad poprawką; która albo się udała na razie, albo ją do dalszego namysłu zostawiał.

Ale nie było dla niego większéj i prawdziwszéj pociechy, jak kiedy mógł cudzą robotę bezwarunkowo pochwalić. Miałem zwłaszcza tego dowód na sobie, czytając mu moje „*Wesele*,“ które uważał za najlepszą ze wszystkich moich dotychczasowych ramot. A cóż dopiéro mówić o jego szczerém uznaniu i gorącém współczuciu dla Mickiewicza i dla Zaleskiego; o względnéj życzliwości dla wszystkich młodszych talentów, i o sumiennéj sprawiedliwości w sądzeniu o starszych, którzy w tém wcale nie dawali przykładu z siebie, ani odpłacali się mu wzajemnością. Nie był on zresztą drażliwy na właściwą krytykę literacką, będąc sam najsurowszym krytykiem prac swoich; ale co go bolało, to osobista zła wola i niechęć, dotykająca w pisarzu człowieka, a grassująca epidemicznie pomiędzy ówczesnymi literatami w Warszawie; o czém najlepsze wyobrażenie może dać między innemi: „Obóz Klassyków,“ wydany przez L. Siemieńskiego, i przytoczone w nim korrespondencye ich samych. Najgłębiéj wszakże pod tym względem dotknął go był przed laty sam pan Minister oświecenia, Potocki, głowa ówczesnych literatów

i krytyków warszawskich. Było to w r. 1818 czy 1819, z pewnością nie umiém powiedzieć. Brodziński, jako professor literatury polskiéj w Lyceum Pijarskiém na Żoliborzu, jako współredaktor ówszesnego „Pamiętnika Warszawskiego,“ i nakoniec jako już znany z prac swoich autor i poeta, starał się o katedrę tegoż przedmiotu w nowo otwartym uniwersytecie warszawskim. Nominacya zależała od pana ministra, i Brodziński miał wszelkie powody mniemać, że ją ostatecznie otrzyma. Tymczasem, w wydawanym przez siebie „Pamiętniku,“ umieścił rozprawę swoję, „*O romantyczności i klassyczności*,“ piérwsze publiczne słowo w tym przedmiocie, który już od niejakiego czasu budził prywatne literackie dysputy i wywoływał żarty albo paszkwile starszych *laureatów*, nie dając im spokojnie usypiać na laurach. Do owéj to epoki odnosi się i to wspomniane wyżéj parodyowanie wierszy Brodzińskiego na obiadach u Jenerała Krasińskiego. Ogłoszenie rzeczonéj rozprawy dolało oliwy do ognia. Brodziński przyszedł do pana ministra dowiedzieć się o skutku swéj prośby; ale zamiast spodziewanéj względności, znalazł tak zimne i dumne przyjęcie, że mu to wszelką odjęło otuchę. Nie dość na tém. Pan minister, w ciągu rozmowy, wziął niby nieumyślnie ze stołu świeżo wydany zeszyt „Pamiętnika,“ i obracając go w ręku niby obojętnie, dał jednak spostrzedz autorowi rozprawy, że właśnie w całym zeszycie kartki jéj tylko były nierozcięte. Brodziński uczuł to boleśnie, nie jako osobistą obrazę, ale jako niesprawiedliwość ze strony tego właśnie człowieka, który z urzędu, imienia i wieku, był—czy raczéj być by powinien—kierownikiem postępu oświaty;

rzewodnikiem i opiekunem garnącéj się do nauk i do pióra młodzieży. Ale—jak mówi Podkomorzy w „Panu Tadeuszu:“

„Taka była przesądów owoczesnych władza!“

W chwili, gdy ja się poznałem z Brodzińskim, stanowisko jego w hierarchii społecznéj było już całkiem odmienne. Jako professor uniwersytetu, (mianowany po śmierci Potockiego, przez następcę jego Grabowskiego); jako członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk; jako poeta ustalonéj sławy; przytém jako człowiek szanowany powszechnie i ukochany przez młodzież; Brodziński stał już na równi ze wszystkimi tymi, którzy niegdyś, w początkach jego zawodu, stojąc stosunkowo na górze, zamiast mu podać opiekuńczą rękę, odepchnąć go i poniżyć chcieli. Brodziński nie był z tych ludzi, którzy długo pamiętają urazy, a zawziętość chowają w sercu. Nie stronił on od nikogo przez niechęć, ale unikał spotkania się z tymi, których życzliwości nie ufał. — Zwykłe i ulubione jego towarzystwo składali professorowie koledzy, u których skromne kolejne wieczorki, obok swobodnych pogadanek, urozmaicały: dla młodszych gry towarzyskie, dla starszych boston lub wist szelągowy. W salonach tak zwanego wielkiego świata, Brodziński zgoła prawie nie bywał, przynajmniéj ja go tam nie widywałem; oprócz chyba na literackich obiadach u państwa Ordynatowstwa Zamoyskich, które bywały u nich co piątek, podczas zimy 1827 roku, na uczczenie brata jéj saméj. To téż wzajem i świat ten wielki, który w błyszczących karetach zjeżdżał się tłumnie na deklamacyjne kursa Osińskiego, dla Brodzińskiego był obojętny i zimny;

i liczone chyba razy pamiętam, że kilka dam, i to młodszych i ze średniego stanu, zjawiło się na lekcyach jego. A przecież jak wykład przedmiotu, tak i sama nawet jego osobistość, zdolne były obudzić najżywszą sympatyą słuchaczy. Szczupła, blada, łagodna twarz jego, prześlicznie odbijała od czarnéj togi i biretu, (w których professorowie wówczas na katedrę wchodzili), a cichy, skromny i ujmujący ton głosu, nie mniéj téż kontrastował z doktorską powagą tego stroju. Sama tylko treść rzeczy znamię jéj zawsze nosiła. Na obiadach u Jenerała Krasińskiego, oprócz wspomnionego powyżéj, nie wiém czy go parę razy widziałem. Pamiętam jednak, że był na wielkiéj *Wigilii* w roku 1827, na któréj znajdowali się wyżsi dostojnicy wojskowi i cywilni, i całe grono Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wybrał wtedy mnie i Waleryana Krasińskiego, abyśmy obok niego usiedli, nie chcąc, jak mówił, wysilać się na rozmowę z mniéj znajomym sąsiadem. W ogólności był on nieprzyjacielem wszelkich dyalektycznych wysileń w towarzystwie, żadnéj w tym względzie próżności ani pretensyi nie mając. Panna Klementyna Tańska, dla któréj był on zawsze z największym szacunkiem i życzliwością, pragnęła bardzo miewać go na wtorkowych wieczorach u siebie, i wiele razy przeze mnie prosiła go o to. Choć nie łatwo, ale się dał namówić, i poszliśmy razem jednego wtorku. Ale trzebaż było nieszczęścia, że trafił właśnie na grę w *sekretarza*, (co się przecież nie co Wtorek zdarzało), i tak się tém znudził i zmęczył, że pomimo wielokrotnych nalegań, dalszych wizyt wtorkowych zaprzestał. „Kiedy już mam mózg smażyć—mówił—toć wolę nad xiążką czy piórem, a nie jak student

stawać do popisu."—A nie nęciła go także i owa skarbonka na stole, w którą każdy z obecnych, za użycie cudzoziemskiego wyrazu, musiał zaraz trzy grosze wrzucić dla ubogich. Zdarzało się i nieraz, że ktoś w żywszéj rozmowie, zajęty przedmiotem, dopuścił się pomienionego grzechu; natychmiast znalazł się słuchacz, a najczęściéj młoda słuchaczka, która schwytawszy go na gorącym uczynku, zaraz mu podawała skarbonkę. Rzecz zatém naturalna, że osztrafowany w ten sposób, stracił, lub przerwał umyślnie wątek dalszych swych myśli, i rozmowa spadała na ton powszedniości. Dodać tu jednak muszę, że nigdy sama gospodyni domu nie brała na się obowiązku podobnego rodzaju ostrzeżeń. Były one zwykle udziałem tych zwłaszcza z pomiędzy gości, którzy przed nią *merytować* się chcieli. Zawsze jednak ta nieszczęsna skarbonka była istnym kamieniem obrazy dla wszelkiéj ożywieńszéj na seryo rozmowy. Brodziński wiedział o tém, i zwyczaju tego nie chwalił; chociaż sam tak dalece czuł całą niedorzeczność i śmieszność używania obcéj mowy ze swoimi, że gdy raz jedna pani domu, chcąca poznać go jako poetę, powitała go po francuzku, nigdy już odtąd w progach jéj nie postał. A nawet jedną z przyczyn, dla których stronił od wielkiego świata, była i ta, ażeby się tą jego śmiesznością nadaremnie nie jątrzyć. Wszelka wszakże ostentacya i przesada, tak były wręcz naturze jego przeciwne, że ich nawet w dobrém nie znosił. Był on samą naturalnością, prostotą i prawdą, i w nich tylko w towarzystwie smakował. Jak zaś dalece towarzystwo kobiét, na podobny ton nastrojone, miało powab i urok dla niego: za dowód mogę przytoczyć najprzód stosunek jego i przyjaźń z panią

Katarzyną Lewocką, z którą on mnie piérwszy zapoznał, a potém podobnyż stosunek z domem panny Teressy Kickiéj, który się najprzód zawiązał przeze mnie. Sama panna Teressa, i mieszkające przy niéj siostrzenice: śliczna panna Natalia i Rozalia Biszpink, oddawna pragnęły go poznać; ale długich potrzeba było próśb i namów, nim się nakoniec pozwolił zaprowadzić raz do nich na sobotni wieczór. Od piérwszéj wszakże bytności, tak był już sam przez siebie doznaną uprzejmością ujęty, że nie tylko coraz częstszym gościem, ale stał się nakoniec najbliższym przyjacielem domu, i przyjaźni téj—jak mi sam potém w Dreznie opowiadał—winien był największą osłodę ostatnich lat pobytu swego w Warszawie,—a nawet i ostatnich chwil życia, jak o tém na swojém miejscu opowiém.

Tymczasem *à propos* tego domu, i jako przed admiratorką muzyki Szopena, pozwalam sobie wtrącić tu wzmiankę o nim samym, który w tym domu, będąc jeszcze studentem w szkołach, piérwszy swój towarzysko-artystyczny *debiut* rozpoczął, i potém, (także w Dreznie), w czasie już świtającéj europejskiéj swéj chwały, z charakteryzującą go, (kiedy chciał), naiwną czy figlarną prostotą, opowiadał swoje wrażenia: kiedy raz piérwszy ze mną, jako *introduktorem*, wszedł do tego salonu, i raz piérwszy w roli artysty, w obec światowego grona wystąpił. Dotąd bowiem rodzice nie dozwalali mu tego, i tylko szczególniejszéj ich łasce winien byłem, że w skutek próśb panny Teressy, przełożonych przeze mnie, zgodzili się na uczynienie dla niéj wyjątku. Było to w r. 1827, a może i 1826,—z pewnością nie pamiętam. Szopen był jeszcze w mundurku szkolnym, a nieśmiały jak młoda panienka. W sa-

lonie, zamiast fortepianu, był tylko *Eoli-melodicon*. Gospodyni, w ciągu wieczoru, prosiła go, aby co zagrał. Szopen w Dreznie śmiejąc się przypominał i opowiadał, jakich przytém wzruszeń doznawał; ja zaś na *seryo* pamiętam, jakie wrażenie sprawił na słuchaczach. Po dwóch czy trzech kompozycyach cudzych, zaczął improwizować na temat ostatniéj. Rzewne i uroczyste tony organku, oddziałały widocznie na nastrój natchnienia, które jego samego zdawało się pochłaniać. Podziwienie było ogólne. Nie sądzono już, ale słuchano. On grał i grał coraz daléj, coraz wyraziściéj i rzewniéj, i grałby nie wiedzieć jak długo, gdyby czcigodny Juljan Ursyn, postrzegłszy nadzwyczajną zmianę i bladość jego twarzy, nie ulitował się nakoniec nad nim. Zbliżył się więc, i z cicha usiadłszy przy nim, ujął go powoli za rękę, mówiąc: „Dość już, dość, kawalerze! trzeba żebyś odpoczął.“ — Wtenczas dopiéro otoczyli go wszyscy. Nikt już głośno chwalić go nie śmiał, i tylko gospodyni i goście ściśnieniem rąk mu dziękowali. Szopen mówił, że żaden z najświetniejszych późniejszych tryumfów, nie sprawił mu tak słodkiéj wewnętrznéj pociechy.

Ale wracając do Brodzińskiego;—dwie jeszcze role, w których go pamiętam: słuchacza i narratora, chciałbym aby uzupełniły niejako obraz jego w prywatném towarzyskiém pożyciu. Umiejętność słuchania w Brodzińskim była jednym z ujmujących rysów jego charakteru, wynikającym, jak zwykle, częścią z własnéj jego skromności, częścią ze względnéj dobroci dla drugich, a zawsze z zapomnienia o sobie. Oto fakcik tego rodzaju.

Na świetném i liczném weselu panny Mochnackiéj siostry Maurycego, w początku r. 1826, kilku-

nastu młodszych literatów zasiadło do wieczerzy przy osobnym pobocznym stole, gdzie honorowe miejsce prezesa zajmował p. Sagatyński, najwymówniejszy i najdoskonalszy narrator, jakiego kiedykolwiek słyszałem. Brodziński zapraszany do stołu dygnitarskiego, wolał jednakże usiąść między nami młódszymi: i trzeba było go widzieć, z jak szczerém naiwném zajęciem, wbrew swojéj professorskiéj i literackiéj powadze, słuchał, jak student bajki, dwóch długich opowiadań Sagatyńskiego, któremi ten, z Walter-Skotowskim prawdziwie talentem, tak przez ciąg całéj wieczerzy słuchaczów swoich zajmował, że sam chyba uprzejmy gospodarz domu przerywał mu niekiedy mowę, a to dla przypomnienia swym gościom, aby przecież coś jedli i pili.—Sam Brodziński w słowach zwykle był skąpy, ale prostota, naturalność, otwartość, a przytém sam miły dźwięk głosu, nadawały temu co mówił ów magnetyczny, że tak powiém, powab, który sam przez się w rozmowie, niezależnie od treści, uwagę i współczucie obudza. Żartobliwość, którą się rad posługiwał, była jak jego uśmiéch: łagodna i cicha; ale co jowialność, dowcip i humor narratora, to raz tylko miałem sposobność w nim widzieć, i podziwiałem istotnie. A było to przy obiedzie, którego, piérwszy raz w życiu, ja byłem fundatorem, a który z mojéj strony, był tylko aktem i hołdem wdzięczności dla tych, którzy bez żadnych korzyści dla siebie, i jedynie z dobroci swéj dla mnie, przyczynili się najwięcéj do uposażenia mojéj „Meliteli.“ Świetne nadzwyczaj powodzenie, jakiego przeto z ich łaski od piérwszéj zaraz chwili ukazania się na świat doznała, dozwoliło mi

i upoważniło niejako podziękować niektórym w ten sposób i wystąpić przed nimi w roli Amfitryona.

Gośćmi moimi byli: Brodziński, Witwicki, Zaleski, pan Joachim i Waleryan Krasiński. Obiad był u Chovota; — *virum educatum*. Cytata słów Achillesa z Iliady, gdy przyjmuje i ugaszcza u siebie Nestora i Ulissessa, mówiąc:

„Niechaj czara przed każdym napełniona stoi,
Pszyszli do mnie najlepsi przyjaciele moi!“

cytata ta służyła za pretext i bodziec do dopełnienia wyrażonéj w niéj formy gościnności. Brodziński był w najdoskonalszym humorze, i powoli, sam stał się koryfeuszem rozmowy. Przedmiot jéj stanowiły żarciki i opowiadania anegdot. Opowiadał je o sobie i o drugich, z czasów swoich szkolnych albo żołnierskich; zakrawając nawet niekiedy na ton *Fraszek* Kochanowskiego, albo *Figlików* Reja,—tylko, że bez ich zbytniéj czasem rubaszności, wręcz usposobieniu jego przeciwnéj. Szczerze uśmieliśmy się, pamiętam, z opowiadania jego o sobie: gdy zaraz po wstąpieniu do wojska, marzącemu o sławie i dziełach bohaterskich, kazano przewodniczyć rozdawaniu racyj żołnierskich, to jest mierzeniu kaszy i ważeniu mięsa; i jak on, upokorzony w sobie tą czynnością, dźwigał się sam w opinii swojéj przypominaniem lub powtarzaniem w myśli tych miejsc z Iliady czy Odyssei, w któréj bohaterowie Homera sami płatają mięso i przyrządzają biesiady. A przypominam jeszcze także jedną anegdotę, która chociaż go tylko pośrednio dotyczy, chcę ją tu jednak powtórzyć dla tego, że inaczéj zginęłaby w niepamięci.

Razu jednego, w czasie wakacyjnym, jechał on do Krakowa z Kudliczem, znanym i znakomitym artystą sceny warszawskiéj. Jechali we dwóch tylko najętym furmanem. Zajechawszy na popas do karczmy, trafili tam na wesele krakowskie. Autor „*Wiesława*“ był w swoim elemencie; Kudlicz zaś, który grał dobrze na skrzypcach, odwdzięczając za doznaną uprzejmość weselników, zagrał im dla zabawy skocznego jakiegoś obertasa. Muzyka ta tak się podobała, że tłumnie skłaniając się do kolan, prosili go o raz drugi i trzeci. Kudlicz ochoczo uczynił im zadość; ale gdy popas zbliżał się do końca, i on chciał już uprzejmych gospodarzy pożegnać: zapał gromady doszedł do tego stopnia, że porwawszy go i nosząc na rękach, postawili nakoniec na stole, i kłaniając się zawsze z największą uniżonością, oświadczyli jednak stanowczo, że go od siebie nie puszczą. Młodsi i zapaleńsi wołali: „Nasypiemy ci pełną czapkę złotówek, ale musisz nam grać aż do końca!“ — Biédny Kudlicz, na piedestale swéj muzycznéj chwały, pocił się krwawym znojem i mdlał od znużenia; ale opór był niepodobny; z pijaną zgrają nie było co gadać. Dał więc tylko znak Brodzińskiemu, który kazał cichaczem zaprzęgać konie, i sam wymknąwszy się chyłkiem, czekał z niemi na towarzysza za górą, o kilka stajów od karczmy. Czekanie to trwało z godzinę, aż dopiéro już prawie o zmroku ujrzał pędzącego ku sobie co tchu Kudlicza—bez czapki; którą zamiast złotówkami napełnić, musiał owszem, jako zakład powrótu, w ręku godowników zostawić.

A i ostatnie moje wspomnienie o Brodzińskim w Warszawie, łączy się téż z pamięcią przyjacielskiéj

biesiady; to jest pożegnalnego śniadania, które Waleryan Krasiński, dla Stanisława Rzewuskiego i dla mnie, w dzień mego z nim wyjazdu za granicę, wyprawił. W gronie kilku najbliższych był i kochany Kazimierz z Królówki, który i wtedy jeszcze, wziąwszy mię na stronę, z życzliwością i powagą starszego brata, udzielił mi po raz ostatni niektórych rad i przestróg, tyczących się zwłaszcza oszczędności w podróży i pokus, na jakie w większych zwłaszcza miastach, każdy niedoświadczony narażonym być może i bywa. Po śniadaniu, wszyscy współbiesiadnicy przeprowadzili nas aż do rogatek, i tym sposobem Brodziński, jak za przybyciem mojém do Warszawy był dla mnie jednym z piérwszych, tak przy wyjeździe był jednym z tych ostatnich, którym przez cały ciąg ówczesnego mego w niéj pobytu, najwięcéj i chwil miłych, i zbawiennych wpływów winien byłem. Nie przewidywałem wtedy, niestety, gdzie i w jakich okolicznościach przyjdzie mi odwdzięczać mu za nie.

II.

W początku Czerwca 1835 roku, wychodząc z domu na ulicę w Dreźnie, spotkałem w bramie—i przeraziłem się, ujrzawszy podobieństwo, i jakoby cień Brodzińskiego. Był to on sam, niestety; ale jakże odmienny od dawnego siebie! Wycieńczenie fizyczne i cierpienia moralne zlały się w jeden wyraz — zdrobnionéj zda się jeszcze bladéj jego twarzy. Był to skutek choroby, która go trawiła, a w części i znużenia podróżą, bo wprost z hotelu, gdzie tylko co przybył z Krakowa, szedł do mnie, mając adres od wspólnéj naszéj przyjaciółki w Warszawie, pani Katarzyny Lewockiéj, która raczyła zawsze być moją korrespondentką. Chorobą jego, a przynajmniéj głównym jéj symptomatem na zewnątrz, był jakiś guz czy narośl na prawém ramieniu, która powiększając się coraz, wyczerpywała znać siły żywotne. Lekarze zalecili mu użycie wód i kąpieli karlsbadzkich, dokąd był właśnie w podróży, i na krótki czas tylko zajechał do Drezna.

Widok jego odjął radość spotkaniu. Przywitaliśmy się jak na pogrzebie. Do zwykłéj łagodności

i słodyczy jego usposobienia, przybyła wrażliwa rzewność, objawiająca się za lada powodem. Po piérwszém powitaniu w bramie, za wejściem do mego mieszkania, widok małéj mojéj córeczki, na ręku matki, wzruszył go przypomnieniem Karusi, o któréj była piérwsza rozmowa. Dziękował mi za znajomość z domem panny Teressy Kickiéj, pod której zwłaszcza opieką żonę swoję i ośmioletnią już wtedy Karusię zostawił. Drugą zaś rzeczą, o któréj w ślad za tém wspomniał, było: że miałem racyą nie lubić pewnego literata, którego choć on sam także nie lubił, ale przecież hamował niegdyś zbyteczną może moję względem niego szorstkość. To właśnie posłużyło za temat do dalszych jego opowiadań o drugich i o sobie, które nieraz starałem się przerwać lub skrócić, widząc że go zanadto wzruszały. W ten sposób zawiązał się na nowo dawny między nami stosunek, ale jakże w odmiennych warunkach! W Warszawie był on dla mnie jednym z głównych punktów oparcia, w życiu mojém wewnętrznem i towarzyskiém. W przyjaźni jego czułem zaszczyt i opiekę. Dziś zaszczyt tylko pozostał niezmiennym. Ale za doznaną naówczas dobroć, czułem, że mi się podaje sposobność odwdzięczenia mu przyjacielską posługą.

Zacząłem od znalezienia dlań prywatnego mieszkania, (na *Töpfer Gasse*), i to tego samego, w którém ja sam po przybyciu do Drezna przez rok przeszło mieszkałem, a które po mnie z kolei zajmowali z rekomendacyi mojéj: Garczyński, Witwicki i Gorecki. Serdeczna uprzejmość i usłużność obojga gospodarzy, otaczała go taką troskliwością, że mu to, jak sam powiadał, osładzało samotność i tęsknotę. Samotnym jednak rzadko bywał we dnie. Oprócz mnie, zastał tu jeszcze kilku dawnych znajomych, między innemi pana Adolfa Cichowskiego, i dom państwa Województwa Wodzińskich, z którym go zwłaszcza blizka łączyła przyjaźń. Nowi znajomi przybywali także, a każdy wedle możności starał się uprzyjemnić pobyt w obcém mieście sławnemu narodowemu poecie. On sam jednak rzadko gdzie bywał, z powodu cierpienia w ramieniu, które mu zawadzało w ubraniu. Nad wieczorem zazwyczaj, wracając ze spaceru z *Gross-Garten*, wstępował po drodze do mnie (na *Johannis-Gasse*), a że miał zakazane kawę i herbatę, żona moja przyrządzała dlań ulubiony mu z czasów studenckich (jak mówił) przysmak, *zaciereczkę*; którą mu też na codzienne śniadanie w domu, nauczona przezemnie gospodyni jego warzyła. Przyjaciel mój i wszystkich w ogólności Polaków, doktór Hedenus, syn sławnego niegdyś chirurga i sam niemniej znakomity lekarz; wiedząc, kto był Brodziński, z braterską prawdziwie troskliwością zajął się nim i czuwał nad jego zdrowiem; chociaż po piérwszych zaraz odwiedzinach, niestety, nie rokował pomyślnych nadziei.—I z tym to ja zwłaszcza stosunkiem miałem ciągły i największy kłopot. Znając już z doświadczenia uczucia Hedenusa, wiedziałem dobrze, że ofiarowanie mu wynagrodzenia przez moje ręce byłoby dlań dotkliwą obrazą; z rąk zaś samego Brodzińskiego od razuby go nie przyjął. Ale też z drugiéj strony, znając delikatność Brodzińskiego, czułem z niemniejszą pewnością, iżby mu to całą swobodę w postępowaniu z lekarzem odjęło. Przystałem więc wrzekomo na żądanie, ażebym był jego płatnikiem; ale też wyperswadowałem zarazem, że się tu nie

za każdą wizytę, ale dopiéro po skończeniu kuracyi, ryczałtowo lekarza opłaca. Uwierzył, i przez cały ciąg pobytu w Dreźnie, wszystko jakoś szło spokojnie i dobrze. Ale przyszedł nakoniec dzień wyjazdu do Karlsbadu, w którym przez nieuniknioną konieczność, interes ten zwalił się na mnie. Brodziński przygotował rulonik dukatów, i oczekując na ostatnią wizytę Hedenusa, chciał go już naprzód złożyć w moje ręce. Wywijałem się zatém jak mogłem, aby jego przyjęcie opóźnić; aż nakoniec wejście doktora uczyniło to niemożliwém. Podczas konferencyi, Brodziński usiłował nieraz zbliżyć się do mnie; ja zaś pod pozorem delikatności, aby lekarskich konfidencyi nie słuchać, coraz daléj usuwałem się od niego. Rulonik był w jego ręku, i widać było, że go ogniem palił. Z twarzy jego Hedenus domyślił się snać o co idzie; gdyż uścisnąwszy go raptem, tak szybko wybiegł z pokoju, że Brodziński ze swoim rulonikiem pozostał jak osłupiały; a ja miałem niesłychaną mękę, nimem go odwiódł od zamiaru pisania przeze mnie listu, i uspokoił nakoniec ponowioną uroczyście obietnicą, że po powrócie jego z Karlsbadu, ja tę rzecz wezmę całkiem na siebie.

Przez czas trzytygodniowego pobytu w Dreznie, zdrowie jego polepszyło się o tyle, że nie tylko poczuł się mocniejszym na siłach, ale i weselszym na humorze. Wprawdzie źródło choroby pozostawało zawsze w jednakowym stanie, ale dotkliwsze symptomata zwolniały, a nadzieja lepszego jeszcze skutku wód karlsbadzkich krzepiła go i dodawała otuchy. Korzystając więc z tego usposobienia, zaczął powoli zwiedzać galeryą i inne osobliwości miasta, w czém ja, albo

p. Adolf Cichowski, służyliśmy mu zwykle za *ciceronów*. Obudziła się téż w nim chęć do czytania; ale z powodu osłabienia oczu, my także na przemiany spełnialiśmy obowiązek lektorów. Nigdy nie miałem tyle sposobności przekonać się, jaką serdeczną radość sprawiał mu każdy nowy autor, lub nowe dzieło, stające się ozdobą literatury ojczystéj. W Krakowie czytał już był „*Pana Tadeusza*," i uważał go za najwyższy szczebel, na jakim dotąd poezya nasza stanęła. Znał także już przedtém „*Nie-boską*," ale tutaj dopiéro poznał „*Agay-Hana*," i dowiedział się ode mnie, że jest dziełem tegoż samego autora. Widzę zda się, jak blada twarz jego zapłonęła nagłym rumieńcem, gdy mu jeden ustęp czytałem; jak mimo osłabienia powstał i chodził po izbie, mówiąc o zaletach obu tych utworów, i z tak wielkiéj między niemi różnicy w charakterze, barwie i tonie, wnioskując o potędze talentu autora, i o przyszłych z niego nadziejach. Ja wtedy tłómaczyłem właśnie „*Panią Jeziora*," którą, na wzór niemieckiego jéj tłómacza, przechrzciłem potém na „*Dziewicę z Jeziora.*" Brodziński wysłuchawszy opisu łowów z pieśni piérwszéj, nie dał mi już pokoju, aż przeczytałem mu wszystko, co było napisane; a to jego współczucie stało mi się tak dzielnym bodźcem w dalszéj pracy, że w ciągu jego pobytu przełożyłem całą pieśń czwartą, a do powrótu jego z Karlsbadu, cały przekład był już prawie u końca. Wpływ jego tak był widoczny, że dotąd jeszcze wiele wierszy, za każdém ich przypomnieniem, obudza we mnie pamięć Brodzińskiego: jak słuchał ich czytania, wnet po napisaniu, lub jak je, myśląc o nim, składałem. Ach! bo nié ma na świecie Mecenasa, któryby przy największéj

potędzę i chęci, mógł dodać tyle zachęty i siły, co przyjacielskie współczucie brata w sztuce—a cóż dopiero siostrzyczki, komu Opatrzność szczęście to nadarzy! To jest owa cudowna, ożywcza *Fontanna*, przy któréj nawet na starość serce i duch się odmładza, a która, jak mówi Szyller, „w krainie tylko poezyi płynie.“ Słowa nie wystarczyłyby wdzięczności, ktoby ją chciał za doświadczenie tego wpływu wyrazić. Ale za tóż tém bardziéj żal bierze nad tymi, którzy ożywiając nim drugich, sami go, jak się zdaje, nigdy nie zaznali. O! bo są okolice, podobne pod tym względem do piaszczystéj Sahary, gdzie chociażby jaka oaza zielonością i kwiatem zakwitła: będzie ona tém większym może podziwem dla drugich, ale co w sobie i dla saméj siebie, to zawsze sierota w pustyni—choćby nawet, przez nawyknienie, samatego sieroctwa nie czuła!

Brodziński w życiu swojém wpływ tego rodzaju, zawdzięczał, jak opowiadał, w części starszemu bratu swemu Andrzejowi, najwięcéj zaś przyjaźni Wincentego Reklewskiego, poety, starszego wiekiem, i bezpośredniego naczelnika swojego w wojsku, który go osobiście pokochał, a oceniając poetycką w nim duszę i talent, do kształcenia go przez naukę i do dalszego rozwijania zachęcał. Reklewski umarł potém na ręku jego, podczas kampanii 1812 roku, a obraz téj śmierci, i inne czułe wspomnienia o Reklewskim, były często przedmiotem jego rozmów. W ogólności bowiem w tych czasach Brodziński lubił szczególnie opowiadać dawne swoje wspomnienia, jak gdyby dusza jego przeczuwając zamykającą się przed nim przyszłość, albo może chcąc się oderwać od smutnéj teraźniejszości, w przeszłość

tylko z upodobaniem patrzała. Mówił mi wtedy, że napisał, i wraz z wielu innemi rękopismami, zostawił w kraju przepisane na czysto, jak do druku, osobiste swoje wspomnienia z lat dzieciństwa i piérwszéj młodości; z nadzieją zaś powrótu do zdrowia łączył zamiar dalszéj ich kontynuacyi, mając przytém zwłaszcza na względzie, zaszły w tych czasach w literaturze naszéj przełom w wyobrażeniach i w sposobie pisania. Poczuwał się on w tém nawet do pewnego rodzaju obowiązku, aby jako uczestnik i najbliższy świadek téj walki między tak zwaną *klassycznością i romantycznością*, obraz jéj w świetle prawdziwém pamięci potomnych zostawić. Przywiązywał bowiem szczególną wartość do wszystkich w ogólności pamiętników osobistych, byle pisanych z dobrą wiarą, bez wpływu nienawiści lub miłości własnéj: uważając je za najbardziéj pomocniczy środek do poznania i zrozumienia prawdziwego charakteru epoki i pojedyńczych ludzi. Brakowi nawet dzieł tego rodzaju w literaturze naszéj przypisywał on z żalem nader smutne skutki, a mianowicie tę tak dziwną, a prawie powszechną u nas, nieświadomość naszéj przeszłości, pod względem zwłaszcza psychicznym i moralnym, która pozbawiając nas wzorów własnych, usposabia i zmusza niejako do naśladowania i szukania obcych. Po jednéj długiéj w tym przedmiocie rozmowie, zwłaszcza o dwóch głównych szkopułach tego rodzaju autorstwa, to jest, o drobiazgowości pojedyńczych szczegółów, i o zarzucie ciągłego a koniecznego przytém mówienia autora o sobie: Brodziński dał mi nazajutrz, napisane ołówkiem na świstku, dwa następujące dystychy:

„Nie zważaj, że cię zarzut samolubstwa czeka,
Mów o sobie, gdy w sobie zbadałeś człowieka.“

i drugi:

„Drobiazg nie jest błahością. Drobna w kroplach rosa,
Rzeźwi ziemię, i w sobie odbija Niebiosa.“

I bodaj czy to nie były ostatnie wiersze, które w życiu napisał. W Dreźnie bowiem nie brał pióra do ręki, i owszem nieraz powtarzał, że ze względu na stan swego zdrowia, właściwy zawód autorski uważa już za skończony; gdyż spisywanie swych wspomnień miałby raczéj za rozrywkę starości. Co do ostatnich pism swoich, zostawionych téż, jak mówił, w Warszawie, i przygotowanych do druku: szczególną wartość przywiązywał do historycznéj rozprawy „o trzech epokach kształtowania się i objawiania charakteru szlachty naszéj, pod wpływem czci Boga Rodzicy.“ Praca ta nigdzie dotąd drukowaną nie była, i od nikogo innego nie słyszałem o niéj. Prawdopodobnie więc musiała gdzieś zaginąć wraz z rękopismem parafrazy xiąg Hioba, którą ja sam u niego, przed moim wyjazdem z Warszawy w r. 1829, całkiem już jak do druku przepisaną widziałem. Zkąd zaś i jakim sposobem pamiętnik jego, czy tylko niektóre ułamki, dostały się do „*Przyjaciela Ludu*“ który je piérwszy ogłosił, ja nie wiém; choć byłaby to może jedyna droga, do dowiedzenia się o losie innych rękopismów, z któremi razem, jak mówił, i pamiętnik ten w Warszawie zostawił.

W końcu Czerwca Brodziński wyjechał z Drezna do Karlsbadu, furmanem, w towarzystwie dwóch młodych Niemców, których mu jego gospodarz na wspólników podróży wynalazł, i którzy go, jako słabego,

w drodze pielęgnować przyrzekli. Dotrzymali istotnie słowa, i Brodziński z wdzięcznością o nich wspominał.

Kuracya w Karlsbadzie szła z początku bardzo pomyślnie. Przez jednego z powracających ztamtąd, miałem od niego świstek, napisany ołówkiem, w którym mi o tém donosił, dodając w żartobliwy sposób, że zamiast *zaciereczki, tuczy się wasser-zupką*, a nawet czasem sobie i *Blum-Caffé* pozwala. Ku końcowi zaś Lipca otrzymałem list z poleceniem, abym najął dlań na cały Sierpień to samo co przedtém mieszkanie, na *Töpfer-Gasse*; ale że ono było już zajęte—wynalazłem więc inne, w prawém skrzydle pocztowego gmachu, bardzo wygodne i stosunkowo tanie, które mi jego właściciel, wyjeżdżając sam na wieś, odnajął; nie na dłużéj jednakże jak do piérwszych dni Września, to jest do dnia swego powrótu. Drobna to na pozór okoliczność, ale wpływ jéj, niestety, był wielki! Przystałem zaś na to tém chętniéj, że Brodziński nie dłużéj właśnie zamierzał zabawić w Dreźnie.

Tymczasem, przy samym już końcu kuracyi w Karlsbadzie, przypadła nań inna choroba: rozlanie się żółci, w skutek któréj przyjazd jego do Drezna przewlókł się do połowy Sierpnia. Znalazłem go mocno zmienionym, a żółtość zwłsszcza cery i ogólne osłabienie świadczyły, że choroba ta w nim jeszcze nurtuje. Pomimo tego jednak, w piérwszych dniach pobytu, wychodził jeszcze z domu i odwiedzał znajomych, mając zamiar niezwłócznie wracać do Warszawy. Ale wkrótce zaniemógł obłożnie. Państwo Wodzińscy, pan Cichowski i ja, odwiedzaliśmy go stale w pewnych godzinach, aby był jak najmniéj samotnym, a przytém najęliśmy bardzo porządną kobiétę, Niemkę, któraby była nieodstę-

pnie przy nim. Troskliwe starania i lekarstwa Hedenusa, zaczęły zwolna okazywać swój skutek. Chory już się mógł przechadzać po pokoju—kiedy wtém, na początku Września, właściciel mieszkania powrócił, i trzeba było starać się o nowe. Znalazłem je nieopodal piérwszego, i urządziwszy w niém wszystko, co mi się zdawało potrzebném, przeniesienie samego chorego zdałem na pana Cichowskiego, który się sam tego domagał. Przeniesiono go w lektyce. Nie wiém, czyby moja przytém obecność naprowadziła mię była na myśl, która nieszczęściem w téj chwili panu Cichowskiemu nie przyszła: to jest, że trzeba było zacząć od ogrzania pościeli, nastygłéj w nieopalaném dotąd jeszcze mieszkaniu. Samo ono nie było chłodne; a że i dzień był pogodny i ciepły, urządzając przeto je z rana, nie widziałem nawet potrzeby kazać przepalić w piecu, chociaż miałem przygotowany zapas drzewa na kąpiele, które chory, z przepisu lekarza, co trzeci dzień w domu brać musiał. Wprawdzie samo jednorazowe przepalenie nie ogrzałoby jeszcze pościeli; zawsze jednak ta nieprzezorność z mojéj strony dręczyła mię przez lata jak wyrzut sumienia; a biédny pan Cichowski cierpiał jeszcze więcéj, on, który aktem przenosin bezpośrednio kierował. Ledwo albowiem chory położył się przy nim do łóżka, porwały go okropne dreszcze i trzęsienie, jakby w najgwałtowniejszym paroxyzmie febry. Przerażony Cichowski pobiegł po doktora; a tymczasem i ja nadszedłem. Nie czas było palić już w piecu. Skoczyłem więc co żywo po spirytus do sklepiku, i rozlawszy go na talerze, zapaliłem na środku i po wszystkich rogach pokoju. Powietrze wnet się ogrzało—ale złe, co się już stało, nie dało się przez to naprawić.

Choroba wzmogła się widocznie, a lubo po dniach kilku, za użyciem lekarstwa, znowu do poprzedniego stanu wróciła: postęp ku polepszeniu zatrzymał się na tém. A tymczasem siły niknęły, i Hedenus oświadczył nam otwarcie, że dobrego końca nie widzi. Sądził wszakże, że po niejakim czasie chory, będzie mógł jeszcze przedsięwziąć podróż do Warszawy, byle miał w niéj stosowną wygodę i opiekę. On sam pragnął tego najmocniéj, aby choć raz jeszcze, jak mówił, obaczyć żonę i córkę, i spocząć w ziemi rodzinnéj. Na przyjazd jednak żony do Drezna, w żaden sposób zgodzić się nie chciał; i z tegośmy zwłaszcza wnosili, że choć często mówił o śmierci, zbliżania się jéj nie przeczuwał.

Ale jakiemiż słowy zdołałbym odmalować to prawdziwie anielskie bohaterstwo duszy; te niczem niezachwiane pokój i cierpliwość, jakie w nim w każdéj chwili ze czcią trzeba było podziwiać! I nie była to dumna stoicka odwaga, ale owszem pokorne i ciche poddanie się woli wyższéj, któréj rząd i kierunek, nie tylko w tym razie, ale zawsze, jak mówił, czuł i uznawał nad sobą. I był to nawet, możnaby powiedzieć, ulubiony dlań przedmiot rozmowy, ilekroć w chwilach swobodniejszych od cierpień, szukał w niéj rozrywki dla myśli, a może i zapomnienia o obecnym swym stanie. Nigdy albowiem, jak tylu innych chorych, nie rad był mówić o swojéj chorobie, i nawet na pytania odwiedzających odpowiadał krótko i obojętnie, przechodząc zaraz do innego przedmiotu. Przytém nie czuł on żadnych gwałtownych boleści, ale tylko stopniowe ubywanie siły, i oprócz przelotnych dolegliwości fizycznych, rzewną niekiedy tęsknotę. Pod wpływem jéj dnia jednego, sam z własnego natchnienia, powiedział

mi, że się chciałby spowiadać; a z oczu jego, zwróconych na mnie, gdy to mówił, odgadłem, że była w tém i chęć wybadania, co sądzimy o jego stanie. Udałem więc najzupełniejszą obojętność, i radząc mu wrzekomo aby to raczéj do czasu całkowitego wyzdrowienia odłożył, zacytowałem tylko kilka rzeczywistych wypadków, w których odbyta spowiedź, jakby cudownym tajemniczym wpływem, do uzdrowienia chorym dopomogła. Widziałem i poczułem wyraźnie, że go to ucieszyło. A chociaż wnet rozmowę zwróciłem ku czemu innemu, i kilka obcych osób nadeszło: on jednak przy pożegnaniu, gdy już miałem wychodzić, pociągnął mię za rękę, abym się nachylił ku niemu, i z cicha powiedział do ucha: „Proszę cię, ja się chciałbym jutro wyspowiadać.“ — Udałem się więc natychmiast do szanownego x. kanonika *Mitde*, który też zaraz nazajutrz świętego tego aktu dopełnił. — I zdawało się rzeczywiście, że jakiś wpływ cudowny ogarnął nagle i ożywił chorego. Wszelkie cierpienia fizyczne ustały; twarz się jakoś wypogodziła; a pokój ten i pogoda oddziałały widocznie na stan jego wewnętrzny, jeśli nie same raczéj wypłynęły z niego.—„Czuję sam, (mówił do mnie), że już choroba ustąpiła całkiem; ale życie tli tylko jak w iskierce, i z téj iskierki trzeba teraz odradzać się jak fenix.“ — I był pewnym, że się odrodzi. A było to na trzy dni przed śmiercią. I wszystko w tych dniach dziwnym sposobem zbiegało się jakoś, aby mu te ostatnie chwile osłodzić. Odebrałem listy z Paryża, między któremi był liścik do niego pisany przez Witwickiego, na przypadek, gdyby jeszcze był w Dreznie. Mickiewicz zaś w liście do mnie pisał: „Jeśli Brodziński jest jeszcze u was, kłaniaj mu

się ode mnie. Chociaż nie znam go osobiście, wiész, jak go wysoko szacuję. Na końcu „*Tadeusza*“ był do niego ustęp; ale nagłe drukowanie i moje ówczesne zatrudnienie małżeńskie, zrobiły, że nie miałem czasu poprawić i umieścić owego Epilogu. Zostawiłem to do przyszłego (jeśli będzie) wydania.“—Odczytałem te słowa Brodzińskiemu. Słuchając zamknął oczy, i nie mógł powstrzymać łkania; co mu się zresztą w tym czasie za każdém wzruszeniem zdarzało. Po niejakim czasie dopiéro polecił mi podziękować Adamowi za ten dowód pamięci, w którym jużciż musiał czuć dowód, że sam autor „*Pana Tadeusza*“ miał go jakby za drugą pieśń z tego tonu, który najprzód zabrzmiał w „*Wiesławie.*“—Przedłużające się leżenie zaczęło mu być dolegliwem. Miękkiéj niemieckiéj pierzyny znieść nie mógł, a zwyczajny materac był już dla niego za twardy. Wiedząc o tem przeze mnie pani baronowa *Rönne*, (Załuska z domu), kazała zrobić umyślnie dla niego materac na sprężynach, który właśnie w tym czasie przyniesiono. Ucieszył się dziecinną radością, kiedy za każdém poruszeniem na nim, poczuwał się jakby kołysanym.—Piérwszéj też nocy po dostaniu jego, miał ów szczególny sen, czy widzenie, wiadome już z listu mego do pani Lewockiéj, w którym jéj najprzód o śmierci jego doniosłem. Było to na drugi dzień po spowiedzi. Przyszedłem, jak zwykle, rano, aby się o nocy dowiedzieć. Dozorująca go Niemka piérwsza powiedziała mi o tém. Nade dniem obudziło ją wołanie chorego, który ją pytał: „czy nic nie widziała?“—On sam zdawał się być przelęknionym, i na wzajemne pytanie: „co się stało?“ odpowiedział: „*Ich habe meinen Heiland gesehen!*“ (widziałem moje-

go Zbawiciela)! Podług jego opisu, był *On* w białéj szacie, długiéj do ziemi. Stał przed nim, u stóp łoża, opromieniony światłością, i ręce ku niemu wyciągał.

Wszedłszy, nie wspomniałem nic o tém choremu, ale on mię sam piérwszy zagadnął: „Czy kobiéta nic ci nie mówiła?“—„Mówiła, rzekłem, o śnie, który miałeś.“—„Ja nie wiém, czy to był sen,“ odpowiedział. „Mnie się zdaje, że nie spałem, i że to było na jawie.“—I tu powtórzył mi sam słowo w słowo opowiadanie Niemki, i dodał: „Nie wiém, co to ma znaczyć? Czy że mam prędko umrzéć, czy że wyzdrowieję?“—Wróżyłem, ma się rozumieć, ostatnie, i on wilocznie tęż nadzieję podzielał.—Jeszcześmy rozmawiali o tém, gdy wszedł pocztylion i przyniósł mu list od żony. Chory sam czytać nie mógł, i kazał mi go sobie przeczytać. Donosiła mu same pomyślne wiadomości o sobie i o Karusi; o troskliwości przyjaciół, jakiéj doznaje; przyczém wymieniała szczególnie doktora Malcza, panią Katarzynę Lewocką, i dom panny Teresy i pani Natalli Kickich. Nakoniec prosiła usilnie, ażeby jéj pozwolił przyjechać do siebie. Czytanie to wzruszyło go bardzo; ale wzruszenie to było słodkie, a wdzięczność dla przyjaciół rozpromieniła i myśl, i twarz jego. „Gdyby mi nawet skończyć tutaj przyszło, umierałbym z tém przekonaniem, że byliby zawsze pociechą i opieką mojéj biednéj żony i dziecka.“—Słowa te za świeżéj pamięci powtórzyłem w liście do pani Lewockiéj, i przyjaciele spełnili je święcie. Mówiąc je wszakże był on pewny, że sam jeszcze do nich powróci, i polecił mi odpisać w tym sensie do żony, uspakajając ją i prosząc, aby zaniechała zamiaru przybycia do Drezna. Obawa o słabe jéj zdrowie, zwłaszcza przy trudach

podróży i jakieby musiała przy nim chorym ponosić, były główną pobudką tego zaprzeczenia. Napisałem kopję w domu, i przyniosłem wieczorem, aby ją przed nim odczytać.

Wieczoru tego nie zapomnę nigdy. Nie przewidywałem bynajmniéj, że to była ostatnia rozmowa; ale była ona jakby streszczeniem jego uczuć, jakby miniaturowym obrazem duszy, który jest odtąd dla mnie ideałem cnotliwego człowieka i poety, jakiby trudno może dał się znaleźć gdzieindziéj, niż u nas. Powtarzałem ją tyle razy w opowiadaniu drugim i w myśli, że treść i ciąg jéj dotąd doskonale pamiętam. Powód do niéj dała właśnie owa kopja listu, który napisałem sam od siebie, nie mogąc znaleźć w myśli właściwego tonu do pisania w jego imieniu. Przystał na to, i miał mi tylko nazajutrz podyktować przypisek od siebie. Nazajutrz!!!—A był to, jak sam mowił, dzień pamiętny i szczęśliwy w jego życiu; dzień, w którym w 1822 r. wszedł po raz piérwszy na katedrę professorską w uniwersytecie warszawskim, i rocznica urodzin Karusi.—List mój, jako przeznaczony do uspokojenia jego żony, a nawet i jego samego, był w tonie prawie wesołym, jakby już wszelkie niebezpieczeństwo minęło; w apostrofie zaś do Karusi, było przypomnienie jéj płaczu i naszego kłopotu z rzeczy wysłania niegdyś mamki jéj po piwo. Wspomnienie to, w połączeniu z jutrzejszą rocznicą jéj urodzin, dało początek i nastrój rozmowie. Mówił o uczuciach męża i ojca, jako o największéj słodyczy i szczęściu swojego życia. Mówiąc zaś o wyborze żony:—jako wskazówkę przeznaczenia z góry, opowiedział mi wtedy następującą okoliczność. Gdy idąc na wyprawę 1812 roku, maszerował w szeregach swojéj kompanii, widok wiejskiego

kościołka blizko drogi, ściągnął jego uwagę, i tak w nim poetycką fantazyę rozmarzył, że zaczął sobie roić cały obraz szczęścia, jakiegoby mógł doznać, biorąc w nim ślub z ukochaną. Marzenie to było tego rodzaju, że mu utkwiło w pamięci. I trzebaż, że we czternaście lat potém, w tym samym właśnie, a nie innym kościołku, zaślubił się ze swoją żoną.—Z powodu zaś tego zdarzenia, w dalszym ciągu rozmowy, dostrzegłem w nim po raz piérwszy mistyczny niejako odcień myśli, to jest, żywą wiarę w tajemniczą stronę natury i życia ludzkiego. Opierał on ją nie na żadnéj oderwanéj teoryi, ale wprost na doświadczeniu własném, w rzeczach często, jak mówił, tak drobnych i błahych na pozór, iżby te dla nikogo, prócz jego samego, żadnéj wagi i znaczenia nie miały.—Wszedłszy raz bowiem na tór mówienia o sobie, z tak widoczném upodobaniem wywoływał różne dawne wspomnienia, że ja, pomimo całéj przyjemności w słuchaniu, bojąc się by go to zbyt nie znużyło, po wiele razy prosiłem, ażeby przestał mówić i odpoczął. Ale odpowiadał mi na to zapewnieniem, że go mówienie nie męczy, i że tylko głośno mówić nie może. Jakoż mówił tak cicho, że musiałem aż głowę wesprzeć na jego poduszce, ażeby każde słowo dosłyszeć.—Niepodobna mi już dzisiaj przypomnieć wszystkich szczegółów tych jego opowiadań, ale pamiętam dobrze, że powziąłem z nich to przekonanie, że w osobistém życiu swojém uważał się w ogólności za szczęśliwego, i że oprócz moralnych, głównych podstaw szczęścia w każdym człowieku, on swoje zawdzięczał téż nie mniéj poetycznemu usposobieniu własnéj swojéj duszy i serca, a zwłaszcza co do uprzejméj życzliwości dla ludzi i zamiłowania na-

tury. Większa część bowiem tych wspomnień tyczyła się towarzyskich zabaw z przyjaciółmi, lub wakacyjnych przyjemności na wsi. Z pomiędzy tych ostatnich z największém upodobaniem mówił o zbieraniu orzechów w lesie, i tak się widać myślą i wyobraźnią przeniósł był w téj chwili do lasu, że z uśmiéchem dziecinnéj radości, opisywał najszczegółowiéj tę uciechę i rozkosz, kiedy się nagle, ukryte pod liściem, bujne grono orzechów obaczy, albo gdy za wstrząśnieniem drzewa, dojrzałe już orzechy, same jak grad sypią się z góry. Dodał, że nie ma milszéj przed sobą nadziei, jak że wróciwszy do Warszawy, pojedzie z żoną i Karusią do szwagra na wieś, i znowu z niémi pójdzie razem na orzechy!

Na tym obrazku i na téj nadziei skończyła się nasza rozmowa; żaden z nas nie przeczuwał, że już była ostatnią. Nazajutrz o téj porze już konał!—Z rana czuł się jak zwykle; ale gdy pan Cichowski przyszedł go odwiedzić w południe, znakami tylko dał mu do poznania, że mu sił do mówienia brakuje. Przytomność miał wszakże zupełną. Po południu dopiéro wpadł w drzémkę, która ku wieczorowi przybrała już widocznie cechę powolnego konania. Korzystając z mojego przyjścia, Niemka pobiegła po Hedenusa, i ja z nim tylko sam na sam zostałem.—Wierny obraz chwil tych ostatnich masz, siostrzyczko, w wierszu moim na śmierć jego. Przytoczeniem więc z niego wyjątku, smutne to opowiadanie zakończę.

Zbliżała się godzina—a jako gdy słońce
Schyla się do zachodu: wiatry w dzień wiejące
Ucichają, a ono swe blaski promienne
Wciąga zda się w głąb' siebie, na spocznienie senne;
Lecz nim zgaśnie, raz jeszcze w pełni majestatu,

Nieśmiertelne swe jutro zapowiada światu.
Tak dusza chrześcijańska, przed ostatnią próbą,
Ucisza się w spokoju—i jakby chcąc z sobą
Zabrać i unieść wszystkie swe cnoty na ziemi,
Wsiąka je, i niewiedząc promienieje niemi.

Tak był on.—Obmytemu u pokuty zdroju,
Bóg snać wlał taką słodycz wnętrznego spokoju,
I tak podniósł go w duchu—że z téj wysokości
Stanął przed nim zarazem, i obraz przeszłości,
I nadzieja błękitną przyszłość odsłoniła;
Czuł jéj blask—lecz nie wiedział, że to wieczność była.
I ufny, z pełni serca, przed okiem przyjaźni,
Rzucał w nią, jakby resztę gwiazd swéj wyobraźni;
A wszystkie były tylko iskry, lub odbicia
Jednéj—stałéj, słonecznéj, przewodniczki życia,
Miłości: Boga, kraju, braci, towarzyszy,
I domowéj rodziny, i wiejskiéj zaciszy,
Gdzie wrócić, którym jeszcze błogosławić, służyć
Chciał w życiu—które, mniemał, że Pan chce przedłużyć.

Lecz Pan inak rozrządził—i sam mu swą wolę
Obwieścił—nie przez trwogę śmierci, nie przez bóle,
Nie przez strach nawet sądów swych i Majestatu:—
Lecz jak wstępował w Niebo, błogosławiąc światu,
Jak stokroć zchodził z Nieba na męczeńskie dusze,
By je wzmódz duchem swoim nad śmierć i katusze:
Tak zszedł snać i ku niemu;—z jasnym włosem młodzian,
Z promieniejącém czołem, śnieżną szatą odzian,
Stanął przed nim w widzeniu—i skinieniem ręki
Wskazał drogę ku Niebu—palmę życia męki.

I on uznał znak Pański!—i jakby Anieli
Na straży mu u serca i myśli stanęli,
Taki spokój tchnął w licu, taka w oku radość:
Że nawet w onéj chwili, gdy już śmierci bladość
Zwiastowała jéj przyjście; gdy na łup jéj ciało
Skazane, snać w jej ręku konwulsyjnie drgało,

A skroń jego stygnącą, jako marmur biały,
Usta już tylko moje i łzy ogrzewały:
Że nawet w onéj chwili—którą widząc człowiek,
Drży tylko albo płacze:—z pod gasnących powiek
Lśnił jakiś taki promień, taki blask weselny,
Tak się dawał czuć tryumf duszy nieśmiertelnéj,
Taka pewność, że żyje i idzie do Boga:
Że grzechemby się zdały litość albo trwoga;
I tom jedno czuł tylko w głębi serca mego—
Jak dobry Pan! jak słodka śmierć Sprawiedliwego!“

STEFAN WITWICKI
i
STEFAN GARCZYŃSKI.

I.

Dwa te imiona i dwie te postacie tak się nierozerwalnie łączą w mojéj pamięci, sercu, i codziennéj za ich dusze modlitwie, że chcę też obu ich razem, Siostrzyczko, wyobraźni twojéj przedstawić. Prócz tego, w saméj nawet osobistości ich i charakterze moralnym, przy najwybitniejszéj powierzchownéj różnicy: temperamentu, rysów, i nawet cery, jest wszakże jakby pewny węzeł podobieństwa; to jest, że jeden i drugi mogliby ujść za typ męzkiéj, młodzieńczéj piękności: piérwszy (brunet), południowo-hiszpańskiéj; drugi, (blondyn), czysto naszéj rodziméj, słowiańskiéj. W moralnym zaś nastroju duszy, główną cechą obudwóch była najczystsza i prawie wygórowana godność i szlachetność, oparta na poczuciu powinności własnéj, w jéj najdelikatniejszych odcieniach, i skora zawsze dla niéj do ofiary z siebie. Zresztą, to połączenie ich w mojéj myśli i pamięci, wiąże się ze wspomnieniem ważnéj dla mnie chwili w mém życiu, tak, że, ilekroć chcę ich sobie w wyobraźni przedstawić, nie mogę tego dokonać inaczéj, jak, że oba razem stają przede mną, i to

zawsze w téj saméj postaci i stroju, jak ich w owéj chwili ujrzałem. Prawda, że i ja dla nich nawzajem byłem jakby pośredniém ogniwem, co ich najprzód beze mnie między sobą zbliżyło; owa zaś chwila, o któréj wspomniałem, przywiązała mię do nich wspólnie nowym węzłem stosunku, w nowéj dla mnie epoce życia, o któréj mógłbym powiedzieć, że się właściwie od téj chwili zaczęła. O téj chwili więc powiém najpiérwéj.

Witwicki, przybywszy do Drezna, w końcu Lipca 1832 r., przy ówczesném utrudnieniu listowych stosunków, nie wiedział, że pojechałem na ślub do Królewca. Wiedział jednakże przedtém o adresie mego mieszkania, i wprost z poczty przyszedł do niego. Zajmował je po mnie Garczyński. Poznali się więc w ten sposób, i tak widać od razu przypadli do siebie, iż, jak niegdyś Garczyński u mnie, w témże samém mieszkaniu, tak Witwicki zamieszkał u niego, kilka dni tylko mając bawić w Dreznie. Pobyt ten przedłużył się potém, z powodu rychlejszego nad zamiar powrótu mojego z żoną. Dzięki dobroci i staraniom pani Klaudyny (hr. z Działyńskich Potockiéj), nowo najęte mieszkanie, (w domu poety Fryderyka Kinda), czekało już w pogotowiu na nas. Wstęp przecież nie był wesoły. Przyjechaliśmy już prawie o zmierzchu. Cudzy kraj, obca mowa i puste ściany, które nas spotkały, nie mogły jużciż nie oddziałać smutném wrażeniem na serce młode, nie obyte z życiem, oddalonéj raz piérwszy i razem: od kraju, od rodzinnego wiejskiego domu, i od wszystkich swoich. Pod smutném więc godłem niejako miało się zacząć nowe nasze gospodarstwo;—gdy wtém drzwi otwarły się prędko, i w progu stanęli obok: Garczyński, i bynajmniéj niespodziewany, Witwicki.

Obaj podobni wzrostem, i prawie jednostajnie, w czarnych tużurkach i przez pół biało po letniemu ubrani, byli dla nas prawdziwie Piastowymi gośćmi, którzy nam nie tylko pociechę, ale i jakby dobrą wróżbę na przyszłość, i błogosławieństwo przynieśli. Wkrótce po nich przyszła pani Klaudyna, i dama dworu Saskiego, pani Salomea Dobrzycka; i wieczór ten, łzami zaczęty, liczę dotąd do najszczęśliwszych chwil mojego życia. Nadewszystko zaś jest on mi ważnym i pamiętnym dla tego, że na nim to najbliżsi przyjaciele moi, powzięli dla mojéj żony i natchnęli jéj téż dla siebie prawdziwie braterską życzliwość, którą stale nawzajem dochowali do grobu. Uczucie to, osładzając jéj piérwsze chwile pobytu w obczyźnie, przeniosło ją téż od razu w tę sferę moich najmilszych stosunków, która, dla wychowanéj w wiejskiém ustroniu, była może z początku nowością, ale którą wnet przecież poczuć i ocenić umiała. I tento właśnie przejściowy stan jéj duszy miał dla nich największy powab. Witwicki zaś, który ją przezwał „dziką Litwinką," opowiadając potém o niéj Adamowi, który jéj osobiście nie znał, był zapewne piérwszym powodem, iż tenże, jak mi sam pisał w swym liście, „miał ją często na myśli, malując heroinę poematu swego, Zosię," któréj imię także nosiła.—Witwicki na prośby nasze przebył w Dreznie parę tygodni dłużéj. Całe dni przepędzaliśmy razem. Pojechał do Paryża, i już go więcéj nie widziałem.

Nie jest moim zamiarem, Siostrzyczko, opowiadać ci biografie moich przyjaciół, o których wiedzieć pragnęłaś, ale wprost tylko osobiste moje o nich wspomnienia. Nie tu więc miejsce mówić o powodach i celu téj jego podróży, a raczéj dobrowolnego wydalenia się z kraju, z poświęceniem świetnego stanowiska i korzystnych widoków na przyszłość. Wyniknęło to właśnie z tego najdelikatniejszego poczucia powinności i moralnéj godności własnéj, które miał wspólne z Garczyńskim, a które tak ich wzajem między sobą zbliżyło, że się rozstali jak bracia, i odtąd tak obok siebie żyją w mojéj pamięci, jak może ich dusze w wieczności.

Różny wcale był wszakże początek piérwszéj méj znajomości i przyjaźni z jednym i z drugim. Przybywszy raz piérwszy do Warszawy, w Grudniu 1825 r., i poznawszy zaraz z kolei wszystkich starszych i młodszych mistrzów i braci w Apollinie, z Witwickim poznałem się najpóźniéj. Był on natenczas urzędnikiem w Komisyi Oświecenia, i trzymał się zdaleka od Warszawskiego literackiego świata. Niedawna publikacya jego „Ballad" i surowy sąd krytyki o nich były może tego przyczyną. Nie spotykałem go więc nigdzie, ani na obiadach u Generała Krasińskiego, ani w gronach młodszych kolegów, w których tu i ówdzie bywałem; sam zaś iść wprost do niego nie miałem jakoś bodźca, ni powodu. Dopiéro kochany Bohdan (Zaleski), którego wnet po przybyciu poznałem i od razu pokochałem serdecznie, zaczął mię piérwszy namawiać do tego. Nie bronił on tych nieszczęsnych ballad, ale mówił o ich autorze, jako o bardzo zacnym i światłym człowieku, z którym sam żył w blizkich przyjacielskich stosunkach i z którym przeto chciał mię zaznajomić. Poszliśmy więc do niego razem. Witwicki mieszkał wcale nie jak brat-literat. W przedpokoju zastaliśmy lokaja, który nam pomógł zdjąć płaszcze i drzwi do salonu otworzył. W salonie spotkał nas

sam gospodarz, ale nie z tym bratersko-koleżeńskim wykrzykiem i uściskiem serdecznym, z jakim naprzykład powitał mię kochany Bohdan, gdy wprost sam jeden do niego po raz piérwszy przyszedłem, i zastałem go piszącego stojąco przy prostém drewnianém biurku, i w prostym jakimś szarym surduciku. Tu przeciwnie: gospodarz, elegancko ubrany, powitał mię wprawdzie uprzejmie, ale tonem zwyczajnéj światowéj grzeczności, i choć mi się od razu z urody i fizyognomii podobał, ton ten również od razu zwarzył we mnie to dobre uczucie. Wizyta trwała niedługo, i skończyła się, jak zaczęła—na zimno. Poczciwy Bohdan czuł to widać i usiłował, jak mógł, aby zwyczajną, obojętną rozmowę, na ton jakoś cieplejszy nastroić. Za środek, pamiętam dobrze, wziął ku temu ślicznego angielskiego charcika, nazwiskiem *Merry*, wielkiego faworyta gospodarza, który wskoczył na jego kolana, i którego on głaskał, rozmawiając ze mną. Nie zdało się to jednak na nic. Figle z pieskiem i wesołe żarty Bohdana nie rozbroiły powagi gospodarza, ani usposobiły gościa do poufalszéj inicyatywy. Pogadawszy więc jeszcze przez chwilę o przymiotach i wadach różnéj rasy piesków, o mopsach, taxach, szpicach, i t. d., pożegnałem się i wyszedłem z mocném postanowieniem, że już tu więcéj nigdy nie powrócę. Jakoż dotrwałem w niém wiernie, nie tylko za tą piérwszą bytnością w Warszawie, (chociaż zaraz nazajutrz bilet rewizytowy u siebie znalazłem), ale i po powrócie do niéj na stały już pobyt, w lecie 1826 roku.

Upłynęło tak z parę miesięcy. Aż nakoniec jednego raną otwierają się drzwi skromnéj mojéj, małéj izdebki, w któréj, (jak mówił znany epigramat), „obok z Ordyńcem, (Janem Kazimierzem), z Ordynata łaski, ordynkiem osadzony patrzałem w ogród Saski:“ i wchodzą—kto? Bohdan z Witwickim. Ten ostatni, tą razą nie już z zimną grzecznością światową, ale z poczciwym, dobrym, serdecznym uśmiechem, wyciąga ku mnie rękę, i zaczyna od wesołego żartu z siebie i ze mnie, wspominając o téj piérwszéj chwili poznania, w któréj on mnie, nie znając, przyjął jak poważnego literata, za jakiego każdy piszący chce uchodzić w Warszawie; a ja go wziąłem za „wielkiego pana,“ (jak go istotnie wtedy przed Bohdanem nazwałem), nie spójrzawszy widać na „połatane bóty,“ które i dotąd ma jeszcze, bo mu nie zawsze wystarcza na nowe. Ton ten i same te słowa, jak iskrą elektryczną stopiły we mnie od razu wszystkie lody dawniejszych uprzedzeń, i nowy, od téj chwili zaczęty stosunek, przemienił się powoli w najżywszą, najserdeczniejszą przyjaźń, połączoną z najwyższym z mojéj strony szacunkiem dla charakteru jego i rozumu, którego jasność i bezstronna rozwaga stanowiły wybitną cechę. Cecha ta w owym czasie nie była nam wspólną, i ztąd poszła żartobliwa nazwa: „*Staruszka* i *Młodzieniaszka*,“ którąśmy się tytułowali nawzajem.

Do stopniowego wzrostu téj poufałości dopomagało najwięcéj ciągłe i coraz częstsze spotykanie się w tych samych towarzyskich kółkach, i najbliższy pomiędzy sobą stosunek tych właśnie, w których on i ja, każdy w swojém, byliśmy prawie codziennymi gośćmi. Piérwsze stanowił dom pana Ministra Oświecenia, hr. Grabowskiego; drugie, dom pani Wojewodziny Kickiéj, a raczéj córki jéj, panny Teressy, rodzonéj ciotki i ciotecznéj siostry tegoż pana Ministra. Do obydwóch wprowadził mię najprzód, zaraz po moim

przyjeździe, Waleryan hr. Krasiński, sam najbliższy przyjaciel panny Teressy, a Witwickiego kolega w urzędzie. Oni dwaj bowiem, wraz z trzecim p. Ignacym Zaleskim, szwagrem pana Ministra po żonach, składali osobny komitet w Ministerstwie Oświecenia, czuwający nad szkolném wychowaniem żydów. Krasiński, były uczeń uniwersytetu Wileńskiego i osobisty naówczas przyjaciel Adama, w skutek rekomendacyjnego listu jego za mną, przyjął mię od razu jak brata, i wespół z panem Joachimem (Lelewelem), był piérwszym moim przewodnikiem i orędownikiem w Warszawie. Nadto w domu państwa Grabowskich mieszkała wtedy czasowo blizka krewna jéj saméj, panna Flora Laskarys, serdeczna niegdyś w Wilnie przyjaciółka Adama i moja, tak, że nazwana przezeń żartem „*Cezarynią*," mianowała nas swoimi „paziami:" jego *starszym*, mnie *młódszym*, i te nazwy pozostały na zawsze we wzajemnych naszych stosunkach. Otóż panna Flora w Warszawie była niemniéj serdeczną przyjaciółką Witwickiego; a te wszystkie wpływy, razem wzięte, przy udziale jeszcze i innych pięknych, uroczych, a wspólnych przyjaciółek naszych, jako to: pani Katarzyny Lewockiéj i mieszkającéj przy niéj panny Maryi Ślaskiéj; panny Melanii, córki pana Ministra z piérwszego małżeństwa, i panien Natalii i Rozalii Biszpink, przebywających czasowo w Warszawie, w domu babki, Wojewodziné Kickiéj, nie tylko zbliżały mię coraz bardziéj z Witwickim, ale i stosunkowi naszemu nadawały poetycki niejako charakter, więcéj sercowy niż literacki z początku. Ostatni owszem ten odcień wyszedł na jaw dopiéro wtedy, gdyśmy się rozmówili nakoniec otwarcie o tych jego niefortunnych balladach. A był to téż

ostatni, i najtrudniejszy może do przebycia szczebel do zupełnego zbliżenia się nawzajem.

Byliśmy już zbliżeni sercem i towarzyskim stosunkiem, a jeszcze przedmiot, który nas obu przecież zajmował najwięcéj, to jest poezya, nie mógł być dla nas przedmiotem rozmowy i wzajemnéj wymiany myśli. Jakkolwiek bowiem zapewniał mię Bohdan, że autor „ballad" wyższym jest nad autorską drażliwość, i że sam owszem, srożéj nawet od innych, wartość ich sądzi i ocenia, tak, że je nawet wycofał z obiegu:— zawsze jednak czułem to dobrze, że mi nie wypadało wyrywać się ze zdaniem o nich. Chwalić jużciż nieszczerze, nie mogłem; krytykować, nie miałem prawa i nie śmiałem; a więc cóż zostawało innego, jak milczeć? Ale żeby o nich nie wspomnieć, trzeba téż było unikać mowy o tém wszystkiém, coby o nie potrącić mogło. Wywiązał się więc ztąd w rozmowie pewnego rodzaju przymus, zwłaszcza gdy byliśmy dłużéj sam na sam, który jak ton fałszywy mącił harmonię uczuć. Nie wątpię, że i on także musiał czegoś podobnego doświadczać, ale i jemu trudno widać było zacząć mówić o tém piérwszemu. A jednakże być inaczéj nie mogło. Ja wtedy jeszcze, chcąc nawet, nie umiałbym znaléźć sposobu, jakby ten przedmiot delikatnie zagaić; a oprócz tego jeszcze była okoliczność, która mi dziwnie podwajała tę trudność. Piérwsze moje ramoty, wydane w dwóch tomikach w Wilnie, i może właśnie dla tego że ramoty, znalazły jakoś łaskę w oczach ówczesnych recenzentów warszawskich, a nawet i u koryfeuszów klassycyzmu. Pochodziło to niewątpliwie nie zkąd inąd jak z tego, że się mego współzawodnictwa nie bali, a zaś chcieli przez to okazać

bezstronność niby swoję względem nowéj szkoły, przeciw mistrzowi któréj ze śmieszną zapamiętałością walczyli. Dmóchowski zaś, trzymający naówczas berło krytyki dziennikarskiéj, był zawsze ze mną w najlepszych towarzyskich stosunkach, chociażeśmy się nieraz ząb za ząb o klassyczność i romantyczność kłócili. Ztąd poszło, że w wydawanych przezeń pismach: „Korrespondencie Warszawskim“ i „Bibliotece Polskiéj,“ obok pedagogicznych napomnień i przestróg, wyczytywałem wszakże nieraz pochwałę dla siebie, wraz z zachętą do dalszego kształcenia się i pracy.

Otóż każda taka pochwała, sprawiała mi zawsze pewnego rodzaju przykrość, przez wzgląd na Witwickiego, którego serce i przyjaźń były mi droższe sto razy nad wszelkie połechtania próżności autorskiéj, i myślę, że on to musiał odgadnąć.

Raz bowiem, gdyśmy mówili o wzajemnych sądach pomiędzy ludźmi,—gdyż tego rodzaju temata były zwykle treścią tych rozmów,—on, chociaż z przymuszoną może wesołością, zagaił piérwszy ten drażliwy przedmiot, zapytując, a raczéj opisując sam w sposobie żartu, jakie wyobrażenie powziąć o nim musiałem, przeczytawszy jego ballady. Zmieszało to mię z początku, ale i wzruszyło zarazem; i udało się jakoś szczęśliwie skorzystać z przełamanéj zapory. Nie taiłem więc, że zwolennikiem ich w ogólności nie byłem, ale w szczegółach wszakże miałem słuszne prawo nie wtórować całkiem surowości, z jaką je własny autor potępiał. Nawzajem zaś, nie przez udaną lub fałszywą skromność, ale szczerze, z wezbrania serca, zacząłem mu cytować własne moje niektóre ballady i wiersze, umieszczone zwłaszcza w piérwszym tomiku wileńskiego

wydania, które lub sam już teraz miałem za ramoty, albo o których Adam pisał do mnie, żartując, naprzykład: iż szkoda że „*Zbrodniarza*“ (tytuł ballady) przed jego spowiedzią nie ściąłem; że radziłby wypędzić „*kota*“ który zbyt przeraźliwie miauczy, (*Zamek Littlecot-hall*, ballada), a „*Michasia*“ wynieść z kołyską, póki nie wyrośnie, i t. d. (Notabene, wszystkie te elukubracye wyrzuciłem całkiem w następnych wydaniach). Ale tu znów wspaniałomyślny Witwicki, odpłacając mi piękném za nadobne, zaczął mię bronić w tém lub owém przeciwko mnie samemu; i ile razem potém wspominałem sobie tę chwilę, zawsze przychodziło mi na myśl, że mogłaby posłużyć za temat do pociesznéj sceny w komedyi, któraby miała za przedmiot życie i stosunki wierszokletów. Dla mnie wszakże chwila ta stała się zwłaszcza pamiętną i ważną niezmiernie przez to, że od niéj-to właśnie Witwicki stał się nadal najpiérwszym i najbliższym powiernikiem moim, co do wszystkich prac moich następnych; obdarzony zaś niepospolitym talentem krytycznym, delikatnością smaku i trafnością sądu, a przytém szczery i surowy przez przyjaźń, był mi zawsze najlepszym probierzem każdego nowego wiersza, a tém samém przestrogą i nauką na przyszłość. Nie wiém, o ile w tym względzie mogłem się mu wzajemnością wypłacić; ale to wiém, że i on także obrał mię za piérwszego słuchacza, ile razy co nowego napisał. Zrażony zaś niepowodzeniem, a raczéj nieudaniem się ballad, postanowił był właśnie w tym czasie zaniechać zupełnie wierszy, a oddać się pisaniu prozą. Zaczął więc od czytania i studyowania dawnych prozaików naszych; przyczém Rey, Skarga, i przekład Pisma Świętego przez Wujka, były dlań szczególnie

przedmiotem uwielbienia i wzorem języka i stylu. Studya te, oprócz korzyści literackich, wpłynęły także przeważnie na wzrost i na kierunek moralnych jego wyobrażeń i uczuć, i zamieniły zwłaszcza w niezachwianą pewność przekonania, religijne uczucia serca, któremi był zawsze przejęty. Wiadomo, jak bolesną i jak ciężką ofiarą serca okupił on potém w przyszłości tę moc i świętość religijnych swoich przekonań. I chociaż to nie wchodzi bynajmniéj w zakres niniejszych moich opowiadań, tyczących się tylko jedynie własnych moich osobistych stosunków i wspomnień: nie mogę wszakże nie wspomnieć tu, chociaż nawiasem, owego pożegnalnego listu jego do Adama, umieszczonego w drugim tomie „Korrespondencyi“ tego ostatniego. Sam nigdy bez łez go przeczytać nie mogę; ale tobie, Siostrzyczko, lepiéj nad wszystkie słowa moje, da on pojąć czystość, godność, a przytém i tkliwość człowieka, o którym tu opowiadam, a który je zawsze miał w duszy.

Godność ta zwłaszcza, malująca się w owym liście, a przytém słodycz pokoju, co go nawet i w żalu nie opuszcza, odznaczały już Witwickiego w czasie, o którym tu mowa, we wszystkich towarzyskich i przyjacielskich stosunkach, a w połączeniu z salonową ogładą i taktem, mogły nawet dla nieznających go bliżéj, a sądzących, jak ja niegdyś, z pozoru, stać się nieraz dostatecznym powodem, aby go o zimną obojętność, albo nawet i o dumę posądzić. Tymczasem w gruncie duszy, duma tak była daleką od niego, jak od każdego rozumnego człowieka być musi; a zwykła jednostajność wyrazu twarzy była w nim tylko skutkiem panowania nad sobą i nad żywością wrażeń, jakich w sercu rzeczywiście doznawał. Za toż w bliższém pożyciu z ludźmi, których szanował i lubił, (nie mówiąc już o najbliższych przyjaciołach serca), był on zawsze pełen swobody, prostoty i naturalności, zaprawionéj niekiedy jowialnym dowcipem, ale nigdy złośliwym, lub gorzkim sarkazmem. Jowialność ta, zwłaszcza w rozmowach z młodemi damami, mogłaby ujść za najogólniejszą cechę tonu i kolorytu tych rozmów. *) Ale i z najbliższymi nawet przyjaciółmi, obejście się jego było zawsze spokojne, i nie pamiętam, żebym widział w nim kiedy, czy to gorętszy wylew serdeczności na zewnątrz, czy wybuch gniewnego wzruszenia. Karcił on je owszem niekiedy surowo w „*Młodzieniaszku*,“ który téż za to głównie przezwał go „*Staruszkiem*;“ ale i dzisiaj jeszcze z wdzięcznością wyznaje, że równie jak Brodzińskiemu, wiele mu pod tym względem dobrego zawdzięcza.

Przestrogi tego rodzaju tyczyły się najczęściéj walki z klassykami, która naówczas wrzała w całéj sile, a od któréj Witwicki, równie jak Brodziński, unikali sami starannie, i o starciach na obiadach czwartkowych u Generała Krasińskiego dowiadywali się zazwyczaj ode mnie, który byłem w nich czynnym i gorliwym szermierzem. Obaj oni z przekonania i z serca stali po stronie romanty-

*) Na przykład przytaczam tu żartobliwą szaradę, napisaną dla słynnéj z urody i słodyczy charakteru panny Natalii B.

„Piérwszém podaje, drugiém pokazuje,
Trzeciém się pyta; egoista czwarte.
Wszystko złe, brzydkie kapryśne, uparte;
Jednak mu rączkę całuję.“

Słowo szarady: *Natalija.*

ków, a przecież w obronie to ich antagonistów, a zwłaszcza Osińskiego, którego obaj szczerze nielubili, spotykały mię zwykle owe reprymandy. I jest to jakby rys wspólny charakteru ich obu, chociaż może z odmiennym odcieniem. Brodziński, łagodny i cichy, wolał wprost dla świętego pokoju ustąpić i zapomnieć obrazy, a więc i drugich do tegoż zachęcał; ale Witwicki nie był wcale takim barankiem. Miał on dosyć energii i siły, aby w razie potrzeby nie unikać walki; na punkcie zaś godności własnéj był on owszem bardzo dotkliwym i czujnym, i w tym tylko jedynie razie można byłoby o nim powiedzieć niekiedy, że dumny. Tylko że w nim ta godność i duma nie miały nic wspólnego z próżnością lub pychą. Zakładał on je nie na obronie błędu, skoroby czuł że go popełnił, lecz na uznaniu go i poprawie; względem zaś nieprzyjaciół, na tém, aby nigdy złém za złe nie płacić. Wiedząc więc że Osiński brał go często za cel swych szyderstw, on właśnie z tego powodu lubił stawać w jego obronie; a gdy przez to, jak się zdarzało, żywsze moje oburzenie wywołał: sypał mi znów obrok duchowny, występując w roli „Staruszka.“ Za toż gdy rzecz szła o uznanie czy uwielbienie prawdziwego czyjegoś talentu i pracy, sam on stawał się „młodzieniaszkiem,“ wraz ze mną, i w wyborze przedmiotu uwielbień zawsześmy się jakoś zgadzali. Wspólne zaś głośne czytanie podobnych utworów, polskich, czy obcych, było dla nas najmilszą zabawą.

Witwicki właśnie w owym czasie zaczął był pisać swojego „*Edmunda,*“ i gdyśmy już zaczęli mówić o autorstwie, przeczytał mi z niego wyjątki. Ku niewymównéj mojéj pociesze, tak mi się one szczerze

podobały, że bez cienia obłudy, unosząc się nad niemi, mogłem przez to i sercu własnemu dogodzić, i jużciż żywszą może przychylność autora zjednałem. Dla niego téż to moje współczucie było, jak mi sam mówił, nowym bodźcem do pracy; i przeto zwykle raz w tydzień zaczął mię prosić na obiady do siebie, na których odczytywał przede mną, co przez tydzień nowego napisał. Obiady te tak mi były przyjemne, że nie tylko rad dla nich wyrzekałem się innych, na które mię czasem gdzieindziéj w tymże dniu proszono; ale, aby je częściéj ponawiać, zaproponowałem sam piérwszy, abym mógł zawsze, gdy zechcę, przychodzić na nie, nie jak gość proszony, ale wprost, jako wspólny stołownik, za własne swoje pieniądze. Witwicki bowiem nie miał kuchni u siebie, a i ten obiad proszony, brany z traktyerni, nie kosztował go więcéj nad dwa złote, oprócz butelki owsianego piwa. Opierał się więc z razu memu projektowi, mogąc i pragnąc ochoczo sam koszt częstszych tych biesiad ponosić; ale gdy i ja także obstawałem przy swojém, zgodził się w końcu na układ. Trwało to tak przez kilka miesięcy, i w ciągu tego czasu nie więcéj nad dziewięć razy mogłem tylko z tego korzystać. Rzecz naturalna, że po upływie pół wieku, nie mógłbym dotąd ściśle pamiętać téj liczby, gdyby mi jéj nie wraziło w pamięć to, co tu zaraz opowiém.

Dnia jednego raniutko otrzymuję list od Witwickiego, i w nim świadectwo z Towarzystwa Dobroczynności o złożeniu na rzecz ubogich ośmnastu złotych, a przytém pełne serca i dowcipu objaśnienie téj rzeczy, to jest, że on, po długiéj walce sam z sobą, nie mógł znieść w końcu téj myśli, ażeby „gość tak

miły," sam przyjemność gospodarza opłacał; i przeto zapłacone przeze mnie 18 złotych oddał na moję intencyą ubogim, a sam nawzajem prosi, jako o jałmużnę dla siebie, abym jako gość częściéj wspólnie z nim obiadować przychodził. Drobna to jest na pozór okoliczność, ale i w niéj, jak słońce w kropli, maluje się ta sama dziwnie dotkliwa delikatność uczucia, dla któréj potém, jak już wyżéj wspomniałem, los całego życia poświęcił. Ma się rozumieć, że inwitacyą szczerém sercem przyjąłem; a gdy on wkrótce z Nowego-Światu, gdzie przez lat kilka mieszkał, przeniósł się w blizkie moje sąsiedztwo, na róg Żabiéj i Bankowego Placu, mieszkanie jego przez dwa przeszło lata, do wyjazdu mego z Warszawy, było dla mnie rodzajem „przypisnéj kwatery," tyle w niém czasu codzień prawie i o każdéj porze spędzałem. Weszło to tak dalece we zwyczaj, że gdy raz przez dzień cały przyjść jakoś nie mogłem, otrzymałem wieczorem następny wierszyk, który dotąd tkwi mi w pamięci:

„Ja wzdycham, a Merry wyje,
Ja i on stroskany,
Czy zapomniał, czy nie żyje
Nasz sąsiad kochany,
Że go dzisiaj przez dzień cały
Nasze oczy nie widziały?"—

U mnie Witwicki rzadszym bywał gościem. Jedna mała izdebka, w któréj najprzód przez lat parę mieszkałem; gdzie w zimie woda w szklance ścinała się lodem na oknie, a w lecie duże od południa okno weneckie trzeba było zamalowywać kredą, zamiast sztorów; nie miała czém przynęcać przychodnia, ani

sprzyjała bardzo dłuższéj pogadance. A jednak, ileż to chwil szczęśliwych, i nawet prawdziwie uroczych, miałem w niéj, i dotychczas przypominam z rozkoszą! Wielu z nich był wspólnikiem Witwicki. Głównemi zaś ich czynnikami były zwłaszcza dwie rzeczy: herbata, i fórtka do Ogrodu Saskiego. Herbaty tego gatunku, być może, iż nie było naówczas w Warszawie, gdzie zwyczaj jéj nie był jeszcze zbyt upowszechniony. Sprowadzałem ją wprost z Petersburga, za pośrednictwem Malewskiego i łaskawego na mnie p. Turkułła, funt po 25 rubli asygnacyjnych, t. j. po 7 i pół rs. Był to jedyny szalony zbytek, który mógłbym mieć sobie do wyrzucenia. Pokusił mnie do tego p. Kasper Żelwietr, sławny naówczas mecenas, plenipotent, i prawdziwy Lukullus towarzystwa polskiego w Petersburgu, który za bytności swojéj w Warszawie poczęstował mię taką herbatą, a gdy się unosiłem nad jéj przymiotami, ofiarował mi pół funta w prezencie. Czyniłem zaś to nie gwoli podniebieniu, ale dla doznanego wpływu na umysł i usposobienie wewnętrzne. Przez ciąg półtora roku, po kilku szklankach takiego nektaru wieczorem, całe bezsenne noce schodziły mi najrozkoszniéj na czytaniu poetów angielskich; i nigdy tak poezyi nie czułem. Jeśli opium sprawia takie skutki, to nie dziw, że się niém rozpijają Chińczycy. Nakoniec wprawdzie przypłaciłem to drogo, tak chorobliwém rozdrażnieniem nerwów, że się bałem o stratę zmysłów, i ledwo mię z tego sławny naówczas Kopenstetter cytrynową swoją kuracyą uleczył. Ale dopóki to pijaństwo trwało, tryumfowałem sam z wynalazku, i przyjaciół nim ugaszczałem. Samowaru wprawdzie nie było, ale były szczepane drewka, przy których sam sobie co wieczór

zagotowywałem wodę w kociołku, w czém także dopomagali i goście. Witwicki bywał nim zwłaszcza przy xiężycowych nocach w zimie i w lecie. W zimie albowiem o godzinie siódméj, a w lecie o dziewiątéj, ogród Saski był już dla publiczności zamknięty, a ja natenczas, dzięki mojéj fórtce, stawałem się samowładnym jego panem, i mogłem w nim gości moich, jak we własnym parku przyjmować. Drzewa okryte srebrnym szronem lub kwiatem, nieprzeliczona moc kawek w zimie, a mnóztwo słowików w lecie, stanowiły uroczą jego ozdobę i kapelę, do pory roku stosowną. Ileż to takich wieczorów przepędziliśmy tam po herbacie z Witwickim, albośmy po uprzedniéj przechadzce na herbatę do mnie wracali. O jednym z nich muszę wspomnieć obszerniéj; bo najprzód nie pamiętam, ażebym kiedykolwiek śmiał się tak szalenie w życiu, a potém, że będziesz mogła, siostrzyczko, chociażby „po tym śmiechu," jak mówi przysłowie, poznać ówczesny stan rozumu starego dziś sługi swego, i powziąć wyobrażenie o koleżeńskim nastroju stosunku, o którym tu mowa.

Wspomniałem, że ogród zamykano o pewnych godzinach. Ale najprzód, przed ostatecznem zamknięciem, obchodziły go wkoło runty wojskowe, z głównego odwachtu na Placu Saskim, złożone z dwóch żołnierzy i trzeciego kaprala. Przed oknem zaś, przez które ja „w Ogród Saski patrzałem," zasadzony był świeżo klomb akacyi, dziś już stary i przetrzebiony, ale naówczas jeszcze giętki i gęsto zarosły, a rozciągający się wzdłuż ostatniéj skrajnéj ulicy, którędy runt zwykle przechodził. Kupiłem więc kłębek szpagatu, i spuściwszy jeden koniec przez okno, przywiązałem go, jak można było najwyżéj, do jednego z najgrubszych drzewek w środku klombu, o jakie 20 kroków od okna, aby na nie uwagi nie ściągnąć. Ilekroć więc byłem w domu, w godzinach przechodzenia runtu, nie zaniedbałem prawie nigdy, (ma się rozumieć w lecie), zastanawiać go zwykle i drażnić szumem pociąganego drzewa. Udawało mi się to przewybornie, ku wielkiéj mojéj studenckiéj uciesze. Zaprosiłem więc raz na nią Witwickiego, i trzebaż, że się udało jak nigdy. Jakiś stary wąsaty kapral z szewronami, tak się nakoniec rozżarł ciągłym szumem drzewa, odpowiadającym mu coraz głośniéj na każde coraz groźniejsze zapytanie: „kto tam"?—że rozstawiwszy żołnierzy po obu stronach klombu, sam na czworaku prawie wdarł się w środek jego, i po omacku w gęstwie szukał winowajcy. Tarzałem się po ziemi ze śmiechu, i nie wiém, jak mi serce nie pękło, zwłaszcza, gdy zmordowany i rozwścieczony wiarus, wypełznąwszy nakoniec z krzaków, ukląkł na ścieżce, i na krzyż składając palce, przysiągł na wszystkie świętości, że jutro, przed otwarciem ogrodu, przyjdzie z całym odwachtem przetrząść go, i „złodzieja jak wieprza zakole." Nie wiém, czy dotrwał w zamiarze szukania; ale Witwicki, który się téż ubawił serdecznie, zwrócił jednak moję uwagę, że w razie odkrycia prawdziwéj przyczyny, mógłbym być istotnie narażonym na wielkie niebezpieczeństwo ze strony zwierzchniczéj naówczas władzy wojskowéj. Zerwałem więc natychmiast sznur z drzewa, i już go nie nawiązałem powtórnie.

Mógłbym przytoczyć wiele podobnych faktów, to jest drobnych na pozór, ale w których mi przestroga i rada Witwickiego nieraz wyszły na dobre

a zawsze były dowodem więcéj niż zwyczajnéj przyjaźni. Domeyko Ignacy, w liście pisanym do mnie o Warszawie, a drukowanym w drugim tomie *Korrespondencyi A. Mickiewicza*, powiada: „Z twoich przyjaciół, Witwicki najwięcéj mi się podobał, bo widziałem, że cię bardzo kocha.“—Tak było w rzeczy saméj. Odpłacał mi wzajemnością. Nigdy wszakże nie dał mi więcéj dowodów uczynności, pomocy, i prawie poświęcenia, jak przy wydawnictwie, w roku 1829, noworocznika mego *Melitele*. Był on, można powiedzieć, jakby owocem wspólnéj pracy, o ile ta dotyczyła zajęć redakcyjnych i druku. Sam nawet piérwszy pomysł tego wydawnictwa poszedłby tylko może na „bruk piekła,“ jak tyle innych dobrych intencyi, gdyby nie przyjacielska zachęta i gorące współczucie Witwickiego.

Wydawnictwo zaś to w życiu mojém ważną bardzo odegrało rolę: gdyż ułatwiło mi zwłaszcza możność odbycia wspólnéj potém podróży z Adamem, a nie było téż w swoim czasie bez pewnego znaczenia i wpływu w naszym właściwym świecie literackim. Owóż piérwszy pomysł do niego, jak wszystko dobre w mojém życiu, przyszedł mi przypadkowo, znienacka, a zawsze za wpływem płci pięknéj. Pan minister Grabowski sprowadził był z Londynu bardzo piękny i kosztowny Almanak, z wizerunkami pięknych kobiét angielskich. Gdym więc raz admirował je w gronie panienek, jedna z nich, panna Rozalia Biszpink, zaczęła ubolewać z przekąsem, że ja nie jestem malarzem; gdyż mając tyle pięknych przyjaciółek, pewnobym o podobnym almanaku pomyślał. Słówko to, żartem i bez celu rzucone, zapaliło nagle we mnie myśl inną. Czemużbym, mając tylu przyjaciół-poetów, nie mógł wydać wiązanki z ich

pieśni? Zakomunikowałem więc zaraz myśl tę Witwickiemu, a on wziął ją tak żywo do serca, że pomysł raptem zamienił się w projekt; a że nowy rok był już niedaleko, trzeba się było śpieszyć z wykonaniem. Zaraz zatém nazajutrz zacząłem rozpisywać listy, a piérwszy kochany Bohdan ofiarował mi swoje „Rusałki.“ Nikt téż z wezwanych nie odmówił udziału; a tymczasem Witwicki wziął na siebie układy z drukarnią, papiernią, litografią i t. d., to jest całą materyalną część wydawnictwa, licząc w to i późniejszą korrektę, do któréj wielką przywiązywał ważność i sam ją z niezmordowaną gorliwością prowadził. Drugi nawet tom *Meliteli*, na rok 1830, wydał już sam całkiem beze mnie, po moim wyjeździe za granicę, z materyałów tylko zebranych i zostawionych przeze mnie. Pomimo wszakże téj pracy, która mu nieraz całe dnie zabierała, ani chciał słyszeć o udziale w korzyściach, jakie mi zwłaszcza wydanie piérwszego tomu przyniosło.

Nie wiedziałem atoli wtenczas, jaką mu jeszcze byłem winien wdzięczność, i od jakiego mię niebezpieczeństwa uchronił, które mi z tego względu zagrażało bezwiednie. Tytuł *Melitele* wybrałem wprost jedynie dla tego, iż było to imię bogini kwiatów w dawnéj mythologii Litewskiéj. Tymczasem inne w tém wcale znaczenie upatrzył, czy raczéj uroił sobie, p. Gustaw Grabowski, daleki krewny Ministra, urzędnik w jego wydziale i częsty gość w jego domu. Był to zacny, przyzwoity, a zwłaszcza bardzo przystojny młodzieniec, ale że trochę na dandysa zakrawał, nie przypadaliśmy jakoś do siebie, chociaż byliśmy zawsze w dobrych towarzyskich stosunkach. Ja przynajmniéj ani się do-

myślałem, że mię swoją zazdrością zaszczycał. Wiedziałem wprawdzie, co i wszyscy wiedzieli, że przedmiotem jego admiracyi była piękna kuzynka, panna Melania, córka p. Ministra; ale że przecież wolno admirować każdemu, więc i ja téż nie uchylałem się od tego; a że przytém nie rościłem bynajmniéj pretensyi do wzajemności, nie dziw, że obejście się jéj ze mną bywało nieraz łaskawsze i swobodniejsze niż z nim. Jątrzyło go to widać, ale się z tém nie wydawał. Dopiéro gdy się dowiedział o tytule *Meliteli*, uroił sobie, że to ma być hołd publiczny, oddany przeze mnie imieniu *Melanii*, i uważając to za ubliżenie kuzynce, przedsięwziął wyzwać mnie na pojedynek. Szczęściem, że się otworzył z tém najprzód przed Witwickim, prosząc go za sekundanta dla siebie. Ten go więc naturalnie zreflektował, i rzecz cała poszła *per non sunt*. Za dowód zaś delikatności Witwickiego i to jeszcze może posłużyć, że powiedział mi o tém dopiéro w Dreznie, kiedy p. Gustaw już nie żył—a poległ śmiercią walecznych.

Ale oprócz naczelnego tytułu, chodziło jeszcze o nazwę generyczną tego rodzaju publikacyi, jakiéj dotąd w literaturze naszéj nie było, a jakie za granicą nazywano powszechnie *Almanakami*. Chciałem więc poprostu nazwę tę sobie przyswoić; ale piérwszy Generał Morawski, przysyłając mi poezye swoje z Lublina, zwrócił moję uwagę i wyraził życzenie, aby dla rzeczy nowéj nową téż nazwę, czysto polską, wymyślić. Suszyliśmy więc nad tém głowę z Witwickim, zasięgając rady i drugich. Wyraz *Kolędnik* miał najwięcéj głosów za sobą; naszéj wszakże aprobaty nie zyskał. Zostałby więc najpodobniéj *Almanak;* gdy oto

dnia jednego w nocy, kiedy wieczorem zgoła nie myślałem o tém, przyśnił mi się wyraz: *Noworocznik*. Obudziłem się, i tak byłem kontent z niego na jawie, że się nań zdecydowałem od razu. Tém bardziéj więc strach mi było, aby go nie zapomnieć nazajutrz, jak to już parę razy przedtém zdarzyło mi się z wierszami, które mi się były przyśniły, choć je sobie po razy dziesięć, jak obecnie ten wyraz, obudziwszy się powtarzałem głośno na pamięć. Przemogłem więc nad lenistwem i obawą zimna, i wyskoczywszy z łóżka, pociemku, aby czasu na krzesanie ognia nie tracić, ołówkiem na jakimś świstku, który mi wpadł pod rękę, napisałem wyśniony wyraz. Przezorność ta nie była zbyteczną. Wstawszy bowiem rano nazajutrz, jakbym zamiast herbaty napił się wody Letejskiéj, tak mi cała ta nocna scena najzupełniéj wypadła z pamięci, i nie wiém, czybym ją kiedy przypomniał, gdybym, wróciwszy około północy do domu, nie rzucił przypadkowo okiem na ów świstek z ołówkowym napisem. Wtedy dopiéro wszystkie pomienione tu szczegóły stanęły mi żywo w pamięci, a chęć dowiedzenia się o zdaniu Witwickiego, co do tego wyrazu, była tak wielka, iż, chociaż to już było dobrze po północy i mróz był trzaskający na dworze, ubrałem się na nowo i poszedłem do niego. A nadto musiałem jeszcze najprzód skłamać po drodze przed szwajcarem Błękitnego Pałacu, że idę do umierającego kolegi.

Następnie zaś przestraszyłem okropnie Witwickiego, który, obudzony nagle szczekaniem swojego faworyta (Merry), i słysząc o téj porze kołatanie do drzwi, porwał się z łóżka w mniemaniu, że albo go złodzieje chąc napaść, albo wieść jakaś straszna przy-

chodzi. Wszystko to jednak chętnie przebaczoném zostało, gdy się o powodzie przyjścia dowiedział, i gdy wyśniony wyraz przypadł mu téż do gustu. Większa część reszty nocy, którą już przepędziłem u niego, zeszła nam na najmilszéj gawędce; a ja zaraz nazajutrz, pod wpływem rozigranéj w ten sposób fantazyi, napisałem w parę godzin *Brankę Litwina*, a we dwa dni potém *Wesele*, to jest najlepsze z moich owoczesnych ballad. Witwicki tak był z nich kontent, że zmuszał mię aż do uprzykrzenia powtarzać je w obec siebie przed każdym z dobrych wspólnych znajomych, i zaprowadził sam do Brodzińskiego, abym je mu zaraz przedeklamował. Wprawdzie i artykuły innych, byle dobre, sprawiały mu również przyjemność; w ogólności zaś powodzenie téj piérwszéj *Meliteli*, którą takie arcyutwory jak *Rusałki*, *Farys*, *O Tańcach*, (Brodzińskiego), i t. d. po raz piérwszy w niéj ogłoszone, nad zwykłą miarę podobnych publikacyi wyniosły: interesowało go nie mniéj ode mnie.

Własne jego poezye biblijne, („*Tobiasz*“ i in.) umieszczone w tym piérwszym tomie *Meliteli*, a przed tém jeszcze pięcio-aktowa komedya, „*Maruda*,“ wystawiona na Teatrze Warsz. i życzliwie przez publiczność przyjęta, rehabilitowały go całkiem, jako poetę, w opinii miejscowéj krytyki literackiéj, po owych niefortunnych balladach, i myślę, że mu to zdjęło niemały ciężar z serca. Bo chociaż nie przeceniał on nigdy skali swego talentu, ani chciał sięgać po piérwszorzędne laury: zawsze przecież, jako człowiek rozumny i szanujący swą godność, nie mógł być całkiem obojętnym na to, aby imienia swojego nie pozostawić pod zarzutem, iż się wdał, jak to mówią

„w nie swoje.“ To téż pozostałe dziś po nim poezye biblijne, piosnki, gawędy, i t. d., wydane razem w jednym tomie, w Paryżu, w r. 1836, muszą w każdym myślącym i czującym czytelniku obudzić szczery szacunek i serdeczną życzliwość dla autora, pełnego prawdy i zacności w myślach i uczuciach, a oddającego je zawsze z właściwą przedmiotowi powagą, wdziękiem lub humorem. Uważany zaś jako prozaik, myśliciel i moralista, np. w „*Wieczorach Pielgrzyma*,“ w „*Gadu gadu*“ i t. d., pozostanie on zawsze jako pisarz wzorowy; to jest, że każdy piszący prozą, może więcéj od niego, niż od innych, nauczyć się jasności, treściwości i harmonii stylu, a czystości i jędrności języka. Przedewszystkiém atoli, jako autor-człowiek i obywatel, wart on jest być przykładem dla wszystkich piszących, co do użycia talentu, ile go Bóg komu udzieli, „ku służbie poczciwéj sławie i ogólnemu dobru“ kraju swego i bliźnich. To téż systematyczne ułożenie i wydanie w Paryżu (1836) „Ołtarzyka Polskiego,“ najlepszéj w swoim czasie xiążki do nabożeństwa u nas, uważał on sam za najważniejszą swoję pracę i zasługę.

W dzień mojego wyjazdu z Warszawy za granicę, na pożegnalném śniadaniu u Waleryana Krasińskiego, wpisał mi na początku przygotowanego dzienniczka podróży następujący czterowiersz:

„Bywaj zdrów, Młodzieniaszku! i niech cię w podróży
Prowadzą razem Anioł-Stróż i Muza Wróżka;
A gdy cię już włóczęga znudzi, albo znuży,
Wracaj pocieszyć Staruszka.“

W Dreznie, jak powiedziałem już wyżéj, spotkaliśmy się raz jeszcze, i pożegnaliśmy się—na zawsze. Ale i w oddaleniu nawet, do wyjazdu mojego z Drezna, nie przestał on dawać mi zawsze dowodów obowiązującéj przyjaźni; i jego to zwłaszcza gorliwéj pomocy w zbieraniu materyałów winienem, iż mogłem wydać trzeci tom *Meliteli* w Lipsku, w r. 1837.

O pobycie jego w Paryżu, o stosunku z Adamem, i w ogólności o zbawiennym wpływie, jaki zawsze i wszędzie na otaczających siebie wywierał: mam nadzieję, iż kochany Bohdan Zaleski, jako naoczny świadek, a najbliższy przyjaciel jego i powiernik, godne jego pozostawi wspomnienie. Ja tymczasem pozwalam sobie przytoczyć tu jeszcze niektóre wyjątki z listów jego, pisanych do mnie do Drezna, w których się on sam lepiéj, niźli w cudzych słowach maluje.

„*20 Stycznia 1835 r.* Kochany mój Edwardzie! Że tak dawno do ciebie nie pisałem, to najbardziéj ztąd wynikło, żem się niepotrzebnie wdał do spółki z dwóma bałamutami, z Domeyką i z Adamem. Mieliśmy pisać wszyscy razem; ztąd odkładanie z dnia na dzień, z miesiąca jednego na drugi. Dziś dopiéro pani Celina (Mickiewiczowa), wziąwszy na siebie exekucyą, listy te do ciebie wyprawia. Dziękuję wam bardzo za pamięć, i tobie, i twojéj dobréj żonie, którą, za wielkiém pańskiém pozwoleniem, seryo kocham, a osobliwie téj pannie, co się tam codzień, jak piszesz, wita z moim portretem. Kiedyż ja będę mógł uścisnąć ją i z nią się bawić? „Ehej, ehej!“ (jak mówi Jakób Wujek w Piśmie Świętém), kropi nas biéda nie pomału, panie Antoni! Cóż robić!? Jeszcze-ż komu te lata choć cierniste, wychowują na przyszłość pociechę;

komu dziecię rośnie; może się on pocieszać, jak ów rolnik, któremu choć dzisiaj głodno, widzi jednak, że mu już na własnym łanie wschodzi urodzaj i gotuje się obfitość. Ale taki lampart i gołysz jak ja, co nic przed sobą nie ma, a za sobą dyabli wiedzą co, dla takiego i najlepsza rosa jest tylko słotą. Z niczego nic—powiada uczony Zdanowicz, aktor warszawski, w „Naszych przebiegach.“

„Chcesz mnie widzę utrzymać na dawnym urzędzie nadwornego swego krytyka i pytasz, co trzymam o *Korsarzu*? Podobał mi się oczywiście; aleśmy zauważyli z Adamem dość częste zwróty francuzkie, a przynajmniéj nie szczero-polskie. Ja prócz tego wyszpiegowałem kilka wierszów zaniedbanych, niby łatwych, a w istocie złych, np. na *ego*, które tobie, poprawnemu pisarzowi, wcale nie uchodzą. Można się czasem śmiać z pedantów, ale nie wszystkiemi ich spostrzeżeniami należy pogardzać. Co się zaś tyczy owych zwrótów, jest to nas wszystkich wadą, którąśmy odziedziczyli po nieszczęśliwych ojcach literackich, tak zwanych klassykach, że jedyną naszą narodową literaturę Zygmuntowską, raz kiedyś tam w pacholęcych szkolnych latach piąte przez dziesiąte przebiegłszy, już potém nie wdawaliśmy się z nią nic prawie. Ja w tych dopiéro czasach postrzegłem się w tém niedbalstwie seryo, i jestem dziś tego zdania, że czytanie i wertowanie owych pisarzów, powinno być naszym codziennym pacierzem literackim; że tylko od nich jednych możemy się nauczyć pisać prawdziwie po polsku, prozą i wierszem, i że tak zwani klassycy nasi, z których się sprawiedliwie śmiejemy, byliby nigdy tak nie zgłupieli, gdyby się położyli u tego jedynego źródła polszczyzny

i narodowości. Słyszałem żeś „*Narzeczoną z Abydos*“ wytłómaczył. Cieszę się, i niech ci Bóg daje, to Antosie, to poemata. Obojga tego ojczyzna potrzebuje. Ja, żebym mógł mieć choć jedno, tobym Panu Bogu podziękował. Ale na nic się nie zanosi, ani na żonę, ani na poemat, tylko na starość czczą i smutną. Boska wola!

„Całuję was wszystko troje serdecznie i często, często żałuję, że nie jesteśmy razem.“

„*21 Lipca 1835 r. Montmorency.* Czyż nie wiész dla czego do ciebie tak rzadko pisuję? Oto jedynie dla tego, żebyś się na pocztę nie rujnował; ale kiedy mię łajesz i strofujesz, za karę zapłać-że braciszku! Jeżeli kochany Professor (Brodziński) jeszcze z Drezna nie wyjechał, oddaj mu bilet, który załączam; jeżeli zaś wyjechał, to ten bilet spal, a nie puszczaj go na ręce niepewne.

„Ale jaka to mucha była cię ukąsiła, że nie mając za co innego przyczepić się, zburczałeś mię za tytuł *Młodzieniaszka?* Już o mało żem nie rozpoczął korespondencyi od „Wielmożny Mości Dobrodzieju.“ Nie bądźże dzieckiem, mając już dzieci, a na tytuł i przezwiska, jakie ci po staremu poufały przyjaciel daje w poufnych swych i zapieczętowanych, a więc od nikogo niewidzianych listach, nie zważaj—kochany Młodzieniaszku! Masz na złość.

„Lato przepędzam znowu w Montmorency; listy jednak możesz zawsze adresować do Paryża. Gdy mi tu ostatni odesłano, był właśnie u mnie Adam, i wziął twój bilet do siebie i drugi do Domeyki. Miał do ciebie wkrótce pisać, ale wątpię, żeby z tego co było,

tém bardziéj, iż żona, która go do listów napędza, będzie myślała niezadługo o czém inném.

„O *Meliteli* nie zapomnę. Sam mało dam, gdyż mało mam, ale dostanę zapewne cokolwiek od Niemcewicza i od Bohdana. Gorecki da chętnie, ale on także ma tak mało, jak ja. Nieszczęście, że ci na tym świecie, co gotowi najwięcej dawać, najmniéj mają.

„Co do twoich tłómaczeń, miałem ci powiedzieć, żebyś w wyborze oryginałów był baczniejszy. Ja gdybym był na twojém miejscu, miał twój talent i twoję łatwość, tobym zamiast sławnych współczesnych, którzy dla tego nie koniecznie jeszcze mają być sławni u potomnych, wziął się raczéj do Danta, albobym wybrał co z Göthego. Zgorszę cię może, gdy powiém, że w nieśmiertelność Byrona ani Moora nie wierzę. Podług mnie, ten tylko poeta żyć będzie wiecznie na tym świecie, którego myśl jest ze świata tamtego.

„Całuję cię serdecznie, kochany mój—jak się nazywasz? (Połóż tu sam sobie i nazwisko, i tytuł i przydomek, jaki sam zechcesz i lubisz), i rączki twojéj żony, i buzię twojéj córeczki, a mojéj przyjaciółki.—Adam przyszedł przed chwilą i chce się sam do tego listu przypisać.“

„*25 Września 1835 r. Paryż.* Do *Meliteli* będziesz mógł wziąć co, jeśli zechcesz, z *Wieczorów Pielgrzyma.* Zacząłem tu był coś prozą, umyślnie dla ciebie, ale się nie skończyło. Bo nie wiész, dla czego tak późno ten *Melitelowski* ładunek wysyłam; nie wiész, że byłem u wód morskich w Dieppe, zkąd dopiéro wracam, a chociaż naprzód artykuły pozamawiałem, jednak aż do mego powrótu nic się zrobić nie mogło, bo Adam był zajęty najprzód żoną, a potém córką. Umieścisz

zapewne jaki portret; chciałbym żeby to był portret Brodzińskiego. Jeżeli będzie dwa, to niech drugi będzie Garczyńskiego, o którym mógłbyś napisać choć krótką wiadomość. Ja mam myśl napisać o nim kiedyś obszerniéj. Namawiałem do tego Adama, nawet chciałem, żeby to było dla twojéj *Meliteli*, ale zaszły przeszkody. Adam ma do ciebie teraz napisać i sam ci donieść o szczęśliwém przybyciu na świat panny Maryanny Mickiewiczówny. Matka zdrowa, jak łania, i sama karmi. Kiedy téż ja zapoznam się z twoją panienką? Domeykusa nie mogłem nigdzie złapać, alem polecił Adamowi, żeby się go spytał, czy nie miałby czego do *Meliteli*? Wątpię jednak, gdyż jego nauki byłyby dla *Melitelskich* czytelników nadto poważne. Donieś mi proszę o Brodzińskim. Przyszła tu zkądciś wiadomość, że on bardzo słaby w Dreznie; wszyscy przeto jesteśmy niespokojni.

„Całuję cię serdecznie, kochany mój *Młodzieniaszku!* a nie starzéj się. Bodaj żyć i umierać z młodością; to przynajmniéj powiedzieliby o człowieku:

„Umarł, nie mało szkody!
Był dość piękny i młody.“

„*24 Lipca 1836 r. Montmorency.* Niemcewicz pozwala na druki i sam o tém pisze do ciebie bilet, który tu załączam, razem z listem Adama. Domeyko wyjechał, i nie wiémy jeszcze gdzieby go listem łapać; więc twój leży u mnie. Przepędzam znowu lato w Montmorency; blizko ztąd Domont, gdzie mieszka Adam. Bywamy u siebie piechotą i często. Przyjaźń i zażyłość z Adamem jest w dzisiejszém mojém życiu główną pociechą; bo musisz wiedzieć, że jesteśmy z sobą bardzo serdecznie i ściśle. Marysia jego przepyszne dziecko. Jakżém ciekawy twojéj Antosi! Ale Pan Bóg wié, kiedy i gdzie się z nią poznamy. Na długą i ciężką zaciągnęło się słotę. Trzeba jednak i w tych goryczach starać się, żeby coś robić. My literaci pracujmy; powołanie nasze jest dziś ważniejsze, niż kiedykolwiek. Myśl tam o tém, panie Edwardzie, i nie zalegaj talentu. Ja pracuję teraz nad łaciną, nad starą polszczyzną, i nauczyłem się lepiéj cokolwiek po polsku, najwięcéj z łaski Skargi i Wujka. Po xiążce do nabożeństwa, (która już jest w ręku ludzkiém, i za którą Bogu serdecznie dziękuję, bo pewnie nic większego w życiu nie zrobię), wydałem tom dawnych i trochę nowych wierszów, i zabieram się do wydania tomu „*Wieczorów Pielgrzyma*,“ gdzie niechcący występuję w postaci reformatora. Pocieszam się nadzieją, że ta xiążka może przynieść rodakom i domowi naszemu jakiś pożytek; jest przynajmniéj na dobrym gruncie zbudowana, bo na miłości Boga i na miłości narodu. W tych czasach zajęty jestem przepisywaniem. O twojéj *Meliteli* pamiętam.“

„*26 Sierpnia 1836 r.* Masz tedy nowe wiersze Niemcewicza; prócz tego przyrzekli mi je także: Gorecki, Zaleski, i nowy jeden poeta, Orpiszewski, co wszystko odbierzesz przez Zaleskiego, któremu do ciebie najbliżej (ze Strasburga). Adam nic nie daje, bo nic nie napisał. Co za szkoda, że on się tak marnuje! Oprócz talentu poetyckiego, tyle ma jeszcze rozmaitych wiadomości, z których mógłby zrobić użytek pisarski, na tak wielki i tak pożądany rodaków pożytek; ale cóż, kiedy gadać mu o tém, to jak do ściany. Od dwóch dni pojechał do Paryża, (bo wiész, że lato przepędza blizko Montmorency, w ma-

łéj wioseczce Domont). Marysia słaba na ząbki, i on sam postękuje, a w Domont ani doktora, ani apteki.

„Muszę téż się przed tobą pochwalić, żem wyszedł na człowieka dosyć pracowitego. Przez pracę zagłuszam w sobie uczucie biédy i smutku. Od niejakiego czasu jestem ciągle zajęty łaciną, do któréj miałem zawsze pociąg, a dziś passyą, jak to właściwe *staruszkom*. Drugą moją ulubioną rzeczą jest historya polska."

„*22 Stycznia 1837 r. Paryż.* Ty, który na nas gderałeś, że nie pisujemy, że o tobie zapominamy, coś, jak widzę, straciłeś na tem gderaniu nagle głos, i już od bardzo wielu miesięcy ani słychać o tobie. Jeszcze we Wrześniu posłałem dla twojéj pani *Ołtarzyk*, a dla ciebie tom moich wierszy, i dotychczas nie wiém nawet, czy wam to oddano. Rad nierad czekałem aż tak pewnéj okazyi, jak dzisiejsza. Adam wié o niéj i także ma pisać. Domeyko zaś już napisał i załączam tu list jego.

„Ostatnią o tobie wiadomość mieliśmy przez Szopena. Antosię bardzo nam zachwalił, że ma być ładna, i milutka. i zabawniutka. Szczęśliwyś, błogosławionyś Młodzieniaszku! Ze mnie, według wszelkiego podobieństwa, nic już podobno nie będzie; nigdy już zapewne nie nawiedzi mię żadna ładna blondyneczka i żadne dzieciątko. Żebyż przynajmniéj choć dzieci cudze, dzieci tych, których się lubi, niańczyć gdzie można! Z Marysią Mickiewicza jestem w wielkiéj przyjaźni: sam ojciec przyznaje, że mnie więcéj kocha niż jego. Śliczne bardzo stworzątko, i zdrowo się chowa.

„Od dzieci przechodząc do ojców:—cóż ty tam robisz? co piszesz? powiédz. Adam wziął się do francuzczyzny

i mam nadzieję, że pójdzie mu dobrze. Ja drukuję tom *Wieczorów* i już niezadługo kończę. Znajdziesz w nim powtórzony zeszyt drugi i kilka piosnek nowych, za które zapewne nie jeden się na autora zagniewa, chociaż nie mam chęci nikogo obrażać. Twój Noworocznik musiał już wyjść na świat, ale nic tu o nim dotąd nie słyszeliśmy. Jeśli będzie można, to przyszlij choć jeden exemplarz.

„Ucałuj rączkę żony i gadaj o mnie czasem Antosi. Za to całuję cię serdecznie, kochany Młodzieniaszku!"

„*15 Kwietnia 1837 r. Paryż. Meliteli* napróżno dotąd wyglądamy; z zapowiedzianych 7 exemplarzy, ani jeden jeszcze nie nadciągnął. Chodźko (Leonard), sprowadził sobie jeden exemplarz swoją drogą, i ten widzieliśmy obadwaj z Adamem, aleśmy tylko po kilka kartek mieli czas przeczytać. Wiersz „*Memento mori*" bardzo nam się podobał. Wypełniając twoje zlecenie, prosiłem już o pisma do nowéj *Meliteli*. Niemcewicz, Hofmanowa, Gorecki przyrzekli. Adam ma coś przetłómaczyć, ja nareszcie mam coś napisać, prozą. Do tego spodziewam się jeszcze dołączyć jaki wierszyk od kogoś z młodszych literatów, których tu mamy kilku. Jest tedy podobieństwo, że znów xiążeczkę uciułasz.

„Mówiłem Niemcewiczowi, co mi piszesz o jego wydawcy, (Bobrowiczu w Lipsku), ma on sam do niego zgłosić się. Ale coś stary piszczał, nie wiém na co, i gadał ni to, ni owo; a sam piérwéj powiadał, że za sto talarów miałby do dania tom nowych wierszy.

„Od Adama nic przez tę okazyę nie odbierzesz, bo on o niéj nie wié. Ja sam ledwie mam czas tych kilka liter nabazgrać, a od Adama do mnie jest teraz z pół mili. Wynieśli się tak daleko niewiedzieć dla

czego, bo taniéj. Marysia już wreszcie odłączona, a zawsze jest zdrowa i przednia. Ze mną jest w bardzo blizkich stosunkach, chociaż Domeyko ma czoło utrzymywać, że jego lepiéj kocha. A twoję pannę czy téż poznamy kiedy? Kto wié, kto wié? Jak pomrzemy po cudzych ziemiach, a ona już będzie duża, to jéj kiedy pokażesz który z naszych listów, jeżeli je znajdziesz w papierach, i będziesz jéj gadał: „Ten był taki a taki, a ten był taki a taki.“ A ja wcześnie proszę o pacierz za swoję duszę, a jeżeli łaska, to i o mszy kilka.— Żony twojéj rączki całuję i za przypisek dziękuję. Z tym listem posyłam ci exemplarz „*Wieczorów.*“

Na zakończenie tych moich wspomnień o Witwickim, przytaczam tu jeszcze mój wiersz, pisany do niego, właśnie z podziękowaniem za ów exemplarz „*Wieczorów Pielgrzyma.*“

O! jako dusza w sobie czuje słodkość nową,
Gdy mądrą, a z ust miłych napoi się mową,
Co jako deszcz majowy, bujnemi kroplami,
Przesiąknie w nią aż do dna żywemi słowami,
A myśli w niéj, jak kwiaty więdnące, z rozkoszą
Piją ożywczą rosę, a główki podnoszą;
Lub jak owe ptaszątka, co skwarem spragnione,
Siedząc niemo, a dzióbki trzymając stulone,
Uczuwszy chłód rzeźwiący, zaraz się trzepocą
Skrzydełkami, a głosu próbując świegocą;
A człek się, jak ogrodnik uśmiecha radośnie,
Marząc, co może w jesień z tych kwiatów wyrośnie!

Oto masz wierne mojéj duszy malowanie,
Gdy twój duch, z kart twéj xięgi, mój luby Stefanie,
Owionął mię i porwał, podniósł i ukorzył,
Gdym przezeń zamarł sobie, a ku Prawdzie ożył,

I w sercu poczuł zapał natchnionéj ochoty,
Do podobnéj dla miłych współziomkow roboty.

Tak leniwy myśliwiec, gdy się próżno znuży,
Siądzie, odstawi strzelbę, i oczy zamruży,
Gotów nawet zapomnieć strzeleckiego sromu,
Gdy w wieczór przyjdzie z niczém powrócić do domu:
Wtém mu nagle nad uchem wystrzał zagrzmi w lesie,
I towarzysz jelenia, albo sarnę niesie.
Więc się zrywa zbudzony, i znów ima broni,
I chłodząc wstyd na twarzy—wiatry w polu goni.

Lecz mnież to rość ku tobie zuchwałą nadzieją,
Serdeczny narodowéj prawdy Kaznodziejo!
Co i sam jéj zbadaniem głębszą myśl zdumiewasz,
I do serc z pełni serca miłość jéj przelewasz?

O! jak snać, jako woda czysta a spokejna,
Rozlała się w twéj duszy mądrość bogobojna!
Jak jasno z dna jéj głębi błękit Niebios bije,
Jak wykwitają myśli, jak wodne lilije!

Biada mu, kto ją widząc, nie zechce się kwapić
Przejrzeć się w niéj, oczyścić, a wewnątrz się napić;
Kto na pamięć ku służbie ojczystéj i Bożéj,
Kwiatów onych ku swojéj piersi nie przyłoży!

Przyszła bowiem godzina skruszenia bałwanów.
Sam Duch czasu, Duch Boży, jak brzmienie organów,
Z tysiąca ust, tysiącem różnych głosów woła:
Starą Cnotę do domu, Wiarę do kościoła,
Grzeszników do pokuty: wszystkich samych w siebie,
I z wszystkimi o litość do Ojca na Niebie.

Jakoż więc nie ma wnętrznem tchnąć rozradowaniem,
Czyj głos, jako wódz chóru, przed wspólném wołaniem,
I w ojczyźnie najszerzéj Bożą prawdę głosi,
I ku Niebu najwyżéj bratnią myśl podnosi!

II.

W Listach moich z Podróży, w tomie trzecim, opowiedziałem piérwsze spotkanie i dalszy wspólny pobyt z Garczyńskim w Rzymie; tu więc już tylko dla całości powtórzę ztamtąd jedno i drugie, dosłównie, albo w streszczeniu.

„Dnia 3 Marca (1830 r. w Rzymie), siedzieliśmy z Adamem rano, jak zwykle po kawie, zatopiony każdy w swojéj lekturze. A wtém otwierają się drzwi i wchodzi jakiś młodzieńczyk, blondyn, ładny, rumiany, i z wesołym uśmiechem, jakby pewny serdecznego przyjęcia, idzie wprost ku Adamowi. Ten podniósł oczy, spójrzał; ale ani się ruszył z kanapy. Młodzieńczyk zachwiał się nieco, ale nie tracąc jednak fantazyi, zbliża się i zapytuje: „Pan mnie nie poznaje?“— „Przepraszam — odpowiada mu zimno, nie rozbudzony jeszcze z czytania Adam.—„Jestem Stefan Garczyński.“ — Adam się przecież poruszył, ale widać było wyraźnie, że nie lepiéj nazwisko gościa, jak i rysy jego przypomniał. Młodzieńczyk zmieszał się strasznie; pobladł raptem i poczerwieniał, że aż mi się żal go zrobiło, tém bardziéj, że mi przyszła na pamięć własna moja niegdyś scena z Chodanim. Dopiéro gdy

mu wydeklamował wyraźnie i dobitnie, że się poznali w Berlinie, i że to on go piérwszy zaprowadził i zaznajomił z professorem Gansem; dopiéro wreście Adam przyszedł do roztropu, i zaczął spełniać obowiązek gościnnego i uprzejmego gospodarza. Ja zaś, aby zatrzeć do reszty to niemiłe wrażenie, odezwałem się żartobliwie do gościa, że jeśli liczył na pamięć pana Mickiewicza, co do fizyognomii i nazwisk, to się fatalnie omylił; bo ja myślę, że on sam siebie kiedyś we źwierciedle nie pozna, jak już raz swego nazwiska (w Kownie) przy podpisywaniu listu zapomniał. Adam zaczął się śmiać, a Młodzieńczyk, nie pytając nawet kto jestem, zwrócił się do mnie, i z tak miłym uśmiechem i tak czule podał mi rękę, że mi się jak panienka od razu podobał.“

Nie wiedziałem atoli, ani się mogłem domyślać natenczas, jak mu istotną i wielką przysługę uczyniłem bezwiednie. Dowiedziałem się o tém dopiéro późniéj od niego samego, kiedy mi pisał i mówił, że trzy razy miałem w ręku los jego życia. Żeby zaś znaczenie i prawdę tych słów jego zrozumieć, trzeba już było znać tak jego charakter, jak ja go w dalszym stosunku poznałem. Zrażony bowiem zimném przyjęciem Adama, dla którego jedynie do Rzymu przyjechał, już miał na myśli projekt wyjechania zaraz nazajutrz gdzie indziéj, gdy mu żart mój przyczynę téj pozornéj obojętności wyjaśnił, i obudzoną drażliwość uczucia, czy raczéj temperamentu, uspokoił.

Od téj chwili stosunek nas obu z Garczyńskim stawał się codzień bliższym i milszym. Widywaliśmy się bowiem codziennie, i od niego już tylko zależało

jedynie, aby wszedł razem z nami w koło wszystkich innych, towarzyskich stosunków naszych. Ale to był punkt właśnie, na którym po raz piérwszy spostrzegliśmy w nim coś jakby nie zwyczajnego, coś jakby zagadkowego dla nas. Pełen serdecznéj otwartości z nami, co do własnych swych uczuć i myśli, stawał się nagle jakimś tajemniczym, gdyśmy chcieli—ja zwłaszcza—pociągnąć go wraz z sobą na tór naszego codziennego życia. Z wielką biedą zaledwo dał się przecież wprowadzić do domu państwa Ankwiczów, i lubo najuprzejmiéj przyjęty, sam w nim w końcu największą znajdował przyjemność: dla téj-to właśnie przyjemności, jak mówił, uważał sobie za powinność, aby się jéj jak najmniéj poddawać, i przez to nie tracić z oka istotnego celu swojéj podróży. Ale w czém był ten cel jego istotny? To właśnie było dla nas nierozwiązalną zagadką. Nie był przecież ani malarzem, ani rzeźbiarzem, ani archeologiem, ani teologiem. Dla towarzystwa Adama, jak mówił, przyjechał mianowicie do Rzymu. A więc dla czegóż właśnie z towarzystwa tego nie chce korzystać?—Adam znudził się prędko próżnemi domysłami, i przestał na nim *takim*, jakim się sam dobrowolnie nam i względem nas okazywał. Ale ja nie tak łatwo dałem za wygraną. Korciło to mię owszem tém bardziéj, im się bardziéj przywiązywałem do niego, a i on téż widocznie nawzajem tę moję sympatyą podzielał. Z rozmów jego, zwłaszcza z Adamem, nie trudno jużciż było wyrozumieć, że ostatecznym, głównym celem jego aspiracyi, była doskonałość moralna, polegająca, podług niego, na rozwinięciu i pielęgnowaniu w sobie wszystkich sił i zdolności przyrodzonych, aby w miarę ich najgorliwiéj

i najpożyteczniéj służyć społeczeństwu i krajowi swojemu, to jest w ogólności ojczyznie. Ale przy stosowaniu to właśnie zasady téj do praktyki codziennego życia, wychodziły w nim na jaw owe excentryczności, (a podług mnie istne dziwactwa), które mię w nim irrytowały najbardziéj, i były ciągłym powodem sprzeczności i sporów. Naturę zaś tych sporów najlepiéj wyjaśnią przykłady.

Pan Ankwicz w zimie jeszcze zrobił był projekt, aby na wiosnę zwiedzić wszystkie sławniejsze okolice Rzymu, i Adama wraz ze mną z góry do uczestnictwa w tych wycieczkach zaprosił. Gdy więc Garczyński poznał się z tym domem, pan Ankwicz również do niego uprzejmą swą inwitacyą rozciągnął. Ale Garczyński stanowczo wymówił się od piérwszéj podróży do Fiumicino, i dopiéro w skutek moich nalegań obiecał, że pojedzie razem w drugą, do Frascati. „Tymczasem przychodzę wigilią do niego. Pisał coś, ale schował gdy wszedłem; potém zaś, jakimś desperackim tonem oświadcza mi, że jutro jechać z nami nie może. Co? Dla czego? Pytam go, reflektuję, i nakoniec wściekam się ze złości. Nic nie pomaga. Chciałby, ale nie może; jedyna odpowiedź. A niechże go wszystkie bogi! Kochany, miły, ale dziwny człowiek! Gdybyż był przynajmniéj poetą! Powiedziałbym, że półwaryat, i kwita. Ale filozof!... (Prawda, że takaż-to i filozofia niemiecka!) Kocham go coraz więcéj, im bliżéj poznaję, a to mię w nim nie tylko razi, ale nawet jakby przeraża. Zdałoby się, że straszny jakiś ślub, czy tajemnica, cięży mu na sercu i myśli. Rozweseli się ze mną, śmieje, goni się po ruinach, jak

student, a potém raptem, ni z tego, ni z owego, wygląda jak zrozpaczony kochanek.“

Tak pisałem naówczas o nim, pod wpływem piérwszego wrażenia; ale za powrótem z Frascati, upatrzywszy stosowną chwilę, rozmówiłem się z nim samym na otwarte, to jest wypowiedziałem otwarcie, że ten w nim jakiś katonizm uważam wprost za wybryk i przesadę dziwactwa; a że tego nie czyni przez ascetyzm i dla zbawienia swéj duszy, więc musi chyba czynić dla pychy, choć ją ubiéra w pozór cnoty i obowiązku. Skutek téj rozmowy był taki, że rzucił mi się na szyję, i zowiąc mię szczęśliwym, sam, omal nie ze łzami w oczach, przyznał się nakoniec, że cierpi, i że sam sobie rady dać nie może. Ofiarowałem się mu więc za lekarza, a piérwsza recepta, którą zapisałem, była ta, aby już razem z nami koniecznie na następną *sielankę* pojechał. Dał słowo, i tą razą dotrzymał. Odbył z nami dwudniową wycieczkę do Genezzano, i był tak z niéj rad i szczęśliwy, że już bez żadnych namów towarzyszył nam w dwóch ostatnich: do Tivoli i do Subiaco, i dziękując mi po razy kilka powtarzał: „że ani wiém, ani domyślić się nie mogę, co dlań i ile dobrego zrobiłem.“ Z mocy więc téj wrzekoméj, mnie samemu niewiadoméj przysługi, chciałem i nadal świadczyć mu podobneż, a zwłaszcza dokładałem wszelkich usilności, ażeby razem z nami odbył podróż do Neapolu. On słuchał, wzdychał, omal że nie płakał, żegnając się z nami w Albano, dokąd nas wraz z Adolfem Januszkiewiczem odprowadzał; ale na wszystkie moje argumenta odpowiedź była zawsze jedna i taż sama: „chciałbym, ale nie mogę.“ Adam, który był przy tém obecny i palił fajkę leżąc na kanapie,

zniecierpliwił się w końcu widocznie, i zerwawszy się na równe nogi, wydmuchnął z ogniem niedopalony tytóń, i odezwał się dość opryskliwie: „Dość już tego! Każdy ma swoje zdanie, i niech robi, jak mu się zdaje!“ Zamilkliśmy; ale Garczyński wzdychał tak rozpaczliwie, jak niewinnie potępiona ofiara, że niepodobna było w końcu wstrzymać się od śmiechu. Dotrwał wszakże przy swojém, i nie pojechał z nami.

Mimo to, za powrótem z Neapolu do Rzymu, znaleźliśmy go tak zmienionym, tak mizernym i bladym, z powodu skwarów miejskich i ciągłéj wysilonéj pracy, że zapomniawszy o poprzednich odmowach, próbowaliśmy go znowu namówić do pojechania z nami na lato do Szwajcaryi. Ale ponowiła się tylko scena z Albano. Rozstaliśmy się przeto z żalem, ale wszakże nie bez cienia zarzutu w myśli z naszéj strony, że jest pod wpływem dziwactwa, czy uporu, jeśli w tém chyba nie było jakiéjś ważnéj, zagadkowéj dla nas przyczyny.

Otóż ta zagadkowa przyczyna wyjaśniła się nakoniec przede mną w Dreznie, gdzie przybywszy w początku Stycznia 1831 r. z Paryża, oczekiwałem właśnie na umówiony przyjazd Garczyńskiego z Rzymu, aby razem jechać już daléj. Jakoż przybył w połowie Stycznia i zamieszkał wraz ze mną w mojém prywatném mieszkaniu. W parę dni po tym przyjeździe byliśmy na herbacie wieczorem u szanownéj i łaskawéj na mnie pani Ewy z Koszutskich Dobrzyckiéj, gdzie był także jéj dawny przyjaciel, sędziwy generał Kniaziewicz. Pod wpływem różnych jego opowiadań, i korzystając z xiężycowéj nocy, poszliśmy jeszcze z Garczyńskim przejść się po Brühlowskim terasie, i aniśmy się spostrzegli, jak zegar z wieży zaczął bić dwunastą. Rozmowa szła

o niepewności życia. Na piérwszy dźwięk zegaru, Garczyński zatrzymał się nagle, i ująwszy mię mocno za ramię, odezwał się jakimś niezwykłym, uroczystym głosem: „Słuchaj! mam ci powierzyć jednę tajemnicę— tajemnicę życia mojego, o której dotąd nikt nie wié. Ale przysiąż, że dopóki ja żyję, nie powiész o niéj nigdy i nikomu.“ Struchlałem. Twarz jego, oświecona xiężycem, przybrała dziwny jakiś tajemniczy wyraz, który mię do reszty przeraził. Byłem pewny, że coś strasznego cięży mu na duszy, i nie mogąc odrzucić dowodu ufności, szedłem przy nim istotnie w roli delinkwenta, gdyśmy milcząc wracali do domu, gdzie mi dopiéro miał swój sekret powierzyć. Drżącą ręką zaledwo wykrzesałem ognia; on zaś tymczasem z gorączkowym pośpiechem rozrzucał swój tłómok podróżny, i wydostawszy z niego jakiś zwój papieru, stanął przede mną jak posąg, i drgającemi usty, przytłumionym głosem, wyjąkał, jakby wyznanie zbrodni: „Ja piszę wiersze!“—Póki życia nie zapomnę téj chwili. Kontrast rzeczy z oczekiwaniem; nagłe przejście z bojaźni w radość; takie razem sprawiły wrażenie, że mimowoli parsknąłem od śmiechu. On zmieszał się; ale gdy mu opowiedziałem poprzedni mój przestrach, sam zaczął śmiać się wraz ze mną. Przyszła jednak nowa obawa. Przypomniałem, co zwykł był mówić o godności i powołaniu poezyi i poety; czułem, jak on na seryo rzecz bierze; a przecież zdania mojego anibym ukryć, ani udać nie mógł. To też radość moja nie miała granic, gdy w piérwszych zaraz wierszach, które mi przeczytał, obok głębokiéj myśli i uczucia, była i tak skończona artystyczna forma, że mię od razu w podziwienie wprawiła. Był to ustęp z poematu:

„*Wacław*“ który wtenczas miał inny tytuł: „*Apostata.*“ Zamiast więc zdania mojego, powtórzyłem mu tylko własne jego dwa wiersze, które zapamiętałem, a które to zdanie moje istotnie i najzupełniéj wyrażały:

„Czytam wiersz:—myśli dumne, melodya dzika,
Ale silna, zaświadcza o wewnętrznej sile.“

Do rana przeczytaliśmy cały ten poemat, który następnie uległ znacznym odmianom, ale i wtedy już miał wszystkie zalety, któremi się głównie odznacza. Z roli zatém sędziego, od której zacząłem, i z podziwu prostego słuchacza, przeszedłem w końcu do uznania od razu wyższości jego nad sobą, i żaden tryumf mojéj miłości własnéj nie uczyniłby mię tyle szczęśliwym. On porwał pióro i napisał w moim dzienniczku:

„Dzień 17 Stycznia 1831 roku, a osobliwie 12 w nocy godzina, niechaj nam wiecznie pamiętną zostanie.“

A był to właśnie ów drugi wypadek, przy którym, jak się wyrażał: „los jego życia miałem w moich ręku.“ Gdyby mi bowiem wiersze jego nie przypadły były do serca, miał zamiar rzucić w ogień rękopism i pióro na zawsze załamać. Prosiłem, żeby mi pozwolił napisać o tém do Adama; lecz on mi owszem wyraźnie i stanowczo tego zabronił. Nie mam zda się potrzeby mówić, jak ta chwila ścieśniła węzły naszego stosunku. W parę dni potém wyjechaliśmy razem; ja z wizą tylko paszportu do Berlina, bo mi go nigdzie daléj zawizować w Dreznie nie chciano. Miałem wszakże nadzieję, że będąc już w granicach Pruskich, łatwiéj mi przyjdzie z Berlina pojechać z nim razem do Xięztwa. Ale stało się całkiem przeciwnie. Nie tylko mi odmówiono téj żą-

danéj wizy, ale potrzeba było długich korowodów i gorliwéj protekcyi professora Gansa, z którym mię Garczyński zapoznał, aby mi pozwolono nakoniec powrócić nazad do Drezna. Zwłoka trwała kilka tygodni. Osłodziła mi ją zaś uprzejma gościnność i przyjaźń pp. J. K. Żupańskiego, znakomitego dzisiaj naszego xięgarza-obywatela, i Cybulskiego Wojciecha, sławnego potém profesora w uniwersytecie Wrocławskim, którzy razem naówczas mieszkali w Berlinie, i jako gościa zaprosili mię na mieszkanie do siebie.

Garczyński tymczasem...—Ale nie piszę ja bynajmniej biografii moich przyjaciół, a tylko opowiadam własne moje z nimi stosunki. Otóż stosunki te z Garczyńskim nie przerwały się zgoła z oddaleniem. Donosił mi, że wyjeżdża z xięztwa, i że się zaciągnął do wojska, jako prosty żołnierz ochotnik,—nim go w końcu generał Umiński na adjutanta swego powołał. Pomimo nowych wrażeń i trudów obozowych, pisał do mnie z każdego prawie miejsca dłuższego odpoczynku. Szkoda, że nie tu miejsce na przytaczanie w całości tych listów. Parę wszakże wyjątków muszę z nich przytoczyć, raz dla tego, że one same lepiéj, niż wszelkie opowiadania cudze, uwydatniają nastrój myśli jego i serca; a powtóre, że mogą dać niejako klucz do odgadnienia, kiedy i jakiéj natury był ów raz trzeci, w którym los jego życia był jakoby w mych rękach.

Pisał więc do mnie z obozu pod Liwem, d. 30 Marca 1830 r.

„Otóż po mocowaniach się ze śmiercią niepoślednich, dziś ci tę bazgraninę w odpowiedzi na twój list z d. 9 Marca przesyłam. Odczytywałem często i bardzo często twoje myśli, które tchną miłością, i że

o mnie zapomnieć nie zdołasz, zaręczają dostatecznie. Czyż dostatecznie? Wymknęło mi się z pod pióra słowo, które z większą rozwagą pisaćby należało. Od Adama list miałem; odpisuję nań dzisiaj. Nasze listy, w dzisiejszych okolicznościach, nie tylko wymalowywać potrzebnemi do tego kolorami nie można, ale i szkice nawet niezręcznemi z umysłu być muszą... Kochany Edwardzie! Przypominasz może sobie niektóre imiona litewskie, w pugilaresie moim zapisane przez ciebie, między któremi jedno bardziéj nad inne wystaje? Zobaczę *Ją* może niezadługo. Cóż powiém? Może zazdrośna? Czy mam wyjawić, że cię kocham?—Nie! nic nie powiém. List twój tylko pokażę—a Ona, jestem pewny, mile mię przyjmie. A jak się spyta, czy czasem?... w chwilach zapomnienia...? Przysięgam, że nic nie powiém...—Żarty mi się kręcą po głowie, kiedy testament raczéj pisaćby wypadało. — Edwardzie! bywaj zdrów! Zobaczymy się jeszcze—tak! pewny jestem. Bóg ufającym łaski swéj użycza. Toć i ja spodziewam się...—Jedna rzecz jeszcze: Byłżeby z nas który stęskniony, gdyby drugiego nie stało? Ja z pewnością— a ty?...—Przynajmniéj wierszy parę poświęć mi, drogi Edwardzie! Nie z pochwałami—ja pochwał nie żądam. Napisz i zrymuj tylko: *Kochałem go, i nie zapomnę o nim*, a wiersz taki najmilszym mi będzie. Ależ *kochanie* dziwnym trafem rymuje *z rozstaniem*. Dałby Bóg, żeby w rzeczywistości, i to na zawsze, rymować się nie chciało!?—Bądź zdrów, mój drogi! Kochaj i nie zapominaj o mnie!“

Ale w innym już całkiem tonie brzmiały listy jego następne, po powrócie do domu. Oto próbki:

„*Lubostroń 25 Października 1831 r.* Gdzież ty się obracasz, mój drogi Edwardzie? Gdzie Adam? Gdzie wszyscy jesteście? Krótki dziś tylko list ode mnie odbierasz. Ma on być tylko znakiem życia. Ty mi obszerniéj odpisz. Potrzebuję tego—bo inaczéj, niezadługo płakać mię będziesz... Stan mój umysłowy jest okropny. Boże, Boże! kiedyż się zakończy?... Zmiłuj się, pisuj do mnie jak najczęściéj, ja ci wiernie odpisywać będę. Straciłem brata, Edwardzie! Nie jeden znajomy przy mnie żyć przestał. Mój koń padł zabity. Kula trafiła w pałasz i zgięła go zupełnie. Ja żyw zostałem. Przecież gdybym był wiedział... byłbym śmierć przymusił... Dość tego! Pisuj i nie zapominaj o mnie!“

Pisałem więc prawie codziennie; tém bardziéj, że listy jego stawały się coraz smutniejsze, i czułem, że potrzebuje pociechy. Oto np. jeszcze jeden list jego z Lubostronia, z dnia 5 Listopada 1831 r.

„List twój, kochany mój Edwardzie, odebrałem—i oto leży przede mną—a przecież zdaje mi się, że nie do mnie pisany; bo czuły, otwarty, szczery, z duszy wychodzący, a mnie się wydaje, że ludzie wszyscy... O nie!—są wyjątki, i ty do nich należysz. Czułe serce gdzie niegdzie znaleźć na tym świecie. Tylko myśli twoje przesadzone, mój drogi! Zbijać ich nie będę, nie mogę; bo widzę, jak ci z czucia płynęły, jak ci konieczne się stały, aby duszę zaspokoić. Pokój jéj, bo dobra i bardzo dobra!!... Co do mnie, inaczéj stoi. Poduszka moja łzami przesiąknąć musi, bo nié ma nocy, w któréjbym... wstydzę się powiedzieć — nie płakał jak dziecko. Wczoraj osobliwie myślałem, że skonam. Dla czego? Wiész dla czego? Oto „*Werthera*“

wziąłem do ręki, i ledwom wierszy parę przeczytał, nuż płakać, i płakać bez końca!!—Nieszczęście nasze ogólne cięży prawda na sercu i umyśle, ale nie ono życie mi podkopuje. Poznałem ludzi!.. Ohydni, ohydni! *Werthera* czytaj! Co za prawda, co za prawda!! Czytaj go, a w duszę moję patrzeć będziesz.—Tu w domu dobrzy, ale nie rozumieją mię wcale; a ja się niecierpliwię, przeklinam siebie, i drugich nie szczędzę. Nie znalazłem dotąd istoty żadnéj, któraby ze mną dzieliła myśli i uczucia. Wszyscy zimni—a ja się trawię, jak pochodnia grobowa, zapomniana od ludzi. Nieraz marzę o szczęściu; widzę, jakby łatwo po trudach i pielgrzymce wypocząć zmordowanym siłom;.. a przecież!.. Chciałbym tylko mieć przyjaciółkę i przyjaciela; z nimibym się w niedostępnych skałach zagnieździł; tam pożył lat kilka, roczek choć tylko, i skonał.

„O! gdybym ci mógł całą moję duszę otworzyć!.. Nie, nie! Zawrótubyś głowy dostał; bo w niéj przepaścisto i czarno. A przecież nie cała nadzieja upadła. Promyczek jéj miga mi co chwila przed okiem; o czém tylko pomyślę, on zawsze miga. Kiedy o przyszłości zamarzę, i daléj noc ciemną i tak ciężką napotykam, że oddychać trudno; pomyślę sobie:—toć jeszcze jedna pozostaje pomoc! Życie nasze nie wieczne, a ja mam rękę i wolę... Kiedy o cierpieniach, ludziach, świecie pomyślę—znów koniec, znów wola i ręka na oku... Słuchaj, Edwardzie! jeżeli weźmiesz *Werthera* do ręki, nie czytaj końca!... i ja go czytać nie chcę...

„Mój poemat, mój *Wacław*, jedyną samotnych chwil pociechą. Nie poznałbyś go wcale. Com ci czytał, były tylko urywki i próby; dziś go mam przed oczyma—w duszy—w sercu!—Do Drezna może przyjadę, bo nie

pozwalają;—wtenczas—o nie!—nie pokażę, aż skończę zupełnie.—Gdzież Adam? Ja o nim nic nie wiém. Napisz, a jeśli go zobaczysz, powiédz: *non sic tractantur amici.* Odpowiedź mi oddawna winien.

„Bądź zdrów, mój drogi i kochany! Odpisz mi jak najśpieszniéj. Lubię listy odbierać od ciebie, którego tak szczerze kocham. Kochaj mnie i nie zapominaj o twoim przyjacielu!“

List ten był już zapieczętowany, kiedy go jeszcze otworzył, i dodał następujący przypisek.

„Zapieczętowałem i znów odrywam pieczątkę. Sam nie wiém, co robię. Pisać chcę jeszcze. Dziś zimno na dworze; biały szron wszystko pokrywa, jak w owéj nocy, pamiętasz? kiedyśmy długo, długo rozmawiali;—ale nie prawda! wtenczas śnieg był na dworze. Mnie albo w brudne rozkosze rzucić się potrzeba, albo bardzo czułą i szczerą mieć duszę przy boku. Gdybym był z tobą! mówilibyśmy tak wiele i o tak wielu rzeczach; i nocną porą zawsze! Bo nie wiém, czy przesada, czy choroba, ale mi w nocy lepiéj na świecie.

„Edwardzie! ja dziwną religią tworzyć sobie zaczynam—religią duszy. Tak w jéj skutki i rozliczne cuda wierzę, jak żyd w *Dziesięcioro.* Jak będę chory, każę się magnetyzować. Mówiłem o tém przed kilkoma dniami, nie tu, ale w sąsiednim domu, do którego jechać przymuszony byłem. Wszyscy otworzyli usta i oczy. Jedna tylko dziewczyna zajętą się tém być wydawała; czuła, com mówił...—Fuj, fuj! o biedach życia nie myśl nigdy! Ja wszystko straciłem, bom wszystko miał w kraju, a przecież nigdy nie myślę, jak się wyżywić potrafię. Toć do licha! wiele na to nie potrzeba. Czy chleb, czy zrazy—wszystko jedno. Skoro nie będziemy

mieli pieniędzy, pójdziemy w służbę do Szwajcaryi, do chłopa za parobków, byle tylko z *pankami* nie mieć do czynienia. Służąc w wojsku przekonałem się, że wszystko znieść potrafię, oprócz zimnych maryonetek. Nie będzie do wytrzymania—to pomówimy o przyszłości, o wieczności!.. Nadzieja, zawsze nadzieja!

„Jeszcze słowo o *Wertherze.* Taka Szarlotta byłaby dla mnie niedostateczną; aniby mię jéj kromkowanie chleba, ani jéj zimne obejście się z kochankiem, ani jéj giętkość duszy na dwie strony, zadowolnić nie mogły. Zapomnienia siebie, zupełnego szaleństwa żądam w miłości; inaczéj jest ona nudną, jak tragedya francuzka. O szaleństwie mógłbym coś napisać, bo czuję, bo przekonany jestem, że wielka dusza szaloną być musi; bo jest przeciwną wszystkim formułkom społecznym i ich menuetowemu życiu.—Ja mam przeczucie, że się zobaczymy. Wtenczas, obaczysz, jak dnie nam rozkosznie płynąć będą! Powiém ci zawsze, co czuć będę i pomyślę—i ty także—nie prawdaż, drogi Edwardzie? Szczerość, szczerość przed wszystkiém! Myśl o mnie, jak ja o tobie!“

W liście tym, (a i wszystkie inne były doń mniéj więcéj podobne), odbija, jak we źwierciedle, stan zrozpaczonéj i prawie blizkiéj obłąkania duszy. Cóż za dziw, że w tém usposobieniu umysłu i serca, przyjacielskie codzienne listy były dlań jakby rodzajem podpory. Czekając na nie albo odpisując, miał zawsze jakie takie zajęcie z dnia na dzień, które go nie jątrzyło, lecz uspakajało.

To téż pisałem je w końcu regularnie codzień, i to mi pochłaniało wszystkie chwile czasu. Czyniłem zaś to nie tylko z serca, lecz może więcéj jeszcze

z poczucia obowiązku, gdyż się ciągle obawiałem o niego. Ale i toby może spowszedniało w końcu, gdyby szczęściem właśnie w tym czasie nie zjechał się z Adamem w xięztwie, który już tam przebywał od Lipca. To wywarło nań wpływ zbawienny. Adam także podobał „*Wacława*," a to dodało bodźca jego Pegazowi, że go z nad otchłani rozpaczy, co go gwałtem w głąb swą ciągnęła, uniósł znów w sfery poetycznych marzeń.

To téż, gdy przybył nareście do Drezna, w Styczniu 1832 roku, o pociechach wieczności, „z własnéj woli i ręki," nie było już bynajmniéj mowy. Zawsze jednak została mu chorobliwa niejako wrażliwość uczucia na wpływy zdań cudzych i ludzi, niezgodnych albo nieodpowiednich jego wyobrażeniom moralnym. Unikał przetoż starannie wszelkich obcych towarzystw; a ja miałem jakoś to szczęście, że ze mną odzyskiwał spokojność i do równowagi powracał. Do dziś dnia zachowuję kartkę, którą raz, późno już w wieczór, nie zastawszy mię w domu, na stoliku u mnie napisał. Przytaczam ją, jako wybitny wyraz usposobienia jego w tym czasie:

„Zmęczony przyszedłem do ciebie. Chciałem cię uściskać; bo mi serdeczności potrzeba było. Tak zimno, tak zimno w społeczeństwach!! Wystaw sobie, Kr. był, i wciąż był, i nie wychodził! Jam się kręcił, jak piskorz. Chciałem uciec — zatrzymano. Trzebaż więc było męczyć się do upadłego. Prosto ztamtąd przybiegłem do ciebie. Nie zastałem—piszę przynajmniéj.— Dobréj nocy z serca życzy *Stefan*," (9 Lutego 1832).

Usiłując więc wedle możności wpływać na uspakajanie w nim ciągle burzącego się w ten sposób uczucia, chciałem go przedewszystkiém zaznajomić bliżéj z panią Klaudyną Potocką. Ale to właśnie, co mu o niéj mówiłem, zamiast chęci lub ciekawości, obudziło w nim owszem opór, i to wcale nie przez ducha przekory, chociaż zawsze przez pewną jużciż excentryczność umysłu, albo raczéj uczucia. „Jeżeli jest taką, jak mówisz—powiadał—to ja się jéj boję. Jeśli nie jest, to nie chcę mieć powodu do spiérania się z tobą; a także za nic na świecie nie chciałbym psuć nikomu illuzyi, widząc, jak ona szczęśliwym go czyni." Słowa te jego doskonale pamiętam, bo o nich tysiąc razy myślałem. Nie przewidywał on wtedy bynajmniéj, że ona to właśnie miała stać się wkrótce dla niego tym prawdziwym Aniołem pociechy, o którym on bezwiednie w wyobraźni marzył, a który go i z ludzkością pogodził, i koniec życia jego opromienił tém właśnie uczuciem czci i uwielbienia, które dla duszy takiéj, jak jego, mogło być jedynie skuteczném lekarstwem, łagodząc ją i uspakajając.

Ale rzecz dziwna, i nigdy racyonalnie niewytłómaczona dla mnie, jak pani Klaudyna sama, znając go zaledwo z widzenia i tylko słysząc o nim ode mnie, jakby magnetyczném jasnowidzeniem odgadła zaraz z początku to jego względem niéj usposobienie, o którém ja, ma się rozumieć, nigdy przecież nie wspominałem przed nią. A czy to może nie wpłynęło téż na to, że go potém tak czułą, tak anielską otoczyła opieką? tego już ja sam ani twierdzić, ani temu zaprzeczyć nie umiem.

W piérwszych tygodniach pobytu swojego w Dreznie, Garczyński zajęty był głównie wykończaniem swego *Wacława*. Mieszkaliśmy zaledwo o kilka domów od siebie; ja zawsze w tém samém mieszkaniu, gdzie on niegdyś był moim kilkodniowym gościem, (róg *Töpfer-*

Gasse i Nowego Rynku, *Neumarkt)*, on zaś na tymże rynku, naprzeciw *Marien-Kirche*. Wpadaliśmy więc wzajem do siebie za każdém wyjściem z domu i o każdéj porze. Ja tłómaczyłem właśnie ostatnią piesń „*Czcicieli Ognia*“ które jemu zamierzałem poświęcić. Pisząc, okrywałem się zwykle dużym szalem jedwabnym, darowanym mi na pamiątkę w Litwie, przy ostatnim wyjeździe za granicę, i przypisywałem mu żartem tajemniczo-inspiracyjną własność. Garczyńskiemu też jedna z pięknych jego kuzynek-przyjaciółek uszyła przed wyjazdem śliczny jedwabny kaftanik z rękawami, dziwnie jakoś przytulny i miękki, w którym on też zwykle pisywał. Otóż zaproponował mi razu jednego czasową zamianę tych okryć, jak się niegdyś przyjaciele-rycerze mieniali czasem na oręż lub zbroję, ażeby przez to w szrankach przypominać o sobie. I jakkolwiek to komu, (dziś zwłaszcza), może się wydać dziecinném lub śmiészném: dla nas obu naówczas ten żart przyjacielski miał wpływ jakby talizmanowy, pod którym on swego *Wacława*, (choć go potém znacznie rozszerzył), a ja przekład *Czcicieli Ognia* skończyłem.

Dokonanie téj pracy, którą on za powinność i zadanie życia swego uważał, wpłynęło też nader korzystnie na jego usposobienie wewnętrzne. Odzyskał spokój i swobodę myśli. Dał mi się nawet wprowadzić do kilku domów, lub kółek towarzyskich, i mianowicie z Litwinami chętnie przestawał. Przybycie nakoniec Adama, a w ślad za nim Ignacego Domeyki, Pola, i potém Goreckiego, zamieniło nam ów kilkomiesięczny pobyt w Dreznie, na tle okoliczności ówczesnych, jakby w uroczą jakąś oazę w pustyni. Adam, jak sam żartem powiadał, „zaraził się poezyą od nas.“ I tu-to

właśnie zaczęła się trzecia, ostatnia epoka jego poetycznéj twórczości. Zaczął ją od wznowienia przekładu *Giaura*, który kiedyś przed laty rozpoczął był w Kownie; ale gdy doszedł do spowiedzi *Kalajora*, modląc się raz w kościele, poczuł, (jak sam się wyrażał), „że jakby bania z poezyą rozbiła się nad nim.“ Zaniechał więc tłómaczenia, a wziął się do kontynuacyi *Dziadów*. Część, którą najprzód w ciągu tygodnia napisał, ale któréj, mimo próśb naszych, nie pokazał zgoła nikomu, i potém ją prawdopodobnie sam zniszczył, obejmowała pobyt jego w Rzymie. Za toż część trzecią, którą pisał z równym pośpiechem, lubił sam owszem odczytywać przed nami na codziennych zebraniach wieczornych, a w listach jego znajdują się wzmianki, jak właśnie to czytanie dodawało mu bodźca do pracy. Przykład ten nie był bez wpływu na drugich. Wszystkim paliło się w głowie—i w sercu. Każdy, co mógł, i jak mógł, robił swoje, ku wspólnéj wzajemnéj pociesze. Garczyński, jak sam wyznawał, nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwym. Sprawdziła się niejako przepowiednia, którą sam, pewnie bezwiednie, w przytoczonym wyżéj liście wyraził. Humor nawet jego tak się rozjaśnił, że gdy ja, z polecenia pani Klaudyny, musiałem na dni parę pojechać do Lipska, a Domeyko mi towarzyszył; on dobrowolnie przyłączył się do spółki, i mieszkając tam w jednym pokoju, w hotelu, tak się niekiedy dał rozruszać wesołemu Domeyce, że sam z nami po studencku figlował. Ale niestety, cały ten krótki peryod w życiu jego, był to jakby ostatni, po dniu burzliwym i chmurnym, zabłysk słońca przed zachodem—na zawsze.

Fizyczny stan jego zdrowia mało dotąd zwracał uwagi, a zwłaszcza jego samego. Poniewierał on owszem ciałem, jak asceta, odmawiając mu nie tylko wygód i przyjemności, ale nawet koniecznego niekiedy odpoczynku i wytchnienia z pracy. Wycieńczyło go to było w Rzymie; ale ruch i trudy obozowe wzmogły owszem siły i zdrowie. Dopiéro za powrótem do domu, czarne myśli i cierpienia moralne zaczęły znów je podkopywać i niszczyć. Wszedł właśnie w to koło zaklęte, w którém stan smutny umysłu zaczyna wpływać na zdrowie, a zły stan zdrowia na umysł. W tym okresie przybył do Drezna. Umysł wprawdzie, jak powiedziałem, rozpogodził się więcéj może niż kiedy, ale organizm był stanowczo zachwiany. Skarżył się nieraz na to lub na owo, ale ani się radzić, ani leczyć nie chciał. Na domiar złego, Adam i ja, z rady Hedenusa, zaczęliśmy na wiosnę pić wody Karlsbadzkie, w zakładzie sztucznych wód mineralnych Struvego. Garczyński towarzyszył nam codzień dla kompanii; aż nakoniec, zakosztowawszy raz *Mühlbrunn*, postanowił pić je wraz z nami. Adam owszem pochwalił ten zamiar, co nieraz potém sam sobie gorzko wyrzucał. Ale nie wiedzieliśmy wtedy bynajmniéj, że te wody mogą źle działać na piersi, ani że matka jego na suchoty umarła. Dopiéro gdy w skutek téj samowolnéj kuracyi stan zdrowia jego pogorszył się widocznie, Hedenus zaczął go leczyć na dobre. Jakoż piérwsze symptomata choroby piersiowéj dały się usunąć szczęśliwie. Ale trzebaż, że właśnie w tym czasie ogarnęła go znowu tęsknota. Ja na początku Czerwca wyjechałem na ślub mój do Królewca, mając potém zamieszkać w Poznaniu; w parę tygodni zaś potém, Adam

z Domeyką opuścili téż Drezno, udając się do Paryża. Pol i Gorecki wyjechali jeszcze przede mną. Z całego tedy niegdyś tak miłego kółka, Garczyński został sam jeden. Ale tu, jak Anioł pociechy, stanęła przy nim pani Klaudyna. Dowiedziawszy się, że zachorował znów nagle po wyjeździe Adama, przyszła do niego sama wraz z Hedenusem, który był przyjacielem i lekarzem nas wszystkich, i odwiedzała codziennie, dopóki niebezpieczeństwo groziło. Następnie, gdy już zaczął wychodzić, otworzyła mu dom swój uprzejmie. W początkach Lipca pisał już do mnie do Królewca: „U Potockiéj bywam co drugi dzień prawie, a za każdą wizytą nowe jakieś przymioty odkrywam. Wielka dusza!“ Kiedy zaś w piérwszych dniach Sierpnia, niespodzianie i mimowolnie, bo za wyraźnym rozkazem ministeryum Pruskiego, znowu z żoną wróciłem do Drezna: znalazłem go już tak przejętego czcią, wdzięcznością i uwielbieniem dla pani Klaudyny, że to ostatnie dorównywało mojemu, co go niegdyś tak we mnie drażniło.

Koniec lata przeszedł spokojnie, chociaż kaszel nigdy całkiem nie ustał; ale z nadejściem jesieni i zimy, tak się coraz pogorszać zaczął, że mu doktor wychodzić zabronił. Odwiedzaliśmy go, ma się rozumieć, jak można było najczęściéj; ale słotne wieczory i ranki nieraz musiał przepędzać sam jeden. Pani Klaudyna znieść tego nie mogła. Najęła więc dlań nowe mieszkanie, słoneczne i obszerniejsze, i to w tym samym domu, tylko, że na drugiém piętrze, gdzie sama wraz z matką mieszkała. Urządziła téż w niém dla siebie w jednym kącie stolik, przy którym po godzinach przychodziła czytać lub pisać, nie rozmawiając

wcale z gospodarzem, któremu mówić stanowczo wzbroniono, a którego gwałtowny kaszel, zdający się piersi rozrywać, każdém echem odbijał się w sercach słyszących. Fakt ten może się wydać niepodobnym dla tych, którzy nie wiedzą, jaką była pani Klaudyna. A przecież był on tylko jednym z tysiąca podobnych, z jakich się całe jéj życie składało. Nie łatwo to jest wprawdzie pojąć i zrozumieć, jak nieraz, przy czytaniu np. Żywotów Świętych, nie możemy się zdobyć na pojęcie téj siły wytrwania lub poświęcenia, którą duch męczennikom lub ascetom nadawał. W tym razie jużciż ofiara miała na względzie i godność duszy człowieka, dla którego się ponosiła; ale ileż-to takich ofiar, i to w najrozmaitszych kierunkach, w najważniejszych i w najdrobniejszych niekiedy okolicznościach, biograf pani Klaudyny mógłby w jéj życiu naliczyć! Cóż więc za dziw, że wpływ takiéj duszy oddziałał téż stanowczo na duszę chorego? Z formułek filozofii niemieckiéj, które ją dotąd wikłały, wyrwała się ona stanowczo, jak motyl z sieci pajęczéj, i zwróciła się ku zaświatowéj wieczności: nie jak niegdyś, w chwilach rozpaczy, aby ujść tylko od cierpień i od brudów ziemskich; ale z pokorném poddaniem się woli wyższéj, z obawą sprawiedliwości Sądu, ale téż i z ufnością w miłosierdzie Jego. Najulubieńszą jego lekturą w tym czasie były: „Żywoty Świętych“ Skargi. Na ziemi, jak w *Ideałach* Szyllera, zostały mu już tylko: „Przyjaźń i Praca,“—praca nad ostateczném wykończeniem poematu *Wacław*, przed wysłaniem go do Paryża, gdzie Adam, wespół z Witwickim i Domeyką, zajęli się wydaniem wszystkich jego poezyi w dwóch tomach. W nich on chciał już tylko ślad przejścia

swego zostawić ojczyznie, dla któréj zawsze i na każdém polu wszystkie myśli i siły poświęcał. Jakoż dożył jeszcze pociechy, że je w druku całkiem już skończone oglądał; w ciągu zimy zaś odbierał pocztą pojedyńcze arkusze, w miarę jak wychodziły z pod prasy, i to było dlań najprzyjemniejszą rozrywką, i często jakby ożywiającém lekarstwem. A przecież pospolita autorska miłość własna najmniéj w tém miała udziału. Chodziło mu przedewszystkiém o to, aby skarb własnych uczuć i myśli, pracą całego życia zebrany, bratnim duszom w spuściźnie przekazać. Artyzm i forma, (lubo o nie dbał najtroskliwiéj), stały zawsze na drugim planie. Na piérwszym była myśl i prawda, w którą sam wierzył. W ulotnym wierszyku do mnie, napisanym po przeczytaniu *Żmii* Słowackiego powiedział:

„Nie sama gładkość mowy do serc ludzkich kluczem;
Będziem i poetami, skoro się nauczym
Czuć prawdę, pisać prawdę, i stwierdzać ją w czynie.“

To był cel jego i zasada w pisaniu, od któréj w niczém nie odstąpił nigdy.

Jedyną jeszcze nadzieją utrzymania go przy życiu był, zalecony przez Hedenusa, wyjazd na wiosnę na południe, do Włoch. Wybierał się więc ciągle w tę podróż; ale i tu pani Klaudyna stała się dlań jak Aniołem Stróżem. Mając się udać do męża na dłuższy pobyt w Genewie, zwlekła umyślnie swój wyjazd do nastania cieplejszéj pory, ażeby razem z sobą zabrać Garczyńskiego. W Szwajcaryi miał go spotkać Mickiewicz i towarzyszyć mu już w dalszéj podróży. Wyjechali z Drezna oboje 21 Maja 1833 r. Wigilią, ja z żoną przeprowadziliśmy Garczyńskiego do Tarantu, piérwszéj stacyi pocztowéj od Drezna, zkąd go

nazajutrz po drodze miała zabrać pani Klaudyna. Cała noc przeszła nam na rozmowie, bo zasnąć nie chciał i nie mógł. Zawsze miał on dla mojéj żony prawdziwie braterską przychylność; w tych zaś ostatnich chwilach, wnikając w jéj położenie i zapomniawszy o własnych cierpieniach, cały ten czas poświęcił prawie wyłącznie na wykładanie jéj, tonem brata, teoryi obowiązkowego życia, stosując ją mianowicie do ówczesnego jéj stanu i do przypuszczalnych na przyszłość kolei i powinności życia. Skończył na rozrzewnieniu się serdecznem, ściskając nas i błogosławiąc prawem przyjaciela. Takie było właściwie ostatnie z nim pożegnanie moje; gdyż resztę czasu, ażeby to wzruszenie jego uspokoić, przepędziliśmy z umysłu na obojętnych już tylko rozmowach. Nazajutrz, gdy już siedział w powozie, ostatniém do nas słowem jego było: „Do zobaczenia, moi drodzy!“—„*Zawsze* do zobaczenia,“ powtórzyła mi z cicha pani Klaudyna, gdym jéj rękę do powozu podawał. A i to było ostatnie téż słowo, które z ust jéj w tém życiu słyszałem. Słyszę je dotąd w duszy i powtarzam nad grobem każdego z przyjaciół, którzy wszyscy już—wszyscy odeszli; bo i tych co są jeszcze daleko na ziemi, pewno już na niéj nigdy nie zobaczę.

Sama podróż z Drezna do Strasburga trwała półtrzecia tygodnia; stan chorego zmuszał do zatrzymywania się po drodze. W Strasburgu spotkał podróżnych sam pan hr. Potocki (Bernard), i w końcu Czerwca oboje odwieźli Stefana do Bex, w Szwajcaryi, na kuracyą serwatkową. Pani Klaudyna została tam jeszcze przy nim, aż do przybycia Adama z Paryża. Oto wyciąg z listu jéj, ztamtąd pisanego do

mnie. „Mickiewicz przybył do Bex d. 8 Lipca. Dzień i noc nie odstępuje Stefana. Duszę jego w gieniuszu przeczułam, a z podziwieniem, ze łzami na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkich sercem, cnotą, duszą, jak jest i gieniuszem wyższym od wybranych.“ Adam zaś w liście do Domeyki, z Bex także dnia 8 Lipca pisanym, tak mówi o spotkaniu się swojém ze Stefanem i z panią Klaudyną: „Smutne i rozdzierające duszę było widzenie się nasze. Patrząc na twarz Stefana, taką bladą i smutną, przewracało mi się w sercu. Jadąc do Lausanny, znalazłem na statku na Lemanie panią Potocką, która jak Anioł opiekuńczy utrzymuje duszę w Stefanie. Ta kobiéta godzi z rodzajem ludzkim, i może natchnąć znowu wiarę w cnotę i dobroć na ziemi. Zdaje się, że życia ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym. Wkrótce ona ztąd odjeżdża, i nie wiém potém, co się z nami stanie.“ To wzajemne o sobie świadectwo dusz takich, godne zaiste wiekuistéj pamięci!

Gdy kuracya w Bex okazała się bezskuteczną, Adam w końcu Lipca (22) przywiózł chorego do Genewy, gdzie byli znów z panią Klaudyną, którą Stefan w listach swych do mnie nie inaczéj już tylko, jak swoim „Aniołem Stróżem, Aniołem Pocieszycielem“ nazywał. Ostatni kończył się słowy: „Żegnam cię po tysiąc razy. Zosi ręce całuję. Proście Boga za mnie!“

W piérwszych dniach Września, Adam z chorym wyjechali z Genewy do Włoch, przez Francyą południową, dokąd téż wkrótce po nich udali się państwo Potoccy. Dnia 17 Września pani Klaudyna przybyła

do Avignonu, dla odwiedzenia chorego, który daléj jechać już nie mógł, i tamże, d. 20 Września, Bogu ducha oddał, w 29 roku swego życia. Przytaczam tu jeszcze wyciągi z listów Adama i pani Klaudyny, donoszących mi i mówiących o tém. Żadna chwała na świecie nie dorówna współczuciu i świadectwu dusz takich!

Adam pisał z Avignonu d. 22 Września.

„Nasz Stefan już przed dwóma dniami przestał cierpiéć.—Wróciłem właśnie z Marsylii, gdzie jeździłem niby po paszport do Włoch, ale rzeczywiście już go niepodobna było z miejsca ruszyć. Znalazłem naszego przyjaciela przez kilka dni mojéj niebytności bardzo zmienionego. W nocy o godzinie szóstéj przestał oddychać. Tak lekko usnął, że nie można nazwać skonaniem téj krótkiéj chwili przejścia z biedy na świat lepszy. Śmierć swoję często przepowiadał, ale téż równie często pełen był nadziei, a w ostatnich dniach więcéj niż kiedykolwiek. Przybyła téż kilku dniami przed śmiercią pani Potocka, i osłodziła mu ostatnie chwile na ziemi. Téj nocy, kiedy żyć przestał, byłem przy nim do późna; potém, znużony bezsennością i drogą, poszedłem spać. Pągowski czuwał przy łóżku. Przerażony zbyt cichym snem chorego, zbliżył się, i znalazł go bez życia.“

Wyjątek z listu pani Klaudyny: Genewa, 21 Lutego 1834 roku.

„Czuję i dzielę z panem, co o Stefanie i stracie jego mówisz. Codzień był więcéj przyjacielem moim. Cierpienia ciała, przytłaczając wielką jego duszę, codzień do mnie ją zbliżały. Dawniéj, kiedy przypadkiem słowo z głębi serca mi się wymknęło—nie rozumiał, i wyższością swoją zatrważał. Ostatnich miesięcy życia czytał w mojéj, jakby we własnéj duszy. Niewyrażone odgadł uczucie, każdą boleść, każde wrażenie. Takiéj straty nic mi nie zastąpi. A przecież za nagrodę liczę, że mi Bóg pozwolił go poznać, zasłużyć na zupełną jego przyjaźń, i nie jedną ciężką osłodzić mu chwilę. Dziś mimowolnie w górę patrzę, kiedy się sądu jego lękam; w górę za nim, kiedy mi tęskno, zimno między ludźmi.

„Siódmego Września pisał jeszcze do mnie, 17-go przywitał tak serdecznie, tak czule! Mówił, że mu lżéj przy mnie; że takby chciał na ręku mojém umierać! Ośmnastego wrócił Mickiewicz z Marsylii. Nad rankiem 20 usnął!...“

Na zakończenie przytaczam własny mój wiersz na śmierć jego, napisany w końcu 1833 r.

„Płakać cię, czy się cieszyć?—wierzę, że wraz z tobą—
Że duch twój, istny tutaj Anioł na wygnaniu,
Bolejąc wciąż nad ludzką skazą, lub żałobą,
Odszedł—dokąd tak tęsknił;—i snać w przeczuwaniu
Krótkiéj drogi swéj, tak się kwapił z gromadzeniem—
Nie laurów albo skarbów—lecz dzieł swéj zasługi,
Jakby stosu ofiary:—by na nim płomieniem
Własnych swych uczuć spłonąć, jak Krywejto drugi?

Wieszcz, rycerz, obywatel—w każdym z nich twa dusza
Odbiła, jak ogniste słońce w wód kryształe.
Lecz pieśń, dla innych—rozkosz; dla ciebie—katusza.
I nie strach sądów świata, nie troska o chwale
Miotały sercem twojém:—nie! tyś drżał o dary
Dane ci i natchnione:—by ich bez użycia
Nie strwonić; by z nich żadnéj cząstki, jak z ofiary,
Nie użyć sam dla siebie; by treść prawdy życia
Wydać w pieśni, jak w czynie: tak jak wszystkie czyny
Dostrajałeś do tonu wieszczych natchnień ducha.

Trud dla Prawdy—to dla cię był spokój jedyny;
Ofiara—jedno szczęście; Krzyż—jedna otucha.

Jeden twój grzech, żeś nazbyt żądał sam od siebie,
Żeś chciał nazbyt wysoko dójść o ludzkiéj sile,
Chciał stać się doskonałym, jak Ojciec na Niebie,
Myśląc, żeś mógł i musiał—i nie tylko tyle,
Ile da i dozwoli w tobie Pan.—Tyś sądził,
Że życie—to już tylko czas działać, nie prosić;
Czas zdobywać, nie czekać!—O! jeśliś w tém zbłądził,
Męczenniku twéj cnoty! odcierpiałeś dosyć.

I Pan snać twe cierpienia ujrzał i przebaczył,
Gdy do łoża twéj śmierci posłał ludzi dwoje,
Abyś w nich, jako w żywém źwierciedle, obaczył,
O czém tu już rozpaczać jęło serce twoje:
Gieniusz chrześcijański i świętość Anielską.
Oboje oni duszą kochali cię bratnią,
Oboje z poświęceniem i łzą przyjacielską
Przynieśli ci na ziemi pociechę ostatnią,
O! i rękojmię szczęścia tam! Bo kto z takiemi
Zlał się sercem i duchem: czyż Ojciec Litości,
Każąc go takim ludziom pożegnać na ziemi,
Innym-by duchom kazał spotkać go w wieczności?—

Przyjacielu mój, bracie! wierzę w to—a przecie,
O! przebacz mi! że siebie, a nie ciebie płaczę.
Jam-to cię z nimi poznał i zbliżył na świecie,
A już i ich, jak ciebie, wiém, że nie obaczę!

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

Kochany Bohdanie! Opowiadając Deotymie o przyjaciołach poetach, mogęż obok najmilszych nie wspomnieć o tobie? Bogu tylko niech będą dzięki, że mówiąc o żyjącym, muszę to uczynić w inny sposób, to jest, odwołując się najprzód do ciebie samego, na podobieństwo owéj sławnéj piosnki Berangera: *„T'en souviens-tu?“* w któréj stary towarzysz broni, przypominając koledze z pod téjże chorągwi wspólną przeszłość, z wdzięcznością téż przypomina to wszystko, co sam jego przyjaźni zawdzięczał.

A więc—pamiętasz? jakeśmy się poznali?—Ale nie możesz pamiętać, bo nie wiész, z jakiém ja uczuciem szedłem z piérwszą wizytą do ciebie. Wszystkie dotychczasowe dumki twoje umiałem na pamięć, a jedna z nich „O Hetmanie Kosińskim,“ była dla mnie, w krytycznéj niegdyś chwili życia, jakby kroplą ożywczéj rosy, jako *„na górach świtający dzionek,“* który i we mnie wenę, jak uśpionego czy skrzepłego skowronka rozbudził. Obaczywszy raz piérwszy zdaleka wieże Warszawy, piérwsza myśl moja była o tém, że w niéj Ursyna i ciebie zobaczę. O wrażeniu piérwszego widzenia zdałem naówczas sprawę przyjacielowi, Igna-

cemu Chodźce, w liście, drukowanym już raz gdzieindziéj, który tu w dosłównem brzmieniu przytaczam:

Dnia 14 Grudnia 1825 r. Warszawa.

„Mój drogi Ignacy! Jak obiecałem, donoszę natychmiast, że się już poznałem z Bohdanem; i to nie tylko poznałem, ale i pokochałem od razu. Dowiedziawszy się o adressie, poszedłem wczoraj do niego sam jeden. Z bijącém sercem zapukałem do drzwi. Pisał coś stojąc przy prostém, niemalowaném biórku, w króciutkim jakimś szarym surduciku. Postrzegłszy nieznajomego, pytał zda się wzrokiem, co powiém? Ale zaledwo powiedziałem kto jestem, rzucił pióro, i wyciągając ręce, powitał takiém uprzejmém, mimowolném: „A!“—jakbym naprzykład ja ciebie, gdybyś niespodzianie wszedł do mnie.—Miły, dobry, kochany, prawdziwy filarecki koleżka! To téż wié o nas wszystko, jak nikt z Warszawiaków. Rozpytywał się najtroskliwiéj o Adamie, o Olesiu, o Juljanie; a ja mu opowiedziałem o tobie, jak płaczesz deklamując: „*Świat omamień mych pomału, niknie z sennych mar drużyną;*“ i jak go kazałeś pozdrowić za piérwszém z nim spotkaniem. Kontent był, i nawzajem pozdrawia cię serdecznie.—

„A podziękowałem mu téż, jak miałem, za tę uroczą niegdyś chwilę w Karmelickim klasztorze jakiéj doznałem po przeczytaniu dumki „*O Kosińskim.*“ Zaczął śmiać się, i odpowiedział, że powinienem najprzód podziękować sam sobie. Nie rozumiałem;—a więc mi opowiedział, że napisał ją pod wrażeniem, i w ślad po przeczytaniu mojego „*Myśliwca,*“ i że początkowe „*hop hop!*“ jest właśnie odbiciem strofy:

„I hop, hop, hop, rumak skory
Leci, hasa śród trąb wrzawy“ i t. d.

„Siedziałbym nie wiém jak długo u niego, tak mi było dobrze i miło, gdybym nie musiał iść na proszony obiad. Alić dziś ledwo wstałem, on sam wchodzi do mnie, ubrany elegancko, we fraku, bo i ja tak byłem u niego, idąc właśnie na proszony ów obiad. Byliśmy już dzisiaj nawzajem, jak niewiedzieć odkąd znajomi. Powiedział mi, że miejscowych Warszawskich literatów nie lubi, a żyje tylko z Brodzińskim i Witwickim, którzy téż nie są rodem z Warszawy. Z tym ostatnim chce mnie zaznajomić koniecznie, bo wié, że już Brodzińskiego poznałem. W nim samym ani cienia fumy literackiéj, którą w tutejszych laureatach dostrzegam. Szczery, prosty, serdeczny, ożywiony w rozmowie; śmieje się głośno, ręką pocierając włosy; słucha z zajęciem, opowiada z uczuciem,—znać że nie pamięta o sobie. Jedném słowem, prawdziwy Filaret; to téż i kocham go jak Filareta.

„A chcesz wiedzieć, jak wygląda na oko?—Niższy nieco wzrostem ode mnie; blondyn, kształtny, zgrabny, ruchawy; wzrok i uśmiéch łagodny; twarz pełna życia i pociągająca. Jak wewnątrz, tak i zewnątrz—poeta!..“

A teraz, mój drogi Bohdanie! pozwól że ci przypomnę i opowiém tobie samemu cały szereg dobrych twoich uczynków dla mnie, które jak z jednéj strony były wprost skutkiem i dowodem twojéj dobroci i przyjaźni, tak z drugiéj, miały wpływ wielki, a najlepszy, na cały ówczesny peryod życia mego i pobytu w Warszawie.

Piérwszym z nich jest przyjaźń z Witwickim, którą wprost twojéj dobroci i pośrednictwu twojemu zawdzięczam. W osobném wspomnieniu o nim opo-

wiedziałem szczegółowo obie piérwsze wizyty: moję z tobą u niego, i jego z tobą u mnie, od któréj się właściwie owa przyjaźń zaczęła. Czyż więc myślisz, że zastanawiając się nad tém, nie czułem i nie czuję, ile musiałeś zadać sobie trudu i ile przeszkód przełamać, nimeś go, z jego charakterem i usposobieniem, potrafił nakłonić do tego, że nie czekając na moję wizytę, przyszedł do mnie sam piérwszy, po mojém już zamieszkaniu w Warszawie, i że przemówił w ten sposób, dla zatarcia w moim umyśle tego piérwszego wrażenia, które niegdyś z piérwszéj u niego, a wspólnéj z tobą bytności odniosłem, a o którém tobie tylko jednemu mówiłem? Czyż myślisz, że nie czułem i nie czuję, ile musiałeś mu o mnie takich rzeczy nagadać, iż on, zimny, rozważny, poważny *gentleman*, przybrał od razu ze mną ton koleżeńsko-studencki, jakiego z nikim nie przybierał nigdy? Mógłżeby on to uczynić, gdybyś mu nie zaręczył, a on na słowo twoje nie uwierzył, że przyjmę to takiém sercem, jakiém rzeczywiście przyjąłem?—A przyjaźń jego, w dalszym ciągu życia, stała się dla mnie takiém dobrodziejstwem, że tego, kto mi ją zjednał, mam wszelkie prawo uważać za dobroczynne narzędzie Opatrzności, którą w tém uznawałem i uznaję dotąd,—wdzięczność téż moję dla ciebie do uznania tego stosując.

Wprawdzie ty sam nieraz, drogi Bohdanie, wziąłeś za to „zapłatę swoję;“ nie tylko w téj mojéj wdzięczności; nie tylko we własném może sercu swojém; ale w tylu a tylu rozkosznych, uroczych chwilach, cośmy razem z kochanym Stefanem, w ciągu lat czterech przeżyli. Bo cóżby to było za życie nasze w sztywnéj, oschłéj, oziębłéj literackiéj atmosferze

Warszawskiéj, gdybyśmy z sobą we trzech, albo z czwartym chyba Brodzińskim, lub przyjezdnym Juljanem Korsakiem, nie mogli czasem odetchnąć tém iście poetyckiém powietrzem, tą swobodą braterskich koleżeńskich uczuć: jakby ożywiającą wonią owych kwiatów, do których się nad Wilią i nad Dnieprem nawykło, a o które na piaskach Mazowsza tak trudno!

Przypomnij tylko sobie owe miłe wieczorki, owe nieraz wspólne czytania, a choćby i dzienne tylko pogadanki u Witwickiego, gdyś z Rawy lub z Sochaczewa, jak gość chwilowo tylko do Warszawy przyjeżdżał; albo te nasze z Witwickim odwiedziny u ciebie, coś je latem w Powązkowskim obozie, pod płóciennym namiotem przyjmował!

A pamiętasz, między innemi, owego skowronka, (kiedyś raz o zachodzie słońca odprowadzał nas na pół drogi), co to chcąc niby przysiąść na kłosach żyta, które się pod nim uginały, wzbijał się znowu jakby z gniewem do góry, i coraz to głośniéj szczebiotał? Przyrównałeś go żartem do ducha poety, coby się chciał opierać na ziemskich podporach; a ja *à propos*, i jak zawsze z rozkoszą, przedeklamowałem twój „Śpiew poety.“ Nigdy nic podobnego nie widziałem potém; a ten skowronek nieraz przychodził mi na myśl. A ty? „*T'en souviens-tu?*

Od skowronka przechodząc do słowika, to jest do śpiewającéj jak słowik, a kraśnéj, a uroczéj, jak jéj imienniczka kwiatowa: do panny Róży czy Rozyny Ż... O! co o téj, to ani wątpię, że musisz doskonale pamiętać! Wspomnień takich nie grzebią krzyżyki. Ale co dla mnie, to jéj także wspomnienie wiąże się zwłaszcza z wdzięcznością dla ciebie. Romantyczniéj-poetyczniej-

széj istoty pewno wówczas w Warszawie nie było; a ty jeden wiész chyba i mógłbyś powiedzieć, jaki téż wpływ na piérwszy rozwój romantycznéj poezyi naszéj wywarła, i czyby pod tym względem nie warta była może stać obok z Maryllą?—Że zaś jutrzeńkowe to światło od niéj, chociaż świecąc w innym kierunku, padło czasem z ukosa i na mnie, i ożywiło mię jak posąg Memnona: to komuż znów to zawdzięczam, jeśli nie tobie samemu? Zapoznałeś mnie z nią, jak z Witwickim; a jéj uprzejmość, któréj doznawałem, czyliż nie z tego pochodziła zwłaszcza, że mogła ze mną rozmawiać o tobie; mówić sama niby tylko o pieśniach, ale najmiléj słuchać o śpiewaku—któremu, jużciż nie wątpiła pewnie, że wszystkie jéj słowa powtórzę? Zaprawdę ona sama, jak mistyczna róża, cudzém już słowem zaklęta, we mnie samym cześć tylko i podziw wzbudzała; ale ileż to innych otaczało ją kwiatów i pączków, równie barwą jak wdziękiem pokrewnych, śród których nawet najlotniejszy motyl mógłby nieraz zastosować do siebie ów wiersz Byrona o skrzydłach zefiru, „mdlejących od woni ciężaru,“ w przelocie po nad Greckim ogrodem różanym!—Cóż za dziw, że ta istna Syrena Wiślanna, wiążąc się w myślach twoich z wspomnieniami Dniepru, sama z *Rozyny* przemieniona w *Zorynę*, wywołała te cudne, urocze *Rusałki*, których śpiew od pół wieku serca ziomków zachwyca, i nie przestanie zachwycać dopóty, dopóki w ich ustach taż mowa, a w sercu też uczucia żyć będą.

A znowuż te „*Rusałki*,“ mój drogi Bohdanie! czyż to nie nowe ogniwo serdecznéj méj przyjaźni i wdzięczności dla ciebie? Ofiarowałeś mi je piérwszy do mojéj „*Meliteli*,“ skoro zamiar jéj wydawnictwa powziąłem; a bez czegoby nawet ów zamiar nigdy może

nie przyszedł do skutku. Wspierałeś go i w latach następnych, nie pozwalając nigdy ofiarować sobie nic wzajem, oprócz przyjacielskiego „Bóg zapłać!“—I Bóg mi rzeczywiście dał dożyć téj chwili, żem ci sam, wedle możności, podobnegoż rodzaju monetą, to jest miłém a poetyczném wrażeniem odpłacił.

Ale tu już, drogi Bohdanie! kończę moję apostrofę do ciebie, i resztę już nie tobie samemu, ale wprost Deotymie i innym moim czytelnikom dopowiém.

Na początku 1882 roku, pani Seweryna Duchińska raczyła mi donieść z Paryża, o gotującym się tamże obchodzie osiemdziesiątéj rocznicy urodzin autora „*Rusałek*“ i „*Przenajświętszej Rodziny*,“ powołując mię przytém do zbierania własnoręcznych podpisów literackich znakomitości Warszawskich, do mającego się mu ofiarować albumu. Nie należąc sam do nich, ani mając zaszczytu bliższych z niemi stosunków, nie czułem się być zdolnym do spełnienia tego zadania; ale to mi podało myśl inną. Od pół wieku nie zdarzyło mi się spotkać ani jednéj światłéj Polki, coby nie znała i nie czuła sercem tych lub owych poezyi jubilata. Ułatwić więc moim znajomym sposobność okazania mu tego współczucia, wziąłem sam sobie za święty i najmilszy obowiązek. Ograniczając wszakże jego zakres, prosiłem same panienki, aby w zastępstwie matek, i zarazem jako reprezentantki przyszłości, własne tylko swoje imiona do obrzędowego albumu wpisały. Złożyło je 126 własnoręcznych podpisów, które ja sam osobiście zebrałem, a poprzedziwszy i zakończywszy tę listę prologiem i epilogiem własnym, przesłałem ją jubilatowi na ręce wspólnéj przyjaciółki naszéj, pani Sewe-

ryny Duchińskiéj. I oto jest wyjątek z jéj listu do redakcyi „*Kroniki Rodzinnéj*,“ w którym opisuje przyjęcie, i w ogólności obchód téj pamiętnéj uroczystości.

Paryż, 21 marca 1882.

„W Niedzielę, 19 marca, w dzień św. Józefa, czas był prześliczny, prawdziwie wiosenny, słońce nieprzyćmione najlżejszą chmurką. Wyjechaliśmy z Paryża w samo południe, w liczbie kilkunastu osób, do wioski Villepreux, położonéj za Wersalem, pod Saint Cyr, w pięknéj i wesołéj okolicy. Zabrałam garstkę dzieci i dorastającéj młodzieży, aby dać poznać Bohdanowi, że pamięć jego przejdzie w następne pokolenia; co on téż wybornie zrozumiał i żywo odczuł. Po piérwszéj przybyliśmy na miejsce. Z wielką radością ujrzałam Bohdana w jak najlepszém zdrowiu. Cera jego biała, świeża; lekki rumieniec ślicznie odbija obok śnieżnych włosów i białéj, długiéj do pasa brody. Barki wcale nie pochylone; dosyć szczupły, chodzi żwawo i lekko; skarży się tylko na przytępienie słuchu, a bardziéj jeszcze na zachodzące mgłą oczy. Gdyby nie to, niktby nie odgadł ciężących na nim lat osiemdziesięciu. Pamięć zachował wyborną, wielką świeżość wyobraźni, i sposób mówienia płynny, łatwy i prawie młodzieńczy. Otoczyliśmy jubilata. Wtedy podałam ogromne album w rękę młodego Ludwika Goreckiego: „Niechaj wnuk Mickiewicza, rzekłam, złoży u stóp Bohdana hołdy ze wszystkich części kraju.“—To połączenie dwóch drogich narodowi imion, głęboko poruszyło obecnych, i wycisnęło łzy z oczu solenizanta. Karta piérwsza pod okładką, wykonana akwarellą, pendzlem panny Rakowskiéj, przedstawia wieniec, upleciony z kłosów,

paproci, macierzanki, bławatków i stepowych burzanów. Dało mi to pobudkę do napisania pieśni dożynkowéj. Bohdan głęboko był poruszony; przy wspomnieniu Ukrainy, rozpłakał się jak dziecko. Adresy ułożone były w osobne koperty, każda ze stosownym napisem.

Uradzono z góry, iż aby nie rozrzewniać zbytecznie jubilata, adresy te ani wiersze czytane w dniu tym nie będą. Wyjątkowym tylko sposobem odczytałam wiersz A. E. Odyńca, przedstawiający solenizantowi grono podpisów 126 panienek, formą i pomysłem godny *Rusałek* nadwiślańskich. Bohdan uszczęśliwiony był z niego. „Edward zawsze ten sam,“ rzekł, „zawsze przyjaciel panienek. Dzięki Bogu, że zachował młodość i myśl swobodną.“ Z tego powodu opowiadał nam dawne niegdyś zebrania w kółku przyjaciół. Wspominał każdego z druhów, tak miłych jego sercu: Brodzińskiego, Witwickiego, Mochnackiego, których groby rozrzucone dziś pod obcém niebem, nad Elbą, Tybrem i Sekwaną, a z których ten jedyny przyjaciel pozostał mu jeszcze na własnéj ziemi. Zapragnął widzieć własne pismo jego. Wtedy pokazałam mu wiersz drugi, a przeczuwając jaką to sprawi mu radość, odczytałam go na głos. Bohdan zapłakał rzewnie. Prosił, aby złożyć w jego imieniu podziękowanie wszystkim, którzy go tak serdecznie uczcili. Autora wiersza wymienił nasamprzód. Z zakazu lekarzy pisać sam dzisiaj nie może; nie traci jednak nadziei, że troskliwe starania dr. Gałęzowskiego poprawią mu wzrok o tyle, iż nakreśli sam kilka dziękczynnych słówek do osób, które dały mu tyle dowodów uznania i współczucia. Imię Adama Pługa wymienił z najżywszą wdzięcznością. „Ja nie zasłużyłem na to, rzekł do mnie, „bo cóż ja uczyniłem? Nie moja w tém

zasługa, że Bóg pozwolił mi urodzić się w czasach, kiedy prąd poezyi powiał nad krajem naszym i potrącił téż o mnie.“—„A dla czegóż nie potrącił o wszystkich, którzy w tych czasach żyli?—zapytałam. „Małaż to rzecz należeć do garstki wybrańców Bożych? Ten chór głosów nadbiegłych tu z kraju, niech da miarę waszéj zasługi, ojcze, a wdzięczności serc ziomków.“

„Kilka godzin zbiegło nam w oka mgnieniu. O zachodzie słońca pożegnaliśmy drogiego jubilata, obdarzeni jego błogosławieństwem. Był to w życiu mojém jeden z tych dni, których pamięć nie zaciera się w duszy.“ *S. D.*

Tu pozwalam sobie dodać jeszcze wyjątek z własnego listu Jubilata do mnie, tudzież własny mój prolog i epilog do adressowéj listy podpisów panieńskich, i nakoniec osobny wiersz drugi do Jubilata, w liście jego i pani Duchińskiéj wspomniany:

Villepreux, 4 Maja 1882.

„Dobry mój i drogi Edwardzie!

„Z wielkim smutkiem i nie mniejszym wstydem zasiadam do pisania. Smucę się z niedołężnéj mojéj starości, a wstydzę się, żem ci dotąd nie podziękował za uroczysty, niewolący wiersz twój do mnie, i za prześliczne strofki od panienek. Nie wątpiłem nigdy o twojéj staréj, stałéj przyjaźni dla mnie, ale obiedwie poezye i czynny udział twój w moim jubileuszu, rozrzewniły mnie do łez i rozmarzyły błogo. Bóg ci zapłać, mój drogi, za bratnie współczucie!

„Szczerze mówiąc, kochany Edwardzie! nie należało mi się wcale to wyszczególnienie, ani uczczenie

od rodaków. Wyznaję atoli, że przemnogie dowody drogocennéj życzliwości publicznéj wzruszyły mnie mocno, i o ile napełniły pociechą serce, o tyle upokorzyły w sumieniu. Bóg mię strzegł, że nie przeceniam zasługi méj ani zdolności. I owszem widzę tylu spółczesnych godniejszych ode mnie wieńca; mężów wiedzy, i rady, i słowa. Cóż ja kiedy znaczącego lub dobrego uczyniłem dla kraju? „Dni moje zeszły jako cień, a jam usechł jako siano.“

„Zkądinąd znowu jubileusz mój wypadł, niestety, za późno—kiedy już jestem niesposobnym do niczego. Osiemdziesiątka dała mi się uczuć złowrogo. Omdlewam z dnia na dzień w organizmie moim, i cielesnym i duchowym. Najdotkliwiéj cierpię jednak z powodu wzroku, wyraźnie już dogasającego. W pochmurne dni nie dowidzę całkiem, a i w jasne zaledwie czytać i pisać zdołam, i to jeszcze z koniecznemi, częstemi przestankami. Oczywiście pisanie takie, z wysiłkiem woli, drażniąc nerwy, mąci wciąż uwagę i nuży niemiłosiernie.

„Stan chorobliwy, w jakim obecnie zostaję, może Bóg da, że z cieplejszą pogodą przesili się, a przynajmniéj choć trochę się uśmierzy. Modlę się o to gorąco. Zadłużyłem się w korrespondencyach na wsze strony. Nie było na to rady; to niech się święci wola Boża!—Jeśli mi rozwidni się nieco w źrenicach, to radbym pogawędził z tobą, Edwardzie mój stary, o latach miłéj naszéj młodości. Pokuszę się bodaj i na wierszowanie, dawno, o! dawno już zaniechane. Tymczasem proszę cię, mój drogi, podziękuj ode mnie najuprzejmiéj Deotymie za wspaniały wierszyk, którym udarowała mnie, i zaszczyciła nadto publiczném odczy-

taniem go we Lwowie. Ona to dziś na wyżynach twórczości poetyckiéj u nas!... A bądź też zarazem tłómaczem serdecznéj wdzięczności mojéj i przed przyjaciółeczkami swojemi, panienkami, które mi przez pośrednictwo twoje podpisy imion swoich przysłały. W pokorze chrześcijańskiéj wzdragam się od rozgłośnych podziękowań po gazetach. Wolałbym to uczynić w inakszy sposób. Wolałbym np. w godzinie natchnienia, jeśli kiedy jeszcze zawita, podnieść pieśń dziękczynną;—byłoby to na *post-scriptum* do pośmiertnego wydania moich poezyi.

„Zmęczony już jestem pisaniem; kończę, więc polecając się sercu twemu i modlitwom.

J. B. Zaleski..

Hejże, Bohdanie! nie zwłócz téj piosenki,
Niech nie łabędzią będzie, lecz słowiczą.
Boć przecież na nią czekają panienki,
Co śpiewakowi sto lat zdrowia życzą.

PROLOG.

Drogi Bohdanie! gdym kiedyś przed laty
Bogini kwiatów niósł ofiarę z pieśni,
A do téj wieszczéj, duchowéj objaty
Dopomagali mi bracia rówieśni:

Tyś, jako Bojan, mistrz arfy proroczéj,
Strón jéj zaklęciem, z Dnieprowéj topieli,
Wywołał orszak *Rusałek* uroczy,
I sam je przywiódł w uścisk *Meliteli.*

Pół wieku przeszło ciężył sercu memu
Żywéj wdzięczności dług niewypłacony;
Aż przyszła chwila, że tobie samemu
Kraj składa z kwiatów i z laurów korony.

Korzystam z pory:—i sam bez przechwałek
Śmiem głosić z góry, że wzajem ci wiodę
Orszak, piękniejszy od wszystkich Rusałek,
Od wszystkich Ondyn i Nimf.

Polki młode,
Czcicielki pieśni twych, zasług i chwały,
Chcą ci téż złożyć hołd, w dzień ich obchodu,
I mnie starego guślarza wybrały,
Abym szedł z niemi, jak wódz korowodu.

Same panienki! Masz tu ich imiona.
Ja zaś nic więcéj nie życzę dla ciebie,
Jak aby widok podobnego grona
Duszę twą kiedyś rozradował w Niebie.

EPILOG.

(po 126 podpisach).

Masz więc, Bohdanie! chór dziewic ojczystych,
I spójrzyj tylko wieszczém okiem ducha
W głąb serc ich czystych, myśli promienistych,
A duch twój nowa pokrzepi otucha:

Że matka, która w swych córkach rozwija
Takie poczucia i takie pojęcia,
Jako pod krzyżem płacząca Marya,
Doczeka chwili swego Wniebowzięcia.

DO JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(na osiemdziesiątą rocznicę urodzin, 1882 r.)

Drogi Bohdanie mój! osiemdziesiątkę
Lat wieku twego, gdy dziś naród cały,
Z czcią i miłością, święci jak pamiątkę
Obywatelskiéj i wieszczéj twéj chwały:
Ja téż pozdrawiam ciebie,—ja ostatni
Z mnogiéj tak niegdyś drużyny twéj bratniéj,

Gdyś po Adamie piérwszy wieszcz narodu,
Arfę Bojana otarł z wieków pleśni,
I duchem jego natchniony od młodu,
Zagrał nam nótę ukraińskiéj pieśni,
I jak woń stepu, od Dniepru do Wisły,
Tchnął w niéj na ziomków serca i umysły.

Pozdrawiam ciebie, w imie tych uroczych
Uczuć i marzeń, któreś wtedy budził;
W imie tych natchnień, i tych wieszczb proroczych,
Któremiś siebie i nas—o! nie łudził,
Nie! lecz pokrzepiał; jak dziś krzepią jeszcze
Serca rodaków twoje pienia wieszcze.

O! bo my wierzym, że Pan nie omyla
Tych, czyim ustom dał głos Swego ducha;
Spełnienia tylko niewiadoma chwila.
Ale kto z wiarą głosu tego słucha,
W żelaznéj nawet swych losów obręczy
Dostrzeże odblask Przeznaczenia tęczy.

Więc cię pozdrawiam w imię braci owych,
Coć wtedy z wiarą młodzieńczą słuchali,
I pod urokiem pieśni coraz nowych,
Ciebie samego jak brata kochali,
A tyś w uścisku ich i uniesieniu
Do coraz nowych brał siłę w natchnieniu.

Znam cię, Bohdanie! a więc wiém na pewno,
Że gdy ci naród niesie hołd uznania,
Ty myślisz o nich, i pamięcią rzewną
Liczysz ich groby po ziemiach wygnania:
A więc i wierzę, że ci będzie miły
Głos ostatniego z téj strony mogiły.

Los od pół wieku rozłączył nas obu,
Lecz serce moje, ufam, że ci znane.
Przyjaźń młodzieńczą chowam ci do grobu,
I śmieléj przez nią na sąd Pański stanę.
A nim się może spotkamy przed Sędzią,
Jako brat bratu szlę ci pieśń łabędzią.

WINCENTY POL.

Osobisty stosunek mój z Polem trwał zaledwo kilka miesięcy, lecz zawiązany przezeń stosunek duchowy dotrwał wzajem przez całe życie, i ze śmiercią się jego nie skończył. Przyjaźń bowiem dla niego i rzewny żal po nim, tak żyją zawsze w myśli i uczuciu mojém, jak pieśni jego i wspomnienia o nim w pamięci.

Te ostatnie skreśliłem niegdyś w liście do pana Ludwika hr. Dębickiego, który on drukiem ogłosił. Nie mając nic nowego do dodania, list ten tu dosłównie powtarzam.

LIST DO HRABIEGO LUDWIKA DĘBICKIEGO.

Mądre to jest *dictum* francuzkie: *le mieux est l'ennemi du bien.* Otrzymawszy uprzejme wezwanie pańskie, abym skreślił moje wspomnienia o wspólnym ś. p. przyjacielu naszym; serdecznym, zacnym, szlachetnym człowieku, a przytém prawdziwym wieszczu narodowym: wyznaję, iż chciałem zrobić to bardzo dobrze, i niestety, skutkiem właśnie téj chęci, nie tylko nie zrobiłem nic dotąd, ale co gorsza, przekonałem się

ostatecznie, że w ten sposób i na tę skalę nic zrobić nie mogę. Zniżam tedy kamerton własnych moich wymagań, i w prostéj formie prywatnego listu, chcę opowiedzieć panu, co mi przyjdzie na pamięć z owych kilku uroczych miesięcy, cośmy z Polem niegdyś w Dreznie przeżyli, a które dla obu nas, przez całe odtąd życie, były tém miłém i drogiém wspomnieniem, które myśli nasze i serca nierozerwaném ogniwem łączyło; chociaż nigdyśmy się już potém osobiście nie zeszli, a nawet przez całe często lata nie bywali w listownych stosunkach. Pan sam mówiłeś mi kiedyś, że to samo słyszałeś nieraz z ust Pola; on zaś, po otrzymaniu piérwszego mego listu z Warszawy, gdy się tam na stały pobyt przeniosłem, pisał, a raczéj dyktował do mnie, pod datą 14 czerwca 1867 roku ze Lwowa.

„Mój drogi panie Edwardzie!

„Zaledwiebyś uwierzył, ile mię uszczęśliwiło odnowienie stosunków z tobą! Jakież to wspomnienia i uczucia wywołał w duszy mojéj twój list! Gdzie ztąd do owąd? Już nawet myślą trudno przebiedz powtórnie tę drogę, na któréj początku postać mi twoja świeci. W uczuciu straconéj pikiety stojąc na stanowisku mojém przez lata, pojmiesz, jaką otuchą napawa mię przyjaźń twoja, słowo twoje! Gdybym cię w życiu jeszcze kiedy ujrzał, wyżaliłbym się przed tobą! Gdybym na twojéj piersi głowę złożył, jak niegdyś młodzieńcem, wypłakałbym całą boleść życia! Gdybym mógł przemówić do ciebie, poniósłbym ci słowo pociechy! Ale papierowi żalić się nie będę. Płakać pono już nie trzeba, kiedy Bóg wziął oczy; a pociechę czerpiemy oba z jednego źródła: z Boga, i z uczucia

dopełnionego obowiązku. Więc przyjm żal niewyżalony, łzę niewypłakaną, pociechę niewysłowioną, i wdzięcznego serca zapewnienie, że między żywymi, ciebie tylko jeszcze odszukuje dusza, uczuciem *Janusza Nowiny*.“—

Na jeden zaś z następnych listów moich, odpowiada także ze Lwowa, pod dniem 22 lipca tegoż roku 1867.

„Na ostatni punkt twego listu odpowiadam: że gdyby to nie z tobą była sprawa, odpowiedziałbym: „I nie wódź nas na pokuszenie!“ Żądasz ode mnie abym opisał nasze Drezdeńskie czasy. Myślę o nich często; ale czy podołam temu zadaniu? Chyba, że jako starszy po służbie każesz mi to zrobić; to zrobię, i złożę się twoim rozkazem.

„Osoby i stosunki nie trudno byłoby opisać, ale trudno się wznieść do tego wysokiego nastroju ducha, który ówczesne koło nasze Drezdeńskie ożywiał. Trudno będzie dać dzisiejszemu pokoleniu wyobrażenie oddechu téj atmosfery duchowéj, która nasze pokolenie otaczała. Komu to mówić dziś o tém, cośmy wnieśli i dali? z jaką miłością, jakiém sercem? Komu to mówić, co z tego świat zrobił, i czém to zapłacił? W każdym razie taki ustęp z pamiętników, dopiéro chyba z trumny podać można żyjącemu pokoleniu. Ale kiedy chcesz, kiedy żądasz tego po mnie, to zrobię. Jedyną i piérwszą zachętę, jaką w życiu do zawodu poetycznego otrzymałem, otrzymałem od ciebie. Masz tedy prawo żądać, abym zrobił, co każesz. Ale dajże mi i tym razem radę, czy mam to pisać prozą, czy wierszem? Może cię to pytanie zadziwi? Ale racz wszakże rozważyć, o co cię proszę i pytam.“—

Nie umiałem na to odpowiedzieć, i zostawiłem wybór formy do woli i natchnienia jego samego. On zaś w jednym z następnych listów swoich z Krakowa, proponował mi formę korrespondencyi ze mną, abyśmy wspólnie niejako w ten sposób, wspólne nasze wspomnienia z owego czasu spisali, gdyż myśl ta zajmowała go żywo i ciągle. W innym liście powiada:

„Na nas, jako na ostatnich już prawie żyjących dziś z owéj epoki, cięży niejako obowiązek dopełnienia tego, czego inni dopełnić nie mogli, albo dopełnić nie chcieli. Ale ja rzeczy nie lubię odkładać, a obu nam śpieszyć się wypada. Do pisania formalnych pamiętników nie zostawia mi czasu troska o chleb powszedni. Ale wszystko może być pamiętnikiem, i wszystko może syntetycznie dzisiaj ogarnąć i objaśnić kilka listów. Ja cię zaczepię, a ty mi odpowiész, i nawzajem; i tym sposobem będzie się mogła złożyć i wyświecić całość obrazu.“

Przystałem na ten projekt, i czekałem zapowiedzianéj inicyatywy. Tymczasem nieszczęśliwa jego operacya oczu, potém nowe stosunki domowe, nie dozwoliły mu widać przyprowadzić tego do skutku; aż śmierć nakoniec zniweczyła wszystko. Otrzymawszy więc wezwanie pańskie, poczułem się w podwójnym niejako obowiązku, aby myśl jego za siebie i za niego wykonać. Ale im bliżéj wpatrzyłem się w przedmiot, tém coraz mocniéj poczuwałem trudność, o któréj Pol w liście swym mówi: aby go w prawdzie jego duchowéj przedstawić; i zrozumiałem dla czego się wahał, czyby raczéj ku temu formy poezyi nie użyć? W istocie, w słowie chyba poezyi możnaby było bez przesady chcieć wydać tę poezyę uczucia i życia, jaką się właśnie

przedewszystkiém ten nasz wspólny pobyt w Dreznie odznaczał. Ztąd też poszło, że wszyscy jego uczestnicy tak żywo i tak rzewnie pamiętali o nim. Masz pan dowód tego w drukowanych listach Mickiewicza i Ignacego Domejki, prócz przytoczonych tutaj listów Pola. Daruj więc pan, że opisać go, jakbym chciał i jakby trzeba było, nie umiejąc, poprzestaję na prostym, prozaicznym szkicu.

Drezno, na początku 1832 roku, było może jedynym punktem na świecie, gdzie się razem i jednocześnie tyle naszych znakomitości zebrało, i przez kilka miesięcy żyło życiem wspólném, podniesioném nad poziom ziemskich towarzyskich stosunków, a nie zatrutém jeszcze przez stronnicze waśnie i swary. Możniejsi z pomiędzy nowoprzybyłych, i mający obszerniejsze mieszkania, otwierali je uprzejmie dla gości, którzy się w nich codziennie wieczorami zbierali. Prócz tego były domy oddawna już zamieszkałe w Dreznie, które téż niemniéj uprzejmie przyjmowały nowoprzybyłych.

Do takich, między innemi, należały: dom pani Ewy z Koszutskich, Dobrzyckiéj, matki damy dworu tegoż nazwiska, będącéj typem najczcigodniejszéj staropolskiéj matrony; dom państwa Józefostwa hr. Łubieńskich, dom pani generałowéj Dąbrowskiéj, (wdowy po Henryku); dom xięztwa Sapiehów, hrabiny Kossakowskiéj, państwa Komarów (rodziców pani Delfiny Potockiéj, która wtedy przy nich mieszkała), hrabianki Anieli Czackiéj, i t. d., i t. d. W niektórych z tych domów były téż młode i piękne, pełne wdzięku i uroku osoby, jak np. panna Bronisława Dąbrowska, panna Antonina Szczaniecka, i inne. Z imion sławnych nowoprzy-

byłych, wolę nie wymieniać żadnego, aby przez zamilczenie nie ubliżyć innym, a wszystkich wymienić niesposób. A wreście pan zkądinąd możesz wiedzieć o tém.

Ale wspólnym niejako węzłem, który wszystkich jednoczył; ale duchem, który, bez przesady rzec można, wszystkim jakby swą barwę i nastrój nadawał; była pani Klaudyna, z Działyńskich, Potocka. Komuż to imie nie jest znane w kraju? I w niéj téż to największa trudność do skreślenia obrazu téj epoki w Dreznie. O czémkolwiekby się mówiło, wszystko musi się o nią opierać: wszystko lub się od niéj zaczyna, albo staje się przez nią. i kończy się na niéj. Tymczasem dla tych, którzy ją sami znali, wszelkie słowa będą za blade; dla nieznających zaś jéj osobiście, a zatém nie mających i nie mogących mieć wyobrażenia o duszy tego nastroju, wszystko mogłoby łatwo wydać się za jaskrawém, przesadzoném, lub urojoném. W istocie legendarna ta postać, tak się wyróżnia od ogółu ludzi, i tak się w każdym kierunku po nad zwyczajny ich poziom podnosi, że w legendzie téż chyba lub poezyi, mogłaby ujść od razu za prawdziwą, jako ideał; bo choć nim była prawdziwie w życiu rzeczywistém, codziennem, (przynajmniéj w téj epoce w Dreznie), ludzie zwykle nie łatwiéj może wierzą powieściom o takiéj wyższości ducha, jak i o zjawianiu się samychże duchów.

Z niezachwianą stałością i mocą bohaterskiéj duszy i charakteru, łączyły się w niéj zarazem słodycz, łagodność, cierpliwość, i pokora siostry miłosierdzia. Rozum jasny, trzeźwy, praktyczny w okolicznościach codziennego życia, przybierał wszystkie tęczowe barwy poezyi, ilekroć sam, jak tęcza, podniósł się nad ziemię i szer-

szy widnokrąg ogarniał, albo się w tajemniczy świat ducha zagłębił. A wszystko to było owiane takim urokiem wdzięku i uczuć niewieścich, takim blaskiem estetycznego i towarzyskiego wykształcenia, że połączenie w jednéj osobie tych tak sprzecznych na pozór rzeczy, (nie śmiém powiedzieć przymiotów, czy zalet) nie da się ani pojąć, ani wytłómaczyć przez nic innego, jak chyba przez ten cudowny stan duszy, którą strata najdroższych uczuć i nadziei ziemskich, tak nagle i tak całkiem zwróciła ku Niebu, że bezwiednie dosięgła do téj wysokości, gdzie się już tajemniczy wpływ Łaski zaczyna, i wybranych, jakby widomą aureolą otacza. Na dowód tego, co tu mówię, mógłbym przytoczyć panu tysiąc faktów, drobnych często na pozór, ale świadczących zarówno i zarazem, jak o tém, czém była w sobie, tak i o téj dziwnéj potędze i wpływie, jaki bezwiednie wywierała na drugich. Mówię *bezwiednie*, bo do najbardziéj może charakterystycznych i zdumiewających w niéj rysów, należała dziecinna prawie w obec obcych nieśmiałość, i ta przerażająca (jak ją nazwał Mickiewicz) pokora, jaka się objawiała zarówno w jéj słowach przy wypowiedzeniu swojego zdania w zwyczajnéj towarzyskiéj rozmowie, jak i w każdéj, często najniższéj posłudze bliźniego, którą, na każde zapotrzebowanie, niosła zawsze i wszędzie, z zupełném zapomnieniem o sobie. A mimo to, tajemniczy ten wpływ jéj na drugich, tak był wyraźny i potężny, że mu ulegał zarówno prosty wiarus, który go czuł tylko instynktem, jak i najwyższy umysł, (np. Mickiewicza), który umiał zdać sobie sprawę z natury i z powodu swych wrażeń.

I tu już muszę koniecznie przytoczyć panu parę faktów, abyś pan z nich sam przez się o wartości i prawdzie tych słów moich osądził.

Byłem raz u pani Potockiéj o godzinie 11-éj rano, i zastałem ją tak cierpiącą na straszny ból głowy, że właśnie pragnęła pójść się położyć, kiedy wszedł prosty jakiś zagrodowy szlachcic litewski, ale na twarzy którego malowała się poczciwość i boleść. Byłem pewny, że przyszedł prosić o wsparcie, i że sobie zaraz odejdzie. Tymczasem on, ujęty widocznie uprzejmością przyjęcia, usiadł, i widać było że o prędkiém wyjściu nie myśli. Napomknąłem więc o stanie zdrowia gospodyni, a kiedy i to nie pomogło, gotowałem się ostrzedz go otwarciéj, aby jéj długo nie utrudzał. Ale tu ona spójrzała tak błagająco, ale razem tak rozkazująco, że rad nie rad zaciąłem usta, i nie mogąc poskromić niecierpliwości, wyszedłem.

We dwie godziny potém, idąc na obiad do jéj matki, pani wojewodzinéj poznańskiéj, Działyńskiéj, która w tym samym domu niżéj piętrem mieszkała, wstąpiłem wprzód do niéj saméj, aby się o zdrowiu dowiedzieć: i ujrzałem ją bladą i nieruchomą, jak posąg z marmuru, z twarzą wspartą na dłoni, słuchającą cierpliwie tegóż samego człowieka, który jéj jakieś długie historye o sobie opowiadał. Tu już nie mogłem wytrzymać, i zwróciłem jego uwagę na stan zdrowia nieszczęśliwéj słuchaczki. Porwał się z przerażeniem, bo sam wreście stan ten obaczył, a całując na pożegnanie jéj rękę, rozpłakał się jak dziecko; przepraszając zaś, że się tak długo zapomniał, dodał na usprawiedliweinie swoje, że to była piérwsza chwila pociechy, jakiéj doznał, po zostawieniu w domu żony i siedmiorga dzieci. Ma się

rozumieć, że odszedł zaopatrzony hojnie na dalszą podróż, a mnie obowiązano najmocniéj, ażebym o téj scenie ani słowa nie wspomniał przed matką.

Po przybyciu do Drezna przyjaciela naszego, Ignacego Domeyki, zaprowadziliśmy go wraz z Adamem na większy niż zwykle wieczór do pani Dobrzyckiéj. A był téż z nami i drugi gość nowy, Litwin, sąsiad mój wiejski, pan Stanisław Paszkowski, dziedzic znacznéj fortuny, a sławny myśliwy. Był to typ dawnych Litwinów, czcicieli drzew dębowych i lasów twardych i nieugiętych jak one; najdoskonalszy kontrast z tkliwym i łagodnym Domeyką, który nadto jest znany, ażebym miał potrzebę charakteryzować go więcéj, mówiąc o jego uczoności i charakterze moralnym, które mu i na drugiéj półkuli świata, w nowéj jego przybranéj ojczyznie, cześć ogólną i miłość zjednały. Owóż obaj ci panowie po raz piérwszy na tym wieczorze widzieli panią Klaudynę. Zazwyczaj mało mówiąca, tą razą była nią mniéj może niż kiedy. W chwili wyjścia na wieczór otrzymała nader smutną wiadomość, ale zamknęła ją w sobie, ażeby drugim gościom wesołości nie mącić. Dowiedzieliśmy się o tém dopiéro nazajutrz, ale w ciągu całego tego wieczoru, ona sama najmniejszém słowem nie zdradziła wrażenia, które tkwiło w jéj duszy. Usiłowała owszem okazać się wesołą, i nikt z tych, co ją widywali codziennie, nic w niéj dziś nadzwyczajnego nie widział. Tymczasem, przy wyjściu z wieczoru, słyszę jak idący przede mną obok z Adamem Domeyko, z poruszeniem mówi do niego: „Powiédz mi, znasz ją lepiéj, co to za kobiéta? Patrzałem na nią jak na świętą; chęć mię brała uklęknąć przed nią i prosić o błogosławieństwo.“—A w téj-

że saméj chwili, idący obok ze mną Paszkowski, mówi do mnie: „Straciłem, ty wiész, wszystko! Ale patrząc dziś na tę panią, myślałem, że nie żal mi przecie tego, kiedym mógł przez to widzieć taką kobiétę.“ A nie mówił on tego o piękności twarzy.

Zdaje mi się, że dość będzie na tém, aby poprzednie słowa moje od zarzutu przesady ochronić.

Ale niech téż pan w ogólności tego, co o tém tu mówię, nie bierze za zboczenie od głównego przedmiotu tego listu; jest ono owszem z nim w prostym i jak najbliższym stosunku. Towarzystwu to bowiem i przyjaźni pani Klaudyny, Pol, równie jak my wszyscy, zawdzięczał mianowicie ten niewysłowiony urok ówczesnego naszego pobytu w Dreznie, pod którego ogólnym wpływem, szczupłe, odrębne kółko nasze, nie *„jedną tylko chwilę tak górnie*, (a przynajmniéj tak mile i poetycznie) *przeżyło,*“ że i najwięksi i najszczęśliwsi poeci, mogliby nam jéj słusznie zazdrościć.

Kółko to, do przybycia Pola, składało się wyłącznie z nas czterech: Adama, Garczyńskiego, Domeyki, i mnie. Gorecki zaglądał często, gdy mu się podobało; inni zaś, jak naprzykład: Orpiszewski, Czetwertyński Janusz, i inni, bywali tylko proszonymi gośćmi. Otóż cała moja zasługa względem Pola, o któréj on w listach swoich do mnie wspomina, jest chyba ta, że mnie się to szczęściem zdarzyło, wprowadzić go niejako do tego naszego kółka i zapoznać z Adamem i z panią Klaudyną. A i w tém nawet piérwsza inicyatywa należy się właściwiéj Domeyce, a najwłaściwiéj samemuż Polowi. Że jednak piérwsza ta chwila poznania się jego ze mną i zapoznania

przeze mnie, jest rzeczywiście charakterystyczną, więc ją tu panu szczegółowiéj nieco opowiém.

Dnia jednego raniutko, Domeyko przyszedł do mnie z jakimś nieznajomym młodzieńcem, ładnym, ożywionym, wesołym, który zaraz z piérwszego wejrzenia sympatycznie mi się podobał. Był to Wincenty Pol. Domeyko przedstawił mi go jako ucznia wileńskiego uniwersytetu, a więc przez powinowactwo kolegę, i jako swego towarzysza w Rastenburgu, (jeżeli się nie mylę), zkąd sam przed tygodniami kilku przybył prosto do Drezna.

Pol znał w Wilnie wielu jeszcze z dawnych moich kolegów i przyjaciół; a trzebaż było czego więcéj, aby się między nami od razu koleżeński stosunek zawiązał? Wspomnienia wspólnych znajomych i okolic wileńskich, piérwszym zaraz rozmowom nadały poetycki niejako charakter, co właśnie było powodem Domeyce, że piérwszy zaczął mówić o tém, co już widać wprzód słyszał od Pola, to jest, że Pol znał i zostawił w Rastenburgu młodego poetę, niejakiego *Janusza Nowinę*, także ucznia wileńskiego uniwersytetu, którego wiele wierszy sam umié na pamięć. Prosiłem więc o powtórzenie niektórych, i Pol ochoczo spełnił to żądanie. Ale zaledwie przedeklamował kilkadziesiąt wierszy, te już tak mi się podobały, że wnet po dokończeniu piérwszéj sztuczki, żal mi było, że ich Adam razem nie słyszy, i przeto zaproponowałem Polowi, aby pójść zaraz do niego, (który mieszkał tuż przez ulicę, okno w okno prawie), i aby tam już deklamacyą dalszych kontynuować. Przystał na to z wielką radością, bo i tak miał ode mnie zajść do niego z Domeyką; ja zaś ubierając się co prędzéj, powtarzałem machinalnie dopiéro

co słyszane wiersze, które od razu utkwiły mi w pamięci. Pol tak był tém uradowany widocznie, że zaczął mię ściskać serdecznie; co przypisałem przyjaźni jego dla pana *Nowiny;* on zaś przypisywał to mojéj pamięci i współczuciu dla młodszych braci w Apollinie. Ale ani mi na myśl nie przyszła prawdziwa tych uścisków przyczyna.

Przyszedłszy do Adama, zastaliśmy go jeszcze w łóżku; bo wtedy właśnie pisał ostatnią część *Dziadów*, a pisząc zazwyczaj w nocy, rankiem sobie bezsenność nocną wynagradzał. Po piérwszém przedstawieniu, bez dalszych przemów, przystąpiłem wręcz do *pana Nowiny*, i Pol, bez żadnych ceregielów, zaczął nam deklamować dalsze *pieśni Janusza*. Wpływ ich na Mickiewicza, był jak słońca na kwiecie, kiedy je ono stopniami z nocnego uśpienia obudza. Wstał wreście, i okrywszy się płaszczem, zaczął śpiesznie nakładać fajkę, aby już z całą uroczystością słuchać deklamacyi dalszéj; z tego, co dotąd już słyszał, rokując świetną poetycką przyszłość talentowi *pana Nowiny*. Gdy zaś na zapytanie moje, dla czego ten *pan Nowina* nie przyjechał razem do Drezna? dowiedzieliśmy się od Pola, że nié ma za co przedsięwziąć podróży: myśl nagła zabłysła mi w głowie—i słowa nie mówiąc nikomu, porwałem za kapelusz i pobiegłem do pani Klaudyny. Zadziwiła się, widząc mię tak rano: ale gdy jednym tchem wyrecytowałem jéj wszystko o *panu Nowinie*, o jego wierszach, i co o nim samym słyszałem: pani Klaudyna, wysłuchawszy z zajęciem, powstała nie mówiąc słowa, i wyszła do drugiego pokoju. W minut parę wróciła, trzymając w ręku, między dwóma mniejszemi palcami, 50-cio talarowy papiérek

i mówiąc: „No, niechże ten pan Pol poszle to zaraz temu *panu Nowinie*, żeby zaraz przyjeżdżał do Drezna; a my już tu będziem myśleli, co z nim zrobić daléj.“

Kwadrans nie upłynął — kiedy już byłem z powrótem na *Töpfer-Gasse*, gdzie przyjaciel pana Nowiny czekał na mnie z dalszą deklamacyą jego wierszy. Podając mu przyniesiony bilet, powtórzyłem słowa dawczyni, i chciałem zaraz dać Polowi ćwiartkę papiéru, aby list do niego napisał, który ja sam, jako lepiéj znający drogę, miałem zanieść i oddać na pocztę. Ale tu Pol, zmięszany widocznie, zaczerwienił się cały jak rak, aż po uszy, i nie biorąc z rąk moich papiérka, zaczął się exkuzować, jąkając, i przepraszać nas za udanie: gdyż *Janusza Nowiny* nie było na świecie, a on sam był autorem wierszy, które mówił, i o których w ten sposób chciał się pewniéj prawdziwego zdania dowiedzieć. Łatwo pojąć, jakie wrażenie i skutek sprawiło na nas to wyznanie, a sama ta chwilowa mistyfikacya, dopomogła jużciż ku temu, że i w obec Adama, który nie był tak skory do poufałych stosunków, figlarny mistyfikator stanął od razu na stopie wileńsko-uniwersyteckiego koleżeństwa. Musiał tylko na expiacyą swojego kłamstwa, iść ze mną *stante pede* do pani Klaudyny, i oddać jéj własnoręcznie przeznaczony dla Janusza Nowiny papiérek.

Narracyą podstępu ja wziąłem na siebie; on zaś, spełniwszy naznaczoną mu przez panią Klaudynę pokutę, t. j. aby i dla niéj téż zaraz kilka wierszy swoich powiedział: otrzymał absolucyą zupełną, a w dalszym ciągu stosunku życzliwość jéj i przyjaźń. Wprost ztamtąd zaprowadziłem go do Garczyńskiego, który też, ma się rozumieć, przyjął go po bratersku; i następnie zaznajomiłem

ze wszystkiemi damami, chociaż nie nadaremnie przeczułem w nim od razu nader niebezpiecznego rywala.

Od téj pory p. *Janusz Nowina*, jakeśmy go zawsze nazywali, stał się integralną cząstką naszego kółka, codziennym (gdy był w mieście) towarzyszem naszym; gdyż po kilkakroć z polecenia pani Klaudyny w różne strony na dni kilka wyjeżdżał.

A teraz cóż mam panu powiedzieć o tém kółku naszém? To chyba, że choć często bywaliśmy zapraszani na wieczory, zwykle jednak, gdy specyalnéj inwitacyi nie było, zbieraliśmy się o 7-méj u Adama, który miał najobszerniejsze mieszkanie, lub u mnie, który lepiéj przyrządzałem herbatę,—i pogadanka przeciągała się nieraz dobrze po północy. Ale co do charakteru tych pogadanek, to niechaj to już pańska wyobraźnia dopełni. Ja chyba dodam to jeszcze, że nigdy żadnych pedanckich rozpraw ani dysput nie było; wzajemna zaś życzliwość i ufność, nie krępowały w niczém swobody i szczerości zdania lub uczucia. A chociaż często z tego wynikała szermierka myśli i słowa, niekiedy prowadzona z zapałem; ale że osobistość nigdy w niéj nie miała udziału, więc choć się zdania w końcu nie zgodziły, serca zawsze pozostały w jedności. Była to zwłaszcza wieczna historya dysput z Garczyńskim o Heglu, i w ogólności o filozofii niemieckiéj, któréj on był gorliwym adeptem. Pola zaś Adam lubił bardzo jeszcze i za to, że był niewyczerpanym w opowiadaniu różnych starych przygód i anegdot szlacheckich, a w dowcipie i żartobliwych konceptach, godnie sekundował Domeyce.

Prócz tego była to chwila, gdy każdy z nas, według swéj skali, był właśnie w wenie i werwie poetyckiéj, i co kto we dnie lub w nocy poprzedniéj napisał, przynosił do osądzenia na wieczór.

Mickiewicz w listach swoich pisze o tych czasach w Dreznie: „Ach! jak tam mile przepędziliśmy te kilka miesięcy! Jak czułem, że nie prędko już będziemy mieli taką epokę spokojności i pogody! Zdaje się, że jak magnetyzowany z oczu towarzyszy ciągnie siłę, tak ja z was nabierałem ognia i ochoty.“—Jak te chwile wspominał Pol, pan sam wiész najlepiéj, bo sam kiedyś mówiłeś mi o tém. Ja zaś powtórzę chyba słowa jego do mnie: „Gdzie ztąd do owąd?“ i dodam: „Gdzie on? gdzie oni?“—Jeden tylko Domeyko jest jeszcze na ziemi, a i ten *w świecie nowym*, na drugiéj półkuli!

Przychodzą mi więc na myśl słowa „*Ostatniego Minstrela*“ Walter-Skotta, i daruj pan, że je tutaj przytoczę, stosując je do siebie samego:

„Ja tylko jeszcze, starzec nad mogiłą,
Stoję i płaczę, wspomniawszy co było;
I że już ucho moje nie usłyszy
Zajrzanych niegdyś pieśni towarzyszy;
Bo zawiść moja zgasła razem z niemi,
A żal mi tylko został na téj ziemi.“

Oprócz zawiści, któréj Bogu dzięki nie było, jest to w istocie wierny dzisiaj mój obraz. A więc, aby skończyć weseléj, opowiém panu jeszcze jednę anegdotę, która nas wszystkich kiedyś wielce ubawiła, a przypomina téż jeden z najmilszych epizodów ówczesnéj naszéj epoki Drezdeńskiéj.

W początkach Kwietnia 1832 roku, wszyscy pięciu odbyliśmy wspólną pielgrzymkę do Szwajcaryi Saskiéj, którą przebiegliśmy piechotą. Na *Bastai* trzech

jakichś młodych, czystéj krwi Warszawiaków, jeden z gitarą na błękitnéj wstążce przez plecy, weszło z szykiem i szumem, i zasiadło koło nas przy osobnym stoliku, a słysząc nas mówiących po polsku, zawiązało z nami rozmowę. Ani my, ani oni, nie wiedzieliśmy nawzajem kto jesteśmy; ale wnet gitarzysta, z własnéj woli swojéj, raczył nas zawiadomić łaskawie, że jest „*poetą romantycznym*“ z Warszawy, i w ślad za tém, z tegoż tytułu, zaczął paplać trzy po trzy różne górno-sentymentalne frazesy, z wyraźną intencyą zaimponowania nam przez to. Cytował wyjątki z *Dziadów*, i unosił się nad niemi, i w ogóle nad Mickiewiczem, jakby chciał nas nauczyć i wskazać, jak go trzeba czuć i rozumieć. Koledzy jego, znać było, że go mieli za mędrca i wieszcza, i byli tylko, jak echem słów jego; ja zaś z Domeyką i Polem wyciągaliśmy go coraz daléj na słówka; choć to w końcu Adama nudziło, a Garczyńskiego gniewało. Aż nakoniec, sam gitarowy minstrel, także z własnego natchnienia, raczył nam oświadczyć ochotę zaśpiewania nam nowéj swojéj piosenki, którą, jak się wyraził, pod wpływem „tęsknot wygnania“ ułożył. Prosiliśmy go, ma się rozumieć, a on, skrobiąc palcami po strónach, zaczął z najlepszą fantazyą i śmiałością śpiewać mój własny wiersz, p. t. „*Oddalony*,“ drukowany już w zbiorze moich ramot, a zaczynający się od słów:

„Rozwesel lice, cudzoziemcze młody,
Poprzestań tęsknić za rodzinnym krajem“ i t. d.

Potrzeba było użyć całéj siły nad sobą, aby nie parsknąć od śmiechu, widząc zwłaszcza przytém minę i sentymentalną fanfaronadę śpiewaka. Wysłuchaliśmy

jednak cierpliwie, a nie mając ochoty kompromitować ani jego, ani siebie, pożegnaliśmy co prędzéj tych panów, nie pytając o ich nazwiska, aby nawzajem nie powiedzieć swoich. Mickiewicz tylko zastanawiał się głęboko nad tém, „zkąd on mógł wziąść tę gitarę?“ Bo jużciż trudno było przypuszczać, aby ją wynieść miał z kraju, jak Eneasz Penaty z palącéj się Troi; a zaś w dzisiejszém jego położeniu kupować najprzód gitarę!... była to taka cecha romantyków warszawskich, że w zestawieniu ich z tamecznymi także klassykami, posłużyła nam za przedmiot do długiéj, długiéj rozmowy. Ale przebacz pan długości tego listu, jeśli się wyda za długi!!“

Na zakończenie, i dla uzupełnienia niejako stosunku mojego z Polem, przytaczam tu wiersz mój poświęcony jemu, z powodu dotkliwych, a niesprawiedliwych potwarzy, które nań ręka niegdyś przyjacielska, z niedocieczonéj przyczyny, rzuciła, choć dobrej sławy jego przez to przyćmić nie zdołała; tak, jak żadna stronnicza, *pozytywna* krytyka literacka nie zdoła nigdy, w oczach ziomków, przyćmić w autorze „*Mohorta* i *Pieśni o ziemi naszéj*“ chwały narodowego poety.

WIT STWOSZ U PRĘGIERZA.

(DO WINCENTEGO POLA).

Śpiewaku Stwosza! jak w senném widzeniu,
Duch mu proroczy, w postaci niewieściéj,
(Jak sam opiewasz), w krzyżu i płomieniu
Zwiastował godło chwały i boleści:

Tak snać ku tobie samemu się zbliża,
W blasku twéj sławy, znak i próba krzyża.
Bacz więc i czuwaj! abyś sam w téj próbie
Dotrwał, i drugim wzór zostawił w sobie:

„Że krzyż ten tylko zdoła godnie dźwignąć,
Kto sam w miłości nie będzie tu stygnąć.“

I choćby nawet brat wziął rolę kata,
On w kacie nawet nie zapomni brata;
Aż przyjdzie chwila, że mu to odpłaci
Bóg, na swym sądzie, i sąd innych braci.—

Tymczasem, w dowód mych uczuć braterskich,
Przyjm, com wyczytał z kronik Norymberskich.

* * *

W Norymberdze gwarno, świętno,
„Co się stało?“—każdy pyta.
—„Na rzeźbiarza, Stwosza Wita,
Pod pręgierzem kładą piętno.“—

—„Za co? Jak mógł? Czém przewinił?
On, co przez swój żywot cały
Strzegł zakonu, a co czynił,
To dla Bożéj, naszéj chwały?“—

—„Kacerz! Apostata w wierze!
Wszystkich zbrodni stek i zaród!
Z Lucyperem wszedł w przymierze,
Bluźni Bogu, truje naród!“—

—„Gdzież dowody?“—

—„Sąd Burmistrza
Nie potrzebuje dowodu.
I ja sam dziś dzieło mistrza
Spełniam—dla dobra narodu!“—

Tak w zgiełku miejskiéj hołoty,
Do tłumu, co go otacza,
Wołał młodzian, co z ochoty
Wziął na się rolę siepacza.

Sam on rzeźbiarz, i niedawno
Uczeń Stwosza—gdy w zapale
Wielbiąc jego przeszłość sławną,
Chciał mu tylko zrównać w chwale.

I widząc, jak po mistrzowsku
Tworzył; nieraz na podziękę,
Z rozczuleniem, po synowsku,
Usta kładł na jego rękę

Dziś—jaki powód go kłoni
Znęcać się nad losem bratnim?
Bóg to sam chyba odsłoni
Na swoim sądzie ostatnim.—

A Wit Stwosz już u pręgierza,
Na milczącą patrzy zgrają,
Co choć zbrodni nie dowierza,
W obronie prawdy nie staje.

I ci, co jego przyjaźni,
Jako zaszczytu szukali,
O jego tylko już kaźni
Szeptając, stoją w oddali.

On przecież, chociaż sromoty
Krzywy nań wyrok się iści,
Jak w duszy próżen zgryzoty,
Tak w sercu bez nienawiści.

I chociaż wié, że niewinny
W tém, w czém go winią potwarze,
Sam szuka przyczyny innéj,
Za co go może Bóg karze.

I gdy tłum wrzaskiem złowrogim
Zwiastuje przyjście siepacza,
On serce korzy przed Bogiem,
A prześladowcom przebacza.

Ale gdy ujrzał młodziana,
Co nań żelazo rozpalał:
Żałość go zdjęła nieznana,
I nagle łzami się zalał.

„Tyżeś to? Korneliuszu!
Ty, widzę, chcesz mi być katem,
Com w sztuce i gieniuszu,
Z radością witał cię bratem?—

„O! żal mi ciebie, młodzieńcze!
Bo gdy w ślepém uniesieniu
Popełniasz to—ja ci ręczę,
Że karę znajdziesz w sumieniu.

„I gdy rozwagą dojrzejesz,
A burze uczuć przeżyjesz,
Czyn twój, sam łzami oblejesz,
Lecz plamy jego nie zmyjesz.

„Gdyby zaś gniew cię zapalał
Z jakiéj pobudki nieczystéj:
To choćbyś wszystkich pokalał,
Nie uszczkniesz palmy artysty.

„Bo miłość tylko mu siłą,
Talent—jéj tylko narzędzie;
A gdzie miłości nie było,
Tam i natchnienia nie będzie.“—

1862.

PRZYPISY.

(Przypis do str. 85).

DO SYXTUSA JASIEWICZA.

Drogi Syxtusie! tyś od lat dziecinnych
Był mi kolegą, przyjacielem, bratem:
Kiedyż, dla Boga! przestanę z ust innych
Słyszeć a słyszeć, żeś stał się warjatem?

Niegdyś ta nazwa bywała nam wspólną,
Gdyśmy wał z śniegu zlepiwszy śród zimy,
Wierszami z Tassa uczyli młódź szkolną,
Brać w nim, lub bronić mur Jerozolimy.

Lub wiosną, kręgle złocistym papierem
I koguciemi okleiwszy pióry,
Gwałtem w nich drugim kazali z Homerem
Widzieć Achille, Ajaxy, Hektory.

Pomnisz, jak wtedy Professor Wymowy,
Śmiał się, aż płakał, z nas i z naszych braci,
A Matematyk, xiądz Prefekt surowy,
Trząsł głową, mówiąc: „Poeci-warjaci!“

No! dajmyż na to! Nazwa ta poecie
Służy jak tytuł dziedziczny u świata.
Ależ ty wierszy nie pisałeś przecie—
Tak!—ale czyny poety-warjata!!!

Najprzód na wojnę:—nie wiedzieć zkąd? czemu?
Od xiążki raptem skoczyć do bułata,
By, coś gdzie czytał, doświadczyć samemu!—
Wybacz! i jam cię miał za pół-warjata.

Potém na wojnie:—pod gradem kartaczy,
Raz wraz dobranéj przodkując czeredzie,
Gnać się z hordami Tureckich rębaczy,
I pewno w myśli marzyć o Tankredzie!

Aż gdyś syt wreście chwały Paladynów,
Wracał jąć radło i pług Cincynnata,
Półk twój, do wieńca nabytych wawrzynów,
Wplótł ci i nazwę: śmiałego warjata.

Potém po wojnie:—kiedy ci swatano
Familiantkę, i z wianem bogatém:
Tyś wziął sierotę—biedną, lecz kochaną!—
Świat—nie ja—znów cię osądził warjatem.

Był czas zaprawdę, gdy widząc w twym domu
Miłość, i pokój, i anielskie dziecię,
Sędziowie twoi zamilkli od sromu,
I coś nad złoto poczuli na świecie.

Sen to był krótki!—i gdyś, przyjacielu!
Chęć nawet szczęścia zamknąwszy z Nią w grobie,
W ojcu już tylko i obywatelu
Żył powinności, krajowi—nie sobie.

Gdyć urząd tylko był polem do pracy,
A władza służbą krzywdzonych od świata:—
O! przyjacielu! czyż nie byli tacy,
Co cię i wtenczas brali za warjata?—

Lecz Pan snać z góry upodobał w tobie,
I jak zwykł czynić z wybranémi Swémi,
By duch twój całkiem obrócić ku Sobie,
Wziął ci ostatni skarb serca na ziemi.

I duch twój pojął świętą wolę Pańską,
Wziął krzyż—i wesół po nad ziemię wzlata:
Gdy na cudowną siłę chrześcijańską
Tłum woła: „Exaltacya warjata!“—

O! przyjacielu! jeśliś z twéj pamięci
I braci serca nie rugował z światem:
Modlitwą twoją dopomóż méj chęci,
Bym mógł być takim, jak dziś Ty, warjatem!

1847.

DO TEGÓŻ.

W dzień jego prymicyi, 11 Czerwca 1855 r.

Chwała na wysokości Bogu! a na ziemi
Pokój ludziom, co idą drogami Bożemi,
Niosąc swój krzyż i brzemię do wieczności progu!
Pokój—nie śmierci w grobie, ale życia w Bogu!

Syxtusie! tyś dziś stanął na téj świętéj drodze;
Dziś Bóg cię przyjął między sługi Swe, a wodze
Nas, błądzących po świata rozdrożach;—dziś chwała
Panu na wysokości, z ust twoich zabrzmiała
Przed ołtarzem i ludem; dziś sam w ręku twojém
Chrystus stał ci się żywym chlebem i napojem,
I dał moc dłoni twojéj, na spółbliźnich czoła
Rozlać błogosławieństwo Nieba i Kościoła!

Cześć więc na wysokości Panu! cześć i dzięki,
Za każdy kielich łez twych; za każdy krzyż męki
Życia twojego: w sercu, i w myśli, i w duszy!
Boś się obmył w boleści; boś się wzmógł w katuszy;
Boś ogniem skruchy ducha wypalił swe grzechy;
Boś zdobył sam, i odtąd masz nieść skarb pociechy

Nam, grzesznym braciom twoim, mdlejącym od znoju,
Skarb Nadziei, Miłości, Wiary, i Pokoju,
Co go wziąć tylko może i dać z łaski Pańskiéj,
W prawowiernym Kościele kapłan chrześcijański!

O! i błogosławione czasy i narody,
Gdzie Bóg dobrych pasterzy poszle dla swéj trzody,
I gdzie ich trzoda ze czcią i miłością słucha!
Tam wtedy tylko z góry świeci światłość ducha,
Tam tylko widać drogę do Bożego celu.
Tak Jehowa przed wieki władał w Izraelu,
Tak Kościół Apostolski wzniósł na gruzach Romy.
I tak w dziejach narodów rządzi niewidomy,
Którym wyrył na sercu i włożył na skronie
Znak ludu wybranego w Krzyżowym Zakonie.

Spójrz w ich dzieje!—ilekroć wierne Pańskiéj woli
Szły nieść pomoc narodom, zbawiać od niewoli,
Świat zasłaniać piersiami przed dziczą pogańską,
Lub zaszczepiać i krzewić wiarę chrześcijańską:
Patrz, jak obok ich królów, śród ich rad, w senacie,
W obozach, stoją święte kapłańskie postacie,
Podpory majestatu, prawd i swobód stroże,
Lub przewodnicy na śmierć, za kraj, w imię Boże!

Lecz gdy naród, niestety! zbyt często niepomny
Cnót ojców: krnąbrny, płochy, albo wiarołomny,
Miał zboczyć z dróg Miłości, Wiary—ach! i Łaski:
W Kościele gasły najprzód cnót kapłańskich blaski.
I był to zawsze w dziejach klęski znak proroczy,
Jako przed burzą najprzód firmament się mroczy.

Aż gdy pod ręką gniewu Bożego, znów skrucha
Upokorzyła serca, ożywiła ducha:
Kto piérwszy zgubne sidła odszczepieństwa targa,
Jeśli nie święty kapłan-obywatel, Skarga?
Kto, gdy naród naprawić idzie czyn zdradziecki,
Da wzór—jeśli nie kapłan-bohater, Kordecki?
Kto w Krzyżu odkupienie i żywot obwieszcza,
Gdy nie głos Ojca Marka, głos kapłana-wieszcza?

I co snać pewniéj wróży litość sądów Pańskich,
Jak mnożące się w mroku gwiazdy cnót kapłańskich?

Śród nich odtąd, Syxtusie! obyś i ty społem
Świecił długo pomiędzy ludem a Kościołem,
Aż przyjdzie Bóg Zbawiciel, zwić z was wieniec nowy,
Dla Swéj Niebieskiéj Matki, a naszéj Królowéj!

A dziś, módlmy się społem, w proch schylając czoła:
My lud, o dobry przykład i chwałę Kościoła,
A ty, w gronie sług jego, za nas lud, Syxtusie,
O Wiarę, i Nadzieję, i Miłość w Chrystusie!

(Przypis do str. 295).

LISTY ADAMA MICKIEWICZA

DO A. E. ODYŃCA.

I.

Kijów (5 Lutego 1825 r).

Kochany mój Edouard! „I unosisz, i łajesz, i jęczysz, i krzyczysz!“ Dla czego nie pisałem, spytaj mego brata Alexandra, bo tu nie chcę exkuzami zabierać małéj ćwiarteczki. Jestem zdrów, jadę z północy na drugi koniec Europy, w dobrym humorze. Dziś, dnia 5 Lutego, biwakowałem w Kijowie, a ile razy wspomnę o Litwie, bądź pewien, że ty jeden z najpiérwszych stajesz przede mną. Myślałem wiele o tobie w Petersburgu, ale ze smutkiem wyznam, nienajpomyślniejszy był wypadek moich rachunków. Oryentalizm wymaga kutéj na cztery nogi pracy i kosztu na rok jeden. Piérwsze i drugie dla ciebie nie wiém czy łatwe; wszakże mam nadzieję, że do tamtego ty się skłonisz, a to da się jeszcze ułatwić. O wszystkiém napiszę do ciebie, gdy będzie co pewnego. Z drugiéj strony może się uda znaleźć miejsce w Liceum Odeskiém, ale ja sam jeszcze tam nieosiadły nic wnosić i obiecywać nie umiem. Zawsze bądź cierpliwy

i pewien że o tobie nie zapominam, i jeśli nic więcéj nie mogę, to ciebie przynajmniéj kocham.

Pisz do mnie do Odessy pod adresem Cybulskiego aptekarza, i przypomnij mnie moim znajomym, a szczególniéj pani Guttowéj, pani generałowéj Pągowskiéj i całemu jej domowi; pani Macewiczowéj, i mojéj szanownéj pannie Józi. Jak tylko przyjadę do Odessy, będzie miała list ode mnie, chociaż mnie już jest dłużną parę odpowiedzi.

Olesiowi i Juljanowi pokłoń się; tobie i im kłania się Franciszek.

II.

Moskwa, d. 22 Lutego 1826 r.

Jest zawsze trochę bałamuctwa w rozmowie ustnéj czy pisanéj między ludźmi różnego charakteru, a co gorsza, wieku. Jeden drugiego na swoję skalę mierzy. Tak sobie tłómaczę twoje długie żale i zaklęcia. Podług ciebie, czy kto pisze czy milczy, zawsze musi miéć powód w namiętności, kochaniu, gniewie, etc. etc.; lenistwo, okoliczności postronne, nie wchodzą w rachunek! Jeśli koniecznie szukałeś hypotezy na objaśnienie milczenia, lepiéj było przypuścić, jak inni, żem już umarł; byłby na tém koniec, i hypoteza od drugiéj nie fałszywsza. Więc tedy powtarzam, żem się zgoła niegniewał. Wszakże była mała przyczynka jeszcze zawieszenia korrespondencyi, po odebraniu listu twego z Wilna w Odessie. Rozpisałeś się tam nieco; nie umiałem cię w biegu zatrzymać, i nie chciałem daléj w pole wyprowadzać. Trzeba ze starymi ludźmi bardzo powoli i uważnie rozmawiać, na humor ich

mieć baczenie! Trudno mi tłómaczyć się jaśniéj; widziałbyś w tém nowe dziwactwo. Koniec końców, nie gniewałem się na ciebie.

Słyszałeś zapewne o moich kursach lądowych i wodnych; nié mam ochoty rozpisywać się nad niemi. Ciekaw jestem niektórych okoliczności twojéj podróży do Warszawy. Napisz mnie obszerniéj o Ursynie, czy nie utworzył czego nowego? o Brodzińskim, jeśliś go poznał, co zacz jest? o Zaleskim, etc. Bardzo rad jestem z pism obiecanych; ale „*Biblioteki Polskiéj*," jakoby z listem posłanéj, dotąd nie odebrałem; może zjawi się jeszcze na poczcie.

Co się tyczy moich poezyj drukowanych zaocznie, piérwszy raz ujrzałem je w Charkowie, z niemałym gniewem. Nie chciałem nigdy wierzyć, abyś zrobił takie dziecińśtwo. Owa bazgranina do Olesia, błaha, śmieszna nawet, gdzie się porównywam do orła,—bardzo skromnie!! Powinieneś był protestować publicznie, że to apokryf. Jakoż nie wierzę, abym choć po winie mógł tak nikczemne robić wiersze, jakich tam jest kilka. Skoro odbiorę dziennik, poszlę sam ztąd protestacyę.

Dobrze, żeś przyjechał, lubo nie wiém po coś jeździł, i co teraz robisz, i czy w Wilnie zostaniesz? Weź moje interesa po zacnym Maryanie (Piaseckim), który, jak słychać, ma je porzucić dla odjazdu. Pomów o tém z Alexandrem, lubo nie wiém czy się kiedy razem na co zgodzicie.

Moja muza długo niema, zaczęła wreście ruszać się trochę w Odessie, ale w tym zaraz momencie odebrałem rozkaz wyjazdu. Tam żyłem jak basza, tu jak ostatni janczar. Nie mam osobnéj kwatery, stół najlichszy, wina nie słychać, kawy nawet dobréj nie ma. Nadzieja poprawy jest na waszych obrótach bankowych.

Listek tu załączony odnieś pannie Józi, i ukłoń się jéj pięknie ode mnie. Jeśli będzie pani Kowalska w Wilnie, zapytaj się czy doszły moje dwa listy? W jednym z nich był bilecik do Józi; na żaden nie odebrałem odpowiedzi Józi.

Adam.

WOJEWÓDZKA i MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
26040
w Białymstoku
CZYTELNIA DLA DOROSŁYCH

SPIS RZECZY.

	str.
List do Redaktorki Kroniki Rodzinnéj	7
I.	17
II. Czasy szkolne	32
III. Czasy uniwersyteckie.	86
IV.	262
Kazimierz Brodziński.	311
Stefan Witwicki i Stefan Garczyński	350
Józef Bohdan Zaleski.	411
Wincenty Pol.	427
Przypisy.	449

Miejska Biblioteka Publiczna
333
14033
Białystok

821.162.1
Odyniec
Wspomnienie
26040